

JOHN GRISHAM

Obrońca ulicy

ROZDZIAŁ 1

Mężczyzna w gumiakach wszedł do windy za mną, ale na początku go nie spostrzegłem. Poczulem go za to - porażający odór kiepskiego tytoniu i taniego wina; dowód życia na ulicy bez używania mydła. Byliśmy sami, a kiedy wreszcie zerknąłem przez ramię, dostrzegłem gumiaci, czarne, brudne i o wiele za duże. Wyświechtany i pomięty płaszcz sięgał do kolan. Facet wydawał się masywny, wręcz tęgi, ale po prostu był tak grubo ubrany.

Zimą waszyngtońscy bezdomni wkładają na siebie wszystko, co mają. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam.

Był czarny, podstarzały. Miał skołtunione włosy i brodę, gęsto przetykane siwizną, od lat nie myte ani nie strzyżone. Patrzył prosto przed siebie zza ciemnych okularów słonecznych, całkowicie mnie lekceważąc, aż przez chwilę zrobiło mi się głupio, że przyglądam mu się tak natrętnie.

Ten człowiek należy do innego świata - pomyślałem. To nie jego budynek ani jego winda, nie ma tu czego szukać. Prawnicy ze wszystkich ośmiu pięter gmachu firmy żądają za godzinę swych usług stawek, które wciąż budzą moje zdziwienie, choć pracuję tu już siedem lat.

To musiał być zwykły włóczęga, który szuka schronienia przed chłodem. W stolicy to normalne, dlatego też specjalnie zatrudnia się ochroniarzy, by nie wpuszczali takich szumowin do biura.

Dopiero gdy winda stanęła na piątym piętrze, uświadomiłem sobie, że to nie on nacisnął guzik. Po prostu wlaźł za mną. Wskoczyłem szybko i po chwili, już w olśniewającej, wykładanej marmurami recepcji kancelarii Drake & Sweeney zerknąłem jeszcze raz przez ramię. Obdartus stał ciągle w windzie i uparcie patrzył przed siebie, nadal jakby mnie nie widząc.

Pani Devier, chyba najenergiczniejsza z recepcjonistek, jak zwykle obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym zawodowej pogardy.

- Uwaga na windę - bąknąłem.
- Dlaczego?
- Przyjechał jakiś włóczęga. Być może trzeba będzie wezwać ochronę.
- Ach, te męty - mruknęła z wystudiowanym francuskim akcentem.
- Warto by też przygotować jakieś środki odkażające.

Ruszyłem korytarzem, zsuwając płaszcz z ramion. Błyskawicznie zapomniałem o

włóczędzie w gumiakach. Na popołudnie miałem zaplanowanych kilka narad, niezwykle istotnych spotkań z ważnymi klientami. Skręciłem za róg i już otwierałem usta, żeby się przywitać z Polly, moją sekretarką, kiedy w recepcji huknął wystrzał.

Pani Devier stała za pulpitem i osłupiała, wytrzeszczonymi oczami gapiała się na wylot lufy dziwnie wielkiego pistoletu tkwiącego w dłoni mego najnowszego znajomego z ulicy. A ponieważ wciąż znajdowałem się najbliżej, włóczęga natychmiast skierował broń w moją stronę, więc i ja zastygłem w bezruchu.

- Nie strzelaj - powiedziałem, unosząc ręce. Widziałem wystarczająco dużo filmów sensacyjnych, żeby skojarzyć, jak powinienem się zachować.

- Stul pysk - warknął tonem znamionującym wielką pewność siebie.

W korytarzu za moimi plecami powstał zgiełk. Ktoś krzyknął: „On ma pistolet!” Zaraz jednak głosy stopniowo przycichły, potem umilkły, w miarę jak koledzy znikali w wyjściu ewakuacyjnym. Oczami wyobraźni widziałem nawet, jak wyskakują z okien na chodnik.

Stałem akurat na wysokości ciężkich dwuskrzydłowych drzwi sali konferencyjnej, w której obradowało ośmiu adwokatów z sekcji procesowej - ośmiu nieugiętych i nieustraszonych cwaniaków, poświęcających życie oskubywaniu innych z forsy. Za najostrzejszego wśród nich uchodził mały niewyżyty pędziwiatr o nazwisku Rafter. To właśnie on otworzył z hukiem drzwi, wypadł na korytarz i rzucił:

- Co jest, do cholery?!

Lufa armaty natychmiast skierowała się ku niemu. Chyba właśnie w tym momencie włóczęga w gumiakach znalazł to, czego szukał.

- Odłóż tę spluwę! - rozkazał stanowczo Rafter.

Drugi wystrzał odbił się głośnym echem po całej recepcji, kula wbiła się w sufit dość wysoko nad głową Raftera i skutecznie przekształciła go z powrotem w zwykłego śmiertelnika. Obdartus znowu wymierzył we mnie i jednoznacznie dał znak ruchem głowy. Potulnie ruszyłem za Rafterem do sali konferencyjnej. W pamięci utkwiał mi widok przerażonej i roztrzęsionej pani Devier, stojącej ze słuchawkami od centrali telefonicznej zsuniętymi na szyję i wpatrującej się w swoje pantofle na wysokich obcasach, ustawione w wojskowym szyku obok kosza na śmieci.

Facet w gumiakach zatrasnął za mną drzwi i zatoczył pistoletem szeroki łuk w powietrzu, demonstrując broń ośmiu adwokatom. Ale to przedstawienie było już zbyteczne. Ostry swąd prochu wyczuwało się nawet lepiej niż odór bijący od właściciela broni.

W sali królował masywny długi stół zawalony różnymi dokumentami i papierami, które jeszcze chwilę temu wydawały się piekielnie ważne. Okna wychodziły na rozległy parking. W

głębi znajdowały się drugie drzwi prowadzące na korytarz.

- Wszyscy pod ścianę - polecił obdartus, używając pistoletu jako nadzwyczaj poręcznej wskazówki. Po chwili zaś przytknął mi armatę do głowy i rzekł: - Zamknij drzwi na klucz.

Szybko wykonałem rozkaz.

Ośmiu specjalistów w całkowitym milczeniu zbiło się za stołem w gromadkę. Ja również bez słowa przekręciłem klucz w zamku jednych drzwi, potem drugich, i odwróciłem się do włączki, jakbym czekał na jego aprobatę.

Sam nie wiem, czemu przypomniałem sobie niedawny tragiczny wypadek na poczcie, kiedy to sfrustrowany urzędnik wrócił po przerwie obiadowej z całym arsenałem i pozbawił życia piętnastu kolegów. Skojarzenia powędrowały dalej, w stronę masakry na stadionie i gangsterskich porachunków w barze szybkiej obsługi.

Tam ofiarami padały niewinne dzieci i bogobojni, porządni obywatele. My byliśmy grupą chytrych prawników.

Za pomocą serii gardłowych pomruków i energicznych ruchów pistoletem włączka zdołał ustawić adwokatów szeregiem pod ścianą, a gdy wreszcie uzyskał zadowolający go szyk, ponownie zwrócił uwagę na mnie. Zastanawiałem się, czego on może chcieć. Czy potrafi wyartykułować najprostsze pytanie? Bo jeśli tak, to ma wszelkie szanse uzyskać od nas, co mu się tylko zamarzy. Nie widziałem jego oczu za ciemnymi okularami, lecz on doskonale widział moje, gdyż lufa była skierowana prosto między nie.

Bez pośpiechu zdjął wyświechtany płaszcz, złożył go z namaszczeniem, jakby przed chwilą wyniósł go z salonu mody, po czym umieścił pośrodku blatu. Ten sam smród, który uderzył mnie w windzie, teraz zaatakował ze zdwojoną siłą. Włączka stanął u szczytu stołu i z jeszcze większym namaszczeniem zdjął ciemnoszary włóczkowy sweter.

Wreszcie zrozumiałem, dlaczego wydawał mi się nieproporcjonalnie tęgi. Był owinięty szerokim pasem, zza którego wystawały końce grubych czerwonych lasek, od razu dających się zidentyfikować jako dynamit. Z ich górnych i dolnych końców wychodziły kable przypominające kolorowe nitki spaghetti, zebrane w pęczki połyskującą srebrzyście taśmą izolacyjną.

W pierwszej chwili chciałem się rzucić na podłogę, popęznąć na czworakach do drzwi i licząc na odrobinę szczęścia, chybiony strzał, przekręcić z powrotem klucz w zamku, żeby - przy drugiej kuli tak samo szczęśliwie trafiającej w ścianę - wytoczyć się na korytarz. Ale kolana miałem jak z waty, a serce mi chyba zamarło, bo przestało pompować krew. Spod ściany doleciały stłumione jęki i głośne syki, co najwyraźniej przeszkadzało naszemu ciemniejszy zebrać myśli.

- Cisza! - odezwał się tonem doświadczonego wykładowcy.

Jego zimna krew zrobiła na mnie wrażenie. Włóczęga poprawił kilka nitek spaghetti przy pasie i z przepaścistej kieszeni spodni wyciągnął kłębek żółtego nylonowego sznurka oraz scyzoryk.

Z oczywistych względów jeszcze raz powiódł armatą przed nosami struchlałych zakładników i oznajmił:

- Nie chcę nikogo skrzywdzić.

Miło było to słyszeć, chociaż zabrzmiało niezbyt przekonująco. Naliczyłem dwanaście czerwonych lasek. Doszedłem do przekonania, że to wystarczy, aby koniec był natychmiastowy i bezbolesny.

Pistolet znowu obrócił się w moją stronę.

- Ty. Zwiąż ich.

Rafter miał tego dość. Niepewnie zrobił krok do przodu i rzekł:

- Słuchaj, koleś. Czego ty właściwie od nas chcesz?

Huknął kolejny wystrzał, lecz i tym razem kula bezpiecznie utkwiała w suficie. Zabrzmiało to jak armatnia salwa. Z korytarza doleciał histeryczny pisk pani Devier bądź innej kobiety. Rafter wcisnął głowę w ramiona i cofnął się, a potężny łokieć Umsteada, który wylądował ciężko na jego piersi, pomógł mu z powrotem przyjąć postawę wyprostowaną z plecami przyklejonymi do ściany.

- Zamknij się! - syknął przez zęby Umstead.

- Nigdy więcej nie nazywaj mnie koleś - rzekł spokojnie włóczęga i wyraz „koleś” błyskawicznie zniknął z naszych słowników.

- Jak powinniśmy się do pana zwracać? - spytałem cicho, zrozumiałwszy, że przypadła mi w udziale rola rzecznika gromadki zakładników. Starłem się mówić łagodnie i bez lęku, z pełnym szacunkiem.

- Wystarczy „pan”.

Całkowicie odpowiadało to wszystkim obecnym.

Zadzwoił telefon. Oczami wyobraźni ujrzałem aparat rozpryskujący się na setki kawałków od następnej kuli, ale włóczęga tylko dał mi znać i posłusznie przesunąłem telefon na koniec stołu. Podniósł słuchawkę lewą ręką, bo w prawej trzymał pistolet, teraz jednak wymierzony w pierś Raftera.

Gdyby miało wśród zakładników dojść do głosowania, właśnie Rafter byłby pierwszym kozłem ofiarnym. Stosunek głosów wyniósłby osiem do jednego.

- Halo - odezwał się Pan. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym odłożył

słuchawkę. Powoli odsunął krzesło i usiadł przy stole.

- Weź sznurek! - rozkazał.

Polecił mi związać pozostałym zakładnikom ręce. Pociąłem linkę na kawałki i przystąpiłem do dzieła, robiąc wszystko, by nie patrzeć w twarze kolegom, dla których stałem się oprawcą. Przez cały czas czułem pistolet wymierzony w plecy. Włóczęga kazał mi mocno zacisnąć supły, dałem więc prawdziwe przedstawienie dobywania z siebie wszelkich sił, podczas gdy w rzeczywistości robiłem więzy możliwie najluźniejsze.

Rafter zaczął coś mamrotać pod nosem, miałem ochotę zdzielić go w łeb. Z kolei Umstead tak napiął mięśnie, że gdy je rozluźnił po założeniu pęt, zasupłana linka omal nie zsunęła się z jego rąk na podłogę. Malamud oddychał chrapliwie, po skroniach ściekał mu pot. Był najstarszy na sali, należał do grona współpracowników kancelarii. Dwa lata wcześniej przeszedł zawał serca.

Mimo woli spojrzałem w oczy Barry'ego Nuzzo, jedyne mojego przyjaciela wśród gromadki zakładników. Byliśmy w tym samym wieku, to znaczy mieliśmy po trzydzieści dwa lata, i razem rozpoczynaliśmy pracę w firmie. On skończył Princeton, ja Yale. No i nasze żony pochodziły z Providence, tyle że w jego małżeństwie wszystko się układało, po czterech latach miał trójkę dzieci. A moje znajdowało się w ostatnim stadium długiej i śmiertelnej choroby.

Kiedy nasze spojrzenia się zetknęły, natychmiast pomyślałem o dzieciach. Mogłem teraz Bogu dziękować, że ja ich nie mam.

Z ulicy doleciało stłumione wycie syren policyjnych i Pan rozkazał mi pozamykać żaluzje we wszystkich pięciu oknach sali. Metodycznie przystąpiłem do wykonywania zadania, raz po raz zerkając z nadzieją na parking, jak gdyby już to, że doszedłem do okna, mogło mi uratować życie. Na dole stał samotny wóz patrolowy z włączonym kogutem, gliniarze pewnie weszli już do budynku.

Byliśmy odizolowani: dziewięciu zakładników zdanych na łaskę Pana.

Według ostatnich szacunków kancelaria Drake'a i Sweeneya zatrudniała w biurach rozrzuconych po całym świecie ośmiuset prawników, z czego połowa pracowała w tym gmachu, sterroryzowanym teraz przez włóczęgę.

Pan kazał mi zadzwonić do szefa i poinformować go, że oprócz pistoletu ma jeszcze dwanaście lasek dynamitu. Wybrałem Rudolpha, kierownika sekcji antytrustowej, mojego bezpośredniego przełożonego, i przekazałem wiadomość.

- Wszystko w porządku, Mike? - zapytał z przejęciem.

Pan skierował swoją zabawkę na głośnik, pytanie Rudolpha zadudniło echem w całej

sali.

- Jak najbardziej - odparłem. - Spełnijcie wszelkie jego żądania.

- A czego on chce?

- Tego jeszcze nie wiemy.

Obdartus machnął pistoletem i przerwał połączenie.

Znów używając broni jak treserskiego biczka, ustawił mnie na posterunku przy stole, jakieś dwa metry od siebie. Zwróciłem uwagę, że nabrał paskudnych manier bezmyślnego grzebania paluchami wśród kabli opadających mu wzdłuż piersi.

Popatrzył na swój brzuch i kilka razy mocniej pociągnął za jeden z przewodów.

- Widzisz ten czerwony? Jak go wyszarpnę, będzie po wszystkim.

Ciemne okulary obróciły się w moją stronę, badając skuteczność ostrzeżenia. Poczulem się zobligowany, żeby coś powiedzieć.

- Dlaczego miałby pan to robić? - spytałem, panicznie usiłując nawiązać jakiegokolwiek porozumienie.

- Wcale tego nie chcę. Tak tylko mówię...

Uderzyła mnie jego dykcja, wymawiał słowa powoli i rytmicznie, z namysłem, bez żadnego pośpiechu. Z pewnością należał do uliczników i włóczęgów, ale musiał znać także lepsze życie.

- Czemu chce pan nas wszystkich zabić? - zapytałem.

- Nie zamierzam dyskutować w tej sprawie - oznajmił.

Zrozumiano, Wysoki Sądzie: żadnych pytań.

Życie każdego prawnika toczy się według szczegółowego harmonogramu, więc zgodnie z przyzwyczajeniami spojrzałem na zegarek, aby później opisać tę przygodę w sprawozdaniu, gdyby jakimś cudem udało nam się przeżyć. Było dwadzieścia po pierwszej. Pan widocznie zbierał myśli w skupieniu, gdyż przyszło nam w pełnej napięcia ciszy czekać czternaście długich minut.

Wciąż nie mogłem uwierzyć, że wybiła nasza godzina. Nie dostrzegłem żadnego powodu, żadnego motywu podobnej zbrodni. Na pewno nikt z nas nie miał wcześniej kontaktu z tym obdartusem. Przypomniałem sobie, że jeszcze w windzie przyszło mi do głowy, iż ten człowiek nie wszedł do biura w jakimś konkretnym celu. A więc zapewne tylko na ślepo szukał zakładników. Na nasze nieszczęście uważał zabijanie ludzi za coś normalnego w dzisiejszych czasach.

Mieliśmy paść ofiarami bezmyślnej rzezi, jednej z tych, które przez dobę królują w całej prasie i sprawiają, że spokojni obywatele z odrazą kręcą głowami. Później zaś na pewno

powinniśmy się stać bohaterami serii dowcipów o martwym adwokacie.

Niemal widziałem już te nagłówki w gazetach i słyszałem zgiełk tłoczących się reporterów, a mimo to nie potrafiłem uwierzyć, że czeka nas śmierć.

Z korytarza dolatywały podniecone głosy, z ulicy syreny następnych wozów patrolowych. W recepcji rozległy się trzaski policyjnej krótkofalówki.

- Co jadłeś na lunch? - zwrócił się do mnie Pan, przerywając długotrwałe milczenie.

Zbyt zaskoczony, żeby napędce wymyślić jakieś kłamstwo, zawahałem się chwilę, po czym odparłem:

- Piezonego kurczaka w barze Caesara.

- Byłeś sam?

- Nie, z przyjacielem.

Umówiłem się z kumplem ze studiów, pracującym obecnie w Filadelfii.

- Ile zapłaciłeś za ten lunch dla dwóch osób?

- Trzydzieści dolarów.

To mu się nie spodobało.

- Trzydzieści - powtórzył cicho. - Za dwie porcje...

Pokręcił głową i powiódł wzrokiem po ośmiu pozostałych adwokatach. Miałem nadzieję, że nauczeni moim przykładem zaczną kłamać. Niektórzy mieli dość pokaźne brzuszki, nie trzeba było zgadywać, że takim nie wystarcza przekąska za trzydzieści dolarów.

- A wiesz, co ja jadłem? - znów zwrócił się do mnie.

- Nie.

- Zupę. Wodnistą zupę z krakersami, w przytułku. I bardzo się cieszyłem, że dostałem jeść za darmo. Za trzydzieści dolarów mógłbyś nakarmić z setkę moich przyjaciół. Wiesz o tym?

Pokiwałem smętnie głową, pojawiając w okamgnieniu cały ogrom mego grzechu.

- Zbierz wszystkie portfele, portmonetki, zegarki i sygnety - rozkazał, machnąwszy armatą.

- Czy mogę zapytać, po co?

- Nie możesz.

Wyjąłem z kieszeni portfel, położyłem go na stole, na wierzchu umieściłem zegarek i przystąpiłem do metodycznego przetrząsania kieszeni kolegów.

- Będzie na obiad dla najbliższych krewnych - orzekł włóczęga i wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Kazał mi włożyć cały łup do opróżnionej teczki, dokładnie ją zamknąć i znowu

zadzwoić do szefa. Rudolph odebrał już po pierwszym sygnale. Podejrzywałem, że dowódca brygady antyterrorystycznej założył swoją kwaterę w jego gabinecie.

- Rudolph? To znowu ja, Mike. Nasz aparat jest przełączony na głośnik.

- W porządku, Mike. Nic wam nie jest?

- Nie. Posłuchaj, ten dżentelmen życzy sobie, abym otworzył drzwi od strony recepcji i wystawił na korytarz czarną teczkę. Później znowu będę musiał zamknąć drzwi na klucz. Zrozumiałeś?

- Tak.

Z pistoletem przytkniętym do głowy podkradłem się do wyjścia i szybko wypchnąłem teczkę na zewnątrz. W zasięgu wzroku na korytarzu nie było żywej duszy.

Pracownika dużej firmy prawniczej nic nie jest w stanie pozbawić radości wystawiania rachunków za każdą godzinę jego cennego czasu poza snem, dlatego większość z nas sypia bardzo krótko. Za to obiady najczęściej zachęcają do zdwojenia wysiłków, gdyż przeważnie są to robocze spotkania z klientami, rzecz jasna, opłacane z ich konta.

Wraz z upływem minut złapałem się na tym, że gorączkowo szukam w myślach sposobu, który pomógłby czterystu adwokatom pracującym w tym gmachu uzasadnić wystawienie rachunku za czas stracony na oczekiwanie końca owego niespodziewanego terrorystycznego napadu. Prawdopodobnie wszyscy siedzieli teraz w swoich samochodach na parkingu, żeby nie marznąć niepotrzebnie, i rozmawiali przez telefon, by mieć pretekst do wystawienia jeszcze jednego rachunku. Wyglądało na to, że przez owo zdarzenie kancelaria ani trochę nie ucierpi.

Większości z czekających na dole gryzipiórków wcale nie obchodziło, jak się ta afera zakończy. Marzyli jedynie o tym, by stało się to jak najszybciej.

Naszły mnie obawy, że Pan zapadł w drzemkę. Szczeka mu opadła, a oddech wyraźnie się wydłużył. Rafter chrząknął cicho, chcąc przyciągnąć moją uwagę, po czym dał znać energicznym ruchem głowy, iż powinienem coś zrobić. Ale problem polegał na tym, że nawet jeśli włączyłem drzemał, to w prawej dłoni wciąż trzymał wymierzony we mnie pistolet, natomiast palce lewej ręki zaciskał na złowieszczym czerwonym kablu.

Widocznie Rafter uważał mnie za bohatera. Sam zaś, chociaż uchodził za najostrzejszego i najbardziej wydajnego adwokata z sekcji procesowej, nie był jeszcze współnikiem kancelarii. Nie tylko pracowaliśmy w różnych działach, ale i nie służyliśmy razem w wojsku. Nie miałem zamiaru wykonywać jego rozkazów.

- Ile forsy zarobiłeś w ubiegłym roku? - spytał niespodziewanie Pan, jak się okazało,

wciąż zachowujący czujność.

Ponownie mnie zaskoczył.

- Co?... Zaraz... Musiałbym policzyć...

- Tylko nie kłam!

- Sto dwadzieścia tysięcy.

To również mu się nie podobało.

- A ile z tego dałeś innym?

- Nie rozumiem.

- Ile wpłaciłeś na cele dobroczynne?

- No cóż... Nie pamiętam dokładnie... Żona prowadzi domową rachunkowość.

Cała ósemka pod ścianą jak na komendę przestąpiła z nogi na nogę.

Panu jeszcze bardziej nie podobała się moja odpowiedź. Nie mogliśmy liczyć, że uda się wprowadzić go w błąd.

- I ona też, jak się domyślam, wypełnia formularze podatkowe?

- Chodzi o indywidualny podatek dochodowy?

- Tak, jasne.

- To robi dział podatkowy naszej firmy. Znajduje się na pierwszym piętrze.

- W tym budynku?

- Tak.

- Więc połącz się z nimi i każ tu przysłać kopie zeznań podatkowych wszystkich obecnych w sali.

Popatrzyłem w twarze moich kolegów. Niektórzy mieli takie miny, jakby chcieli zawołać: „To już lepiej mnie zastrzel!” Chyba wahałem się trochę za długo, ponieważ Pan nagle podniósł głos:

- Rusz się! - krzyknął, podkreślając wagę rozkazu odpowiednim obrotem pistoletu.

Zadzwoiłem do Rudolpha, a ponieważ i on długo się zastanawiał, ja też musiałem na niego krzyknąć.

- Prześlij je tu faksem - dodałem. - Wystarczą zeznania za ubiegły rok.

Przez kwadrans spoglądaliśmy w milczeniu na stojący w kącie telefaks, mając cichą nadzieję, że włączęga użyje swojej armaty, żeby się rozprawić z tym diabelskim urządzeniem.

ROZDZIAŁ 2

Świeżo mianowany sekretarzem całej grupy, zebrałem plik wydruków i zająłem miejsce przy stole wskazane mi przez Pana pistoletem. Moi koledzy już od dwóch godzin stali na baczność pod ścianą, ramię przy ramieniu, prawie całkiem bez ruchu. Nie dziwiło mnie, że byli coraz bardziej zmęczeni i wyglądali wręcz żałośnie.

Teraz mieli się znaleźć w jeszcze przykrzejszym położeniu.

- Zacniemy od ciebie - odezwał się włóczęga. - Jak się nazywasz?
- Michael Brock - odparłem uprzejmie, jakbym chciał dodać: „Bardzo mi miło”.
- Ile zarobiłeś w ubiegłym roku?
- Już mówiłem, sto dwadzieścia tysięcy. Brutto.
- A ile z tych pieniędzy oddałeś?

Nie miałem wątpliwości, że potrafię go okłamać. Prawo podatkowe nie było moją specjalnością, sądziłem jednak, iż bez trudu zdołam odpowiedzieć wymijająco na to pytanie.

Odszukałem kopię swojego zeznania i zacząłem zbierać myśli, wolno przerzucając kartki. Przez drugi rok pracy na stanowisku starszego asystenta chirurgicznego Claire zarobiła trzydzieści jeden tysięcy, toteż nasze wspólne dochody prezentowały się całkiem nieźle. Lecz musieliśmy zapłacić w sumie pięćdziesiąt trzy tysiące podatków - federalnych, stanowych oraz wszystkich innych - i po spłaceniu rat studenckiego kredytu, pokryciu kosztów podyplomowego kursu Claire, uregulowaniu czynszu, wynoszącego dwa tysiące czterysta miesięcznie za bardzo ładne mieszkanie w Georgetown, rozliczeniu się z pożyczki na dwa eleganckie samochody i wykupieniu obowiązkowych ubezpieczeń, jak również pokryciu wszelkich wydatków na dość luksusowy styl życia, zdołaliśmy zainwestować w funduszu powierniczym zaledwie dwadzieścia jeden tysięcy.

Pan czekał cierpliwie. Mówiąc szczerze, jego małomówność zaczynała mi działać na nerwy. Podejrzywałem, że specjaliści z brygady antyterrorystycznej skradają się kanałami wentylacyjnymi, włączają na drzewa, zajmują posterunki na dachach sąsiednich domów i uważnie oglądają plany rozkładu pomieszczeń w naszym gmachu, jednym słowem robią to wszystko, co pokazuje się w filmach sensacyjnych, a tymczasem on sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego. Chyba pogodził się ze swoim losem i był gotów umrzeć, czego w żadnym razie nie można było powiedzieć o naszej dziewiątce.

Bezmyślnie obracał w palcach czerwony kabel, w związku z czym mój puls

utrzymywał się na rekordowym poziomie stu uderzeń na minutę.

- Przekazałem tysiąc dolarów na uniwersytet w Yale - odparłem - i dwa tysiące na organizację United Way.

- Pytałem, ile pieniędzy oddałeś na rzecz biedaków. Nie wierzyłem, by choć jeden cent z dotacji na uniwersytet został przeznaczony na dokarmianie ubogich studentów.

- No cóż, United Way finansuje różne akcje w mieście. Jestem pewien, że pomaga również najbiedniejszym.

- Ile ty sam dałeś na wyżywienie głodujących?

- Zapłaciłem pięćdziesiąt trzy tysiące podatków, a z budżetu federalnego wypłaca się zasiłki, finansuje opiekę społeczną, organizuje leczenie uzależnionych dzieci i tak dalej.

- I zrobiłeś to z własnej woli, tknięty współczuciem?

- Nie skarżyłem się - skłamałem bez zająknięcia.

- Czy kiedykolwiek dokuczał ci głód?

Pan lubił proste, szczere odpowiedzi. Jakiegokolwiek matactwa czy nawet cień ironii nie przyniosłyby żadnego rezultatu.

- Nie.

- Czy zdarzyło ci się spać w zaspie śniegu?

- Nie.

- Zarabiasz kupę forsy, ale jesteś zbyt chciwy, by rzucić parę groszy żebrakom siedzącym na chodniku. - Machnął pistoletem w kierunku stojących pod ścianą prawników. - To dotyczy was wszystkich. Na pewno nieraz przechodziliście obojętnie obok mnie. Wydajecie więcej na swoją ekskluzywną kawkę niż ja na dzienne wyżywienie. Dlaczego nie chcecie pomóc biednym, chorym i bezdomnym? Przecież macie tak dużo.

Złapałem się na tym, że wzorem Pana spoglądałem niezbyt przychylnym okiem na tę gromadę chciwych łotrów. Większość z uporem wbijała wzrok w podłogę. Tylko Rafter śmiało patrzył na wydruki leżące na stole i zapewne przetwarzał w głowie te same myśli, które nas wszystkich nachodziły na widok takich Panów zebrzących na ulicach Waszyngtonu: „Jeśli dam ci teraz parę groszy, to po pierwsze, popędzisz zaraz do sklepu monopolowego, po drugie, będziesz żebrał o więcej, a po trzecie, do końca świata zostaniesz na tym chodniku”.

Zapadło milczenie. Terkot helikoptera za oknem skierował moje myśli ku planom akcji, jakie gliniarze musieli układać na parkingu. Zgodnie z poleceniem włączęgi linia telefoniczna została zablokowana, byliśmy odcięci od świata. On chyba wcale nie zamierzał negocjować ani nawet rozmawiać z kimkolwiek. Miał ważne audytorium tu, w sali konferencyjnej.

- Który z nich zarabia najwięcej? - zwrócił się do mnie.

Z tego grona tylko Malamud był współnikiem firmy, toteż sięgnąłem po kopię jego zeznania.

- Prawdopodobnie ja - bąknął adwokat.

- Jak się nazywasz?

- Nate Malamud.

Zacząłem przerzucać kartki wydruku. Miałem wyjątkową okazję zapoznać się z finansowymi szczegółami prawniczego sukcesu, jaki oznaczał awans na współnika kancelarii, ale nie odczuwałem z tego powodu cienia satysfakcji.

- Ile? - rzucił krótko obdartus.

Zagłębiłem się w radosny gąszcz podatkowego bełkotu. Chciałem zapytać: „Co pan sobie życzy? Przychód brutto? Netto? Dochód podlegający opodatkowaniu? Wynagrodzenie ze stosunku pracy? A może dochody z inwestycji kapitałowych i obrotu papierami wartościowymi?”

Malamud wyciągał z kancelarii pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie, a jego roczna premia z zysków - właśnie ta, która jest marzeniem wszystkich aplikantów - wyniosła pięćset dziesięć tysięcy. To był bardzo dobry rok dla firmy, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Każdy ze współników odnotował dochód przekraczający milion dolarów.

Postanowiłem zagrać w ciemno.

Na drugiej stronie zeznania figurował cały szereg innych źródeł przychodów, dywidend, dzierżawy nieruchomości i drobnych inwestycji, miałem jednak nadzieję, że nawet jeśli włączę sam zajrzy do formularza, pogubi się w rubrykach.

- Milion sto tysięcy - odparłem, pomijając milczeniem ponad dwieście tysięcy z pozostałych źródeł.

Pan przez chwilę trawił w myślach tę sumę.

- Zarobiłeś ponad milion dolarów - odezwał się do Malamuda, który nie miał najmniejszego powodu, aby się tego wstydzić.

- Tak. Zgadza się.

- A ile z tego przekazałeś na głodujących i bezdomnych?

Zaczynałem już przeczuwać cel owych dociekań.

- Nie pamiętam dokładnie, ale razem z żoną przeznaczamy dużo na cele charytatywne. Na pewno zrobiliśmy darowiznę, zdaje się, w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, na rzecz Wielkiej Fundacji Dystryktu Stołecznego. Jak z pewnością pan wie, to organizacja zbierająca datki na potrzebujących. Naprawdę dużo rozdajemy i jesteśmy z tego powodu bardzo szczęśliwi.

- Nie wątpię, że jesteście bardzo szczęśliwi - zauważył Pan, po raz pierwszy zdobywając się na uszczypliwość.

Nie zamierzał jednak wysłuchiwać przechwałek na temat naszej szczodrości. Domagał się konkretnych liczb. Poleciał mi spisać na kartce wszystkie nazwiska, a obok nich umieścić dochód z ubiegłego roku oraz łączną wysokość odliczanych od podatku darowizn na cele dobroczynne.

Praca ta wymagała trochę czasu, lecz nie wiedziałem, czy powinienem ją specjalnie wydłużać, czy się pospieszyć. Zamierzał nas wysadzić w powietrze, jeśli mu się nie spodobały wyliczenia? Z tego punktu widzenia trzeba było raczej odwlec w ostateczność. Niemniej uderzyło mnie z pełną mocą, iż wszyscy rzeczywiście zarabiamy nieźle, ale bardzo mało przeznaczamy na pomoc innym. Zdawałem sobie także sprawę, że im dłużej będzie trwała ta sytuacja, tym bardziej szalone pomysły mogą obdartusowi przyjść do głowy.

Nie mówił, że będzie rozstrzeliwał jednego zakładnika co godzinę. Nie domagał się uwolnienia swoich kolegów zza krat. Chyba w ogóle niczego od nas nie chciał.

Metodycznie spisywałem dane. Na czoło zdecydowanie wybijał się Malamud. Tyły zamykał Colburn, który pracował w kancelarii dopiero trzeci rok i zarabiał tylko osiemdziesiąt sześć tysięcy rocznie. Przy okazji zauważyłem ze zdziwieniem, że mój przyjaciel, Barry Nuzzo, w ubiegłym roku zarobił o jedenaście tysięcy więcej ode mnie. Powinniśmy tę sprawę później przedyskutować.

- Jeśli zaokrąglimy sumę, otrzymamy łączny dochód trzech milionów dolarów - oznajmiłem głośno włóczędze, który znów wydawał się pogrążony w drzemce, lecz nie wypuszczał z ręki czerwonego przewodu.

Powoli pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ile wyszło w sumie darowizn dla potrzebujących?

- Razem odpisy wynoszą sto osiemdziesiąt tysięcy.

- Nie chcę wszystkich odpisów. Nie stawiaj mnie i moich braci na równi z filharmonią, synagogą czy tymi pięknymi klubami tylko dla białych, gdzie organizujecie aukcje starych win bądź autografów gwiazd, a przy okazji dajecie parę groszy na miejscową drużynę skautów. Chodzi mi o żywność, o jedzenie dla głodujących mieszkańców waszego miasta, mleko dla niemowląt. Bo właśnie tu, w tym samym mieście, gdzie wy zarabiacie grube miliony, jest wiele dzieci, które po nocach płaczą z głodu. Ile daliście na jedzenie dla głodujących?

Przez cały czas patrzył na mnie. Ja wbijałem wzrok w leżące na stole papiery. Nie umiałem go okłamać.

- Po całym Waszyngtonie są rozsiane przytułki i stołówki, gdzie biedni i bezdomni

mogą dostać coś do zjedzenia - ciągnął. - Ile pieniędzy wy, bogacze, przekazaliście tym ośrodkom? Daliście choć jednego centa?

- Może nie bezpośrednio - zacząłem - ale część z tych darowizn...

- Zamknij się!

Groźnie machnął pistoletem w moją stronę.

- A schroniska dla bezdomnych? Noclegownie, gdzie można się przespać, gdy na zewnątrz panuje mróz? Ile schronisk jest wymienionych w tych papierach?

Inwencja mnie zawiodła.

- Ani jedno - przyznałem cicho.

Pan poderwał się z miejsca, odsuwając krzesło. Naszym oczom ukazały się w całej okazałości czerwone laski dynamitu wetknięte za jego pas.

- A co z tymi przychodniami, w których lekarze, porządni i litościwi ludzie nawykli do zarabiania grubej forsy, poświęcają czas na udzielanie pomocy chorym? Nie biorą do kieszeni ani centa, zadowolają się marnymi rządowymi pensjami i dotacjami na zakup leków i wyposażenia. Tyle że teraz rząd obrał nowy kurs i obcina wszelkie fundusze. W jaki sposób wy wspomogliście te przychodnie?

Rafter popatrzył na mnie tak, jakbym mógł nagle doznać olśnienia, znaleźć jakiś haczyk w dokumentach i wykrzyknąć: „Proszę tylko spojrzeć! Daliśmy aż pół miliona dolarów na stołówki i przychodnie dla bezdomnych!”

Raf ter pewnie by tak postąpił, ale nie ja. Życie było mi jeszcze miłe, a Pan nie wyglądał na naiwnego.

Zacząłem przerzucać papiery, podczas gdy włóczęga podszedł do okna i wyjrzał na ulicę przez szczelinę w żaluzjach.

- Wszędzie pełno glin - oznajmił głośno, żebyśmy wszyscy dobrze słyszeli. - Jest nawet kilka karet.

Odsunął się od okna i podreptał wzdłuż wielkiego stołu w kierunku zakładników. Uważnie śledzili każdy jego ruch, szczególnie bacznie obserwując laski dynamitu na brzuchu. On zaś powoli uniósł pistolet i z odległości metra wymierzył prosto w czubek nosa Colburna.

- Ile ty dałeś na leki dla biednych?

- Nic - wyjąkał Colburn, zaciskając silnie powieki, jakby miał się za chwilę rozplakać.

Serce we mnie zamarło. Wstrzymałem oddech.

- Ile na wyżywienie w przytułkach?

- Nic.

- A na schroniska dla bezdomnych?

- Nic.

Zamiast zastrzelić Colburna, Pan wymierzył z kolei w Nuzzo i powtórzył swoje pytania. Padły identyczne odpowiedzi. Włóczęga poszedł dalej wzdłuż szeregu, odtwarzając dokładnie swój rytuał i za każdym razem słysząc to samo. Ku ogólnemu rozczarowaniu nie zastrzelił nawet Raftera.

- Trzy miliony dolarów - rzekł z obrzydzeniem - i ani centa dla chorych i głodujących. Jesteście żałosni.

I tak też się czuliśmy. Ale właśnie wtedy pojąłem, że on wcale nie zamierza pozbawiać nas życia. Nie umiałem sobie jedynie wyjaśnić, skąd taki obdartus zdobył dynamit i kto go nauczył podłączać zapalniki elektryczne.

O zmierzchu oświadczył, że jest głodny. Kazał mi zadzwonić do szefa i zamówić zupę z Misji Metodystów na rogu ulic L i Siedemnastej w dzielnicy Północno-Zachodniej. Według niego tylko tam nie żalowali jarzyn i dawali mniej gliniasty chleb niż w innych przytułkach.

- I serwują tam zupę na wynos? - zdziwił się niepomiernie Rudolph, a jego głos wzmocniony przez telefon zadudnił echem w całej sali.

- Rób, co ci mówię! - warknąłem. - Ściągnij tyle, żeby starczyło na dziesięć porcji.

Pan kazał mi się szybko rozłączyć i nie blokować linii.

Wyobraziłem sobie, jak kilku naszych znajomych w eskorcie policji przedziera się przez zakorkowane o tej porze ulice, wpada z hukiem do spokojnej misji, płosząc zastępy ulicznych obdartusów pochylonych nad zupą, po czym zamawia dziesięć porcji na wynos, z dodatkowymi racjami chleba.

Włóczęga znowu podszedł do okna, kiedy z zewnątrz doleciał terkot helikoptera. Wyrzwał na ulicę, ale zaraz się cofnął i zaczął skrobać po brodzie, widocznie próbując ogarnąć sytuację. Ciekaw byłem, jaką akcję zaplanowała policja, skoro sprowadziła nawet śmigłowiec. A może miał służyć do transportu rannych?

Umstead już od godziny przestępował z nogi na nogę, co szczególnie niepokoiło związanych razem z nim Raftera i Malamuda. W końcu nie wytrzymał i rzekł cicho:

- Przepraszam... Pan wybaczy, ale muszę iść... w ustronne miejsce.

Pan nawet nie przestał drapać się po brodzie.

- W ustronne miejsce? To znaczy dokąd?

- Muszę się wysikać - odparł Umstead pokornym tonem pierwszoklasisty. - Dłużej już nie wytrzymam.

Włóczęga rozejrzał się po sali i jego wzrok padł na duży porcelanowy wazon stojący na

stoliku do kawy. Machnął energicznie pistoletem i polecił mi rozwiązać Umsteada.

- Tam jest twoje ustronne miejsce - wyjaśnił.

Umstead ostrożnie wyjął z wazonu bukiet świeżych kwiatów i odwróciwszy się do nas plecami, zaczął sikać ze wzrokiem wbitym w ziemię. Kiedy wreszcie skończył, Pan rozkazał nam przesunąć stół konferencyjny bliżej okien. Sześciometrowej długości kolos, jak większość mebli w kancelarii, był zrobiony z drewna orzechowego. Razem z Umsteadem, postępując i zapierając się ze wszystkich sił, zdołaliśmy go cał po calu przesunąć o dobre dwa metry, dopóki włóczęga nie uznał, że to wystarczy. Później kazał mi związać Raftera i Malamuda razem, pozostawiając Umsteada nie skrepowanego. Nie potrafiłem sobie wyjaśnić, czym się kierował.

Następnie polecił siedmiu zakładnikom usiąść na stole, plecami do okien. Nikt nie ośmielił się zapytać, po co, doszedłem jednak do wniosku, że chciał mieć żywą tarczę przed kulami snajperów. Później się dowiedziałem, iż rzeczywiście policyjni strzelcy wyborowi zajęli stanowiska na dachu sąsiedniego budynku. Być może ich zauważył, wyglądając między żaluzjami.

Po pięciu godzinach stania Rafter i pozostali z wyraźną ulgą przyjęli zmianę pozycji. Umstead i ja zajęliśmy miejsca przy stole, natomiast Pan wrócił na krzesło u jego szczytu. Nastąpiło dalsze oczekiwanie.

Życie na ulicy musi uczyć człowieka wyjątkowej cierpliwości. Włóczędze najwidoczniej bardzo odpowiadało długotrwałe siedzenie bez ruchu, w całkowitym milczeniu. Nie można było dojrzeć jego oczu skrytych za ciemnymi szklami, ale głowę cały czas trzymał sztywno, raczej nie spał.

- Kto się zajmuje eksmisjami? - zapytał w pewnym momencie, zaskakując nas tak bardzo, że nikt nie odpowiedział.

Po kilku minutach powtórzył pytanie. Popatrzyliśmy na siebie, zdziwieni, nie mając pojęcia, do czego zmierza. Zdawał się wpatrywać w jeden punkt na blacie, nieopodal prawej stopy Colburna.

- Nie tylko lekceważycie żebraków, ale w dodatku pomagacie wyrzucać bezdomnych na ulicę.

Jak należało oczekiwać, wszyscy zgodnie przytaknęliśmy ruchem głowy, jakbyśmy odtwarzali zapis ze wspólnej partytury. Jeśli obdartus postanowił nas obrażać, byliśmy gotowi przyjąć wszelkie inwektywy z całkowitą pokorą.

Zupę dostarczono kilka minut przed siódmą. Rozległo się głośnie pukanie do drzwi i Pan polecił mi przekazać przez telefon, że zastrzelili jednego z zakładników, jeżeli zobaczy kogokolwiek na korytarzu. Ze szczegółami wyjaśniłem to Rudolphowi, dodając od siebie, żeby

policja nie próbowała żadnych sztuczek, gdyż rozpoczęliśmy negocjacje.

Rudolph odparł, że rozumie.

Umstead podszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku i czekał na dalsze instrukcje. Pan czał się tuż za nim, z pistoletem wymierzonym z odległości dwudziestu centymetrów w tył jego głowy.

- Uchyl drzwi, bardzo wolno - mruknął.

Ja stałem nieco z tyłu, jakieś pół metra dalej. Posiłek dostarczono na wózku gońca, służącym do rozwożenia papierzyk między pokojami kancelarii. Szybko ogarnąłem spojrzeniem cztery pękate termosy z zupą i dużą papierową torbę pełną nakrojonego chleba. Chyba nie pomyśleli o niczym do picia, ale tego nie było nam dane się dowiedzieć.

Umstead wychylił się na korytarz, chwycił poręcz wózka i już miał go wciągnąć do sali, gdy nagle huknął strzał. Policyjny snajper skrył się za regałem przy biurku pani Devier, jakieś dwanaście metrów od nas. Kiedy Umstead się pochylił, by przyciągnąć wózek, na ułamek sekundy odsłonił głowę włóczęgi. I to wystarczyło.

Pan zwalił się do tyłu jak kłoda, a moją twarz zalała krew. Pomyślałem, że i ja zostałem trafiony, i pamiętam, że wrzasnąłem z bólu. Umstead wył gdzieś w korytarzu. Tamtych siedmiu zeskoczyło ze stołu niczym wypuszczone z klatki psy i z okrzykami rzuciło się do wyjścia. Jedni ciągnęli drugich. Padłem na kolana i zacisnąłem oczy, czekając na ogłuszającą eksplozję dynamitu, a potem poczołgałem się do drugich drzwi, byle jak najdalej od tej jatki. Przekręciłem klucz, szarpnąłem za klamkę. I wtedy ostatni raz widziałem Pana. Leżał na jednym z naszych drogich perskich dywanów. Ręce miał rozrzucone na boki, z dala od czerwonego kabla.

W korytarzu zaroilo się nagle od komandosów z brygady antyterrorystycznej, w grubych kamizelkach kuloodpornych i połyskliwych czarnych hełmach. Z dwunastu klęczało pod ścianami, mierząc z broni. Złapali nas i biegiem wyciągnęli poza recepcję do wind.

- Jest pan ranny? - zapytał któryś.

Nie wiedziałem. Na twarzy i koszuli miałem krew i jakąś lepka ciecz, którą później lekarz określił jako płyn mózgowo-rdzeniowy.

ROZDZIAŁ 3

Na parterze, byle jak najdalej od Pana, czekali nasi najbliżsi i przyjaciele. We wszystkich gabinetach i na korytarzu tłoczyli się nasi współpracownicy i koledzy, oczekujący na zakończenie akcji. Na nasz widok rozległy się chóralne owacje.

Ponieważ cały byłem we krwi, zaciągnięto mnie do sali gimnastycznej w piwnicach, która także należała do firmy, mimo że zabiegani prawnicy w ogóle z niej nie korzystali. Nikt nie miał czasu na żadne ćwiczenia. Podejrzewam, że gdyby kogokolwiek tu przyłapano, momentalnie dostałby mnóstwo dodatkowych zajęć.

Natychmiast otoczony zostałem przez lekarzy, ale żaden nie był moją żoną. Kiedy ich przekonałem, że to nie moja krew, odetchnęli z ulgą i zaordynowali rutynowe badanie. Ciśnienie miałem arcywysokie, tętno zwariowało. Dostałem jakieś pigułki.

W gruncie rzeczy najbardziej potrzebna mi była kąpiel. Wcześniej jednak musiałem przez dziesięć minut leżeć bez ruchu na noszach, podczas gdy lekarze śledzili tempo opadania ciśnienia krwi.

- Czy jestem w szoku? - zapytałem.

- Chyba nie.

Ale ja się tak właśnie czułem. Co porabia Claire? Przez sześć godzin byłem trzymany na muszce, moje życie wisiało na włosku, ona zaś nie zadała sobie nawet tyle trudu, żeby dołączyć do rodzin pozostałych zakładników.

Długo stałem pod gorącym prysznicem. Trzy razy namydlałem włosy, nie żałując szamponu, a później splukiwałem go aż nazbyt starannie. Czas się zatrzymał. Nic nie miało znaczenia. Żyłem, oddychałem i z rozkoszą wciągałem w płuca powietrze przesycone parą.

Przebrałem się w czyjś dres, o wiele za duży, po czym wróciłem do lekarzy na kolejną kontrolę ciśnienia. Moja sekretarka, Polly, zbiegła na dół, żeby rzucić mi się w ramiona, czego cholernie potrzebowałem. Miała łzy w oczach.

- Gdzie jest Claire? - spytałem.

- Na dyżurze. Usiłowałam ją złapać w szpitalu.

Polly dobrze wiedziała, jak mało już zostało z mojego małżeństwa.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- Chyba nie.

Podziękowałem lekarzom i wyszedłem z sali gimnastycznej. Rudolph czekał na

korytarzu. Uściskał mnie serdecznie. Kilka razy powtórzył: „Gratuluję”, jakbym czymkolwiek sobie na to zasłużył.

- Nikt nie oczekuje, że będziesz jutro normalnie pracował - rzekł. Czyżby uważał, że jeden dzień urlopu uwolni mnie od wszelkich kłopotów?

- Ani przez chwilę nie myślałem jeszcze o jutrzejszym dniu - odparłem.

- Musisz trochę odpocząć - wyjaśnił, przejmując rolę lekarza.

Chciałem porozmawiać z Barrym Nuzzo, lecz pozostali zakładnicy już wyszli z biura. Żaden nie odniósł obrażeń, jeśli nie liczyć lekkich otarć skóry na dłoniach od nylonowej linki.

Skoro już udało się uniknąć rzezi, a rozradowani stróże prawa zapanowali nad sytuacją, podniecenie elektryzujące biura Drake'a i Sweeneya szybko minęło. Większość pracowników kancelarii tłoczyła się jeszcze na parterze, czekając na unieszkodliwienie bomby zmontowanej przez Pana. Polly przyniosła mi płaszcz, z ochotą narzuciłem go na cienki dres. Moje mokasyny tworzyły z nim dość niezwykły zestaw, lecz nic mnie to nie obchodziło.

- Na ulicy czeka gromada dziennikarzy - ostrzegła.

No tak, byłbym zapomniał. Co za sensacja! Zamiast zwykłej strzelaniny w slumsach czy na skwerze tym razem trafiła się grupa cwanych adwokatów, których stuknięty włóczęga wziął jako zakładników.

Najsmakowitszy kąsek czmychnął im sprzed nosa. Prawników uwolniono, uzbrojony bandyta dostał kulkę w łeb i nawet dynamit nie eksplodował podczas jego upadku na dywan. A tak wspaniale się zapowiadało! Chybiony strzał snajpera i wybuch, oślepiająca kula ognia, wylatujące z okien szyby, a wszystko sumiennie utrwalone na taśmie ekipy kanału dziewiątego, specjalnie dla wieczornego wydania wiadomości.

- Odwiozę cię do domu - powiedziała Polly. - Chodź.

Byłem bardzo wdzięczny za to, że ktoś mi mówi, co powinienem robić. W głowie miałem pustkę, myśli przelatywały przez nią w żółtym tempie niczym oderwane klatki z różnych filmów, bez żadnego ładu i składu.

Wyszliśmy z budynku tylnymi drzwiami dla obsługi. Wieczór był mroźny, kiedy odetchnąłem głęboko, aż zakłuło mnie w dołku. Polly pobiegła po swój samochód, a ja podkradłem się do narożnika i ostrożnie wyjrzałem na zbiegowisko przed frontem. Stały tam wozy policyjne, karetki, telewizyjne furgonetki, a nawet beczkowóz straży pożarnej. Wszyscy się pakowali do odjazdu. Jedną z karetek ustawiono tyłem do drzwi, bez wątplenia zwłoki Pana miały nią zostać odwiezione do kostnicy.

Ale ja żyłem! Nic mi się nie stało! Powtarzałem to sobie ciągle w myślach, uśmiechając się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Żyłem! Zacisnąłem silnie powieki i szczerze, z całego

serca podziękowałem Bogu za tę łaskę.

Najpierw zaczęły do mnie powracać odgłosy. Jechaliśmy w milczeniu, bo Polly, skupiona za kierownicą, chyba czekała, żebym pierwszy coś powiedział. W mojej głowie odżył suchy trzask snajperskiego karabinka, a zaraz po nim odrażające plaśnięcie, z jakim kula zagłębiła się w czaszkę włóczęgi. Potem okrzyki i tupanina, towarzyszące bezładnej ucieczce zakładników z sali konferencyjnej.

Później powróciły obrazy. Znow zobaczyłem siedmiu prawników skulonych na stole i wpatrujących się z napięciem w drzwi, i widziałem włóczęgę, który mierzył z pistoletu w tył głowy Umsteada. Stałem tuż za nim, kiedy trafiła go kula. Co sprawiło, że nie przeszła na wylot i nie uśmierciła także mnie? Przecież kule przechodzą przez cienkie mury, a co mówić o ciele ludzkim.

- On wcale nie miał zamiaru nas zabić - oznajmiłem na tyle cicho, że sam siebie ledwie słyszałem.

Polly z wyraźną ulgą podjęła rozmowę.

- To o co mu chodziło?

- Nie wiem.

- Czego chciał?

- Nie powiedział. Dopiero teraz mnie uderzyło, jak niewiele mówił. Prawie przez cały czas siedzieliśmy w milczeniu, gapiąc się na siebie nawzajem.

- Dlaczego nie przedstawił swoich żądań policji?

- Kto wie? To był chyba jego największy błąd. Gdyby umożliwił nam kontakt telefoniczny z policją, pewnie udało by mi się przekonać gliniarzy, że on nie chce nikogo skrzywdzić.

- To znaczy, że nie winisz policji za to, co się stało?

- Skądże. Przypomnij mi, żebym napisał jakiś list dziękczynny.

- Przyjdiesz jutro do pracy?

- A co innego miałbym robić przez cały dzień?

- Pomyślałam, że przydałby ci się krótki odpoczynek.

- Przydałby mi się roczny urlop. Jeden dzień niczego nie zmieni.

Nasze mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze nowego bloku przy ulicy P, w Georgetown. Polly stanęła przy krawężniku. Podziękowałem jej uprzejmie i wysiadłem.

Ciemne okna świadczyły jednoznacznie, że Claire nie wróciła jeszcze do domu.

Poznałem ją tydzień po przeprowadzce do Waszyngtonu. Byłem świeżo po dyplomie, miałem pracę w dużej bogatej firmie i świetlane perspektywy na przyszłość, podobnie jak pięćdziesięciu kolegów z mojego rocznika w Yale. Ona studiowała na ostatnim roku nauk politycznych w American University. Jej dziadek był kiedyś gubernatorem stanu Rhode Island i cała rodzina miała zapewnione koneksje na kilka stuleci naprzód.

Mówi się, że młody prawnik pracujący w dużej kancelarii rzadko ma okazję zdjąć buty. I jest to prawda. Spędzałem w biurze po piętnaście godzin przez sześć dni w tygodniu, toteż jedynie w niedziele mogłem się umawiać na randki z Claire, i to nie na wieczór, bo wtedy już wracałem do pracy. Sądziliśmy oboje, że po ślubie zyskamy więcej czasu dla siebie. Cieszyła nas perspektywa wspólnego małżeńskiego łóża, lecz szybko wyszło na jaw, iż służy nam ono prawie wyłącznie do spania.

Wesele mieliśmy huczne, miesiąc miodowy bardzo krótki, i gdy opadło początkowe podniecenie, wróciłem do roboty po dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo. Już w trakcie trzeciego miesiąca naszego pożycia zaliczyliśmy osiemnaście dni bez seksu. Claire wyliczyła to dokładnie.

Przez jakieś pół roku wszystko szło gładko, później posypały się oskarżenia, że ją zaniedbuję. Świetnie rozumiałem jej sytuację, ale nie chciałem też być pierwszym z młodych adwokatów w kancelarii, który zacznie się użalać na nawał pracy. Znałem statystyki, według nich mniej niż dziesięć procent prawników dochodzi do stanowiska wspólnika firmy, toteż konkurencja jest nadzwyczaj silna. A jest o co walczyć, wspólnicy zarabiają co najmniej milion dolarów rocznie. Dla wszystkich pieczołowite wystawianie rachunków za każdą godzinę swego czasu musi być ważniejsze od małżeńskiego szczęścia. Stąd też rozwody są na porządku dziennym. Nie przyszło mi więc nawet do głowy, aby poprosić Rudolpha o zmniejszenie obciążenia.

Pod koniec pierwszego roku małżeństwa Claire osiągnęła stan permanentnego niezadowolenia, coraz częściej wybuchaly kłótnie.

W końcu postanowiła pójść na studia medyczne. Tłumaczyła, że ma dosyć siedzenia w domu i bezmyślnego gapienia się w telewizor, a dyplom umożliwi jej przynajmniej takie samo zaangażowanie w pracę zawodową jak moje. Początkowo wydawało mi się to znakomitym pomysłem. Pewnie dlatego, że niemal całkowicie mogłem się uwolnić od poczucia winy.

Po czterech latach pracy w kancelarii zacząłem gromadzić wszelkie dane, które pomogłyby mi ocenić szanse na wejście do grona wspólników. Wszyscy moi rówieśnicy zbierali i porównywali ze sobą nawet wysrane z palca plotki. I według powszechnej opinii zaliczałem się do najbardziej obiecującej grupy. Ale by osiągnąć wymarzony cel, musiałem

pracować jeszcze więcej.

Claire wyznaczyła sobie ambitne zadanie i postanowiła spędzać poza domem więcej czasu ode mnie. Wkrótce oboje zamknęliśmy się we własnych skorupach skrajnego pracoholizmu.

Ustały sprzeczki, ponieważ każde żyło własnym życiem. Ona miała swoich przyjaciół i swoje sprawy, ja swoje. Na szczęście nie popełniliśmy wcześniej błędu i nie zdecydowaliśmy się na dziecko.

Żałowałem, że wszystko tak się ułożyło. Na początku istniało między nami żarliwe, szczere uczucie, którego coraz bardziej było mi brak.

Kiedy wszedłem do tonącego w ciemnościach mieszkania, odczułem tak silną potrzebę bliskiej obecności żony, jakiej nie znałem od lat. Otarłem się o śmierć i cholernie pragnąłem o tym z kimś pogadać. W podobnych chwilach każdy chciałby się znaleźć obok oddanej mu osoby, przytulić się do niej i przypomnieć sobie, że kogoś obchodzi jego los.

Nalałem sobie dużą porcję wódki z lodem i usiadłem na kanapie w saloniku. Na początku roznosiła mnie złość, że muszę siedzieć samotnie, ale później moje myśli powędrowały ku tym sześciu godzinom spędzonym w towarzystwie Pana.

Dwie wódki później usłyszałem zgrzyt klucza. Od progu zawołała:

- Michael?

Nie odezwałem się, gdyż złość nie całkiem mi jeszcze minęła. Claire wpadła do saloniku i na mój widok stanęła zdziwiona.

- Dobrze się czujesz? - spytała z zawodową troskliwością.

- Dobrze - odparłem cicho.

Rzuciła torebkę i płaszcz na krzesło, podeszła do kanapy i pochyliła się nade mną.

- Gdzie byłeś? - zapytałem.

- W szpitalu.

- Tak, jasne. - Pociągnąłem łyk wódki. - Wiesz co? Miałem bardzo kiepski dzień.

- Słyszałam o wszystkim, Michael.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- No to gdzie byłeś, do cholery?!

- W szpitalu.

- Ten szalenciec trzymał nas dziewięciu jako zakładników przez sześć godzin. Osiem żon czekało w holu kancelarii, bo je choć trochę obchodził los małżonków. Mieliśmy szczęście

i wyszliśmy z tego bez szwanku, ale tylko mnie musiała odwiedzić do domu sekretarka.

- Nie mogłam przyjechać.

- Pewnie, że nie mogłaś. Że też nie przyszło mi to do głowy.

Usiadła obok i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Zatrzymali cały personel w szpitalu - zaczęła lodowatym tonem. - Już na początku zostaliśmy zaalarmowani i musieliśmy się przygotować na przyjęcie ewentualnych ofiar zamachu. To normalne w takich sytuacjach. Władze powiadamiają szpitale i personel musi czekać w pogotowiu.

Kolejny łyk alkoholu miał mi pomóc w ułożeniu ostrej riposty.

- W niczym bym ci tam nie pomogła - dodała Claire. - Czekałam w szpitalu.

- To może chociaż zadzwoniłaś?

- Próbowałam, ale wszystkie linie były zajęte. Raz połączyłam się z jakimś gliniarzem, lecz nie chciał mi nic powiedzieć i kazał odłożyć słuchawkę.

- Uwolnili nas ponad dwie godziny temu. Gdzie byłaś przez ten czas?

- Miałam dyżur. Mały chłopczyk zmarł nam na stole. Potrącił go samochód.

- Bardzo mi przykro - burknąłem.

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak lekarze mogą na co dzień obcować ze śmiercią i taką masą cierpienia. W końcu Pan był dopiero drugim trupem, jakiego w życiu widziałem.

- Mnie także - odparła.

Poszła do kuchni i po chwili wróciła z kieliszkiem wina. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Od dawna nie mieliśmy ze sobą bliższego kontaktu, więc wcale niełatwo było nawiązać rozmowę.

- Chcesz o tym pogadać? - zapytała Claire.

- Nie. Nie teraz.

Mówiłem szczerze. Mieszanka alkoholu i leków uspokajających wprawiała mnie w dziwny letarg. Bez przerwy myślałem jednak o włóczędce, o jego bezgranicznej cierpliwości i głębokim spokoju, mimo że groził nam pistoletem i był obwiązany w pasie dynamitem. Jemu chyba ani trochę nie przeszkadzały długie minuty spędzone w milczeniu.

Teraz ja potrzebowałem ciszy i spokoju. Rozmowa mogła poczekać do jutra.

ROZDZIAŁ 4

Pigułki doskonale spełniły swoje zadanie aż do czwartej nad ranem, kiedy to obudził mnie dokuczliwy odór rozbryzganego płynu mózgowo-rdzeniowego włóczęgi. Jeszcze przez chwilę leżałem w ciemnościach, wsłuchując się w łomotanie pulsu. Kiedy zacząłem energicznie pocierać nos, ktoś się poruszył obok mnie. To Claire spała w fotelu przysuniętym do kanapy.

- Wszystko w porządku - szepnęła, położywszy mi dłoń na ramieniu. - To tylko zły sen.
- Czy mogłabyś mi przynieść trochę wody?

Poderwała się i szybko poszła do kuchni.

Rozmawialiśmy przez godzinę. Opowiedziałem jej o wszystkim, co tylko mogłem sobie przypomnieć. Claire siedziała przy mnie, głaskała po nodze, podawała szklankę z wodą i słuchała uważnie. Przez ostatnie trzy lata ani razu nie poświęciliśmy tyle czasu na rozmowę.

Musiała zdążyć na obchód o siódmej, zjedliśmy więc razem śniadanie, grzanki z bekonem. Siedzieliśmy przy stole kuchennym, przed niewielkim turystycznym telewizorem.

Poranny dziennik o szóstej zaczął się od relacji z wczorajszego zamachu. Pokazano jednak tylko zdjęcia budynku z tłumem kłębiącym się przed wejściem, a później pospieszną ewakuację moich kolegów, uwolnionych zakładników. Co najmniej jeden z helikopterów, których terkot słyszeliśmy w sali, musiał należeć do ekipy reporterskiej, gdyż przewinęły się także ujęcia okien z zamkniętymi żaluzjami. Na ułamek sekundy za szybą mignęła sylwetka uzbrojonego włóczęgi.

Nazywał się DeVon Hardy, miał czterdzieści pięć lat, był weteranem z Wietnamu, z nieco zabazgraną kartoteką kryminalną. Za plecami spikera odczytującego te informacje wyświetlono zdjęcie z akt policyjnych, zrobione po aresztowaniu Hardy'ego za udział w napadzie rabunkowym. Nawet nie przypominał naszego Pana, był znacznie młodszy, bez brody i ciemnych okularów. Przedstawiono go jako bezdomnego narkomana. Nikt nie znał motywów napadu. Zabity nie miał rodziny.

Przy naszym stole kuchennym nie padły żadne komentarze. Wysłuchaliśmy dalszych wiadomości.

Prognoza pogody zapowiadała na popołudnie obfite opady śniegu. Mieliśmy dopiero dwudziestego lutego, a już został pobity wieloletni rekord zimowych opadów.

Claire odwiozła mnie do kancelarii. Nawet tak rano, o szóstej czterdzieści, ani trochę się

nie zdziwiłem, że na parkingu mój lexus stoi w towarzystwie paru innych aut. Ten plac chyba nigdy nie był całkiem pusty. Znałem takich, co nawet sypiali w biurze.

Obiecałem zadzwonić do szpitala przed południem i umówić się z Claire na lunch. Wiedziałem dobrze, iż jej uprzejmość spowodowana chęcią wyciągnięcia mnie z dołka psychicznego potrwa najwyżej dwa dni.

W końcu co miałem robić? Leżeć przez cały dzień na kanapie i łykać środki uspokajające? Według powszechnej opinii powinienem wziąć jednodniowy urlop, a potem wrócić do normalnego rytmu pracy.

Przywitałem się uprzejmie z dwoma nadzwyczaj spiętymi strażnikami czuwającymi w holu. Na dole czekały trzy, może nawet cztery windy, miałem pełen wybór. Wsiadłem jednak do tej samej, którą poprzedniego dnia jechałem na górę z Panem. Czas ponownie jakby zatrzymał się w miejscu.

Do głowy przyszły mi naraz setki pytań. Dlaczego wybrał właśnie ten gmach? Czemu zdecydował się na naszą firmę? Co porabiał przed wkroczeniem do holu? Gdzie wtedy byli strażnicy, którzy zazwyczaj pilnują wejścia? Dlaczego poszedł za mną, skoro w ciągu całego dnia przewijają się przez hol setki osób? Czemu wybrał piąte piętro?

A przede wszystkim czego chciał? Jakoś nie mogłem uwierzyć, żeby DeVon Hardy zadał sobie trud owinięcia się laskami dynamitu i ryzykował życie, może nawet niewiele warte, tylko po to, by wytknąć gromadzie bogatych adwokatów obojętność na cierpienia innych. Ostatecznie mógł bez trudu znaleźć jeszcze bogatszych zakładników. A już na pewno bardziej chciwych.

Nie padła odpowiedź na jego pytanie, kto się zajmuje eksmisjami. Ale tej odpowiedzi trzeba było wkrótce udzielić.

Winda się zatrzymała i wysiadłem. Tym razem nikt nie szedł za mną. Pani Devier o tej porze chyba jeszcze smacznie spała, recepcja świeciła pustkami.

Przystanąłem przed biurkiem i spojrzałem z tego miejsca na podwójne drzwi sali konferencyjnej. Po chwili podszedłem i ostrożnie uchyliłem pierwsze z nich - te same, w których Umstead pochylił się nad wózkiem, umożliwiając snajperowi wpakowanie kulki w głowę Pana. Wstrzymałem oddech i zapaliłem światło.

Jakby nic się tu nie wydarzyło. Wielki stół i rzędy krzeseł stały jak zawsze w idealnym szyku. Perski dywan, na którym włóczęga wyzionął ducha, został zastąpiony innym, jeszcze ładniejszym. Ściany pokryto świeżą farbą. Zniknęła nawet dziura w suficie nad miejscem, gdzie stał Rafter.

Siły zarządzające siedzibą Drake'a i Sweeneya musiały wyłożyć sporo gotówki, żeby w

ciągu nocy dokładnie usunąć ślady wczorajszego zdarzenia. Pewnie liczono się z tym, że dzisiaj do sali będą zaglądać różni ciekawscy, postarano się więc, aby nie zobaczyli tu niczego interesującego. Sensacja oderwałaby jeszcze na parę minut ludzi od pracy, toteż nie można było zostawić nawet cienia ulicznych brudów w naszej nieskalanej firmie.

Z zimną krwią zepchnięto wszystko w niepamięć i choć mnie to zasmuciło, doskonale rozumiałem motywy takiego postępowania. W końcu należałem do białej bogatej elity. Czego się więc mogłem spodziewać? Tablicy pamiątkowej? Albo pięknych wieńców złożonych tu przez ulicznych braci Pana?

Sam nie potrafiłem określić, czego oczekiwałem. W każdym razie intensywny zapach świeżej farby sprawił, że zrobiło mi się niedobrze.

Każdego ranka na moim biurku, precyzyjnie w tym samym miejscu, znajdowałem egzemplarze „The Wall Street Journal” oraz „The Washington Post”. Na początku jeszcze próbowałem zapamiętać imię gońca, który przynosił mi prasę, lecz szybko ulatywało mi z głowy. Na pierwszej stronie działu miejskiego „The Washington Post”, pod kartonową reklamówką, ujrzałem znane już z telewizji stare zdjęcie DeVona Hardy’ego, a poniżej szczegółową relację z dramatycznych wydarzeń.

Przebiegłem wzrokiem artykuł, wychodząc z założenia, że znam więcej szczegółów niż dziennikarze. Niemniej dowiedziałem się paru rzeczy. Czerwone laski wcale nie były dynamitem. Pan wziął kij od szczotki, pociął go na odpowiednie kawałki, pomalował i przykleił srebrzystą taśmą izolacyjną do parcianego pasa, żeby nas śmiertelnie nastraszyć. Natomiast automatyczny pistolet kalibru 11,18 mm pochodził z kradzieży.

Jak przystało na renomowany dziennik, w relacji pisano niemal głównie o Hardym, prawie zapomniawszy o jego ofiarach. Z radością odnotowałem również fakt, że w artykule nie pojawiło się nawet jedno słowo komentarza któregoś z pracowników kancelarii.

Według niejakiego Mordecaia Greena, kierownika Ośrodka Porad Prawnych mieszczącego się przy ulicy Czternastej, DeVon Hardy przez wiele lat pracował jako stróż w tutejszym ogrodzie botanicznym. Stracił zatrudnienie w wyniku cięć budżetowych. Odsiedział kilka miesięcy w więzieniu za napad rabunkowy i wylądował na bruku. Miał problemy z alkoholem i narkotykami, regularnie bywał zatrzymywany za kradzieże w sklepach. Ośrodek Porad Prawnych kilkakrotnie reprezentował go w sądzie. Jeśli nawet Hardy miał jakąś rodzinę, Green nic o niej nie wiedział. Nie umiał także wyjaśnić motywów zbrodniczego zamachu. Ujawnił tylko, że ostatnimi czasy DeVona Hardy’ego eksmitowano ze starego magazynu, w którym urządził się na dziko.

Eksmisja jest procedurą prawną zarządzaną przez prawników. Odgadłem więc

natychmiast, która z tysięcy waszyngtońskich kancelarii wyrzuciła Pana na bruk.

Ośrodek przy ulicy Czternastej był instytucją o charakterze dobroczynnym i zajmował się prawną opieką nad bezdomnymi. „Dawniej, kiedy władze federalne nie szczędziły pieniędzy, zatrudnialiśmy siedmiu adwokatów, teraz jest nas tylko dwóch”, powiedział Green dziennikarzowi.

Bez zdziwienia przyjąłem, że w „The Wall Street Journal” nie ma nawet wzmianki na ten temat. Gdyby wśród dziewięciu zakładników znalazł się choć jeden pracownik spółki, której akcjami obracano na giełdzie, i gdyby odniósł choć najłżejsze obrażenia, nie mówiąc już o śmierci, wówczas zamach terrorystyczny zostałby opisany na pierwszej stronie.

Dzięki Bogu nie był to temat do krzykliwych nagłówków w specjalistycznej prasie. Ostatecznie siedziałem przy swoim biurku i jak co dzień przeglądałem gazety przed przystąpieniem do zwykłych zadań, a przecież równie dobrze mogłem spoczywać w kostnicy, obok Pana.

Polly zjawiała się kilka minut przed ósmą. Powitała mnie promiennym uśmiechem i talerzykiem smakowitych domowych wypieków. Ani trochę jej nie zdziwiło, że jak zwykle przyjechałem do pracy.

Żaden z dziewięciu zakładników nie skorzystał z okazji wzięcia krótkiego urlopu. Wszyscy mieliśmy pilną robotę, a pozostanie w domu, z żoną i brudnymi pieluchami, byłoby oznaką słabości psychicznej.

- Arthur na linii - oznajmiła Polly.

W firmie pracowało co najmniej dziesięciu Arthurów, lecz tylko jednego nikt nie wymieniał z nazwiska. Arthur Jacobs był starszym wspólnikiem i prezesem zarządu, siłą napędową kancelarii, człowiekiem, którego wszyscy darzyli olbrzymim szacunkiem. Jeśli firma w ogóle miała serce i duszę, to z pewnością był nią Jacobs. W ciągu siedmiu lat pracy rozmawiałem z nim trzykrotnie.

Teraz przekazałem mu, że nic mi nie jest. Tak bardzo chwalił mnie za odwagę i zimną krew w dramatycznej sytuacji, że poczułem się niemal jak bohater.

Z pewnością najpierw porozmawiał z Malamudem i teraz dzwonił do wszystkich z listy, według służbowej hierarchii. Nie miałem wątpliwości, że natychmiast zaczną krążyć różne plotki, później pojawią się żarty. „Ustronne miejsce” Umsteada w formie porcelanowego wazonu musiało się stać przedmiotem kpin.

Arthur chciał się spotkać z wszystkimi zakładnikami o dziesiątej, w sali konferencyjnej, żeby zarejestrować nasze zeznania na wideo.

- Po co? - zapytałem.

- Chłopcy z sekcji procesowej uznali to za dobry pomysł - odparł dźwięcznym głosem, po którego brzmieniu nie można się było domyślić, że Jacobs przekroczył już osiemdziesiątkę.

- Rodzina zabitego prawdopodobnie będzie chciała wystąpić do sądu przeciwko brutalności policji.

- Rozumiem.

- W takiej sytuacji jest niemal pewne, że wybiorą nas na swoich obrońców. W dzisiejszych czasach ludzie składają pozwy w znacznie błahszych sprawach.

I chwala im za to - przemknęło mi przez myśl. Do czego byśmy doszli, gdyby nie wymiar sprawiedliwości?

Podziękowałem mu za okazaną troskę. Arthur rozłączył się szybko, zapewne chcąc jak najprędzej powiadomić następnego z listy.

Defilada rozpoczęła się przed dziewiątą. Przez mój gabinet zaczął się przelewać wręcz nieprzerwany strumień zatroskanych znajomych i zwykłych łowców sensacji, przy czym wszyscy byli tak samo żądni szczegółów zajścia. Miałem sporo pilnej pracy, lecz nie mogłem się do niej zabrać. W krótkich chwilach samotności tylko gapiłem się tępo na stosy teczek z papierzyskami, nie potrafiąc zebrać myśli. Ręce ciążyły mi jak z ołowiu.

Coś we mnie pękło. Żadna praca nie wydawała mi się już ważna, przez moje biurko nie przewijały się sprawy życia i śmierci. Przecież zetknąłem się blisko ze śmiercią, wręcz się o nią otarłem, toteż zrozumiałem, że byłem naiwny, sądząc, iż bez trudu zdołam się otrząsnąć i powrócić do pracy, jak gdyby nic wielkiego nie zaszło.

Myślami wciąż wracałem do DeVona Hardy'ego i pomalowanych na czerwono kawałków kija od szczotki, z których wychodziły pęki różnokolorowych kabli. Ten człowiek poświęcił wiele godzin na przygotowanie fałszywej bomby i zaplanowanie całej akcji. Ukradł pistolet i odnalazł siedzibę naszej firmy, tyle że popełnił zasadniczy błąd i przypłacił go życiem.

I absolutnie nikt, ani jeden pracownik kancelarii nie okazał choćby cienia żalu nad losem włóczęgi.

W końcu wyszedłem z biura. Sprzykrzyło mi się wysłuchiwanie tych samych uwag i spoglądanie w twarze ludzi, których coraz trudniej mi było znieść. Kiedy odebrałem dwa telefony od dziennikarzy, oznajmiłem Polly, że muszę załatwić pewne pilne sprawy na mieście. Przypomniała mi o zebraniu zwołanym przez Arthura. Wsiadłem do samochodu, uruchomiłem silnik, włączyłem nagrzewnicę i siedziałem przez kilka minut, zachodząc w głowę, czy rzeczywiście muszę brać udział w tej żalosalnej wizji lokalnej. Gdybym nie wrócił na czas, z pewnością rozgniewałbym Jacobsa. Ostatecznie nikt nigdy nie lekceważył jego poleceń.

Wyjechałem z parkingu. Miałem wyjątkową okazję, by oderwać się od codziennej rutyny. Byłem jak sparaliżowany, musiałem zaczerpnąć głębszego oddechu. Arthurowi i reszcie zarządu nie pozostało nic innego, jak dać mi krótki urlop.

Pojechałem w kierunku Georgetown, chociaż nie kierował mną żaden szczególny cel. Na niebie zbierały się ciemne chmury, ludzie przemykali po chodnikach, w zatoczkach czekały gotowe do akcji pługi i piaskarki. Kiedy na ulicy M zauważyłem pod ścianą żebraka, pomyślałem, że może on znał bliżej DeVona Hardy'ego. Zaraz potem zacząłem się zastanawiać, gdzie tacy ludzie szukają schronienia na czas śnieżyicy.

Zadzwoiłem do szpitala, powiedziano mi jednak, że Claire jeszcze przez kilka godzin będzie bardzo zajęta w izbie przyjęć. Oznaczało to koniec głupich marzeń o wspólnym romantycznym lunchu w szpitalnym barze.

Skreśliłem na północny wschód, minąłem Logan Circle i zagłębiłem się w biedniejsze dzielnice miasta, aż wreszcie znalazłem Ośrodek Porad Prawnych przy ulicy Czternastej. Zaparkowałem przy krawężniku, mając niemal pewność, że nie ujrzę już swojego lexusa po wyjściu z budynku.

Ośrodek zajmował połowę jednego piętra w trójkondygnacyjnej wiktoriańskiej kamienicy z czerwonej cegły, która od dawna miała za sobą dni świetności. Wszystkie okna ostatniego piętra były pozabijane płytami wypaczonej i pokrytej zaciekami pilśni. Po sąsiedzku mieściła się obskurna pralnia automatyczna. Całe otoczenie stało tylko o stopień wyżej od pospolitych slumsów.

Na tym tle wyróżniała się jaskrawożółta markiza rozciągnięta nad wejściem do kamienicy. Przez chwilę się wahałem, czy zapukać, czy od razu wejść. Delikatnie nacisnąłem klamkę, drzwi się otworzyły. Ostrożnie wkroczyłem do innego świata.

Już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać wnętrze firmy prawniczej, mimo że różniło się diametralnie od wykładanej marmurami siedziby Drake'a i Sweeney'a. W przestronnej sali, w której się znalazłem, stały cztery biurka na żelaznych nóżkach, wszystkie zavalone do wysokości pół metra odrażającymi stertami dokumentów w kartonowych teczkach. Co najmniej drugie tyle papierzyśk tworzyło chylące się wieże obok biurek, na powycieranym ze starości dywanie. Z przepełnionych koszy na śmieci pomięte kartki spływały kaskadami na podłogę. Wzdłuż jednej ściany stały regały w rozmaitych kolorach, do granic możliwości zapchane książkami i podręcznikami. Komputery i telefony pochodziły co najmniej sprzed dziesięciu lat. Po drugiej stronie wisiało przekrzywione zdjęcie Martina Luthera Kinga. Z sali ogólnej krótki korytarzyk prowadził do kilku mniejszych pomieszczeń.

Ale i w tej składnicy kurzu tętniło życie. Stałem zafascynowany.

Kobieta o ostrej latynoskiej urodzie zawiesiła palce nad klawiaturą, popatrzyła na mnie i zapytała:

- Szuka pan kogoś?

Zabrzmiało to niemal jak wyzwanie. Recepcjonistka w kancelarii Drake'a i Sweeneya natychmiast wyleciałaby z pracy, gdyby odezwała się do klienta takim tonem.

Latynoska nazywała się Sofia Mendoza, takie nazwisko dostrzegłem na tabliczce przymocowanej do krawędzi biurka. Jak miałem się wkrótce przekonać, pełniła tu znacznie ważniejszą rolę od sekretarki i recepcjonistki. Z głębi korytarzyka doleciał jakiś podejrzany, głośny ryk, popatrzyłem więc ze zdziwieniem w tamtą stronę, po czym spojrzałem ponownie na Sofię.

- Szukam Mordecaia Greena - odparłem uprzejmie.

W tej samej chwili moim oczom ukazał się właściciel donośnego głosu. Podłoga dygotała przy każdym jego kroku. Nawoływał przez cały lokal jakiegoś Abrahama.

Sofia ruchem głowy wskazała mi olbrzyma i powróciła do przerwanej pracy. Green był ciemnoskóry, miał prawie dwa metry wzrostu i tak szerokie bary, że niemal przesłaniał sobą całą szerokość korytarzyka. Wyglądał na pięćdziesięciokilkuletniego, nosił szpakowatą bródkę i wielkie okulary o okrągłych szklach w wiśniowej oprawce. Zmierzył mnie wzrokiem i jeszcze raz wrzasnął na Abrahama, stąpając ciężko po trzeszczących klepkach podłogi. Skręcił do najbliższego pokoju i po chwili wyszedł stamtąd, ale bez Abrahama. Ponownie zmierzył mnie spojrzeniem i zapytał:

- Czym mogę panu służyć?

Podszedłem bliżej i przedstawiłem się.

- Miło mi - mruknął takim tonem, jakby recytował obowiązkową formułkę. - Co pana tu przygnało?

- DeVon Hardy.

Przez kilka sekund patrzył mi prosto w oczy, potem zerknął na Sofię, całkowicie pochłoniętą swoją pracą. Ruchem głowy wskazał swój gabinet. Wszedłem za nim do pokoiku mającego cztery metry na cztery, pozbawionego okien. Tu również każdy centymetr nadającej się do wykorzystania podłogi był zawalony kartonowymi teczkami i zakurzonymi podręcznikami prawa.

Wręczyłem mu swoją pozłacaną, firmową wizytówkę z kancelarii Drake'a i Sweeneya. Popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, po czym oddał mi ją, mówiąc:

- Chyba przeżył pan szok, prawda?

- Niezupełnie - odrzekłem, biorąc z powrotem wizytówkę.

- Więc czego pan chce?

- Przychodzę w pokojowych zamiarach. Kula przeznaczona dla Hardy'ego omal nie trafiła mnie.

- Był pan w sali razem z nim?

- Tak.

Westchnął ciężko, ale jego twarz z lekka się rozjaśniła. Wskazał mi jedyne krzesło stojące po tej stronie biurka.

- Proszę usiąść. Nie rękę tylko, czy nie pobrudzi pan sobie garnituru.

Usiedliśmy obydwoj. Znalazłem się w niewygodnej pozycji, z kolanami przyciśniętymi do jego biurka, lecz mimo to nie wyciągnąłem rąk wbitych głęboko w kieszenie płaszcza. Za plecami Greena zabulgotało w masywnym grzejniku. Przez chwilę mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, po czym obaj odwróciliśmy głowy. To ja byłem tutaj petentem i ja powinienem wyłożyć swoją sprawę. On jednak odezwał się pierwszy.

- Domyślam się, że miał pan bardzo zły dzień - rzekł dudniącym, lekko zachrypniętym głosem, tonem pełnym obojętności.

- Na pewno lepszy od Hardy'ego. Znalazłem pańskie nazwisko w gazetach, dlatego przyjechałem.

- Nie jestem pewien, co mógłbym dla pana zrobić.

- Czy pańskim zdaniem rodzina Hardy'ego wystąpi z pozwem do sądu? Jeśli tak, to może w ogóle nie powinniśmy rozmawiać?

- Nie miał żadnej rodziny, nie będzie więc pozwu. Dałoby się narobić trochę szumu wokół sprawy, choćby z tego powodu, że snajper prawdopodobnie był biały, a przyparte do muru władze miasta zaproponowałyby ugodę z jakimś odszkodowaniem. Tyle że ja nie cierpię tego rodzaju zabaw. - Szerokim gestem wskazał papiery leżące na biurku. - Bóg jeden wie, że naprawdę mam co robić.

- Nawet nie widziałem tego snajpera - odparłem, gdyż dopiero teraz to do mnie dotarło.

- Zapomnijmy o wszelkich pozwach. Przyszedł pan, żeby to właśnie usłyszeć?

- Sam nie wiem, po co przyszedłem. Dziś rano usiadłem przy swoim biurku, jakby nic specjalnego się nie stało, ale nie potrafiłem zebrać myśli. Przeniosłem się za kierownicę i jakoś tak wyszło, że dotarłem aż tutaj.

W zamyśleniu pokręcił głową, chyba nie potrafił wczuć się w moją sytuację.

- Napije się pan kawy?

- Nie, dziękuję. Dobrze pan znał Hardy'ego?

- Nieźle. Zaliczał się do naszych stałych klientów.

- Gdzie on teraz jest?

- Zapewne w kostnicy waszyngtońskiej kliniki.

- Skoro nie miał żadnej rodziny, to co z nim będzie?

- Zostanie pochowany na koszt miasta. Takich jak on biedaków grzebie się na cmentarzu komunalnym obok stadionu imienia Roberta Kennedy'ego. Pewnie byłby pan zaszokowany, gdyby się dowiedział, ilu pozbawionych rodzin mieszkańców jest tam chowanych każdego roku.

- Pewnie tak.

- Szczerze mówiąc, zaskoczyłby pana niemal każdy aspekt życia bezdomnych.

Zabrzmiało to trochę jak wyzwanie, ale nie byłem w nastroju do podejmowania rzuconej rękawicy.

- Nie wie pan, czy Hardy nie chorował na AIDS?

Green odchylił głowę i przez chwilę wpatrywał się w sufit.

- Dlaczego to pana interesuje?

- Stałem tuż za nim. Kula przewierciła mu czaszkę na wylot i całą twarz miałem zachlapaną jego krwią. To wszystko.

Tym prostym sposobem, jak mi się zdaje, przekroczyłem granicę oddzielającą jego wrogów od przeciętnych białych Amerykanów.

- Nie sądzę, aby miał AIDS.

- W ogóle robi się testy po śmierci człowieka?

- Bezdomnego żebraka?

- Owszem.

- Być może w określonych przypadkach. Ale DeVon zmarł z całkiem odmiennych przyczyn.

- Mógłby się pan tego dowiedzieć?

Wzruszył ramionami i po dalszym namyśle odparł:

- Jasne. - Wyjął z kieszeni marynarki długopis, zapisał coś i dodał: - Z tego powodu pan przyjechał? Żeby sprawdzić, czy Hardy nie miał AIDS?

- Skłamałbym, mówiąc, że mnie to nie zaniepokoiło. Pan by się tym nie zainteresował na moim miejscu?

- Chyba tak.

Do pokoju zajrzał Abraham, niski i przysadzisty, koło czterdziestki, z samego wyglądu specjalista od praw obywatelskich. Był typowym Żydem, nosił skołtunioną czarną brodę,

okulary w kościanej oprawce, powyciągany sweter, wymięte spodnie oraz szare od kurzu pantofle i roztaczał wokół siebie aurę niedoszonego zbawiciela ludzkości.

Nawet na mnie nie spojrzął, a i Green chyba lekceważył formalne uprzejmości.

- Zapowiedzieli wielką śnieżycę - rzucił podwładnemu. - Trzeba się upewnić, czy wszystkie przytułki i schroniska będą otwarte.

- Już to robię - odparł Abraham i błyskawicznie zniknął w korytarzu.

- Domyślam się, że macie kupę roboty.

- Owszem. Więc tylko o to chodzi? Niepokoi się pan o wyniki analizy krwi Hardy'ego?

- Tak, na razie tylko o to. Nie ma pan pojęcia, po co on zorganizował ten zamach?

Green zdjął okulary, przeczyścił szkła papierową chusteczką i potarł palcami oczy.

- Nie był całkiem zdrowy psychicznie, podobnie jak większość moich klientów. Każdy, kto żyje na ulicy, regularnie zalewa się w trupa albo ładuje sobie w żyły jakieś świństwo, sypia na gołej ziemi i wciąż musi uciekać, jak nie przed gliniarzami, to bandami wyrostków, na pewnym etapie dostaje więc świra. A DeVona jeszcze w dodatku coś gryzło.

- Eksmisja?

- Owszem. Kilka miesięcy temu urządził sobie przytulny kącik w starym magazynie na rogu New York i Florida Avenue. Jacyś ludzie sprzątnęli halę, ściągnęli transport płyt pilśniowych i poprzedzielali ją na małe pomieszczenia. Dla wielu bezdomnych takie schronienie to szczyt marzeń, ma się dach nad głową, toaletę, bieżącą wodę. Warto zapłacić nawet sto dolarów miesięcznie typkowi, który wykupił prawa własności budynku i zorganizował podobne schronisko.

- Naprawdę tak było?

- Nie inaczej. - Ze stosu po prawej stronie biurka wyłuskał cienką kartonową teczkę i jakimś cudem bezbłędnie trafił na tę, o którą mu chodziło. Przez chwilę przeglądał zgromadzone w niej dokumenty. - Ale potem sprawy się skomplikowały. Miesiąc temu właściciel odsprzedał magazyn spółce RiverOaks, zajmującej się handlem nieruchomości.

- I ta spółka zarządziła eksmisję wszystkich mieszkańców?

- Tak.

- Dziwnym trafem właśnie moja firma reprezentuje RiverOaks.

- Zgadza się. To zastanawiający zbieg okoliczności.

- Dlaczego powiedział pan, że sprawy się skomplikowały?

- Bo obito mi się o uszy, że nikt nie powiadomił mieszkańców o zmianie właściciela. Podobno wszyscy regularnie płacili czynsz, nikt nie zalegał z opłatami, powinni więc zostać uprzedzeni o konieczności zwolnienia zajmowanych lokali. W końcu byli legalnymi

podnajemcami, mieli zatem prawo oczekiwać, że obejmą ich przepisy kwaterunkowe.

- Na pewno nikt ich nie powiadomił?

- Na pewno. Zresztą wcale mnie to nie dziwi. Jeśli bezdomni zajmują jakiś porzucony budynek i nikt ich stamtąd od razu nie wypędza, we własnym przekonaniu stają się jego legalnymi mieszkańcami. A w takiej sytuacji właściciel, jeśli tylko się tym zainteresuje, może ich wyrzucić z powrotem na bruk bez uprzedzenia. W rzeczywistości nie mają żadnych praw.

- Jakim sposobem DeVon Hardy odnalazł naszą firmę?

- Nie wiem. W każdym razie nie był głupi, nawet jeśli świrnięty.

- Zna pan właściciela magazynu?

- Owszem. To całkiem nieodpowiedzialny typek.

- Może pan powtórzyć, gdzie znajduje się ten budynek?

- Już go nie ma, został zburzony w ubiegłym tygodniu.

Zabrałem mu chyba wystarczająco dużo czasu, ponieważ spojrzał wymownie na zegarek. Ja zerknąłem na swój. Poprosiłem jeszcze o numer telefonu ośrodka i obiecałem pozostać w kontakcie.

Mordecai Green okazał się sympatycznym, troskliwym obrońcą rzeszy ulicznych oberwańców tworzących klientelę ośrodka. Jego punkt widzenia na przepisy prawa wymagał włożenia w pracę o wiele więcej serca, niż mnie kiedykolwiek byłoby na to stać.

W drodze do wyjścia nawet nie spojrzałem na Sofię, bez reszty pochłoniętą stukaniem w klawiaturę. Mój lexus ciągle stał przy krawężniku, tyle że pokrywała go już dwucentymetrowa warstwa śniegu.

ROZDZIAŁ 5

Przedzierałem się z powrotem przez miasto w gęstniejącej śnieżycy. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przedtem spóźniłem się na jakieś spotkanie. W moim luksusowym aucie było ciepło i sucho, prowadziłem z prawdziwą przyjemnością. Wciąż jednak nie miałem żadnego konkretnego celu.

Jeszcze przez jakiś czas nie chciałem wracać do biura, nie tylko dlatego, że bałem się gniewu Arthura. Mierzyła mnie myśl o dziesiątkach kolegów przewijających się przez mój gabinet, z których każdy musiałby uroczyście zapytać, jak się czuję.

Zadzwoniłem do Polly.

- Gdzie ty się podziewasz? - zapytała z przerażeniem w głosie.

- A kto o mnie pytał?

- Mnóstwo osób. Przede wszystkim Arthur, potem Rudolph. Dzwonili następni dziennikarze. Kilku klientów chciało zasięgnąć jakiejś porady. Dzwoniła także Claire ze szpitala.

- Czego chciała?

- Martwi się o ciebie, jak my wszyscy.

- Nic mi nie jest, Polly. Powiedz, że jestem u lekarza.

- To prawda?

- Nie, ale zabrzmi wiarygodnie. Co mówił Arthur?

- To nie on dzwonił, tylko Rudolph. Czekają na ciebie.

- Niech sobie czekają.

Jej milczenie było nieco dłuższe niż zwykle.

- W porządku. Kiedy mogę się spodziewać twojego powrotu?

- Nie umiem określić. Zobaczą, co powie lekarz. Może lepiej idź już do domu, zapowiada się autentyczna zamieć. Zadzwonię do ciebie jutro.

Szybko przerwałem połączenie.

Rzadko miałem okazję oglądać własne mieszkanie przy świetle dziennym, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, że usiądę przy kominku i będę się wpatrywał, jak za oknem sypie śnieg. Gdybym zaś wpadł do baru, pewnie bym z niego nie wyszedł o własnych siłach.

Jechałem więc przed siebie. Dałem się ponieść strumieniowi kierowców wracających pospiesznie do domów na przedmieściach Waszyngtonu, w okolicznych miasteczkach

Marylandu i Wirginii. Później zawróciłem i prawie całkiem pustymi ulicami dojechałem do miasta. Odnalazłem cmentarz przy stadionie Kennedy'ego, gdzie chowano bezdomnych, jak również Misję Metodystów przy ulicy Siedemnastej, skąd przywieziono nam wczoraj zupe. Włóczyłem się po różnych zakątkach, których przedtem nie widziałem na oczy i gdzie zapewne już nigdy więcej nie miałem trafić.

Około czwartej stolica się wyludniła. Niebo jeszcze pociemniało, śnieżycy przybrała na sile. Na chodnikach leżało już dobre dziesięć centymetrów śniegu, a zapowiadano dalsze opady.

Jak należało oczekiwać, nawet zamieć nie spowodowała przerwania krzątania w kancelarii Drake'a i Sweeneya. Wielu pracowników wręcz uwielbiało spędzać tu późne wieczory i niedziele, kiedy to nie przeszkadzały im dzwonki telefonów. Śnieżycy oznaczała dla nich jedynie błogosławioną wymówkę do przerwania nieskończonego ciągu ważnych spotkań i konferencji.

Strażnik w holu poinformował, że sekretarki, recepcjonistki i cały personel pomocniczy zwolniono do domu już o piętnastej. I tym razem wybrałem tę samą windę, którą wjeżdżałem razem z Panem.

Pośrodku mojego biurka leżało w idealnym szeregu kilkanaście różowych karteczek z wiadomościami telefonicznymi, z których żadna mnie teraz nie interesowała. Włączyłem komputer i zacząłem przeglądać spis naszych klientów.

RiverOaks to była korporacja założona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku w Delaware, obecnie miała swą siedzibę w Hagerstown, w Marylandzie. Zaliczała się do spółek prywatnych, nie znalazłem więc żadnych informacji dotyczących jej finansów. Firmę reprezentował zupełnie mi nie znany Braden Chance.

Odnalazłem to nazwisko w przepaścistej bazie danych kancelarii. Chance był współnikiem w firmie, kierował sekcją nieruchomości, jego gabinet mieścił się gdzieś na trzecim piętrze. Czterdziestoczteroletni, żonaty absolwent z Getysburga, legitymujący się dyplomem prawniczym z uniwersytetu Duke'a, miał dosyć liczne, choć niezbyt imponujące wpisy w aktach personalnych.

W firmie zatrudniającej ośmiuset prawników, gotowych każdego dnia występować z pozwami i skargami, prowadzono obecnie ponad trzydzieści sześć tysięcy spraw. Nie można było dopuścić, aby nasza nowojorska filia zaskarżyła klienta oddziału z Chicago, toteż wszelkie bieżące sprawy odnotowywano w bazie danych. Nie tylko adwokaci, ale także sekretarki i aplikanci kancelarii Drake'a i Sweeneya dysponowali własnymi terminalami komputerowymi,

dzięki czemu mieli natychmiastowy dostęp do podstawowych informacji. Jeśli tylko któryś z prawników z Palm Beach obejmował sprawę majątków ziemskich jakiegoś klienta, nawet ja, gdyby tylko mnie to interesowało, mógłbym po naciśnięciu paru klawiszy poznać zasadnicze elementy tego zlecenia.

Aż czterdzieści dwa zbiory dokumentów dotyczyły spółki RiverOaks, większość z nich stanowiły akta związane z różnymi transakcjami tejże firmy, obejmującymi nieruchomości i tereny budowlane. We wszystkich sprawach figurowało nazwisko Chance'a jako prowadzącego. Cztery z nich dotyczyły zarządzonych eksmisji, trzech dokonano w ubiegłym roku. Ta pierwsza faza gromadzenia danych była nadzwyczaj prosta.

Trzydziestego pierwszego stycznia spółka RiverOaks nabyła działkę przy Florida Avenue od spółki cywilnej TAG. Czwartego lutego nasz klient wydał decyzję o usunięciu gromady biedaków nielegalnie zajmujących tamtejszy stary i porzucony magazyn.

Jednym z nich, o czym dowiedziałem się już wcześniej, był nasz Pan, czyli DeVon Hardy, którego wyrzucenie z budynku szczególnie dotknęło i dlatego wytropił zajmujących się eksmisją adwokatów.

Zapisałem sobie nazwę i numer stosownych akt, po czym zjechałem na trzecie piętro.

Nikt nie podejmuje pracy w wielkiej firmie prawniczej z zamiarem specjalizowania się w obrocie nieruchomościami. Są znacznie ciekawsze dziedziny, w których łatwiej zdobyć reputację. Należy do nich przede wszystkim powództwo cywilne, a pracownicy sekcji procesowej cieszą się największym poważaniem, przynajmniej w naszej kancelarii. Niewiele innych specjalności przyciąga młode talenty, sporą popularnością cieszą się jeszcze fuzje i transfery, wciąż nie słabnie zainteresowanie rynkiem papierów wartościowych. Moja działka, prawo antytrustowe, także należy do bardziej szanowanych. Prawo podatkowe jest cholernie skomplikowane i tylko dlatego specjalistów z tej dziedziny wysoko się ceni. Z kolei powszechnie wzgardzone prawo ustawodawcze jest bardzo opłacalne, szczególnie w Waszyngtonie, dlatego też każda licząca się kancelaria ma taką sekcję.

Nie ulega jednak wątpliwości, że obrót nieruchomościami należy do najmniej ciekawych. Nie umiem powiedzieć, dlaczego. W każdym razie fachowcy z tej dyscypliny zazwyczaj trzymają się na uboczu i są przez pozostałych traktowani wręcz jak ludzie gorszego gatunku.

W kancelarii Drake'a i Sweeneya każdy adwokat musiał trzymać akta prowadzonych spraw w swoim gabinecie, pod kluczem. Tylko dokumenty spraw zamkniętych trafiały do archiwum, gdzie były powszechnie dostępne. Nikt też nie miał obowiązku udostępniać swoich

materiałów innym, dopóki nie otrzymał właściwych dyspozycji od któregoś ze współników bądź członka zarządu firmy.

Interesujące mnie akta dotyczące eksmisji wciąż klasyfikowały się jako sprawa otwarta. Domyślałem się, że po tragicznym zajściu z Panem zostały uznane za tajne i objęte szczególną ochroną.

Przy biurku recepcjonistki jakiś aplikant pochylał się nad wielkimi płachtami planów, zapytałem go więc, gdzie mogę znaleźć Bradena Chance'a. Ruchem głowy wskazał mi otwarte drzwi gabinetu w głębi korytarza.

Ku memu zaskoczeniu Chance siedział nad jakimiś papierami i sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego pracą. Obowiązkowo skrzywił się na mój widok, chcąc dać do zrozumienia, że mu przeszkadzam. Według niepisanych reguł powinienem wcześniej zadzwonić i umówić się na rozmowę. Mnie jednak nie obchodziły już żadne tutejsze obyczaje.

Nie poprosił, żebym usiadł, więc kiedy przysunąłem sobie krzesło, chyba jeszcze bardziej pogorszyłem mu humor.

- Byłeś jednym z zakładników - oświadczył posępnym tonem, kiedy się przedstawiłem.

- Tak. Zgadza się.

- Współczuję.

- Nic się nie stało. Ten uzbrojony facet, niejaki Hardy, został czwartego lutego wyrzucony ze zrujnowanego magazynu. Czy to my przeprowadziliśmy tę eksmisję?

- Owszem - warknął ze złością. To mi od razu nasunęło myśl, że w ciągu dnia kierownictwo zarządziło kontrolę dokumentów. Zapewne Chance przeglądał papiery w interesującej teczce razem z Arthurem albo kimś innym z zarządu. - A o co chodzi?

- Ten facet urządził się tam nielegalnie?

- To chyba oczywiste. Żaden z włóczęgów nie miał prawa tam mieszkać. Nasz klient postanowił raz na zawsze zrobić porządek.

- Nie wyniknęły żadne wątpliwości co do tego, że wysiedlono dzikich lokatorów?

Szczęka mu opadła, w oczach pojawiły się złowrogie błyski. Zaczerpnął głęboko powietrza.

- A dlaczego to ciebie interesuje?

- Czy mógłbym zobaczyć akta dotyczące eksmisji?

- Nie. To nie twoja sprawa.

- Nie byłbym taki pewien.

- Kto jest twoim bezpośrednim przełożonym?

Sięgnął po kartkę i długopis, jakby od razu chciał napisać uzasadnienie czekającej mnie

reprimendy.

- Rudolph Mayes.

Zanotował imię i nazwisko wielkimi literami.

- Jestem zajęty - burknął. - Czy mógłbyś mi nie przeszkadzać?

- Dlaczego nie wolno zajrzeć do tych akt?

- Bo to ja prowadzę tę sprawę i nie wyrażam zgody. Jasne?

- A jeśli mnie to nie wystarczy?

- No to będzie musiało. Czy mógłbyś wreszcie dać mi spokój?

Wstał energicznie i trzęsącą się dłonią wskazał drzwi. Uśmiechnąłem się do niego szeroko i wyszedłem.

Aplikant pewnie wszystko słyszał, gdyż posłał mi tajemnicze spojrzenie, kiedy przechodziłem obok jego biurka.

- Palant - szepnął bardzo cicho, niemal bezdźwięcznie.

Uśmiechnąłem się po raz drugi i skinąłem lekko głową na znak aprobaty. Chance był nie tylko palantem, ale i głupcem. Gdyby zdobył się na uprzejmość i wyjaśnił, że Arthur bądź inny nadęty ważniak zarządził utajnienie akt, przyjąłbym to bez śladu zdziwienia. A tak nabrałem jedynie umotywowanych podejrzeń, że w dokumentach musiał być jakiś haczyk.

Postanowiłem przyjąć wyzwanie.

Przy tej masie aparatów - telefonów kieszonkowych, turystycznych i samochodowych, nie mówiąc już o kilku różnych pagerach - porozumienie się nie powinno przedstawiać żadnych trudności. Ale w naszym małżeństwie nic nie wydawało się proste i oczywiste. Rozmówiliśmy się dopiero około dziewiątej. Claire czuła się wykończona po kolejnym dyżurze w szpitalu, jej praca zaczynała ją męczyć o wiele bardziej, niż w ogóle byłoby to możliwe w moim zawodzie. Wiedziałem jednak, że w znacznym stopniu chodzi o rozgrywkę, jaka toczyła się między nami od pewnego czasu: „Moja praca jest znacznie ważniejsza, ponieważ jestem lekarzem/adwokatem”.

Miałem dosyć wszelkich rozgrywek. Byłem pewien, że jej sprawiło przyjemność, iż mój bliski kontakt ze śmiercią zaowocował rodzajem szoku, pod którego wpływem wyszedłem z biura i bez celu jeździłem po mieście. Nie trzeba mi też było tłumaczyć, że ona dużo bardziej produktywnie spędziła ten dzień ode mnie.

Dążyła do tego, żeby zostać najslawniejszym neurochirurgiem w spódnicy, przynajmniej na tej półkuli - specjalistą, do którego w beznadziejnych przypadkach będą się zwracać nawet szanowani profesorowie. To fakt, że studia ukończyła z wyróżnieniem i

błyskawicznie robiła karierę, gnana niespotykaną wręcz ambicją. Gotowa była pogrzebać na swej drodze wszystkich mężczyzn, tak jak teraz z wolna grzebała mnie, choć sam siebie zaliczałem do wytrawnych uczestników tego maratonu, do grona asów wyszkolonych w stajniach Drake'a i Sweeneya. Mimo to czułem, że przestają się liczyć w stawce biegaczy.

Claire jeździła sportową miatą, ale nie był to wóz podrasowany, z napędem na cztery koła, toteż martwiłem się o nią przy każdym pogorszeniu pogody. Miała skończyć pracę za godzinę i potrzebowałem mniej więcej tyle czasu, żeby dotrzeć do szpitala w Georgetown. Umówiliśmy się, że po nią podjadę i wspólnie postaramy się znaleźć jakąś przytulną restaurację. Gdyby nic z tego nie wyszło, mogliśmy sobie kupić jakieś danie z kuchni chińskiej, do której zdążyliśmy już oboje przywyknąć.

Zacząłem porządkować papiery i notatki na swoim biurku, świadomie ignorując teczki z aktami dziesięciu najważniejszych prowadzonych przeze mnie spraw. Nauczyłem się od Rudolpha trzymać na biurku tylko tych dziesięć istotnych i każdej z nich poświęcać codziennie trochę czasu. Wszak najważniejsze było wystawianie klientom rachunków. Co zrozumiałe, owych dziesięć teczek zawierało dokumenty spraw najbogatszych klientów, mimo że wcale nie były one najpilniejsze. Tej sztuczki również nauczył mnie Rudolph.

Łącznie powinienem był się rozliczyć z dwóch i pół tysiąca godzin pracy rocznie, czyli po pięćdziesiąt godzin przez pięćdziesiąt tygodni. Przeciętnie moje rachunki opiewały na trzysta dolarów za godzinę, łatwo więc dało się obliczyć, że zasilam kasę mojej ukochanej kancelarii o siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Firma zaś wypłacała mi z tego sto dwadzieścia tysięcy i jeszcze jakieś trzydzieści tysięcy w premiach okolicznościowych, natomiast koszty wynosiły około dwustu tysięcy. Reszta szła do podziału między wspólników, a choć przy ustalaniu wielkości rocznych premii z zysków stosowano jakieś skomplikowane równania matematyczne, to i tak z reguły dochodziło do rękoczynów przy uzgadnianiu listy płac.

Chyba tylko wyjątkowo roczny dochód każdego z nich był niższy od miliona dolarów, niektórzy zgarniali nawet po dwa miliony. Gdybym już znalazł się w ich gronie, pozostałbym wspólnikiem kancelarii do końca życia. Zatem uzyskanie owego awansu w wieku trzydziestu pięciu lat - co stanowiło niemal regułę w tej doborowej stawce, do której mnie zaliczano - oznaczało dokładnie tyle, że przez następne trzy dziesięciolecia będę gromadził bogactwa w niewiarygodnym tempie, zanadto się przy tym nie wysilając.

To właśnie stanowiło trzon marzeń, które kazały nam tkwić przy biurkach w piątek i świętek, w dzień i w nocy.

Teraz też zająłem się sporządzaniem stosownych wyliczeń, co zdarzało mi się dość

często - podejrzewałem zresztą, iż należało to do stałego repertuaru większości adwokatów w naszej kancelarii - kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon.

- Pan Brock? - zapytał łagodnym tonem Mordecai Green. Mówił tak cicho, że ledwie go rozumiałem przez zgiełk słyszalny w tle.

- Tak, to ja. Proszę mi mówić po imieniu: Michael.

- Bardzo mi miło. Otóż dzwoniłem, gdzie trzeba, i chciałem przekazać, że nie masz się czym martwić. Analiza krwi dała wynik ujemny.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. Pomyślałem, że chciałbyś jak najszybciej znać odpowiedź na nurtujące cię pytanie.

- Jeszcze raz dziękuję. - Zwróciwszy uwagę, że gwar głosów w słuchawce stopniowo narasta, zapytałem: - Skąd dzwonisz?

- Z przytułku dla bezdomnych. Śnieżycą przygoniła tu takie masy biedaków, że nie nadążamy z wydawaniem posiłków i rozmieszczaniem ludzi na noc. Muszę lecieć.

Duże mahoniowe biurko, perski dywan, krzesła obite prawdziwą barwioną na wiśniowo skórą i najnowsze wyposażenie elektroniczne - kiedy teraz patrzyłem na luksusowo urządzony gabinet, po raz pierwszy od tylu lat zacząłem się zastanawiać, ile to wszystko kosztowało. Czy my przypadkiem nie zarabialiśmy pieniędzy dla pieniędzy? Po co tak ciężko harowaliśmy? Żeby kupić jeszcze droższy dywan i bardziej eleganckie biurko?

W ciepłym, przytulnym zaciszu mego pięknego gabinetu przypomniałem sobie Mordecaia Greena, który w tym momencie udzielał się społecznie w zatłoczonym schronisku dla bezdomnych, nalewał zupełnym przemarzniętym i wygłodniałym ludziom, a bez wątplenia robił to z przyjaznym uśmiechem na twarzy i dla każdego miał jakieś miłe słowo.

Kończyliśmy przecież takie same studia, zdawaliśmy analogiczny egzamin kwalifikacyjny do palestry, obaj umieliśmy się płynnie wysławić fachowym językiem. W pewnym sensie byliśmy bardzo podobni. Tyle że ja pomagałem moim klientom połykać wciąż nowych konkurentów oraz dopisywać kolejne zera do swego stanu posiadania, przez co i ja się bogaciłem, on zaś swoich podopiecznych dosłownie karmił i pomagał im znaleźć jakiś cieplejszy kąt do spania.

Popatrzyłem na rachunki w notatniku, opisujące moje perspektywiczne zarobki oraz prostą drogę do bogactwa, i ogarnął mnie dziwny smutek. Oto leżał przede mną rażący dowód bezwstydnej chciwości.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z zadumy.

- Jesteś jeszcze w biurze? - zdziwiła się Claire, cedząc powoli słowa, aby ich lodowate brzmienie zapadło mi głęboko w serce.

Z niedowierzaniem popatrzyłem na zegarek.

- Tak. Wiesz... Zadzwoił klient z Zachodniego Wybrzeża. Tam śnieżycą nie sparaliżowała życia.

Zdaje się, że nie po raz pierwszy użyłem tego wykrętu, ale nie obchodziło mnie to specjalnie.

- Ciągle czekam, Michael. Mam iść do domu piechotą?

- Nie. Już jadę do szpitala.

Nie po raz pierwszy musiała na mnie czekać. To również należało do elementów naszej cichej rozgrywki, oboje byliśmy zbyt zapracowani, żeby zdążyć na czas.

Wybiegłem z budynku, wiatr cisnął mi śniegiem w oczy. Przemknęła mi przez głowę myśl, że po raz kolejny zniszczyłem perspektywy na całą małżeńską noc, ale jakoś nie wywołała ona we mnie żalu.

ROZDZIAŁ 6

Niespodziewanie zamieć dobiegła końca. Razem z Claire popijaliśmy kawę przy stole pod oknem w kuchni. Próbowałem czytać poranną gazetę, obracając ją do jaskrawego światła stojącego jeszcze nisko słońca. Zdziwiło mnie, że jakimś cudem otwarto lotnisko międzynarodowe.

- Wybierzmy się na Florydę - zaproponowałem. - Jeszcze dzisiaj.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Na Florydę?

- Jeśli wolisz, mogą być Bahamy. Dotarlibyśmy na miejsce wczesnym popołudniem.

- Nie dam rady.

- Na pewno dasz. Mam prawo wziąć kilka wolnych dni, pomyślałem więc...

- Dlaczego nie chcesz iść do pracy?

- Bo przeżywam drobne załamanie, a taki kryzys w środowisku prawniczym oznacza, że człowiek musi iść na krótki urlop.

- Aha, przeżywasz załamanie.

- To chyba jasne. Mówiąc szczerze, czuję się dziwnie. Koledzy omijają mnie łukiem albo podchodzą w jedwabnych rękawiczkach, są gotowi całować mnie po tyłku. Dlatego postanowiłem wykorzystać nadarżającą się okazję.

Ponownie zagryzła wargi.

- Nie mogę.

Była to stanowcza i ostateczna odmowa. Zadziałałem impulsywnie, bo przecież dobrze wiedziałem, że nie mam prawa od Claire oczekiwać nagłego porzucenia obowiązków. Pochylając się z powrotem nad gazetą, stwierdziłem, że jestem wobec niej okrutny, chociaż nie miałem wyrzutów sumienia z tego powodu. Nie wątpiłem, że bez względu na okoliczności i tak by ze mną donikąd nie pojechała.

Zaczęła się nagle spieszyć. Życie każdego młodego ambitnego chirurga bez reszty zajmują wizyty pacjentów, obchody i szkolenia. Claire szybko wzięła prysznic, przebrała się i przyszykowała do wyjścia. Odwiozłem ją do szpitala.

- Wybieram się na krótko do Memphis - oznajmiłem, zatrzymawszy wóz na ulicy Reservoir, niedaleko wejścia dla personelu.

- Naprawdę? - mruknęła od niechcenia.

- Tak. Muszę się zobaczyć z rodzicami. Nie byłem u nich prawie od roku, a teraz nadarza mi się okazja. Nie lubię śniegu i nie jestem w odpowiednim nastroju do pracy. Jak już mówiłem, przeżywam załamanie.

- Zadzwoń do mnie - odparła, wysiadając z samochodu.

Zatrzasnęła drzwi. Nie pocałowała mnie na pożegnanie, nie życzyła przyjemnej podróży, jakby nic jej to nie obchodziło. Popatrzyłem zza szyby, jak idzie chodnikiem i znika w drzwiach budynku. Między nami wszystko było skończone. Nie miałem tylko pojęcia, jak powiadomić o tym matkę.

Oboje moi rodzice przekroczyli już sześćdziesiątkę, cieszyli się jednak dobrym zdrowiem i ochoczo korzystali z dobrodziejstw wcześniejszej emerytury. Tata przez trzydzieści lat był pilotem w liniach lotniczych, mama pracowała jako kierowniczka oddziału banku. Zarabiali nieźle, sporo odkładając, i zapewnili swoim trzem synom najlepsze wychowanie, na jakie mogli sobie pozwolić żyjący w dostatku przedstawiciele klasy średniej. Wszyscy pokończyliśmy renomowane prywatne szkoły średnie.

Byli to ludzie uczciwi, o konserwatywnych poglądach, gorący patrioci wolni od zgubnych nałogów, całkowicie oddani sobie nawzajem. W każdą niedzielę chodzili do kościoła, co roku czwartego lipca oglądali paradę na Święto Niepodległości, raz w tygodniu uczestniczyli w zebraniach Klubu Rotariańskiego i podróżowali po świecie, kiedy tylko przyszła im na to ochota.

Odczuwali jednak skrywany żal do mego brata, Warnera, który rozwiódł się przed trzema laty. On też był adwokatem, pracował w Atlancie i ożenił się ze swą wielką miłością ze szkoły średniej, pochodzącą z zaprzyjaźnionej rodziny z Memphis. Jego była żona uzyskała prawo do opieki nad dwojgiem dzieci i przeniosła się do Portland. Moi rodzice przynajmniej raz w roku odwiedzali wnuczeta. Ja zaś przy każdym spotkaniu starałem się za wszelką cenę unikać tego tematu.

Na lotnisku w Memphis wynająłem samochód i pojechałem w kierunku wschodnich przedmieść, zamieszkałych niemal wyłącznie przez białych. Czarni mieli dla siebie centrum, białym pozostały osiedla podmiejskie. Jeśli czarni migrowali dalej od zatłoczonego śródmieścia, biali przenosili się na jeszcze dalsze obrzeża. Z powodu tego bezkrwawego ścierania się obu ras całe Memphis było szybko rozbudowywane w kierunku wschodnim.

Moi rodzice mieszkali przy polu golfowym, w nowoczesnym, przeszklonym domu, tak zaprojektowanym, że panoramiczne okna wychodziły na rozległe połacie trawy. Nie cierpiałem tego domu, gdyż po polu bez przerwy kręcili się różni ludzie. Nigdy jednak nie wyrażałem

głośno swego zdania.

Wcześniej zadzwoniłem z lotniska, toteż mama oczekiwała mnie w progu. Taty nie było, wyjechał dokądś na krótko.

- Wyglądasz na przemęczonego - rzekła, kiedy tylko uwolniłem się z jej objęć. Zawsze witała mnie w ten sam sposób.

- Dzięki, mamó. Ty za to wyglądasz wspaniale.

Ani trochę nie kłamałem.

Regularna gra w tenisa pozwalała jej zachować szczupłą sylwetkę, a częste wizyty w gabinecie kosmetycznym sprawiały, że miała piękną, oliwkową cerę.

Przygotowała mrożoną herbatę i wyszliśmy ze szklankami na patio, żeby popatrzeć, jak inni podobni im emeryci przemierzają golfowe trasy w wózkach elektrycznych.

- Co się stało? - zapytała już po minucie, zanim jeszcze zdążyłem upić łyk herbaty.

- Nic. Wszystko w porządku.

- A gdzie jest Claire? Tak rzadko do nas dzwonicie. Nie słyszałam brzmienia jej głosu co najmniej od dwóch miesięcy.

- Czuje się dobrze, mamó. Oboje żyjemy w zdrowiu i pomyślności, tyle że ciężko pracujemy.

- Macie chociaż wystarczająco dużo czasu dla siebie?

- Nie.

- A w ogóle przebywacie razem ze sobą?

- Niewiele.

Zmarszczyła brwi i lekko pokręciła głową, chcąc mi zademonstrować typową matczyną troskliwość.

- Macie jakieś kłopoty? - ciągnęła, ani na chwilę nie tracąc animuszu.

- Owszem.

- Domyślałam się tego. Brzmienie twego głosu przez telefon podpowiedziało mi, że się dzieje coś złego. Mam nadzieję, że nie złożycie od razu wniosku rozwodowego. Próbowaliście zasięgnąć rady specjalisty?

- Nie. Jeszcze nie.

- Dlaczego? Claire to wspaniała istota, Michaelu. Wnosi do małżeństwa wszystko, czego ci potrzeba.

- Bardzo się staramy, mamó, ale to nie takie proste.

- Romanse? Narkotyki? Alkohol? Hazard? A może coś jeszcze gorszego?

- Nic z tych rzeczy. Jesteśmy po prostu dwojgiem ludzi, z których każde chce podążać

własną drogą. Ja pracuję po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, ona też nie mniej.

- No to przyhamujcie trochę. Pieniądze to nie wszystko. - Głos jej się z lekka załamał, dostrzegłem łzy w kącikach oczu.

- Przykro mi, mamó. Pozytywne jest tylko to, że nie mamy dzieci.

Przygryzła dolną wargę. Wiedziałem, że serce jej się kroi. Niemal mogłem prześledzić bieg jej myśli: dwa niewypały, pozostała tylko jedna szansa. Mama z pewnością uznałaby mój rozwód za osobistą porażkę, podobnie jak zdarzyło się to w wypadku Warnera. Niewątpliwie znalazłaby powody, żeby obwiniać siebie.

Nie potrzebowałem jej litości, postanowiłem więc jak najszybciej przejść do bardziej interesujących tematów i opowiedziałem ze szczegółami przebieg zajścia z Panem, celowo uwypuklając niebezpieczeństwo, na jakie zostałem narażony. Jeśli wzmianka o zamachu w ogóle się pojawiła w tutejszej prasie, rodzice ją przeoczyli.

- Naprawdę nic ci się nie stało? - zapytała mama z przerażeniem w głosie.

- Oczywiście. Kula przeszła obok. Jak widzisz, jestem cały i zdrow.

- Dzięki Bogu. Chodziło mi jednak o to, czy... w sensie emocjonalnym wszystko w porządku.

- Tak, mamó. Szybko się pozbierałem. Nic mi nie jest. Zarząd firmy postanowił dać mi krótki urlop, dlatego przyjechałem do was.

- Biedactwo. Nieporozumienia z Claire, a teraz jeszcze to...

- Nic się nie stało. Wczoraj w Waszyngtonie napadało mnóstwo śniegu, nie lubię takiej pogody, więc tym chętniej wyjechałem.

- Claire da sobie radę?

- Będzie musiała, podobnie jak reszta mieszkańców stolicy. Prawie nie wychodzi ze szpitala, a to przecież najbezpieczniejsze miejsce w tym przeklętym mieście.

- Tak bardzo się o was martwię. Pewnie wiesz, że ciągle czytuję statystyki policyjne. To rzeczywiście miasto pełne zagrożeń.

- Niemal tak samo jak Memphis.

Niedaleko patio wylądowała piłeczka. Oboje popatrzyliśmy na nią, w milczeniu czekając na pojawienie się właściciela. W końcu nadjechał wózek i wytoczyła się z niego pulchna matrona. Przez chwilę szacowała wzrokiem usytuowanie piłki, po czym uderzyła ją o wiele za mocno.

Mama poszła do kuchni, żeby dolać herbaty i ukradkiem osuszyć oczy.

Nie potrafiłem ocenić, które z rodziców gorzej odebrało moją niespodziewaną wizytę.

Mamie marzyły się stabilne rodziny synów, z których miałyby zastępy wnucząt. Ojciec z kolei pragnął, by jego dzieci jak najszybciej wspinały się po szczeblach kariery i czerpały maksimum zadowolenia z ciężko zapracowanego statusu społecznego.

Późnym popołudniem wyruszyliśmy z ojcem na krótką, dziewięciodołkową trasę golfa. Tylko on grał, ja popijałem piwo i prowadziłem wózek. Ta gra wyższych sfer jeszcze nie zaczęła mnie kusić. Po dwóch szybko opróżnionych puszkach byłem gotów do szczerzej rozmowy. Już podczas lunchu powtórzyłem tacie historię nieudanego zamachu bombowego, doszedł więc do wniosku, że chcę w ciągu kilku dni odetchnąć, aby później rzucić się w wir wytężonej pracy.

- Mam już dosyć harówki w dużej firmie prawniczej, tato - oznajmiłem mu przy trzeciej wydmi, czekając od dłuższego czasu, aż zdoła przerzucić nad nią piłeczkę i zbliżyć się do czwartego dołka. Byłem podenerwowany i to mnie irytowało. W końcu chodziło o moje życie, a nie jego.

- Jak mam to rozumieć?

- Tak, że znudziło mi się dotychczasowe zajęcie.

- No to witaj w brutalnej rzeczywistości. Sądysz, że robotnik obsługujący prasę hydrauliczną w zakładach metalowych nie jest znudzony monotonną robotą? Ty przynajmniej zgarniasz za swoją pracę grubą forszę.

Nokaut. Moja pierwsza próba zakończyła się szybko powaleniem na deski. Dwa dołki dalej, kiedy obaj szukaliśmy w krzakach piłeczki, powiedział:

- Zamierzasz zmienić pracę?

- Zastanawiam się nad tym.

- Gdzie chcesz się przenieść?

- Jeszcze nie wiem, za wcześnie na jakiegokolwiek decyzje. Nawet nie rozglądałem się za innym pracodawcą.

- To skąd wiesz, że gdzie indziej trawa jest bardziej zielona, skoro się nie rozejrzałeś?

Podniósł piłeczkę i wyszedł z nią na otwartą przestrzeń.

Pojechałem sam wąską brukowaną alejką, podczas gdy ojciec ruszył na przełaj po trawie za swoim ostatnim strzałem. Nie miałem pojęcia, dlaczego wciąż tkwi we mnie lęk przed tym siwowłosym mężczyzną. Skutecznie wpoił synom, aby bardzo wysoko stawiali sobie poprzeczkę, przykładali się do pracy, wyrabiali hart ducha i całe życie podporządkowywali zarabianiu dużych pieniędzy oraz urzeczywistnianiu wielkich, typowo amerykańskich marzeń. Słono płacił za nasze wykształcenie.

Podobnie jak moi bracia, nigdy nie musiałem sobie wyrabiać świadomości społecznej.

W kościele dawaliśmy ofiary na tacę, ponieważ Biblia nakazywała wiernym hojność. Płaciliśmy należne podatki, gdyż wymagały tego od nas przepisy prawa. Z pewnością jakaś część tych pieniędzy służyła czynieniu dobra, mieliśmy więc swój udział w dobroczynności. Nam wpajano przede wszystkim produktywność, bo im większy sukces osiągało się na tej drodze, tym więcej, przynajmniej w ogólnym sensie, korzystało na tym całe społeczeństwo. Zatem liczyło się wytyczanie celów, ciężka praca, życiowa uczciwość i osiągnięcie dobrobytu.

Ojciec dwukrotnie o włos minął piłeczką piąty dołek, kiedy więc wsiadał z powrotem do wózka, złorzeczył pod nosem na swój kij.

- A może ja wcale nie szukam bardziej zielonych pastwisk - podjąłem.

- Przestań kręcić i powiedz wprost, co ci chodzi po głowie! - rzekł poirytowany.

Jak zwykle poczułem się głupio, że od początku nie wyłożyłem kawy na ławę.

- Zainteresowała mnie obrona praw obywatelskich.

- Cóż to takiego, do diabła?

- Krótko mówiąc, bezpośrednie działanie na rzecz społeczeństwa, pozbawione uroku wysokich zarobków.

- A ty co? Stałeś się demokratą? Chyba za długo siedzisz w Waszyngtonie.

- Tam jest również mnóstwo republikanów. Bogiem a prawdą, to właśnie oni przejęli ostatnio stery rządów.

Do następnej wydmy dojechaliśmy w milczeniu. Ojciec grywał niegdyś znacznie lepiej, teraz wiele uderzeń mu nie wychodziło. Nie bez znaczenia było to, że przeszkadzałem mu się skoncentrować.

Po raz kolejny walcząc z piłeczką zakopaną w piasku, mruknął:

- A więc jakiś pijaczyna zarobił przy tobie kulkę w łeb i od razu chcesz się przenieść do innej warstwy społecznej. Zgadza się?

- To nie był pijaczyna. Walczył w Wietnamie.

Na początku wojny tata pilotował fortece B-52, toteż moja uwaga sprawiła, że zastygł w bezruchu. Ale tylko na chwilę. Zrobił wymowny gest na wysokości czoła i zapytał:

- Pewnie jeden z tych, co?

Nie odpowiedziałem. Piłeczka beznadziejnie zniknęła w krzakach, a ojciec nie zamierzał jej już szukać. Rzucił drugą na to samo miejsce, uderzył z całej siły i zawróciliśmy do domu.

- Brzydzę się myślą, że mógłbyś zaprzepaścić taką wspaniałą karierę, synu - powiedział. - Włożyłeś w to mnóstwo pracy, za kilka lat miałbyś szansę awansować na współnika kancelarii.

- Niewykluczone.
- Musisz solidnie odpocząć, to wszystko.

Dziwnym trafem wszyscy sądzili, że odpoczynek będzie miał dla mnie zbawienne skutki.

Na obiad zabrałem rodziców do eleganckiej restauracji. Nie bez trudu uniknęliśmy rozmowy na temat Claire, mojej kariery oraz wnucząt, które tak rzadko mieli okazję widywać. Wspominaliśmy starych przyjaciół rodziny i dawnych sąsiadów. W gruncie rzeczy wymienialiśmy jedynie plotki, które mnie ani trochę nie interesowały.

Pożegnałem się z nimi w piątkowe południe, na cztery godziny przed startem samolotu. Bez entuzjazmu wracałem do mego zagmatwanego życia w Waszyngtonie.

ROZDZIAŁ 7

Jak można się było spodziewać, wieczorem zastałem puste mieszkanie, za to otrzymałem kolejnego prztyczka w nos. Na stole kuchennym znalazłem kartkę z wiadomością, że idąc za moim przykładem, Claire wyjeżdża na parę dni do Providence. Nie wymieniła żadnych powodów. Prosiła tylko o kontakt telefoniczny, kiedy wrócę do Waszyngtonu.

Zadzwoiłem. Właśnie jadła z rodzicami obiad. Wdaliśmy się w pięciominutową błahą rozmowę, w trakcie której ustaliliśmy, że oboje czujemy się dobrze, w Memphis wszystko w porządku, podobnie jak w Providence, naszym rodzicom nic nie dolega, a Claire wróci w niedzielne popołudnie.

Odłożyłem słuchawkę, zaparzyłem kawę i wypilem całą filiżankę, gapiąc się przez okno sypialni na samochody z rzadka przejeżdżające ulicą P, wciąż zaśnieżoną. Jeśli choć trochę śniegu stopniało podczas mojej nieobecności, trudno to było zauważyć.

Domyślałem się, że Claire raczy swoich rodziców równie pokrętnymi wyjaśnieniami jak te, które ja przedstawiłem w Memphis. Ogarnęło mnie przygnębienie.

Uznałem to za dziwne, że oboje potrafimy się zdobyć na szczerą wobec własnych rodziców, mimo że nie stać nas na otwartą rozmowę w cztery oczy. Naprawdę byłem już zmęczony tymi przepychankami, podjąłem stanowczą decyzję, że jeszcze w niedzielę usiądziemy naprzeciwko siebie, na przykład przy stole kuchennym, i powiemy sobie nawzajem prawdę. Nie bałem się wyłożenia przed Claire prawdziwego stanu swoich uczuć i wyjawienia lęków, bo to by nam jedynie pomogło w zaplanowaniu odrębnej przyszłości dla każdego z nas. Doskonale wiedziałem, że ona pragnie separacji, nie miałem tylko pojęcia jak bardzo.

Zacząłem układać przemowę, wliczać na głos argumenty, które chciałem przedstawić Claire, a kiedy uznałem je za dość przekonujące, wyszedłem na spacer. Było minus dwanaście stopni, porywisty wiatr bez trudu przenikał mój zimowy płaszcz. Ruszyłem wzdłuż szeregu eleganckich willi i domów wielorodzinnych, spoglądając przez okna na kochające się rodziny, które w ciepłym domowym zaciszu siedziały przy obiedzie bądź wspólnie oglądały telewizję, po czym skręciłem w ulicę M, gdzie wałęsało się sporo takich, co nie mogli wysiedzieć w zaduchu wśród murów. Nawet przy tak mroźnej pogodzie w piątkowe wieczory ulica M nigdy nie pustoszała. W barach panował ścisk, w kawiarniach wszystkie stoliki były zajęte, w szatniach restauracji stały kolejki oczekujących na miejsce.

Zatrzymałem się przed dużym oknem klubu jazzowego i nie bacząc na to, że śnieg

szybko mi się gromadzi na ramionach, zacząłem słuchać dolatującego ze środka bluesa i obserwować tańczące pary. Po raz pierwszy w życiu czułem się kimś innym niż ci młodzi, rozbawieni ludzie. Miałem dopiero trzydzieści dwa lata, ale przez ostatnich siedem pracowałem tyle, co większość osób przez lat dwadzieścia. Byłem piekielnie zmęczony. Przesadziłbym, mówiąc o starości, ale zagłębiwszy się nieuchronnie w przedział wieku średniego, musiałem sobie w końcu uzmysłwić, że nie jestem już młokosem świeżo po studiach. Te ślicznotki, które widziałem przez szybę, w żadnym wypadku nie spojrzwałyby na mnie po raz drugi.

Zrobiło mi się zimno, śnieżycy znów przybierała na sile.

Kupiłem kanapkę, upchnąłem ją do kieszeni i podreptałem z powrotem do domu. Przygotowałem sobie wzmocnionego drinka, rozpałem ogień w kominku, po czym zjadłem kolację, siedząc po ciemku i kontestując coraz bardziej dokuczliwą samotność.

Jeszcze nie tak dawno nieobecność Claire podczas weekendu byłaby dla mnie wyłącznie pretekstem do pozbycia się poczucia winy i zajęcia pracą w kancelarii. Teraz, gdy siedziałem przed kominkiem, sama myśl wydała mi się odpychająca.

Firmie Drake'a i Sweeneya z pewnością nie groziły żadne wstrząsy wywołane moim odejściem, a ci wszyscy ważni klienci ze swoimi niezmiernie ważnymi sprawami dostaliby się pod opiekę innych, młodych i energicznych adwokatów. Rezygnacja spowodowałaby najwyżej leciutkie, wręcz niezauważalne zachwianie w codziennym biegu rzeczy, a luksusowo urządzony gabinet znalazłby nowego lokatora zaraz po moim wyjściu z biura.

Parę minut po dziewiątej ostry dzwonek telefonu wyrwał mnie z długiej, letargicznej drzemki. Znów dzwonił Mordecai Green, ale tym razem z aparatu komórkowego, słyhać go więc było doskonale.

- Jesteś zajęty? - spytał.

- Niezupełnie. O co chodzi?

- Jest zimno jak diabli, znów wali śnieg, a nam brakuje rąk do pracy. Nie chciałbyś poświęcić paru godzin?

- Na co?

- Na proste zajęcia. Naprawdę potrzebujemy każdej pary rąk. Wszystkie przytulki i stołówki są zapchane do granic możliwości, brakuje nam ochotników do pomocy.

- Nie jestem pewien, czy byłby ze mnie jakiś pożytek.

- Umiesz smarować chleb masłem?

- Raczej tak.

- To na pewno będzie z ciebie pożytek.

- Dobra. Gdzie mam się zgłosić?

- Jesteśmy zaledwie kilkaset metrów od twojego biura, przy skrzyżowaniu Trzynastej i Euklidesa. Zobaczysz na prawo od ulicy duży żółty kościół, to Chrześcijańskie Zgromadzenie pod wezwaniem Świętego Ebenezera. Znajdziesz nas w podziemiach.

Zapisałem sobie te informacje coraz bardziej roztrzęsionymi rękoma, czułem się bowiem tak, jakby Mordecai wysyłał mnie na pierwszą linię frontu. Chciałem go zapytać, czy powinienem zabrać ze sobą rewolwer. Nie miałem pojęcia, czy i on nie nosi stale broni. Tyle że on był czarny, a ja nie. No i pozostawała jeszcze sprawa mojego ulubionego, eleganckiego lexusa.

- Trafisz? - spytał Green po krótkiej przerwie.

- Chyba tak. Będę tam za jakieś dwadzieścia minut.

Powiedziałem to niemal z brawurą w głosie, mimo że serce podchodziło mi do gardła.

Przebrałem się w dzinsy i znoszony sweter, wyciągnąłem ze schowka turystyczne buty. Z portfela wyjąłem wszystkie karty kredytowe i prawie całą gotówkę. Na górnej półce w szafie odnalazłem starą wełnianą kurtkę w kratę, silnie pachnący tanią kawą i farbą emulsyjną relikw z czasów studenckich. Włożyłem ją i stanąłem przed lustrem, żywiąc głęboką nadzieję, że nie będę wyglądał na człowieka dobrze sytuowanego. Niewiele to jednak pomogło. Gdyby któryś z młodych aktorów pozował w niej do zdjęcia na okładkę „Vanity Fair”, z pewnością zainicjowałby nowy trend w męskiej modzie.

Piekielnie żałowałem, że nie mam kamizelki kuloodpornej. Byłem wręcz przerażony. Ale gdy tylko wyszedłem z domu na tonącą w śniegu ulicę, poczułem przypływ niezwyklej ekscytacji.

Nie padłem ofiarą ani strzelaniny, ani żadnej wojny gangów, czego w skrytości ducha się obawiałem. Chyba nie sprzyjająca pogoda sprawiła, że na wyludnionych ulicach panował spokój. Znalazłem opisany kościół i zaparkowałem wóz naprzeciwko niego przy krawężniku. Budowla przypominała niewielką katedrę, z pewnością była stara, pochodziła co najmniej sprzed stulecia i została opuszczona przez zgromadzenie, które ją postawiło.

Za rogiem ujrzałem sporą grupę stłoczonych ludzi czekających przed bocznym wejściem. Przecisnąłem się między nimi, usiłując sprawiać wrażenie stałego bywalcy, i śmiało wkroczyłem do świata bezdomnych.

Mimo że ze wszech sił starałem się nie okazywać zdziwienia i pozować na starego wygę spieszącego do pilnej pracy, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. W autentycznym osłupieniu powiodłem wzrokiem po zastępach biedaków stłoczonych w wielkiej podziemnej sali. Część z

nich leżała na podłodze, pogrążona w drzemce. Inni stali w grupkach, porozumiewając się półgłosem. Wielu pochylało się nad miskami darmowej zupy, czy to przy długich stołach, czy na składanych krzeselkach. Pod ścianami nie było nawet centymetra wolnej przestrzeni, ramię przy ramieniu ludzie przywierali plecami do gołych betonowych murów. Niemowlęta kwiliły, starsze dzieci kręciły się wokół matek, próbując przyciągnąć ich uwagę. Kilku zapijaczonych oberwańców chrapało tak, aż echo niosło się pod sklepieniem. Ochotnicy roznosili koce, przeciskali się przez tłum i chętnym rozdawali jabłka.

Rojna, tętniąca życiem kuchnia, gdzie przygotowywano i serwowano posiłki, mieściła się na końcu sali. Z daleka zauważyłem Mordecaia, który napełniał sokiem papierowe kubeczki i mówił niemal bez przerwy. Między stołami wiła się długa kolejka ludzi oczekujących w spokoju na swoje porcje.

W sali było ciepło, powietrze wypełniała mieszanina kuchennych aromatów, woni rozgrzanych piecyków gazowych i przemoczonych ubrań. Nie uznałem jej za odrażającą.

Stałem w przejściu i gdy potracił mnie przechodzący mężczyzna, ubrany niemal dokładnie tak samo jak Pan, uświadomiłem sobie, że sterczę tu jak słup soli.

Ruszyłem prosto w stronę Greena, którego bardzo ucieszył mój widok. Przywitaliśmy się serdecznie, niczym starzy przyjaciele. Od razu przedstawił mnie dwóm innym ochotnikom, lecz ich nazwiska błyskawicznie uleciały mi z pamięci.

- Zwariowany dzień - oświadczył. - Wciąż sypie śnieg i temperatura spada, będziemy tu mieli co robić przez całą noc. Zakasuj rękawy.

Wskazał mi tacę z piramidą nakrojonego chleba. Zgodnie ze wskazówkami przeniosłem ją na sąsiedni stół.

- To nic trudnego. Tu masz mielonkę, musztardę i majonez. Połowę kanapek rób z musztardą, drugą połowę z majonezem. Plasterek mielonki wkładaj między dwie kromki. Od czasu do czasu przygotuj trochę chleba z samym masłem. Jasne?

- Tak.

- No to do roboty.

Klepnął mnie w ramię i odszedł szybko.

Pospiesznie zrobiłem dziesięć kanapek i uznałem, że całkiem nieźle mi idzie. Zwolniłem trochę tempo i zacząłem z ciekawością obserwować ludzi czekających w kolejce.

Stali ze wzrokiem wbitym w ziemię, lecz łakomie zerkali na żywność przewijającą się przez ladę. Każdy dostawał papierowy talerzyk, plastikową miskę z łyżką oraz jednorazową serwetkę. W miarę jak przesuwali się wzdłuż lady, odbierali porcję zupy w misce, pół kanapki na talerzyku, jabłko i herbatnik, przy końcu kubeczek z sokiem jabłkowym.

Rzucali rozdzielającym jedzenie ochotnikom ciche: „Dziękuję”, i odchodzili od lady, niemal z pietyzmem niosąc napełnioną miskę i talerzyk. Nawet małe dzieci czekały spokojnie w kolejce na swoją porcję.

Posilali się powoli, delektując smakiem gorącej zupy i apetycznymi zapachami. Zdarzali się jednak i tacy, którzy łapczywie rzucali się na jedzenie.

Za mną znajdowała się duża, czteropalnikowa kuchenka gazowa, na której w wielkich garach bulgotała zupa.

Identyczny stół pod przeciwległą ścianą był zavalony stosami selerów, marchwi, pietruszki, cebuli, pomidorów i całych kurcząt. Jeden z ochotników wprawnie porcjował drób wielkim nożem. Dwaj inni krzatali się przy garnkach. Kilka osób było stale zajętych nalewaniem zupy i zapewnianiem talerzyków. W tym momencie robienie kanapek znajdowało się w mojej wyłącznej gestii.

- Potrzeba nam więcej kanapek z samym masłem! - zawołał Mordecai od lady, a po chwili ruszył gdzieś na zaplecze i wrócił z wielką, pięciokilogramową puszką masła orzechowego.

- Dasz sobie z tym radę? - zapytał.

- Jestem już ekspertem.

Popatrzył na mnie z uśmiechem. Chwilowo tace przy ladzie były pełne, mogliśmy więc porozmawiać.

- Myślałem, że tylko udzielasz tym ludziom porad prawnych - zacząłem, energicznie rozsmarowując masło na chlebie.

- Przede wszystkim jestem człowiekiem, a dopiero potem prawnikiem. Wbrew pozorom da się połączyć jedno z drugim... Nie tak grubo, zapasy muszą nam starczyć na jak najdłużej.

- Skąd bierzecie te wszystkie produkty?

- Z rozdzielni. Pochodzą wyłącznie z darowizn. Dzisiaj dopisało nam szczęście, ponieważ dostaliśmy świeże kurczaki. To prawdziwy rarytas. Zwykle trzeba się zadowolić samymi jarzynami.

- Chleb nie jest zbyt świeży.

- Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada. To wczorajsze pieczywo, które przysłano nam z dużej śródmiejskiej piekarni. Jak zgłodniejesz, zrób i sobie kanapkę.

- Dzięki, jadłem kolację przed wyjściem z domu. Ty też się tu żywisz?

- Rzadko.

Rzeczywiście, sądząc po jego wyglądzie, trudno było podejrzewać, że pozostaje na

diecie złożonej z cienkiej zupki jarzynowej i jabłek. Przysiadł na brzegu stołu i przez chwilę spoglądał w głąb sali.

- To twoja pierwsza wizyta w przytułku dla bezdomnych?

- Tak.

- Jakie skojarzenie przychodzi ci na myśl?

- Beznadziejność.

- To było do przewidzenia. Szybko się z tym oswoisz.

- Ile osób tu nocuje?

- Na stałe nikt, to tylko schronienie rezerwowe. Kuchnia codziennie wydaje kanapki i obiady, lecz od strony formalnej to nie jest przytułek. Jedynie dzięki uprzejmości tutejszego pastora drzwi kościoła są otwarte przy bardzo złej pogodzie.

Ta odpowiedź trochę mnie zaskoczyła.

- Więc gdzie ci ludzie zwykle nocują?

- Niektórzy zajmują na dziko jakieś kwatery, mieszkają w opuszczonych budynkach, ale ci mogą się uważać za szczęściarzy. Większość sypia na ulicach, w parkach, na dworcach autobusowych, pod mostami. Dają sobie jakoś radę, dopóki jest w miarę ciepło. Dzisiaj z pewnością by pozamarzali na śmierć.

- A gdzie znajdują się schroniska?

- Są rozrzucone po całym mieście. W sumie jest ich około dwudziestu, w przybliżeniu połowa należy do prywatnych fundacji, inne są finansowane przez władze miasta. Ale po ostatnich cięciach budżetowych można oczekiwać, że liczba tych drugich szybko zmaleje.

- Ile jest razem łóżek?

- Około pięciu tysięcy.

- A ilu mamy bezdomnych?

- Trudno to ocenić, ponieważ tworzą grupę niełatwą do policzenia. Z grubsza rzecz biorąc - dziesięć tysięcy.

- Aż tylu?

- Owszem. Zresztą mowa wyłącznie o tych żyjących na ulicy. Jeszcze ze dwadzieścia tysięcy mieszka gdzieś kątem u rodziny albo przyjaciół, żeby chociaż przez miesiąc mieć dach nad głową.

- Krótko mówiąc, co najmniej pięć tysięcy ludzi w Waszyngtonie sypia pod gołym niebem? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Co najmniej.

Ochotnicy przy ladzie poprosili o kanapki. Wraz z Greenem szybko zapełniliśmy tacę i

znów zaczęliśmy obserwować kolejkę. W wejściu do sali przystanęła młoda kobieta z niemowlęciem na ręku, za nią pojawiła się trójka dzieci w różnym wieku. Najstarsze było w brudnych spodenkach i grubych skarpetkach nie od pary, bez bucików, a na ramiona miało narzucony wytarty ręcznik. Pozostała dwójka chodziła w butach, ale była jeszcze lżej ubrana. Niemowlę spało w objęciach matki.

Kobieta sprawiała wrażenie zagubionej, rozglądała się dookoła, jakby niepewna, dokąd dalej pójść. Wszystkie miejsca przy stołach były zajęte. W końcu popchnęła dzieci w kierunku lady i dwaj uśmiechnięci ochotnicy wyszli im naprzeciw. Pierwszy znalazł wolny kąt pod ścianą, blisko kuchni, i szybko zaczął napełniać miski zupą. Drugi przyniósł kilka koców.

Razem z Mordecaiem patrzyliśmy na to w milczeniu. Staralem się nie okazywać zbyt dużego zainteresowania, mimo że nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi.

- Co ta kobieta pocnie, kiedy śnieg przestanie padać? - mruknąłem.

- Kto wie? Może ją o to zapytaj.

Na to już nie miałem ochoty. Nie byłem jeszcze gotów, żeby się osobiście angażować.

- Udzielasz się w waszyngtońskiej palestrze? - zagadnął.

- Mniej więcej. Czemu pytasz?

- Z czystej ciekawości. Wiem, że palestra prowadzi szeroką działalność charytatywną na rzecz bezdomnych.

Świetnie zdawałem sobie sprawę, że Green łowi ryby w mętnej wodzie, ale nie zamierzałem połykać jego haczyka.

- Miewałem już do czynienia z ludźmi skazanymi na karę śmierci - dodałem z dumą w głosie.

Było w tym trochę prawdy. Przed czterema laty pomagałem społecznie jednemu ze współników firmy napisać petycję w sprawie skazańca z Teksasu. Nasza kancelaria występowała wówczas z urzędu w imieniu współników oskarżonego. Co zrozumiałe, praca ta nie mogła w żaden sposób kolidować z obowiązkiem wystawiania rachunków innym klientom.

Przez jakiś czas przyglądaliśmy się matce z czworgiem dzieci. Dwoje parolatków zaczęło ze smakiem chrupać herbatniki, czekając, aż zupa nieco przestygnie. Kobieta wciąż sprawiała wrażenie oszołomionej, jakby pozostawała w szoku.

- Czy jest jakieś miejsce, dokąd mogłaby pójść z dziećmi i znaleźć dach nad głową? - zapytałem.

- Chyba nie - odparł Mordecai, z lekka kołysząc nogą zwieszającą się z krawędzi stołu.

- Wczoraj lista oczekujących na miejsce w schronisku sezonowym obejmowała ponad pięćset nazwisk.

- W schronisku sezonowym?

- Tak. Władze miasta w swojej łaskawości otwierają dodatkowy przytułek, gdy temperatura spada poniżej zera. Tam miałyby szansę coś znaleźć, nie wątpię jednak, że dziś to schronisko jest zatłoczone do ostatnich granic. A trzeba się jeszcze liczyć z tym, że zostanie szybko zamknięte, gdy tylko pogoda się trochę poprawi.

Jeden z ochotników pracujących przy kuchni musiał wyjść, a ponieważ nie miałem w tej chwili żadnego zajęcia, przejąłem jego obowiązki, Green zaś wziął na siebie robienie kanapek. Przez godzinę obierałem i kroiliśmy selery, marchewki oraz cebulę pod czujnym okiem panny Dolly, społecznej aktywistki tutejszej parafii, która już od jedenastu lat prowadziła tę stołówkę dla bezdomnych. Miałem zaszczyt pracować w jej królestwie, toteż gdy tylko padła uwaga, że selery trzeba kroić na drobniejsze kawałki, natychmiast się do niej zastosowałem. Panna Dolly paradowała w śnieżnobiałym, starannie wykrochmalonym fartuszkowi i była bezgranicznie dumna ze swojej roli.

- Chyba przywykła już pani do ciągłego widoku tych biedaków - odezwałem się w pewnej chwili.

Jedynie my dwoje byliśmy wówczas przy kuchni, gdyż między bezdomnymi wybuchła jakaś sprzeczka wymagająca interwencji. Mordecai, korzystając z pomocy kościelnego, błyskawicznie przywrócił porządek.

- Nigdy, kochasiu - odparła, wycierając dłonie w ściereczkę. - Nadal serce mi się kroi. Ale w Biblii jest napisane: „Szczęśliwy ten, kto nakarmi zgłodniałego”. Tylko to mnie jeszcze podtrzymuje na duchu. - Odwróciła się i energicznie zamieszała w jednym z garnków, po czym stanowczo rzuciła w moim kierunku: - Kurczaki się ugotowały.

- Co to oznacza?

- Że trzeba je powyławiać, przelać wywar do tego drugiego garnka, z jarzynami, a kiedy ostygną, pooddzielać mięso od kości.

Okazało się, że oddzielanie mięsa od kości to prawdziwa sztuka, szczególnie gdy efekt ma zadowolić pannę Dolly. Palce miałem poparzone i prawie całkiem pozbawione czucia, kiedy wreszcie uporałem się z tym zadaniem.

ROZDZIAŁ 8

Mordecai poprowadził mnie tonącymi w ciemności schodami do wnętrza kościoła.

- Patrz pod nogi - ostrzegł szeptem.

Przez wielkie wahadłowe drzwi weszliśmy do przedsionka świątyni. Światła były pogaszone, wszędzie leżeli ludzie. Ci, którzy zdobyli miejsce na ławkach, z reguły smacznie spali. Wykorzystano nawet miejsca na posadzce pod ławkami. Matki uciszały kwilące niemowlęta. Wzdłuż głównego przejścia także leżały rozłożone koce, pozostała tylko wąska ścieżka wiodąca do ołtarza. Ruszyliśmy w tamtym kierunku. Na bocznym podwyższeniu dla chóru nie znalazłoby się nawet skrawka wolnej przestrzeni.

- Niewiele kościołów zezwala na coś takiego - szepnął Green. Zatrzymał się przed pulpitem pastora, odwrócił i popatrzył na szeregi śpiących.

W pełni rozumiałem jego rozżalenie.

- A co będzie w niedzielę? - zapytałem szeptem.

- Wszystko zależy od pogody. Wielebny jest jednym z nas. Już parokrotnie zdarzało mu się odwoływać nabożeństwa, żeby nie wyganiać tych biedaków na mróz.

Nie bardzo byłem pewien, jak mam potraktować ów zwrot „jeden z nas”. W każdym razie nie czułem się jeszcze członkiem tego bractwa. Rozległo się ciche trzeszczenie desek i uzmysłowiłem sobie, że nad naszymi głowami ciągnie się wąski balkon. Zmrużyłem oczy i przy odrobinie światła wpadającego z zewnątrz dostrzegłem między prętami balustradki stopy ludzi śpiących również tam.

Mordecai także popatrzył ku górze.

- Ile osób... - zacząłem, ale głos uwiązł mi w gardle.

- Nikt ich nigdy nie liczy. Po prostu karmimy i organizujemy noclegi dla potrzebujących.

Porywy wiatru z taką siłą uderzały w boczną ścianę, że cicho podzwaniały szybki w witrażach. Tutaj było chłodniej niż w podziemiu. Przystępując ponad nogami leżących pokotem ludzi, skierowaliśmy się do bocznego wyjścia za stanowiskiem organisty.

Dochodziła dwudziesta trzecia. Na dole wciąż panował ścisk, ale nie było już kolejki do lady.

- Dotrzymaj mi towarzystwa - rzekł Green. Wziął plastikową miskę i podstawił ją nalewającemu zupę ochotnikowi. - Przekonamy się, czy umiesz gotować - dodał z uśmiechem.

Usiedliśmy w głównej części, przy składanym stoliku, ściśnięci pośród mieszkańców ulicy. Mordecai jadł ze smakiem i rozmawiał z ludźmi na różne tematy. Ja byłem zgoła w odmiennym nastroju. Siorbałem z wolna zupę, która dzięki pannie Dolly okazała się całkiem niezła, nie mogłem się jednak opędzić od myśli, że oto ja, Michael Brock, wpływowy biały adwokat pochodzący z Memphis, absolwent Yale oraz pracownik kancelarii Drake'a i Sweeneya, siedzę teraz między bezdomnymi w podziemiach kościoła gdzieś w centrum dzielnicy Północno-Zachodniej Waszyngtonu. Przez cały wieczór tylko raz ujrzałem w tłumie twarz białego, zarośniętego pijaczyny, który pospiesznie zjadł swoją porcję i wyszedł.

Nie miałem wątpliwości, że nie znajdę już swojego lexusa na ulicy, byłem niemal pewien, że nie przeżyję nawet pięciu minut poza gmachem kościoła. Dlatego też postanowiłem trzymać się Greena, bez względu na to, o której zamierzał wracać do domu.

- Bardzo dobra zupa - oznajmił głośno. - Nie zawsze jest taka. Wszystko zależy od produktów, jakie zdobędziemy. No i w różnych stołówkach różnie ją przyrządzają.

- Jednego dnia u Marthy był nawet makaron - rzekł mój sąsiad z prawej, którego łokieć znajdował się o wiele bliżej mojej miseczki niż trzymana przeze mnie łyżka.

- Co takiego? - zdziwił się setnie Mordecai. - Miałeś makaron w zupie?

- No. Tam chyba co miesiąc bywa makaron. Ale wszyscy o tym wiedzą i wtedy trudno się dopchać.

Nie potrafiłem ocenić, czy przypadkiem nie żartuje, bo w jego spojrzeniu tliły się dziwne iskierki. Zresztą utyskiwania bezdomnego na kłopoty z zajęciem miejsca w kolejce do ulubionej stołówki i mnie wydały się zabawne. Jakże często słyszałem od swoich przyjaciół z Georgetown, że w takim czy innym lokalu wszystkie stoliki są ciągle zajęte.

Green uśmiechnął się szeroko.

- Jak ci na imię? - zapytał mojego sąsiada.

Miałem się wkrótce przekonać, że Mordecai każdego rozmówcę pyta o imię. Swoich podopiecznych wcale nie traktował jak nieudaczników, lecz jak bliskich znajomych.

I we mnie rodziła się powoli zwykła ciekawość. Chciałem wiedzieć, jak to się dzieje, że ludzie stają się bezdomnymi. Jakie luki w naszym rozbudowanym systemie opieki społecznej sprawiają, że obywatele bogatej Ameryki mogą zbiednieć do tego stopnia, iż muszą nocować gdzieś pod mostem?

- Lumin - odparł tamten, wsuwając do ust wielki kawał selera, pochodzący z samych początków mojej kariery kucharskiej.

- Lumin? - zdziwił się Green.

- Lumin - powtórzył mężczyzna wolno i wyraźnie.

- A jak masz na nazwisko?
- Nie mam. Nie stać mnie na nazwisko.
- Kto ci dał na imię Lumin?
- Mama.
- A ileż to miałaś lat, kiedy wymyśliła dla ciebie takie niezwykle imię?
- Z pięć.
- Czemu wybrała właśnie takie?
- Bo miała małe dziecko i ono nie chciało się zamknąć, płakało bez przerwy, a my nie mogliśmy spać. No to nakarmiłem je luminem.

Nie przerywając jedzenia, opowiedział całą historię ze szczegółami. Szło mu to całkiem składnie, umiał się niezłe wysłowić, ale ja nie wierzyłem w ani jedno słowo. Niemniej wszyscy przy stoliku słuchali z uwagą, a Lumin chyba setnie się bawił.

- I co się stało z tym maleństwem? - zapytał Mordecai, wczuwając się w rolę.
 - Umarło.
 - Miałbyś teraz brata.
 - E tam. Siostrę.
 - Ach tak. Krótko mówiąc, zabiłeś siostrzyczkę.
 - No. Ale mogliśmy wszyscy spokojnie spać.
- Green puścił do mnie oko, jakby już wiele razy słyszał podobne opowieści.
- Gdzie mieszkasz, Lumin? - spytałem.
 - Tutaj, w Waszyngtonie.
 - A gdzie sypiasz? - szybko poprawił mnie Mordecai.
 - Różnie, tu i tam. Jest sporo bogatych damulek, które mi płacą, żebym dotrzymywał im towarzystwa.

Dwaj siedzący naprzeciwko mężczyźni uznali to widać za dobry żart, ponieważ jeden zaśmiał się gardłowo, drugi zachichotał.

- To gdzie, w takim razie, odbierasz listy? - ciągnął Green.
- Na poczcie - padła odpowiedź.

Lumin miał gotową błyskawiczną replikę na każde pytanie, toteż daliśmy mu spokój.

Panna Dolly zrobiła kawę dla ochotników, kiedy skończyła wreszcie doprawiać ostatnią porcję zupy. Bezdomni stopniowo układali się do snu.

Razem z Greenem przenieśliśmy się do stolika w kuchni tonącej w półmroku. Popijając z wolna kawę, spoglądaliśmy ponad ladą stołówek na tłum biedaków.

- Jak długo zamierzasz tu siedzieć? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- To zależy. Przy kilkuset osobach nocujących w jednej dużej sali zazwyczaj dochodzi do sprzeczek i waśni. Wielebny z pewnością czułby się pewniej, gdybym został do rana.

- Aż do rana?

- Nie pierwszy raz mamy podobną sytuację.

Nie wyobrażałem sobie spędzenia nocy z tymi ludźmi. Ale nie miałem też ochoty wychodzić na ulicę bez Greena, którego traktowałem jak gwaranta bezpieczeństwa.

- Ty możesz wracać do domu, kiedy tylko zechcesz - dodał.

Powrót do domu również nie był dla mnie zbyt kuszący. Biały w luksusowym aucie, w nocy z piątku na sobotę w tej części miasta - bez względu na pogodę wszystko przemawiało na moją niekorzyść.

- Masz rodzinę? - spytałem.

- Owszem. Żona jest sekretarką w Departamencie Pracy. Mamy trzech synów, jeden studiuje w college'u, drugi poszedł do wojska. - Umilkł nagle, zanim zdołał powiedzieć choć jedno słowo o trzecim synu. Woląłem nie pytać.

- Trzeci zginął na ulicy dziesięć lat temu - dodał Mordecai po chwili. - W wojnie gangów.

- Przykro mi.

- A co u ciebie?

- Żonaty, bezdzietny.

Moje myśli powędrowały ku Claire po raz pierwszy od wielu godzin. Zaciekało mnie, jak by zareagowała na wieść o mojej pracy w przytułku. Żadne z nas nie miało dotąd czasu, żeby przynajmniej pomyśleć o jakiejś działalności charytatywnej.

Zapewne mruknęłyby tylko pod nosem: „On naprawdę przeżywa załamanie psychiczne”, albo coś w tym rodzaju.

Nic mnie to nie obchodziło.

- Czym się zajmuje twoja żona? - spytał Mordecai, chcąc podtrzymać rozmowę.

- Jest chirurgiem w szpitalu w Georgetown.

- No to widzę, że się wam powiodło. Ty zostaniesz wkrótce współnikiem w bogatej firmie, ona cenionym chirurgiem specjalistą. Jeszcze jedno spełnione marzenie o amerykańskim dobrobycie.

- Chyba tak.

Niespodziewanie pojawił się przy nas pastor i pociągnął Greena za łokieć w głąb kuchni na krótką rozmowę. Wziąłem z miski cztery herbatniki i ruszyłem w stronę kąta, gdzie młoda

matka drzemała z głową opartą na poduszce, tuląc w ramionach śpiące niemowlę. Troje starszych dzieci leżało obok pod kocem, w całkowitym bezruchu, zauważyłem jednak, że najstarszy chłopak ma otwarte oczy. Kucnąłem i podałem mu herbatnik. Chwytał ciastko z łakomym błyskiem w oczach i zjadł czym prędzej, chciwie zerkając na pozostałe. Był drobny i wychudzony, miał najwyżej cztery latka.

Matce głowa obsunęła się w bok. Uniosła ją szybko i popatrzyła na mnie smutnymi, przemęczonymi oczami. Dopiero po chwili zrozumiała, w jakim celu kucnąłem przy jej dzieciach, uśmiechnęła się blado, poprawiła poduszkę i zamknęła oczy.

- Jak ci na imię? - spytałem chłopca szeptem. Po dwóch herbatnikach byliśmy już chyba przyjaciółmi na resztę życia.

- Ontario - odparł powoli, niepewnie.

- Ile masz lat?

Uniósł dłoń z czterema rozczapierzonymi palcami.

- Cztery? - zapytałem.

Przytaknął ruchem głowy i szybko wyciągnął rękę po następny herbatnik, który dałem mu z chęcią. Byłem chyba gotów ofiarować mu niemal wszystko.

- Gdzie sypiacie? - dopytywałem się szeptem.

- W samochodzie - odrzekł równie cicho.

Nie wiedziałem, czy mogę mu wierzyć. Nie miałem też pewności, czy powinienem pytać dalej. Chłopak był nazbyt pochłonięty chrupaniem herbatników, żeby nawet myśleć o dłuższej rozmowie. Zadałem mu trzy pytania i uzyskałem trzy szczere odpowiedzi. Widocznie naprawdę mieszkali wszyscy w aucie.

Uśmiechnąłem się przyjaźnie do Ontario. Odwzajemnił się tym samym.

- Zostało jeszcze trochę soku jabłkowego? - zapytał.

- Jasne.

Wróciłem do lady i napełniłem sokiem dwa kubeczki. Pierwszy opróżnił duszkiem, podałem drugi.

- Mówi się: dziękuję - przypomniałem mu.

- Dziękuję. - Wyciągnął rękę po następny herbatnik.

Nieopodal stało wolne składane krzeselko, zająłem więc posterunek przy Ontario, oparłszy się plecami o ścianę. W podziemi kościoła było dość spokojnie, lecz ani na moment nie zapadała całkowita cisza. Widocznie ci, którzy nie mają własnego łóżka, nigdy nie sypiają twardo. Od czasu do czasu potrzebna była interwencja Greena, który zręcznie przestępował nad leżącymi i szybko gasił zarzewie kłótni. Swoją atletyczną budową budził powszechny

szacunek, nikt nie odważył się z nim zadzierać.

Ontario w końcu usnął, oparłszy główkę na stopach matki. Poszedłem do kuchni, nalałem sobie drugi kubeczek kawy i wróciłem na posterunek pod ścianą.

Później obudziło się niemowlę, jego piskliwy głosik z zadziwiającą siłą rozdarł ciszę i rozniósł się dźwięczącym echem po sali. Wyrwana ze snu matka, wściekła, syknęła parokrotnie na maleństwo, po czym ułożyła je w zgięciu ręki i zaczęła energicznie kołysać. Ale płacz tylko przybierał na sile. Zewsząd rozległy się utyskiwania rozbudzonych ludzi.

Bez namysłu, tknięty jakimś odruchem, wyciągnąłem ręce i wziąłem niemowlę z objęć matki, uśmiechając się przy tym szeroko, żeby zyskać jej zaufanie. Oddała mi dziecko bez lęku, chyba nawet z pewną ulgą.

Maleństwo było lekkie jak piórko, całe ubranko miało przemoczone. Zauważyłem to już w pierwszej chwili, układając je sobie na ramieniu i delikatnie poklepując po plecach. Poszedłem do kuchni, rozglądając się w poszukiwaniu Mordecaia bądź innego ochotnika, który mógłby mi pomóc. Panna Dolly wyszła jakąś godzinę wcześniej.

Ku memu zdumieniu płacz przycichł. Zacząłem krążyć między stołami, kołysząc dziecko i poklepując. Szukałem chociażby suchej ściereczki. Wyraźnie czułem, że przemięka mi rękaw kurtki.

W co ja się wpakowałem? Co tu robiłem, do diabła? Co by pomyśleli znajomi, widząc mnie wałęsającego się po mrocznej kuchni przykościelnej stołówki i kołyszącego w ramionach kwilące dziecko ulicy? Miałem nadzieję, że powodem płaczu maleństwa jest tylko przemoczona pieluszka.

Raz i drugi pociągnąłem nosem, ale nie czułem żadnego przykrego zapachu. Za to oczami wyobraźni ujrzałem stada wszy przeskakujących na mnie z niemowlęcia. W końcu pojawił się mój wybawiciel, Mordecai, i zapalił światło.

- Jaki piękny widok - rzekł.

- Macie tu pieluszki na zmianę? - spytałem szeptem.

- A to drobna sprawa czy grubsza? - rzekł, ruszając w kierunku szafki pod ścianą.

- Nie wiem. Na pewno pilna.

Kiedy wyjął paczkę pampersów, z radością przekazałem maleństwo pod jego opiekę. Lewy rękaw kurtki miałem doszczętnie przemoczony. Green z wprawą ułożył - jak się okazało - dziewczynkę na stole, rozwinął kocyki, wyrzucił zasikaną pieluszkę, kawałkiem papierowego ręcznika wytarł małej pupę, podłożył jej świeżego pampersa, szybko zapakował z powrotem i przekazał mi zawiniątko.

- Proszę uprzejmie - rzekł z dumą. - Suchutkie, jak nowe.

- Takich rzeczy nie uczą na studiach prawniczych - mruknąłem, ponownie układając sobie niemowlę na ramieniu.

Jeszcze przez godzinę chodziłem po kuchni z maleństwem na ręku, dopóki nie usnęło smacznie. Później owinąłem je dodatkowo swoją wełnianą kurtką i ostrożnie położyłem między matką a Ontario.

Dochodziła trzecia nad ranem, musiałem wracać do domu. Moja nadwreżona świadomość społeczna nie potrafiła znieść więcej na jeden raz. Mordecai odprowadził mnie na ulicę i podziękował za pomoc, wyrażając nadzieję, że nie zmarznę bez kurtki. Samochód był tam, gdzie go zaparkowałem, obsypany jedynie świeżym śniegiem.

Green stał jeszcze przed drzwiami kościoła, kiedy odjeżdżałem.

ROZDZIAŁ 9

Od czasu wtorkowej przygody z Panem nie wystawiłem rachunku za ani jedną godzinę pracy dla ukochanej kancelarii Drake'a i Sweeneya. Od pięciu lat rozliczałem się średnio z dwustu godzin w miesiącu, co oznaczało po osiem godzin harówki przez sześć dni w tygodniu plus jeszcze kilkanaście nadgodzin. Żaden dzień nie mógł iść na marne, tylko wyjątkowo pozwalałem sobie na krótkie przerwy, za które nie płacili klienci firmy. Kiedy zostawałem w tyle za innymi, co zdarzało się raczej rzadko, brałem po dwanaście godzin pracy w soboty, a czasem i w niedziele. Zresztą nawet gdy nie byłem do tyłu, potrafiłem poświęcać na pracę siedem czy osiem godzin w soboty i zaglądać do biura także w niedziele. Nic dziwnego, że Claire postanowiła ukończyć studia medyczne.

Kiedy w tę sobotę nad ranem padłem w końcu na łóżko i zapatrzyłem się w sufit, sparaliżowała mnie świadomość, że nie jestem zdolny do dalszej pracy. W ogóle nie miałem ochoty wracać do biura. Brzydziłem się samą myślą o tym. Z mej pamięci wypłynął widok ułożonych w równiutkim szeregu różowych kartek z wiadomościami telefonicznymi oraz informacjami o zorganizowanych przez zwierzchników spotkaniach, powróciły nie kończące się pytania o stan mego zdrowia, łowione mimochodem plotki rozsiewane przez łowców sensacji i obowiązkowe: „Jak leci?“, serwowane zarówno przez przyjaciół, szczerze zainteresowanych moją sytuacją, jak i wszystkich tych, którym byłem całkowicie obojętny. Ale najbardziej odpychająco działała na mnie wizja powrotu do nudnej rutyny. Sprawy antytrustowe są obszerne i złożone, papierów zbiera się tyle, że trzeba je przechowywać w kartonowych pudłach zamiast w zwykłych teczkach. I o co chodzi w gruncie rzeczy? O zatargi między przedsiębiorstwami, z których każde jest warte grube miliardy i zatrudnia setki prawników, ci zaś produkują tony papierów i papierków.

Musiałem szczerze przyznać przed samym sobą, że nigdy nie lubiłem tej roboty. Traktowałem ją wyłącznie jako środek do osiągnięcia wyznaczonego celu. Wystarczyło ciężko pracować, zdobyć specjalizację, osiągnąć znaczną praktykę, żeby któregoś dnia zostać powołanym do grona błogosławionych. Równie dobrze mogło to być prawo podatkowe, prawo pracy czy powództwo cywilne. Jak można wzbudzić w sobie zamiłowanie do prawa antytrustowego?

Wysiłkiem woli zmusiłem się do tego, żeby wstać i wziąć prysznic.

Na śniadanie kupiłem kawę i rogaliki w ciastkarni przy ulicy M, zjadłem je, prowadząc

jedną ręką samochód. Ciekaw byłem, czy Ontario dostał już jakiś posiłek, szybko jednak doszedłem do wniosku, że nie wolno się bardziej zadreć psychicznie. Ostatecznie miałem prawo jeść bez poczucia winy, choć pożywienie dziwnym sposobem straciło dla mnie smak.

Według prognozy pogody maksymalna temperatura w dzień powinna osiągnąć minus siedem stopni, wieczorem mogła spaść nawet do minus siedemnastu.

Udało mi się dotrzeć aż do głównego holu bez narażania się na przyjemność spotkania kogokolwiek z mojej kasty. Ale tuż za mną wbiegł do windy Bruce Jakiśtam, o ile pamiętam, z sekretariatu firmy, i natychmiast powitał mnie rzetelnym:

- Jak leci, kolego?

- W porządku. A co u ciebie? - odpowiedziałem niemal odruchowo.

- Wszystko gra. Pewnie wiesz, że sporo osób na ciebie stawia. A więc trzymaj się.

Pokiwałem głową, jakby jego słowa rzeczywiście dodały mi otuchy. Na szczęście wysiadł już na pierwszym piętrze, ale wcześniej musiał mnie protekcyjnie poklepać po ramieniu. Masz rację, Bruce, pokażemy im wszystkim - pomyślałem.

Nie byłem zdolny do niczego. Powlokłem się obok stanowiska recepcyjnego pani Devier i drzwi sali konferencyjnej, potem dalej marmurowym korytarzem, aż dotarłem do swego gabinetu, gdzie niemal wycieńczony opadłem ciężko na fotel.

Polly na dwa sposoby segregowała telefoniczne śmieci. Kiedy reagowałem na wiadomości wystarczająco sumiennie, kartki z informacjami, pogrupowane tematycznie, układała tuż przy aparacie telefonicznym. Kiedy zaś je ignorowałem, z prawdziwym zamiłowaniem robiła mi pośrodku biurka autentyczny ocean różowej makulatury, przy czym, rzecz jasna, wszelkie karteluszkę musiały być ułożone w ścisłym chronologicznym porządku.

Naliczyłem aż trzydzieści dziewięć kartek z notesu, na niektórych widniał dopisek „pilne”, część zawierała wiadomości od przełożonych. Chyba szczególnie Rudolph z irytacją odbierał moje zachowanie, bo w utworzonym przez Polly desenie wyróżniały się informacje od niego. Uważnie przejrzałem te notatki, po czym ułożyłem je razem na skraju blatu. Przede wszystkim chciałem w spokoju i bez pośpiechu napić się kawy. Z kubeczkim w dłoniach odsunąłem się od biurka i zapatrzyłem w przeciwległą ścianę. Odnosiłem wrażenie, że siedzę na krawędzi przepaści i ciekawie zerkam w dół.

Niespodziewanie do pokoju wkroczył Rudolph we własnej osobie. Widocznie szpiedzy musieli mu donieść o moim przybyciu, może zauważył mnie któryś z aplikantów, a może Bruce po wejściu do sekretariatu natychmiast sięgnął po słuchawkę. Mogło się wydawać, że cała firma jest specjalnie wyczulona na moją obecność. Było to jednak mało prawdopodobne, wszyscy mieli własną robotę.

- Cześć, Mike - rzekł swobodnym tonem, usiadł i założył nogę na nogę, co miało oznaczać, że nie wpadł ot tak, na chwilę, lecz przygnała go ważna sprawa.

- Cześć, Rudy - odparłem. Nigdy dotąd nie zwracałem się do niego w ten sposób, nie pozwalałem sobie na poufałość. Tylko obecna żona i partnerzy z zarządu mieli prawo używać zdrobniałej formy imienia Rudolpha.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytał szybko, ale bez śladu zainteresowania.

- Byłem w Memphis.

- W Memphis?

- Tak. Odwiedziłem rodziców. Poza tym byłem u rodzinnego psychologa.

- U kogo?

- Psychoanalityka. Zatrzymał mnie na dwudniową obserwację.

- Na obserwację?

- Zgadza się. Pewnie znasz podobnych magików, co przyjmują ludzi na perskich dywanach, częstują wędzonym łososiem i biorą po tysiąc dolarów za całodzienny seans.

- Trzymał cię aż dwa dni? Naprawdę uznał to za konieczne?

- Tak.

Kłamałem bez zmrużenia oka, ale nie odczuwałem z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Firma potrafiła się obchodzić z ludźmi bardzo ostro i bezwzględnie, a ja nie byłem w nastroju do podlizywania się Rudolphowi. W końcu wypełniał jedynie polecenia zarządu i z pewnością musiał złożyć raport zaraz po wyjściu z pokoju. Wiedziałem więc, że jeśli uda mi się go zmiękczyć, raport będzie pozytywny i kierownictwo przestanie się o mnie martwić. Zależało mi tylko na jednym, ułatwieniu sobie życia.

- Powinieneś przynajmniej zostawić wiadomość - rzekł jeszcze dość ostrym tonem, ale wyraźnie humor mu się już poprawiał.

- Wiem, Rudolphie, ale znalazłem się z dala od ludzi i telefonów.

Mój głos brzmiał wystarczająco uległe, żeby przynieść pożądany efekt. Po dłuższej przerwie padło sakramentalne pytanie:

- Dobrze się czujesz?

- Tak, wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Psychoanalityk stwierdził, że nic mi nie dolega.

- Na sto procent?

- Na sto dziesięć. Naprawdę wszystko gra, Rudolphie. Musiałem tylko odpocząć, nic

więcej. Czuję się doskonale i wracam do roboty w szczytowej formie.

Chyba właśnie to chciał usłyszeć, gdyż uśmiechnął się, rozluźnił i rzekł:

- Mamy mnóstwo pracy.

- Wiem. Już nie mogę się doczekać.

Prawie wybiegł z mojego gabinetu. Domyślałem się, że natychmiast popędzi do telefonu i zamelduje, iż jeden z najważniejszych prawników kancelarii znowu stanął w pierwszym szeregu.

Zamknąłem drzwi na klucz i zapaliłem światło. Spędziłem całą długą godzinę na bolesnym zapełnianiu biurka stosami notatek i formularzy. Niczego nie zdołałem skończyć, ale przynajmniej nadrobiłem trochę zaległości.

Kiedy nie mogłem już tego dłużej wytrzymać, wetknąłem plik kartek z wiadomościami telefonicznymi do kieszeni i wyszedłem. Udało mi się wymknąć z gmachu niepostrzeżenie.

W dużym całodobowym sklepie przy Massachusetts Avenue zrobiłem wspaniałe zakupy: cukierki i trochę drobnych zabawek dla dzieciaków, mydło i inne środki higieny dla całej rodziny, a także skarpety i spodenki w trzech różnych rozmiarach. Dorzuciłem do tego paczkę pampersów. Nigdy dotąd z tak wielką radością nie wydałem w sklepie dwustu dolarów.

Zresztą byłem w stanie dać z siebie wszystko, byle tylko zapewnić samotnej matce z czworgiem dzieci jakiś ciepły i suchy ką. Rozmyślałem nad tym, czy nie wynająć dla nich pokoju hotelowego na miesiąc z góry. Widziałem w tej kobiecie potencjalną klientkę i miałem ochotę w jej imieniu z dziką furią skarżyć kogo popadnie, dopóki nie wywalczę jakiegoś godnego schronienia. Wręcz nie mogłem się doczekać możliwości złożenia w tej sprawie pozwu.

Znów zatrzymałem wóz naprzeciwko kościoła, wciąż jeszcze pełen obaw, choć już nie tak przestraszony jak poprzedniego wieczoru. Przezornie zostawiłem torby z zakupami w samochodzie, gdyż bałem się, że mogę wywołać zamieszki, gdy wkroczę do środka obładowany niczym święty Mikołaj. Chciałem zabrać z przytułku całą rodzinę, zameldować ją w jakimś hoteliku, rozlokować w pokoju, dopilnować kąpieli, dezynsekcji i przebrania w czyste ciuchy, potem nakarmić wszystkich, ewentualnie zadbać o opiekę lekarską, może nawet zaopatrzyć w buty oraz cieplejsze ubrania i w miarę potrzeby dostarczyć jeszcze żywności. Nie obchodziło mnie ani ile to będzie kosztowało, ani ile czasu mi zajmie.

Miałem też w nosie, że ludzie potraktują mnie jak kolejnego zbzikowanego białego bogacza, pragnącego jednym dobrym uczynkiem zmazać swoje poczucie winy.

Panna Dolly bardzo się ucieszyła na mój widok. Powitała mnie serdecznie i natychmiast

wskazała stertę jarzyn, które trzeba było obrać. Wcześniej jednak wyruszyłem na poszukiwanie Ontario i jego rodziny. Lecz nie było ich w kościele. Przeczesałem całą salę w podziemiach, ostrożnie przestępując nad dziesiątkami drzemiących mieszkańców ulicy. Nie znalazłem ich także w głównej części kościoła ani na balkonie.

Podczas obierania ziemniaków wdałem się w przyjacielską pogawędkę z panną Dolly. Przypomniała sobie samotną matkę z czwórką dzieci, orzekła jednak, że nie widziała jej już w stołówce, kiedy stanęła dziś rano przy kuchni.

- Dokąd mogli pójść? - zapytałem.

- Ci ludzie stale się gdzieś przenoszą, skarbie. Wędrują od jednej stołówki do drugiej i od przytułku do przytułku. Może tę kobietę skusiły plotki, że dziś w Brightwood rozdawano kawałki sera, a może zachęciły ją świeże koce w jakimś innym schronisku. Nie da się też wykluczyć, że złapała dorywczą pracę, na przykład w barze McDonalda, a dzieci zostawiła pod opieką siostry. Trudno za nimi trafić. Nigdy nie zatrzymują się na dłużej w jednym miejscu.

Osobiście wątpiłem, żeby matka Ontario mogła dostać jakąś pracę, nie chciałem się jednak spierać z panną Dolly, szczególnie tu, w jej udzielnym królestwie.

Kiedy w porze lunchu zaczęła się ustawiać kolejka, przyjechał także Mordecai. Zobaczył mnie z daleka i jego twarz nagle się rozpromieniła.

Do robienia kanapek został oddelegowany jeden z nowych ochotników, wraz z Greenem wzięliśmy na siebie rozdzielanie porcji. Okazało się, że wiosłowanie chochlą w garze i nalewanie zupy do misek także wymaga pewnej wprawy. Kiedy nalewało się za dużo rzadkiego, oburzony klient natychmiast protestował, ale po kilku hojniejszych zaczerpnięciach jarzyn z dna w garnku pozostawała prawie sama rzadka zupa. Mordecai już przed laty musiał doprowadzić technikę jej rozlewania do perfekcji, ja usłyszałem sporo nieprzyjemnych uwag, zanim jako tako opanowałem tę sztukę. W dodatku Green miał zawsze parę ciepłych słów dla obsługiwanych biedaków - cześć, dzień dobry, jak leci, miło mi znów widzieć pana, panią. Niektórzy odpowiadali uśmiechem, inni nawet nie podnosili wzroku w białego w podłogę.

Jeszcze przed południem w sali było tłoczno, kolejka wielokrotnie się wydłużyła. Na szczęście przybywało także ochotników, więc i w kuchni narastał gwar rozmów oraz brzęk naczyń, powstawała miła atmosfera wykonywanej z radością pracy.

Wciąż rozglądałem się za Ontario. Święty Mikołaj z utęsknieniem czekał na nieświadomą niczego rodzinę.

Kiedy wreszcie kolejka zniknęła, nalaliśmy sobie po miseczce zupy. Przy stołach nie było gdzie wetknąć szpilki, zjedliśmy więc na stojąco w kuchni, oparci o zlew.

- Pamiętasz, jak poprosiłem cię wczoraj o pomoc przy zmianie pieluszki? - zagadnąłem w trakcie posiłku.

- Jak mógłbym zapomnieć?

- Nie widziałem dziś tej kobiety z dziećmi.

Mordecai zamyślił się na chwilę.

- Mam wrażenie, że spała jeszcze pod ścianą, gdy wychodziłem nad ranem.

- Która to była godzina?

- Szósta. Siedzieli tam, w kąciaku obok przejścia. Dzieciaki spały jak zabite.

- Dokąd mogli pójść?

- A któż to wie?

- Ten chłopczyk powiedział mi wczoraj, że mieszkają w samochodzie.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak.

- I dlatego chciałbyś ich dzisiaj odnaleźć, zgadza się?

- Owszem.

- Nie licz na to za bardzo.

Po lunchu niebo się trochę rozchmurzyło i nastał wzmożony ruch. Wiele osób podchodziło do lady, częstowało się jabłkiem lub pomarańczą i wracało na ulicę.

- Nieodłączną cechą bezdomnych jest ruchliwość - wyjaśnił Mordecai, mierząc spojrzeniem pustoszejącą z wolna salę. - Lubią się stale przenosić. Mają swoje obyczaje i rytuały, ulubione miejsca, przyjaciół z ulicy, różnorodne zajęcia. Uparcie wracają do parków i zaułków, żeby jutro znów się wygrzebywać z zasp śniegu.

- Teraz jest siedem stopni mrozu, ale w nocy temperatura może spaść nawet do minus siedemnastu - odparłem.

- A to znaczy, że wrócą i tu. Jeśli zaczekasz do zmierzchu, zobaczysz, znów zrobi się tłoczno. Na razie proponuję krótką przejażdżkę.

Odmeldowaliśmy się u panny Dolly, która chwilowo nie miała dla nas pracy. Mocno sfatygowany ford taurus Greena stał tuż za lexusem.

- Takie cacko nie ma większej przyszłości w tej okolicy - powiedział, wskazując mój samochód. - Gdybyś zamierzał bywać tu częściej, radzę zmienić środek lokomocji.

Nie wyobrażałem sobie rozstania z ulubionym autem. A ryzyko jego utraty istniało wszędzie i zawsze.

Wsiadliśmy do taurusa i włączyliśmy się do ruchu. Już po paru minutach zyskałem

przeświadczenie, że Green jest marnym kierowcą, postanowiłem więc zapiąć pas bezpieczeństwa. Ale zatrząsk był wyłamany. Właścicielowi pojazdu chyba wcale to nie przeszkadzało.

Jeździe w dzielnicy Północno-Zachodniej odśnieżono do czysta. Mijaliśmy szeregi opustoszałych kamienic z pozabijanymi oknami, mroczne zaułki, do których nie chcieli wjeżdżać kierowcy karettek pogotowia, zapuszczone szkoły za parkanami zwieńczonymi nowym, błyszczącym drutem kolczastym. Zagłębialiśmy się w okolice permanentnie nękane ulicznymi zamieszkami. Mordecai okazał się jednak wspaniałym przewodnikiem. Nic dziwnego, był na swoim terenie. Opowiadał o rozmaitych zdarzeniach związanych z poszczególnymi ulicami czy budynkami. Mijaliśmy też inne schroniska i stołówki dla bezdomnych. Green znał nie tylko pastorów z poszczególnych parafii, ale nawet szefów kuchni w przytułkach. W jego pojęciu parafie dzieliły się na dobre i złe, bez żadnego stopniowania na skali ocen. To znaczy wrota kościołów trzymano albo otwarte, albo zamknięte dla bezdomnych. Pokazał mi gmach studium prawniczego w Howard, które ukończył, z czego był niesamowicie dumny. Przez pięć lat uczył się po nocach, dniami zaś pracował na półtora etatu. Pokazał mi też wypalony do szczytu budynek, gdzie miała niegdyś swą siedzibę szajka handlarzy narkotyków. Właśnie na chodniku przed tym domem zginął od kul jego trzeci syn, Cassius.

Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu biura, zapytał, czy nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli wpadnie tam na chwilę. Chciał odebrać korespondencję. Nie zgłosiłem sprzeciwu, uważałem się jedynie za biernego uczestnika tej wycieczki.

W wychłodzonych pomieszczeniach ośrodka panowały egipskie ciemności. Ledwie Mordecai zapalił światło, zaczął gadać jak najęty.

- Jest nas tu troje. Ja, Sofia Mendoza i Abraham Lebow. Sofia jest z zawodu opiekunką społeczną, ale wie chyba więcej na temat praw bezdomnych, niż ja i Abraham razem wzięci. - Powoli szedłem za nim między zaśmieconymi biurkami. - Dasz wiarę, że kiedyś ośrodek zatrudniał nawet siedmiu prawników? Wtedy jeszcze byliśmy finansowani z budżetu, w którym specjalnie rezerwowano pieniądze na pomoc prawną dla najuboższych. Teraz, dzięki republikanom, nie dostajemy od rządu ani centa. Po tej stronie korytarza są trzy pokoje, po tej także. - Wskazał mi pozamykane drzwi. - Mamy mnóstwo nie wykorzystanej przestrzeni.

Chodziło mu o przestrzeń nie wykorzystaną wyłącznie ze względu na brak personelu, bo i tak trudno było przejść w głąb ośrodka, nie potykając się o sterty teczek z dokumentami bądź starych zakurzonych podręczników prawa.

- Do kogo należy ten budynek? - spytałem.

- Do Fundacji Cohena. Leonard Cohen był założycielem znanej nowojorskiej kancelarii adwokackiej. Zmarł w osiemdziesiątym szóstym, miał wtedy chyba ze sto lat. Zarobił kupę forsy i pod koniec życia doszedł do wniosku, że nie chce ich zabierać do grobu. Zaangażował się więc w działalność charytatywną i między innymi zainicjował akcję pomocy adwokatów dla bezdomnych nędzarzy. W ten sposób narodził się nasz ośrodek. Fundacja prowadzi trzy podobne placówki, tutaj, w Nowym Jorku i w Newark. Ja zostałem zaangażowany w osiemdziesiątym trzecim, a rok później mianowano mnie kierownikiem ośrodka.

- Jesteście finansowani tylko z jednego źródła?

- W zasadzie tak. W ubiegłym roku fundacja przeznaczyła na naszą działalność sto tysięcy dolarów. Rok wcześniej dostaliśmy sto pięćdziesiąt, musieliśmy zatem zwolnić jednego pracownika. Co roku jest nas coraz mniej. Zarząd fundacji popełnił jakieś błędy inwestycyjne i pula pieniędzy stopniowo się kurczy. Wątpię, czy przetrwamy jeszcze pięć lat. Może nawet za trzy nie będzie już tego ośrodka.

- Nie wolno wam zarabiać na własną rękę?

- Próbujemy, ale w ubiegłym roku nasz dochód wyniósł zaledwie dziewięć tysięcy dolarów. Wszystko wymaga czasu, a zarabianie forsy koliduje z bezpłatną pomocą dla najuboższych. Zresztą Sofia niezbyt dobrze radzi sobie w bezpośrednich kontaktach z ludźmi, natomiast Abraham to typowy nowojorczyk, mrukiwy i szorstki. Z naszej trójki tylko ja odznaczam się pewną dozą magnetyzmu.

- Jakie macie koszty? - spytałem prawie z czystej ciekawości. Wiedziałem, że każda tego typu niedochodowa placówka musi co roku publikować raport ze szczegółowym rozliczeniem finansów.

- Dwa tysiące miesięcznie. Po uregulowaniu rachunków i odłożeniu pewnej skromnej rezerwy zostaje nam do podziału osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów. Dzielimy się tym równo, Sofia uważa siebie za równorzędnego współnika ośrodka. Szczerze mówiąc, obaj boimy się z nią dyskutować na ten temat. Zatem przynoszę do domu prawie trzydzieści tysięcy rocznie, co, jak słyszałem, jest mniej więcej średnim dochodem dla najuboższych prawników. Witaj w świecie ulicznych adwokatów.

Dotarliśmy w końcu do jego gabinetu.

- Czyżbyście zapomnieli ostatnio uregulować rachunek za ogrzewanie? - zapytałem, ponieważ przeszył mnie dreszcz.

- Niewykluczone. Rzadko ktoś tu zagląda w czasie weekendów, a staramy się maksymalnie oszczędzać. Zresztą te stare mury bardzo trudno nagrzać zimą i ochłodzić latem.

W kancelarii Drake'a i Sweeneya nigdy nie musiałem sobie zaprzętać głowy takimi

sprawami. Z drugiej strony odcięcie się od spraw zawodowych w weekendy ratowało nie tylko wątle fundusze, ale i małżeństwa.

- Poza tym gdyby było tu nazbyt przytulnie, nasi klienci nie chcieliby wracać na ulicę. Dlatego zimą jest zimno, a latem gorąco. W ten sposób nie mamy kolejki przed wejściem. Napijesz się kawą?

- Nie, dziękuję.

- Pewnie się domyślasz, że tylko żartowałem. Nigdy nie zrobilibyśmy niczego, żeby odstraszyć bezdomnych przed wizytą w naszym ośrodku. Po prostu panujące tu warunki nie mają dla nas znaczenia. Przyjmujemy zazwyczaj ludzi tak zmarzniętych i wygłodniałych, że ani nam w głowie przejmowanie się drobiazgami. A ty nie doświadczyłeś poczucia winy, kiedy siadałeś dziś rano do śniadania?

- Owszem.

Uśmiechnął się i popatrzył na mnie z miną starego wygi, który setki razy stykał się z podobną reakcją.

- To normalne. Często miewamy do czynienia z młodymi pracownikami wielkich, bogatych firm. Nazywamy ich żółtodziobami dobroczynności. I wszyscy powtarzają, że pierwszym efektem kontaktów z nieszczęściami ludzkiej biedoty jest utrata apetytu. - Energicznie poklepał się po brzuchu. - Przywykniesz i do tego.

- Czym się zajmują te żółtodzioby dobroczynności?

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że daję się schwytać na przynętę. Ale Green chyba wyczuwał, że robię to całkiem świadomie.

- Zabieramy ich do przytułków. Tam spotykają się z klientami i pod naszym nadzorem przejmują nad nimi opiekę prawną. Większość spraw jest bardzo prosta, wystarczy poświęcić trochę czasu przy telefonie i nawrzeszczyć na tego czy innego urzędnika, który nie wywiązuje się z obowiązków. Zazwyczaj chodzi o kartki żywnościowe, emerytury i renty, naliczenia ulgowych czynszów, bezpłatną opiekę lekarską czy pomoc materialną dla dzieci. W przybliżeniu jedna czwarta naszych spraw dotyczy rozmaitych zapomóg i zasiłków.

Słuchałem z uwagą, on zaś jakby czytał w moich myślach. Stopniowo zaczynał owijać mnie wokół palca.

- Musisz zrozumieć, Michaelu, że z bezdomnymi nikt się nie liczy. Nikt nie chce ich wysłuchać czy o cokolwiek się zatroszczyć, dlatego też nie spodziewają się znikąd żadnej pomocy. Jeśli tylko próbują przez telefon upomnieć się o należne im zasiłki, napotykają mur obojętności. Są w kółko odsyłani od Annasza do Kajfasza. Nie otrzymują nawet żadnej odpowiedzi, bo nie mają stałego adresu. A urzędasów nic to nie obchodzi, że odprawiają z

kwitkiem ludzi, którym powinni pomagać. Doświadczony pracownik pomocy społecznej może wydebić tylko tyle, że ktoś zapozna się ze sprawą, ewentualnie zajrzy do papierów, czasami nawet oddzwoni. Ale gdy włączy się do tego adwokat, podniesie głos i zrobi piekło, od razu wydarzenia nabierają tempa. Dajemy urzędnikom motywację do działania. Papierki wreszcie zaczynają krążyć. Brak stałego adresu? Nie ma sprawy. Proszę przysłać czek do mojego biura, ja go przekażę klientowi.

Mówił coraz głośniej, szeroko gestykułując. Był znakomitym gawędziarzem. Nie miałem wątpliwości, że jego wystąpienia powinny zrobić wrażenie na każdym składzie ławy przysięgłych.

- Opowiem ci coś zabawnego - ciągnął. - Jakiś miesiąc temu jeden z moich klientów poszedł do rejonowego urzędu pomocy społecznej, żeby wypełnić formularz o przyznanie zapomogi. Wszyscy przez to przechodzą, ale człowiek, o którym mówię, to sześćdziesięciolatek cierpiący na dokuczliwe bóle w krzyżu. Po dziesięciu latach sypania na kamiennych murkach i parkowych ławkach każdy by się nabawił chronicznego zapalenia korzonków. No więc najpierw stał przez dwie godziny w kolejce na ulicy, potem jeszcze godzinę w poczekalni, a kiedy w końcu usiadł przy biurku urzędniczki i chciał wyjaśnić, po co przyszedł, kobieta, która widocznie wstała lewą nogą, zrugła go ostro za opieszałość i zrobiła jakąś nieprzyjemną uwagę na temat przykrego zapachu. Co zrozumiałe, facet poczuł się urażony i natychmiast stamtąd wyszedł. Powiadomił mnie, ja zadzwoniłem, gdzie trzeba, no i w ubiegłą środę w tym samym urzędzie odbyła się mała uroczystość. Poszedłem na nią ze swoim klientem. Oprócz tej opryskliwej urzędniczki czekał na nas jej zwierzchnik, kierownik urzędu, dyrektor stołecznego wydziału i jeszcze jakaś szycha z Centralnego Zarządu Opieki Społecznej. Kobieta uroczyście odczytała całostronicowy tekst serdecznych przeprosin. Atmosfera była naprawdę wzruszająca. Później przekazała mojemu klientowi formularz wniosku o przyznanie zapomogi, po czym od wszystkich obecnych uzyskaliśmy zapewnienie, że jego sprawa zostanie załatwiona poza kolejnością. To jest właśnie sprawiedliwość, Michaelu. O to walczą uliczni adwokaci, o ludzką godność.

Dalsze opowieści posypały się jak z rękawa, a w każdej z nich obrońcy ulicy byli nieugiętymi orędownikami prawa, natomiast bezdomni zwycięzcami. Świetnie zdawałem sobie sprawę, czemu ma służyć ten wręcz niewyczerpany repertuar budujących przykładów.

Stopniowo ztracałem poczucie czasu. Green chyba zapomniał, po co tu przyjechaliśmy. W końcu wyszliśmy z biura i pojechaliśmy z powrotem do przytułku.

Dotarliśmy tam na godzinę przed zmierzchem, według mnie o najlepszej porze do tego, by się pożegnać z przytulnym podziemiem kościoła i wracać do domu, zanim na ulicę wysypią

się najgorsze szumowiny. Czułem się jednak znakomicie w towarzystwie Mordecaia. Przy jego boku śmiało, z podniesionym czołem chodziłem po tych częściach miasta, gdzie sam przemykałbym zapewne wzdłuż murów, nisko pochylony, ze zdenerwowania ledwie dotykając stopami ziemi.

Okazało się, że panna Dolly znów wyczarowała całą stertę gotowanych kurcząt i bardzo liczyła na moją pomoc przy oddzielaniu mięsa od kości. Nie potrafiłem jej odmówić. Zakasałem rękawy i śmiało zanurzyłem palce w parującej masie.

Przed największym nasileniem prac dołączyła do nas żona Mordecaia, JoAnne. Była równie sympatyczna jak jej mąż, niewiele też ustępowała mu wzrostem. Obaj ich synowie mieli po sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wysokości. Siedemnastoletni Cassius przekroczył nawet dwa metry i wróżono mu wielką karierę koszykarza, którą niespodziewanie przerwała śmierć w ulicznej strzelaninie.

Wyszedłem stamtąd o północy. Nie spotkałem Ontario i jego rodziny.

ROZDZIAŁ 10

W niedzielę rano zadzwoniła Claire. Krótka wymiana zdawkowych uprzejmości miała służyć wyłącznie zapoznaniu mnie z dokładną porą jej powrotu do domu. Zaproponowałem, żebyśmy zjedli obiad w naszej ulubionej restauracji, lecz była w kiepskim nastroju. Wołałem już nie pytać, czy zdarzyło się coś przykrego. Od dawna nie interesowaliśmy się nawzajem podobnymi sprawami.

Mieszkaliśmy na drugim piętrze, toteż od samego początku nie udawało mi się znaleźć żadnego sposobu na to, aby niedzielne wydania „The Washington Post” dostarczano nam pod drzwi. Wypróbowywaliśmy najróżniejsze metody, ale zazwyczaj przynosiły taki skutek, że gazeta w ogóle do nas nie docierała.

Wziąłem prysznic i grubo się ubrałem. W prognozie zapowiadano na dzień czterostopniowy mróz. Szykowałem się już do wyjścia, kiedy z ulicy doleciał głos roznosiciela gazet wykrzykującego tytuły nagłówek z pierwszych stron. Ośłupiałem, w pierwszej chwili ich znaczenie jeszcze do mnie nie dotarło. Dopiero po paru sekundach ze ściśniętym sercem powlokłem się do kuchni i włączyłem telewizor.

Wczoraj, około dwudziestej trzeciej, patrol policyjny zajrzał do środka samochodu porzuconego niedaleko parku Fort Trotten, w dzielnicy Północno-Wschodniej, a więc w rejonie prawie stałych zamieszek. Wóz stał przy krawężniku, z popękkanymi oponami unieruchomionymi w grubej warstwie zamarznętego błota. Wewnątrz znaleziono młodą kobietę z czwórką dzieci, wszystkich zatrutych tlenkiem węgla. Zdaniem policjantów bezdomna rodzina, która mieszkała w tymże samochodzie, chciała się nieco ogrzać i uruchomiła silnik. Tymczasem rura wydechowa była zatkana śniegiem i spaliny przedostawały się do środka. Poza kilkoma szczegółami tragedii nie podano żadnych nazwisk.

Wybiegłem z domu, z trudem łapiąc równowagę na oblodzonym chodniku. Pognałem ulicą P, skręciłem w Wisconsin Avenue i dotarłem do budki z gazetami przy skrzyżowaniu z Trzydziestą Czwartą. Przerażony, wstrzymując oddech, rozpostarłem niedzielne wydanie. Opis wypadku znajdował się na dole pierwszej kolumny, najwyraźniej dołączony do składu w ostatniej chwili. Ale tu także nie znalazłem żadnych nazwisk.

Pospiesznie odszukałem dział miejski, nie bacząc na to, że co najmniej połowa gazety wysunęła mi się na chodnik. Ciąg dalszy relacji umieszczono na stronie czternastej, ale były to głównie schematyczne komentarze oficerów policji i ostrzeżenia fachowców przed

niebezpieczeństwem, jakie stanowią zatkane rury wydechowe pojazdów. Dopiero na samym końcu trafiłem na interesujące mnie dane. Kobieta miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. Nazywała się Lontae Burton. Córeczce dała na imię Temeko. Dwaj młodsi chłopcy, Alonzo i Dante, byli dwuletnimi bliźniakami. Najstarszy, czterolatek, nosił imię Ontario.

Z mej piersi nieświadomie musiał się wyrwać jakiś jęk rozpacz, gdyż sprzedawca zmierzył mnie takim wzrokiem, jakby miał przed sobą niebezpiecznego szaleńca. Ruszyłem z powrotem, energicznie przerzucając pozostałe stronicie.

- Halo! - zawołał za mną kioskarz. - A nie byłby pan uprzejmy zapłacić za tę gazetę?

Nie zwróciłem na to uwagi. Wybiegł z budki, dopędził mnie i wrzasnął tuż nad uchem:

- Chwileczkę, koleś!

Dopiero teraz zrozumiałem, o co się piekli. Przystanąłem, wysuplałem z kieszeni jakiś banknot, bodajże pięciodolarowy, rzuciłem go na ziemię i bez słowa poszedłem dalej.

Już na ulicy P, niedaleko mojego bloku, na odcinku szczególnie pieczołowicie odśnieżonego chodnika, oparłem się o ceglany murek oddzielający szereg eleganckich domków jednorodzinnych i jeszcze raz powoli przeczytałem cały artykuł, w głębi ducha żywiąc irracjonalną nadzieję, że to nie może być prawda. Do głowy cisnęły mi się setki pytań, nawet nie umiałem ich posegregować w logiczny ciąg. Ale dwa powtarzały się uparcie: Dlaczego nie wrócili na noc do przytułku? I czy niemowlę było wciąż opatulone w moją kraciatą wełnianą kurtkę?

Myśli na temat wypadku działały na mnie paraliżująco, nie potrafiłem zrobić kroku dalej. Dopiero po przejściu pierwszego szoku uderzyło ze zdwojoną mocą poczucie winy. Dlaczego tamtej piątkowej nocy, kiedy tylko zetknąłem się z samotną matką, nie zrobiłem dla niej czegoś więcej? Przecież już wtedy mogłem ją zawieźć z dziećmi do hotelu i nakarmić do syta.

Nie zdążyłem jeszcze zamknąć drzwi mieszkania, kiedy zadzwonił telefon. Mordecai od razu zapytał, czy już czytałem dzisiejszą prasę. Ja zaś ponownie go spytałem, czy pamięta zasikaną pieluszkę. To była właśnie ta rodzina, oznajmiłem grobowym głosem. Nigdy wcześniej się z nią nie zetknął, toteż zrelacjonowałem mu szczegółowo moją krótką znajomość z Ontario.

- Bardzo mi przykro, Michael - rzekł cicho, ze smutkiem w głosie.

- Mnie również.

Nie potrafiłem nic więcej dodać, słowa wzięły mi w gardle. Umówiliśmy się na spotkanie w ciągu dnia. Opadłem ciężko na kanapę, gdzie siedziałem bez ruchu co najmniej godzinę.

Później wyszedłem przed dom, by wyciągnąć z samochodu torby z żywnością, zabawkami i odzieżą, kupionymi poprzedniego dnia.

Chyba z czystej ciekawości Mordecai odwiedził mnie w biurze w samo południe. Wielokrotnie bywał w podobnych, luksusowych i bogatych firmach prawniczych, ale chciał zobaczyć to miejsce, gdzie Pan zginął od kuli snajpera. Oprowadziłem go po sali konferencyjnej, zdając krótką relację z przebiegu dramatycznych wydarzeń.

Pojechaliśmy jego samochodem. Dziękowałem Bogu, że w niedzielę ruch jest tak niewielki, ponieważ Green zdawał się całkowicie lekceważyć obecność innych pojazdów na ulicach.

- Matka Lontae Burton ma trzydzieści osiem lat i odsiaduje dziesięcioletni wyrok za handel narkotykami - poinformował. Widocznie wcześniej spędził trochę czasu przy telefonie.

- Dwaj jej bracia także siedzą za kratkami. Lontae była parokrotnie aresztowana pod zarzutem prostytutki i handlu narkotykami. Jej ojciec, a może ojcowie, pozostają nieznani.

- Skąd masz te wiadomości?

- Odnalazłem jej babkę, która pracuje jako pomoc domowa. Kiedy ostatni raz widziała Lontae, ta miała jeszcze tylko trzech synów i aktywnie pomagała matce sprzedawać narkotyki. Starsza pani Burton właśnie z powodu tego handlu zerwała wszelkie kontakty z córką i wnuczką.

- Kto się zajmie pogrzebem?

- Pewnie ci sami ludzie, którzy chowali DeVona Hardy'ego.

- Ile kosztuje porządny pochówek całej rodziny?

- Nie ma stałego cennika. A co, jesteś tym zainteresowany?

- Chciałbym mieć pewność, że ktoś się o nich rzetelnie zatroszczy.

Przejeżdżaliśmy Pennsylvania Avenue, obok masywnych zabudowań biur Kongresu i majającego za nimi Kapitolu, toteż nie mogłem się powstrzymać, żeby w głębi ducha nie skląć siarczyście tych wszystkich idiotów, którzy co miesiąc wyrzucają w błoto miliardy, gdy tuż obok cierpią setki bezdomnych. Jak można było dopuścić, by czworo niewinnych dzieci zmarło na ulicy, niemal pod samym Kapitołem, i to tylko z tego powodu, że ich matka nie miała gdzie mieszkać? Bez wątplenia znaczna część zamożnych obywateli miasta odparłaby, że w ogóle nie powinny były przyjść na świat.

Zwłoki przewieziono do kostnicy przy biurze naczelnego patologa miasta, mieszczącym się w piętrowej przybudówce obok gmachu centralnej waszyngtońskiej kliniki. Czekały tam na odebranie przez rodzinę. Gdyby nikt się nie zgłosił w ciągu czterdziestu ośmiu

godzin, ciała miały być umieszczone w prostych drewnianych trumnach i pochowane na cmentarzu obok stadionu Kennedy'ego.

Mordecai ustawił wóz w zastrzeżonej części parkingu, wyłączył silnik i po chwili namysłu zapytał:

- Na pewno chcesz tam wejść?
- Raczej tak.

Wcześniej uprzedził telefonicznie o swojej wizycie, gdyż bywał tu niejednokrotnie. Mimo to w wejściu zatrzymał nas strażnik w źle dopasowanym mundurze. Green wyskoczył na niego z takim hukiem, że nawet ja się przestraszyłem.

Zostaliśmy szybko przepuszczeni. Na końcu korytarza znajdowały się przeszkłone drzwi z wielkim czarnym napisem: KOSTNICA. Green wkroczył do środka z impetem, jakby był tu gospodarzem.

- Nazywam się Mordecai Green, jestem adwokatem i reprezentuję rodzinę Burtonów - rzucił groźnie w stronę młodego sanitariusza siedzącego na stanowisku recepcyjnym.

Ale tamten bez pośpiechu przebiegł wzrokiem nazwiska w rejestrze, potem zaczął flegmatycznie przekładać jakieś papierki.

- Co pan wyprawia, do cholery?! - warknął Mordecai.

Sanitariusz podniósł głowę, widocznie chciał coś ostro odpowiedzieć, ale ugryzł się w język na widok górującego nad nim olbrzymia.

- Chwileczkę - mruknął i odwrócił się do komputera.

Mordecai spojrzał na mnie i rzekł głośno:

- Można by pomyśleć, że mają tu tysiące zwłok.

Dotarło do mnie, że z identyczną wrogością odnosi się do wszystkich urzędników i pracowników państwowych. Kiedy przypomniałem sobie jego relację z uroczystego odczytania przeprosin w biurze opieki społecznej, pomyślałem, że dla Greena praktyka adwokacka polega głównie na wygłaszaniu pogrózek.

Po kilku minutach z korytarza wyszedł jakiś śmiertelnie blady typek o włosach nieudolnie ufarbowanych na czarno, który przedstawił się jako Bill. Miał na sobie granatowy fartuch laboratoryjny, chodził w profilaktycznym obuwiu na grubej gumowej podeszwie. Aż zacząłem się zastanawiać, skąd władze biorą ludzi do pracy w kostnicy.

Poprowadził nas w głąb budynku korytarzem wyłożonym białymi kafelkami, w którym panował wyczuwalny chłód. Dotarliśmy wreszcie do drzwi głównej sali kostnicy.

- Ile zwłok dzisiaj macie? - zapytał Mordecai takim tonem, jakby jego najważniejszym zadaniem było gromadzenie danych statystycznych.

- Dwanaście - odparł Bill, naciskając klamkę.
- Dobrze się czujesz? - Green zwrócił się do mnie.
- Sam nie wiem.

Weszliśmy do sali.

W powietrzu unosiła się ostra woń środków odkażających. I tu podłoga była wyłożona białymi płytkami, od których odbijało się niebieskawe światło jarzeniówek. Podreptałem za Greenem z głową nisko spuszczoną, mimo woli zerkając ciekawie na boki. Na stołach leżały ciała poprzykrywane białymi prześcieradłami od czubków głów do kostek, dokładnie tak, jak pokazują to na filmach. Na tle śmiertelnie białych stóp odcinały się kartki identyfikacyjne pozawieszane na dużych palcach. Nieco dalej spod materiału wystawały stopy o ciemniejszej karnacji.

Skręciliśmy za róg. Pod lewą ścianą stały szeregiem stoliki na kółkach, pod prawą dalsze stoły ze zwłokami.

- Lontae Burton - obwieścił głośno Bill i teatralnym gestem szarpnął jedno z prześcieradeł, odsłaniając do pasa leżące pod nim ciało.

Tak, to była matka Ontario. Ubrano ją w białą szpitalną koszulę nocną. Śmierć nie zostawiła żadnych śladów na jej twarzy, kobieta wyglądała tak, jak gdyby spała. Zapatrzyłem się na nią.

- Zgadza się, to ona - rzekł Mordecai pewnie, jakby identyfikował starą znajomą.

Obejrzał się na mnie, toteż potwierdziłem skinieniem głowy. Bill odwrócił się na pięcie w stronę sąsiedniego stołu. Wstrzymałem oddech. Cała czwórka dzieci leżała pod jednym prześcieradłem.

Ułożono je tuż obok siebie, ramię przy ramieniu, z rączkami splecionymi na piersiach, w pozie uśpionych aniołków, choć były to raczej niedoszłe uliczne wyrostki.

Miałem diabelną ochotę przytulić Ontario, poklepać go po ramieniu i powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Chciałem go obudzić, zabrać do domu, nakarmić i dać mu wszystko, czego tylko zapragnie.

Zrobiłem krok do przodu i pochyliłem się nad zwłokami.

- Proszę nie dotykać - ostrzegł Bill.

Bez słowa pokiwałem głową.

- Tak, to jej dzieci - powiedział Green.

Kiedy Bill układał z powrotem prześcieradła, zacisnąłem powieki i odmówiłem w duszy krótką modlitwę, kończąc ją prośbą o łaskę i przebaczenie. Wydawało mi się, że jakiś głos z nieba nakazał mi: „Nie dopuść, aby coś podobnego mogło się powtórzyć”.

W sąsiednim pomieszczeniu Bill postawił przed nami dwa duże druciane koszyki wypełnione skąpym majątkiem rodziny. Wysypał wszystko na stół i pomógł nam zainwentaryzować zawartość. Były tam głównie ubrania, brudne i zniszczone, wśród których wyróżniała się moja wełniana kraciasta kurtka. Poza tym trzy koce, damska torebka, kilka tanich zabawek, butelka ze smoczką, ręcznik kąpielowy, paczka śmietankowych wafelków, nie otwarta puszka z piwem, paczka papierosów, dwie prezerwatywy i jakieś dwadzieścia dolarów drobnymi.

- Samochód odstawiono na parking służb miejskich - rzekł Bill. - Podobno jest wypełniony różnymi śmieciami.

- Zajmiemy się tym - odparł Mordecai.

Podpisaliśmy dokumenty i wyszliśmy z kostnicy z workiem pełnym osobistych rzeczy Lontae Burton i jej dzieci.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytałem.

- Przekażę babce. Chcesz z powrotem swoją kurtkę?

- Nie.

Dom pogrzebowy prowadził pastor, który nie udostępniał swego kościoła bezdomnym, więc Mordecai go nie lubił.

Zaparkowaliśmy przed kościołem na Georgia Avenue, niedaleko uniwersytetu Howarda, a więc w czystszej części miasta, gdzie rzadko spotykało się budynki o oknach zabitych deskami.

- Lepiej zostań w samochodzie - rzekł. - Będzie mi łatwiej się z nim targować w cztery oczy.

Wolałem nie siedzieć samotnie w aucie, ale dla Greena byłem już w stanie nawet narazić własne życie.

- Jak wolisz - mruknąłem, obsunąwszy się trochę niżej na siedzeniu, zerkając trwożliwie na boki.

- Nic ci tu nie grozi.

Kiedy wysiadł, zamknąłem drzwi od środka. Dopiero po kilku minutach odzyskałem spokój, powróciła klarowność myśli. Skoro Mordecai chciał się potargować z pastorem w cztery oczy, oznaczało to, że moja obecność niepotrzebnie skomplikowałaby sytuację. Pewnie zaraz padłyby pytania o to, kim jestem i co mnie łączy z rodziną zmarłej, a potem cena pochówku gwałtownie by wzrosła.

Po ulicy kręciło się sporo osób. Patrzyłem na przechodniów odwracających twarze od

silnego wiatru. Tuż przed maską wozu przeszła matka z dwojgiem dzieci, elegancko ubranych, posłusznie trzymających ją za ręce. Ciekawe, gdzie oni byli ostatniej nocy, kiedy rodzina Ontario dygotała z zimna w unieruchomionym samochodzie i wdychała bezwonny czad ze spalin, który wyprawił ją na tamten świat? Gdzie my wszyscy wtedy byliśmy?

Wydawało mi się, że całe otoczenie uległo odmianie, nic już nie wyglądało tak jak dawniej. W ciągu jednego tygodnia widziałem aż sześcioro zmarłych tragicznie mieszkańców ulicy i ani trochę nie byłem przygotowany na taki szok. Ja, dobrze wykształcony biały prawnik, wpływowy i żyjący w dostatku, miałem przed sobą wspaniałe perspektywy bogactwa, w moim zasięgu znajdowały się wszelkie cudowne rzeczy, które można kupić za pieniądze. Co prawda małżeńskie kłopoty prowadziły do nieuchronnego rozvodu, ale z tego potrafiłem się otrząsnąć. Bez trudu mogłem sobie znaleźć inną kobietę. Nie miałem więc żadnych poważniejszych zmartwień.

Przekląłem w duchu Pana, który diametralnie odmienił moje życie. Przekląłem też Greena za to, że obudził we mnie dręczące poczucie winy. No i małego Ontario, który złamał mi serce.

Z tych rozważań wyrwało mnie pukanie w szybę. Byłem tak spięty, że aż podskoczyłem w fotelu. Lecz to tylko Mordecai niecierpliwie przestępował z nogi na nogę na ośnieżonym chodniku. Opuściłem szybę.

- Mówi, że to będzie kosztowało dwa tysiące dolców. Za całą rodzinę.

- Zgoda.

Odwrócił się i odszedł.

Wrócił chwilę później, usiadł za kierownicą i ruszył z wyciem silnika.

- Pogrzeb odbędzie się we wtorek, w tym kościele. Zostaną pochowani w tanich, sosnowych trumnach, ale dość ładnych. Pastor zatroszczy się również o kwiaty, żeby stworzyć odpowiedni nastrój. Na początku zażądał trzech tysięcy, lecz wmówiłem mu, iż może się zjawić ekipa telewizyjna i będzie miał okazję powiedzieć parę słów przed kamerą. Od razu się ucieszył. Dwa tysiące to niezbyt drogo.

- Dzięki, Mordecai.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Nie, kiepsko.

Resztę drogi do mojego biura pokonaliśmy w milczeniu.

U młodszego brata Claire, Jamesa, wykryto chorobę Hodgkina; właśnie z tego powodu została zwołana rodzinna narada w Providence. Na szczęście ja nie byłem tam potrzebny.

Kiedy słuchałem jej relacji z tego weekendu, opowieści o początkowym przerażeniu, łzach i modlitwach, pocieszaniu siebie nawzajem i podtrzymywaniu na duchu żony Jamesa, odczułem wdzięczność, że Claire nie zadzwoniła i nie poprosiła mnie o przyjazd. W jej rodzinie praktykowano wylewne okazywanie uczuć, rozdawanie na lewo i prawo uścisków oraz pocałunków. Dzięki Bogu, rokowania były dobre, James powinien tylko jak najszybciej zwrócić się po pomoc do specjalistów.

Claire z radością przyjęła powrót do domu i obecność w nim kogoś, komu można się zwierzyć ze swoich trosk. Siedzieliśmy w saloniku, przed kominkiem, ze stopami przykrytymi kocem. Sączyliśmy wino. Wieczór zaczął się niemal romantycznie, ale mnie dreszczem przejmowała myśl, że mogę się stać sentymentalny. Z pewnym wysiłkiem przychodziło mi się skupić na jej opowieści, w stosownych momentach wyrażać żal nad losem biednego Jamesa, wtrącać jakieś zdawkowe uwagi.

Nie tak wyobrażałem sobie powrót żony, nie potrafiłem nawet ocenić, czy odpowiada mi ów romantyczny nastrój. Bardziej chyba byłem przygotowany na kolejną słowną utarczkę czy kłótnię. Nie miałem wątpliwości, że już niedługo będziemy musieli twardo spojrzeć prawdzie w oczy, a potem szybko się opanować i jak kulturalni ludzie w spokoju omówić warunki separacji. Z drugiej strony, po niespodziewanym zakończeniu krótkiej znajomości z Ontario, nie chciałem na razie mieć do czynienia z żadnymi sprawami natury emocjonalnej.

Byłem wypompowany. Z wdzięcznością przyjąłem więc uwagę Claire, że wyglądam na bardzo zmęczonego.

Cierpliwie doczekałem końca rozmowy na temat jej brata, wreszcie przyszła kolej na mnie. Opowiedziałem o moim nowym wcieleniu - ochotnika w przytułku dla bezdomnych, o Ontario i jego rodzinie. Pokazałem artykuł w porannej gazecie.

Claire była poruszona, a jednocześnie zakłopotana. Bardzo zmieniłem się przez ten tydzień, a ona nie wiedziała, czy ta nowa wersja podoba jej się bardziej od starej. Ja również nie umiałem tego rozsądzić.

ROZDZIAŁ 11

Jako młodzi pracoholicy ani Claire, ani ja nie potrzebowaliśmy budzika, zwłaszcza w poniedziałkowe ranki, kiedy przychodziło się zmierzyć z wszystkimi wyzwaniem nadciągającego tygodnia. Oboje byliśmy na nogach już o piątej, o wpół do szóstej zasiedliśmy do płatków śniadaniowych z mlekiem, krótko potem bieглиśmy w przeciwnych kierunkach, w znacznym stopniu rywalizując ze sobą o pierwszeństwo wyjścia z domu.

Zapewne z powodu wypitego wina nie dręczyły mnie w nocy koszmary senne zrodzone z wydarzeń ostatniego weekendu. W czasie drogi do biura ze skrajną determinacją usiłowałem wyrobić w sobie dystans do spraw ludzi bezdomnych. Chciałem uczestniczyć w pogrzebie, a później znaleźć jakiś sposób na pogodzenie pracy zawodowej z działalnością dobroczynną na rzecz biedoty. Postanowiłem utrzymywać bliski kontakt z Mordecaiem, nie wykluczałem nawet, że stanę się regularnym gościem w jego ośrodku. Zamierzałem też od czasu do czasu odwiedzać kuchnię panny Dolly i pomagać jej gotować zupę. Uzmyslowiłem sobie jednak, że będąc adwokatem, mogę o wiele bardziej przysłużyć się bezdomnym w roli organizatora funduszy charytatywnych.

Jadąc przez tonące jeszcze w mroku miasto, doszedłem do wniosku, że przydałoby mi się kilka osiemnastogodzinnych dni pracy w celu wyważenia życiowych priorytetów. W bitym szlaku mojej kariery pojawiła się głęboka szczelina, ale wystarczył solidny nawał roboty, żeby ją zasypać. W końcu tylko głupiec wyskoczyłby z tego ekspresu mknącego prosto ku dobrobytowi, którym wciąż jeszcze podróżowałem.

Tym razem pojechałem na górę inną windą. Pana postanowiłem odesłać na karty historii, wyrzucić go z pamięci. Nie spojrziałem też na drzwi sali konferencyjnej, gdzie zginął.

Rzuciłem aktówkę i płaszcz na krzesło w kącie mego gabinetu i poszedłem po kawę. Nawet ten krótki przemarsz korytarzem przed szóstą rano, przywitanie się z paroma osobami, zdawkowe rozmowy, wreszcie zdjęcie marynarki i podwinięcie rękawów koszuli traktowałem jak szczęśliwy powrót do normalnego rytmu życia.

Zacząłem od przejrzenia „The Wall Street Journal”, głównie dlatego, że nie mogłem się w nim natknąć choćby na krótką wzmiankę o ludziach umierających na ulicy. Potem sięgnąłem po „The Washington Post”. Na pierwszej stronie działu miejskiego znalazłem krótki artykuł o rodzinie Lontae Burton ze zdjęciem jej babki ocierającej łzy z oczu w drzwiach własnego domu. Przeczytałem go i odłożyłem gazetę. Wiedziałem o wiele więcej niż autor, poza tym nie

chciałem już wracać do tamtych tragicznych wydarzeń.

Ale na biurku pod gazetami ujrzałem małą szarą kopertę, jedną z tych, których w naszej kancelarii zużywa się tysiące każdego tygodnia. Nie było na niej nic napisane, co od razu wzbudziło moje podejrzenia. Przez chwilę gapiłem się jak oniemiały na tę kopertę podrzuconą mi na biurko przez nieznanego sprawcę. Wreszcie otworzyłem ją powoli.

Wewnątrz znajdowały się dwie kartki. Pierwszą była kserokopia artykułu z niedzielnego wydania „The Washington Post” - tego samego, który czytałem z dziesięć razy, wieczorem zaś pokazałem Claire. Dołączono do tego kopię dokumentu z akt kancelarii Drake’a i Sweeneya. Nosił tytuł: LISTA EKSMITOWANYCH - RIVEROAKS/TAG INC.

W lewej kolumnie wypisano liczby porządkowe od jednego do siedemnastu. Na pozycji czwartej widniało nazwisko DeVona Hardy’ego. A pod numerem piętnastym znalazłem Lontae Burton wraz z trójką starszych dzieci.

Odłożyłem papiery, wyszedłem zza biurka, zamknąłem drzwi na klucz i oparłem się o nie plecami. Przez kilka minut stałem jak zamroczony, spoglądając przez długość pokoju na kartki leżące pośrodku blatu. Zacząłem od konkluzji, że owa lista musi być prawdziwa. Bo i po co ktoś miałby fabrykować taki dokument? Wróciłem do biurka i podniosłem ją ostrożnie. Dopiero teraz zauważyłem, że na odwrocie kserokopii prasowego artykułu tajemniczy informator dopisał ołówkiem: „Ta eksmisja była bezprawna i etycznie naganna”.

Zdanie napisano wielkimi, nieco koślawymi literami, zapewne po to, żeby utrudnić ewentualną analizę grafologiczną. Poza tym autor ledwie zostawił ślad na papierze, leciutko wodząc po nim czubkiem ostro zatemperowanego ołówka.

Przez całą godzinę przebywałem za zamkniętymi drzwiami, to wyglądając przez okno na jaśniejące stopniowo niebo, to znów siedząc przy biurku i wpatrując się w tajemnicze odbitki. Korytarzem przechodziło coraz więcej ludzi, wreszcie rozpoznałem głos Polly. Przekręciłem klucz w zamku, przywitałem się z nią jak zwykle i poprosiłem o uporządkowanie najważniejszych zadań.

Czas do południa wypełniły mi narady i spotkania, przy czym dwukrotnie musiałem uczestniczyć w rozmowach Rudolpha z klientami. Zachowywałem się jak automat, już po paru minutach z trudem mogłem sobie przypomnieć, czego dotyczyły owe spotkania. Za to Rudolph promieniał z dumy, że jego gwiazda pierwszej wielkości znowu zabłysła na firmamencie kancelarii.

Nie umiałem jednak pohamować agresji wobec tych, którzy chcieli ze mną rozmawiać o tragicznych wydarzeniach ubiegłego tygodnia i ich konsekwencjach. Na szczęście

sprawiałem wrażenie jak zwykle zaabsorbowanego pracą, toteż zainteresowanie moim stanem emocjonalnym szybko wygasło. Koło południa zadzwonił ojciec. Powiedział, że w Memphis leje jak z cebra, nie można się na krok ruszyć z domu, jest więc piekielnie nudno, a matka przejawia rosnące zaniepokojenie moim losem. Przekazałem, że Claire miewa się dobrze, po czym - znalazłszy bezpieczny temat rozmowy - opowiedziałem szczegółowo o przypadłości Jamesa, którego rodzice widzieli tylko raz, podczas naszego wesela.

Ojciec wyczuł w moim głosie wystarczająco dużo troski o zdrowie brata Claire, żeby przestać się martwić. Zresztą ucieszyło go już to, że zastał mnie w biurze - znowu w pierwszej linii, zarabiającego grubą forszę i sięgającego po prawdziwe bogactwo. Obiecałem, że niedługo się do nich odezwę.

Pół godziny później zadzwonił mój brat, Warner. Siedział w swoim biurze na szczycie wieżowca, skąd roztaczał się piękny widok na śródmieście Atlanty. Był współnikiem w podobnej wielkiej firmie, zaliczał się do bezwzględnych adwokatów procesowych. Dzieliło nas sześć lat i z tego powodu nigdy nie nawiązała się bliższa zażyłość, ale i nie stroniliśmy od siebie nawzajem. Trzy lata wcześniej, przed swoim rozwodem, Warner co tydzień wylewał mi swoje żale przez telefon.

On także pracował według napiętego harmonogramu, toteż rozmowa musiała być krótka.

- Rozmawiałem z tatą - rzekł. - O wszystkim mi powiedział.

- Nie wątpię.

- Doskonale rozumiem, co czujesz. Wszyscy przez to przechodzimy. Ciężko pracujesz, zarabiasz majątek i zawsze starasz się pomagać innym. A tu nagle jakieś niespodziewane wydarzenie budzi wspomnienia ze studiów, z pierwszego roku, gdy kierują nami zaszczytne ideały i marzymy o dyplomie, który pozwoli nam zbawiać ludzkość. Pamiętasz to?

- Jasne, chociaż minęło już sporo lat.

- Masz rację. U mnie na pierwszym roku przeprowadzono ankietę i okazało się, że ponad połowa studentów zamierza robić specjalizację z praw obywatelskich. A kiedy po trzech latach przyszło do wybierania kierunków, wszyscy rzucili się na te, które umożliwiają zbić grubszą forszę w krótkim czasie. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje.

- No cóż, studia prawnicze każdego uczą chciwości.

- Być może. W każdym razie w mojej firmie stwarza się okazję wzięcia rocznego płatnego urlopu i poświęcenia go na działalność publiczną. Po dwunastu miesiącach człowiek wraca do pracy z o wiele większym niż wcześniej zapalem. U was nie praktykuje się czegoś podobnego?

Kochany Warner. Kiedy ja napotykałem trudności, on podsuwał mi gotowe rozwiązanie. Czyste i eleganckie. Rok odpoczynku i będę nowym człowiekiem. Mało znaczący postój na boczniczy, który umożliwi ochronę świetlnych perspektyw na przyszłość.

- Na pewno nie wśród szeregowych pracowników - odparłem. - Słyszałem, że jeden ze współników wycofał się z czynnej działalności na rzecz pracy w administracji państwowej, a potem wrócił. Nie sądzę jednak, by puścili mnie na roczny urlop.

- Jesteś jednak w innej sytuacji. Przeżyłeś szok i załamanie nerwowe, omal nie zginąłeś podczas wykonywania obowiązków służbowych. Na twoim miejscu zaryzykowałbym i złożył wniosek o przyznanie takiego urlopu. A po roku wrócisz do pracy.

- Spróbuję - mruknąłem cicho, żeby go usatysfakcjonować. Warner należał do typów apodyktycznych, zawsze był arogancki, nie dawał sobie nic wytłumaczyć i wypowiadał się kategorycznie, zwłaszcza w sprawach dotyczących rodziny. - Muszę już kończyć - dodałem.

On także miał jakieś spotkanie. Obiecaliśmy sobie pogadać dłużej przy najbliższej sposobności.

Lunch zjadłem w eleganckiej restauracji w towarzystwie Rudolpha i kolejnego z klientów. Był to tak zwany lunch roboczy, co oznaczało, że nie wolno nam zamawiać alkoholu, za to możemy wystawić rachunek za każdą minutę. Rudolph wyceniał swój czas po czterysta dolarów za godzinę, ja po trzysta. Omawianie spraw zawodowych w trakcie posiłku trwało dwie godziny, zatem klient musiał zapłacić za ten lunch tysiąc czterysta dolarów. Nasza firma dysponowała otwartym kontem w tejże restauracji, wszystkie rachunki przesyłano do kancelarii Drake'a i Sweeneya, nie wątpiłem więc, że księgowi znajdą jakiś sposób, by obciążyć klienta również kosztami zamówionych dań.

Popołudnie także miałem zapełnione nieustającymi naradami i spotkaniami. Tylko maksymalnym wysiłkiem woli zdołałem przez to wszystko przejść, jak zwykle zarabiając forszę na rzecz firmy, choć prawo antytrustowe nigdy przedtem nie wydawało mi się tak piekielnie nudne i zagmatwane.

Dopiero przed piątą zyskałem nieco czasu dla siebie. Pożegnałem Polly i ponownie zamknąłem się w gabinecie. Otworzyłem tajemniczy list i zerkając na dwie odbitki kserograficzne, jąłem w zamyśleniu rysować w notatniku skomplikowany diagram; faliste i łukowate linie symbolizowały powiązania między RiverOaks a kancelarią Drake'a i Sweeneya. Przeważająca większość z nich musiała pozostawać pod kontrolą Bradena Chance'a, tego specjalisty od spraw nieruchomości, z którym rozmawiałem o aktach dotyczących eksmisji.

Moim pierwszym podejrzanym o podrzucenie listu stał się ów młody aplikant, pracujący przy biurku w korytarzu. Musiał zapewne słyszeć naszą ostrą wymianę zdań, bo

kiedy wyszedłem z gabinetu Chance'a, szeptem skwitował postawę zwierzchnika jednym słowem: „Palant”. Mógł znać wszelkie szczegóły przeprowadzonej eksmisji, prawdopodobnie miał też dostęp do wszelkich akt Chance'a.

Korzystając z telefonu komórkowego, żeby uniknąć możliwości wyśledzenia tej rozmowy, połączyłem się z aplikantem z mojej sekcji, pracującym trzy pokoje dalej, tuż za rogiem korytarza. Odesłał mnie do swojego znajomego, ten do następnego i już po kilku minutach dowiedziałem się, że owym podejrzanym jest niejaki Hector Palma. Pracował w kancelarii od trzech lat, od początku w sekcji nieruchomości. Postanowiłem się z nim spotkać, ale na osobności, poza siedzibą firmy.

Później zadzwonił Mordecai. Spytał, jakie mam plany na obiad.

- Ja funduję - oznajmił.

- Zupę?

Zaśmiał się głośno.

- Oczywiście, że nie. Znam pewien przyjemny lokal.

Umówiliśmy się na siódmą.

Claire była znowu w swoim szpitalnym żywiole, nie obchodziła jej ani pora dnia, ani posiłki, ani tym bardziej mąż. Złapała mnie po południu, między jedną nasiadówką a drugą. Uprzedziła, że nie wie, o której wróci do domu, ale na pewno późno. Nawet nie mogłem mieć do niej o to żalu, bo właśnie ode mnie nauczyła się takiego stylu życia.

Spotkaliśmy się przed restauracją nieopodal Dupont Circle. W barze od frontu tłoczyli się spasieni urzędnicy państwowi, którzy wpadli na drinka przed powrotem do swego podmiejskiego domku. My zamówiliśmy trunki do stolika w drugiej sali, wciśniętego w wąską przestrzeń między przepierzeniami.

- Sprawa Lontae Burton nabiera coraz większego rozgłosu - oznajmił Green, pociągnąwszy łyk piwa.

- Nic o tym nie wiem. Przez ostatnie dwanaście godzin przebywałem w innym świecie. Co się stało?

- Dzwoniło do mnie kilku dziennikarzy. Złapali gorący temat: śmierć matki z czworgiem dzieci mieszkającej w samochodzie niemal pod samym wzgórzem Kapitolu, gdzie trwa właśnie intensywny proces reformowania naszej opieki społecznej, przez co znacznie więcej samotnych matek wyląduje na ulicy.

- Wygląda na to, że pogrzeb przekształci się w drobne widowisko.

- Bez wątplenia. Rozmawiałem już z paroma aktywistami ruchu na rzecz bezdomnych.

Przyjdą i przyprowadzą znajomych. Na pewno zjawi się też sporo mieszkańców ulicy. Poza tym oprócz prasy będzie i telewizja. Cztery maleńkie trumny to doskonały materiał do porannych wiadomości. Chcemy zorganizować przed pogrzebem wiec, a później marsz protestacyjny.

- Mam nadzieję, że śmierć tych dzieci przyniesie jakiś pozytywny skutek.

- Ja też na to liczę.

Zdobyłem trochę doświadczenia, toteż zdawałem sobie sprawę, że za tym wspólnym posiłkiem kryje się jakiś ważniejszy cel. Mordecai miał wobec mnie pewne plany. Bez trudu odgadłem to po sposobie, w jaki na mnie patrzył.

- Wiesz już, z jakiego powodu Lontae Burton straciła dach nad głową? - spytałem, udając obojętność.

- Nie. Pewnie została wyrzucona z mieszkania, jak większość bezdomnych. Nie miałem zresztą czasu, żeby popytać w tej sprawie.

Po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że nie wolno mi informować go o zawartości tajemniczej koperty, którą znalazłem na biurku. Był to materiał poufny, przeznaczony wyłącznie dla mnie, pracownika kancelarii Drake'a i Sweeneya. Gdybym opowiedział coś o działalności jednego z klientów firmy, poważnie naruszyłbym zasady tajemnicy służbowej. Zresztą bałem się o tym mówić. W końcu nie znalazłem jeszcze żadnego potwierdzenia owych wiadomości. Kelner przyniósł nam sałatkę i zaczęliśmy jeść.

- Dziś po południu mamy zebranie personelu ośrodka - rzucił niby od niechcenia Green.

- Naszej trójce, to znaczy mnie, Abrahamowi i Sofii jest potrzebna pomoc.

Wcale się nie zdziwiłem.

- Jakiego rodzaju?

- Chcemy zatrudnić jeszcze jednego prawnika.

- Mówiłeś, że stoicie krucho z funduszami.

- Mamy pewną rezerwę. Poza tym obraliśmy nową strategię marketingu.

Na wspomnienie strategii marketingu obscurnego ośrodka porad prawnych dla biedoty omal nie zaśmiałem się w głos. Ale on potraktował to sformułowanie jak dowcip. Uśmiechnęliśmy się obaj.

- Jeśli nasz nowy współpracownik poświęci dziesięć godzin tygodniowo na pomnażanie funduszy, zarobi na swoje utrzymanie.

To także przyjąłem z uśmiechem.

- Przykro mi to przyznać - ciągnął nie zrażony - ale nasze przetrwanie będzie wkrótce zależało niemal wyłącznie od zdolności wynajdywania źródeł finansów. Fundacja Cohena się

rozpada. Nie jesteśmy jeszcze zmuszeni do zebrania o pieniądze, nie wiem jednak, czy za parę miesięcy nie stanie się to konieczne.

- Jakie zadanie miałby wypełniać ten człowiek?

- Prawnie reprezentować bezdomnych. Chyba już wiesz, na czym to polega. Widziałeś tę jaskinię, którą nazywamy biurem. Sofia jest sekretnicą, Abraham to gbur, klienci z reguły brzydko pachną, a zarobki są po prostu śmieszne.

- To znaczy jakie?

- Możemy ci zaproponować trzydzieści tysięcy rocznie, ale przez pierwsze pół roku gwarantujemy tylko połowę tej sumy.

- Dlaczego?

- Fundacja zamyka bilans roczny trzydziestego czerwca i dopiero po jego wykonaniu dowiemy się, jakie fundusze dostaniemy na następny rok finansowy. Mamy wystarczającą rezerwę, żeby zapłacić ci pensję przez pierwsze pół roku. A po sporządzeniu bilansu rozdzielimy między siebie to, co zostanie po odliczeniu wszelkich wydatków.

- Abraham i Sofia wyrazili na to zgodę?

- Owszem, po krótkiej naradzie. Doszliśmy do wniosku, że dysponujesz świetnymi kontaktami w środowisku prawniczym, a skoro masz odpowiednie wykształcenie, doskonale się prezentujesz, jesteś bystry i wygadany, nie powinieneś mieć większych kłopotów z pozyskiwaniem dla nas fundatorów.

- A jeśli nie zechcę wziąć na siebie roli pozyskiwacza forsy?

- To będziemy musieli we czworo jeszcze bardziej obniżyć swoje dochody, może nawet do dwudziestu tysięcy rocznie, potem do piętnastu. Kiedy zaś fundacja całkiem upadnie, wyładujemy na ulicy, tak jak nasi klienci. Utworzymy nową klasę, nie ulicznych, lecz bezdomnych adwokatów.

- Zatem widzisz we mnie zbawcę ośrodka porad prawnych przy ulicy Czternastej?

- Podjęliśmy tę decyzję wspólnie. Zostaniesz od razu pełnoprawnym współnikiem firmy. Niech kancelaria Drake'a i Sweeneya spróbuje teraz przebić tę ofertę.

- Jestem zaszczycony - odparłem.

W gruncie rzeczy jednak byłem przerażony. Sama propozycja nie zaskoczyła mnie za bardzo, ale otwierała szerzej furtkę, przez którą wciąż bałem się przejść.

Kelner przyniósł zamówione porcje zupy z czarnej fasoli. Poprosiliśmy o drugą kolejkę piwa.

- Opowiedz mi coś więcej o Abrahamie - powiedziałem.

- Pochodzi z żydowskiej rodziny z Brooklynu. Przyjechał do Waszyngtonu jako

pracownik kancelarii senatora Moynihana. Spędził kilka lat na Wzgórzu, po czym wylądował na ulicy. Jest wyjątkowo bystry. Większość czasu pochłaniają mu kontakty z adwokatami dużych firm prawniczych, z którymi prowadzi różnorodne negocjacje. Obecnie zajmuje się wystąpieniem przeciwko głównemu urzędowi statystycznemu, mającym na celu wprowadzenie takich zmian w przepisach, żeby bezdomni byli uwzględniani w spisach ludności. Zajmuje się też oskarżeniem waszyngtońskiego kuratorium o dyskryminowanie bezdomnych dzieci w szkołach publicznych. Jego stosunek do ludzi pozostawia bardzo wiele do życzenia, lecz Abraham jest niezastąpiony w konstruowaniu przemysłnych wystąpień przeciwko władzom i urzędom.

- A Sofia?

- To doświadczona opiekunka społeczna, która przez jedenaście lat robiła wieczorowe studia prawnicze. Zachowuje się i wyraża jak typowy adwokat, zwłaszcza wobec opryskliwych urzędników państwowych. Po dziesięć razy dziennie słyhać, jak obwieszcza do słuchawki: „Mówi Sofia Mendoza, dyplomowany adwokat”.

- I oprócz tego jest sekretarką?

- Skądże. Nie stać nas na sekretarki. Każdy sam musi przepisywać swoje papierki na maszynie, porządkować akta i parzyć kawę. - Pochylił się nad stolikiem i dodał ściszym głosem: - Pracujemy we troje już od dłuższego czasu, Michaelu, zdążyliśmy okrzepnąć we własnych utartych schematach działania. Jeśli mam być szczery, przede wszystkim potrzebujemy nowego człowieka z nowymi pomysłami.

- No cóż, perspektywa sowitego wynagrodzenia jest bardzo kusząca.

Nie bardzo zabrzmiało to jak dowcip, ale Mordecai i tak się uśmiechnął.

- My nie pracujemy dla pieniędzy - odparł - lecz dla spokoju własnego sumienia.

Moje sumienie znów nie pozwoliło mi spokojnie zasnąć. Zastanawiałem się, czy wystarczy mi odwagi, żeby przyjąć tę propozycję, i czy w ogóle ma sens poważne rozważanie tak marnej pod względem finansowym oferty. Mógłbym się raz na zawsze pożegnać z perspektywą milionowego bogactwa. Wszystkie rzeczy, o których marzyłem, powinienem już teraz włożyć między bajki. Ale propozycja padła w kluczowym dla mnie momencie. Wobec całkiem rozsypującego się małżeństwa odczuwałem pokusę, aby dokonać drastycznych zmian również w innych dziedzinach mego życia.

ROZDZIAŁ 12

We wtorek wykręciłem się od pracy złym samopoczuciem.

- Chyba się przeziębilem - powiedziałem przez telefon.

Polly zaczęła zadawać szybkie pytania, jakby wypełniała rubryki jakiegoś formularza. Gorączka? Tak. Drapanie w gardle? Tak. Ból głowy? Tak. Kłamałem jak z nut. Trzeba było naprawdę źle się czuć, żeby zrezygnować z dnia pracy w firmie. Wiedziałem, że Polly natychmiast powiadomi o mojej przypadłości Rudolpha. Nie chcąc zaś i jemu tłumaczyć się przez telefon, wyszedłem z domu i ruszyłem na poranny spacer po Georgetown.

Śnieg szybko topniał, w południe temperatura miała wzrosnąć do kilku stopni powyżej zera. Przez całą godzinę wałęsałem się po starym waszyngtońskim porcie rzeczonym, porównując smak cappuccino podawanego w różnych ulicznych budkach i obserwując włóczęgów marznących nad brzegami skutego lodem Potomacu.

O dziesiątej wyruszyłem na pogrzeb.

Cały chodnik przed kościołem był zatłoczony. Gliniarze kierowali ruchem, ich motocykle stały rzędem wzdłuż krawężnika. Nieco dalej zaparkowało kilka furgonetek ekip telewizyjnych.

Kiedy przejeżdżałem powoli ulicą, zgromadzony tłum wysłuchiwał jakiejś mowy płynącej przez megafony. Nad głowami ludzi, pewnie wyłącznie na użytek reporterskich obiektywów, widać było kilka sporządzonych naprędce transparentów. Zaparkowałem trzy przecznice dalej i szybkim krokiem wróciłem do kościoła. Ominąłem tłum przed frontem i skierowałem się do bocznego wejścia, którego strzegł przygarbiony kościelny. Wpuścił mnie do środka i wskazał kierunek. Podziękowałem mu uprzejmie, ruszyłem krótkim korytarzem i po wyslizganych schodkach wbiegłem na balkon, skąd roztaczał się panoramiczny widok na całe sanktuarium. Był to piękny kościół, o głównej nawie wyłożonej wiśniowym chodnikiem i rzędach ławek z ciemnego drewna zmatowiały ze starości, lecz o czystych oknach. Przyszło mi do głowy, że rozumiem tutejszego pastora, który nie chce udostępnić swojego przybytku bezdomnym.

Byłem sam na balkonie, mogłem więc dowolnie wybrać sobie miejsce. Podeszedłem na palcach do balustradki i usiadłem na samym środku, skąd roztaczał się najlepszy widok na ołtarz i główną nawę. Od strony wejścia pode mną doleciała chóralna pieśń religijna. Zasłuchałem się w nią, pograżyłem w smutnej zadumie, zdającej się wypełniać całe wnętrze

pustego jeszcze kościoła.

Kiedy chór zamilkł, zgrzytnęły otwierane drzwi i rozległo się głośnie szuranie stóp. Balkon pode mną zadygotał, kiedy masa ludzi wlewała się do środka. Chór pospiesznie ustawił się z boku ołtarza. Pastor z wprawą pokierował ruchem - odesłał ekipy telewizyjne w przeciwległy kąt, najbliższą rodzinę usadowił w pierwszym rzędzie, aktywistów ruchu porozmieszczał wzdłuż przejścia. Mordecai naradzał się z dwoma młodymi społecznikami, których nigdy przedtem nie widziałem. Później bocznym wejściem czterech uzbrojonych strażników wprowadziło do kościoła matkę Lontae i jej dwóch synów. Byli w szaroniebieskich więziennych kombinezonach, skuci kajdankami i skrepowani łańcuchem łączącym jarzma nad kostkami nóg. Posadzono ich w drugim rzędzie z brzegu, tuż za babką zmarłej i kilkoma osobami z dalszej rodziny.

Kiedy zapanował spokój, rozległa się cicha, żałobna muzyka organowa. Piszczałki znajdowały się na balkonie, toteż na krótko głowy wszystkich zgromadzonych obróciły się w moim kierunku. Za chwilę jednak pastor zajął miejsce za pulpitem i polecił nam wstać.

Grabarze w białych rękawczkach wynieśli przed ołtarz trumny i ustawili jedną przy drugiej niemal przez całą szerokość kościoła. Trumna ze zwłokami Lontae znalazła się w środku. Niemowlę złożono w maleńkiej trumience, mającej najwyżej osiemdziesiąt centymetrów długości. Trzej chłopcy, Ontario, Alonzo i Dante, leżeli w trumnach nieco tylko większych. Ten widok wszystkich ścisnął za serce, z dołu doleciały stłumione jęki i pochlipywania. Chór znowu podjął jakąś stonowaną pieśń.

Kiedy grabarze skończyli rozkładać wieńce i kwiaty, przez sekundę nasza mnie obawa, że otworzą trumny. Nigdy przedtem nie uczestniczyłem w kościelnym pogrzebie czarnych, nie miałem więc pojęcia, czego się spodziewać. Pamiętałem jednak z różnych przebitek w telewizji, iż często wystawia się zwłoki na widok publiczny, a najbliższa rodzina obcałowuje zmarłych. W końcu i tutaj czyhały gotowe do działania sepy z kamerami.

Nie otwarto jednak trumien, zatem świat nie mógł się dowiedzieć tego, o czym wiedziałem - że cała rodzina sprawia takie wrażenie, jakby była pogrążona we śnie.

Usiedliśmy i pastor zaintonował modlitwę. Po kolejnej pieśni, tym razem solowej, zapadła dłuższa cisza. Później pastor odczytał wybrany fragment z Biblii i znów zaintonował wspólną modlitwę. Następnie aktywistka ruchu na rzecz bezdomnych wygłosiła płomienną mowę, w której zlorzeczyła całemu społeczeństwu i jego reprezentantom za dopuszczenie do takiej tragedii. Szczególnie obwiniła Kongres, a zwłaszcza republikanów, potem władze miasta za brak zdecydowania, jak również sądy i wszelkie urzędy. Ale najostrzejsze słowa skierowała pod adresem bogaczy, którzy dysponując pieniędzmi i władzą, nie troszczą się ani

trochę o biednych i kalekich. Było to naprawdę porywające przemówienie, ale moim zdaniem niezbyt pasujące do pogrzebu.

Wystąpienie to nagrodzono rześystymi brawami. Później zaś pastor poświęcił znacznie więcej czasu na zlorzeczenie wszystkim, którzy nie są kolorowi i mają pieniądze.

Po kolejnej pieśni został odczytany drugi fragment z Biblii, po czym chór odśpiewał tak piękny i smutny hymn, że i mnie łzy się zakręciły w oczach. Ludzie ustawili się w długiej kolejce, żeby przez dotknięcie trumny osobiście pożegnać zmarłych, zaraz jednak powstało trochę zamieszania, gdyż rodzina z głośnym płaczem rzuciła się ku ołtarzowi. Ktoś krzyknął: „Otwórzcie trumny!”, ale pastor ostudził te zapąły, energicznie kręcąc głową. Przy mównicy zebrała się grupa ludzi i podjęła dyskusję z pastorem. Jęki i szlochy wokół trumien przybrały na sile, nie zagłuszyła ich nawet kolejna chóralna pieśń. Najgłośniej rozpaczała babka Lontae, inni próbowali ją pocieszyć i uspokoić.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Gdzież byli ci wszyscy zrozpaczeni ludzie przez ostatnie miesiące życia samotnej matki z czworgiem dzieci? Nie miałem wątpliwości, że cztery małe ciała spoczywające w trumnach jeszcze nigdy dotąd nie zaznały aż takich dowodów miłości.

Kiedy reporterzy śmieiej zaczęli filmować zbliżenia, rozpaczało coraz więcej żałobników. Przede wszystkim było to przedstawienie na użytek telewizji.

W końcu pastor poprosił o spokój. Podjął następną modlitwę, organy mu wtórowały. Kiedy skończył, ludzie ustawili się w długi kondukt.

Pogrzeb trwał półtorej godziny. Za dwa tysiące dolarów wypadło to całkiem nieźle. Mogłem być z siebie dumny.

Przed kościołem aktywiści uporządkowali tłum i powiedli go w protestacyjnym marszu w stronę wzgórza Kapitolu. Mordecai znalazł się w pierwszym szeregu. Kiedy tylko manifestanci zniknęli mi z oczu za rogiem, zacząłem się zastanawiać, w ilu podobnych marszach Green do tej pory uczestniczył. Ale zaraz w myślach usłyszałem jego odpowiedź: „Było ich zdecydowanie za mało”.

Rudolph Mayes, który został współnikiem kancelarii Drake’a i Sweeneya w wieku lat trzydziestu, wciąż bardzo dużo pracował. Gdyby wszystko ułożyło się po jego myśli, zapewne niedługo zostałby najstarszym aktywnym członkiem zarządu firmy. Meandry prawa stanowiły całe jego życie, o czym z pewnością mogły zaświadczyć trzy byłe żony Rudolpha. Pasjonowało go wyłącznie działanie w adwokackich zespołach roboczych, niemal wszystko inne, czego się w życiu tknął, obracało się wniwecz.

Czekał na mnie o osiemnastej w swoim gabinecie, przy biurku założonym stosami kartonowych teczek.

Polly i reszta sekretarek zakończyły już pracę, podobnie jak większość aplikantów i personelu pomocniczego. Około wpół do szóstej po południu ruch w korytarzach kancelarii niemal całkowicie zamierał.

Zamknąłem drzwi i usiadłem.

- Myślałem, że jesteś chory - zaczął.

- Rezygnuję z pracy, Rudolphe - oznajmiłem, usiłując zachować spokój, chociaż żołądek podchodził mi do gardła.

Zamknąłem leżącą przed nim książkę i z namaszczeniem założyłem skuwkę na drogocenne wieczne pióro.

- Słucham?

- Odchodzę z kancelarii. Dostałem ciekawą ofertę pracy w firmie zajmującej się prawami obywatelskimi.

- Nie bądź głupi, Michaelu.

- Nie jestem głupi. Po prostu znudziła mi się dotychczasowa robota. I chciałbym odejść w miarę możliwości bez większych kłopotów.

- Za trzy lata mógłbyś zostać współnikiem.

- Znalazłem znacznie bardziej kuszące perspektywy.

To był argument nie do zbiccia. Rudolph przygryzł wargi i potoczył spojrzeniem po suficie.

- Daj spokój, Mike. Chyba nie chcesz mi wmówić, że całkiem się załamałeś po jednym głupim wypadku.

- To nie jest załamanie, Rudolphe. Zwyczajnie chcę zająć się czymś innym.

- Żadnemu z pozostałych ośmiu zakładników coś podobnego w ogóle nie przyszłoby do głowy.

- Ich sprawa. Pewnie są tu szczęśliwi. Mówimy jednak o pracownikach sekcji procesowej, a to dość szczególny gatunek ludzi.

- Dokąd chcesz się przenieść?

- Do ośrodka porad prawnych niedaleko Logan Circle, który specjalizuje się w obronie praw ludzi bezdomnych.

- Bezdomnych?

- Tak.

- Ile tam będziesz zarabiał?

- Cholernie dużo. Chcesz już teraz dać jakąś dotację na rzecz tego ośrodka?

- Chyba postradałeś zmysły.

- Nie, przeszedłem tylko drobne załamanie, Rudolphie. Mam dopiero trzydzieści dwa lata, a więc za mało, żeby uznać to za typowy kryzys wieku średniego albo też mnie ta przypadłość dotknęła bardzo wcześnie.

- Weź sobie miesięczny urlop, podziałaj na rzecz bezdomnych, oderwij się od naszych spraw, a potem po prostu wróć. Chcesz odejść? Tyle, Mike, już osiągnąłeś.

- Nic z tego, Rudolphie. Nie będę umiał czerpać przyjemności z pracy, wiedząc, że mam bezpieczną odskocznnię.

- Przyjemności? Naprawdę zamierzasz pracować dla przyjemności?

- Owszem. Pomyśl tylko, ile człowiek może mieć w życiu frajdy, nie musząc bez przerwy spoglądać na zegarek.

- A co na to Claire? - spytał z desperacją w głosie. Znał moją żonę tylko z widzenia, a nie należał do osób, od których chciałbym wysłuchiwać rad w sprawach rozpadającego się małżeństwa.

- Nie zgłasza obiekcji. Chciałbym zakończyć pracę już w ten piątek.

Jęknął głośno. Zamknął oczy i wolno pokręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Przykro mi, Rudolphie.

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie i umówiliśmy się na rozmowę z samego rana na temat nie dokończonych przeze mnie spraw.

Wolałem osobiście powiadomić Polly o swojej decyzji, toteż zadzwoniłem do niej z gabinetu. Była w domu, w Arlington, szykowała właśnie obiad. Doszczętnie popsulem jej nastrój do końca tygodnia.

W tajskiej restauracji kupiłem sobie danie na wynos. Schłodziłem butelkę wina, przygrzałem jedzenie i w trakcie posiłku zacząłem po raz kolejny rozpatrywać plusy i minusy powziętej decyzji.

Jeśli Claire czegokolwiek się spodziewała, nie dała tego po sobie poznać. Przez lata wypracowaliśmy własny system ignorowania się nawzajem, mający zapobiegać kłótniom i awanturom. Stąd też każde z nas realizowało własny plan działania na taką okoliczność.

Mimo to cieszyła mnie perspektywa, że sprawię jej niespodziankę, a po przetrzymaniu spodziewanego szoku sięgnę po przygotowane wykręty. Radowałem się myślą, że i ja postawię Claire wobec faktu dokonanego, skoro w schyłkowej fazie małżeństwa ten tryb postępowania

był na porządku dziennym.

Wróciła przed dziesiątą. Obiad zjadła w szpitalu, w przerwie między zabiegami, toteż mogliśmy od razu przejść do saloniku. Wcześniej rozpałem ogień, rozsiedliśmy się więc w naszych ulubionych fotelach przed kominkiem. Po kilku minutach ciszy powiedziałem:

- Musimy porozmawiać.

- O czym? - spytała swobodnym tonem.

- Chcę odejść z kancelarii Drake'a i Sweeneya.

- Naprawdę? - Pociągnęła łyk wina. Mogłem podziwiać jej opanowanie. Albo spodziewała się takiego obrotu spraw, albo też niewiele ją to obchodziło.

- Tak. Dłużej już tego nie wytrzymani.

- Z jakiego powodu?

- Po prostu zapragnąłem gruntownej zmiany. Praca w firmie prawniczej wydała mi się nagle piekielnie nudna i bezowocna. Chciałbym bezpośrednio pomagać ludziom.

- Miło z twojej strony. - Na pewno od razu pomyślała o pieniądzach, czekała tylko na okazję, aby poruszyć ten temat. - To naprawdę bardzo chwalebne, Michaelu.

- Już ci opowiadałem o Mordecaiu Greenie. Zaproponował mi pracę w swoim ośrodku.

Zaczynam od poniedziałku.

- Od poniedziałku?

- Tak.

- To znaczy, że już podjąłeś decyzję?

- Owszem.

- Bez dyskusji ze mną? Czy to oznacza, że twoim zdaniem nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie?

- Naprawdę nie mogę wrócić do kancelarii, Claire. Rozmawiałem już dzisiaj z Rudolphem.

Znów upiła wina, żeby zamaskować mimowolne zgrzytanie zębami. Ale początkowa wściekłość szybko jej minęła. Moja żona potrafiła doskonale nad sobą panować.

- Czy mogę zapytać, jak na tym wyjdziemy finansowo?

- Sporo się zmieni.

- Ile będziesz tam zarabiał?

- Trzydzieści tysięcy rocznie.

- Trzydzieści tysięcy... - powtórzyła cicho, a po chwili jeszcze raz, takim tonem, jakby mówiła o jałmużnie: - Trzydzieści... To nawet mniej ode mnie.

Zarabiała trzydzieści jeden tysięcy, ale w najbliższych latach jej dochody miały

znacznie wzrosnąć. Chyba oczami wyobraźni widziała już fortunę na horyzoncie. Tego wieczoru nie zamierzałem jednak w najmniejszym stopniu okazywać troski o rodzinny budżet.

- No cóż, obrońcy praw obywatelskich nie zarabiają grubej forsy - odparłem dumnie, jakbym odwoływał się do jej wyższych uczuć. - Jeśli pamiętam, ty nie ze względu na perspektywę sutych zarobków podjęłaś studia medyczne.

Nie znałem żadnego lekarza, który by nie rozpowiadał na lewo i prawo, że medycyny nie studiuje się dla pieniędzy. Claire także obwieszczała z dumą, że pragnie pomagać ludziom. To samo słyszało się od początkujących studentów prawa. Wszyscy kłamaliśmy.

Zapatrzyła się w płomień, dokonując w myślach pospiesznych obliczeń. Prawdopodobnie zaczęła od opłat za mieszkanie. Było naprawdę ładne, chociaż za dwa tysiące czterysta miesięcznie mogliśmy zapewne znaleźć jeszcze ładniejsze. Starannie dobieraliśmy meble i chyba oboje odczuwaliśmy dumę z naszego mieszkania - stosowna okolica, piękne osiedle, porządni sąsiedzi - tyle tylko, że brakowało nam zazwyczaj czasu, aby się nim nacieszyć. Sporadycznie przyjmowaliśmy jakichś gości. W tej sytuacji należało pomyśleć o przeprowadzce, tym się jednak zanadto nie przejmowałem.

Do tej pory prowadziliśmy wspólny budżet rodzinny, żadne niczego nie ukrywało w sprawach finansowych. Claire świetnie wiedziała, że mamy około pięćdziesięciu jeden tysięcy dolarów zainwestowanych w fundusz powierniczy i około dwunastu tysięcy na koncie bankowym. Czasami nie mogłem się nadziwić, że tak mało zaoszczędziliśmy przez sześć lat wspólnego życia. No cóż, jak człowiek jest na najlepszej drodze do zdobycia bogactwa, w ogóle nie zwraca sobie głowy bieżącymi wydatkami.

- A więc zapewne będziemy musieli nieco... zacisnąć pasa, prawda? - spytała, piorunując mnie lodowatym spojrzeniem. Z pewnością liczyła na to, że nie trzeba mi wyjaśniać, kto komu powinien zacisnąć owego pasa.

- Pewnie tak.

- Jestem zmęczona - mruknęła, jednym haustem opróżniła kieliszek i poszła do sypialni.

Jakie to patetyczne - pomyślałem. Żadne z nas nie miało w sobie nawet tyle ikry, żeby zrobić drugiemu solidną awanturę.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z konsekwencji własnej decyzji. Tworzyłem wyśmienity materiał na powiastkę moralizatorską - młody ambitny prawnik staje się adwokatem ulicy, zamienia świetlane perspektywy na skromną egzystencję idealisty. Lecz nawet jeśli Claire doszła do wniosku, że postradałem zmysły, nie starczyło jej odwagi, by krytykować świętego. I o to chodziło.

Dorzuciłem dREW do ognia, nalałem sobie drugą lampkę wina, a potem ułożyłem się do

snu na kanapie.

ROZDZIAŁ 13

Wspólnicy kancelarii korzystali z jadalni na siódmym piętrze gmachu, a zaproszenie do niej każdy szeregowy pracownik powinien uważać za szczególny zaszczyt. Rudolph zaliczał się widocznie do tych, którzy sądzili, że porcja ekskluzywnych irlandzkich płatków owsianych o siódmej rano, w doborowym towarzystwie, pomoże mi odzyskać zdrowy rozsądek. Czy ktokolwiek normalny mógł się odwracać plecami do świetlanej przyszłości, jakiej wyznacznikiem była niepoślednia owsianka?

Przedstawił ekscytujące nowiny. Późnym wieczorem rozmawiał na mój temat z Arthurem i obaj postanowili wystąpić do zarządu z wnioskiem o przyznanie mi rocznego urlopu naukowego. Firma miałaby uzupełniać moje skromne dochody z ośrodka, zaskarbiając sobie jednocześnie przychylność środowiska za działalność charytatywną i wzbogacając doświadczenia w zakresie obrony praw obywatelskich. Od strony formalnej zostałbym na rok oddelegowany do pracy społecznej, co powinno doskonale wyglądać z zewnątrz. A po roku wróciłbym z naładowanymi do pełna akumulatorami, rzucił się z powrotem w wir pracy i znów poświęcił własne umiejętności dla dobra kancelarii Drake'a i Sweeneya.

Ten pomysł nie tylko zrobił na mnie wrażenie, ale i poruszył do tego stopnia, że nie umiałem odmówić. Obiecałem Rudolphowi dobrze wszystko przemyśleć. Na koniec ostrzegł mnie jeszcze, że ostateczna decyzja leży w gestii zarządu spółki, gdyż nie jestem współnikiem firmy, a do tej pory nigdy nie udzielano podobnych urlopów zwykłym pracownikom.

Bardzo mu zależało na tym, żebym nie rezygnował z pracy, zresztą nie wynikało to wcale z naszych przyjacielskich stosunków. Sekcja antytrustowa była zavalona robotą, od pewnego czasu zarząd poszukiwał dwóch nowych pracowników, którzy mieliby co najmniej takie doświadczenie jak ja. Chciałem odejść w najgorszym dla firmy momencie, nic mnie to jednak nie obchodziło. Kancelaria zatrudniała ośmiuset prawników, można było dowolnie przenosić ludzi z jednej sekcji do drugiej.

W poprzednim roku wystawiłem rachunki na łączną sumę prawie siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Tylko z tego powodu zostałem zaproszony na śniadanie do prywatnej jadalni zarządu spółki, żeby w jej zaciszu poznać plan, który umożliwiłby zatrzymanie mnie w firmie. Z tej samej przyczyny warto było poświęcić moją roczną pensję, przeznaczyć ją na pomoc bezdomnym czy też cokolwiek innego, co tylko przyszłoby mi do głowy, żebym za rok mógł z nawiązką pokryć tę stratę.

Kiedy Rudolph zakończył omawianie propozycji mojego urlopu, natychmiast przeszedł do bieżących, prowadzonych przez nas wspólnie spraw. Układaliśmy harmonogram najbliższych spotkań, gdy przy sąsiednim stoliku zasiadł Braden Chance. W pierwszej chwili mnie nie zauważył. W jadalni przebywało kilkanaście osób, przy czym większość siedziała samotnie, przeglądając poranną prasę. Staralem się lekceważyć jego obecność, lecz gdy za którymś razem podniosłem głowę znad papierów, spostrzegłem, że przygląda mi się uważnie.

- Dzień dobry, Braden - powiedziałem głośno, co wprawilo Chance'a w jeszcze większe osłupienie, natomiast Rudolph obejrzał się szybko, żeby sprawdzić, kogo tak powitałem.

Tamten sztywno skinął nam głową i z wystudiowaną obojętnością zaczął smarować grzankę masłem.

- Znasz go? - zapytał szeptem Rudolph.

- Raz rozmawialiśmy.

Podczas naszej krótkiej sprzeczki Chance domagał się stanowczo, bym wyjawiał nazwisko swego przełożonego. Wymieniłem wówczas Rudolpha. Teraz po minie Bradena domyśliłem się, że nie złożył na mnie żadnej skargi.

- To ostatni dupek - oznajmił ledwie słyszalnym tonem Rudolph.

Nie miał nic więcej do dodania. Szybko przerzucił kilka kartek, jakby w jednej chwili zapomniał o obecności Chance'a, i przeszedł do kolejnych spraw. Naprawdę miałem cholernie dużo zaległej roboty.

Nie potrafiłem się jednak uwolnić od myśli o Bradenie i tajemniczych aktach dotyczących eksmisji dzikich lokatorów. Jakoś nie umiałem sobie wyobrazić, żeby ten facet o załzawionych oczach, bladej cerze, paskudnych manierach i zapewne słabej psychice chodził śmiało po ulicach i przeprowadzał wizje lokalne w starych magazynach zajętych przez bezdomnych - krótko mówiąc, brudził sobie ręce, osobiście wykonując tak przyziemne zadania. Nie ulegało wątpliwości, że do tej pracy wysyłał aplikantów. On mógł jedynie przekładać papierki na biurku, żeby wystawiać rachunki po kilkaset dolarów za godzinę, natomiast do brudnej roboty miał takich jak Hector Palma. Chance umawiał się na lunch bądź partię golfa z członkami zarządu spółki RiverOaks - takimi sprawami się zajmował jako wspólnik kancelarii.

Pewnie nawet nie znał nazwisk ludzi, których wskutek transakcji między RiverOaks i TAG wyrzucał na bruk. Po co miałby sobie nimi zawracać głowę. Chodziło wszak o dzikich lokatorów, bezimiennych i pozbawionych praw. I nie on był na miejscu, kiedy policja wyciągała tych biedaków z magazynu. Ale Hector Palma zapewne widział to na własne oczy.

Skoro Chance nawet nie znał nazwiska Lontae Burton, nie kojarzył też śmierci

samotnej matki i czworga jej dzieci ze sprawą przeprowadzonej wcześniej eksmisji. A może jednak zdążył powiązać ze sobą te sprawy? Może ktoś mu o tym powiedział? Te wątpliwości potrafił rozwiać jedynie Hector Palma, ja zaś chciałem poznać prawdę jak najszybciej. Była już środa, w piątek miałem odejść z kancelarii.

Rudolph zakończył nasze wspólne śniadanie przed ósmą, gdyż czekała go jakaś kolejna ważna narada z ważnymi klientami. Wróciłem do swojego gabinetu i zagłębiłem się w lekturze „The Washington Post”. W dziale miejskim znalazłem wzruszające zdjęcie pięciu różnej wielkości trumien zajmujących całą szerokość kościoła oraz szczegółowy opis ceremonii pogrzebowej i późniejszego marszu protestacyjnego.

W grubych czarnych ramkach umieszczono notkę redakcyjną, w której proszono wszystkich sytych i mających dach nad głową obywateli tego miasta, by choć przez chwilę pomyśleli o setkach ludzi będących w sytuacji podobnej do Lontae Burton - nie mających się gdzie podziać, kocujących na ulicach; o tych, co śpiją w porzuconych samochodach i prowizorycznych szałasach, marzną w namiotach i na parkowych ławkach, bez przerwy szukając wolnego łóżka w przepelnionych i częstokroć niebezpiecznych schroniskach dla bezdomnych; o tych, którzy także należą do społeczeństwa. Mieszkaliśmy obok siebie w tym samym mieście, byliśmy takimi samymi ludźmi. Potrzebowali naszej pomocy. Pozbawieni jej, mogli tylko coraz liczniej umierać na ulicach.

Wyciąłem tę notkę z gazety, złożyłem ją starannie i schowałem do portfela.

Wykorzystując znajomości między aplikantami, skontaktowałem się z Hectorem Palmą. Nie chciałem z nim rozmawiać w korytarzu sekcji i tym samym narażać go na nieprzyjemności ze strony Chance’a.

Spotkaliśmy się w głównej bibliotece na drugim piętrze, między regałami, z dala od ciekawskich oczu i kamer systemu ochrony. Palma był strasznie zdenerwowany.

- To ty zostawiłeś kopertę na moim biurku? - zapytałem wprost, chcąc przejść od razu do rzeczy.

- Jaką kopertę? - burknął niewyraźnie, lękliwie rozglądając się dookoła, jakbyśmy byli śledzeni przez zastępy agentów wywiadu.

- Z kartką dotyczącą eksmisji po transakcji między RiverOaks i TAG. To ty się nią zajmowałeś, prawda?

Nie wiedział, czy do tej pory zdobyłem konkretne informacje na ten temat.

- Tak - odparł cicho.

- Gdzie są akta tej sprawy?

Zdjął z półki pierwszą lepszą książkę i zaczął ją przeglądać, jakby czegoś szukał.

- Chance trzyma wszystkie teczki pod kluczem.

- W swoim gabinecie?

- Tak, w szafce pod oknem.

Porozumiewaliśmy się szeptem. Nie byłem specjalnie zdenerwowany, lecz i ja mimo woli rozejrzałem się dookoła. Zaraz jednak uprzytomniłem sobie, że nawet gdyby ktoś nas obserwował, nie miałby przecież żadnych podstaw, żeby sądzić, iż cokolwiek knujemy.

- Jest coś interesującego w tych aktach? - zapytałem.

- Sporo.

- Co takiego?

- Mam żonę i czworo dzieci, nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy.

- Daję ci słowo, że nikt się o tym nie dowie.

- Pan odchodzi z kancelarii i może się nie przejmować moim losem.

Nawet za bardzo mnie nie zdziwiło, że plotki rozchodzą się tak szybko. Zawsze byłem tylko ciekaw, kto bardziej plotkuje: prawnicy czy sekretarki. Teraz doszedłem do wniosku, że aplikanci też nie zostają w tyle.

- Po co zostawiłeś ten spis nazwisk w moim gabinecie?

Sięgnął po inną książkę. Ręce wyraźnie mu się trzęsły.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Odstawił książkę i przeszedł do sąsiedniego regału. Nie odstępowałem go ani na krok. Byłem pewien, że nikt nie zwraca na nas szczególnej uwagi. A skoro Palma nie uciekał z biblioteki, zapewne chciał jednak ze mną porozmawiać.

- Potrzebne mi te akta.

- Nie mam do nich dostępu.

- W jaki sposób mógłbym się z nimi zapoznać?

- Musiałby je pan wykraść.

- Żaden kłopot. Potrzebny mi tylko klucz od szafki.

Przelotnie spojrział mi prosto w oczy, jakby chciał ocenić, czy mówię całkiem poważnie.

- Klucza także nie mam.

- To jak zdobyłeś tę listę wyeksmitowanych?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Bardzo dobrze wiesz. To przecież ty mi ją zostawiłeś na biurku.

- Rzeczywiście panu odbiło.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Miałem nadzieję, że jeszcze raz przystanie przy którymś regale, ale minął szybko stanowisko bibliotekarki i po chwili zniknął za drzwiami.

Nie zamierzałem palić za sobą mostów przez te ostatnie trzy dni pracy w firmie, niezależnie od tego, czy Rudolph rzeczywiście mógł mi załatwić urlop naukowy. Wręcz przeciwnie, chciałem nawet nieco uporządkować cały antytrustowy śmietnik na moim biurku. Ale gdy wróciłem do gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi i powiodłem wzrokiem po ścianach, uśmiechnąłem się szeroko do tego, co zostawiam za sobą. Z każdym oddechem uwalniałem się od ciągłej presji. Miałem wreszcie szansę zapomnieć o zegarku zapiętym na podobieństwo pętli na szyi. Koniec z osiemdziesięciogodzinnym tygodniem pracy, do którego zmuszała świadomość, że koledzy mogą pracować po osiemdziesiąt pięć godzin. Dostyc kłaniania się w pas wszystkim przełożonym. No i koniec z sennymi koszmarami o tym, że droga do pozycji wspólnika w firmie urwie mi się nagle pod stopami.

Zadzwoiłem do Mordecaia i oficjalnie zaakceptowałem jego ofertę pracy. Przyjął to z radością, po czym zażartował, że chyba znajdzie jakiś sposób na to, bym nie musiał przymierać głodem. Miałem zacząć od poniedziałku, poprosił jednak, abym wcześniej zajrzał do ośrodka, żeby bliżej zapoznać się z tamtejszymi warunkami. Z mojej pamięci wypłynęło wspomnienie zaśmieconych pomieszczeń biura przy ulicy Czternastej. Przemknęło mi przez myśl, że nawet nie wiem, który z pustych pokoi Green mi przydzielą. Zaraz jednak stwierdziłem, że nie ma to żadnego znaczenia.

Aż do późnego popołudnia mniej czy bardziej szczerze żegnali mnie koledzy, w większości przeświadczeni, że naprawdę postradałem zmysły.

Przyjmowałem to dzielnie. W końcu jeszcze za życia wkraczałem do grona świętych.

Tymczasem moja żona zdążyła odwiedzić adwokata specjalizującego się w sprawach rozwodowych, heterę o reputacji bezwzględnej przeciwniczki każdego kawałka spodni.

Kiedy wróciłem do domu o szóstej, a więc dość wcześnie, Claire już na mnie czekała. Kuchenny stół był założony kartkami z notatnika i wydrukami komputerowymi, na wierzchu leżał kalkulator. Znakomicie się przygotowała. Tym razem to ja dałem się schwytać w pułapkę.

- Proponuję, żebyśmy wzięli rozwód na podstawie daleko idącej niezgodności charakterów - oznajmiła przymilnym tonem. - Unikniemy kłótni, publicznego prania brudów i wytykania sobie palcem przewinień. Przyznamy, że nie umieliśmy dotąd powiedzieć sobie otwarcie, iż nasze małżeństwo się rozpadło.

Popatrzyła na mnie uważnie, czekając na reakcję. Nie okazałem jednak zdziwienia.

Skoro ona się już zdecydowała, to po co miałbym protestować? Starałem się sprawiać wrażenie równie opanowanego jak ona.

- Proszę bardzo - odparłem nonszalancko.

W gruncie rzeczy odczuwałem ulgę z tego powodu, iż ostatecznie zdobyliśmy się na szczerość. Zmartwiło mnie tylko trochę, że ona chyba bardziej pragnie rozwodu ode mnie.

Zapewne chcąc zachować dominującą rolę, zrelacjonowała mi swoją rozmowę z Jacqueline Hume, która miała ją reprezentować w sprawie rozwodowej, przy czym wymieniła to nazwisko takim tonem, jakby samo jego brzmienie mogło mnie wystraszyć. Następnie ochoczo przytoczyła wszelkie opinie na mój temat, jakie usłyszała od tejże papugi.

- Po co wynajęłaś adwokata? - zapytałem, przerywając jej w pół słowa.

- Chciałam mieć pewność, że ktoś zadba o moje interesy.

- Czyżbyś sądziła, iż zamierzam cię zostawić na lodzie?

- Jesteś prawnikiem, dlatego i ja zapragnęłam mieć swego adwokata. Tylko tyle.

- Zaoszczędziłabyś mnóstwo forsy, gdybyś zrezygnowała z usług tej kobiety - zauważyłem z troską w głosie. No cóż, w końcu chodziło o nasz rozwód.

- Będę się jednak czuła znacznie lepiej, mając fachową pomoc.

Podsunała mi załącznik A, wyszczególniający najważniejsze elementy naszego wspólnego majątku, a później załącznik B, stanowiący propozycję ich podziału. Wcale mnie nie zaskoczyło, że Claire chciała zatrzymać większość. Mieliśmy w banku dwanaście tysięcy dolarów i proponowała, aby połowę tej sumy przeznaczyć na uregulowanie zadłużenia za jej samochód. Mnie chciała oddać dwa i pół tysiąca z pozostałej kwoty. Nigdzie nie znalazłem żadnej wzmianki o szesnastu tysiącach kredytu, jaki musiałem spłacać za swój wóz. Ponadto żądała czterdziestu tysięcy z pięćdziesięciu jeden ulokowanych w funduszu powierniczym. Mnie łaskawie pozwalała zatrzymać resztę.

- Nie jest to równy podział - mruknąłem.

- Możesz zapomnieć o równym podziale - odparła życzliwym głosem kata ustawiającego skazańca przed plutonem egzekucyjnym.

- Dlaczego?

- Bo to nie ja przechodzę kryzys wieku średniego.

- A więc ja jestem winien rozpadu małżeństwa?

- Nie będziemy orzekali niczyjej winy, wystarczy jedynie rozdzielić wspólny majątek.

Z sobie tylko znanych przyczyn postanowiłeś ograniczyć nasze dochody o dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Dlaczego ja miałabym ponosić konsekwencje tej decyzji? Moja pani mecenas jest niemal pewna, że zdoła przekonać sędziego, iż twoje działania doprowadziły

rodzinny budżet do krachu. Nic mnie nie obchodzi, co ci odbiło, ale nie chcę z tego powodu głodować.

- To ci raczej nie grozi.

- Nie zamierzam dyskutować na ten temat.

- Ja też bym nie dyskutował, gdybym miał dostać prawie wszystko.

Narastała we mnie chęć zepsucia jej choć trochę krwi. Nie potrafiliśmy wrzeszczeć na siebie ani ciskać talerzami. Z pewnością żadne z nas nie umiałoby się rozpląkać. Nie było też szans na to, by zasypywać się oskarżeniami w sprawach niewierności małżeńskiej, alkoholizmu czy narkomanii. Więc jaki to miał być rozwód?

Czysty, wręcz sterylny.

Całkowicie mnie ignorując, Claire przeszła do kolejnego punktu na swojej liście, bez wątpienia sporządzonej przez świeżo najętą papugę.

- Umowę na wynajem mieszkania mamy do trzynastego czerwca i chcę tu zostać do tego czasu. Będę musiała jeszcze zapłacić prawie dziesięć tysięcy czynszu.

- Zatem wolałabyś, żebym ja się stąd wyniósł.

- Tak, i to jak najszybciej.

- Proszę bardzo.

Jeśli zależało jej na szybkim rozstaniu, nie zamierzałem błagać o litość. Tego typu rozgrywkę znałem dobrze, liczyło się wyłącznie nasilenie pogardy okazywanej drugiej stronie.

Miałem już zapytać: „Czyżbyś chciała zamieszkać tu z kimś innym?”, ale ugryzłem się w język. Nie chodziło mi o to, by ją wkurzyć. Pragnąłem nią wstrząsnąć, poruszyć jej sumienie.

- Wyprowadzę się podczas najbliższego weekendu - powiedziałem, odzyskawszy zimną krew.

Ani trochę jej to nie zdziwiło. Przez parę sekund trwała w milczeniu, toteż zapytałem:

- Na jakiej podstawie przyznajesz sobie prawo do osiemdziesięciu procent oszczędności zgromadzonych w funduszu powierniczym?

- Wcale nie zostanie mi osiemdziesiąt procent. Dziesięć tysięcy zapłacę za mieszkanie, jakieś trzy tysiące wydam na życie, kolejne dwa tysiące pochłonie spłata naszych kart kredytowych, poza tym będziemy musieli przeznaczyć wspólnie około sześciu tysięcy dolarów na podatek dochodowy. A to daje w sumie dwadzieścia jeden tysięcy.

Załącznik C stanowiła szczegółowa lista rzeczy osobistych, poczynając od tych, które znajdowały się w saloniku, a skończywszy na pustej sypialni gościnnej. Z pewnością żadne z nas nie zamierzało wszczynać kłótni na temat podziału talerzy bądź sztuców, toteż ów spis przyjąłem nawet z wdzięcznością.

- Zabieraj sobie, co chcesz - mruknąłem, prześlizgując się wzrokiem po takich pozycjach, jak zestawy ręczników kąpielowych czy też komplety pościeli.

Zatrzymałem się tylko przy kilku punktach, ale i nad nimi szybko doszliśmy do porozumienia. Względem paru rzeczy kierowała mną bardziej chęć pozbycia się ich z domu niż choćby cień przywiązania.

Poprosiłem o telewizor i jakiś skromny zestaw naczyń kuchennych. Uświadomiłem sobie nagle konieczność powrotu do kawalerskiego gospodarstwa, a przecież nie miałem nawet pojęcia, gdzie mógłbym zamieszkać. Zostałem pokonany, Claire bowiem poświęciła wiele godzin na snucie planów.

Nie zamierzała jednak czynić mi specjalnych trudności. Szybko doszliśmy do końca załącznika C i oznajmiliśmy uroczyście, że czujemy się nawzajem rozwiedzeni. Pozostało jedynie złożyć podpisy pod główną częścią umowy, odczekać pół roku i stanąć przed sądem, żeby prawnie usankcjonować rozpad naszego związku.

Po załatwieniu formalności żadne z nas nie miało ochoty na dalszą rozmowę. Włożyłem płaszcz i poszedłem na długi spacer ulicami Georgetown, rozmyślając nad drastycznymi zmianami dokonującymi się w moim życiu.

Dobrze wiedziałem, że powolny rozpad małżeństwa musi wcześniej czy później doprowadzić do rozwodu. Niemniej nagły zwrot odebrałem jak cios prosto w serce. Według mnie wydarzenia toczyły się zdecydowanie za szybko, ale nie umiałem żadnym sposobem ich zahamować.

ROZDZIAŁ 14

Zarząd spółki odrzucił propozycję udzielenia mi urlopu naukowego. Nie zaproszono mnie też na posiedzenie, które się odbyło w tej sprawie, tylko Rudolph przekazał ze zboląłą miną, że wspólnicy nie zgodzili się na zrobienie bardzo groźnego precedensu. Przeważały obawy, że przyznanie jednemu z pracowników korzystnego urlopu wywoła lawinę żądań ze strony innych malkontentów, których przecież nie brakowało w tak wielkiej firmie.

A zatem nawet nie chciano mi stworzyć bezpiecznej odskoczni. Moje odejście z kancelarii miało przypominać ostateczne zatrzaśnięcie za sobą drzwi.

- Czy jesteś pewien, że wiesz, co robisz? - spytał Rudolph, zatrzymując się przy moim biurku.

Obok niego na podłodze stały dwa duże kartony. Polly zaczęła już pakować moje rzeczy osobiste.

- Tak, jestem pewien - odparłem z uśmiechem. - Nie martw się o mnie.

- Szkoda.

- Dzięki, Rudolphie.

Wyszedł, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Po wczorajszej rozmowie z Claire nawet nie chciałem sobie zaprzętać głowy ewentualnym urlopem naukowym. Inne sprawy nie dawały mi spokoju. Głównie to, że miałem zostać samotnym rozwodnikiem, pozbawionym dachu nad głową.

Postanowiłem przede wszystkim znaleźć sobie jakieś mieszkanie, a potem urządzić się w nowym miejscu pracy i zacząć karierę od początku. Zamknąłem się w gabinecie i otworzyłem gazetę na ogłoszeniach dotyczących wynajmu lokali.

Mogłem sprzedać samochód i w ten sposób zmniejszyć miesięczne wydatki o czterysta osiemdziesiąt dolarów. A potem kupić jakiegoś grata, ubezpieczyć go wysoko i spokojnie czekać, aż którejś nocy zniknie sprzed mojego nowego miejsca zamieszkania. Jeśli marzyło mi się jakieś przyzwoite lokum w Waszyngtonie, musiałem przeznaczyć na czynsz prawie wszystkie dochody z ośrodka.

Wcześniej wyszedłem na lunch i poświęciłem dwie godziny na oglądanie mieszkań przeznaczonych na wynajem w centrum miasta. Najtańsza była mroczna nora za tysiąc sto dolarów miesięcznie, zdecydowanie za droga jak na kieszeń obrońcy ulicy.

Kiedy wróciłem po lunchu, na moim biurku czekała następna tajemnicza, nie podpisana

szara koperta. Nawet ułożona była dokładnie w tym samym miejscu co poprzednia. Zawierała dwa klucze przyklejone od wewnątrz taśmą samoprzylepną i karteczkę z wydrukowanym na maszynie tekstem:

„Górny klucz od gabinetu Chance’a. Dolny od szafki stojącej pod oknem. Skopiuj akta i odłóż je z powrotem. Bądź ostrożny, Chance wszystkich traktuje z podejrzliwością. Klucze wyrzuć”.

Polly jak zwykle weszła bez pukania, po cichu, niczym duch nawiedzający mój gabinet. Była nadąsana i ostentacyjnie mnie ignorowała. Pracowaliśmy razem od czterech lat, toteż wierzyłem, że moje odejście sprawia jej przykrość. Uważałem ją za bardzo miłą, ale nie zdążyliśmy się specjalnie zżyć. Nie martwiłem się szczególnie jej losem, byłem przekonany, że w ciągu najbliższych dni dostanie inny przydział.

Pospiesznie zgarnąłem kopertę, bojąc się, że Polly ją zauważy. Oczekałem chwilę, aż wrzuci parę kolejnych rzeczy do kartonu. Nie odezwała się ani słowem na temat szarej koperty, mogłem więc wnioskować, że nic jej nie obchodzi moje sprawy. Wiedziałem jednak, iż mało co uchodzi jej uwagi, toteż nie wyobrażałem sobie, jak Hector czy ktokolwiek inny mógł się niepostrzeżenie zakraść do gabinetu i zostawić tu klucze.

Później na krótką rozmowę wpadł Barry Nuzzo, mój przyjaciel i towarzysz doli zakładnika w sali konferencyjnej. Starannie zamknął za sobą drzwi i okrążył porozstawiane kartony. Nie chciałem z nim dyskutować o moim odejściu, więc pospiesznie zawiadomiłem go o decyzji Claire. Nasze żony pochodziły z Providence, co w waszyngtońskim kotle zdawało się nabierać szczególnego znaczenia.

Wcześniej spotykaliśmy się poza pracą parę razy do roku, ale wraz z narastającym kryzysem mojego małżeństwa łączące nas więzi zaczęły słabnąć.

Barry był zdziwiony i zasmucony, ale jak przystało na prawnika, znosił to nadzwyczaj dzielnie.

- Miałeś bardzo kiepski miesiąc - zaczął. - Bardzo mi przykro.

- To prawda, od dłuższego czasu idzie mi pod górkę.

Powspominaliśmy trochę stare dzieje i wspólnych znajomych, z którymi urwał się kontakt. Uderzyło mnie, iż żaden z nas nie miał odwagi nawiązać do sprawy Pana. Wydawało mi się, że dwaj przyjaciele, którzy wspólnie stanęli oko w oko ze śmiercią i zdołali wyjść z tego z życiem, powinni sobie nawzajem pomóc w odzyskaniu równowagi psychicznej.

Wreszcie rozmowa potoczyła się w tym kierunku, zresztą trudno było uniknąć drażliwego tematu, skoro cała podłoga w moim gabinecie była zastawiona pudłami. W gruncie rzeczy właśnie niedawny incydent stanowił rzeczywisty powód tej rozmowy.

- Przykro mi, że sprawiłem ci zawód - mruknął.

- Nie wygłupiaj się, Barry.

- Mówię poważnie. Powinienem być z tobą pogadać.

- Dlaczego?

- Bo może wtedy by ci nie odbiło. - Zaśmiał się krótko.

Próbowałem się dostosować do jego nastroju.

- Masz rację, chyba rzeczywiście zachowuję się nienormalnie, ale to przejdzie.

- Nie żartuj. Kiedy się dowiedziałem, że masz kłopoty, usiłowałem się z tobą skontaktować, ale nie było cię w pracy. Martwiłem się o ciebie, lecz miałem cholernie pilną robotę. Wiesz, jak to jest.

- Wiem.

- Naprawdę mi głupio, że zostawiłem cię w trudnej sytuacji, Mike. Nie mogę sobie tego darować.

- Przestań wreszcie.

- Wszyscy się nieźle najedliśmy strachu, ale to ty stałeś na drodze kuli. Mogłeś zginąć.

- Wszyscy mogliśmy zginąć, Barry. Gdyby on miał prawdziwy dynamit, a snajper by spudłował, zrobiliby się wielkie bum. Nie wracajmy do tego.

- Kiedy już biegłem z innymi do wyjścia z sali, zauważyłem, że jesteś cały zalany krwią. Hysterycznie krzychałeś. Pomyślałem, że zostałeś ranny. A potem, na korytarzu, zrobił się rwetes, ciągnęli nas w stronę schodów, poganiali wrzaskami. Bałem się, iż lada moment nastąpi eksplozja. Powtarzałem wtedy w myślach, że powinienem wrócić, bo Mike został w sali i jest ranny. Ale kiedy zatrzymaliśmy się przed windą i gliniarze rozcinali nam więzy, spostrzegłem, że i ciebie wyprowadzają na korytarz. Nigdy tego nie zapomnę, byłeś cały we krwi.

Nie odpowiedziałem. Barry musiał się wygadać, wyrzucić z duszy przykre wspomnienia - choćby tylko po to, żeby później donieść Rudolphowi, iż próbował mnie nakłonić do zmiany decyzji.

- I przez całą drogę na dół próbowałem się dowiedzieć, czy odniosłeś jakieś rany. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Minęła chyba godzina, zanim wreszcie się dowiedziałem, że jesteś cały i zdrow. Miałem zamiar do ciebie zadzwonić po powrocie do domu, lecz dzieciaki nie dały mi nawet chwili spokoju. A powinienem był wtedy zadzwonić.

- Daj spokój.

- Przykro mi, Mike.

- Przestań się wreszcie powtarzać. Było, minęło. Moglibyśmy na ten temat rozmawiać przez cały dzień, a i tak niczego by to nie zmieniło.

- Kiedy podjąłeś decyzję odejścia z firmy?

Zamyśliłem się na chwilę. W rzeczywistości zapadła ona chyba w tym momencie, kiedy w niedzielę Bill ściągnął prześcieradło i ujrzałem małego Ontario pogrążonego w wiecznym śnie. Właśnie wtedy, w kostnicy miejskiej kliniki, w jednej chwili stałem się innym człowiekiem.

- Podczas weekendu - odparłem wymijająco, nie zamierzając niczego dalej wyjaśniać.

To mu wystarczyło. Pokiwał smętnie głową, jakby czuł się odpowiedzialny za to, że wokół niego stoją teraz pootwierane pudła. Postanowiłem mu ulżyć.

- W żaden sposób nie zdołałbyś wpłynąć na moją decyzję, Barry. Klamka zapadła.

Znów pokiwał głową. Miał taką minę, jak gdyby rozumiał, że w chwili śmiertelnego zagrożenia, na widok lufy wymierzonej człowiekowi w twarz, może nastąpić gwałtowne przewartościowanie: zaczyna się liczyć Bóg, rodzina i przyjaciele, a forsa spada na ostatnie miejsce. Cóż znaczy kariera w bogatej firmie, jeżeli wraz z mijającymi sekundami towarzyszy ci świadomość, że może to być ostatni dzień twego życia?

- A co u ciebie? - zapytałem. - Wszystko w porządku?

No pewnie. Dla niego kariera w bogatej firmie pozostawała na końcu listy życiowych priorytetów zaledwie przez parę godzin.

- W czwartek zaczęła się rozprawa, właśnie ta, do której przygotowania przerwał nam incydent z Panem. Nie mogliśmy wnioskować o odroczenie, skoro klient czekał na tę rozprawę aż cztery lata. Zresztą żaden z nas nie odniósł urazów, przynajmniej fizycznych. Dlatego trzeba było przysiąc fałdów i szybko zakończyć przygotowania do rozprawy. Zasuwaliśmy jak idioci. Mam wrażenie, że to nas uratowało.

Oczywiście. W kancelarii Drake'a i Sweeneya wyteżona praca to lek na wszelkie dolegliwości. Miałem wielką ochotę wyskoczyć na Barry'ego z pyskiem, bo jeszcze dwa tygodnie temu i ja bym gładko opowiadał takie same banialuki. Powstrzymałem się jednak.

- Wspaniale - odparłem uprzejmie. - Zatem u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, jasne.

Był adwokatem procesowym, a więc człowiekiem ze stali w teflonowej skórze. Ponadto miał trójkę dzieci, zatem w jego wypadku w ogóle nie wchodziła w grę możliwość dokonania gruntownych życiowych zmian.

Zaczęło mu się nagle spieszyć. Uścisnęliśmy się serdecznie na pożegnanie, obiecując sobie wzajemnie pozostać w kontakcie.

Zamknąłem drzwi na klucz, żeby jeszcze raz obejrzeć zawartość koperty i zdecydować,

jak powinienem postąpić. Przede wszystkim musiałem przyjąć dwa założenia: że klucze będą pasować i że nie znajdę się w potrzasku. Nie miałem dotąd żadnych wrogów w firmie, zresztą odchodziłem z pracy. Ponadto należało zakładać, że akta wciąż się znajdują w szafce pod oknem, że zdołam je stamtąd wyciągnąć przez nikogo nie zauważony, a później szybko zrobić kopie i tak samo niepostrzeżenie odłożyć teczkę na miejsce. A w końcu to, co najważniejsze: że w dokumentach znajdę dowody przestępstwa.

Spisałem wszystkie te punkty na kartce. Gdyby mnie przyłapano na myszkowaniu w czyichś papierach, zostałbym natychmiast wyrzucony z kancelarii, lecz tym mogłem się już nie przejmować. Nie bałem się też, że ktoś zauważy, jak własnym kluczem otwieram drzwi gabinetu Chance'a.

Gorzej przedstawiała się sprawa skopiowania dokumentów. Teczka każdej z prowadzonych w firmie spraw miała co najmniej dwa centymetry grubości, wychodziło więc na to, że będę musiał skserować ze sto stron, przy czym większość z nich była zapewne bez wartości. To z kolei oznaczało zajęcie kopiarki na kilka minut, co mogło się wydać podejrzane, tym bardziej że kserowaniem materiałów zajmują się tylko sekretarki i aplikanci, a nigdy adwokaci. W dodatku naszyły mnie obawy, iż ta cholernie skomplikowana maszyna zepsuje się w tej samej sekundzie, gdy tylko nacisnę pierwszy klawisz. Te zaś były jeszcze specjalnie kodowane, tak by każde naciśnięcie któregoś klawisza automatycznie obciążało rachunek właściwego klienta. Co gorsza, kserokopiarki stały w korytarzach. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy choć jedna maszyna znajduje się w jakimś zacisznym kącie. A gdybym nawet zdołał taką namierzyć w innej sekcji kancelarii, natychmiast wzbudziłbym podejrzania, próbując z niej skorzystać.

Nie było innego wyjścia, jak wynieść teczkę z gmachu, to jednak podlegało już pod paragraf kodeksu karnego. I nie pomogłyby mi żadne tłumaczenia, że nie wykradam dokumentów, lecz chcę je tylko na krótko wypożyczyć.

O szesnastej podwinąłem rękawy koszuli, wziąłem stertę teczek i zszedłem do działu nieruchomości. Chciałem sprawiać wrażenie, jakby mnie tam przygnały sprawy służbowe. Hectora nie było przy biurku w recepcji, za to Braden Chance siedział w swoim gabinecie. Nie widziałem go przez zamknięte drzwi, ale słyszałem podniesiony głos, zapewne rozmawiał przez telefon. Sekretarka uśmiechnęła się przymilnie. W korytarzu nie zauważyłem ani jednej kamery systemu ochrony, na szczęście nie na wszystkich piętrach były zainstalowane. Ostatecznie, kto chciałby się włamywać do gabinetów prawników zajmujących się nieruchomościami?

Godzinę później wyszedłem z gmachu. W sklepiku na rogu zaopatrzyłem się w kilka

kanapek i pojechałem do mojego nowego biura.

Wspólnicy już czekali. Sofia nawet uśmiechnęła się na chwilę, ściskając mi dłoń.

- Witamy na pokładzie - mruknął posepnie Abraham, jakbym rzeczywiście wkraczał na pokład tonącego okrętu.

Mordecai pospiesznie zaprowadził mnie do pokoju, który sąsiedował z jego gabinetem.

- Jak ci się podoba? - zapytał.

- Wspaniały - odparłem, wchodząc głębiej.

Był o połowę mniejszy od tego, z którego niedawno wyszedłem, chyba nawet nie zmieściłoby się w nim moje biurko. Pod ścianą stały cztery regały na dokumenty, każdy z innego kompletu. Za oświetlenie służyła goła żarówka zwieszająca się z sufitu na kawałku przewodu. Nigdzie nie dostrzegłem telefonu.

- Podoba mi się - dodałem, i wcale nie było to kłamstwo.

- Jutro zainstalujemy ci telefon - rzekł Green, zaciągając rolety w nie domytym oknie. -

Ostatnio pracowała tu młoda kobieta o nazwisku Banebridge.

- Co się z nią stało?

- Zrezygnowała z powodu niskich zarobków.

Zapadał zmrok. Sofia pożegnała się szybko, Abraham zamknął się w swoim pokoju. Urządziliśmy sobie z Mordecaiem obiad na jego biurku - ja wyciągnąłem kanapki, on nalał podłej kawy, którą niedawno zaparzył.

W ośrodku stała zwalista kserokopiarka o konstrukcji z połowy lat osiemdziesiątych. Na szczęście nie miała kodowanych klawiszy i nie wydawała z siebie dziesiątków różnych sygnałów dźwiękowych, tak ekscytujących moich dotychczasowych pracodawców. Znajdowała się w głównej sali, obok jednego z czterech biurków zawałonych starymi aktami.

- O której zamierzasz dzisiaj wracać do domu? - zapytałem Greena, przezuwając z wolna kanapkę.

- Nie wiem, chyba gdzieś za godzinę. Dlaczego pytasz?

- Z ciekawości. Muszę wrócić do biura Drake'a i Sweeneya, żeby dokończyć parę ostatnich spraw. Chciałbym jeszcze dzisiaj przywieźć tu trochę swoich gratów, jeśli to możliwe.

Bez słowa sięgnął do szuflady, wyjął komplet trzech kluczy i rzucił je przede mną na biurko.

- Możesz tu urzędować, kiedy tylko będziesz miał ochotę - mruknął.

- To bezpieczne?

- Niezbyt, bądź ostrożny. Samochód zostaw na ulicy, jak najbliżej wejścia. Nie marudź na chodniku, a od wewnątrz zamknij drzwi na zasuwkę. - Chyba dostrzegł mój strach, gdyż szybko dodał: - Przywykniesz. Wystarczy tylko odrobina sprytu.

Wykazując się odrobiną sprytu, o wpół do siódmej podbiegłem do samochodu. Na ulicy nie było żywej duszy. Nikt mnie nie gonił, nikt nie mierzył z rewolweru, a i na karoserii lexusa nie zauważyłem ani jednego zadrapania. Chyba rzeczywiście miałem szansę przeżycia w tej okolicy.

Droga do kancelarii zajęła mi jedenaście minut. Gdybym zdołał skopiować dokumenty w pół godziny, teczka znajdowałaby się poza gmachem najwyżej przez godzinę. Oczywiście zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. A tego nie mogłem być pewien. Oczekałem do dwudziestej i ponownie zszedłem do działu nieruchomości, znów z podwiniętymi rękawami i stertą papierów, jakbym załatwiał ważne sprawy.

W korytarzu nie natknąłem się na nikogo. Zapukałem do gabinetu Chance'a, lecz nikt nie odpowiedział. Drzwi były zamknięte na klucz. Zacząłem systematycznie sprawdzać sąsiednie pomieszczenia, pukając najpierw lekko, potem głośniej, wreszcie naciskając klamkę. Na obu końcach korytarza również nie zauważyłem kamer systemu ochrony. Zajrzałem nawet do sali konferencyjnej i pokoju maszynistek. Nigdzie nie znalazłem żywej duszy.

Klucz do drzwi był taki sam jak mój, tego samego koloru i wielkości. Pasował idealnie, toteż po chwili znalazłem się w środku i zacząłem sobie łamać głowę, czy można zaryzykować włączenie światła. Ktoś przechodzący korytarzem nie musiał przecież wiedzieć, czy kierownik działu jest jeszcze w pracy, podejrzewałem zresztą, że światło wcale nie będzie tak bardzo widoczne przed drzwiami. Ponadto w środku panowały egipskie ciemności, a ja nie miałem latarki.

Zamknąłem drzwi na zasuwkę, zapaliłem światło i podszedłem szybko do szafki pod oknem. Bez trudu otworzyłem ją drugim kluczem. Przyklęknąłem i zacząłem odczytywać tytuły na kolejnych teczkach.

Akt dotyczących spółki RiverOaks było kilkanaście, wszystkie leżały w jednym kąciku. Chance był świetnie zorganizowany, gdyż zarząd firmy kładł na to duży nacisk. Najgrubsza teczka nosiła tytuł: „RiverOaks/TAG Inc.” Wyciągnąłem ją spośród pozostałych, by sprawdzić, czy właśnie o te dokumenty mi chodziło.

Niespodziewanie na korytarzu rozległ się czyjś głos, inny odpowiedział mu z drugiego końca. Po chwili niemal na wprost gabinetu Chance'a dwaj mężczyźni podjęli dyskusję na temat ostatniego ligowego meczu koszykarskiego.

Na miękkich nogach podkradłem się do drzwi i zgasilem światło, wsłuchując się uważnie w te głosy. Później rozsiadłem się na obitej skórą kanapie. Musiałem tak czekać aż dziesięć minut. Przyszło mi do głowy, że nawet gdyby ktoś mnie zauważył wychodzącego stąd z pustymi rękoma, mógłbym się nie obawiać żadnych poważniejszych konsekwencji. W końcu nazajutrz był mój ostatni dzień w pracy. Ale nie mogłem wyjść z pustymi rękoma, musiałem zdobyć dowody.

Zacząłem się zastanawiać, co będzie, gdy zostanę nakryty z teczką. Nawet pobieżna konfrontacja musiałaby oznaczać moją zgubę.

Z rosnącym przerażeniem rozważałem w myślach wszelkie możliwe sytuacje, choć rozsądek nakazywał cierpliwość i spokój. Tamci w końcu musieli sobie pójść. Ale po wymianie opinii na temat obu drużyn zaczęli rozmawiać o poderwanych ostatnio dziewczynach. Doszedłem do wniosku, że są kawalerami, być może praktykantami ze szkoły prawniczej w Georgetown, którzy dorabiają po nocach. Wreszcie ich głosy zaczęły cichnąć.

Po ciemku zamknąłem szafkę i wcisnąłem akta pod pachę. Z niecierpliwością odliczałem kolejne minuty. Mniej więcej po ośmiu uchyliłem ostrożnie drzwi i wyjrzałem na korytarz, ale w pobliżu nikogo nie było. Ruszyłem szybko przez recepcję, minąwszy biurko Hectora. Ze wszech sił starałem się zachować swobodny krok.

- Halo! - zawołał ktoś nagle.

Skręcając za róg, spojrzałem przez ramię. Młody chłopak szedł pospiesznie za mną. Najbliższe drzwi prowadziły do podręcznej biblioteki. Dałem nura do środka, po ciemku przemknąłem się między regałami i znalazłem drugie wyjście. Prowadziło na inny korytarz. Z radością powitałem tabliczkę kierującą do wyjścia awaryjnego. Rzuciłem się biegiem. Przeświadczony, że łatwiej jest zbiegać po schodach, niż wbiegać na górę, pognałem w dół, choć mój gabinet znajdował się zaledwie dwa piętra wyżej. Bałem się, że jeśli facet w korytarzu mnie rozpoznał, może podnieść alarm i zarządzić natychmiastowe poszukiwania intruza.

Wreszcie, ledwie mogąc złapać oddech, znalazłem się na parterze. Nie chciałem się już na nikogo natknąć, a zwłaszcza na strażników, po zajściu z Panem sumiennie pilnujących teraz wind, skrzyłem więc w stronę tylnych drzwi, tych samych, którymi wyprowadziła mnie Polly po uwolnieniu zakładników. Byłem bez płaszcza, a nie tylko znacznie się ochłodziło, ale w dodatku zaczął padać dokuczliwy deszcz. Pognałem pędem do samochodu.

Nie mogłem się uwolnić od myśli, że zostałem przyłapany na kradzieży. Zachowałem się jak ostatni idiota. Tłumaczyłem sobie, że przecież nikt mnie nie złapał za rękę, nikt nie zauważył, jak wychodzę z gabinetu Chance'a, a zatem nikt nie mógł wiedzieć, jakie papiery

wynoszę pod pachą.

Największą głupotą było to, że zacząłem uciekać. Kiedy tamten krzyknął na mnie, powinienem był się zatrzymać, przedstawić, zamienić parę słów. A gdyby się zainteresował teczką, wystarczyło przecież obsztorcować go i wysłać do diabła. Zapewne to jeden z praktykantów, którzy wcześniej rozmawiali pod drzwiami gabinetu.

Przestraszyłem się jednak tego, że za mną zawołał. Bo jeśli mnie nie znał, to dlaczego miałby krzyczeć z drugiego końca korytarza? Skręciłem w Massachusetts Avenue, pragnąc jak najszybciej dostać się do ośrodka, skopiować dokumenty i odwieźć je z powrotem. Byłem gotów czekać nawet przez pół nocy na wyjście z gmachu wszystkich nocnych marków. Mogłem się ponownie zakraść do gabinetu Chance'a nawet o trzeciej nad ranem.

Ta myśl mnie uspokoiła.

Skąd mogłem wiedzieć, że akurat tej nocy policja zorganizowała nieudaną zasadzkę na handlarzy narkotyków? W strzelaninie oberwał jeden z gliniarzy, a hurtownik zdążył wskoczyć do swego jaguara i rzucić się do ucieczki ulicą Osiemnastą. Przy New Hampshire zapaliło mi się zielone światło, lecz uciekającego bandziora nie obchodziły żadne przepisy ruchu drogowego. Kątem oka złowiłem po swojej stronie sylwetkę jaguara, a chwilę później przed nosem eksplodowała mi poduszka powietrzna.

Oprzytomniałem od fali bólu w ramieniu stłuczonym przez mocno wgniecione drzwi. Przez otwór po wybitej przedniej szybie ciekawie zaglądało do środka paru czarnych. Z oddali dolatywało wycie syren policyjnych. To wszystko zaraz jednak odpłynęło wraz z moją świadomością.

Ocknąłem się, kiedy sanitariusz odpiął pas bezpieczeństwa i zaczął mnie przeciągać ponad dźwignią zmiany biegów do prawych drzwi.

- Nigdzie nie widzę krwi - rzekł ktoś zza jego pleców.

- Może pan się poruszać? - zapytał sanitariusz.

Odczuwałem silny ból w ramieniu i z boku, na wysokości żeber. Spróbowałem wstać, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- Nic mi nie jest - bąknąłem, siadając na noszach.

Za moimi plecami wszczął się jakiś ruch, ale nie mogłem nawet odwrócić głowy. Ułożyli mnie z powrotem i przypięli pasami. Kiedy nieśli nosze do karetki, zauważyłem jaguara: leżał kołami do góry, wokół kręciło się pełno gliniarzy i sanitariuszy.

- Nic mi nie jest - powtórzyłem. - Naprawdę czuję się dobrze.

Sprawdzili mi ciśnienie krwi. Potem karetka ruszyła, błyski policyjnych migaczy stopniowo gasły za oknami.

Znalazłem się w izbie przyjęć kliniki przy Uniwersytecie imienia Jerzego Waszyngtona. Prześwietlenie nie wykazało żadnych złamań. Byłem tylko posiniaczony i straszliwie poobijany. Lekarz naszprycował mnie środkami przeciwbólowymi i kazał odwieźć do izolatki.

Kiedy obudziłem się w środku nocy, zauważyłem Claire drzemiącą na krześle przysuniętym do szpitalnego łóżka.

ROZDZIAŁ 15

Wyszła jeszcze przed świtem. Na stoliku zostawiła karteczkę z wyjaśnieniem, że musi iść na obchód, ale zajrzy do mnie przed południem. Rozmawiała z moim lekarzem i spieszyła powiadomić, że raczej nie umrę.

Z zewnątrz przypominaliśmy chyba normalne szczęśliwe małżeństwo, w którym jedna osoba troszczy się o los drugiej. Miałem świetną okazję, żeby się zastanowić, z jakiego właściwie powodu chcemy się rozwieść.

Pielęgniarka obudziła mnie o siódmej i wręczyła tę kartkę. Przeczytałem ją parę razy, żeby nie słuchać nudnych wywodów na temat paskudnej pogody, to znaczy padającego deszczu ze śniegiem. Kiedy zmierzyła mi ciśnienie, poprosiłem o dzisiejszą gazetę. Dostałem ją pół godziny później, razem ze śniadaniem. Wypadek opisano na pierwszej stronie działu miejskiego. Gliniarz dostał kilka kul, jego stan był krytyczny. W zasadzce zginął jeden z handlarzy, natomiast drugi, który uciekał jaguarem, poniósł śmierć w kraksie samochodowej, której okoliczności nie zostały jeszcze wyjaśnione. Nigdzie nie padło moje nazwisko, przyjąłem to z ulgą.

Gdybym nie został w nią przypadkiem wciągnięty, byłaby to dla mnie jedna z wielu podobnych spraw dotyczących wojny policji z handlarzami narkotyków. Ale w mojej sytuacji poczułem się tym bardziej zepchnięty na ulicę. Tłumaczyłem sobie, że kraksa mogła się równie dobrze przydarzyć każdemu innemu mieszkańcowi stolicy, ale jakoś nie przemawiały do mnie żadne argumenty. Miałem dowód, że jeśli się wychodzi na ulicę w nocy, to tak, jakby się samemu szukało kłopotów.

Na stłuczonym lewym ramieniu tworzył się już olbrzymi fioletowy siniak, chociaż ledwo mogłem go dojrzeć z powodu konstrukcji unieruchamiającej mi bark i szyję. Natomiast ból w klatce piersiowej zmuszał do leżenia bez ruchu, bo wtedy dawał o sobie znać tylko przy głębszym oddechu. Podreptałem do łazienki, między innymi po to, żeby spojrzeć w lustro. Poduszka powietrzna przypomina niewielką bombę, która wybucha z wielką siłą prosto w twarz i piersi kierowcy. Niemniej spełnia swoje zadanie. Miałem tylko zadrapany nos, lekko podbite oczy i wyraźnie napuchniętą górną wargę.

Wróciła pielęgniarka z masą pigułek. Poprosiłem, by wyjaśniła działanie poszczególnych leków, po czym odmówiłem ich przyjęcia. Głównie były to środki przeciwbólowe i uspokajające, a ja chciałem zachować jasność myśli. O wpół do ósmej zajrzał

do mnie lekarz. Nie miałem żadnych złamań i poważniejszych ran, wymogłem więc na nim obietnicę, że wypisze mnie jak najszybciej. Zaproponował jedynie kontrolną serię prześwietleń. Chciałem zaprotestować, ale okazało się, że szczegółowo już przedyskutował tę sprawę z moją żoną.

Odnosiłem wrażenie, że całą wieczność łązę w kółko po pokoju, dokładnie testując własną sprawność fizyczną i oglądając kolejne bełkotliwe serwisy informacyjne w telewizji. I przez cały czas miałem nadzieję, iż nikt ze znajomych nie wpadnie tu, żeby mnie pooglądać w twarzowym żółtym szlafroku szpitalnym.

Odnalezienie wraka samochodu w stolicy to prawdziwie tytaniczne zadanie, zwłaszcza gdy próbuje się go odszukać zaraz po wypadku. Zacząłem, co zrozumiałe, od książki telefonicznej, lecz tylko pod co drugim numerem wydziałów drogowych policji ktoś się zgłaszał, a i wówczas uzyskiwałem wymijające odpowiedzi. A to było za wcześnie, a to fatalna pogoda, a to znów komuś nie chciało się pracować w piątek.

Większość rozbitych aut odwożono na parking miejski przy Rasco Road, w dzielnicy Północno-Wschodniej. Dowiedziałem się tego dopiero od dyżurnej z komendy głównej, pracującej zresztą w sekcji opieki nad zwierzętami, gdyż wybierałem numery policyjnych wydziałów jak popadnie. Szybko dodała jednak, że wraki składowane są także na kilku innych parkingach, ale mój może się jeszcze znajdować pod opieką pomocy drogowej. Transportem zajmowały się wyłącznie firmy prywatne, a z tymi zawsze były jakieś problemy. Wreszcie kobieta wyjaśniła, że poprzednio pracowała w drogówce, ale szybko zrezygnowała.

Natychmiast pomyślałem o Mordecaiu, moim nowym źródle wszelkich informacji związanych z życiem na ulicach. Dodzwoniłem się do niego dopiero o dziewiątej. Opowiedziałem mu o wszystkim, zapewniając, że mimo pobytu w szpitalu czuję się naprawdę dobrze, i poprosiłem o pomoc w odnalezieniu rozbitego samochodu. Od razu wpadł na pomysł, jak to załatwić.

Później zadzwoniłem do Polly z identycznymi wyjaśnieniami.

- To nie przyjdiesz dziś do biura? - spytała z urazą w głosie.

- Polly, nadal jestem w szpitalu. Słyszałaś, co do ciebie mówiłem?

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowało milczenie, które tylko potwierdziło moje najgorsze obawy. W kancelarii, prawdopodobnie w sali konferencyjnej, czekał wielki tort i misa ponczu, co najmniej pięćdziesiąt osób przygotowywało już toasty i krótkie mowy, lepkie od komplementów. Sam uczestniczyłem w kilku tego typu imprezach. Były okropne. Dlatego teraz postanowiłem za wszelką cenę nie dopuścić do przyjęcia pożegnalnego na moją cześć.

- Kiedy cię wypiszą? - spytała w końcu.

- Nie wiem. Może jutro?

To było kłamstwo. Wiedziałem dobrze, iż wyjdę jeszcze przed południem, nawet wbrew woli całego personelu szpitala.

Znów zapadło milczenie. Domyślałem się, że Polly gorączkowo szuka wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Na pewno czekał tort i poncz, napuszone gadki strasznie zajętych ludzi, może nawet kilka prezentów...

- Przykro mi - powiedziała.

- Mnie również. Czy ktoś mnie szukał?

- Nie, jeszcze nie.

- To dobrze. Opowiedz Rudolphowi o wypadku, później do niego zadzwonię. Muszę kończyć. Wzywają mnie na kolejne badania.

Tak oto dobiegła końca moja wielce obiecująca kariera w kancelarii Drake'a i Sweeneya. Nie musiałem nawet uczestniczyć w przyjęciu pożegnalnym. W wieku trzydziestu dwóch lat udało mi się skutecznie uwolnić z więzów wyczerpującej harówki w firmie, pozbywając się jednocześnie dochodów. Mogłem teraz swobodnie iść za głosem sumienia. Byłbym chyba niepomiernie szczęśliwy, gdyby nie to piekielne klucie w boku, wręcz uniemożliwiające wszelkie ruchy.

Claire przysłała po jedenastej. Wcześniej w korytarzu naradzała się z moim lekarzem, słyszałem ich głosy przez drzwi, lecz niewiele rozumiałem z tej rozmowy. Później oboje weszli do izolatki i obwieścili, że jestem wolny. Przebrałem się w czyste ciuchy, które przywiozła Claire, i pojechaliśmy razem do domu. Prawie cała podróż upłynęła w milczeniu. Nie było żadnych szans na pojednanie. Bo i cóż między nami mógł zmienić jeden wypadek drogowy? Claire robiła to dla mnie jako przyjaciółka i lekarz, a nie żona.

Naprędce przygotowała zupę pomidorową i ułożyła mnie na sofie. Na kontuarze kuchennym poustawiała rządkiem słoiczki z pigułkami, dołączywszy do nich przepisane dawki, po czym wyszła.

Leżałem spokojnie przez dziesięć minut, tak długo, żeby zjeść pół porcji zupy, zagryzając ją krakersami, a następnie zwlokłem się do telefonu. Mordecai nie zdobył żadnych informacji.

Wróciłem do ogłoszeń w prasie i zacząłem wydzwaniać do biur wynajmu nieruchomości i prywatnych właścicieli domów. Wreszcie zamówiłem samochód z kierowcą, po czym wziąłem ciepły prysznic, rozmasowując sobie delikatnie stłuczenia.

Kierowca miał na imię Leon. Usiadłem z przodu obok niego, zagryzając zęby, żeby nie

krzywić się z bólu przy każdym poruszeniu.

Nie było mnie stać na porządne mieszkanie, zależało mi jednak na bezpiecznym lokalu. Leon od razu wpadł na pomysł. Zatrzymał samochód przy kiosku z gazetami i kupił dwie broszury ogłoszeniowe urzędu miejskiego.

Jego zdaniem dość dobrych i tanich mieszkań, w bezpiecznej okolicy - choć to mogło się zmienić już za pół roku, jak mnie lojalnie przestrzegł - należało szukać na osiedlu Adamsa-Morgana, na północ od Dupont Circle. Wielokrotnie tamtędy przejeżdżałem, kamienice wyglądały dość przeciętnie, ale chyba rzeczywiście można było bez obaw wychodzić z domu. Wzdłuż wąskich uliczek ciągnęły się budynki z przełomu wieków. Większość była ciągle zamieszкана, a w Waszyngtonie stanowiło to dość wymowny znak. Jeśli miałem wierzyć Leonowi, tutejsze bary i kluby dbały o swoją renomę, w okolicy powstało nawet kilka nowych restauracji. Nie zmieniało to faktu, że kilkaset metrów dalej zaczynały się już slumsy, należało więc zachować wzmożoną ostrożność. Bo jeśli nawet takie osobistości jak senatorowie padają ofiarami napadów tuż pod budynkiem Kapitolu, to znaczy, że w stolicy nikt już nie może się czuć bezpiecznie.

Na którejś z bocznych uliczek Leon trafił na parometrową wyrwę w asfalcie. Przez dobre dziesięć sekund podskakiwałem między fotelem a sufitem, a kiedy wreszcie wyładowaliśmy twardo po drugiej stronie, mimo woli jęknąłem głośno. Cały lewy bok przeszła mi nieznośna fala bólu.

Mój kierowca się przestraszył, toteż chcąc nie chcąc, opowiedziałem mu o zdarzeniu z poprzedniego wieczoru. Natychmiast zwolnił, obiecawszy otoczyć mnie troskliwą opieką. Kiedy stanęliśmy pod pierwszym wskazanym adresem, wziął mnie pod rękę i zaprowadził na górę, do ciemnego, brudnego mieszkania z wykładziną przesiąkniętą wonią kocich sików. Bez większego namysłu oznajmił właścicielowi kamienicy, że powinien się wstydzić oferowania lokalu w takim stanie.

Pod kolejnym adresem musieliśmy się wdrapać po schodach na piąte piętro, bo nie było windy. Ledwie się dowlokłem do drzwi, po to tylko, by ujrzeć zimną, zawilgoconą norę. I tu Leon szybko podziękował właścicielowi.

Następne mieszkanie do wynajęcia mieściło się na czwartym piętrze, ale tu trafiliśmy na czystą, sprawną windę. Kamieniczka stała przy ulicy Wyoming, ocienionej drzewami przecznicy Connecticut Avenue. Czynnosc wynosił pięćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i miałem ochotę przyjąć te warunki bez oglądania lokalu. Bardzo szybko opuszczały mnie siły, z żalem wspominałem rząd słoiczków z pigułkami, jakie zostały na kontuarze kuchennym. Miałem już dosyć tej jazdy po mieście.

Miło mnie zaskoczyły trzy niewielkie pokoje na poddaszu, pod opadającym ukośnie dachem, funkcjonalna łazienka, w której leciała woda z kranu, wyszorowane do czysta podłogi i przyjemny widok na zaciszną uliczkę.

- Bierzemy - zdecydował Leon, gdyż ja ledwie się już trzymałem na nogach, oparty ramieniem o futrynę drzwi.

Zjechaliśmy do maleńkiej stróżówki w suterenie. Pobieźnie przeczytałem umowę, podpisałem ją, po czym wystawiłem czek na sumę obejmującą zastaw i opłatę za miesiąc z góry.

Zapowiedziałem Claire, że się wyprowadzę w ciągu tego weekendu, a zależało mi na dotrzymaniu słowa.

Jeśli nawet Leon nie mógł zrozumieć, dlaczego przenoszę się z eleganckiego apartamentu w Georgetown do trzypokojowego kurnika na osiedlu Adamsa-Morgana, nie odezwał się na ten temat ani jednym słowem. Sprawiał wrażenie zawodowca. Bez pytania odwiózł mnie z powrotem do domu i zaczekał na ulicy, aż zażyję leki i trochę odpocznę.

Przysnąłem na krótko, ale z wywołanego pigułkami letargu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Po omacku sięgnąłem po słuchawkę.

- Halo.

- Podobno miałeś być w szpitalu - warknął Rudolph.

Od razu rozpoznałem go po głosie, ale parę sekund zajęło mi zebranie myśli.

- Byłem - mruknąłem chrapliwie, z trudem przełykając ślinę. - Ale już wyszedłem.

Czego chcesz?

- Czekaliśmy na ciebie dziś po południu.

Ach, tak, z ciastkami i ponczem.

- Nie planowałem ani tego wypadku, ani pobytu w szpitalu, więc bądź uprzejmy wybaczyć mi nieobecność, Rudolphie.

- Przyszło mnóstwo ludzi, żeby się z tobą pożegnać.

- Przykro mi, że nie mogłem wysłuchać, jak bardzo jest im żal. Przekaż, że mogą mi wysłać swoje kondolencje faksem.

- Stałeś się żaloszny, wiesz o tym?

- Bo i czuję się żalosznie, to znaczy tak, jakbym ledwo uszedł z życiem z poważnej kraksy.

- Dostałeś jakieś leki?

- A czemu cię to interesuje?

- Nieważne. Jakąś godzinę temu był u mnie Braden Chance, koniecznie chciał się z tobą

zobaczyć. Nie sądzisz, że to dziwne?

Nagle oprzytomniałem, zacząłem gorączkowo zbierać myśli.

- W jakiej sprawie?

- Tego nie powiedział, ale chodził wściekły i szukał cię po całym gmachu.

- Trzeba było mu wyjaśnić, że odszedłem z pracy.

- I tak zrobiłem. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Wpadnij kiedyś, jak znajdziesz kilka minut. Naprawdę masz jeszcze w tej firmie paru przyjaciół.

- Dzięki, Rudolphie.

Zgarnąłem fiolki z lekarstwami do kieszeni i wyszedłem. Leon drzemał za kierownicą. Podczas jazdy zadzwoniłem do Mordecaia. Odszukał policyjny raport, w którym zapisano, że do odtransportowania wraka wynajęto firmę Hundley Towing, ale w jej siedzibie zgłasza się tylko automatyczna sekretarka. Zaśnieżone ulice były przyczyną wielu stłuczek, pomoc drogowa miała więc pełne ręce roboty. Dopiero przy trzeciej próbie usłyszałem w słuchawce głos jakiegoś mechanika, lecz nie potrafił mi niczego wyjaśnić.

Leon szybko odnalazł siedzibę Hundley Towing przy ulicy Rhode Island, niedaleko skrzyżowania z Siódmą. Kiedyś mieścił się tu renomowany warsztat i stacja benzynowa, teraz pozostał tylko garaż, składowisko wraków i punkt wynajmu wozów holowniczych. Okna były grubo zakratowane. Leon podjechał pod same drzwi baraku.

- Osłaniaj mnie - rzuciłem, wysiadając.

Drzwi wahadłowe miały tak mocną sprężynę, że jedno skrzydło huknęło mnie w lewe ramię, nim zdążyłem odskoczyć. Zwinąłem się z bólu. Zza rogu wyszedł jakiś mechanik w uwalanym smarami kombinezonie i obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem.

Wyjaśniłem przyczynę swojej wizyty. Sięgnął po grubą księgę i zaczął wertować wpisy. Z zaplecza dolatywał gwar głosów, nie ulegało wątpliwości, że pracownicy zabijają tam czas grą w kości lub karty, popijając przy tym whisky czy nawet racząc się narkotykami.

- Policja zatrzymała pański wóz - odparł w końcu.

- Nie wie pan, z jakiego powodu?

- Nie mam pojęcia. Doszło do jakiegoś przestępstwa, czy co?

- Owszem, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, a tym bardziej mój samochód.

Zerknął na mnie podejrzliwie. Nie chciał mieć żadnych kłopotów.

- Nie wie pan, gdzie go mogli odstawić? - spytałem uprzejmym tonem.

- Gdy zatrzymują auta do wyjaśnienia, zazwyczaj holujemy je na parking policyjny przy ulicy Georgia, na północ od Howarda.

- To jedyny parking policyjny w mieście?

Wzruszył ramionami i skrzywił się z niechęcią.

- Nie, jest ich więcej - burknął, po czym odwrócił się i odszedł.

Tym razem ostrożnie prześliznąłem się przez zdradzieckie drzwi i usiadłem obok Leona.

Zapadał już zmrok, kiedy wreszcie znaleźliśmy ten parking, zajmujący spory teren za wysokim parkanem zwieńczonym drutem kolczastym. Porozbijane auta stały tu ciasno, niekiedy nawet jedno na drugim.

Leon poszedł ze mną do bramy, ciekawie zerkając przez siatkę.

- Jest tam - wskazałem palcem.

Mój lexus stał pod wiatą, przodem do wyjazdu. Cały lewy bok był zmiażdżony, zniknął przedni błotnik i maska, nawet silnik przypominał kupę złomu.

- Miał pan dużo szczęścia - ocenił kierowca.

Obok lexusa stał jaguar z wgniecionym dachem i powybijanymi szybami.

Pod wiatą mieściła się stróżówka, ale nie dostrzegłem w niej nikogo. Skrzydła ciężkiej bramy były zabezpieczone grubym łańcuchem zamkniętym na kłódkę. Świeży drut kolczasty złowrogo połyskiwał w deszczu. Miałem wrażenie, że zza najbliższego rogu uważnie obserwuje nas kilku paskudnych typków, niemal czułem na sobie ich spojrzenia.

- Zwijajmy się stąd - mruknąłem.

Leon zawiózł mnie na lotnisko, jedyne znane mi miejsce w stolicy, gdzie mogłem wynająć samochód.

Czekał na mnie zastawiony stół i chińskie potrawy w piecyku. Czekala też Claire, zdenerwowana, chociaż za wszelką cenę usiłowała sprawiać wrażenie spokojnej. Wyjaśniłem jej, że zgodnie z zaleceniami firmy ubezpieczeniowej musiałem jak najszybciej wynająć inny samochód. Zbadała mnie sumiennie, niczym wytrawny lekarz, po czym zmusiła do połknięcia kolejnych pigułek.

- Miałeś odpoczywać - powiedziała z wyrzutem.

- Próbowałem, ale nic z tego nie wyszło. Konam z głodu.

Miał to być nasz ostatni małżeński posiłek. Jak na ironię, bardzo przypominał ten, od którego rozpoczęła się nasza znajomość - gotowe żarcie, do kupienia w każdym sklepie.

- Znasz niejakiego Hectora Palmę? - zapytała, kiedy usiedliśmy przy stole.

O mało się nie udławiłem.

- Owszem.

- Dzwonił przed godziną. Powiedział, że musi koniecznie z tobą porozmawiać. Kto to

jest?

- Aplikant z kancelarii. Przed południem miałem mu przekazać kilka nie dokończonych spraw. Widocznie już go zaczęli naciskać.

- Możliwe. W każdym razie oświadczył, że będzie na ciebie czekał o dziewiątej u Nathana przy ulicy M.

- Dlaczego w barze? - spytałem z uśmiechem.

- Niczego nie chciał wyjaśnić. W ogóle mówił jakoś dziwnie.

Straciłem nagle apetyt, ale nie chcąc wzbudzać podejrzeń, jadłem dalej. Niepotrzebnie. Claire ani trochę to nie obchodziło.

Mimo nasilającego się bólu i dokuczliwego deszczu ze śniegiem poszedłem na piechotę. Podejrzewałem, że w piątkowy wieczór nie znajdę miejsca do zaparkowania na ulicy M, ponadto chciałem trochę rozprostować kości i zebrać myśli.

To spotkanie oznaczało, że popadłem w kłopoty, musiałem zacząć szukać jakiegoś wyjścia. Po drodze obmyślałem kłamstwa, którymi mógłbym zamaskować mój wyczyn. Skoro już dopuściłem się kradzieży, kłamstwa nie miały większego znaczenia. Ale ponieważ Hector wciąż był pracownikiem kancelarii, istniała groźba, że przyjdzie na spotkanie z założonym podsłuchem. Należało więc słuchać uważnie, lecz mówić jak najmniej.

U Nathana było sporo wolnych miejsc. Mimo że przyszedłem dziesięć minut przed czasem, Hector czekał już przy stoliku w kącie sali. Ujrzawszy mnie, poderwał się z miejsca i energicznie wyciągnął dłoń na powitanie.

- To pan musi być Michael. Nazywam się Hector Palma, pracuję w sekcji nieruchomości. Miło mi pana poznać.

Przypominało to ułańską szarżę z potokiem słów w roli oręza mającego mnie powalić na kolana. Ucisnąłem mu dłoń i niewyraźnie mruknąłem:

- Mnie również miło.

- Proszę usiąść - rzekł, wskazując miejsce przy stoliku. Aż nadto ostentacyjnie okazywał mi uprzejmość. Skrzywiłem się z bólu i pokuśtykałem ociężale w głąb sali.

- Gdzie pan sobie tak podrapał twarz? - zapytał Hector.

- Miałem bliskie spotkanie z poduszką powietrzną.

- Ach, tak. Słyszałem o wypadku - rzekł szybko, chyba nawet za szybko. - Dobrze się pan czuje? Niczego pan sobie nie złamał?

- Nie. - Nadal nie miałem pewności, do czego on zmierza.

- Podobno drugi kierowca zginął na miejscu - rzekł, zanim jeszcze moja odpowiedź

zdażyła do niego dotrzeć. Nie ulegało wątpliwości, że zależy mu na pokierowaniu naszą rozmową, mnie wyznaczył rolę biernego uczestnika.

- Owszem, jakiś handlarz narkotyków, który uciekał przed ścigającą go policją.

- Do czego to doszło! - Podszedł kelner i Hector zwrócił się do mnie: - Czego się pan napije?

- Poproszę kawę, czarną.

Niemal w tej samej chwili poczułem na swojej stopie delikatny nacisk jego buta.

- Jakie macie piwo? - spytał kelnera, zadzierając głowę.

Tamten, ze znużoną i zbolałą miną, zaczął monotonnym głosem wymieniać marki.

Hector trzymał obie dłonie wyciągnięte ku środkowi stolika. Spojrzał na mnie z ukosa, a zauważywszy, że mu się przyglądam, uniósł szybko lewą dłoń, zagiął palec wskazujący, a po chwili nakierował go na swoją pierś.

- Niech będzie molson - oznajmił głośno i kelner oddalił się pospiesznie.

Zatem Palma miał pod marynarką ukryty mikrofon. Byliśmy też obserwowani, gdyż dawał mi gorączkowe znaki, wykorzystując to, że kelner zasłania go przed resztą gości. Z trudem się powstrzymałem, żeby nie odwrócić głowy i nie popatrzeć na sąsiednie stoliki. Zresztą znacznie mi w tym pomógł ból wywołujący zeszywnienie karku.

Znaki dawane przez Hectora w pełni wyjaśniały jego wylewne, lecz nieco obcesowe powitanie. Widocznie maglowali go przez cały dzień, ale do niczego się nie przyznał.

- Jestem aplikantem w sekcji nieruchomości - rzekł - którą kieruje Braden Chance, jeden ze współników kancelarii.

- Rozumiem. - Teraz, kiedy wiedziałem na pewno, że moje słowa są rejestrowane, musiałem się bardzo kontrolować.

- Pracuję głównie dla niego. Zamieniliśmy kilka słów w ubiegłym tygodniu, kiedy przyszedł pan do niego z jakąś sprawą.

- Możliwe. Nie pamiętam.

Pochwyciłem ledwie zauważalny uśmiech, a raczej wyraz odprężenia rozpoznawalny tylko po zmarszczkach w kącikach oczu, których zapewne nie mogła wyłapać żadna kamera. Teraz ja lekko nacisnąłem butem jego stopę, mając nadzieję, że właściwie zinterpretuje ów znak.

- Poprosiłem pana o tę rozmowę, ponieważ z gabinetu Bradena Chance'a zginęła teczka z aktami.

- Czyżby ktoś mnie oskarżał o kradzież?

- Nie, ale został pan uznany za podejrzanego. Właśnie o te akta pytał pan Chance'a

podczas waszej rozmowy w ubiegłym tygodniu.

- A więc jednak jestem oskarżony.

- Jeszcze nie, proszę się uspokoić. W firmie rozpoczęto intensywne dochodzenie, ale na razie tylko rozpytujemy tych pracowników, którzy mogą mieć coś wspólnego z zaginięciem dokumentów. A ponieważ słyszałem, jak pytał pan Bradena o te akta, kierownictwo firmy poprosiło mnie, bym z panem porozmawiał. To wszystko.

- Nic mi o tej sprawie nie wiadomo.

- I to nie pan zabrał akta?

- Oczywiście, że nie. Z jakiego powodu miałbym wykradać jakieś papiery z gabinetu współpracownika kancelarii?

- Czy zgodziłby się pan na badanie poligraficzne?

- Jasne - odparłem lekceważącym tonem, choć w rzeczywistości żadnym sposobem nie dałbym się podłączyć do wykrywacza kłamstw.

- To dobrze. Poproszono o to nas wszystkich. To znaczy wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z tymi aktami.

Kelner przyniósł piwo i kawę, zyskaliśmy więc parę sekund do namysłu. Wyznanie Hectora było oczywiste: znalazł się w poważnych kłopotach. Badanie poligraficzne z pewnością wykazałoby, że kłamie. Czy spotkał się pan z Michaelem Brockiem przed jego odejściem z firmy? Rozmawialiście na temat zaginionych akt? Nie przekazał mu pan kopii żadnych dokumentów znajdujących się w teczce? A może dopomógł pan w kradzieży? Tak czy nie? Wystarczyło parę ostrych pytań wymagających prostej odpowiedzi. Żadnym sposobem nie mógłby przejść badania pomyślnie.

- Zebrano także odciski palców - oznajmił cicho, nie na tyle, żeby mikrofon nie wyłowił jego słów, lecz w celu zamarkowania napiętej sytuacji.

Nie dałem się na to nabrać. Myśl o znalezieniu moich odcisków palców w gabinecie Chance'a ani trochę mnie nie zaniepokoiła.

- To zrozumiałe - odparłem śmiało.

- Jeśli mam być szczery, zbierali te odciski przez całe popołudnie. Szukali ich na drzwiach, włączniku światła, gądkach drzwiczek od szafek. Podobno zebrali sporo.

- Więc mam nadzieję, że szybko zidentyfikują winowajcę.

- Właściwie nie powinienem o tym mówić, chyba pan rozumie... Sęk w tym, że Braden trzymał w regale setki teczek, a zginęły właśnie te akta, o które pan wcześniej pytał.

- Co mam przez to rozumieć?

- Nic. Dokładnie to, co powiedziałem. Zastanawiający zbieg okoliczności...

To było chyba na wyłączny użytek tych, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie. Natychmiast pomyślałem, że wypada się dostosować.

- Nie podobają mi się rzucane przez pana sugestie - oświadczyłem podniesionym głosem. - Jeśli jestem o coś oskarżony, proszę przyjść z policją i nakazem aresztowania, wtedy poddam się oficjalnemu przesłuchaniu. A jeżeli nie, to proszę zachować własne osądy tylko dla siebie.

- Policja już została powiadomiona - odparł spokojnie, zbijając mnie nieco z pantałyku.
- W końcu chodzi o kradzież.

- To w pełni zrozumiałe. Wolałbym jednak, aby zajęto się ściganiem złodzieja, a nie bezpodstawnym zawracaniem mi głowy.

Hector pociągnął spory łyk piwa.

- Czy ktoś dał panu klucze od gabinetu Bradena?

- Oczywiście, że nie.

- Na pańskim biurku znaleziono szarą kopertę, w środku była karteczka mówiąca o dwóch kluczach, jednym do drzwi, drugim do szafki na akta.

- Nic mi o niej nie wiadomo - odparłem, siląc się na obojętny ton. Gorączkowo próbowałem sobie przypomnieć, co zrobiłem z kopertą po wyjęciu z niej kluczy. Nie ulegało wątpliwości, że zostawiłem za sobą wyraźny trop. No cóż, widocznie sposób myślenia kryminalistów jest obcy prawnikom.

Hector znów uniósł szklanekę z piwem, a ja sięgnąłem po filiżankę.

Rozmowa dobiegła końca. Odebrałem równocześnie dwa ostrzeżenia, jedno od zarządu kancelarii, drugie od Hectora. Firma domagała się zwrotu dokumentów bez ujawniania ich treści, Palma dawał mi do zrozumienia, że przez zaangażowanie w tę aferę może stracić pracę.

Jego los zależał ode mnie. Gdybym zwrócił teczkę, przyznał się do winy i przysiągł zachować w sekrecie treść dokumentów, zapewne wybaczone by mi kradzież. Nikt by na tym nie ucierpiał. Zwrot akt był także warunkiem koniecznym do ratowania przyszłości Hectora.

- To wszystko? - zapytałem, odstawiając filiżankę.

- Tak. Kiedy mógłby się pan poddać badaniu poligraficznemu?

- Zadzwoń w tej sprawie do kancelarii - odparłem, sięgając po płaszcz.

ROZDZIAŁ 16

Z powodów, które wkrótce miałem poznać, Mordecai nie znosił stołecznej policji, mimo że większość gliniarzy była czarna. Jego zdaniem policja zbyt ostro traktowała bezdomnych, a dla niego był to najważniejszy wyznacznik dzielący ludzi na dobrych i złych. Niemniej znał bliżej paru gliniarzy, a wśród nich niejakiego sierżanta Peelera, którego opisał mi jako „człowieka z ulicy”. Tamten zajmował się trudnymi dziećmi w centrum opiekuńczym położonym niedaleko ośrodka i należał do tej samej parafii co Green. Miał sporo znajomych i ponoć mógł mi umożliwić dostanie się do rozbitego auta.

Sobotniego ranka zjawił się w ośrodku parę minut po dziewiątej. Razem z Mordecaim popijaliśmy kawę, usiłując się choć trochę rozgrzać. Peeler nie pracował w soboty, odniosłem wrażenie, że bardzo niechętnie wyszedł z domu.

Tym razem przypadło mi miejsce na tylnym siedzeniu. Przez całą drogę do dzielnicy Północno-Wschodniej Mordecai gadał jak najęty. Zapowiedziano śnieżycę, ale padał nieprzyjemny deszcz. Ulice świeciły pustkami. W taki paskudny lutowy poranek wyszli z domów tylko ci, którzy musieli.

Zaparkowaliśmy przy krawężniku nieopodal zamkniętej na kłódkę bramy policyjnego parkingu przy Georgia Avenue. Przez szybę widziałem szczątki mojego lexusa.

- Zaczekajcie tutaj - mruknął Peeler, po czym wysiadł i nacisnął dzwonek przy bramie.

Otworzyły się drzwi stróżówki pod wiatą, na zewnątrz wyjrzał drobny, szczupły umundurowany policjant. Wziął parasol, podszedł do wyjścia i zamienił parę zdań z Peelerem. Po chwili ten wsiadł z powrotem, trzasnął drzwiami i otrzepując krople deszczu z ramion, rzucił przez ramię:

- Może pan iść.

Wysiadłem, otworzyłem parasol i szybkim krokiem podszedłem do bramy. Z miny policyjnego strażnika odczytałem, iż nie należy oczekiwać po nim nawet odrobiny dobrej woli. Wyciągnął z kieszeni olbrzymie kółko z kluczami, szybko odnalazł te, które otwierały kłódkę i zamek bramy, po czym uchylił ją i burknął:

- Proszę za mną.

Ruszyłem wysypaną żużlem uliczką, lawirując między głębszymi dołami wypełnionymi brudną wodą i blokiem. Przy każdym ruchu wciąż odczuwałem dotkliwy ból, nie mogłem więc swobodnie przeskakiwać przez kałuże. Gliniarz podprowadził mnie prosto do

wraka.

Pospiesznie zajrzałem pod przednie siedzenie, ale teczki tam nie było. Na chwilę ogarnął mnie strach, ale zaraz dostrzegłem ją na podłodze, za fotelem kierowcy. Podniosłem ją szybko, wetknąłem pod płaszcz i odwróciłem się. Nie miałem ochoty przyglądać się dłużej kupie złomu, jaka została z mojego ulubionego lexusa. Liczyło się tylko to, że wyszedłem z kraksy bez poważniejszych obrażeń. Resztą już w przyszłym tygodniu powinno się zająć towarzystwo ubezpieczeniowe.

- O to chodziło? - zapytał gliniarz.

- Tak - odparłem cicho.

- Proszę do biura.

Weszliśmy do stróżówki, w rogu huczał gazowy grzejnik, gorące powietrze owiało mi nogi. Policjant zdjął z haczyka na ścianie jedną z kilkunastu tabliczek i obrzucił uważnym spojrzeniem trzymane przeze mnie akta.

- Szara kartonowa teczka - mówił, wypełniając jakąś rubrykę w raporcie - około dwóch centymetrów grubości.

Stałem usztywniony, ściskając teczkę pod pachą, jakby była ze złota.

- Jest na niej jakiś tytuł? - zapytał.

Nie czułem się na siłach zaprotestować, choć wiedziałem dobrze, iż w tym momencie mógłbym jeszcze zatrzeć ślady po swoim czynie.

- A do czego to panu potrzebne? - zapytałem.

- Proszę ją położyć na stole - rzekł stanowczo.

Wykonałem polecenie.

- RiverOaks łamane przez TAG Inc. - odcyfrował, wpisując tytuł do raportu. - Akta numer TBC-96-3381.

Mój trop stawał się prosty i wyraźny.

- To pańska teczka? - spytał monotonnym głosem, bez cienia podejrzliwości.

- Oczywiście.

- Dobrze. Może pan ją zabrać.

Podziękowałem mu, lecz nie odezwał się już nawet słowem. Miałem ochotę skakać z radości po całym złomowisku, ale powrót wolnym krokiem na ulicę i tak wiele mnie kosztował. Gliniarz starannie zamknął za mną bramę.

Mordecai i Peeler popatrzyli z zainteresowaniem na teczkę, kiedy wsiadałem do samochodu. Żaden z nich nie wiedział, co to może być. Greenowi powiedziałem tylko, że chodzi o bardzo ważne akta, które musiałem ponownie przejrzeć przed zniszczeniem.

Obaj chyba nie rozumieli, po co zadałem sobie aż tyle trudu dla jakiejś sterty papierzysk.

Korciło mnie, żeby zajrzeć do dokumentów jeszcze w drodze przez miasto. Powstrzymałem się jednak.

Podziękowałem serdecznie Peelerowi, pożegnałem się z Mordecaiem i pojechałem z powrotem do mojego nowego mieszkania.

Jak to najczęściej w Waszyngtonie bywa, chodziło o pieniądze z funduszy federalnych. Zarząd poczty podjął decyzję o wydaniu dwudziestu milionów dolarów na nowoczesny urząd w centrum miasta, a RiverOaks znalazło się w gronie firm walczących o kontrakt na budowę gmachu i późniejszy zarząd nad nim. Rozpatrywano kilka lokalizacji, wszędzie jednak w grę wchodziła konieczność wyburzenia starych ruder. Ostateczną listę, obejmującą trzy wytypowane miejsca, ogłoszono w grudniu i RiverOaks natychmiast przystąpiło do wykupywania gruntów.

TAG była zarejestrowaną spółką cywilną, mającą tylko jednego właściciela, niejakiego Tillmana Gantry'ego, którego na podstawie skrótowych akt personalnych należało uznać za krętacza i kombinatora, dwukrotnie karanego za stręczycielstwo. W stolicy aż się roilo od podobnych typków. Po ostatnim wyjściu z więzienia Gantry odkrył złotą żyłę w handlu używanymi samochodami i nieruchomościami. Za grosze nabywał opuszczone kamienice, niekiedy remontował je pobieżnie, po czym odsprzedawał z dużym zyskiem albo też wynajmował mieszkania potrzebującym. W teczce znajdował się spis czternastu różnych posiadłości należących do spółki TAG. Ścieżki Gantry'ego i RiverOaks zeszyły się właśnie na etapie finalizowania przyszłej inwestycji zarządu poczty.

W liście poleconym datowanym szóstego stycznia inwestor powiadamiał zarząd spółki RiverOaks, że została ona wybrana na przyszłego wykonawcę, właściciela i zarządcę planowanego budynku. W dokumentach znalazła się notatka sporządzona po podpisaniu wstępnej umowy, według której zarząd poczty godził się płacić za użytkowanie gmachu półtora miliona rocznie przez dwadzieścia lat. Zgodnie z jej warunkami, świadczącymi o typowym dla państwowych inwestorów pośpiechu, ostateczna umowa realizacyjna miała być podpisana najpóźniej pierwszego marca. Jak z tego wynika, po siedmiu latach narad, konsultacji i gromadzenia projektów, federalny zarząd poczty chciał wybudować nową placówkę niemal w ciągu jednej nocy.

RiverOaks przystąpiło do gorączkowych przygotowań. Jeszcze w styczniu spółka wykupiła cztery posesje przy Florida Avenue, sąsiadujące z magazynem, z którego później

wysiedlono mieszkańców. W aktach znalazłem dwie szczegółowe mapki przyszłego terenu budowy, na jednej z nich były pokolorowane na niebiesko grunty już nabyte, na czerwono zaś tereny, będące przedmiotem nadal trwających negocjacji.

Do pierwszego marca został zaledwie tydzień, przestałem się więc dziwić, że Chance tak szybko odkrył brak tych dokumentów w swojej szafce. Pewnie zaglądał do nich każdego dnia.

Spółka TAG wykupiła magazyn na rogu Florida Avenue w lipcu ubiegłego roku, w papierach nie wymieniano jednak sumy kontraktu. Trzydziestego pierwszego stycznia RiverOaks odkupiło prawa własności tej posesji za kwotę dwustu tysięcy dolarów. Zatem eksmisję, w wyniku której DeVon Hardy oraz Lontae Burton z dziećmi znaleźli się na ulicy, przeprowadzono zaledwie cztery dni po sfinalizowaniu transakcji.

W moim nowym mieszkaniu miałem do dyspozycji całą podłogę, wyciągałem więc z teczek kolejne papiery, czytałem je dokładnie, po czym opisywałem w notatniku i układałem w stosiki na dębowej klepce, chcąc uniknąć później kłopotu z zebraniem ich z powrotem w odpowiedniej kolejności. Odnosiłem wrażenie, że mam przed sobą typową dokumentację posiadłości, pełną wyciągów z zeznań podatkowych kolejnych nabywców, kopii aktów kupna i sprzedaży wraz ze szczegółowymi warunkami transakcji, korespondencji między właścicielami a zarządcami, krótko mówiąc, historię użytkowania obiektu w ciągu paru ostatnich lat. Co dziwne, ostatnia transakcja została opłacona w gotówce, nie znalazłem żadnych kwitów bankowych.

Po wewnętrznej stronie kartonowej okładki był przyklejony dobrze mi znany wykaz akt, zawierający daty oraz krótki opis kolejnych dokumentów umieszczanych w teczce. Po samym jego wyglądzie można było ocenić stopień organizacji pracy w kancelarii Drake'a i Sweeneya. Każdy świstek papieru, nie wyłączając mappek, fotografii i planów architektonicznych, musiał tu zostać odnotowany. Konieczność prowadzenia spisu na bieżąco wbijano nam do głów w trakcie praktyk podyplomowych, ale większość zapoznawała się z nią w codziennym działaniu. Nie było nic bardziej denerwującego od znużonego przeglądania wszystkich dokumentów w poszukiwaniu tego jednego, który nie został z należytą pieczołowitością ujęty w wykazie. Stare prawnicze porzekadło mówiło, że jeśli w ciągu pół minuty nie możesz znaleźć szukanego papierka, powinieneś natychmiast zwolnić sekretarkę.

Akta Chance'a prowadzone były z godną podziwu starannością, jego sekretarka robiła to pedantycznie. Znalazłem jednak lukę.

Otóż dwudziestego drugiego stycznia Hector Palma udał się samotnie na wstępne oględziny rzeczoności obiektu. Ale kiedy próbował sforsować drzwi wejściowe, został

napadnięty przez jakichś dwóch bezdomnych, oberwał kijem po głowie i pod groźbą noża przystawionego do gardła musiał oddać portfel wraz z całą gotówką. Następnego dnia nie przyszedł do pracy, a w teczce znalazła się jego służbowa notatka opisująca te wydarzenia. Jej ostatnie zdanie głosiło: „Inspekcja została przełożona na poniedziałek 27 stycznia. Będzie mi towarzyszyć dwóch strażników ze służby ochrony kancelarii”.

Nie znalazłem jednak żadnej notatki opisującej tę drugą wizytę, mimo że w wykazie umieszczono wpis: „27 stycznia, not. sł. H.P.: wizja lok., insp. obiektu”.

Zatem miesiąc temu Hector pojechał do magazynu z dwoma strażnikami, przeprowadził wizję lokalną i bez wątpienia odkrył, że w budynku rozlokowała się gromada dzikich lokatorów. Później przygotował stosowną notatkę służbową, a sądząc po wcześniejszych wpisach jego autorstwa, zrobił to z należytą sumiennnością.

Zatem jego notatka została usunięta z dokumentów. Z pewnością nie było to żadne przestępstwo. Ja również nieraz wyciągałem z teczek różne papiery, nie odnotowując tego w spisie. Ale zawsze odkładałem je na miejsce. Notatka Hectora powinna się znajdować w teczce.

Umowę w sprawie kupna magazynu podpisano w piątek, trzydziestego pierwszego stycznia. Już we wtorek Hector wrócił na miejsce z zadaniem usunięcia dzikich lokatorów. Czekali tam na niego ochroniarze wynajęci z prywatnej agencji, patrol stołecznej policji oraz czterech osiłków z firmy przewozowej. Akcja trwała trzy godziny, a jej przebieg Palma opisał w dwustronicowej notatce. Starał się zachować rzeczowy ton relacji, ale już po paru zdaniach nabrałem przekonania, że w ogóle się nie nadawał na wykonawcę nakazu eksmisji.

Serce się we mnie ścisnęło, gdy natrafiłem na taki fragment: „...matka z czworgiem dzieci, w tym jedno w wieku niemowlęcym. Zajmowała dwupokojowy lokal, bez bieżącej wody i ubikacji. Miała tylko dwa duże materace do spania. Nie bacząc na płacze dzieci, rzuciła się z pięściami na policjantów, ale po krótkiej szarpaninie została siłą usunięta z budynku”.

A więc Ontario widział, jak matka okłada gliniarzy pięściami.

Do notatki była dołączona lista osób wyrzuconych z prowizorycznych mieszkań w magazynie, obejmowała jednak tylko siedemnaścioro dorosłych. To właśnie jej kopię znalazłem w szarej kopercie na biurku, razem z odbitką artykułu z „The Washington Post”.

Na samym spodzie teczki leżało nie wyszczególnionych w spisie siedemnaście nakazów eksmisji. Nie zostały doręczone adresatom, wszak bezdomni nie mają żadnych praw, w tym także prawa do powiadomienia o wszczętych przeciwko nim działaniach. Zrozumiałem, że owe nakazy zostały wystawione już po fakcie i z pewnością miały służyć zamaskowaniu jakichś czynów pozaprawnych. Niewykluczone, że sam Braden Chance dołączył je do akt już po tragicznym incydencie z Panem.

Manipulacja dokumentami była oczywista i przeprowadzona dość nieudolnie. Ale w końcu Chance należał do współników kancelarii, a chyba nikt nigdy nie słyszał, by któryś z nich osobiście wypełniał papierki i układał je w teczkach.

Znacznie ważniejsza jednak od owej manipulacji była kradzież całej teczki. Prowadzono już dochodzenie, gromadzono dowody w tej sprawie. Bez dwóch zdań złodziej musiał być skończonym idiotą.

Kiedy przed siedmioma laty podpisywałem wstępną umowę o pracę w firmie, zwyczajowo zdjęto mi odciski palców. Zatem teraz bez większych trudności można było zidentyfikować odciski pozostawione na szafce w gabinecie Chance'a. Do ich porównania wystarczyło zaledwie parę minut. Miałem pewność, że już to zrobiono. W każdej chwili należało oczekiwać wystawienia nakazu aresztowania.

Po trzech godzinach pracy usłałem papierami niemal całą podłogę saloniku. Pospiesznie zgarnąłem je z powrotem do teczki, pojechałem do ośrodka i wszystkie skopiowałem.

Claire wyszła po zakupy, taką przynajmniej wiadomość zostawiła mi na kartce. Mieliśmy jedną ładną walizkę, jakimś cudem pominiętą w spisie rozdzielanego majątku. Doszedłem jednak do wniosku, że Claire w najbliższym czasie będzie więcej podróżowała ode mnie, wyciągnąłem więc starą torbę podróżną i plecak. Nie chciałem się spotkać z żoną, toteż zacząłem pospiesznie wyrzucać na łóżko rzeczy osobiste: skarpetki, bieliznę, koszule, przybory toaletowe, buty - ale tylko te, w których jeszcze chodziłem w ubiegłym roku, pozostałe mogła wynieść na śmietnik. Błyskawicznie opróżniłem swoją bieliźniarkę i nocną szafkę od strony mojego łóżka. Krzywiąc się z bólu i ciężko dysząc, zniosłem spakowane rzeczy do samochodu i powlokłem się z powrotem na drugie piętro po cięższe ubrania z szafy. Na jej dnie znalazłem stary śpiwór, nie używany co najmniej od pięciu lat. Zabrałem go razem z kołdrą i poduszką, po czym zrobiłem drugi kurs na dół. Miałem ponadto prawo do budzika, radia, przenośnego odtwarzacza kompaktów z niewielką płytoteką, trzynastocalowego telewizora kolorowego, który stał na stole kuchennym, ekspresu do kawy, suszarki do włosów oraz kompletu niebieskich ręczników.

Kiedy zapakowałem wóz po brzegi, napisałem dla Claire wiadomość, że się wyprowadziłem, i zostawiłem obok jej karteczki. Staralem się nie patrzeć więcej na mieszkanie. Kipiały we mnie różne przeciwstawne uczucia, z którymi nie umiałem sobie poradzić, gotów byłem wybuchnąć pod lada pretekstem. Nigdy dotąd się nie wyprowadzałem, toteż nie miałem pojęcia, o czym jeszcze powinienem pomyśleć.

Zamknąłem drzwi na klucz i powlokłem się schodami na dół. W ciągu najbliższych dni musiałem tu jeszcze zajrzeć po resztę moich rzeczy, ale w tym momencie czułem się już jak wygnaniec.

Wyobrażałem sobie, że gdy Claire znajdzie moją wiadomość, szybko zajrzy do bielizniarki i szafy, żeby sprawdzić, co zabrałem, a kiedy dojdzie do przekonania, że naprawdę się wyniosłem, klapnie ciężko na kanapę i pewnie uroni parę łez, może nawet popłacze przez kilka minut. Nie powinna się jednak zbyt długo nad sobą użalać, zanadto było jej spieszno do otwarcia kolejnego rozdziału własnego życia.

Ani trochę nie czułem się wolnym człowiekiem, gdy odjeżdżałem sprzed swego domu. Nie czułem dreszczyku podniecenia związanego z odzyskaniem wolności. Oboje z Claire zwyczajnie zagubiliśmy się w codziennym życiu.

ROZDZIAŁ 17

Zamknąłem się w biurze, w którym w niedzielę było jeszcze zimniej niż w sobotę. Ubrany w gruby sweter, drelichowe spodnie i frotowe skarpetki, ustawiłem na biurku dwa kubeczki parującej kawy i zasiadłem do lektury porannej gazety. W budynku istniał jakiś system centralnego ogrzewania, ale nawet bałem się dotknąć kaloryfera.

Od razu poczułem brak mojego fotela - obszernego, miękkiego, obitego skórą, w którym można się było kołysać i obracać wedle życzenia. Musiał mi wystarczyć fotelik na metalowej ramie, stojący tylko stopień wyżej od składanych krzesełek, jakie się wypożycza na weselne przyjęcia. Już po paru minutach wiedziałem, że zdrowy człowiek nie da rady się w nim wygodnie usadowić, a dla potłuczonego i posiniaczonego rekonwalescenta było to istotne narzędzie tortur.

Za biurko służył mi poobijany najprostszy mebel, zapewne pochodzący z jakiejś likwidowanej szkoły, złożony z dwóch drewnianych pudeł połączonych blatem. Po obu stronach znajdowały się po trzy szuflady i wszystkie nawet dały się wyciągnąć, choć nie bez wysiłku. Po drugiej stronie biurka stały już dwa typowe składane krzesła dla klientów, jedno czarne, a drugie w odcieniu zieleni, jakiego chyba jeszcze nigdy nie widziałem na oczy.

Ściany, nie odnawiane co najmniej od dziesięciu lat, pokrywała gruba warstwa farby olejnej, nierówno wyblakła do koloru cytrynowego. Tynk był popękany, we wszystkich kątach pod sufitem niepodzielnie królowały pająki. Jediną ozdobę ścian stanowił oprawiony w ramki plakat z lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, zachęcający do udziału w Marszu na Rzecz Sprawiedliwości.

Dębowe klepki podłogowe miały mocno zaokrąglone kanty, co świadczyło o ich znacznym zużyciu. Ostatnio ktoś tu musiał pozamiatać, w rogu wciąż stała szczotka ze śmietniczką, jakby w ten sposób chciano dać do zrozumienia, że gdyby kurz całkiem obrzydził mi życie, mogę zrobić użytek z tego sprzętu.

Upadłem nisko. Gdyby owego niedzielnego ranka mój ukochany brat Warner zobaczył mnie w tym otoczeniu, trzęsącego się za biurkiem, zapatrzonego w poczerniałe pęknięcia na ścianach, no i zamkniętego na cztery spusty, żeby nie paść ofiarą potencjalnych klientów, z pewnością wygłosiłby tak kwiecistą mowę, że nawet bym nie szukał kontrargumentów.

Nie wyobrażałem sobie, jak by to przyjęli moi rodzice. Owa myśl przypominała mi, że powinienem do nich jak najszybciej zadzwonić i przekazać wstrząsające wieści, choćby tylko

w celu podania nowego adresu.

Śmiertelnie przeraziło mnie głośnie łomotanie do drzwi. Wskoczyłem z fotela, nie bardzo wiedząc, jak postąpić. Oczami wyobraźni widziałem bandę bezdomnych zamierzających mnie obrabować. Kiedy łomotanie się powtórzyło, podszedłem do drzwi, za którymi stał tylko jeden człowiek. Przytykał nos do zakratowanego okienka, usiłując coś dojrzeć wewnątrz.

Był to Barry Nuzzo, również rozdygotany, również tylko po części z zimna. Pospiesznie odsunąłem zasuwki i wpuściłem go do środka.

- Boże, co za nora! - jęknął żałośnie, rozglądając się po sali ogólnej.

- Przytulne gniazdko, prawda? - odparłem, dokładnie zamykając za nim drzwi. Starąłem się otrząsnąć z zaskoczenia i zgadnąć, co oznacza ta wizyta.

- Autentyczny śmietnik - mruknął, uśmiechając się ironicznie.

W zamyśleniu ściągnął rękawiczki, obszedł biurko Sofii, łypiąc podejrzliwie na sterty teczek, które w każdej chwili mogły runąć lawiną na podłogę.

- Do maksimum ograniczamy koszty, żeby jak najwięcej forsy pozostało na nasze pensje - wyjaśniłem, przypomniawszy sobie krążący w kancelarii Drake'a i Sweeneya stary żart o tym, że jeśli wspólnicy zaczynają narzekać na zbyt wysokie koszty ogólne, to znaczy, iż zamierzają zmienić wystrój swoich gabinetów.

- Zatem przeszedłeś tu dla pieniędzy? - spytał, nie przestając się uśmiechać.

- Oczywiście.

- Naprawdę odjęło ci rozum.

- Znalazłem swoje powołanie.

- Rozumiem. Słyszysz anielskie głosy.

- Po to tu przyszedłeś? Żeby mi oznajmić, że zwariowałem?

- Dzwoniłem do Claire.

- I co ci powiedziała?

- Podobno się od niej wyprowadziłeś.

- To prawda. Bierzymy rozwód.

- A co się stało z twoją twarzą?

- Odpaliła poduszka powietrzna.

- Ach, tak. Zapomniałem. Mówiono mi o tej stłuczce.

- Rzeczywiście doszło do lekkiej stłuczki.

Rzucił płaszcz na oparcie krzesła, ale błyskawicznie go podniósł.

- I także, żeby zaoszczędzić na kosztach, całkowicie zrezygnowaliście z ogrzewania?

- Kaloryfery grzeją co drugi miesiąc.

Ruszył w głąb korytarza, zaglądając ciekawie do otwartych pomieszczeń.

- Kto to wszystko finansuje? - zainteresował się.

- Fundacja.

- Podupadająca?

- Owszem, nawet szybko.

- Jak tu trafiłeś?

- Nasz Pan tu zaglądał, ci ludzie go reprezentowali.

- Aha, nasz Pan... - urwał na chwilę, popatrzył na ścianę i zapytał: - Sądzisz, że naprawdę byłby gotów nas pozabijać?

- Chyba nie. Nikt nie chciał go wysłuchać, wszyscy traktowali go jak pozbawionego praw bezdomnego. A on miał nam coś do powiedzenia.

- Czy choć raz przyszło ci do głowy, żeby się na niego rzucić?

- Nie. Zastanawiałem się tylko, czy nie wyrwać mu pistoletu i nie zastrzelić Raftera.

- Szkoda, że tego nie zrobiłeś.

- Nic straconego.

- Masz tu kawę?

- Jasne. Siadaj.

Nie chciałem go wprowadzać do kuchenki, najobszerniejszego ze wszystkich pomieszczeń. Pospiesznie znalazłem jakąś szklanę, wymyłem ją, napełniłem kawą i zaprosiłem Barry'ego do mojego pokoju.

- Ładny gabinet - rzekł, rozglądając się dookoła.

- Wreszcie wiesz, gdzie wszystkich twardej kopie się po tyłkach - odparłem z dumą, zajmując miejsce w swoim foteliku. Krzeselko groźnie zaskrzypiało pod ciężarem Nuzzo.

- Naprawdę o czymś takim marzyłeś podczas studiów? - spytał z niedowierzaniem.

- Już nie pamiętam, jak to było na studiach. Od tamtej pory zbyt wiele czasu poświęciłem na wystawianie rachunków klientom.

Spojrzał mi wreszcie prosto w oczy, bez tego ironicznego uśmiechu. Mimo woli przyszło mi na myśl, że Barry także ma mikrofon ukryty w ubraniu. Skoro Hector przyszedł na spotkanie z urządzeniem podsłuchowym, mogli podobnie wykorzystać Barry'ego. Raczej nie zgłosił się do tego zadania na ochotnika, wystarczyło jednak trochę go przycisnąć. Ostatecznie byłem teraz wrogiem kancelarii.

- A więc trafiłeś tu, podążając tropem Pana? - zaczął.

- Tak.

- I co odkryłeś?

- Bawisz się ze mną w kotka i myszkę, Barry? Nie wiesz, co się dzieje w firmie?

Zastawiacie pułapkę, czy może chcecie mnie od razu zgarnąć?

Przygryzł wargi, a po chwili pociągnął ostrożnie łyk kawy.

- Co za paskudztwo - mruknął z taką miną, jakby chciał ją wypluć na podłogę.

- Ma jedną zaletę, jest gorąca.

- Przykro mi z powodu Claire.

- Dzięki, ale raczej nie o niej chciałeś rozmawiać.

- Zagięły akta, Michaelu. Wszyscy z zarządu twierdzą, że to ty je ukradłeś.

- Kto wie, że tu przyszedłeś?

- Moja żona.

- Nie przysłali cię z firmy?

- Nie.

Uwierzyłem mu. Przez siedem lat byliśmy przyjaciółmi, kiedyś nawet dość bliskimi.

Ostatnio jednak obu nas bez reszty pochłaniała praca.

- Na jakiej podstawie twierdzą, że to ja je ukradłem?

- Podobno te akta mają coś wspólnego z wyczynem Pana. Mówili mi, że poszedłeś do Bradena Chance'a, ale nie chciał ci ich pokazać. I tej nocy, kiedy zagięły, widziano cię przed jego gabinetem. Słyszałem, że mają dowód na to, iż ktoś ci dał klucze.

- Tylko tyle?

- Są jeszcze odciski palców.

- Odciski? - spytałem, udając zdumienie.

- Znaleźli je w całym pokoju, na drzwiach, włączniku światła, szafce z dokumentami.

Bardzo szybko je zidentyfikowali. Byłeś tam, Michaelu, i zabrałeś te akta. Chciałbym wiedzieć, co zamierzasz z nimi zrobić.

- Powiedzieli ci, co było w teczce?

- Pan należał do grupy dzikich lokatorów, których na polecenie naszego klienta eksmitowano z budynku. Z tego powodu zaplanował napad. Podczas akcji policyjnej omal nie zginął i załamał się psychicznie.

- Nic więcej?

- Tyle nam powiedziano.

- Wszystkim?

- Nie, tylko adwokatom. Ale w piątek każdy pracownik, nie wyłączając aplikantów i sekretarek, dostał pismo informujące, że zagięła teczka z dokumentami, a ty jesteś podejrzany

o kradzież, w związku z czym zabrania się wszelkich kontaktów z tobą. Popełniłem wykroczenie, przychodząc tu dzisiaj.

- Nie bój się, nikomu nie powiem.

- Dzięki.

Jeśli nawet Braden Chance zdołał jakoś połączyć tragiczną śmierć Lontae Burton i jej dzieci z zaginięciem teczki, z pewnością zachował to dla siebie. Zapewne nie wtajemniczył nawet pozostałych współników. Nie miałem podstaw, żeby nie wierzyć Barry'emu. Prawdopodobnie sądził, że ukradłem dokumenty wyłącznie w związku z incydem wywołanym przez DeVona Hardy'ego.

- Więc po co tu przyszedłeś?

- Jestem twoim przyjacielem. A w firmie dzieją się rzeczy niesłychane. Na Boga, dasz wiarę, że w piątek po całym gmachu kręciła się policja? W ubiegłym tygodniu wzięto nas jako zakładników i musiała interweniować brygada antyterrorystyczna. Teraz znów tobie odbiło. I jeszcze do tego rozwód z Claire. Dlaczego nie weźmiesz sobie urlopu? Wyjedźmy gdzieś razem na parę tygodni. Zabierzemy żony.

- Dokąd?

- Nie wiem. Obojętne, choćby na wyspy.

- A cóż to by odmieniło?

- Przede wszystkim byśmy odpoczęli, pograli w tenisa, wypali się porządnie, podładowali akumulatory.

- I firma gotowa byłaby za to zapłacić?

- Ja mógłbym zapłacić.

- Zapomnij o Claire. To koniec, Barry. Nasze małżeństwo rozsypywało się od dłuższego czasu, aż wreszcie rozleciało się na dobre.

- W porządku. W takim razie wyjedźmy sami.

- Przecież nie wolno ci utrzymywać ze mną żadnych kontaktów.

- Mam pomysł. Umówię się na długą szczerą rozmowę z Arthurem, wyjaśnię mu parę spraw. Ty oddasz akta i zapomnisz o ich zawartości, a firma ci to wybaczy. Później polecimy na dwa tygodnie na Maui, pogramy w tenisa, a po powrocie znów zajmiesz swoje miejsce w eleganckim, stosownym gabinecie.

- Więc jednak firma cię tu przysłała. Mam rację?

- Nie. Przysięgam.

- Nic z tego nie wyjdzie, Barry.

- Podaj mi choć jeden konkretny powód.

- Życie prawnika to coś więcej niż ciągle wystawianie rachunków i zarabianie grubej forsy. Myślałeś kiedyś, dlaczego sprzedajemy się bogatej firmie jak dziwki? Miałem tego dosyć, Barry. Musiałem coś odmienić w swoim życiu.

- Odnoszę wrażenie, jakbym rozmawiał ze studentem pierwszego roku.

- Dokładnie tak. Szliśmy na studia, przeczuwając, że prawo jest naszym powołaniem. Chcieliśmy walczyć o sprawiedliwość i naprawiać społeczne krzywdy, dokonywać czynów wspaniałych i chwalebnych, jakie przystoją prawnikom. Wtedy byliśmy idealistami. Czemu później się to odmieniło?

- Oddaliśmy idee w zastaw hipoteczny.

- Wcale nie zamierzam cię przekonywać. Masz trójkę dzieci... Na szczęście Claire i ja nie mamy żadnego. Stać mnie na odrobinę życiowego szaleństwa.

Ciężki kaloryfer pod oknem, na który dotąd nawet nie zwracałem uwagi, zaczął nagle syczeć i bulgotać. Obaj spojrzeliśmy na niego z nadzieją, że wypromieniuje choć trochę ciepła. W milczeniu upłynęła minuta, potem druga...

- Nie darują ci tego, Michaelu - rzekł w końcu cicho Barry, wciąż gapiąc się niewidzącym wzrokiem na grzejnik.

- Oni? Chyba chciałeś powiedzieć: my?

- Wszystko jedno, chodzi o firmę. Nie można bezkarnie wykradać dokumentów. Pomyśl o naszym kliencie. Ma pełne prawo oczekiwać zachowania tajemnicy służbowej. Jeśli giną akta, firmie nie zostaje nic innego, jak wszcząć dochodzenie i przekazać sprawę policji.

- Zatem mogę się spodziewać zarzutów z kodeksu karnego?

- Pewnie tak. Wszyscy są na ciebie wściekli jak diabli, zresztą nie bez podstaw. Padła propozycja wystąpienia z wnioskiem do palestry o nałożenie na ciebie kary dyscyplinarnej, w grę wchodzi co najmniej nagana. Rafter już nad tym pracuje.

- Dlaczego Pan nie wymierzył trochę niżej swojej armaty?

- Naprawdę ci nie popuszczą.

- Tak czy owak, kancelaria ma więcej do stracenia niż ja.

Spojrzał mi w oczy. Nie wiedział jednak, jakie dokumenty znajdują się w teczce.

- Nie chodzi tylko o sprawę Pana? - spytał zdumiony.

- Jest tego znacznie więcej. Możesz mi wierzyć, że firma dopuściła się poważnych wykroczeń. Jeśli więc teraz zarząd nie da mi spokoju, będę musiał wykorzystać zdobyte informacje.

- Nie dasz rady wnieść pozwu na podstawie wykradzonych dokumentów. Żaden sąd nie uzna takich dowodów. Chyba nie znasz zasad powództwa cywilnego.

- Szybko się uczę. W każdym razie przekaz, żeby wycofali oskarżenia. Mam dokumenty, a na ich podstawie można sporo wywnioskować.

- Przecież wyeksmitowano jedynie garstkę dzikich lokatorów, Michaelu.

- To wcale nie jest takie proste. Ktoś powinien przycisnąć Bradena Chance'a i wyciągnąć z niego prawdę. Powiedz też Rafterowi, żeby sumiennie odrobił pracę domową, nim zdecyduje się wystąpić z wnioskiem do palestry. Uwierz mi, Barry, to jest naprawdę materiał na czołówki gazet. Gdybym go ujawnił, wszyscy zaczęlibyście się bać wychodzić z domu.

- Czyżbyś proponował ugodę? Chcesz zachować dokumenty w zamian za wycofanie przez firmę oskarżeń?

- Przynajmniej na razie. Nie wiem jeszcze, co się wydarzy w przyszłym tygodniu.

- Dlaczego nie chcesz sam porozmawiać z Arthurem? Wezmę na siebie rolę arbitra. Usiądziemy we trzech przy stole, zamkniemy drzwi na klucz i wszystko sobie wyjaśnimy. Co ty na to?

- Za późno. Parę osób zginęło.

- Pan sam się prosił o kulkę w łeb.

- Był tylko jednym z wielu.

I tak powiedziałem już za dużo. Z Barrym łączyła mnie przyjaźń, zdawałem sobie jednak sprawę, że szefom firmy będzie musiał powtórzyć naszą rozmowę słowo w słowo.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał.

- Nic więcej nie mogę ci zdradzić. To sprawa poufna.

- Dziwnie brzmi takie zdanie z ust prawnika, który ukradł akta.

W kaloryferze znów coś zabulgotało. Chętnie skorzystaliśmy z tego pretekstu, by przerwać rozmowę. Żaden z nas nie chciał powiedzieć niczego, czego potem musiałby żałować.

Nuzzo zaczął rozpytywać o pozostałych pracowników ośrodka, oprowadziłem go więc po biurze, opisując prowadzone tu sprawy.

- Niewiarygodne - mruknął parę razy.

- Czy możemy pozostać w kontakcie? - zapytał, kiedy się już pożegnaliśmy.

- Oczywiście.

ROZDZIAŁ 18

Tym razem przez całe pół godziny jazdy do Samaritan House w Petworth, w dzielnicy Północno-Wschodniej, ani na chwilę nie straciłem orientacji w terenie. Mordecai prowadził i gadał niemal bez przerwy, ja siedziałem usztywniony, z teczką na kolanach, zdenerwowany jak każdy żółtodziób, który ma być rzucony wilkom na pożarcie. Miałem na sobie dzinsy, białą koszulę, krawat, stary wełniany sweter, białe skarpetki oraz mocno podniszczone adidasy. Przestałem się też golić. W końcu byłem teraz obrońcą ulicy i mogłem się ubierać tak, jak sobie zażyczę.

Co zrozumiałe, Mordecai natychmiast spostrzegł zmianę w moim wyglądzie, kiedy tylko wkroczyłem rano do jego gabinetu i oznajmiłem, że jestem gotów do pracy. Nic nie powiedział, lecz szczególnie uważnym spojrzeniem obrzucił adidasy. Wielokrotnie bywał w podobnych sytuacjach, kiedy to różni prawnicy schodzili na krótko z wyżyn swoich szklanych wież, aby w czynie społecznym poświęcić trochę czasu biedakom. Z niewiadomych powodów wszyscy czuli się zobowiązani do tego, by się pokazać z dwudniowym zarostem i w zwykłym, sportowym ubraniu.

- Twoja klientela będzie dość urozmaicona - rzekł Green, prowadząc jedną ręką, gdyż w drugiej trzymał kubeczek z kawą. Jak zwykle mało go obchodziły inne samochody jeżdżące po tych samych ulicach. - Mniej więcej jedna trzecia ma jakąś pracę, jedna trzecia to małżeństwa z dziećmi, co trzeci klient jest ograniczony umysłowo, a co trzeci to weteran wojenny. No i tylko jedna trzecia tych, którym przysługuje prawo do taniego mieszkania kwaterunkowego, ma jakiś dach nad głową. W ciągu ostatnich piętnastu lat zlikwidowano dwa i pół miliona mieszkań kwaterunkowych, a federalne fundusze na budownictwo komunalne zostały zredukowane o siedemdziesiąt procent. Nic dziwnego, że tak wiele osób mieszka na ulicy. Rząd chce zbilansować budżet kosztem najbiedniejszych.

Bez większego wysiłku cytował z pamięci dane statystyczne. To było jego życie, jego zawód. Przyzwyczajony do sporządzania szczegółowych notatek w trakcie każdej rozmowy, musiałem zwalczyć w sobie chęć otwarcia teczki i wyjęcia notatnika. Z uwagą łowiłem każde słowo.

- Ci ludzie pracują za minimalną stawkę, dlatego nie stać ich na wynajęcie mieszkania, nawet nie mogą o tym marzyć. Co więcej, wzrost minimalnych dochodów jest znacznie wolniejszy od wzrostu cen mieszkań. Zatem z każdym rokiem upadają coraz niżej, a

jednocześnie wszelkie rządowe programy pomocy społecznej są coraz bardziej redukowane. Weź pod uwagę choćby tylko to, że zaledwie czternaście procent bezdomnych ludzi kalekich otrzymuje jakąkolwiek rentę. Czternaście procent! Spotkasz się z wieloma takimi przypadkami.

W ostatniej chwili wyhamował na czerwonym świetle, stanął prawie na środku skrzyżowania. Kierowcy zaczęli trąbić. Zsunąłem się niżej na fotelu, podświadomie oczekując kolejnej stłuczki. Ale Mordecai sprawiał takie wrażenie, jakby w ogóle nie rozumiał, że blokuje innym przejazd. Patrzył prosto przed siebie, lecz chyba miał przed oczami całkiem inny świat.

- Najsmutniejszych przejawów biedy i tak nie zauważa się wśród bezdomnych na ulicy. Mniej więcej połowa najuboższej warstwy społeczeństwa poświęca średnio siedemdziesiąt procent swoich dochodów na opłacenie mieszkania, podczas gdy według rządowych statystyk powinna na to przeznaczać maksymalnie trzecią część zarobków. Dziesiątki tysięcy mieszkańców stolicy żyje ze stryczkiem na szyi. Wystarczy jeden czek nie zapłacony w terminie, nie planowana wizyta w szpitalu, jakikolwiek wypadek losowy, a w jednej chwili tracą dach nad głową.

- Dokąd idą w takich sytuacjach?

- Rzadko szukają miejsca w przytułkach, wpierw zwracają się o pomoc do rodziny, przyjaciół. Zazwyczaj stają się tylko przyczyną spieć i konfliktów, gdyż rodzina czy znajomi z tego samego środowiska najczęściej także zajmują najtańsze lokale, których zarządcy ograniczają liczbę osób mogących mieszkać na danej powierzchni. W razie naruszenia tych przepisów wszystkim grozi eksmisja. Dlatego bezdomni zaczynają wędrować z miejsca na miejsce, jedno dziecko zostawia pod opieką siostry, drugie u przyjaciela. A przez to ich sytuacja jeszcze się pogarsza. Zazwyczaj boją się nocować w przytułkach, niektórzy unikają tego jak ognia.

Urwał i pociągnął łyk kawy.

- Dlaczego? - spytałem.

- Nie we wszystkich schroniskach jest właściwa opieka. Zdarzają się zabójstwa, rabunki, nawet gwałty.

Oto miałem pobieżny obraz środowiska, w którym chciałem robić prawniczą karierę.

- Nie wziąłem z domu broni - mruknąłem.

- Nic ci nie grozi. W całym mieście na rzecz bezdomnych działają setki ochotników. Nigdy nie słyszałem, aby komukolwiek przytrafiło się coś złego.

- Przynajmniej to jest pocieszające. - Rzeczywiście poczułem się trochę bezpieczniej.

- I mniej więcej połowa twojej przyszłej klienteli jest w taki czy inny sposób

uzależniona, jak choćby pierwszy przyjaciel, DeVon Hardy. Nałogi są na porządku dziennym.

- Co możemy zrobić dla takich osób?

- Niewiele. Działa jeszcze kilka rządowych placówek odwykowych, lecz bardzo trudno znaleźć w nich wolne miejsce. Mieliśmy szczęście, że udało nam się umieścić Hardy'ego w ośrodku dla weteranów wojennych, ale stamtąd uciekł. Niestety, to nałogowiec decyduje, czy i kiedy ma pozostać przytomny.

- Jakie są najpospolitsze uzależnienia?

- Alkoholizm, bo mocniejsze trunki są najłatwiej dostępne. Sporo jest kokainistów, gdyż ten narkotyk dostaniesz na każdej ulicy. Rzadko spotykamy ludzi uzależnionych od jakichś silniejszych i droższych środków odurzających.

- To jeszcze mi powiedz, czego będzie dotyczyło pięć moich pierwszych spraw.

- Nie możesz się doczekać, co?

- Owszem. Chciałbym się też jakoś przygotować.

- Spokojnie, to prosta robota, która wymaga głównie cierpliwości. Z pewnością trafisz na kogoś, kto nie dostaje należnych mu świadczeń, powiedzmy bonów żywnościowych. Możesz także oczekiwać rozwodów, skarg na właścicieli czy zarządców mieszkań, zatargów z pracodawcami, a już na pewno spraw kryminalnych.

- Jakiego rodzaju?

- Najczęściej drobnych przestępstw. W naszym cywilizowanym społeczeństwie zaznacza się wyraźny trend do robienia z bezdomnych kryminalistów. W każdym dużym mieście obowiązują wszelkie możliwe przepisy skierowane przeciwko mieszkańcom ulicy. Nie wolno żebrać, nie wolno sypiać na ławkach, nie wolno koczować pod mostami, nie wolno przechowywać rzeczy osobistych w parkach, nie wolno siadać na chodnikach, nie wolno jeść w miejscach publicznych. Wiele restrykcyjnych przepisów zostało już uchylonych przez sądy. Między innymi Abraham odwała kawał dobrej roboty, przekonując sędziów federalnych, że podobne zarządzenia są niezgodne z prawami obywatelskimi zawartymi w pierwszej poprawce do konstytucji. Dlatego też przedstawiciele prawa zawsze starają się znaleźć stosowny paragraf kodeksu karnego, taki jak zakłócanie porządku publicznego, włóczęgostwo, pijaństwo. Z bezdomnymi nikt się nie cacka. Jeśli jakiś facet w eleganckim garniturze wyjdzie pijany z baru i obsika drzewo na pobliskim skwerze, policjanci najwyżej zwrócą mu uwagę. Jeśli to samo drzewo obsika bezdomny, zostanie aresztowany za zanieczyszczanie miejsca publicznego. Bardzo często robi się czystki.

- Czystki?

- Owszem. Policja otacza parę kwartałów, zgarnia wszystkich bezdomnych i wywozi

ich gdzieś daleko. W ten sposób oczyszczono całą Atlantę przed olimpiadą, bo przecież nie można było dopuścić, żeby biedacy żebrali na ulicach czy spali na parkowych ławkach, gdy oczy całego świata zwróciły się na to piękne miasto. Dlatego wysłano parę jednostek oddziałów specjalnych i błyskawicznie uporano się z problemem. Liczyło się tylko to, by Atlanta wyglądała czysto i porządnie.

- Dokąd ich wywieziono?

- Na pewno nie do przytułków czy schronisk, bo tam nie ma ani jednego. Podejrzewam, że po prostu rozwozili tych biedaków po obrzeżach miasta i rozrzucali jak gnój na polach. - Znów upił łyk kawy, a po chwili poprawił regulację ogrzewania; przez dobre pięć sekund w ogóle nie trzymał rąk na kierownicy. - Pamiętaj, Michaelu, że każdy chce znaleźć dla siebie jakieś miejsce w życiu. Ci ludzie nie mają wyboru. Kiedy jesteś głodny, żebrzesz o coś do jedzenia. Kiedy odczuwasz zmęczenie, kładziesz się tam, gdzie można przyłożyć głowę. Jeśli jesteś bezdomny, szukasz jakiegoś miejsca, gdzie da się przetrwać.

- Ilu bezdomnych trafia do aresztu?

- Setki każdego dnia. To zresztą czysta głupota. Jeżeli ktoś nie ma się gdzie podziąć, tylko czasami znajduje miejsce w przytułku, łapie dorywczą pracę za minimalną stawkę, to znaczy, że robi wszystko, co w jego mocy, by zachować ludzką godność. Aż tu pewnego dnia ląduje w areszcie za to, że spał pod mostem. W końcu nie spał tam z własnego wyboru, każdy musi gdzieś sypiać. Udowadnia mu się jednak ogrom jego winy, bo władze miejskie w swej bezgranicznej mądrości uznały, że być bezdomnym to przestępstwo. Człowiek musi zapłacić trzydzieści dolarów grzywny i drugie trzydzieści za przymusową kąpiel i pranie ciuchów w areszcie. W jednej chwili z pustego i tak portfela traci sześćdziesiąt dolarów. Doznaje więc kolejnego upokorzenia. Nie dość, że go aresztowano, poniżono, wykąpano wbrew woli, to jeszcze powinien zrozumieć swój błąd i natychmiast przystąpić do poszukiwania stałego miejsca zamieszkania. Dla wszystkich pierwszoplanowym celem staje się ucieczka z przeklętej ulicy. Ten sam proceder jest prowadzony w każdym amerykańskim mieście.

- Nie lepiej spędzić noc w areszcie niż pod mostem?

- A byłeś ostatnio w areszcie?

- Nie.

- To raczej tam nie zagłądaj. Gliniarze w ogóle nie potrafią się obchodzić z bezdomnymi, a zwłaszcza z ludźmi chorymi psychicznie i uzależnionymi. Natomiast areszty są przepełnione. Nasz wymiar sprawiedliwości to istny koszmar, szczególnie gdy stykasz się z nim po raz pierwszy. Ściganie bezdomnych tylko niepotrzebnie pogarsza tę sytuację. A wiesz, co wydaje się najśmieszniejsze? Całodzienne utrzymanie aresztanta jest o dwadzieścia pięć

procent droższe od kosztu zapewnienia bezdomnemu miejsca w przytułku, wyżywienia, transportu oraz fachowej opieki. To drugie zresztą nie tylko przynosiłoby długofalowe skutki, ale zwyczajnie byłoby sensowniejsze. W dodatku pomijam kwestię kosztów samego nadzoru i późniejszej rozprawy sądowej. Tymczasem w większości miast, z powodu cięć budżetowych, zamyka się przytułki, a jednocześnie wydaje masę pieniędzy na robienie z bezdomnych kryminalistów.

- To wygląda na całkiem niezły powód do sformułowania pozwu - wtrąciłem.

- I tak też robimy. Adwokaci w całym kraju występują przeciwko podobnym zarządzeniom, lecz mimo to władze miejskie są bardziej skłonne płacić wysokie honoraria prawnikom niż otwierać schroniska dla bezdomnych. W tym kraju bezgranicznie miłuje się prawo. Na przykład Nowy Jork, najbogatsze miasto świata, nie jest w stanie pomieścić wszystkich mieszkańców, toteż znaczna część z nich sypia na ulicach i zebrze na Piątej Alei, a ponieważ przeszkadza to statecznym nowojorczykom, wybierają na burmistrza takiego czy innego wygadanego polityka, który obiecuje oczyścić ulice. I kiedy zdobywa już błękitną szarfę przewodniczącego rady miejskiej, gromadzi zespół prawników i stawia przed nim zadanie wyjęcia bezdomnych spod prawa. Wydaje się zarządzenia, o jakich już mówiłem: nie wolno żebrać, nie wolno siadać na chodniku, nie wolno być bezdomnym, a zarazem obcina się budżet, zamyka przytułki i ogranicza fachową opiekę, jednocześnie płacąc krociowe honoraria adwokatom, żeby bronili radnych Nowego Jorku przed oskarżeniami o próby wyeliminowania z miasta najbiedniejszych mieszkańców.

- W Waszyngtonie też jest tak źle?

- Może nie aż tak, lecz niewiele lepiej.

Znaleźliśmy się w dzielnicy, do której jeszcze dwa tygodnie temu nie wjechałbym w samo południe nawet wozem opancerzonym. Wszystkie okna od frontu były pozabezpieczone grubymi kratami, w wąskich przejściach między obskurnymi, wysokimi i wąskimi kamienicami wisiały sznury z suszącą się bielizną. Budynki z mocno poczerniałych cegieł nosiły piętno architektonicznej beztroski i nazbyt pospiesznych inwestycji z kasy władz federalnych.

- Waszyngton staje się miastem czarnych rządzonym przez olbrzymią kastę bogaczy - ciągnął Green. - Przyciąga mnóstwo ludzi szukających jakiejś odmiany, aktywistów i radykałów, choćby takich jak ty.

- Nie zaliczyłbym siebie ani do aktywistów, ani do radykałów.

- Jest poniedziałkowy ranek. Pomyśl o tym, gdzie przez ostatnich siedem lat spędzałeś takie poranki.

- Przy swoim biurku.
 - Bardzo eleganckim.
 - Owszem.
 - W pięknym, przestronnym gabinecie.
 - Zgadza się.
 - A więc teraz jesteś radykałem - rzekł, uśmiechając się szeroko.
- Na tym dobiegło końca wstępne wprowadzanie mnie w nowy świat.

Z prawej strony minęliśmy gromadkę bardzo grubo ubranych mężczyzn, stłoczonych wokół przenośnego gazowego grzejnika ustawionego przy rogu budynku.

Green skręcił w najbliższą przecznicę i zaparkował przy krawężniku, na wprost gmachu, w którym przed wieloma laty musiał się mieścić dom towarowy. Teraz nad wejściem wisiała odrębnie namalowana tablica z napisem: Samaritan House.

- To prywatne schronisko utrzymywane z datków kilkunastu arlingtonskich parafii - rzekł Mordecai. - Oferuje dziewięćdziesiąt miejsc noclegowych i bardzo porządną stołówkę. Przyjeżdżamy tu regularnie już od sześciu lat.

Przed nami stała furgonetka z banku żywności, ochotnicy rozładowywali skrzynki z jarzynami i owocami. Green zamienił parę słów ze starszym mężczyzną strzegącym wejścia i zostaliśmy wpuszczeni do środka.

- Oprowadzę cię szybko - zapowiedział.

Prawie deptałem mu po piętach w czasie drogi przez całą długość parteru. Był tu istny labirynt krótkich korytarzy, z których wchodziło się do małych pokoików. Ścianki działowe postawiono z brudnoszarych płyt gipsowych. Ale do każdego pokoju prowadziły drzwi z solidnym zamkiem. Jedne z nich były otwarte. Mordecai zajrzał do środka i rzekł szybko:

- Dzień dobry.

Na brzegu tapczaniku siedział drobny wychudzony mężczyzna o błyszczących oczach. Obrzucił nas niechętnym spojrzeniem.

- Jak widzisz, są tu wydzielone pokoje - objaśniał Green. - W każdym jest tapczan, szafka na rzeczy osobiste, no i elektryczność.

Pstryknął włącznikiem i zgasła słaba żarówka w kinkiecie nad tapczanem. Przez chwilę w pokoiku panował półmrok. Mordecai z powrotem zapalił światło. Mężczyzna bez przerwy wpatrywał się w nas nieruchomym wzrokiem.

Zadarłem głowę, ale nie dostrzegłem sufitu. Poczerniały strop znajdował się dobre sześć metrów nad nami.

- A co z łazienką? - zapytałem.

- Jest na końcu korytarza. W przytułkach rzadko można znaleźć pokoje z osobną łazienką. Życzę miłego dnia - zwrócił się do lokatora klitki, który przyjął to sztywnym skinieniem głowy.

W sali były włączone radia, z niektórych płynęła muzyka, z innych wiadomości. Ludzie krzątali się po całym budynku. W poniedziałkowy rano wiele osób wyruszało do pracy.

- Trudno dostać tu miejsce? - spytałem, chociaż z góry znałem odpowiedź.

- To prawie niemożliwe. Lista oczekujących ma z kilometr długości, a kierowniczką przytułku dokładnie sprawdza wszystkich kandydatów.

- Jak długo ludzie się tu zatrzymują?

- Zależy. Przeciętnie jakieś trzy miesiące. To jedno z ładniejszych schronisk, jest tu bezpiecznie. Kiedy komuś poprawia się sytuacja materialna, kierowniczka stara się mu pomóc w znalezieniu odpowiednio taniego mieszkania.

Poszliśmy dalej w głąb budynku.

- Nasz nowy adwokat - przedstawił mnie młodej kobiecie w sportowym stroju i czarnych wojskowych butach, która kierowała przytułkiem.

Przywitała mnie uprzejmie. Zaczęli rozmawiać na temat jednego z podopiecznych, który gdzieś przepadł, toteż wycofałem się głównym korytarzem. Po minucie dotarłem do rodzinnej części schroniska. Przyciągnęło mnie niemowlęce kwilenie i przystanąłem w otwartych drzwiach. Urządzono tu większe mieszkania o kilku pokojach rozdzielonych cienkimi przepierzeniami. Na krześle siedziała młoda matka, mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Była naga do pasa i ani trochę nie speszona moim zaciekawionym wzrokiem, trzymała przy piersi niemowlę. Na tapczanie baraszkowała dwójka paroletnich dzieci. Z włączonego radia dolatywał jakiś krzykliwy rap.

Wreszcie, zniecierpliwiona moim natręctwem, sięgnęła dłonią do drugiej piersi i zaoferowała ją mnie, wycofałem się więc pospiesznie. Wróciłem korytarzem i odnalazłem Mordecaia.

Klienci już na nas czekali. Szybko stworzyliśmy prowizoryczne biuro w kącie jadalni. Green otworzył niewielką szafkę stojącą w przejściu do kuchni, wyciągnął garść papierów i rozłożył je na składanym stoliku pożyczonym od kucharki. Na krzesłach pod ścianą siedziało w rzędzie sześć osób.

- Kto pierwszy? - zapytał głośno Green.

Podniosła się kobieta, podeszła z krzeselkiem i usiadła naprzeciwko nas. Obaj mieliśmy przed sobą naszykowane notatniki. Tworzyliśmy pewnie dziwną parę, weteran obrońców ulicy

i całkiem zagubiony żółtodziób.

Kobieta nazywała się Waylene, miała dwadzieścia siedem lat, samotnie wychowywała dwoje dzieci.

- Połowa klientów to mieszkańcy przytułku - mruknął Mordecai, zapisując jej dane personalne - druga połowa przychodzi z ulicy na te spotkania.

- Przyjmujemy wszystkich?

- Wszystkich bezdomnych.

Waylene zgłosiła się z prostą sprawą. Pracowała w barze szybkiej obsługi, ale musiała zrezygnować. Green nawet nie zainteresował się powodem odejścia z pracy. Nie otrzymała dwóch ostatnich tygodniówek, a ponieważ nie miała stałego adresu, właściciel baru omyłkowo wysłał czeki komu innemu. Pieniądze przepadły, on zaś w ogóle nie chciał z nią rozmawiać na ten temat.

- Gdzie pani będzie w przyszłym tygodniu? - zapytał Mordecai.

Nie umiała odpowiedzieć. Może tu, może gdzie indziej. Rozglądała się za nową pracą i gdyby ją znalazła, bądź też wydarzyło się coś nieprzewidzianego, niewykluczone, że zamieszkałaby w innym przytułku, a może nawet znalazła tani pokój.

- Odzyskam pani pieniądze, czek będzie czekał w moim biurze. - Podał jej wizytówkę. - Proszę zadzwonić pod ten numer w przyszłym tygodniu.

Kobieta wzięła wizytówkę, podziękowała krótko.

- Zadzwoń do tego baru - rzekł do mnie Mordecai - przedstaw się jako jej adwokat i porozmawiaj, na początku grzecznie, ale podnieś głos, gdyby właściciel chciał robić jakieś trudności. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wpadnij tam i osobiście odbierz czek.

Sumiennie spisałem te polecenia, jakby były niezmiernie złożone. Miałem wywalczyć dla Waylene należne jej dwieście dolarów. W ostatniej sprawie antytrustowej, jaką prowadziłem w kancelarii Drake'a i Sweeneya, walka toczyła się o majątek wartości dziewięćset milionów dolarów.

Drugi klient nawet nie potrafił sprecyzować swojej sprawy. Chyba chciał tylko z kimś pogadać. Był wstawiony albo chory umysłowo, a może jedno i drugie. Po kilku minutach Mordecai zaprowadził go do kuchni i poczęstował gorącą kawą.

- Niektórzy z tych biedaków nie wytrzymują ciągłego napięcia psychicznego - oznajmił po powrocie.

Następna kobieta mieszkała w przytułku od dwóch miesięcy, zatem kwestia braku adresu nie wchodziła w rachubę. Miała pięćdziesiąt osiem lat, wyglądała czysto i schludnie, była wdową po weteranie wojennym. Według zapisów w papierach, które pobieżnie

przejrzałem, podczas gdy mój zwierzchnik rozmawiał z klientką, należała jej się renta po mężu. Ale wpłaty wpływały na konto bankowe w Maryland, do którego nie uzyskała dostępu. Szczegółowo wyjaśniła swoje kłopoty, co zresztą potwierdzały przyniesione dokumenty.

- Ze związkiem weteranów nigdy nie mieliśmy większych problemów - rzekł Mordecai na zakończenie. - Załatwimy, żeby otrzymywała pani czeki pod tym adresem.

Klientów przybywało, poszerzał się też zakres spraw, ale żadna nie była dla Greena nowością: bony żywnościowe nie docierały z powodu braku stałego adresu, właściciel kamienicy nie chciał zwrócić kaucji za wynajmowane wcześniej mieszkanie, opieka społeczna odmawiała wypłacenia zasiłku rodzinnego, za wystawianie czeków bez pokrycia policja aresztowała bez odpowiedniego nakazu, towarzystwo ubezpieczeniowe wstrzymało wypłaty renty inwalidzkiej. Po upływie dwóch godzin i rozmowach z dziesięcioma klientami przeniosłem się na koniec stolika i uruchomiłem drugi punkt konsultacyjny. Już podczas pierwszego dnia pracy w nowej firmie zacząłem działać na własną rękę, tak samo sporządzałem notatki i podejmowałem szybkie decyzje jak szef ośrodka.

Moim pierwszym klientem został Marvis. Chciał uzyskać rozwód, podobnie jak ja. Ale po wysłuchaniu jego bardzo smutnej opowieści zapragnąłem szybko wrócić do domu i rzucić się Claire do stóp. Żona Marvisa odkryła zbawienne dla niej działanie kokainy, przez którą stopniowo popadła w biedę, zaczęła więc sprzedawać wszystko z domu i kraść w sklepach, wreszcie wylądowała na ulicy. On początkowo spłacał jej długi, później wystąpił do sądu z wnioskiem o ogłoszenie bankructwa. Rok temu żona zabrała dwójkę dzieci i zamieszkała z jakimś ciemnym typkiem, w końcu została prostytutką.

Marvis zaczął mnie wypytywać na temat procedury spraw rozwodowych. Niewiele o tym wiedziałem, mogłem mu jedynie przybliżyć ogólnikowe przepisy. W pewnej chwili, kiedy robiłem notatki, uderzył mnie szokujący kontrast: wyobraziłem sobie Claire w elegancko urządzonym gabinecie znanego adwokata rozwodowego, omawiającą dokładnie w tej samej chwili sposoby anulowania naszego związku.

- Jak długo to może potrwać? - zapytał Marvis, odrywając mnie od tych rozważań.

- Pół roku. Sądzi pan, że żona wyrazi sprzeciw?

- Co to znaczy?

- Chcę wiedzieć, czy pańska żona zgodzi się na rozwód.

- Nie rozmawiałem z nią na ten temat.

Już od roku był sam, przyszło mi więc do głowy, że można wystąpić o rozwód z powodu ewidentnego porzucenia. Gdyby dodać do tego zdradę małżeńską, sprawa powinna być prosta.

Marvis mieszkał w przytułku od tygodnia. Był czysty i trzeźwy, szukał jakiejś pracy. Przyjemnie mi się z nim rozmawiało przez pół godziny. Obiecałem zająć się sprawą jego rozwodu.

Czas upływał błyskawicznie. Szybko pozbyłem się początkowej tremy. Ekscytowało mnie to, że mogę pomóc zwykłym ludziom w ich zwykłych codziennych kłopotach - biednym ludziom, nie mającym się do kogo zwrócić o pomoc prawną. Wyczuwałem bijący od nich strach, nawet nie tyle przede mną, ile przed skomplikowanym systemem przepisów prawa, zarządzeń, sądów i biurokracji jako takiej. Momentalnie nauczyłem się uśmiechać przyjaźnie i serdecznie witać każdego klienta. Niektórzy przepraszaali za to, że nie mogą mi zapłacić, toteż musiałem powtarzać, że pieniądze nie mają żadnego znaczenia.

Przed dwunastą zwolniliśmy stolik, gdyż zaczynano podawać lunch. W stołówce zrobiło się tłoczno, zupa była już gotowa.

Nie chciało nam się wracać do centrum, poszliśmy więc razem na przekąskę do pobliskiego „Florida Avenue Grill”. Byłem jedynym białym w barze, ale i do tego zdążyłem już przywyknąć. Jak dotąd nikt nie usiłował mnie zamordować. Nikt nawet nie zwracał na mnie szczególnej uwagi.

Sofia znalazła sprawny aparat telefoniczny, leżał na dnie szuflady bezpieczeństwa biurka stojącego najbliżej wejścia. Podziękowałem jej uprzejmie i zaniósłem telefon do swego pokoju. W sali ogólnej naliczyłem aż osiemnaście osób czekających w kolejce po uzyskanie porady od Sofii, chociaż nie była prawnikiem. Mordecai poprosił, abym po południu zajął się sprawami klientów z Samaritan House, których zebrało się w sumie aż dziewiętnastu. Ale jednocześnie dał mi do zrozumienia, że powinienem się pospieszyć i przejąć jeszcze paru klientów Sofii.

Myliliem się grubo, sądząc, że w roli obrońcy ulicy będę miał mniej roboty. Już pierwszego dnia zwały mi się na głowę dziesiątki ludzkich problemów. Na szczęście wciąż byłem bezprzykładnym pracoholikiem i ostro zabrałem się do dzieła.

W pierwszej kolejności zadzwoniłem jednak do kancelarii Drake’a i Sweeneya. Poprosiłem do telefonu Hectora Palmę z działu nieruchomości, ale kazano mi czekać. Po pięciu minutach przerwałem połączenie i po raz drugi wybrałem numer. Zgłosiła się inna sekretarka i też kazala mi czekać. Wreszcie rozpoznałem w słuchawce chrapliwy głos Bradena Chance’a.

- Czym mogę służyć?

Przełknąłem ślinę i powiedziałem szybko podniesionym, piskliwym tonem:

- Szukam Hectora Palmy.

- A kto mówi?

- Rick Hamilton, jego dawny kolega ze szkoły.
- Przykro mi, lecz Hector Palma już tu nie pracuje.

Chance odłożył słuchawkę, a ja przez kilka sekund gapiłem się w swoją jak urzeczony. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Polly i poprosić ją, aby się dowiedziała o los Hectora. Nie powinno jej to zająć zbyt wiele czasu. Później doszedłem do wniosku, że lepiej zadzwonić do Rudolpha, Barry'ego Nuzzo czy nawet mojego najlepszego aplikanta. Wreszcie przyszło otrzeźwienie. Nie miałem już tam przyjaciół. Dostałem wilczy bilet. Byłem wrogiem firmy. Stałem się przyczyną kłopotów, toteż zarząd kancelarii zabronił wszystkim pracownikom ze mną rozmawiać.

W książce telefonicznej znalazłem trzech abonentów o nazwisku Hector Palma. Chciałem do nich zadzwonić, lecz linie były zajęte. Ośrodek dysponował tylko dwoma numerami, a teraz korzystało z nich czworo pracowników.

ROZDZIAŁ 19

Nie spieszyłem się z wyjściem z ośrodka pod koniec pierwszego dnia pracy. Czekał mnie powrót do pustego, skromnego mieszkania, niewiele większego od trzypokojowego lokalu w Samaritan House. Miałem sypialnię bez łóżka, w saloniku telewizor nie podłączony do sieci kablowej, kuchnię bez lodówki i składany stolik turystyczny. Dopiero zaczynałem snuć mgliste plany urządzenia tych pomieszczeń.

Sofia wyszła punktualnie o piątej, jak zwykle. Mieszkała w nieciekawej okolicy i wolała zamknąć się w domu na cztery spusty przed zapadnięciem zmroku. Mordecai wyszedł około szóstej, poświęciwszy trzy minuty na podsumowanie wspólnie spędzonego dnia.

- Nie siedź za długo - ostrzegł na pożegnanie. - Zawsze staraj się wychodzić z kimś. Po sąsiedzku jest park, idź więc szybko i miej oczy szeroko otwarte.

Wcześniej rozmawiał z Abrahamem Lebowem, ale tamten zamierzał pracować do dziewiątej, Green zaproponował mi zatem, abyśmy poszli razem, lecz i ja miałem jeszcze robotę.

- Jakie odnosisz wrażenie? - spytał, zatrzymawszy się przy drzwiach na ulicę.

- To rzeczywiście fascynująca praca. Kontakty z ludźmi są inspirujące.

- Czasami serce się człowiekowi kraje.

- Już tego doświadczyłem.

- To dobrze. Kiedy dojdiesz do stanu całkowitego zobojętnienia, będzie to znak, że pora się wycofać.

- Dopiero zacząłem.

- Wiem i bardzo się z tego cieszę. Naprawdę potrzebowaliśmy tu kogoś tak energicznego jak ty.

- I ja się cieszę, że dotąd nie zawiodłem.

Kiedy wyszedł, starannie zamknąłem za nim drzwi. Zwróciłem uwagę, że w ciągu dnia nikt się tu nie izoluje w swoim pokoju. Dzięki temu po południu parę razy mogłem się serdecznie uśmieć, kiedy słyszałem, jak Sofia przez telefon wydziera się na jakiegoś urzędnika. W takich chwilach wszyscy obecni w ośrodku zamieniali się w słuch. Mordecai także miał zwyczaj ryczeć do słuchawki, a jego basowy głos niósł się echem po całym biurze. Nie wahał się zresztą rzucać przez telefon nawet najostrzejszych pogrózek. Tylko Abraham rozmawiał dużo ciszej, lecz i do jego pokoju drzwi były zawsze otwarte.

Nie wiedziałem jeszcze, jak powinienem postępować, toteż wolałem załatwić sprawy za zamkniętymi drzwiami. Miałem nadzieję, że nie zostanie to źle przyjęte.

Obdzwoniłem kolejno wszystkich ludzi o nazwisku Hector Palma, jakich znalazłem w książce telefonicznej. Pod pierwszym numerem zgłosił się ktoś inny. Pod drugim nikt nie odpowiadał. Dopiero pod trzecim włączyła się automatyczna sekretarka z nagraniem zapowiedzią znanego mi Hectora: „Chwilowo nie ma mnie w domu. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię później”.

To był na pewno jego głos.

Zarząd firmy, która dysponowała wręcz nieograniczonymi możliwościami - zatrudniała ośmiuset adwokatów i stu siedemdziesięciu aplikantów, miała swoje biura w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles, Portland, Palm Beach, Londynie i Hongkongu - zdecydował się ukryć Hectora Palmę. Raczej nie wyrzucano go z pracy, gdyż za dużo wiedział. Zapewne podwojono mu pensję, obiecano szybki awans i przeniesiono do którejś filii, załatwiając też większe mieszkanie.

Spisałem adres z książki telefonicznej. Sądziłem, że skoro automatyczna sekretarka jest nadal włączona, to może Hector jeszcze się nie przeprowadził. A zyskawszy doskonale źródło informacji w postaci moich nowych współników, byłem pewien, że tak czy inaczej zdołam go wyśledzić.

Zaledwie rozległo się ciche pukanie, drzwi już stanęły otworem. Klamka była tak wyrobiona, że nawet ich zamykanie tylko pozornie odcinało mnie od reszty biura. Do środka zajrzał Abraham.

- Masz chwilę? - spytał, siadając przed biurkiem.

Nie przygnała go jednak żadna ważna sprawa. Wokół tego spokojnego, małomównego człowieka roztaczała się aura nieprzeciętnego intelektu, która zapewne wywarłaby na mnie wrażenie, gdybym przez ostatnie siedem lat nie pracował w jednym gmachu z co najmniej czterema setkami adwokatów różnorodnego autoramentu. Osobiście poznałem kilkunastu ludzi podobnych do Abrahama, pełnych rezerwy i zawsze śmiertelnie poważnych, z góry traktujących całe otoczenie.

- Chciałem cię bliżej poznać - rzekł, po czym natychmiast zaczął gorliwie orędować za adwokatami działającymi w obronie praw obywatelskich.

Pochodził ze średniej klasy, urodził się w Brooklynie, dyplom zrobił na uniwersytecie Columbia. Przepracował trzy długie lata w jakiejś firmie z Wall Street, później cztery w Atlancie jako radca prawny społecznego ruchu na rzecz zniesienia kary śmierci, potem dwa lata spędził na Kapitolu. Wreszcie, całkiem przypadkowo, natknął się na ogłoszenie w prasie, w

którym pracę dla adwokata oferował ośrodek porad prawnych przy ulicy Czternastej.

- Do tego zawodu trzeba mieć powołanie - oświadczył. - Tu nie chodzi tylko o zarabianie forsy.

Następnie wygłosił drugi monolog potępiający wielkie firmy prawnicze i adwokatów zgarniających miliony dolarów. Jego przyjaciel z Brooklynu zarabiał około dziesięciu milionów rocznie, występując przeciwko producentom silikonowych implantów piersi.

- Wyobrażasz to sobie?! Dziesięć milionów rocznie! Za taką forszę można by wybudować schroniska i urządzić stołówki dla wszystkich bezdomnych w stolicy!

W każdym razie bardzo go ucieszyło, że i ja w końcu odnalazłem swoje powołanie. Wyraził też żal z powodu tragicznego incydentu z Panem.

- Czym się dokładnie zajmujesz? - spytałem, zadowolony z przebiegu tej rozmowy. Abraham był zapaleńcem, ale z przyjemnością słuchałem, jak wypowiada się pięknym, niemal literackim językiem.

- Głównie dwoma zagadnieniami. Po pierwsze, polityką. W szerszym gronie adwokackim próbujemy kształtować zapisy kodeksu prawa. A po drugie, składaniem pozwów, najczęściej przeciwko instytucjom państwowym. Zaskarżyliśmy więc urząd statystyczny o to, że w spisie powszechnym z roku dziewięćdziesiątego nie uwzględniono olbrzymiej części bezdomnych. Wystąpiliśmy przeciwko stołecznemu kuratorium za czynienie trudności w przyjmowaniu bezdomnych dzieci do szkół. Zaskarżyliśmy władze miasta, ponieważ bezprawnie cofnęły zasiłki mieszkaniowe kilku tysiącom obywateli. No i bez przerwy atakujemy różne zarządzenia, które zmierzają do wyjęcia bezdomnych spod prawa. Gotowi jesteśmy pozwać każdą instytucję, jeśli tylko wskutek jej działalności cierpią bezdomni.

- To pewnie bardzo skomplikowane wystąpienia.

- Owszem, ale na szczęście w Waszyngtonie jest sporo doświadczonych prawników, chętnie poświęcających na to swój wolny czas. Mogę się uznać za jednego z trenerów. Wspólnie opracowujemy plan gry, zbieramy najlepszą drużynę i dopiero potem wybiegamy na boisko.

- Nie masz bezpośredniego kontaktu z klientami?

- Rzadko. Najlepiej mi się pracuje w samotności, w zaciszu tego skromnego pokoiku za ścianą. Dlatego bardzo się cieszę, że do nas dołączyłeś. Naprawdę potrzebowaliśmy pomocy w załatwianiu najprostszyc, codziennyc spraw.

Niemal poderwał się z krzesła, rozmowa dobiegła końca. Umówiliśmy się jeszcze, że wyjdziemy razem punktualnie o dziewiątej, po czym zostałem sam. W trakcie jednego z płomiennyc monologów Abrahama zwróciłem uwagę, że mój nowy kolega nie nosi obrączki.

Prawo było całym jego życiem. Stare powiedzenie, że praca adwokata jest jak zazdrosna kochanka nie odstępująca go nawet na krok, w wypadku Abrahama zdawało się nabierać jeszcze głębszego sensu.

Byłem w podobnej sytuacji. W moim życiu też nie zostało nic oprócz prawa.

Gliniarze z komendy stołecznej cierpliwie zaczekali do pierwszej w nocy i dopiero wtedy wdarli się do mieszkania jak komando. Najpierw zadzwonili do drzwi, lecz niemal równocześnie zaczęli w nie łomotać pięściami. Zanim Claire wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i wybiegła z sypialni, kopali już w nie zaciekle.

- Policja! Otwierać! - wrzeszczeli.

A kiedy im otworzyła, ledwie zdążyła odskoczyć, przerażona. Do środka wpadło czterech mężczyzn, dwóch umundurowanych i dwóch po cywilnemu. Wtargnęli z takim impetem, jakby chodziło o ratowanie czyjegoś życia.

- Z drogi! - huknął jeden do Claire, która osłupiała na ich widok. - Odsunąć się!

Z łoskotem zatrzasnęli drzwi mieszkania. Dowódca grupy, niejaki porucznik Gasko, w wymiętym granatowym garniturze, wyciągnął z kieszeni złożony świstek papieru.

- Czy pani nazywa się Claire Brock? - spytał, wyraźnie zainspirowany postacią bohatera serialu „Columbo”.

Pokiwała głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Porucznik Gasko. Gdzie jest Michael Brock?

- Już tu nie mieszka - wyjąkała, wodząc spojrzeniem po otaczających ją czterech mężczyznach, niemalże gotowych rzucić się na nią.

Gasko w żaden sposób nie mógł w to uwierzyć.

- Mam nakaz przeszukania tego lokalu, podpisany przez sędziego Kisnera wczoraj o piątej po południu - oświadczył, rozkładając papier i podtykając go pod nos Claire. Nawet nie dał jej szansy zapoznania się z tekstem dokumentu wydrukowanego drobnym maczkiem. - Proszę się odsunąć - rozkazał, chociaż Claire stała już pod samą ścianą.

- Czego szukacie? - spytała.

- Jest zapisane w nakazie - warknął Gasko, cisnąwszy papier na kuchenny kontuar.

Cała czwórka rozbiegła się po mieszkaniu.

Aparat komórkowy trzymałem tuż przy głowie, na podłodze, sypiałem bowiem w śpiworze, na rozpostartej kołdrze. Spędzałem tak już trzecią noc z rzędu, zaliczywszy to w poczet obowiązków utożsamiania się z nowymi klientami. Jadłem bardzo mało, a sypiałem

jeszcze mniej, gdyż nie było mi znacznie wygodniej niż na parkowej ławce. Całą lewą stronę ciała znaczyły mi siniaki ciągnące się prawie aż do kolana, wciąż odczuwałem dotkliwie bóle, mogłem więc sypiać wyłącznie na prawym boku.

I tak było nie najgorzej. W końcu miałem dach nad głową, ogrzewane pomieszczenia, drzwi zamykane na klucz, pracę, pewność dnia jutrzejszego i nawet jakieś widoki na przyszłość.

Szybko namacałem telefon i podniosłem go z podłogi.

- Słucham.

- Michael! - syknęła Claire głośnym szeptem. - Jest tu policja, przeszukuje mieszkanie.

- Co takiego?!

- Wdarło się czterech gliniarzy. Mają nakaz rewizji.

- Czego chcą?

- Szukają jakichś akt.

- Będę tam za dziesięć minut.

- Pospiesz się! Błagam!

Wpadłem do mieszkania jak gnany przez upiory. Od razu natknąłem się na Gasko.

- Nazywam się Michael Brock. Kim pan jest, do cholery?!

- Porucznik Gasko.

- Proszę pokazać legitymację. - Zerknąłem na Claire, która stała w kuchni oparta ramieniem o lodówkę i popijała kawę małymi łydkami. - No! Długo mam czekać?!

Gliniarz ze złością wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki legitymację, otworzył ją i podsunął mi pod nos.

- Larry Gasko - odczytałem na głos. - Będzie pan pierwszą osobą, którą pozwę do sądu jeszcze dziś, o dziewiątej rano. Kto jest z panem?

- Trzej inni policjanci - mruknęła Claire, wyciągając w moją stronę nakaz rewizji. - Chyba są teraz w sypialni.

Ruszyłem w głąb mieszkania, Gasko podreptał za mną. Claire po namyśle poszła za nim. Pierwszego, ubranego po cywilnemu, znaleźliśmy w gościnnej sypialni; na czworakach usiłował zajrzeć pod tapczan.

- Czy mogę zobaczyć pańską legitymację?! - huknąłem od drzwi.

Błyskawicznie poderwał się na nogi i uniósł ręce, jakby szykował się do walki. Zrobiłem dwa kroki w jego stronę, głośno zgrzytnąłem zębami i warknąłem:

- Legitymacja, dupku!

- Kim pan jest? - bąknął, cofając się o krok i niepewnie zerkając na Gasko.

- Michael Brock. A ty?!

Wyciągnął legitymację.

- Darrell Clark - odczytałem, zapisując nazwisko w notesie. - Będzie pan pozwanym numer dwa.

- Nie może mnie pan zaskarżyć - jęknął.

- Jeszcze się zobaczy. Za osiem godzin w sądzie federalnym składam pozew o milionowe odszkodowanie za wtargnięcie do mieszkania i bezpodstawną rewizję. Wygram bez trudu, a uzyskawszy prawomocny wyrok, zacznę cię prześladować tak, że wystąpisz o ogłoszenie bankructwa.

Z mojej dawnej sypialni wyszli dwaj pozostali gliniarze. Znalazłem się nagle w otoczeniu.

- Claire, bądź uprzejma przynieść kamerę wideo. Chcę to zarejestrować.

Posłusznie dała nura do swojej sypialni.

- Mam nakaz rewizji podpisany przez sędziego - rzekł łagodnym tonem Gasko. Trzej pozostali jednocześnie zacieśnili nieco pierścień wokół mnie.

- Przykro mi, ale przeszukanie jest niezgodne z prawem - odparłem ironicznie. - Człowiek, który podpisał nakaz, także zostanie pozwany. Wszyscy będziecie musieli za to odpowiedzieć, a do czasu rozprawy otrzymacie urlopy, najprawdopodobniej bezpłatne. Później zaś możecie być pewni mojego wystąpienia z powództwa cywilnego.

- Mam zapewniony immunitet - mruknął Gasko, zerkając na kolegów.

- Jak cholera.

Zjawiała się Claire z kamerą.

- Czy powiedziałaś im, że już tu nie mieszkam? - zwróciłem się do niej.

- Oczywiście - odparła, unosząc kamerę do oczu.

- I mimo wszystko przystąpiliście do rewizji? No to już wiecie, dlaczego wasze działania są niezgodne z prawem. Powinniście od wejścia przystopować, ale w tym nie byłoby nic zabawnego, prawda? O wiele ciekawiej jest poprzerzucać osobiste rzeczy innych ludzi. Mieliście szansę, by wycofać się z twarzą, chłopcy, ale z niej nie skorzystaliście. Teraz będziecie musieli ponieść konsekwencje.

- Nie damy się zastraszyć - oznajmił Gasko.

Patrzył na mnie z groźną miną, lecz doskonale wiedział, że jestem adwokatem. Nie zastali mnie w tym mieszkaniu, zatem moje oskarżenie brzmiało wiarygodnie. W gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, czy działali zgodnie z prawem, czy też nie. Uchwyciłem się pierwszej myśli, jaka mi przysłała do głowy.

Ten prawniczy lód, po którym zdecydowałem się stąpać, był naprawdę bardzo kruchy.

- Wasze nazwiska - zwróciłem się do umundurowanych policjantów, ignorując Gasko.

Obaj pospiesznie sięgnęli po legitymacje. Zapiisałem w notesie: Ralph Lilly i Robert Blower. -
Dziękuję. Będą panowie pozwany numer trzy i cztery. A teraz proszę łaskawie stąd wyjść.

- Gdzie są akta? - spytał szybko Gasko.

- Tu ich na pewno nie ma, ponieważ tu nie mieszkam. Właśnie z tego powodu zaskarżę
was czterech, poruczniku.

- Też mi coś. Bez przerwy wpływają pozwы przeciwko nam.

- To jeszcze lepiej. Kto jest waszym adwokatem?

Okazało się jednak, że nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska radcy prawnego
komisariatu. Ruszyłem z powrotem do salonu, cała czwórka z ociąganiem poszła za mną.

- Proszę wyjść - powtórzyłem ostro. - Nie ma tu żadnych akt.

Claire wodziła za nimi obiektywem kamery, pewnie z tego powodu nie chcieli dłużej ze
mną dyskutować. Blower mruknął pod nosem coś o pieprzonych prawnikach i wszyscy wyszli.

Zamknawszy za nimi drzwi, przeczytałem uważnie nakaz rewizji. Claire usiadła przy
stole w kuchni i popijając kawę, obserwowała mnie z ukosa. Pierwszy szok powoli mijał,
ponownie brała w niej górę zapiekła wrogość. Nie potrafiła przyznać, że była przerażona, jakby
okazanie choćby najmniejszej słabości stanowiło rysę na jej nieskazitelnym wizerunku. A
przede wszystkim nie chciała nawet jednym gestem dać mi poznać, że nadal jestem jej
potrzebny.

- Co to za akta? - spytała.

W rzeczywistości nawet tego nie chciała wiedzieć. Chodziło jej wyłącznie o zdobycie
pewności, że coś podobnego już się nigdy nie powtórzy.

- To długa historia - odparłem.

Tak jakbym jej powiedział: „Lepiej nie pytaj”. Świetnie to rozumiała.

- Naprawdę zamierzasz złożyć przeciwko nim pozew?

- Nie mam do tego specjalnych podstaw. Chciałem jedynie pozbyć się ich z mieszkania.

- Podziałało. Wrócą tu jeszcze?

- Nie.

- To dobrze.

Złożyłem nakaz rewizji i wsunąłem do kieszeni. Była w nim wyszczególniona tylko
jedna rzecz: akta RiverOaks/TAG, które obecnie, wraz z ich kserokopiami, były dobrze ukryte
w murach mojego nowego mieszkania.

- Powiedziałaś im, gdzie teraz mieszkam? - zapytałem.

- Przecież sama tego nie wiem.

Odczekałem kilka sekund z nadzieją, że zapyta wprost o mój nowy adres. Nie zrobiła tego.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, Claire.

- Nie ma sprawy. Obiecuj mi tylko, że to się już nie powtórzy.

- Obiecuję.

Nie uścisnęliśmy się ani nie pocałowaliśmy na pożegnanie. Powiedziałem tylko: „Dobranoc”, i wyszedłem z domu. Chyba właśnie dokładnie tego po mnie oczekiwała.

ROZDZIAŁ 20

Wtorek był dniem przyjęć w siedzibie Stowarzyszenia Twórczego Zwalczenia Przemocy, znanego powszechnie pod skrótem CCNV, które zorganizowało największy przytułek w stolicy. I tym razem wóz prowadził Mordecai. Zamierzał towarzyszyć mi we wszystkim przez pierwszy tydzień, później zaś puścić mnie na głęboką wodę.

Moje ostrzeżenia i pogróżki przekazane za pośrednictwem Barry'ego Nuzzo trafiły w próżnię. Kancelaria Drake'a i Sweeneya zamierzała wytoczyć działa, w czym zresztą nie było nic dziwnego. Nocny nalot gliniarzy na mieszkanie stanowił jedynie zapowiedź tego, co mnie jeszcze czekało. Musiałem więc powiedzieć Greenowi prawdę o swoim wyczynie.

Kiedy tylko wykręciliśmy sprzed ośrodka, zacząłem:

- Moja żona i ja podjęliśmy decyzję o separacji. Właśnie się wyprowadziłem.

Szczeka mu opadła, widocznie ani trochę nie był przygotowany na takie wstrząsające wieści o ósmej rano.

- Przykro mi - bąknął, wpatrując się we mnie tak intensywnie, że omal nie wjechał na chodnik.

- Nie ma czego żałować. Za to dziś w nocy do mieszkania żony wdarło się czterech gliniarzy. Szukali mnie, a ściślej rzecz biorąc, akt, które wykradłem przed odejściem z kancelarii.

- Jakich znowu akt?

- Dotyczących DeVona Hardy'ego i Lontae Burton.

- Zamieniam się w słuch.

- Jak wiesz, DeVon Hardy wziął zakładników i potem zginął dlatego, że prawnicy Drake'a i Sweeneya eksmitowali go z mieszkania. Wraz z nim wyrzucono na ulicę szesnaście osób, a wśród nich była także Lontae Burton z dziećmi.

Pokręcił głową i mruknął:

- Jaki ten świat mały...

- Tak się złożyło, że porzucony magazyn stoi na działce, na której RiverOaks zamierza wybudować urząd pocztowy. Chodzi o kontrakt wartości dwudziestu milionów dolarów.

- Znałem tę rudere. Od lat zajmowali ją dzicy lokatorzy.

- Tyle tylko, że nie byli to dzicy lokatorzy. Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Wiesz to na pewno, czy tylko podejrzewasz?

- Na razie podejrzewam. Z teczki wyjęto pewne dokumenty, na ich miejsce włożono inne. Brudną robotą zajmował się aplikant, niejaki Hector Palma, który najpierw wykonał wizję lokalną, później nadzorował eksmisję, w końcu naprowadził mnie na trop. Podrzucił mi anonimowy list informujący, że eksmisja nie była zgodna z prawem. Następnie dostarczył klucze, dzięki czemu mogłem się dostać do akt. Ale gdy próbowałem się z nim wczoraj skontaktować, wyszło na jaw, że już nie pracuje w firmie, a w każdym razie nie w waszyngtońskim biurze.

- Gdzie się podział?

- Sam chciałem to wiedzieć.

- I to on dał ci klucze?

- Nie dał, lecz zostawił na moim biurku razem z krótką instrukcją.

- A ty z nich skorzystałeś?

- Owszem.

- Żeby wykraść akta?

- Wcale nie zamierzałem ich kraść. Jechałem właśnie do ośrodka, żeby skserować dokumenty, kiedy ten idiota wpadł na skrzyżowanie przy czerwonym świetle i wylądowałem w szpitalu.

- To po tę teczkę jeździliśmy na policyjny parking?

- Zgadza się. Chciałem zrobić kopie materiałów i zaraz odwieźć je do firmy. Nikt by niczego nie zauważył.

- Załóżmy - mruknął. Miał chyba wielką ochotę wyzwać mnie od ostatnich kretynów, lecz nie znaleźliśmy się jeszcze wystarczająco dobrze. - Jakich dokumentów brakuje w teczce?

Streściłem mu pokrótce historię przetargu ogłoszonego przez zarząd poczty i wysiłki poczynione przez spółkę RiverOaks, by uzyskać kontrakt.

- Chodziło o to, by jak najszybciej wykupić cały teren. Kiedy Palma po raz pierwszy udał się na wizję lokalną, został wypędzony z magazynu. Drugim razem pojechał pod eskortą strażników i brakuje właśnie jego sprawozdania z tej wizyty. Zostało dołączone do akt, ale później ktoś, zapewne Braden Chance, wyjął je z teczki.

- Co było w tym sprawozdaniu?

- Tego nie wiem. Podejrzewam jednak, że w trakcie wizji Hector natknął się na lokatorów magazynu zajmujących wykonane prowizorycznie mieszkania i w rozmowie z nimi dowiedział się, że opłacają czynsz niejakiemu Tillmanowi Gantry'emu. Zatem nie byli dzikimi lokatorami, lecz najemcami, których chroniły przepisy prawa lokalowego. Ale spółka już ścigała ekipy rozbiórkowe, trzeba było błyskawicznie pozbyć się kłopotu, gdyż Gantry

również chciał jak najszybciej odsprzedać cały teren. Dlatego też zlekceważono notatkę służbową Palmy, uznano mieszkańców za dzikich lokatorów i wyrzucono ich na ulicę.

- W sumie siedemnaście osób?

- Tak, nie licząc dzieci.

- Znasz nazwiska pozostałych eksmitowanych?

- Owszem. Palma, mój tajemniczy informator, skopiował pełną listę i podrzucił mi ją na biurko. Gdyby udało się odnaleźć tych ludzi, mielibyśmy świadków.

- Niewykluczone. Obawiam się jednak, że Gantry solidnie ich nastraszył. To osiłek paradujący z wielkim rewolwerem. Pewnie chciałby uchodzić za drugiego ojca chrzestnego. Kiedy taki przykaże ludziom, że mają trzymać gęby na kłódkę, nie powiedzą ani słowa, bo mogą wylądować na dnie rzeki.

- Ale ty się go chyba nie boisz, prawda? Spróbujmy go odnaleźć. Przyciśniemy drania do muru, aż wszystko wyśpiewa.

- Widzę, że świetnie się orientujesz w stosunkach panujących na ulicy. Dochodzę do przekonania, że zatrudniłem tępego dupka.

- Nie powiesz mi, że Gantry nie ucieknie na twój widok.

O tej porze dnia nie trafiały do niego nawet najgłupsze żarty. W dodatku musiało mu się zepsuć ogrzewanie w samochodzie, bo choć dmuchawa pracowała pełną mocą, zaczynałem się czuć jak w lodówce.

- Ile Gantry wziął za tę działkę? - zapytał Green.

- Dwieście tysięcy. Kupił ją pół roku wcześniej, ale w dokumentach nie znalazłem wzmianki na temat kwoty, jaką zapłacił.

- Od kogo kupił magazyn?

- Od miasta. Poprzedni właściciel zrzekł się wszelkich praw.

- To pewnie zapłacił pięć, najwyżej dziesięć tysięcy.

- Niezłe przebicie.

- Niezłe, szczególnie dla Gantry'ego. Do tej pory ciułał same grosze, prowadził myjnię samochodową, jakieś sklepiki, wszystko na małą skalę.

- Ciekawi mnie, po co kupił porzucony magazyn i urządził w nim najtańsze mieszkania.

- Dla forsy. Jeśli nawet zapłacił za rudere pięć tysięcy, opłacało mu się zainwestować jeszcze tysiąc w postawienie ścianek działowych i wydzielenie kilku toalet. To wystarczyło, żeby rozkręcić interes. Rozpuścił wieści i znalazł chętnych, którym wynajmował klitki, powiedzmy, po sto dolarów miesięcznie, płatnych tylko w gotówce. Jego klientów nie interesowało spisywanie żadnych umów i zbieranie rachunków. W dodatku Gantry celowo

utrzymywał budynek w takim stanie, aby w razie jakiejś kontroli wyprzeć się znajomości z najemcami i określić ich jako dzikich lokatorów. Mógłby wtedy obiecać, że usunie ich z działki, choć w rzeczywistości wcale mu na tym nie zależało. Podobne interesy kwitną niemal na każdym kroku. Miasto po prostu nie funkcjonuje.

Chciałem go już zapytać, dlaczego władze nie nakładają kar na takich właścicieli i nie zaprowadzają porządku, ale ugryzłem się w język. Odpowiedź była oczywista, wystarczyło jedynie skojarzyć powszechnie znane fakty. Patrole policyjne jeździły samochodami, z których co trzeci nadawał się tylko na złom, w budynkach szkolnych przeciekały dachy, w szpitalach pacjentów rozmieszczano na korytarzach, a pięćset bezdomnych matek z niemowlętami nie mogło znaleźć dla siebie miejsca w przytułkach. To miasto naprawdę nie funkcjonowało.

W tym świetle właściciel rudery, uchylający się od płacenia podatków, ale zapewniający dach nad głową garstce bezdomnych, rzeczywiście nie stanowił nazbyt palącego problemu.

- Jak chcesz odnaleźć Hectora Palmę? - zapytał Mordecai.

- Zakładam, że współpracownicy kancelarii nie będą na tyle głupi, żeby go wylać. Dysponują siedmioma filiami w różnych miastach, więc zapewne upchną go gdzieś z dala od Waszyngtonu. Jakoś go znajdę.

Dotarliśmy do śródmieścia. W pewnej chwili wskazał palcem na prawo i rzekł:

- Popatrz na to składowisko starych furgonów na Mount Vernon Square.

Obrzuciłem zaniepokojonym spojrzeniem spory teren ogrodzony wysokim murem. Stały tam ciężarówki różnych marek i wielkości, przerdzewiałe wraki, jak na złomowisku.

- To najpaskudniejszy przytułek w stolicy. Kiedy władze federalne przekazały do dyspozycji miasta stare furgony pocztowe, ktoś wpadł na genialny pomysł urzędzenia w nich schroniska dla bezdomnych. Poupychali w nich ludzi jak sardynki w puszkach.

Nieco dalej, na skrzyżowaniu Drugiej i D, wskazał długi trzypiętrowy gmach, w którym znalazło schronienie tysiąc trzysta osób.

CCNV zostało założone na początku lat siedemdziesiątych przez grupę aktywnych przeciwników wojny organizujących w Waszyngtonie różnorodne protesty. Zamieszkali razem w wynajętym domu w dzielnicy Północno-Zachodniej, lecz w trakcie marszów i manifestacji pod Kapitołem poznawali wciąż nowych weteranów z Wietnamu i stopniowo zaczęli ich gromadzić wokół siebie. Zarejestrowali stowarzyszenie, wynajęli pomieszczenia w różnych częściach miasta. Po zakończeniu wojny uwagę działaczy przyciągnęły zastępy bezdomnych mieszkańców stolicy. Na początku lat osiemdziesiątych prezesem stowarzyszenia został niejaki

Mitch Snyder, który szybko stał się gorącym orędownikiem praw ludzi ulicy.

To z jego inicjatywy sześciuset bezdomnych rozpoczęło okupację gmachu po zlikwidowanym college'u, postawionego z funduszy federalnych i wciąż będącego własnością miasta. Wokół nowej siedziby stowarzyszenia biedacy szybko stworzyli sobie własny dom. Władze podejmowały rozliczne próby wysiedlenia ich, ale bez rezultatu. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku Snyder zorganizował pięćdziesięciojednodniowy strajk głodowy, by zwrócić uwagę na los bezdomnych. A ponieważ było to miesiąc przed wyborami prezydenckimi, Reagan oznajmił dumnie, że zamierza urządzić w budynku pokazowe schronisko dla bezdomnych. Ku powszechnemu zadowoleniu Snyder zakończył strajk. Ale po wyborach Reagan wycofał się ze swoich obietnic, a przeciwko stowarzyszeniu posypały się rozmaite oskarżenia.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym władze miejskie wybudowały nowe schronisko w dzielnicy Północno-Zachodniej, z dala od śródmieścia, zaczęto więc snuć plany przeniesienia CCNV wraz z gromadą podopiecznych do nowej siedziby. Lecz radni szybko się przekonali, że bezdomni to nadzwyczaj krnąbrny ludek. Nikt nie zamierzał opuszczać swego domu. Snyder ogłosił, że zabiją deskami okna i drzwi, szykując się na oblężenie. Rozeszły się plotki, że ośmiuset mieszkańców dawnej szkoły ma zgromadzone w piwnicach zapasy broni, tylko patrzeć, jak rozpęta się prawdziwa wojna.

Władze wycofały zarządzenie i oddały gmach do dyspozycji CCNV. Od tamtej pory schronisko rozrosło się do tysiąca trzystu łóżek. Mitch Snyder popełnił samobójstwo w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, a rada miejska nazwała ulicę jego imieniem.

Zajechaliśmy pod przytułek o ósmej trzydzieści, kiedy ludzie gromadnie wychodzili. Część z nich miała pracę, większość jednak wyruszała na włóczęgę po mieście. Na dziedzińcu przed głównym wejściem stało w grupkach co najmniej stu mężczyzn, palili papierosy, rozmawiali ze znajomymi, cieszyli się świeżym powietrzem po nocy spędzonej w dusznych pomieszczeniach.

W holu Mordecai zamienił parę słów z portierem urzędującym w przeszklonej budce, wpisał nas do książki ewidencyjnej i poprowadził mnie korytarzem. Musieliśmy lawirować między gromadkami spieszącymi do wyjścia mężczyzn. Znowu poczułem się głupio, że jestem tu jedynym białym. W dodatku byłem nieźle ubrany, miałem na sobie garnitur i krawat. Całe moje dotychczasowe życie upływało w dostatku, aż tu nagle znalazłem się sam na sam z tłumem młodych, czarnych, silnie zbudowanych mężczyzn, z których większość miała zapewne kryminalną przeszłość, za to nieliczni choćby ze trzy dolary w kieszeni. Każdy z nich mógł w jednej chwili skrócić mi kark i zabrać portfel. Dlatego też bałem się nawet spojrzeć im

w oczy, siedłem ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Zatrzymaliśmy się przed „izbą przyjęć”.

- Broń i narkotyki na zawsze wykluczają człowieka z listy oczekujących tu na miejsce - rzekł Mordecai, przyglądając się ludziom zbiegającym po schodach z wyższych pięter.

Dziwnym sposobem to stwierdzenie dodało mi pewności siebie.

- Nigdy nie znalazłeś się tutaj w niebezpiecznej sytuacji? - zapytałem.

- Do ciągłego poczucia zagrożenia także przywykniesz - odparł.

Łatwo mu było mówić, znajdował się wśród swoich.

Na tablicy obok drzwi sali wisiała kartka z nazwiskami osób szukających pomocy prawnej. Green zerwał ją i przebiegł spojrzeniem trzynaście wpisów.

- Trochę poniżej średniej - skwitował. Widocznie chcąc zabić czas oczekiwania, zaczął mnie informować: - Tam jest pokój pocztowy. Jednym z najbardziej denerwujących zajęć w tej pracy jest konieczność utrzymania kontaktu z klientem, który zmienia adresy z dnia na dzień. Dlatego dobre przytulki organizują coś w rodzaju urzędu pocztowego. - Wskazał sąsiednie drzwi. - A tam znajduje się punkt wydawania odzieży. Przyjmują tu od trzydziestu do czterdziestu nowych lokatorów tygodniowo. W pierwszej kolejności każdy musi przejść badanie lekarskie, znaczna część bezdomnych jest nosicielami gruźlicy. Później wszyscy przychodzą tutaj po komplet nowych ciuchów, od majtek i skarpet po swetry. Raz w miesiącu każdy ma prawo do nowego kompletu, tak że przez rok może zbierać spory zapas garderoby. Poza tym nie rozdają tu starych szmat. Stowarzyszenie dostaje od fundatorów więcej odzieży, niż jest w stanie rozdać swoim lokatorom.

- I można tu mieszkać przez rok?

- Nie dłużej. Po upływie roku każdy musi odejść, ale to tylko z pozoru brzmi brutalnie. Podstawowym celem jest pomoc w osiągnięciu samodzielności. Każdy, kto uzyskuje tu miejsce, wie od początku, że przez ten rok powinien dojść do siebie, zerwać z nałogiem, zdobyć jakieś umiejętności i znaleźć sobie stałą pracę. Zresztą większość ludzi odchodzi przed upływem roku, niewielu jest takich, którzy chcieliby tu zostać na zawsze.

Zjawił się starszy mężczyzna o imieniu Ernie. Wyjął imponujący pęk kluczy, otworzył nam „izbę przyjęć” i odszedł. Pospiesznie zorganizowaliśmy punkt porad prawnych dla interesantów. Mordecai podszedł z listą do drzwi, wychylił się na korytarz i zawołał:

- Luther Williams.

Klient ledwie się precyzyjnie do środka, krzeselko groźnie zatrzeszczało pod jego ciężarem. Miał na sobie zielony kombinezon roboczy, białe skarpetki i pomarańczowe klapki kąpielowe. Pracował na nocnej zmianie w kotłowni Pentagonu. Narzeczona wyprowadziła się od niego, zabierając wszystkie sprzęty, później zaczęły napływać rachunki. Luther stracił

mieszkanie i ze wstydem zgłosił się do przytułku.

- Muszę znów stanąć na własnych nogach - oświadczył tak zboląłym głosem, że zrobiło mi się go żal.

Miał masę długów, ściagały go różne firmy kredytowe. Przynajmniej na jakiś czas mógł znaleźć kryjówkę w CCNV.

- Proponuję wystąpić o ogłoszenie bankructwa - zwrócił się do mnie Green.

Nie miałem pojęcia, jak to się robi, ale ze zmarszczonym czołem ochoczo pokiwałem głową. Lutherowi jakby nagle ulżyło. Przez następne dwadzieścia minut wypełnialiśmy wspólnie formularze. Kiedy wychodził z sali, wyglądał na uszczęśliwionego.

Następnym klientem był Tommy. Wśliznął się do pokoju na paluszkach, zbliżył do nas rozkołysanym krokiem i wyciągnął rękę na powitanie. Paznokcie miał pomalowane na czerwono. Ucisnąłem mu dłoń, Mordecai udał, że jej nie zauważa. Tommy był na pełnej kuracji odwykowej od haszyszu i heroiny, miał kłopoty z urzędem skarbowym. Od trzech lat nie składał zeznania podatkowego i ktoś nagle to odkrył. W dodatku zalegał z alimentami na łączną sumę kilku tysięcy dolarów. Ze zdumieniem przyjąłem wiadomość, że jest ojcem. Uczęszczał na spotkania odwykowe przez siedem dni w tygodniu i na razie nie mógł podjąć żadnej pracy na całym etacie.

- Niestety, nie da się wystąpić o bankructwo wobec nie zapłaconych podatków i zaległych alimentów - orzekł Green.

- Kiedy ja nie mogę zacząć pracować, bo jestem na kuracji, a gdybym z niej zrezygnował, znów popadłbym w narkomanię. Więc skoro nie mogę pracować i nie mogę być bankrutem, to jakie mam wyjście?

- Żadnego. Do czasu zakończenia kuracji nie musisz się o nic martwić. Później znajdziesz sobie pracę i skontaktujesz się z obecnym tu Michaelem Brockiem.

Tommy wyszczerzył zęby w uśmiechu, puścił do mnie oko i szybko wyszedł z sali.

- Coś mi się zdaje, że kłamał jak z nut - mruknął Mordecai.

Ernie przyniósł nam drugą listę, na której było jedenaście nazwisk. Przed drzwiami „izby przyjęć” utworzyła się kolejka. Ponownie zorganizowaliśmy dwa stanowiska. Przeniosłem się na koniec sali, do drugiego stolika, a Green zaczął wywoływać po dwie osoby jednocześnie.

Pierwszym moim klientem był młody chłopak, na którym ciążyło oskarżenie o handel narkotykami. Szczegółowo spisałem jego relację, żeby później w ośrodku przedstawić sprawę szefowi.

Widok następnego mną wstrząsnął. Biały mężczyzna około czterdziestki, bez tatuaży i

blizn na skórze, ubytków w uzębieniu, kolczyków, podkrążonych oczu i zaczerwienionego nosa. Nosił mniej więcej tygodniowy zarost, głowę ogolono mu do gołej skóry najwyżej miesiąc temu. Kiedy ścisnąłem jego dłoń na powitanie, odniosłem wrażenie, że trzymam w palcach wilgotną galaretę. Nazywał się Paul Pelham i mieszkał w przytułku od trzech miesięcy. Wcześniej był szanowanym lekarzem.

Prowadził własny gabinet ginekologiczny w Scranton w Pensylwanii. Miał okazały dom, piękną żonę, gromadkę dzieci, mercedesa. Zaczął jednak nadużywać walium, potem przerzucił się na silniejsze środki. Przyjemność zażywania kokainy dzielił z rozkoszami obcowania z niektórymi pielęgniarkami miejscowego szpitala. Zarazem obracał nieruchomościami, inwestował w różne fundusze i grał na giełdzie. Aż pewnego dnia wysliznął mu się z rąk noworodek, który wskutek urazów zmarł. Obecny przy porodzie ojciec dziecka, miejscowy pastor, widział wszystko na własne oczy. Później przyszło poniżenie: rozprawa sądowa, więcej narkotyków, kolejne pielęgniarki, aż wszystko się zawaliło. Gdy podłapał opryszczkę i zaraził nią żonę, ta spakowała swoje rzeczy i przeniosła się na Florydę.

Byłem poruszony jego historią. W ciągu krótkiej kariery obrońcy ulicy niewielu miałem jeszcze klientów, ale od każdego chciałem usłyszeć jak najwięcej szczegółów dotyczących jego upadku, szukając widocznie zapewnienia, że i ja ich śladem nie wyląduję na ulicy, że ludzie z mojej warstwy nie muszą się obawiać tak tragicznego splotu wydarzeń.

Pelham mnie zafascynował, gdyż po raz pierwszy, patrząc na niego, przyznawałem w duchu, że równie dobrze mógłbym się teraz znajdować na jego miejscu. Był dowodem, iż życie potrafi tak wszystko zaplatać, że każdego jest w stanie ściągnąć na dno. A w dodatku mówił o tym bez zahamowań.

Wreszcie napomknął, że nie jest pewien, czy wystarczająco dobrze zatarł za sobą ślady. Tak długo słuchałem go w milczeniu, że chciałem już zapytać, w jakiej sprawie oczekuje ode mnie pomocy. Lecz nie zdążyłem otworzyć ust, gdy dodał:

- Zataiłem parę spraw we wniosku o ogłoszenie bankructwa.

Zwróciłem uwagę, że Mordecai zdążył w tym czasie załatwić paru klientów i niezbyt przychylnym okiem spoglądał na tę pogaduszkę dwóch białych. Udając więc, że całkowicie pochłania mnie sporządzanie notatek, zapytałem:

- Co to za sprawy?

Wyjaśnił obszernie, że jego adwokat był chytrym cwaniakiem, potem zaczął kręcić, iż banki zbyt pośpiesznie zablokowały mu dostęp do kont, co go zrujnowało. Mówił cicho, spokojnie, lecz ilekroć Green obracał głowę w naszą stronę, Pelham nagle urywał.

- To jeszcze nie wszystko - dodał.

- Słucham.

- Ta rozmowa jest poufna, prawda? To znaczy... korzystałem z usług wielu adwokatów, ale im płaciłem, i to słono.

- Tak, jest całkowicie poufna - zapewniłem solennie.

Nie miało to większego znaczenia, że udzielałem darmowych porad. Sprawa honorariów nie mogła w żaden sposób naruszyć zasad dotyczących stosunków adwokata z klientem.

- Nikomu pan o tym nie powie?

- Wykluczone.

Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że miejsce w przytułku, pośród tysiąca trzystu innych bezdomnych, jest zarazem doskonałą kryjówką.

- Kiedy jeszcze mi się powodziło - zaczął niemal szeptem - odkryłem, że moja żona spotyka się z innym mężczyzną. Powiedziała mi o tym jedna z pacjentek. Podczas badania ginekologicznego większość kobiet gada jak najęta. W każdym razie przeżyłem szok. Zaangażowałem prywatnego detektywa i ten wkrótce wykazał, że to prawda. No i kochanek mojej żony pewnego dnia... zniknął - zawiesił głos, spoglądając na mnie z wyczekiwaniem.

- Zniknął?

- Tak. Przepadł bez śladu.

- Nie żyje? - spytałem, osłupiały.

Skinął głową.

- I wie pan, gdzie są zwłoki?

Znów przytaknął bez słowa.

- Kiedy to było?

- Cztery lata temu.

Palce mi się trzęsły, kiedy zapisywałem te informacje.

Pelham pochylił się niżej i szepnął:

- Był agentem FBI, dawnym kolegą mojej żony z college'u stanowego w Pensylwanii.

- Nie do wiary - mruknąłem, nabierając podejrzeń, że facet kłamie.

- Ścigają mnie.

- Kto?

- FBI. Tropią mnie już od czterech lat.

- I co ja mógłbym zrobić w tej sprawie?

- Nie wiem. Może spróbować się z nimi dogadać? Zmęczyło mnie już ciągłe ukrywanie się.

Przygryzłem wargi w zadumie. Mordecai skończył rozmawiać z klientem i ruszył do drzwi, aby wywołać następnego. Pelham kątem oka obserwował każdy jego ruch.

- Będę potrzebował więcej danych - odparłem. - Wie pan, jak się nazywał ten agent?

- Tak. Wiem również, gdzie i kiedy się urodził.

- A także gdzie i kiedy zginął?

- Owszem.

Pelham nie miał ze sobą żadnych dokumentów.

- Może przyjdzie pan do mojego biura i dostarczy te informacje. Tam w spokoju dokończymy rozmowę.

- Muszę to przemyśleć - mruknął, spoglądając na zegarek.

Wyjaśnił szybko, że pracuje na pół etatu jako stróż w kościele i powinien już iść. Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

Przekonywałem się szybko, że do głównych zadań obrońcy ulicy należy cierpliwe wysłuchiwanie klientów. Spora część z nich chciała jedynie z kimś porozmawiać. Życie nie szczędziło im ciosów i kopniaków, a ponieważ mieli okazję za darmo uzyskać poradę prawną, często po prostu zrzucali z barków swoje brzemienie na adwokata. Mordecai był prawdziwym mistrzem w dziedzinie umiejętnego kierowania rozmową i błyskawicznego wyławiania rzeczywistej przyczyny czyjegoś przyjścia na spotkanie. Ja wciąż nie mogłem się otrząsnąć ze świadomości, że mam do czynienia z ludźmi tak straszliwie pokrzywdzonymi.

Niemniej nauczyłem się szybko, że ci, którzy mają konkretny problem, mówią o nim na początku, bez przytaczania całej swojej historii. Szybko zapełniałem notes prośbami o uzyskanie prawa do bonów żywnościowych, zasiłku mieszkaniowego, pomocy opieki społecznej, zwrotu karty ubezpieczeniowej bądź prawa jazdy. Kiedy uznawałem roszczenia za uzasadnione, szybko wypełnialiśmy odpowiednie formularze.

Do południa przez salę przewinęło się dwadzieścia sześć osób. Obaj czuliśmy się wykończeni.

- Chodź, przejdziemy się trochę - zaproponował Mordecai, gdy wyszliśmy przed budynek.

Niebo było bezchmurne, po trzech godzinach siedzenia w dusznym pomieszczeniu bez okien nawet mroźny wiatr wydawał się przyjemny. Po drugiej stronie ulicy, w nowoczesnym, dość ładnym budynku, mieścił się sąd federalnego urzędu skarbowego. Prawdę mówiąc, stary gmach CCNV ze wszystkich stron otaczały nowsze, okazałe budowle. Przystanęliśmy na rogu Drugiej i D. Obejrzałem się na przytułek.

- Ich prawo do dzierżawy terenu wygasa za cztery lata - wyjaśnił Mordecai. -

Inwestorzy budowlani już krążą dookoła jak sępy. Dwie przecznice dalej ma powstać nowe schronisko.

- To pewnie znów wybuchną protesty.

- Może nawet dojść do zamieszek.

Przeszliśmy przez ulicę i ruszyliśmy w kierunku Kapitolu.

- O czym tak długo rozmawiałeś z tym białym? - zapytał Mordecai.

Pelham był moim jedynym białym klientem.

- To zdumiewające - mruknąłem, nie wiedząc, od czego zacząć. - Był kiedyś szanowanym lekarzem w Pensylwanii.

- A kto go teraz ściga?

- Słucham?

- Kto go teraz ściga?

- FBI.

- Potraktował cię ulgowo, bo ostatnio mówił o CIA.

Zatrzymałem się w pół kroku, Green poszedł dalej.

- Rozmawiałeś z nim kiedyś? - spytałem, dogoniwszy go.

- Owszem, dość regularnie przychodzi na nasze spotkania. Na imię ma Peter, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Przedstawił się jako Paul Pelham.

- Zatem nazwisko też zmienił - rzucił Mordecai od niechcienia przez ramię. - Jest wyjątkowo dobrym gawędziarzem, prawda?

Odebrało mi mowę. Znów przystanąłem, spoglądając za Greenem, który trzymał ręce w kieszeniach płaszcza, a ramiona podskakiwały mu rytmicznie, gdyż wstrząsał nim gromki, rubaszny śmiech.

ROZDZIAŁ 21

Kiedy zdobyłem się w końcu na odwagę i powiedziałem Greenowi, że chciałbym wziąć wolne popołudnie, poinformował mnie szorstko, że mam takie same prawa jak pozostali, nikt nie wycisza mi czasu pracy i jeśli muszę załatwić jakieś własne sprawy, mogę to uczynić w dowolnej chwili. W pośpiechu wyszedłem z ośrodka. Tylko Sofia odprowadziła mnie czujnym spojrzeniem.

Poświęciłem godzinę na rozmowę z agentem ubezpieczeniowym. Lexus nie nadawał się do remontu i mimo że pertraktacje z ubezpieczycielem sprawcy wypadku nie zostały jeszcze zakończone, towarzystwo gotowe było mi wypłacić ponad dwadzieścia jeden tysięcy dolarów odszkodowania. Przystałem na tę propozycję. Obciążała mnie jeszcze spłata kredytu w wysokości szesnastu tysięcy, wyszedłem więc z siedziby firmy z czekiem opiewającym na pięć tysięcy z groszami. Mogłem sobie za to kupić inny samochód, bardziej stosowny do mego obecnego statusu obrońcy ulicy, a zarazem mniej kuszący złodziei.

Następną godzinę przesiedziałem w poczekalni lekarza. Wciąż byłem nadzwyczaj zajęтым adwokatem, mającym wielu klientów, toteż zmuszony do beczynności i przeglądania starych czasopism ilustrowanych bezsilnie zgrzytałem zębami. Doktor znacznie pogorszył moje samopoczucie, silnie obmacując mój obolały bok, zawyrokował jednak, że za dwa tygodnie powinienem wrócić do pełnej formy.

W biurze adwokata rozwodowego Claire zjawiłem się punktualnie o szesnastej, przyjęła mnie ubrana po męsku i śmiertelnie poważna recepcjonistka. Niemal z każdego kąta kancelarii wyzierała wrogość do mężczyzn. Słyszeć było wyłącznie kobiece głosy: opryskliwe, gardłowe odpowiedzi telefonistki, płynącą z głośnika radia szczebiotliwą relację jakiejś terenowej reporterki, dobiegające z końca korytarza gniewne okrzyki pracownicy biura. W pomieszczeniach dominowały ciepłe pastelowe kolory, lawendowy, różowy i beż. Magazyny ilustrowane leżące obok ekspresu do kawy ostatecznie rozwiewały jakiegokolwiek wątpliwości. Nie były to zwykłe kobiece czasopisma czy żurnale mody, lecz wydawnictwa skrajnie feministyczne, które klientki kancelarii powinny jedynie podziwiać, ale nie czytać.

Jacqueline Hume zarobiła pierwsze większe pieniądze na demaskowaniu naciągaczy prowadzących gabinety psychoterapii, a później zyskała rozgłos, przeprowadzając rozwody paru niewiernych senatorów. Jej nazwisko stało się postrachem dla wielu wpływowych i bogatych mieszkańców stolicy.

Zależało mi na tym, by jak najszybciej podpisać dokumenty i wynieść się stamtąd.

Musiałem jednak czekać pół godziny. Zamierzałem już urządzać piekielną awanturę, kiedy wreszcie zjawiała się aplikantka i poprowadziła mnie do gabinetu. Wręczyła mi papiery i chyba dopiero wtedy prawda uderzyła mnie z całą mocą. Trzymałem w ręce akta sprawy Claire Addison Brock przeciw Michaelowi Nelsonowi Brockowi.

Zgodnie z wymogami prawa musieliśmy spędzić pół roku w separacji, zanim mogło dojść do rozprawy rozwodowej. Przeczytałem uważnie tekst porozumienia, podpisałem go i szybko wyszedłem. Pospiesznie obliczyłem, że na Święto Dziękczynienia powinienem odzyskać całkowitą wolność.

Czwartą wizytę tego popołudnia złożyłem na parkingu przed biurami Drake'a i Sweeneya. Punktualnie o siedemnastej Polly zjechała do holu z dwoma pudłami pełnymi moich rzeczy osobistych. Była wyraźnie usztywniona, trzymała buzię w ciup i, co mogłem przewidzieć, strasznie się spieszyła. Nabrałem podejrzeń, że nawet ona przyszła na spotkanie z ukrytym mikrofonem.

Oddaliłem się o kilka przecznic, skręciłem za róg i z aparatu komórkowego zadzwoniłem do Barry'ego Nuzzo. Ten jednak uczestniczył w jakiejś konferencji. Podałem swoje nazwisko, powiedziałem, że chodzi o sprawę nie cierpiącą zwłoki, i już po trzydziestu sekundach Barry podszedł do telefonu.

- Możemy swobodnie rozmawiać? - spytałem, zakładając, że linie telefoniczne kancelarii również są na podsłuchu.

- Oczywiście.

- Jestem niedaleko biura, na rogu ulicy K i Connecticut. Nie napiłbyś się ze mną kawy?

- Nie wcześniej niż za godzinę.

- Wykluczone. Albo spotkamy się teraz, albo nie ma o czym gadać. - Zależało mi na tym, by moi poprzedni szefowie nie zdążyli niczego zorganizować, jeśli podsłuchiwali tę rozmowę.

- No... Dobra. W porządku. Zaraz wyjdę.

- Będę czekał w kawiarni Binglera.

- Znam ten lokal.

- Zajmę stolik. Tylko przyjdź sam.

- Chyba oglądałeś zbyt wiele filmów kryminalnych, Mike.

Dziesięć minut później usiedliśmy przy stoliku pod oknem w zatłoczonej kawiarni. Przez chwilę obaj spoglądaliśmy na samochody przejeżdżające ruchliwą Connecticut Avenue.

- Po co był ten nakaz rewizji? - zapytałem.

- Przecież chodzi o nasze akta. Ty je masz, a my chcielibyśmy je odzyskać. To wszystko.

- Nie znajdziecie ich, więc darujcie sobie kolejne przeszukania.

- Gdzie teraz mieszkasz?

Zaśmiałem się gardłowo, niemal na cały głos.

- Zazwyczaj po uzyskaniu nakazu rewizji występuje się o nakaz aresztowania.

Zamierzacie trzymać się tego schematu?

- Nie mam prawa cię o tym informować.

- Dzięki, przyjacielu.

- Posłuchaj, Michael. Może zacznijmy od tego, że postępujesz źle. Przywłaszczyłeś sobie cudzą własność, a taki czyn określa się mianem kradzieży. W ten sposób stałeś się wrogiem firmy, w której ja ciągle pracuję. Nadal jestem twoim przyjacielem, ale nie powinieneś oczekiwać ode mnie pomocy w sprawach, które mogą źle się przysłużyć kancelarii. To ty spowodowałeś całe to zamieszanie, a nie ja.

- Braden Chance ukrywa pewne fakty. Ten obłudny arogancki łobuz podjął bezprawne działania i teraz próbuje je zatuszować. Bardzo mu zależy na tym, aby nikt z firmy nie poznał prawdziwego powodu zaginięcia akt, bo w ten sposób może łatwiej napuszczać ludzi przeciwko mnie. Ale dopiero ujawnienie niektórych dokumentów mogłoby przysporzyć firmie sporych kłopotów.

- I co z tego?

- Przyhamujcie trochę. Nie podejmujcie żadnych akcji w pośpiechu.

- Masz na myśli groźbę aresztowania?

- Owszem, to przede wszystkim. Od samego rana chodzę, oglądając się z lękiem za siebie. Mam tego dosyć.

- Nie trzeba było wykradać teczeki.

- Nie zamierzałem jej kraść, rozumiesz? Chciałem ją tylko pożyczyć, zrobić parę odbitek i odłożyć na miejsce. Los pokrzyżował mi plany.

- No cóż, w końcu przyznajesz, że ją masz.

- Owszem, lecz oficjalnie mogę temu zaprzeczyć.

- Próbujesz coś wygrać, Michaelu, ale to nie jest żadna gra. Sam sobie robisz krzywdę.

- Nic mi się nie stanie, jeśli przestaniecie naciskać. Potrzebuję tylko trochę czasu.

Zawrzyjmy rozejm na tydzień. Żadnych aresztowań i rewizji.

- W porządku. Co proponujesz w zamian?

- Nie będę występował przeciwko firmie na podstawie znajdujących się w tece

dokumentów.

Barry pokręcił głową i w zamyśleniu upił łyk kawy.

- Nie mam prawa zawierać z tobą żadnych porozumień. Jestem tylko zwykłym pracownikiem kancelarii.

- To Arthur wszystkim zawiaduje?

- Oczywiście.

- Zatem przekaz Arthurowi, że będę rozmawiał jedynie z tobą.

- Zbyt wiele oczekujesz, Michaelu. Zakładasz, że firma w ogóle chce z tobą pertraktować, a to nieprawda. Wszystkich bardzo poruszyła kradzież akt i twoja odmowa ich zwrotu. Nie możesz nikogo za to winić.

- Spróbuj przyciągnąć ich uwagę, Barry. Materiały z tej teczki to temat na pierwsze strony gazet. Gdy pojawią się krzykliwe nagłówki, w firmie zaroi się od natrętnych dziennikarzy. A jeśli zostaną aresztowani, zaniosę akta prosto do redakcji „The Washington Post”.

- Naprawdę straciłeś rozum.

- Możliwe. Z Chance'em współpracował aplikant nazwiskiem Hector Palma. Słyszałeś o nim?

- Nie.

- Zatem nie zostałeś wprowadzony w sprawę.

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

- Palma dokładnie zna zawartość teczki. Wczoraj się dowiedziałem, że już nie pracuje w firmie. Nie mam pojęcia, gdzie go ukryto, i bardzo bym chciał się tego dowiedzieć. Zapytaj Arthura.

- Chyba lepiej by było, gdybyś zwrócił akta, Michaelu. Nie wiem, co chcesz z nimi zrobić, ale na pewno nie będziesz mógł ich wykorzystać w sądzie.

Dopiłem kawę i wstałem z krzesła.

- Rozejm na tydzień - powtórzyłem. - I powiedz Arthurowi, żeby cię we wszystko wtajemniczył.

- Arthur nie przyjmuje poleceń od ciebie - warknął.

Wyszedłem w pośpiechu i dałem nura między tłum przechodniów. Prawie dobiegłem do Dupont Circle, chcąc zgubić śledzących mnie ewentualnie ludzi.

Według książki telefonicznej Palma mieszkał w dużym bloku w Bethesda. Nie spieszyło mi się, ponadto musiałem przemyśleć parę spraw, krążyłem więc wokół miasta po

zatłoczonej obwodnicy.

Dawałem sobie pięćdziesiąt procent szans na to, że nie zostanę aresztowany w ciągu tego tygodnia. Wiedziałem, że firma nie popuści, zakładając jednak, że Chance ukrył prawdę przed Arthurem i resztą zarządu spółki, mogłem na razie pogrywać ostro, mimo że dowody na popełnienie przeze mnie kradzieży były dostatecznie przekonujące, by natychmiast dało się uzyskać w prokuraturze nakaz aresztowania.

Napad zorganizowany przez Pana wstrząsnął kancelarią. Chance'a z pewnością wezwano na dywanik i przyciśnięto do muru, ale pod żadnym pozorem nie mógł się przyznać do podjęcia bezprawnych działań. Zatem nakłamał, mając widocznie nadzieję, że uda mu się jakoś spreparować dokumenty i zatuszować własne postęпки. W końcu ofiarami padła jedynie garstka bezdomnych biedaków.

Więc czemu tak szybko przeniesiono Hectora? Pieniądze nie stanowiły problemu, skoro Chance był współnikiem kancelarii. Ja na jego miejscu zaproponowałbym Palmie dużą łapówkę, grożąc jednocześnie, że jeśli pisnie choć słówko, natychmiast wyleci z pracy. Zadzwoiłbym też do kolegi z którejś filii, na przykład w Denver, i poprosił o przysługę, przyjęcie do swojego biura pewnego aplikanta. Nie powinno być z tym większych kłopotów.

Zatem należało zakładać, że Hector wciąż jest pracownikiem firmy, pewnie ze znacznie podniesioną pensją, i został jedynie ukryty przed wszystkimi zainteresowanymi.

A co z poligrafem? Czy była to zwykła pogroźka, którą posłużono się w rozgrywce z Hectorem i ze mną? Czy to możliwe, by Palma zgodził się na przesłuchanie i przeszedł je pomyślnie? Bardzo w to wątpiłem.

Chance potrzebował Hectora, by zamaskować swoje poczynania, a Hector potrzebował Chance'a, żeby nie znaleźć się na bruku. Jeśli rzeczywiście rozważano ewentualność użycia wykrywacza kłamstw, to właśnie Chance musiał jakoś wyperswadować członkom zarządu ten pomysł.

Dotarłem w końcu na osiedle, olbrzymie i rozrastające się błyskawicznie w kierunku północnym. Wzdłuż głównej ulicy ciągnęły się sklepiki, bary szybkiej obsługi, stacje benzynowe, wypożyczalnie kaset wideo - wszelkiego rodzaju punkty usługowe, ułatwiające życie w tej gigantycznej sypialni.

Zaparkowałem przed ogrodzonym kortem tenisowym i dalej poszedłem na piechotę. Realizowałem już ostatni punkt mojego programu na ten dzień, nie musiałem się donikąd spieszyć. Próbowałem opanować lęk przed gliniarzami czyhającymi z nakazem aresztowania i kajdankami. Staralem się też nie myśleć o warunkach panujących w areszcie.

Nie mogłem się jednak uwolnić od pewnego wspomnienia. Otóż przed paroma laty

jeden z pracowników kancelarii Drake'a i Sweeneya spędził piątkowy wieczór w barze w Georgetown, kiedy zaś wracał do swojego domu w Wirginii, został zatrzymany przez patrol drogowy. Zawieziono go na komisariat, a gdy odmówił wykonania próby na alkomacie, wylądował w celi. W areszcie panował ścisk, on zaś był tam jedynym białym, do tego w garniturze i porządnych butach, z drogim zegarkiem. Niechcący nadepnął któremuś z aresztantów na palec i w efekcie został brutalnie pobity. Spędził trzy miesiące w szpitalu, musiał się poddać paru operacjom plastycznym, zanim w końcu mogła się nim zaopiekować dalsza rodzina z Wilmington. Doznał jedynie wstrząsu mózgu, lecz zarząd firmy ocenił, że nie nadaje się już do pracy adwokackiej.

Znalazłem administrację osiedla, ale jej pomieszczenia były zamknięte. Poszedłem dalej między blokami, szukając kogoś, kto mógłby mi podać dokładny adres Palmy. Osiedle było strzeżone, na trawnikach przed budynkami wałały się dziecinne zabawki, stały trójkołowe rowerki. Za oknami, których nie zabezpieczały grube kraty, widziałem rodziny siedzące przy stołach lub oglądające telewizję. Na placach parkingowych przeważały auta średniej klasy, ale czyste, z wszystkimi lusterkami i kapslami na kołach.

Wreszcie zatrzymał mnie strażnik. Stwierdziwszy, iż z mojej strony mieszkańcom nic nie zagraża, chętnie wskazał drogę do osiedlowego biura, odległego co najmniej o pół kilometra.

- Ile macie tu mieszkań? - spytałem z ciekawości.

- Mnóstwo - rzucił, dając do zrozumienia, że jego to nie obchodzi.

W biurze zastałem dorabiającego na nocnej zmianie studenta, który z kanapką w dłoni śledził nad podręcznikiem fizyki, kątem oka obserwując jednocześnie na ekranie przenośnego telewizora transmisję meczu koszykówki. Kiedy zapytałem o adres Hectora Palmy, szybko odwrócił się do komputera i po chwili rzucił z pełnymi ustami:

- G-134. Ale właśnie się wyprowadził.

- Tak, wiem. Pracowaliśmy razem. W piątek urządził przyjęcie pożegnania. Szukam mieszkania i byłem ciekaw, czy nie mógłbym zająć lokalu po nim.

Pokręcił energicznie głową, zanim jeszcze dokończyłem zdanie.

- Podania rozpatrywane są tylko w soboty. Na osiedlu jest dziewięćset mieszkań, ale mamy długą kolejkę oczekujących.

- Niestety, wyjeżdżam w sobotę.

- Przykro mi - mruknął, odwracając się z powrotem do telewizora.

Wyciągnąłem portfel.

- Ile tam jest sypialni?

Znów zerknął na monitor.

- Dwie.

Hector mieszkał z żoną i czwórką dzieci. Nie wątpiłem, że teraz dostał większe mieszkanie.

- A ile wynosi czynsz?

- Siedemset pięćdziesiąt.

Wyjąłem banknot studolarowy, który natychmiast przykuł jego uwagę.

- Zrobmy tak. Pan mi wypożyczy klucze, a ja oddam je za dziesięć minut po obejrzeniu mieszkania. Nikt się o niczym nie dowie.

- Naprawdę mamy listę oczekujących - mruknął, odkładając kanapkę na talerzyk.

- Ta lista jest w komputerze? - spytałem, wskazując monitor.

- Owszem. - Wytał usta serwetką.

- Więc łatwo byłoby dodać do niej jedno nazwisko.

Szybko znalazł w szufladzie klucze i wyrwał mi banknot.

- Dziesięć minut - rzekł z naciskiem.

Mieszkanie znajdowało się w pobliskim trzypiętrowym budynku, na parterze. Klucze pasowały do drzwi, lecz za ledwie je uchyliłem, uderzył mnie ostry zapach świeżej farby. Nie zakończono jeszcze odnawiania, pośrodku salonu stała drabina, wiadra i pędzle, obok leżały robocze ubrania.

Nawet cała brygada śledcza nie znalazłaby tu już ani jednego odcisku palca Hectora Palmy. Szafy wnękowe i bieliźniarki świeciły pustkami, zerwano tapety i wykładziny podłogowe. W łazience zdemontowano nawet kabinę prysznicową i sedes. Nie było śladu po pajęczynach, kurzu czy choćby okruchach pod zlewem w kuchni. Nie miałem tu czego szukać.

Wróciłem do biura i rzuciłem klucze na biurko.

- I jak? - zapytał student.

- Za małe - odparłem. - Ale dziękuję za pomoc.

- Mam zwrócić panu tę stówę?

- Studiujesz?

- Tak.

- To ją zatrzymaj.

- Dzięki.

Przy wyjściu odwróciłem się jeszcze i zapytałem:

- Czy Palma nie zostawił swojego nowego adresu?

- Przecież podobno razem pracowaliście - burknął.

- Zgadza się.

Pospiesznie wybiegłem na ulicę.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy w środę rano przyjechałem do ośrodka, na schodach przed drzwiami ujrzałem jakąś kobietę. Dochodziła ósma, biuro było jeszcze zamknięte, temperatura wynosiła kilka stopni poniżej zera. W pierwszej chwili pomyślałem, że spędziła tu całą noc, szukając pod drzwiami ośrodka osłony przed mroźnym wiatrem. Ledwie jednak wysiadłem i ruszyłem w tamtą stronę, poderwała się szybko na nogi i z daleka zawołała:

- Dzień dobry!

- Dzień dobry - odpowiedziałem z uśmiechem i wyjąłem klucze.

- Pan jest adwokatem?

- Tak, zgadza się.

- Dla takich jak ja?

Na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że jest bezdomna, zatem muszę ją zaliczyć do grona klientów.

- Oczywiście. Proszę do środka.

Otworzyłem drzwi.

W biurze było chyba jeszcze zimniej niż na ulicy. Podkręciłem kaloryfer, choć - jak zdążyłem się już przekonać - nic to nie dawało. Nastawiłem kawę. Znalazłem w kuchni kilka obeschniętych pączków, zabrałem więc talerzyk i poczęstowałem klientkę. Łapczywie zjadła jednego.

- Jak się pani nazywa? - zapytałem.

W oczekiwaniu na kawę i ewentualne zadziałanie kaloryferów usiedliśmy w sali ogólnej, obok stanowiska Sofii.

- Ruby.

- Ja mam na imię Michael. Gdzie mieszkasz, Ruby?

- Tu i ówdzie.

Miała na sobie szary sportowy dres, grube brązowe skarpety i mocno zabrudzone białe tenisówki. Wyglądała najwyżej na czterdzieści lat. Była chuda jak palec, trochę zezowała.

- No, śmiało - dodałem z uśmiechem. - Naprawdę muszę wiedzieć, gdzie mieszkasz. W przytułku?

- Sypiałam w schronisku, ale musiałam się wynieść. Mało mnie nie zgwałcili. Mam samochód.

Nie widziałem żadnego auta przed wejściem do biura.

- Samochód?

- Tak.

- I jeździsz nim?

- Skądże. Sypiam na tylnym siedzeniu.

Tym razem nawet nie chciało mi się robić notatek podczas rozmowy. Napełniłem kawą dwa duże papierowe kubeczki i zaprosiłem Ruby do mego gabinetu, gdzie na szczęście kaloryfer działał, radośnie bulgocząc. Zamknąłem drzwi od korytarza. Za parę minut powinien się zjawić Mordecai, który ani trochę nie dbał o zachowanie ciszy.

Ruby lekko przysiadła na brzeжку składanego brązowego krzeselka, oparła łokcie na kolanach i zgarbiła się, niemal tuląc do siebie kubek z parującą kawą.

- Czym mogę ci służyć? - zapytałem, sięgając po notatnik.

- Chodzi o mojego syna, Terrence'a. Ma szesnaście lat. Zabrali mi go.

- Kto zabrał?

- Władze. Opieka społeczna.

- I gdzie on teraz jest?

- Gdzieś go trzymają.

Odpowiadała nerwowo, krótkimi zdaniem, jakby z lękiem wyczekując każdego następnego pytania.

- Spróbuj się uspokoić i opowiedz mi coś więcej o chłopaku - zaproponowałem.

Zdobyła się na odwagę. Ze wzrokiem wbitym w podłogę i dłońmi splecionymi wokół kubeczka przystąpiła do urywanej relacji. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to się zaczęło, ale kilka lat wcześniej, gdy Terrence miał około dziesięciu lat i mieszkali w niewielkim wynajmowanym pokoiku, aresztowano ją za handel narkotykami. Na cztery miesiące poszła do więzienia, syn pozostał pod opieką jej siostry. Po wyjściu na wolność zabrała Terrence'a i zaczęła się z nim tłuc po ulicach. Sypiali w porzuconych samochodach, w domach przeznaczonych do rozbiórki, w ciepłe dni pod mostami, zimą w różnych przytułkach. Jakimś cudem chłopaka nie wyrzucono ze szkoły. Ruby żebrała na chodnikach, sprzedawała się mężczyznom, trochę handlowała kokainą. Chciała uczynić wszystko, byle tylko zapewnić synowi w miarę przyzwoite ubranie, jakieś zeszyty, coś do zjedzenia.

Sama była jednak uzależniona i nie potrafiła się uwolnić od nałogu. Zaszła w ciążę i urodziła drugie dziecko, ale szybko odebrano jej prawa macierzyńskie i niemowlę odesłano do sierocińca.

Nie walczyła o nie, miała jeszcze Terrence'a. Ale i o niego zaczęła rozpytywać opiekę

społeczna. Ruby musiała przez jakiś czas ukrywać się z dzieckiem. Wreszcie, w przypiływie desperacji, zapukała do drzwi Rowlandów, starszego małżeństwa, u którego kiedyś pracowała jako pomoc domowa. Ich dzieci już wyrosły i wyprowadziły się z małego przytulnego domku niedaleko Uniwersytetu Howarda. Zaproponowała, że będzie płaciła pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, jeśli tylko zgodzą się przygarnąć chłopaka. Pamiętała o niewielkim pokoju gościnnym na tyłach, nad werandą, który w sam raz nadawałby się dla Terrence'a. Rowlandowie, nie bez wahania, przystali na tę propozycję. Uzgodnili, że Ruby będzie mogła spędzać z synem godzinę każdego wieczoru. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Terrence, czyściutki i zadbany, zaczął zbierać coraz lepsze oceny w szkole. Matka promieniała z dumy.

Wiele też zmieniło się w jej życiu. Odwiedzała teraz inne przytułki i stołówki dla bezdomnych, sypiała w innych parkach i porzuconych samochodach, starając się pozostawać jak najbliżej domu Rowlandów. Sumiennie zbierała także pieniądze na opiekę nad synem, ani razu nie opuściła umówionej wizyty.

Kres temu położyły kolejne aresztowania, najpierw za prostytutkę, później za spanie na ławce w parku Farragut. Nie umiała sobie przypomnieć, czy na tych dwóch się skończyło.

Raz wylądowała nawet w szpitalu miejskim, kiedy znaleziono ją na ulicy nieprzytomną. Została umieszczona w zamkniętym ośrodku odwykowym, ale już po trzech dniach stamtąd uciekła, stęskniona za synem.

Któregoś wieczoru podczas rozmowy w pokoiku nad werandą Terrence popatrzył na jej brzuch i zapytał z pogardą, czy znowu jest w ciąży. Odpowiedziała, że chyba tak. Koniecznie chciał wiedzieć, kto jest ojcem, ale na to Ruby nie potrafiła odpowiedzieć. Zaczął ją przeklinać i krzyżeć tak przeraźliwie, że Rowlandowie poprosili, aby stamtąd wyszła.

Do czasu porodu w ogóle przestał się do niej odzywać. Czuli się upokorzona - nie dość, że musiała sypiać w samochodach i zebrać o pieniądze, to podczas godzinnych spotkań z synem mogła jedynie siedzieć w kąciu i obserwować w milczeniu, jak odrabia lekcje.

W tym miejscu swojej opowieści zaczęła płakać. Dałem jej trochę czasu, uzupełniając notatki. Starłem się nie zwracać uwagi, że Green jak wściekły biega po sali ogólnej i chyba szuka pretekstu do kłótni z Sofią.

Rok temu urodziła trzecie dziecko. Znow automatycznie odebrano jej prawa i noworodka umieszczono w sierocińcu. Ale dla niej liczyło się tylko to, że przez cztery dni pobytu w szpitalu nie mogła się widywać z Terrence'em. Błyskawicznie wróciła do poprzedniego trybu życia.

Tymczasem chłopak uzyskał w szkole wyróżnienie, był najlepszym uczniem w klasie z matematyki i hiszpańskiego, grał na trąbce w orkiestrze i należał do amatorskiego zespołu

dramatycznego. Marzył o studiach w akademii marynarki wojennej, gdyż pan Rowland służył kiedyś na morzu.

Któregoś dnia Ruby przysłała na spotkanie pod silnym wpływem narkotyków. Już od progu pani Rowland wszczęła awanturę, padły ostre słowa, później ultimatum. Nawet chłopak obrócił się przeciwko Ruby. Zagrożono, że jeśli nie podda się kuracji, nie zostanie więcej wpuszczona do domu. Kiedy zaś oznajmiła, że zabierze syna i nigdy się już nie pojawi, Terrence odparł, iż z nią nie pójdzie.

Następnego dnia czekał na nią inspektor z opieki społecznej, dokumenty były przygotowane. Już wcześniej ktoś musiał załatwić sprawę w sądzie, gdyż prawomocnym wyrokiem przekazywano chłopaka pod opiekę rodziny zastępczej, czyli Rowlandów. Mieszkał z nimi już od trzech lat. Jej natomiast zabraniano odwiedzin do czasu, aż przejdzie kurację odwykową i przedstawi zaświadczenie, że przez dwa miesiące nie brała żadnych narkotyków.

Od tamtej pory minęły trzy tygodnie.

- Muszę się zobaczyć z synem - szepnęła. - Strasznie za nim tęsknię.

- Jesteś na kuracji? - zapytałem.

Zamknęła oczy i wolno pokręciła głową.

- Dlaczego?

- Nie wytrzymałam.

Nie miałem pojęcia, jak umieścić bezdomną narkomankę w zamkniętym ośrodku odwykowym, ale z pewnością odpowiednie ścieżki zostały już przetarte. Wyobraziłem sobie Terrence'a siedzącego w pokoju nad werandą, dobrze odżywionego, elegancko ubranego, bezpiecznego, czystego i wolnego od narkotyków, odrabiającego prace domowe pod czujnym okiem państwa Rowlandów, którzy zdążyli go pokochać nie mniej niż rodzona matka. Zapewne siedział teraz przy stole w jadalni i na użytek Rowlanda, specjalnie dla chłopaka rezygnującego z lektury porannej gazety, przy śniadaniu recytował wyuczone ostatnio hiszpańskie słówka.

Terrence miał normalne, ustabilizowane życie, w przeciwieństwie do mojej klientki, która przeżywała piekło.

I gorąco pragnęła, bym jej dopomógł odzyskać syna.

- To zajmie trochę czasu - mruknąłem, nie wiedząc nawet, od czego zacząć. Podejrzywałem, że skoro w Waszyngtonie aż pięćset rodzin czeka na pokój w przytułku, jeszcze trudniej jest znaleźć miejsce dla bezdomnej narkomanki. - Będiesz mogła się zobaczyć z Terrence'em dopiero wtedy, gdy przejdiesz kurację.

Nie odpowiedziała. Otarła dłonią łzę spływającą po twarzy.

Uderzyło mnie, jak mało wiem o narkomanii. Byłem ciekaw, skąd brała narkotyki, ile na nie wydawała, jakie przyjmowała dawki dzienne, ile czasu mogło zająć wyrwanie jej z uzależnienia i później całkowite wyleczenie. Czy miała w ogóle szanse na uwolnienie się z nałogu, pogłębiającego się ciągle od dziesięciu lat?

Zainteresowało mnie też, co opieka społeczna robi z noworodkami, których matkom odbierano prawa rodzicielskie z powodu narkomanii.

Ruby nie miała żadnych dokumentów, stałego adresu - niczego oprócz tej łamiącej serce opowieści. Sprawiała wrażenie tak uszczęśliwionej możliwością przebywania w ogrzewanym pomieszczeniu, że aż zacząłem się zastanawiać, jak ją wyprosić. Już dawno wypiliśmy kawę.

Przenikliwy głos Sofii przywołał mnie do rzeczywistości. W głównej sali wszczął się jakiś harmider. Kiedy biegłem w stronę drzwi, przyszło mi na myśl, że i do tego ośrodka wtargnęli uzbrojeni terroryści.

Rzeczywiście mieliśmy uzbrojonych gości: wrócił porucznik Gasko. Trzech umundurowanych gliniarzy stało murem przed Sofią, która wrzeszczała na nich ile tchu w piersiach, ale na próżno. Dwóch następnych, w dżinsach i bluzach dresowych, czekało przy drzwiach. Jednocześnie ze mną na korytarz wyszedł Mordecai.

- Cześć, Mikey! - zawołał do mnie Gasko.

- Co tu się dzieje, do cholery?! - huknął Green, aż ściany się zatrzęsły. Jeden z mundurowych położył dłoń na kaburze.

Gasko stanął przed Mordecaim.

- Oto nakaz rewizji - rzekł, rozkładając papier i podtykając go szefowi pod nos. - Czy pan nazywa się Green?

- Tak. - Mordecai zaczął uważnie czytać nakaz.

- Czego tu szukacie?! - krzyknąłem na Gasko.

- Tego samego - odparł. - Oddaj nam akta, a zaraz się wyniesiemy.

- Tu ich nie ma.

- Jakie znowu akta? - spytał zdziwiony Green, unosząc głowę znad nakazu.

- Dotyczące eksmisji - wyjaśniłem szybko.

- Jakoś nie dostałem pańskiego pozwu - rzekł z uśmiechem Gasko. Wcześniej rozpoznałem w dwóch mundurowych Lilly'ego i Blowera. - Teraz nie dam się zastraszyć czcza gadaniną.

- Wynocha stąd! - wrzasnęła Sofia na Blowera, zbliżając się o krok.

Porucznik rzeczywiście był tym razem w bardziej bojowym nastroju. Odwrócił się i

warknął:

- Proszę posłuchać, paniusiu! Możemy załatwić sprawę na dwa sposoby. Albo posadzi pani swój tyłek z powrotem na krześle i zamknie buzię, albo zakujemy panią w kajdanki i wsadzimy na dwie godziny do wozu patrolowego.

Trzeci gliniarz ruszył powoli korytarzem, ciekawie zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Wyczułem, że Ruby stanęła tuż za mną.

- Uspokój się - rzekł Mordecai do Sofii. - Wszyscy powinniśmy zachować spokój.

- Co jest na górze? - Gasko zwrócił się do mnie.

- Archiwum - odparł Green.

- Wasze?

- Tak.

- Powtarzam, że tu ich nie ma. Traciecie tylko czas.

- Tak czy inaczej musimy go poświęcić.

Otworzyły się drzwi od ulicy i do środka zajrzał kolejny klient. Przerażonym wzrokiem obrzucił całą salę ogólną, zatrzymując spojrzenie na trzech umundurowanych gliniarzach.

Po chwili odwrócił się na pięcie i zniknął.

Poprosiłem Ruby, aby też wyszła, po czym wciągnąłem Greena do jego gabinetu i zamknąłem drzwi.

- Gdzie są te akta? - zapytał półgłosem.

- Tu ich nie ma, przysięgam. To zwykle najście.

- Nakaz rewizji wygląda na prawomocny. Skoro doszło do kradzieży, naturalną kolejną rzeczą policja zakłada, że zaginionych akt należy szukać u adwokata, który je skradł.

Gorączkowo usiłowałem sformułować w myślach jakąś błyskotliwą odpowiedź, umożliwiającą pozbycie się natrętnych gliniarzy z biura. Ale w głowie miałem pustkę. Zrobiło mi się cholernie głupio, że przeze mnie będą musieli cierpieć pozostali pracownicy ośrodka.

- Skopiowałeś dokumenty z teczki? - zapytał Green.

- Tak.

- I nie wziąłeś pod uwagę możliwości zwrócenia oryginału?

- Nie mogę tego zrobić, bo jednocześnie przyznałbym się do winy. A firma nie ma żadnych dowodów na to, że zatrzymałem sobie całą teczkę. Zresztą nawet gdybym oddał oryginały, i tak byłoby dla wszystkich jasne, że zrobiłem odbitki.

Mordecai przytaknął ruchem głowy, drapiąc się po brodzie. Wyszliśmy na korytarz dokładnie w tym samym momencie, gdy Lilly potknął się i złapał za krawędź biurka sąsiadującego ze stanowiskiem Sofii, zwalając na podłogę lawinę teczek z papierami. Sofia

znów podniosła krzyk, więc i Gasko na nią nawrzeszczał. Atmosfera stawała się tak napięta, że w każdej chwili mogło dojść do rękoczynów.

Zamknąłem drzwi wejściowe na zasuwkę, żeby widok buszujących policjantów nie odstraszał następnych klientów.

- Zrobimy tak - oznajmił Mordecai do porucznika Gasko. Mundurowi nadal ciekawie rozglądali się dookoła, spieszno im było do roboty. W końcu przeszukiwanie biur adwokackich to nie to samo co wyganianie pijaczków z jakiejś spelunki. - Tych akt tutaj nie ma - ciągnął Green - ręczę za to własnym słowem. Możecie oglądać wszystkie teczki, ale nie wolno wam ich otwierać. Byłoby to naruszenie tajemnicy służbowej. Zgoda?

Gliniarze popatrzyli na Gasko, który tylko od niechcienia wzruszył ramionami.

Zaczęli od mojego gabinetu. Cała sześciuosobowa ekipa stłoczyła się wraz ze mną i Mordecaiem w niewielkim pokoiku, aż trudno było nie trącać się łokciami. Wyciągałem kolejno szuflady biurka, mocując się z każdą.

- Ładny gabinet - podsumował szeptem stojący nade mną Gasko.

Później zdejmowałem po kolei teczki z regału, podtykałem je porucznikowi pod nos i odstawiałem na miejsce. Urzędowałem tu za ledwie od poniedziałku, nie zdążyłem więc zgromadzić większej ilości papierów.

Po paru minutach Mordecai wrócił do sali ogólnej, chwilę później usłyszałem, że rozmawia przez telefon. Kiedy wreszcie Gasko uznał, że mój pokój został właściwie przeszukany, i wyszliśmy wszyscy na korytarz, Green mówił właśnie do słuchawki:

- Tak, panie sędzio. Bardzo dziękuję. Właśnie tu idzie.

Wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i wyciągając słuchawkę w kierunku porucznika, rzekł:

- Sędzia Kisner chce z panem rozmawiać. To ten dżentelmen, który podpisał nakaz rewizji.

Gasko wziął od niego słuchawkę z taką miną, jakby miał do czynienia z trędowatym. Trzymając ją dobry centymetr od twarzy, rzucił głośno:

- Słucham, Gasko.

Mordecai zwrócił się do reszty ekipy:

- Panowie, możecie jeszcze przeszukać tę salę ogólną i nic poza tym. Nie wolno wam zaglądać do pozostałych gabinetów. Tak zadecydował sędzia.

- Rozumiem, panie sędzio - mruknął Gasko i szybko odłożył słuchawkę.

Przez następną godzinę chodziliśmy krok w krok za gliniarzami, od jednego biurka do drugiego. Chyba już po paru minutach zrozumieli, że rewizja nie przyniesie żadnego rezultatu,

starali się więc wypełniać swoje zadanie najwolniej, jak to możliwe. Na każdym biurku leżały stosy teczek, do których nikt od lat nie zaglądał, a prawnicze czasopisma i podręczniki na regale były jeszcze starsze. Pokrywała je gruba warstwa kurzu, wyłaziły spomiędzy nich przestraszone pająki.

Wszystkie te czki z aktami miały naklejki, na nich odręcznie lub maszynowo wypisano nazwiska klientów i numery spraw. Mundurowi zaczęli spisywać tytuły, które Gasko i dwaj ubrani po cywilnemu policjanci odczytywali na głos. Było to katorżnicze i całkowicie bezowocne zajęcie.

Wreszcie pozostało jedynie biurko Sofii, ta jednak ani myślała dopuścić do niego gliniarzy. Zaczęła sama odczytywać na głos tytuły poszczególnych teczek, przeliterowując nawet najprostsze nazwiska, takie jak Jones, Smith czy Williams. Policjanci trzymali się od niej na dystans. Później musiała wysunąć każdą szufladę na tyle, aby Gasko mógł swobodnie do niej zajrzeć. Na szczęście nie protestował, kiedy oznajmiła, że w najniższej są tylko rzeczy osobiste, których z pewnością nie zamierza oglądać. Byłem przekonany, że znalazłby się tam również rewolwer.

W końcu wyszli bez jednego słowa pożegnania. Serdecznie przeprosiłem Sofię i Mordecaia za najście policji i wycofałem się w zacisze mojego gabinetu.

ROZDZIAŁ 23

Jako piąty na liście eksmitowanych figurował Kelvin Lam, a to nazwisko nie było Greenowi obce. W którejś rozmowie ze mną oszacował liczbę bezdomnych w Waszyngtonie na dziesięć tysięcy, a ponieważ teczek w ośrodku było mniej więcej tyle samo, podejrzewałem, iż każde nazwisko powinno budzić w nim jakieś skojarzenia.

Usiadł przy telefonie i zaczął uruchamiać swoje kontakty, obdzwaniając stołówki, schroniska, parafie, komisariaty policji i podobnych mu prawników działających na rzecz biedoty.

Już po zmroku pojechaliśmy do śródmieścia i stanęliśmy przed starym kościołem, dziwnie zagubionym pośród reprezentacyjnych biurowców i drogich hoteli. W olbrzymiej sali na najniższym piętrze podziemi wydawała darmowe obiady organizacja Pięć Chlebów. W kilku rzędach stały tu składane stoliki, przy wszystkich siedzieli ludzie pochłonięci jedzeniem lub rozmową. Nie była to typowa kuchnia, nie serwowano tu zupy. Na talerzach leżała pieczona kukurydza, ziemniaki, kawałki mięsa z kurczaka lub indyka, zielona surówka, chleb. Nie jadłem obiadu i dolatujące z kuchni zapachy uświadomiły mi, że jestem głodny.

- Dawno tu nie byłem - rzekł Mordecai od wejścia, obrzucając przestronną salę uważnym spojrzeniem. - Wydają trzysta posiłków dziennie. Czy to nie wspaniałe?

- Skąd pochodzi ta żywność?

- Z centralnej rozdzielni w piwnicach CCNV. Stowarzyszenie opracowało zdumiewający system zbierania żywności z różnych restauracji. Nie gromadzą żadnych odpadków, jedynie przygotowane półprodukty, które zepsułyby się do następnego dnia. Kupili kilka półciężarówek chłodni, te jeżdżą wieczorem po mieście, a w kuchni stowarzyszenia w ciągu nocy przygotowują obiady i zamrażają. Ponad tysiąc porcji dziennie.

- Jedzenie wygląda bardzo apetycznie.

- Jest wyśmienite.

Podeszła do nas młoda kobieta o imieniu Liza. Od niedawna prowadziła stołówkę organizacji Pięć Chlebów, Mordecai świetnie znał jej poprzednika. Wywiązała się krótka rozmowa, w trakcie której miałem okazję przyjrzeć się zgromadzonym tu ludziom.

Moją uwagę przykuło to, czego wcześniej nie dostrzegłem. Istniały odmienne warstwy „bezdomności”, biedacy pochodzili z różnych szczebli drabiny socjoekonomicznej. Przy jednym stoliku sześciu mężczyzn dyskutowało z ożywieniem na temat meczu koszykówki

transmitowanego wcześniej w telewizji. Byli stosunkowo dobrze ubrani, jeden z nich jadł nawet w rękawiczkach. Gdyby nie to otoczenie, można by ich potraktować jak gromadkę robotników spędzających po pracy czas w barze.

Za nimi, przy następnym stoliku, siedział samotny, zgarbiony człowiek w wielkich ciemnych okularach. Porcję kurczaka trzymał mocno w garści. Na nogach miał wysokie gumki, podobne do tych, w jakich Pan wdarł się do naszej kancelarii. Był w zimowym płaszczu, bardzo brudnym i bardzo zniszczonym. Trwożliwie zerkał na boki w czasie jedzenia. Życie musiało się z nim obejść o wiele ostrzej, niż z mężczyznami dyskutującymi po sąsiedzku. Tamci z pewnością mieli dostęp do ciepłej wody i mydła, on chyba nawet o tym nie myślał. Tamci sypiali w dobrym przytułku, on na parkowej ławce, wśród gołębi. Łączyło ich tylko to, że byli bezdomni.

Liza nie знаła Kelvina Lama, obiecała jednak o niego rozpytać. Zostaliśmy przy drzwiach, obserwując, jak lawiruje między stolikami i zamienia po parę słów z różnymi ludźmi. Powiedziała coś ostrzej do starszej kobiety, wskazując jej kosz na śmieci, potem usiadła między dwoma mężczyznami, z których żaden nie miał śmiałości spojrzeć jej w oczy podczas krótkiej wymiany zdań. Przeniosła się do następnego stolika, potem do kolejnego.

Ku memu zaskoczeniu podszedł do nas młody adwokat, pracownik jakiejś dużej kancelarii, współdziałający z Waszyngtońskim Pogotowiem Prawniczym dla Bezdomnych. Znał Mordecaia z działalności charytatywnej. Przez kilka minut toczyła się rozmowa o różnych zagadnieniach prawnych, wreszcie tamten odszedł, gdyż zaczynała się pora jego trzygodzinnego dyżuru porad prawnych.

- Pogotowie ma do dyspozycji stu pięćdziesięciu udzielających się społecznie prawników - rzekł Green.

- Aż tylu?

- I tak jest ich za mało. Rozmyślałem właśnie nad sposobami ożywienia naszego programu werbowania ochotników. Nie chciałbyś się tym zająć? Abrahamowi bardzo się spodobał ten pomysł.

Miło mi było słyszeć, że Mordecai i Abraham, a bez wątpienia także Sofia, dbają o to, bym się nie nudził.

- Trzeba by poszerzyć bazę naszej działalności - ciągnął po chwili - rozreklamować ośrodek w tutejszej społeczności prawniczej. Może jednocześnie udałoby się zwiększyć nasze fundusze.

- Czemu nie - odparłem bez przekonania.

Wróciła Liza.

- Kelvin Lam siedzi w głębi sali - powiedziała, wskazując kierunek ruchem głowy - przy drugim stoliku od końca. To ten w czapeczce baseballowej ze znaczkiem drużyny „Redskins”.

- Rozmawiałś z nim? - zapytał Green.

- Tak. Nie jest pijany, sprawia wrażenie rozgarniętego. Nocuje obecnie w CCNV, pracuje na pół etatu przy wywózce śmieci.

- Moglibyśmy skorzystać z jakiegoś pokoju, żeby porozmawiać z nim na osobności?

- Jasne.

- Proszę mu powiedzieć, że chce się z nim spotkać obrońca ulicy.

Lam nie przywitał się nawet, tylko bez słowa wszedł do środka i usiadł na krześle przed stołem, za którym siedział Mordecai. Ja zająłem posterunek w kącie pokoju. Obrzucił mnie takim spojrzeniem, że ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- Nie musisz się niczego obawiać - zaczął Green łagodnym tonem. - Chcemy ci tylko zadać kilka pytań, nic więcej.

Lam nawet nie mrugnął. Już po jego ubraniu mogłem rozpoznać mieszkańca przytułku. Dżinsy, bluza dresowa, adidas i wełniana kurtka znacznie odróżniały go od ubierających się pstrokato ludzi, spijających w parkach i pod mostami.

- Czy znasz Lontae Burton? - zapytał Mordecai, który wziął na siebie rolę przesłuchującego.

Lam przecząco pokręcił głową.

- A DeVona Hardy'ego?

Odpowiedzią był taki sam gest.

- Czy miesiąc temu mieszkałeś w porzuconym magazynie?

- Tak.

- Przy skrzyżowaniu New York i Florida Avenue?

- Zgadza się.

- Płaciłeś czynsz?

- Tak.

- Sto dolarów miesięcznie?

- Tak.

- Tillmanowi Gantry'emu?

Zmarszczył brwi i milczał przez chwilę.

- Nie znam takiego.

- Do kogo należał ten magazyn?
- Czynnysz zbierał jakiś osiłek o imieniu Johnny.
- Dla kogo pracował?
- Nie wiem. Nie interesowało mnie to. Nie pytałem.
- Jak długo tam mieszkałeś?
- Ze cztery miesiące.
- Dlaczego się wyniosłeś?
- Była eksmisja.
- Kto ją przeprowadził?
- Nie wiem. Któregoś dnia pojawiły się gliny z jakimiś drabami. Kazali nam się zbierać i wynosić na ulicę. Później buldożery zrównały magazyn z ziemią.
- Czy wyjaśniałeś policji, że jesteś lokatorem i płacisz czynsz?
- Mnóstwo ludzi to powtarzało. Jedna kobieta z małymi dziećmi rzuciła się nawet z pięściami na gliniarzy, ale i to nie pomogło. Ja tam nigdy nie stawiam oporu. Mam przechlapane u glin, chłopie.
- Przed eksmisją dostaliście jakieś dokumenty?
- Nie.
- W ogóle was nie uprzedzono?
- Skądże! Po prostu przyjechali i wyrzucili.
- Nie dali wam nic na piśmie?
- Nie. Gliny stwierdziły, że jesteśmy dzikimi lokatorami i mamy się natychmiast wynosić.
- Wprowadziłeś się tam jesienią, mniej więcej w październiku?
- Jakoś tak.
- Gdzie się dowiedziałeś o tym miejscu?
- Nie pamiętam. Rozeszła się plotka, że wynajmują pokoje urządzone w starym magazynie. Miało być tanio. No to poszedłem i sprawdziłem. Robotnicy stawiali jeszcze ścianki, urządzali wnętrze. Był dach nad głową, toaleta niedaleko, woda w kranie. Co, miałem grymasić?
- I przyjąłeś warunki najmu?
- Zgadza się.
- Podpisywałeś umowę?
- Nie. Ten osiłek uprzedził, że kwatery są nielegalne, więc nie może być niczego na papierze. Gdyby ktoś pytał, mieliśmy odpowiadać, że wprowadziliśmy się samowolnie.

- I kazał sobie płacić w gotówce?
- Tylko w gotówce.
- Płaciłeś regularnie co miesiąc?
- Staralem się. Przychodził koło piętnastego i zbierał forszę.
- Zalegałeś z opłatami w chwili, kiedy doszło do eksmisji?
- Trochę.
- To znaczy ile?
- Za miesiąc.
- I z tego powodu zostałeś stamtąd wyrzucony?
- Nie wiem. Nikt nam niczego nie chciał wytłumaczyć. Po prostu zgarnęli wszystkich i
tyle.
- Znałeś innych lokatorów magazynu?
- Paru. Każdy pilnował własnych spraw. Pokoje miały solidne drzwi, zamykane na
zasuwkę.
- Wspomniałeś o jakiejś kobiecie, która rzuciła się z pięściami na policjantów. Znałeś
ją?
- Nie. Widziałem ją może ze dwa razy. Mieszkała w drugim końcu.
- W drugim końcu?
- Zgadza się. Na środku sali nie było rur z wodą, więc pokoje budowano po obu
końcach.
- Widziałeś jej drzwi, kiedy wychodziłeś ze swojego mieszkania?
- Nie. To był wielki magazyn.
- Jak duży lokal zajmowałeś?
- Składał się z dwóch pokoi. Nie mierzyłem ich.
- Była elektryczność?
- Tak, przeciągnęli kable. Mogliśmy słuchać radia i w ogóle. Mieliśmy też światło. W
każdym lokalu był zlew z kranem, tylko do wspólnej toalety trzeba było chodzić.
- A co z ogrzewaniem?
- Nie zrobili dodatkowego, trochę marziliśmy, ale nie tak, jak na ulicy.
- I byliście zadowoleni z tych mieszkań?
- Pewnie. To znaczy... za sto dolarów miesięcznie dało się tam żyć.
- Mówiłeś, że poznałeś kilku innych lokatorów. Jak się nazywali?
- Herman Harris i Shine, nazwiska nie pamiętam.
- Gdzie oni teraz są?

- Nie widziałem ich od tamtej pory.

- A ty gdzie zamieszkałeś?

- W CCNV.

Mordecai wyjął z kieszonki marynarki wizytówkę i wręczył ją Lamowi.

- Jak długo jeszcze tam będziesz?

- Nie wiem.

- Czy mógłbyś pozostać ze mną w kontakcie?

- Po co?

- Na wypadek gdybyś potrzebował pomocy prawnika. Tylko zostaw wiadomość, jeśli się będziesz przenoślił do innego schroniska.

Lam bez słowa schował wizytówkę. Podziękowaliśmy Lizie i pojechaliśmy z powrotem do ośrodka.

Mieliśmy do dyspozycji kilka sposobów wystąpienia z pozwem w imieniu klientów. Do grona pozwanych zaliczyliśmy na razie spółki RiverOaks, Drake i Sweeney oraz TAG - nie zanosilo się na to, że będzie ich więcej.

Pierwsza metoda skarżenia znana jest powszechnie jako zasadzka, drugą określa się mianem serwu i odbicia.

W pierwszej wystarczy zgromadzić zasadniczą część materiałów, sformułować wstępne oskarżenie, złożyć je w kancelarii sądu, a następnie poinformować o sprawie dziennikarzy, dając do zrozumienia, że ma się dowody na poparcie swoich racji. Zyskuje się przewagę przez zaskoczenie i można liczyć na życzliwość zbulwersowanej opinii publicznej.

Wadą owego trybu postępowania jest to, że przypomina skok z krawędzi skały, podczas gdy wcale nie jest pewne, że poniżej została rozciągnięta siatka zabezpieczająca.

W metodzie serwu i odbicia najpierw wysyła się do pozwanego list z identycznymi oskarżeniami, zawierający jedynie groźbę wystąpienia na drogę sądową, a więc będący zaproszeniem do dyskusji nad spornymi kwestiami. Rozpoczyna się wymiana korespondencji, w której każda ze stron próbuje wysondować stan wiedzy przeciwnika. Jeśli wina pozwanego rzeczywiście da się udowodnić, zazwyczaj dochodzi do potajemnej ugody i sprawa w ogóle nie trafia do sądu.

Obaj z Mordecaim woleliśmy metodę zasadzki z dwóch powodów. Firma chyba wcale nie zamierzała szukać dróg porozumienia ze mną. Dwa nakazy rewizji dowodziły niezbicie, że Arthur i reszta zarządu wydała sekcji procesowej polecenie ścigania mnie wszelkimi dostępnymi środkami. Ukoronowaniem tego miało być aresztowanie, o którym informacja

musiała być rozpowszechniona w prasie, żebym poczuł się upokorzony. Do tego czasu należało przygotować własny atak.

Druga przyczyna wiązała się z samym sednem sprawy. Hectora i ewentualnie innych świadków eksmisji nie wolno nam było niepokoić do czasu oficjalnego wniesienia skargi w sądzie. Ale w czasie gromadzenia materiałów, jaki rozpoczynał się po złożeniu pozwu, mielibyśmy prawo do zadawania pozwanym wszelkiego rodzaju pytań, oni zaś musieliby na nie odpowiadać pod przysięgą. Automatycznie zyskiwaliśmy też prawo powoływania na świadków dowolnie wybranych osób. Gdybyśmy zdołali odnaleźć Hectora Palmę, byłby zobowiązany do złożenia zeznań pod przysięgą. Także relacje innych eksmitowanych mieszkańców magazynu można by potraktować jako formalny materiał dowodowy.

Musielśmy zatem udowodnić to, o czym wszyscy wiedzieli, ale nie sposób było tego dokonać, nie mając określonego przepisami kodeksu prawa do zbierania zeznań.

Teoretycznie sprawa należała do prostych. Mieszkańcy magazynu regularnie płacili czynsz - w gotówce, bez żadnych dowodów wpłat - Tillmanowi Gantry'emu bądź innej osobie działającej na jego zlecenie. Właściciel posesji zyskał sposobność jej odsprzedania spółce RiverOaks, musiał się jednak szybko decydować, okłamał więc nabywcę w kwestii prawnego statusu ludzi mieszkających w magazynie. Kancelaria Drake'a i Sweeneya, obsługująca tę pilną transakcję, wysłała na wizję lokalną Hectora Palmę, ten zaś, wypędzony i pobity przy pierwszej próbie, wrócił na miejsce w obstawie strażników i dowiedział się wówczas, iż w rzeczywistości ludzie nie wprowadzili się do magazynu samowolnie, lecz zostali tam ulokowani. Doniósł o tym w notatce służbowej swemu przełożonemu, Bradenowi Chance'owi, który podjął tragiczną decyzję przemilczenia prawdy i dokonania eksmisji dzikich lokatorów. Stąd też ludzi potraktowano brutalnie i wyrzucono z budynku na ulicę bez pisemnego powiadomienia o konieczności zwolnienia zajmowanych przez nich lokali.

Gdyby przyjęto zgodny z prawem tryb postępowania, lokatorzy musieliby dostać co najmniej miesiąc na znalezienie sobie innych mieszkań, lecz nowi właściciele terenu nie mieli czasu do stracenia. Gdyby magazyn zburzono miesiąc później, nie byłoby już tak mroźnych nocy i obfitych opadów śniegu, a zatem rodzina spijająca w porzuconym samochodzie nie musiałaby się ogrzewać przy uruchomionym silniku.

Chodziło w końcu o mieszkańców ulicy, ludzi bez dokumentów, nie mających praw do zajmowanych lokali - wyrzutków społecznych, trudnych do odnalezienia.

Teoretycznie mieliśmy do czynienia z prostą sprawą. Musieliśmy się jednak liczyć z wieloma trudnościami. Najgorzej przedstawiała się konieczność powołania bezdomnych na świadków, zwłaszcza że mógł się do tego włączyć Gantry. To on rządził ulicą, a ja w żadnej

mierze nie chciałem wszczynać prawdziwej wojny.

Mordecai miał swoje kontakty, zaufanych ludzi, informatorów, ale nie dało się tego porównać z artylerią Gantry'ego. Spędziliśmy ponad godzinę na rozważaniu różnych sposobów pominięcia spółki TAG w naszym pozwie. Z oczywistych względów nazwisko poprzedniego właściciela magazynu automatycznie czyniło wystąpienie sądowe szczególnie groźnym. Można było je pominąć, zostawiając reszcie pozwanych, a więc spółkom RiverOaks oraz Drake i Sweeney kwestię ewentualnego zrzucenia części winy na Gantry'ego.

Ale według naszych przypuszczeń Gantry odegrał niepoślednią rolę w tym spisku, toteż usunięcie go z grona pozwanych oznaczałoby jeszcze większe kłopoty w trakcie rozprawy.

Najpierw musieliśmy odnaleźć Hectora, a następnie przekonać go, żeby udostępnił zaginioną notatkę lub szczegółowo zrelacjonował przebieg zdarzeń. O ile byłem optymistą co do pierwszej części zadania, o tyle nakłonienie Palmy do złożenia zeznań wcale nie wydawało mi się takie proste. Wiedziałem, że bardzo się boi stracić pracę. Mógł się znowu zasłonić żoną i czwórką dzieci.

Istniały też inne przeszkody na drodze do sformułowania oskarżenia, z których pierwsza miała charakter czysto proceduralny. Otóż nie było żadnych podstaw, aby występować z pozwem w imieniu Lontae Burton i jej czworga dzieci. Najpierw musielibyśmy zostać do tego najęci przez rodzinę denatki. A ponieważ matka Lontae i jej dwaj bracia siedzieli w więzieniu, natomiast ojciec lub ojcowie dzieci byli nieznani, Mordecai zaproponował, żeby wystąpić do sądu rodzinnego o przyznanie nam prawnej kurateli nad sprawami zmarłej. Ale w takim wypadku całkowicie pominęlibyśmy jej krewnych, należało się więc liczyć z tym, że w razie uzyskania jakiegoś odszkodowania popadniemy w kolejne kłopoty. Bezpiecznie można było założyć, że czworo dzieci Lontae pochodziło co najmniej od dwóch ojców, zatem wszystkich musielibyśmy uwzględnić przy ewentualnym podziale pieniędzy.

- O to będziemy się martwić później - orzekł Green. - Najpierw trzeba wygrać proces.

Przebywaliśmy w sali ogólnej, przy biurku sąsiadującym ze stanowiskiem Sofii, na którym stał przestarzały komputer. Ja siedziałem przy klawiaturze, Mordecai krążył nerwowo po pokoju i dyktował. Aż do północy poprawialiśmy tekst wystąpienia, spieraliśmy się na temat różnych teorii, omawialiśmy procedury, marząc o tym, że zdołamy zaciągnąć do sądu właścicieli spółki RiverOaks oraz kancelarii Drake'a i Sweeneya, a proces nabierze rozgłosu. Dla Greena była to szczególna okazja do skierowania uwagi opinii publicznej na sprawy bezdomnych. Ja pragnąłem jedynie naprawienia ludzkich krzywd.

ROZDZIAŁ 24

Ruby znów zapewniła mi towarzystwo przy kawie. Siedziała na schodkach, kiedy podjechałem kwadrans przed ósmą, i bardzo się ucieszyła na mój widok. Nie miałem pojęcia, jak można być tak radosnym po nocy spędzonej na tylnym siedzeniu porzuconego auta.

- Dzisiaj też będą pączki? - spytała, gdy zapalałem światła.

Niektóre rzeczy od razu wchodzą ludziom w krew.

- Nie wiem, zobaczymy. Usiądź, przygotuję kawę.

Poszedłem do kuchni. Najpierw wymyłem ekspres i nastawiłem go, później zacząłem szukać czegoś do jedzenia. Pączki, które wczoraj były zaledwie obeschnięte, dziś przypominały już kamienie, ale nie znalazłem niczego innego. Zanotowałem w pamięci, żeby jutro kupić świeże, na wypadek, gdyby Ruby zjawiała się trzeci dzień z rzędu. Coś mi podpowiadało, że to prawie pewne.

Zjadła jednego pączka, krzywiąc się trochę na jego konsystencję. Nie skomentowała tego jednak.

- Gdzie jadasz śniadania? - zapytałem.

- Zwykle nie jadam.

- A lunch i obiad?

- Na lunch chodzę do schroniska Naomi przy Dziesiątej, na obiad najczęściej do Misji Kalwaryjskiej przy Piętnastej.

- Czym się zajmujesz w ciągu dnia?

Znów siedziała tak samo zgarbiona i pochylona nad parującym kubeczkiem, spragniona nawet tej odrobiny ciepła, jaka była od gorącej kawy.

- Większość czasu spędzam w Naomi - odparła.

- Ile tam jest kobiet?

- Nie wiem. Mnóstwo. Dobrze się nimi zajmują, ale tylko w ciągu dnia.

- To schronisko dla bezdomnych kobiet?

- Tak, zgadza się. Czynne tylko do czwartej. Większość wraca potem do przytułków, niektóre śpią na ulicy. Ja mam swój samochód.

- Wiedzą tam, że się szprycujesz?

- Chyba tak. Wysyłali mnie na różne spotkania alkoholików i ludzi na prochach. Nie jestem jedyna. Mnóstwo kobiet tam bierze, chyba wiesz...

- Ostro się zaprawiłaś wczoraj wieczorem? - Aż ciarki mi przeszły po grzbiecie na

dźwięk własnych słów. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że odezwał się ktoś trzeci.

Ruby opuściła głowę jeszcze niżej i zacisnęła powieki.

- Powiedz mi prawdę - dodałem.

- Musiałam. Robię to każdego wieczoru.

Nie zamierzałem czynić jej wymówek. W końcu od wczoraj nie kiwnąłem nawet palcem, żeby pomóc tej kobiecie. Nagle poczułem się do tego zobligowany. Spieszyła się do schroniska. Zapytała, czy może wziąć drugiego pączka. Zawinałem go w folię aluminiową, położyłem na wierzchu kubka z kawą i dałem jej to na drogę.

Dla pracowników ratusza marzec zaczął się od wiecu na rzecz sprawiedliwości. Mordecai był jednym z głównych orędowników praw bezdomnych, toteż zostawił mnie w tłumie i ruszył w stronę mównicy.

Najpierw kościelny chór ubrany w bordowo-złote stroje ustawił się na stopniach przed gmachem i zaczął wykonywać pieśni religijne. Wokół nas kręciły się setki policjantów w luźnych formacjach, część ulic wokół siedziby władz została zablokowana barierkami.

Mieszkańcy CCNV, którzy obiecali wystawić tysięczną armię piechurów, zjawili się jedną zwartą gromadą. Olbrzymie wrażenie robiła nadciągająca wielka kolumna ludzi, którzy nie wstydzili się tego, że są bezdomni. Słysząc ich było z daleka, wykrzykiwane chóralnie hasła protestacyjne niosły się echem po całej dzielnicy. Kiedy czoło kolumny wyłoniło się zza rogu, kamery wszystkich ekip telewizyjnych nakierowano w tamtą stronę.

Bez przeszkód dotarli przed fronton ratusza i zaczęli wymachiwać transparentami. Większość stanowiły tablice sklecone z kawałków dykty, z odręcznie wykonanymi napisami w rodzaju: DOSYĆ ZABIJANIA; ZOSTAWCIE SCHRONISKA; MAMY PRAWO DO DACHU NAD GŁOWĄ; ŻĄDAMY PRACY. Tłum podchwycił pieśń wykonywaną przez chór, plansze zakołysały się nad głowami.

Przed barierką zatrzymała się kolumna autokarów, wysiadło z nich następnych parę setek ludzi. Nie byli to jednak bezdomni, lecz porządnie ubrani członkowie różnych parafii, w olbrzymiej większości starsze kobiety. Robiło się coraz bardziej tłoczno, staliśmy już ramię przy ramieniu. Nie znałem nikogo wokół siebie. Mordecai zniknął gdzieś na stopniach gmachu, Abraham i Sofia mieli przyjechać osobno, nie widziałem ich od rana. Zapowiadano od dłuższego czasu, że ów wiec, nazwany imieniem Lontae, będzie największym protestem bezdomnych w ostatnim dziesięcioleciu.

Wydrukowano plakaty z powiększoną fotografią tragicznie zmarłej samotnej matki; nad portretem, przeciętym w rogu czarnym żałobnym paskiem, widniało złowieszcze pytanie:

KTO ZABIŁ LONTAE? Arkusze zostały szybko rozprowdzone, ludzie z CCNV zaczęli je rozpinąć na swoich tablicach i wkrótce ponad tłumem zafalowały dziesiątki identycznych wizerunków.

Z oddali doleciał przybierający na sile dźwięk syreny policyjnej. Rozsunięto barierki i w policyjnej eskorcie w środek manifestacji, na wprost głównego wejścia ratusza, wjechał karawan. Otworzono tylne drzwi, czterech bezdomnych odgrywających rolę grabarzy wyciągnęło ze środka pomalowaną na czarno trumnę i uformowało czoło żałobnej procesji. Po chwili za nimi ustawili się następni demonstranci z czterema kolejnymi, znacznie mniejszymi trumienkami.

Tłum się rozstał, procesja ruszyła powoli ku drzwiom ratusza. Chór zaintonował tak wzruszające requiem, że łzy zakręciły mi się w oczach. Miałem wrażenie, że patrzę na autentyczny kondukt pogrzebowy, a w jednej z trumienek naprawdę spoczywają zwłoki Ontario.

Po przejściu procesji tłum zlewał się niczym nurt rzeki. Ludzie unosili dłonie, każdy chciał dotknąć trumien, toteż zaczęły się one groźnie kołysać na boki, sunąc bez przerwy ku stopniom schodów.

Ekipy reporterskie, zgromadzone głównie wokół mównicy, sumiennie rejestrowały każdy krok żałobnego konduktu. Nie ulegało wątpliwości, że w ciągu najbliższych dwóch dni zdjęcia obiegą wszystkie sieci telewizyjne.

Trumny ustawiono jak w kościele - tuż obok siebie, największą pośrodku - na prowizorycznym katafalku wzniesionym na stopniach, parę metrów od podium, na którym między innymi stał Green. Jeszcze przez jakiś czas je filmowano i fotografowano, wreszcie zaczęły się przemówienia.

Najpierw zabrał głos jakiś społecznik, który zaczął od podziękowań dla wszystkich osób i organizacji, które dopomogły w zorganizowaniu protestu. A lista była bardzo długa. Słuchałem mile zaskoczony, że jest aż tak dużo przytułków i schronisk, stołówek, misji, stowarzyszeń, ośrodków lecznictwa i porad prawnych, zrzeszeń parafialnych, central, grup opiekuńczych, programów szkolenia zawodowego i walki z nałogami. Padło również kilka nazwisk prominentnych polityków, z których każdy miał jakiś swój udział w tej manifestacji.

Skoro więc było tak wiele organizacji społecznych, to dlaczego w ogóle istniał jeszcze problem bezdomnych?

Odpowiedzi na to pytanie udzielił następny mówca. Przede wszystkim brak właściwych funduszy, cięcia budżetowe, nieczułość władz federalnych i obojętność urzędników miasta, niewystarczające współczucie ze strony klas posiadających, błyskawicznie kosztująco wymiar

sprawiedliwości. Tego typu określenia padały niemal bez końca.

Ten sam temat podejmowali kolejni mówcy. Wyłamał się tylko Green, który zabił wszystkim ówieka i błyskawicznie uciszył tłum swoją przejmującą relacją z ostatnich godzin życia rodziny Lontae Burton. Kiedy nawiązał do zmienianej przez nas pieluszki, zapewne ostatniej przed śmiercią małej Temeko, na placu było już cicho jak makiem zasiał. Nikt nawet nie zakasłał, umilkły wszelkie szepty. Patrzyłem na czarne trumienki takim wzrokiem, jakby w jednej z nich rzeczywiście spoczywały zwłoki maleństwa.

„Później matka zabrała dzieci ze schroniska - ciągnął Mordecai niskim, dźwięcznym, rezonującym głosem. - Wróciła na ulice, w szalejącą zamieć, gdzie miało upłynąć jeszcze kilka godzin jej życia”. Mówił z niezwykłym przekonaniem, chociaż nie wiedział dokładnie, co matka z dziećmi przez ten czas porabiała. Ani trochę nie poczułem się urażony, że popuścił nieco wodze fantazji. Najważniejsze było to, że manifestanci słuchali go jak urzeczeni.

Kiedy zaś doszedł do finalnej sceny, uruchomionego silnika samochodu i samotnej matki na tylnym siedzeniu, tulącej do siebie przemarznięte dzieci, wokół mnie rozległy się coraz głośniejsze szlochy kobiet.

Odpłynąłem myślami ku sali sądowej. Jeśli ten człowiek, obecnie mój szef i przyjaciel, potrafił z odległej o kilkadziesiąt metrów mównicy tak zaabsorbować wielotysięczny tłum, to jakie musiał wywierać wrażenie na dwunastu przysięgłych, oddzielonych od niego tylko niską barierką w przestronnej sali rozpraw?

Uderzyło mnie nagle, że sprawa Lontae Burton nigdy nie znajdzie swego epilogu w sądzie. Żaden zespół adwokacki nie dopuściłby do tego, aby Mordecai Green zyskał okazję do wygłoszenia oskarżycielskiej mowy przed sędziami przysięgłymi, w znacznej większości czarnymi i biednymi. Jeśli nasze podejrzenia były słuszne i znaleźlibyśmy sposób na ich udowodnienie, pozwani musieliby zrobić wszystko, by nie dopuścić do rozprawy.

Przemówienia trwały łącznie półtorej godziny, pod koniec manifestanci zaczęli przejawiać coraz większe zniecierpliwienie. Wreszcie chór znowu zaintonował pieśń, uniesiono trumny i procesja ruszyła na drugi koniec placu. Za grabarzami poszła grupa działaczy, a wśród nich Green, reszta szykowała się z wolna do marszu protestacyjnego. Ktoś wcisnął mi w rękę plakat ze zdjęciem Lontae, więc uniosłem go nad głowę i rozpostarłem, tak jak wielu innych.

Ludzie uprzywilejowani nie organizują manifestacji i marszów protestacyjnych; żyją w bezpiecznym i czystym świecie, strzeżonym przez prawa ułożone właśnie po to, by zapewnić im szczęście. Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w wiecach, bo mnie to po prostu nie interesowało. Przez pierwszych kilkaset metrów czułem się nieswojo, maszerując w tłumie nie

znanych mi ludzi i trzymając nad głową plakat ze zdjęciem dwudziestodwuletniej samotnej czarnej kobiety, która powiła na ulicy czworo nie znających ojca półsierot.

Szybko jednak zrozumiałem, że jestem zupełnie innym człowiekiem niż tydzień temu. Nie mógłbym już powrócić do wcześniejszego życia, nawet gdybym gorąco tego zapragnął. Moją przeszłością rządziła forsa, chęć posiadania i zdobycia właściwego statusu społecznego, czyli wartości, które teraz stały się dla mnie nieważne.

Ta myśl mnie uspokoiła, zacząłem czerpać radość z uczestnictwa w pochodzie. Wykrzyczałem kilka powtarzanych haseł, zakołysałem plakatem w rytm innych niesionych transparentów. Próbowałem nawet zgadywać słowa zupełnie obcych mi pieśni kościelnych. Skwapliwie gromadziłem wszelkie wrażenia z tego pierwszego masowego protestu, w jakim uczestniczyłem, przeczuwałem bowiem, że nie będzie on także ostatni.

Między rozstawionymi przez policję barierkami doszliśmy do wzgórza Kapitolu. Marsz był świetnie zorganizowany, a z powodu swoich rozmiarów przyciągał uwagę mieszkańców stolicy. I tutaj trumny ustawiono na stopniach przed frontonem gmachu. Tłum zgromadził się wokół nich, żeby wysłuchać kolejnych płomiennych przemówień działaczy społecznych, jak również dwóch kongresmanów.

Teksty zaczęły się jednak powtarzać, miałem ich dość. Manifestujący bezdomni nie mieli nic lepszego do roboty, na mnie zaś czekało aż trzydzieści jeden spraw, które zdążyłem otworzyć od poniedziałku. Trzydzieści jeden osób oczekiwało, że zdobędę dla nich bony żywnościowe czy zasiłki mieszkaniowe, wystąpię o rozwód, będę ich bronił wobec zarzutów popełnienia przestępstwa, wywalczę kwestionowane wynagrodzenia, oddalę nakazy eksmisji, pomogę znaleźć miejsce w ośrodkach odwykowych - krótko mówiąc, strzelę palcami i dokonam dla nich aktu sprawiedliwości. Jako adwokat antytrustowy rzadko mogłem poznać swoich klientów, teraz odmieniło się to diametralnie.

Przepchnąłem się przez tłum, w budce na pobliskim skrzyżowaniu kupiłem sobie najtańsze cygaro i poszedłem na krótki spacer waszyngtońskim deptakiem.

ROZDZIAŁ 25

Zapukałem do drzwi mieszkania sąsiadującego z lokalem Hectora Palmy. Ze środka doleciał kobiecy głos:

- Kto tam?

Starannie wszystko zaplanowałem, w czasie drogi do Bethesdy powtarzałem nawet na głos pytania i ewentualne odpowiedzi. Nie miałem jednak żadnego doświadczenia, nie wiedziałem, czy zdołam kogokolwiek przekonać.

- Nazywam się Bob Stevens - odpowiedziałem głośno. - Szukam Hectora Palmy.

- Kogo? - zapytała lokatorka przez drzwi.

- Hectora Palmy. Mieszkał po sąsiedzku.

- Czego pan chce?

- Jestem mu winien pieniądze, chciałbym oddać dług, nic więcej.

Wymyśliłem, że jeśli się przedstawię jako wierzyciel bądź urzędnik mający do spełnienia smutny obowiązek, ludzie będą mnie traktować wrogo. Dlatego wołałem udawać skruszonego dłużnika.

- Wyprowadził się - burknęła niechętnie.

- Wiem, że się wyprowadził. Nie ma pani pojęcia, gdzie mógłbym go znaleźć?

- Nie.

- Wyjechał z miasta?

- Nie wiem.

- A widziała pani, jak się wyprowadzał?

Odpowiedź na to pytanie musiała być twierdząca, w to nie wątpiłem. Ale kobieta już się nie odezwała, usłyszałem tylko oddalające się kroki. Przemknęło mi przez myśl, że może wezwać ochronę, lecz mimo to powtórzyłem pytanie i jeszcze raz zadzwoniłem. Nie było żadnej reakcji.

Przeszedłem więc pod drzwi po przeciwnej stronie mieszkania Palmy. Uchyliły się dopiero po drugim dzwonku, a i to jedynie na długość grubego łańcucha. Mężczyzna w moim wieku, z ustami wymazanymi majonezem, łypnął na mnie podejrzliwie.

- Czego pan chce?

Powtórzyłem swoją historyjkę. Wysłuchał uważnie, mimo że z salonu dolatywały krzyki dzieci, których nie mógł zagłuszyć nawet ryczący telewizor. Było już po dwudziestej,

zapadł mroźny wieczór, a ja przeszkadzałem mu w kolacji. Nie okazał jednak wrogości.

- W ogóle go nie znałem - odparł.
- A jego żony?
- Też nie. Dużo podróżuję, nie ma mnie całymi tygodniami.
- To może pańska żona знаła sąsiadów?
- Wykluczone - odparł podejrzanie szybko.
- Nikt z państwa nie widział, jak się wyprowadzali?
- Nie było nas w domu przez cały weekend.
- I nie ma pan pojęcia, dokąd się wynieśli?
- Nie.

Podziękowałem mu i odwróciłem się, by stanąć oko w oko z potężnie zbudowanym strażnikiem w mundurze, który ścisnął w garści pałkę i rytmicznie uderzał nią o otwartą lewą dłoń, jak sumienny gliniarz na filmach.

- Co pan tu robi? - warknął gniewnie.
- Szukam kogoś. Może pan schować ten przyrząd.
- Nie wpuszczamy domokrażców.
- Ma pan kłopoty ze słuchem? Szukam kogoś, niczego nie sprzedaję. - Przecisnąłem się obok niego i ruszyłem do drzwi klatki schodowej.
- Odebrałem skargi lokatorów - rzucił za mną. - Musi pan opuścić ten teren.
- Właśnie opuszczam.

Wszedłem do baru na skraju osiedla i kupiłem sobie porcję meksykańskich tortilli oraz kufel piwa. Czuję się bezpieczniej na przedmieściach. Lokal należał do klasy regionalnych jadłodajni, ale w tej okolicy musiał przynosić niezłe zyski, gdyż pełnił zarazem rolę typowego „źródła”. Wśród gości przeważali młodzi urzędnicy, z pewnością będący ciągle w drodze z pracy do domu; przy piwie albo dyskutowali hałaśliwie na temat polityki, albo też okrzykami reagowali na transmitowany w telewizji mecz.

Musiałem zacząć się oswajać z samotnością. Żonę i przyjaciół straciłem wraz z całym poprzednim życiem. Co prawda siedem lat harówki w kancelarii Drake’a i Sweeneya nie wpłynęło najlepiej na moje życie towarzyskie, tak jak i na małżeństwo, mimo to byłem kiepsko przygotowany do rozpoczęcia samotnej egzystencji w wieku trzydziestu dwóch lat. Spoglądając na ludzi skupionych przed telewizorem i kobiety przy barze, zadałem sobie pytanie, czy mam teraz zacząć się wałęsać po knajpach i restauracjach w poszukiwaniu towarzystwa. Nie wątpiłem, że są na to inne, ciekawsze sposoby.

Popadłem w przygnębienie i szybko stamtąd wyszedłem.

Wracalem do miasta powoli, nie spieszyło mi się do pustego mieszkania. Zdawałem sobie sprawę, że moje nazwisko jako najemcy lokalu musi gdzieś figurować, choćby w jakimś komputerze, policja nie powinna mieć zatem większych kłopotów ze znalezieniem mego nowego adresu. Jeśli zaś był już wystawiony nakaz aresztowania, niewątpliwie musiało się to dokonać nocą. Gliniarze nie odmówiliby sobie przyjemności załomotania do drzwi i zerwania mnie z łóżka, żeby później, co najmniej oszołomionego, brutalnie zrewidować, skuć kajdankami, zaprowadzić pod ręce do windy i wepchnąć na tylne siedzenie wozu patrolowego, przewieźć przez opustoszałe miasto i wsadzić do celi, w której byłbym jedynym białym, nieźle ubranym mężczyzną. Zapewne nie wyobrażali sobie większej frajdy, niż umieścić mnie za kratkami pośród ulicznych mętów i zostawić własnemu losowi, bym gołymi rękoma musiał bronić życia.

Dlatego postanowiłem zawsze mieć przy sobie telefon komórkowy, żeby natychmiast po aresztowaniu powiadomić o tym Greena, jak też rolkę ściśniętych gumką dwudziestu studolarówek, którymi mógłbym zapłacić kaucję i odzyskać swobodę bez konieczności oglądania więziennych krat.

Zaparkowałem kilkadziesiąt metrów od bloku i przez jakiś czas uważnie obserwowałem stojące na ulicy auta. Do mieszkania dotarłem bez przeszkód, przez nikogo nie zaczepiony.

W saloniku miałem już jakieś meble: dwa ogrodowe foteliki z tworzywa oraz dużą plastikową skrzynkę, ustawioną do góry dnem i pełniącą rolę stolika. Telewizor stał na drugiej takiej samej skrzynce. Z nieodmiennym uśmiechem witałem to skromne wyposażenie, które zachęcało do utrzymywania w ścisłej tajemnicy mojego nowego adresu. Nie chciałem, by ktokolwiek zobaczył, jak teraz mieszkam.

Przesłuchałem nagraną na sekretarce wiadomość od matki. Oboje z ojcem bardzo się martwili, chcieli się ze mną zobaczyć. Rozmawiali z Warnerem, który wyraził gotowość przyjazdu na rodzinną naradę. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak zaczęliby we troje analizować moje obecne życie, usiłując przywołać mnie do rozsądku.

W dzienniku o dwudziestej trzeciej marsz protestacyjny ku pamięci Lontae Burton stał się tematem numer jeden. Pokazano w zbliżeniu pięć trumien ustawionych na stopniach przed ratuszem i późniejszy przemarsz ulicami miasta. Mordecai został wymieniony wśród liderów manifestacji. W telewizji tłum wyglądał na znacznie większy niż w rzeczywistości. Liczbę uczestników oszacowano na pięć tysięcy. Burmistrz nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie.

Wyłączyłem telewizor i wybrałem numer Claire. Nie rozmawialiśmy od czterech dni i

przyszło mi na myśl, że powinienem okazać jej trochę życzliwości, podejmując próbę przełamania lodów. Formalnie wciąż byliśmy małżeństwem. Mogliśmy któregoś dnia zjeść razem obiad.

Po trzecim sygnale rozległ się w słuchawce obcy, męski głos:

- Halo?

Przez parę sekund trwałem w osłupieniu, nie mogłem wydusić z siebie ani jednego słowa. W czwartek, pół godziny przed północą, w mieszkaniu mojej żony znajdował się jakiś mężczyzna. Nie minął nawet tydzień od naszego rozstania. Początkowo chciałem się rozłączyć, ale w końcu odzyskałem panowanie nad sobą i powiedziałem:

- Czy mógłbym rozmawiać z Claire?

- A kto mówi? - zapytał ostro.

- Michael, jej mąż.

- Właśnie bierze prysznic - wyjaśnił, jak mi się zdawało, z uśmiechem.

- Proszę jej przekazać, że dzwoniłem.

Czym prędzej przerwałem połączenie.

Do północy łąziłem bez celu z pokoju do pokoju, później się ubrałem i wyszedłem na spacer, nie bacząc na mróz. Kiedy człowiekowi rozpada się małżeństwo, zaczyna instynktownie szukać wszelkich możliwych, nawet najmniej prawdopodobnych przyczyn. Naprawdę rozstaliśmy się z powodu niezgodności charakterów, czy może za propozycją rozwodu kryło się coś innego? Czyżbym przeoczył symptomy? Znalazła sobie faceta na jedną noc, czy też był to kochanek, z którym spotykała się potajemnie od dawna? Jakiś napalony lekarz, żonaty i dzieciaty, czy też nie zaspokojony student medycyny, zdolny dać jej to, czego ja nie dałem?

Powtarzałem sobie w kółko, że nic mnie to nie obchodzi. Na pewno nie rozwodziliśmy się z powodu zdrady małżeńskiej. Było już za późno, żeby się martwić tym, czy Claire sypiała z innymi mężczyznami.

Tak czy inaczej nasze małżeństwo znajdowało się w rozsypce, niezależnie od rzeczywistych powodów. Moja żona mogła robić wszystko, co jej się podoba. Powinienem ją zaliczyć do przeszłości, wykluczyć z pamięci. Jeżeli przyznawałem sobie prawo do swobodnego nawiązywania kontaktów z kobietami, jej również nie mogłem go odmówić.

Taka była prawda.

O drugiej nad ranem dotarłem do Dupont Circle, ignorując wyzywające zaczepki ulicznych dziwek i przestępując nad ludźmi zakutymi w palta i koce, rozciągniętymi na chodnikach i śpiącymi w bramach. Nie miałem ochoty zaprzętać sobie głowy, że narażam się

na niebezpieczeństwo.

Kilka godzin później kupiłem w cukierni pudło herbatników, dwie duże kawy i poranną gazetę. Jak można się było spodziewać, Ruby czekała przed drzwiami ośrodka, dygocząc z zimna. Oczy miała jeszcze bardziej zaczerwienione niż zwykle i nie uśmiechała się już tak szeroko.

Usiedliśmy w sali ogólnej przy biurku, na którym leżało najmniej papierów. Zrobiłem trochę więcej miejsca, postawiłem kawę i pudełko z herbatnikami. Ruby oświadczyła, że nie lubi czekoladowej polewy ani kremu, ale przepada za ciastkami z marmoladą.

- Czytałaś dzisiaj gazetę? - zapytałem.

- Nie.

- Umiesz w ogóle czytać?

- Słabo.

Przeczytałem jej więc cały artykuł. Relacja zaczynała się na pierwszej stronie, pod wielkim zdjęciem ukazującym pięć czarnych trumien ponad morzem głów manifestantów. Tekst zajmował całą dolną część kolumny, ciąg dalszy znajdował się na drugiej stronie. Ruby słuchała z wyteżoną uwagą. Później wyjaśniła, że słyszała trochę plotek na temat tragicznej śmierci rodziny Burtonów. Szczegóły tragedii zdawały się ją fascynować.

- Czy ja też mogę umrzeć w ten sposób? - zapytała.

- Nie, dopóki nie uruchomisz silnika, żeby się ogrzać.

- Czasami żałuję, że w moim aucie nie działa ogrzewanie.

- Ale możesz umrzeć z przechłodzenia.

- Z czego?

- Zamarznąć na śmierć.

Otarła usta serwetką i upiła nieco kawy. Tej nocy, kiedy Ontario wraz z całą rodziną zatruł się czadem w samochodzie, panował dwunastostopniowy mróz. Zaciekawilo mnie, gdzie ona wtedy przebywała.

- Gdzie szukasz schronienia, kiedy nastają silne mrozy?

- Nigdzie.

- Pozostajesz w swoim aucie?

- Tak.

- Jak się chronisz przed zamarznięciem?

- Mam mnóstwo koców. Po prostu zakopuję się pod nimi.

- Nigdy nie chodzisz spać do przytułku?

- Nie.

- A zrobiłabyś to, gdyby w ten sposób dało się ułatwić spotkania z Terrence'em?

Pochyliła głowę na ramię i spojrzała na mnie badawczo spod półprzymkniętych powiek.

- Możesz powtórzyć? - mruknęła.

- Chcesz się widywać z Terrence'em, prawda?

- Jasne.

- A w tym celu powinnaś się uwolnić od narkotyków, zgadza się?

- Tak.

- Żeby wyjść z nałogu, musiałabyś przez pewien czas mieszkać w zamkniętym ośrodku odwykowym. Czy jesteś gotowa na takie poświęcenie?

- Może... - odparła. - Nie wiem.

Postęp był niewielki, ale znaczący.

- Jeśli chcesz, żebym ci pomógł widywać Terrence'a, musisz się uwolnić od narkotyków, przestać je brać.

- Jak mam to zrobić? - spytała, jeszcze niżej pochylając głowę. Jak zwykle trzymała kubek oburącz, para leciała jej prosto w twarz.

- Wybierasz się do schroniska Naomi?

- Tak.

- Rozmawiałem już z kierowniczką. Odbędą się dziś dwa spotkania dla ludzi uzależnionych, zarówno alkoholików, jak i narkomanów. Określają je skrótowo AA/NA. Chcę, żebyś w obu uczestniczyła. Kierowniczka mnie powiadomi, czy na nich byłaś.

Pokiwała smętnie głową niczym zbesztane dziecko. Na razie nie chciałem wywierać na nią silniejszej presji. Zacząłem czytać inne artykuły. Ruby sięgnęła po następne ciastko, siorbnęła kawy. Nie interesowały jej wiadomości ze świata ani doniesienia sportowe, ale była zafascynowana informacjami z działu miejskiego, głównie z kroniki kryminalnej. Wyznała, że raz, przed laty, głosowała nawet w wyborach i trochę myślała o polityce stołecznych władz.

Długi artykuł redakcyjny zarzucał kongresmanom i urzędnikom z ratusza lekkomyślny stosunek do spraw bezdomnych. Autor ostrzegał, że na śmierci Lontae może się nie skończyć, że na ulicach Waszyngtonu, tuż pod murami Kapitolu, umierają inne dzieci. Streściłem ten artykuł Ruby, upraszczając język. Ochoczo przytakiwała każdemu przytoczonemu tam zarzutowi.

Zaczął padać drobny marznący deszcz, odwoziłem więc ją do schroniska. Żeńskie Centrum Opiekuńcze Naomi zajmowało czteropiętrową kamienicę, wtłoczoną w szereg niemal

identycznych budynków przy ulicy Dziesiątej. Było czynne od siódmej do szesnastej i każdego dnia zapewniało wyżywienie, kąpiel, odzież z darów, różne zajęcia oraz fachową opiekę bezdomnym kobietom.

Ruby należała do stałych bywalców ośrodka, toteż już od drzwi przyjaciółki witały ją serdecznie.

Zamieniłem parę słów z kierowniczką, młodą kobietą o imieniu Megan. Postanowiliśmy w tajemnicy wspólnie wyciągnąć Ruby z nałogu. Połowa klientek centrum była umysłowo chora, połowa uzależniona od różnych środków, trzecią część stanowiły nosicielki wirusa HIV. Megan zapewniła mnie jednak, że - o ile jej wiadomo - Ruby nie jest nosicielką żadnej choroby zakaźnej.

Kiedy wychodziłem, kobiety zbierały się w przestronnej sali ogólnej, śpiewały jakieś pieśni.

Ślęczałem nad papierami, kiedy Sofia zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na odpowiedź.

- Mordecai mówił, że szukasz jakiegoś faceta - rzuciła. W ręce trzymała naszykowany notatnik.

Przez chwilę gapiłem się na nią, zanim uprzytomniłem sobie, że chodzi o Hectora.

- Ach, tak... Rzeczywiście...

- Mogę pomóc. Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz.

Usiadła i zaczęła pospiesznie spisywać dane personalne, adres, ostatnie miejsce zatrudnienia, ogólnikowy rysopis, jak również to, że Palma jest żonaty i ma czworo dzieci.

- Wiek?

- Około trzydziestki.

- Szacunkowy dochód?

- Trzydzieści pięć tysięcy rocznie.

- Jeżeli ma czworo dzieci, to można założyć, iż co najmniej jedno chodzi już do szkoły.

Przy takiej pensji i mieszkaniu w Bethesda nie zostało prawdopodobnie wysłane do szkoły prywatnej. Nazwisko pochodzenia hiszpańskiego, a więc jest to zapewne rodzina katolicka. Chcesz coś jeszcze dodać?

Nic mi nie przychodziło do głowy. Sofia wróciła na swoje stanowisko i otworzyła imponujący notes z telefonami. Zostawiłem otwarte drzwi na korytarz, żeby słyszeć, o czym rozmawia. Najpierw zadzwoniła do jakiegoś znajomego z dyrekcji poczty, ale już po paru słowach przeszła na hiszpański, który znałem bardzo słabo. Kolejne rozmowy przebiegały podobnie, przedstawiała się po angielsku, prosiła do aparatu swojego informatora, a właściwą

rozmowę prowadziła w ojczystym języku. W pewnym momencie połączyła się z waszyngtońską diecezją katolicką, skąd uzyskała kilka dalszych numerów, zapewne poszczególnych parafii. Wkrótce przestałem zwracać uwagę i wróciłem do przerwanej pracy.

Mniej więcej po godzinie Sofia stanęła w progu i oświadczyła:

- Przeniósł się do Chicago. Chcesz znać dokładny adres?

- Jak to zrobiłaś...? - Głos uwiązał mi w gardle, gapiłem się na nią wybałuszonymi oczami.

- Drobnostka. Znalazłam przyjaciela Palmy z jego parafii. Powiedział, że pakowali się w czasie weekendu, w wielkim pośpiechu. No więc chcesz ten adres?

- Ile czasu to zajmie?

- Nie będzie już takie proste. Spróbuję przynajmniej zawęzić obszar poszukiwań.

Wyjrzałem na korytarz. Przy wejściu siedziało co najmniej sześć osób, czekając na uzyskanie porady prawnej od Sofii.

- Zostaw to na razie - odparłem. - Może później... Dziękuję.

- Nie ma za co.

Dobre sobie! Zamierzałem znów poświęcić kilka godzin po zmroku na próby uzyskania jakichś informacji od byłych sąsiadów Hectora; musiałbym łązić po mrozie i ryzykować dalsze spotkania ze strażnikami osiedla, licząc na to, że nie zostanę przez nich postrzelony. Tymczasem ona usiadła przy telefonie i w ciągu godziny odnalazła człowieka!

W chicagowskiej filii Drake'a i Sweeneya pracowało ponad stu prawników. Dwa razy gościłem w tamtejszym biurze przy okazji jakichś spraw antytrustowych. Mieściło się w nowoczesnym wieżowcu prawie nad samym jeziorem. Gigantyczne foyer miało kilka pięter wysokości, pośrodku tryskała fontanna, dookoła ciągnęły się sklepy, ruchome schody prowadziły zygzakami na górę. Było to wręcz idealne miejsce do ukrycia i nadzorowania Hectora Palmy.

ROZDZIAŁ 26

Bezdomni są najlepiej obeznani z ulicami - z chodnikami, krawężnikami i rynsztokami, z zawalonymi odpadkami betonem, pokrywami kanałów i słupkami hydrantów, z koszami na śmieci, przystankami autobusowymi oraz witrynami sklepów. Dzień po dniu przemieszczają się powoli po znanym sobie obszarze, zatrzymują się, by zamienić kilka słów ze znajomymi, gdyż czas nic dla nich nie znaczy. Zwracają uwagę na zepsuty samochód, nowego sprzedawcę narkotyków na skrzyżowaniu czy też osobę obcą w ich środowisku. Siadają pod ścianami, ukrywają twarze pod rondami kapeluszy, daszkami czapek lub w cieniu markiz, i niczym wartownicy obserwują toczące się wokół nich życie. Łowią odgłosy ulicznego ruchu, wdychają cuchnące spaliny miejskich autobusów i gryzący dym ze smażalni oraz barów szybkiej obsługi. Doskonale wiedzą, czy któraś taksówka przejeżdżała obok nich dwa razy w ciągu godziny. Jeśli z oddali doleci huk wystrzału, szybko będą znać miejsce zdarzenia. Gdy przy krawężniku zatrzyma się elegancka limuzyna z tablicami rejestracyjnymi z Wirginii czy Marylandu, będą mieli ją na oku, dopóki nie odjedzie.

Tak samo ich uwagę przykuje ubrany po cywilnemu gliniarz, czekający w samochodzie.

- Przed biurem jest policja - oznajmił jeden z klientów Sofii.

Ta wyjrzała na zewnątrz i rzeczywiście bliżej skrzyżowania z ulicą Q zauważyła nie oznakowany wóz policyjny. Odczekała pół godziny, sprawdziła jeszcze raz i poszła do Mordecaia.

Pozostawałem niczego nie świadomy, pochłonięty walką na dwóch frontach jednocześnie. W biurze opieki społecznej próbowałem wywalczyć dla jednego klienta bony żywnościowe, utrzymując zarazem kontakt z prokuraturą okręgową, która miała wyjaśnić zarzuty postawione drugiemu klientowi. Sprawy wlokły się niemiłosiernie. W piątkowe popołudnie zmagania z waszyngtońską biurokracją nawet świętego doprowadziłyby do rozpacz.

Oboje zajrzeli do mego pokoju ze smutną nowiną.

- Wygląda na to, że gliniarze czekają na ciebie przed wejściem - oznajmił Green.

W pierwszej chwili chciałem dać nura pod biurko, ale się opanowałem.

- Gdzie? - spytałem głupio, jakby to mogło mieć większe znaczenie.

- Przy skrzyżowaniu. Obserwują ośrodek co najmniej od pół godziny.

- Może przyjechali po ciebie?

Udał mi się dowcip. Nikt się nawet nie uśmiechnął.

- Sprawdziłam telefonicznie - wyjaśniła Sofia. - Został wystawiony nakaz twojego aresztowania pod zarzutem kradzieży poufnych dokumentów.

Za kradzież groziło więzienie! Biały, nieźle sytuowany facet miał się znaleźć na samym dnie! Nerwowo przestąpiłem z nogi na nogę, usiłując nie okazywać po sobie strachu.

- Można się było spodziewać - odparłem takim tonem, jakbym mówił: „Normalka, nieraz już przez to przechodziłem!” - Trzeba to załatwić jak najszybciej.

- Rozmawiałem przed chwilą z prawnikiem z biura prokuratora okręgowego - rzekł Mordecai. - Popatrzyliby na ciebie przychylniejszym okiem, gdybyś się sam oddał w ręce policji.

- Miło z ich strony - mruknąłem, całkiem nie przekonany. - Ja też przez całe popołudnie dzwoniłem do biura prokuratora. Nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać.

- Tam pracuje dwustu prawników - odparł Green.

Jak na złość Mordecai nie miał przyjaciół po tamtej stronie barykady. Gliniarzy i prokuratorów, co zrozumiałe, zaliczał do swoich wrogów.

Szybko zrodził się plan działania. Sofia zobowiązała się znaleźć poręczyciela, który gotów byłby natychmiast wyłożyć kaucję. Mordecai postanowił skontaktować się z jakimś zaprzyjaźnionym sędzią. Żadne z nas nie powiedziało najważniejszego: mieliśmy piątkowe popołudnie, ja zaś mogłem nie dotrzeć za kratkami do poniedziałku.

Wrócili do swoich pokojów.

Usiadłem za biurkiem jak skamieniały, niezdolny do logicznego myślenia czy wykonania choćby jednego ruchu. Ze strachem nasłuchiwałem skrzypnięcia drzwi od ulicy. Nie musiałem długo czekać. Punktualnie o czwartej wkroczył do biura porucznik Gasko w towarzystwie dwóch podległych mu gliniarzy.

Podczas naszego pierwszego spotkania w czasie rewizji w mieszkaniu Claire, kiedy to wrzeszczałem na nich i spisywałem nazwiska, grożąc natychmiastowym wniesieniem oskarżeń przeciwko wszystkim trzem, kiedy każde słowo Gasko napotykało moją kąśliwą odpowiedź, nie przyszło mi nawet do głowy, że któregoś dnia porucznik otrzyma zadanie odstawienia mnie do aresztu. Z niedowierzaniem teraz patrzyłem, jak kołysząc się z lekka na boki niczym stary wilk morski, wrogo uśmiechnięty, ściska w dłoni złożony papier, jakby to była broń, którą może mi wymierzyć w pierś.

- Muszę się zobaczyć z panem Brockiem - oznajmił Sofii.

W dwóch skokach znalazłem się na korytarzu. Mimo zaskoczenia uśmiechnąłem się przyjaźnie i rzuciłem z daleka:

- Cześć, Gasko! Wciąż szukacie tej teczki?

- Nie tym razem.

Mordecai także wyszedł na korytarz. Sofia podniosła się z krzesła. Przez chwilę wszyscy nawzajem mierzyliśmy się spojrzeniami.

- Macie nakaz? - zapytał Green.

- Owszem, aresztowania obecnego tu pana Brocka - powiedział Gasko.

Wzruszyłem ramionami.

- W takim razie chodźmy.

Wszedłem do sali ogólnej. Jeden z mundurowych odpiął od pasa kajdanki. Usiłowałem przynajmniej sprawiać wrażenie całkowicie spokojnego.

- Jestem jego adwokatem - oświadczył Mordecai. - Czy mogę obejrzeć ten nakaz?

Wziął dokument z rąk Gasko i zaczął go uważnie czytać. Ja tymczasem zostałem skuty, ręce wykręcono mi do tyłu, poczułem na nadgarstkach zimny dotyk stali. Kajdanki zatrzaśnięto zdecydowanie za mocno, zagryzłem jednak zęby i postanowiłem dalej udawać obojętność.

- Z przyjemnością odstawię mojego klienta na komisariat - odezwał się Green.

- To zbyteczne - rzucił Gasko. - Zaoszczędzimy panu kłopotu.

- Dokąd go zabieracie?

- Na komendę główną.

- Pojadę za wami - powiedział Mordecai do mnie.

Sofia natychmiast sięgnęła po słuchawkę telefonu. Ten widok przyniósł mi chyba nawet większą ulgę niż świadomość, że Green pojedzie za nami na komendę.

Całe zajęcie obserwowało trzech naszych klientów, trzech starszych, Bogu ducha winnych obywateli, którzy wpadli na krótką rozmowę z Sofią. Siedzieli na krzesłach pod oknem i kiedy wychodziliśmy na ulicę, odprowadzili mnie wzrokiem pełnym niedowierzania.

Jeden z gliniarzy zacisnął palce na moim ramieniu i pchnął mnie lekko po schodkach. Zeskoczyłem na chodnik, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w samochodzie. Kiedy ujrzałem brudny, nie oznakowany biały wóz policyjny przy skrzyżowaniu, przyszło mi do głowy, że bezdomni musieli widzieć wszystko - jak gliniarze parkowali przy krawężniku, obserwowali z auta ośrodek, wreszcie wyprowadzili skutego kajdankami aresztanta.

Nie miałem wątpliwości, że lotem błyskawicy rozejdzie się po ulicach przekazywana z ust do ust elektryzująca wiadomość: aresztowali prawnika!

Gasko usiadł z tyłu obok mnie. Patrzyłem nieruchomo przed siebie, zdając sobie powoli

sprawę z własnego położenia.

- Co za strata czasu - mruknął od niechcenia porucznik, usadowiwszy się wygodnie, z nogą założoną na nogę. - Mamy sto czterdzieści nie wyjaśnionych morderstw w tym mieście, sprzedawców narkotyków niemal na każdym skrzyżowaniu, handlarzy panoszących się w szkołach średnich, a musimy tracić czas na takie bzdury.

- Mam to uznać za próbę przesłuchania, Gasko? - spytałem.

- Nie.

- To dobrze.

Nie wyrecytował mi klasycznej formułki ostrzegawczej, nie miał więc prawa zadawać żadnych pytań.

Brygada policyjnych asów pojechała ulicą Czternastą, nie włączając syreny ani koguta, a mimo to kierowca nie zważał specjalnie na inne samochody, światła czy przechodniów.

- Jeśli wam to nie na rękę, to mnie wypuście - zaproponowałem.

- Niestety, decyzja nie należy do mnie. Musiałeś nieźle wkurzyć parę osób. Prokurator okręgowy powiedział, że wobec licznych nacisków musi cię wpakować do aresztu.

- Kto go naciskał?

Odpowiedź znałem z góry. Zarząd kancelarii Drake'a i Sweeneya nie marnował energii na rozmowy z policją, wolał od razu przedstawić formalne zarzuty w biurze prokuratora.

- Poszkodowani - odparł ironicznie Gasko.

Uśmiechnąłem się. Gromada bogatych i wpływowych prawników w roli ofiar pospolitego przestępstwa: to rzeczywiście zakrawało na kiepski żart.

Przyszło mi do głowy, że sporo sławnych ludzi przeżyło podobne upokorzenie. Martin Luther King parę razy lądował w więzieniu. O rozmaite kradzieże oskarżano Boesky'ego, Milkena i kilka innych znanych osób, których nazwisk nie mogłem sobie teraz przypomnieć. Aresztowania przytrafiały się często gwiazdom filmu czy sportu, zatrzymanym podczas prowadzenia aut po pijanemu, zabierania z ulicy prostytutek czy kupowania narkotyków. Wszystkich tak samo wpychano na tylne siedzenie wozów patrolowych i przewożono do aresztu jak pospolitych złoczyńców. Pewien sędzia z Memphis odsiadywał wyrok dożywocia, znajomy z college'u został skazany na dwadzieścia lat więzienia, mój były klient z urzędu federalnego znalazł się za kratkami za fałszowanie zeznań podatkowych. Tych wszystkich ludzi wcześniej aresztowano, odstawiono do komendy i wpisywano do rejestru, zdejmowano im odciski palców i robiono zdjęcia z numerem identyfikacyjnym na tabliczce zawieszanej na szyi. I wszyscy jakoś to przeżyli. Mogłem podejrzewać, że nawet Mordecai Green zna ten przerażający dotyk zimnej stali na nadgarstkach.

Na swój sposób poczułem ulgę, że wreszcie do tego doszło. Mogłem zapomnieć o ukrywaniu się, przemykaniu pod ścianami, zerkaniu przez ramie, czy ktoś za mną nie łązi. Dręczące wyczekiwanie dobiegło końca. Na szczęście policja nie wtargnęła do mojego mieszkania w ciągu nocy i nie musiałem siedzieć w areszcie do rana. Nie nastąpiło to w najszcześniejszej porze, ale wciąż mogłem liczyć, że przy odrobinie szczęścia sprawy proceduralne zostaną załatwione i wyjdę za kaucją jeszcze przed nastaniem weekendu.

Ale zarazem odczuwałem też strach. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak przerażony. W areszcie wiele się mogło zdarzyć, począwszy od zaginięcia dokumentów, po dziesiątki różnego rodzaju opóźnień. Nie dało się wykluczyć, że będę musiał siedzieć za kratkami do następnego dnia, może nawet do niedzieli czy poniedziałku. Lękałem się, że zostanę umieszczony w celi pełnej agresywnych pijaków.

Domyślałem się, że wieść o moim aresztowaniu dotrze również do dawnych przyjaciół, którzy zaczną z politowaniem kiwać głowami i zadawać sobie pytania, co jeszcze mogę uczynić, żeby do reszty zrujnować swoje życie. Woląłem nie myśleć o reakcji rodziców. Natomiast całkiem nie byłem pewien zachowania Claire, zwłaszcza teraz, gdy u jej boku zjawił się jakiś żigolak.

Zamknąłem oczy i próbowałem uspokoić oszalałe myśli, co okazało się niewykonalne.

Sprawy formalne poszły błyskawicznie, Gasko prowadził mnie jak bezwolną kukłę od jednego stanowiska do drugiego. Powtarzałem sobie, żeby nie podnosić wzroku, nie zaglądać w twarze ludzi. Zaczęło się od inwentaryzacji, musiałem tylko opróżnić kieszenie i podpisać formularz depozytu. Później poszliśmy brudnym korytarzem do sali zdjęciowej. Kazano mi zdjąć buty i ustawić się na tle podziałki wysokości. Odebrałem pouczenie, że nie muszę się uśmiechać, jeśli nie chcę, ale mam patrzeć prosto w obiektyw. Pierwsze zdjęcie en face, drugie z profilu. Następne były odciski palców, okazało się jednak, że technik jest zajęty, toteż Gasko przykuł mnie do ramy krzesła jak niebezpiecznego furia i poszedł po kawę. Na korytarzu mijali mnie aresztanci przechodzący tę samą procedurę, kręcili się gliniarze. Zwróciłem uwagę na młodego białego faceta, chyba także prawnika, w eleganckim granatowym garniturze, dość mocno wstawionego, z licznymi zadrapaniami na policzku. Jak można się tak zaprawić w piątek przed siedemnastą? - pomyślałem. Rzucił na lewo i prawo pogroźkami, wydierał się co sił w płucach, ale wszyscy go ignorowali. Szybko został zaciągnięty gdzieś w głąb budynku. Czas mijał, a mnie zaczynało ogarniać narastające przerażenie. Zapadł już zmrok, zaczął się weekend, nastąpiła pora największego tłoku w areszcie. Wrócił wreszcie Gasko i wprowadził mnie do pokoju, gdzie młody Poindexter z wprawą natuszował mi palce i utrwalił odciski na

kartonowej fiszce.

Nie musiałem donikąd dzwonić, mój prawnik zapewne był już gdzieś w pobliżu, choć jeszcze go nie widziałem. W miarę jak prowadzono mnie w głąb aresztu, mijaliśmy coraz cięższe drzwi. Miałem ochotę krzyknąć, że idziemy w złym kierunku, bo przecież wyjście na ulicę zostało gdzieś za nami.

- Czy nie mogę od razu wpłacić kaucji? - zapytałem z głupia frant, dostrzegłszy w oddali pierwsze grube kraty, a za nimi uzbrojonych strażników więziennych.

- Sądziłem, że zajmuje się tym twój adwokat - odparł Gasko.

Chwilę później przekazał mnie niejakiemu sierżantowi Coffeyowi. Ten kazał mi stanąć pod ścianą w rozkroku i przeszukał po raz kolejny z taką sumiennością, jakby chciał znaleźć ukrytą dziesięciocentówkę. Później z głośnym pomrukiem wskazał mi ruchem głowy bramkę wykrywacza metali, przez którą przeszedłem bez obaw. Zaterkotał dzwonek, rozsunęły się stalowe drzwi i popatrzyłem na długi korytarz; po obu stronach ciągnęły się zakratowane cele. Kiedy zaś drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem, jednocześnie w moich myślach umilkła nawet powtarzana od jakiegoś czasu modlitwa o szybkie uwolnienie.

Więźniowie między prętami wyciągali ręce w moim kierunku, uważnie nas obserwowali. Znów wbiłem wzrok w podłogę. Coffey szedł powoli, zaglądając do kolejnych cel. Zdaje się, że liczył przebywające w nich osoby. Zatrzymał się przed trzecimi drzwiami po prawej stronie.

Wewnątrz siedzieli wyłącznie czarni, bez wyjątku młodszy ode mnie. Początkowo naliczyłem czterech, dopiero później zauważyłem, że piąty leży na najwyższej pryczy. Te były trzypoziomowe, w dwóch zestawach, łącznie na sześć osób. Z trzech boków niewielką przestrzeń otaczały jedynie stalowe pręty, widać było aresztantów w sąsiednich celach i po przeciwnej stronie korytarza. Czwarty bok stanowiła ściana z litego betonu, pod którą w rogu stał niewielki sedes.

Coffey wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi. Leżący dotąd chłopak usiadł na pryczy i spuścił nogi poza jej krawędź, tak że jego buty znalazły się tuż przed twarzą więźnia siedzącego poniżej. Cała piątka popatrzyła na mnie uważnie, ja zaś stałem jak wmurowany tuż przy drzwiach, usiłując zachować spokój. Rozejrzałem się szybko za jakimś miejscem na podłodze, gdzie mógłbym usiąść, nie narażając się na niebezpieczeństwo dotknięcia któregoś z pozostałych aresztantów.

W myślach dziękowałem Bogu, że nie są uzbrojeni, że przed wejściem ustawiono wykrywacz metali, zatem nie mogą mieć rewolwerów ani noży. W dodatku nie zostało mi nic cennego poza ubraniem. Zegarek, portfel, telefon komórkowy, pieniądze - wszystko odebrano,

spisano i przekazano do depozytu.

Doszedłem do wniosku, że przy drzwiach celi będzie znacznie bezpieczniej niż pod ścianą. Ignorując zdumione spojrzenia, przysiadłem w kącie na podłodze, przywierając plecami do prętów oddzielających mnie od korytarza, z którego głębi ktoś okrzykami przywoływał strażnika.

Dwie cele dalej wybuchła bójka. Między kratami i pryczami dostrzegłem, że biały pijany prawnik został przyparty w kącie przez dwóch potężnie zbudowanych czarnych. Okładali go tak, że tylko głowa mu odskakiwała. Wkrótce inni więźniowie jęli dopingować bijących i po paru sekundach wszczął się harmider. Pomyślałem, że w takiej chwili bardzo niedobrze jest być białym.

Rozległy się policyjne gwizdki. Do korytarza wpadł Coffey z długą pałką w garści. Bójka w jednej chwili dobiegła końca, prawnik padł nieruchomo twarzą na podłogę. Sierżant podszedł do tamtej celi i zapytał tubalnym głosem, co się stało. Ale nikt o niczym nie wiedział, nikt niczego nie zauważył.

- Spokój! - ryknął Coffey i wyszedł.

Minuty wlokły się niemiłosiernie.

Pobity prawnik zaczął cicho jęczeć, w drugim końcu aresztu ktoś głośno wymiotował. Jeden z czarnych podniósł się z pryczy, podszedł i stanął nade mną. Jego bose stopy znalazły się tuż przy czubkach moich butów. Zerknąłem na niego i szybko odwróciłem głowę. Patrzył takim wzrokiem, że przemknęło mi przez myśl, iż nadszedł mój koniec.

- Ładna marynarka - mruknął.

- Dzięki - odparłem cicho łagodnym tonem, nie chcąc go niczym sprowokować.

Miałem na sobie starą granatową marynarkę, którą nosiłem na co dzień do dzinsów. Z pewnością nie zaliczała się do rzeczy, za które gotów byłbym dać się poćwiartować.

- Ładna marynarka - powtórzył, trącając lekko stopą moją nogę.

Drugi chłopak zeskoczył z górnej pryczy i stanął tuż za plecami pierwszego.

- Dzięki - odparłem tak samo spokojnie.

Mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat, był wysoki i szczupły, bez grama zbędnego tłuszczu pod skórą. Wychował się zapewne na ulicy i należał do jakiejś bandy. Szukał zaczepki głównie po to, żeby wykazać się odwagą i zrobić wrażenie na kolegach.

Nie wątpiłem, iż dotąd żaden biały nie stanowił dla niego tak łatwego łupu, jak teraz ja.

- Nie mam takiej ładnej marynarki - rzekł, kopnąwszy mnie odrobinę mocniej.

Najgorsze było to, że nie mógł mnie zwyczajnie okraść, ponieważ tutaj nie miałby dokąd uciec.

- Chcesz ją pożyczyć? - zapytałem, nie podnosząc głowy.

- Nie.

Podciągnąłem kolana pod brodę, zsuwając razem stopy. Przyjąłem pozycję obronną. W ogóle nie zamierzałem się bronić, gdyż nawet najmniejszy opór przyciągnąłby pozostałych czterech, którzy z olbrzymią przyjemnością skatowaliby białego.

- Chłopak mówi, że masz ładną marynarkę - wtrącił ten, co zeskoczył z najwyższej pryczy.

- A ja powiedziałem: dzięki.

- On nie ma takiej ładnej marynarki.

- I co mam na to poradzić? - zapytałem wprost.

- Prezent byłby mile widziany.

Zbliżył się trzeci, zostałem otoczony półkolem. Najmłodszy znów kopnął mnie lekko w nogę i przysunął się jeszcze bliżej. Byli gotowi rzucić się na mnie z pięściami, chyba czekali tylko na jakiś sygnał do rozpoczęcia bójki. Pospiesznie zdjąłem marynarkę i wyciągnąłem ją przed siebie.

- Czy to prezent? - zapytał młody, biorąc ją ode mnie.

- Potraktuj to sobie, jak chcesz - mruknąłem, wciąż nie podnosząc głowy.

Wbijałem wzrok w podłogę, dlatego nie zauważyłem wymierzonego mi kopniaka. Dostałem piętą w lewą skroń, aż głowa mi odskoczyła. Grzmotnąłem potylicą o pręty.

- Cholera! - syknąłem, unosząc dłonie do twarzy. - Możesz ją sobie zabrać - dodałem, rozmasowując delikatnie skroń.

- To prezent?

- Tak.

- Dzięki, człowieku.

- Nie ma za co.

Ostrożnie pomacałem kość policzkową. W głowie mi dzwoniło.

Odsunęli się nieco, dzięki czemu mogłem znów mocno podciągnąć kolana pod brodę.

Minęło parę minut, nie potrafiłem nawet ocenić upływu czasu. Biały pijaczyna dwie cele dalej z trudem dźwignął się z podłogi, z drugiego końca korytarza tym razem ktoś inny zaczął nawoływać strażnika. Czarny łobuz nawet nie włożył mojej marynarki, tylko cisnął ją w głąb celi.

Bolało mnie całe pół twarzy, ale nie wyczuwałem pod palcami krwi. Gdyby na tym miało się skończyć, mógłbym się chyba uznać za szczęściarza. Ktoś głośno zaczął się domagać ciszy, bo w takim hałasie nie sposób zmrużyć oka. Zacząłem się zastanawiać, co jeszcze mnie

czeka. Sześć osób musiało się pomieścić na wąskich pryzkach w jednej celi, ale ja nawet o tym nie marzyłem. Rozwazałem, jak się zdrzemnąć na podłodze, nie mając skrawka koca i poduszki.

Od betonowej posadzki ciągnęło chłodem, wołałem jednak siedzieć dalej. Zerkałem z trwogą na współwięźniów, spekulując na temat przewinień, za które znaleźli się w areszcie. W końcu ja pożyczyłem jedynie teczkę z dokumentami, mając szczerą intencję odłożyć ją później do szafki. Nie zdążyłem i właśnie z tego powodu znalazłem się oko w oko z handlarzami narkotyków, złodziejami samochodów, gwałcicielami, może nawet mordercami.

Nie byłem głodny, ale pomyślałem o jedzeniu. Nie pragnąłem skorzystać z toalety, lecz zapewne taka konieczność musiała kiedyś się pojawić. Nie miałem nawet szczoteczki do zębów, nie wiedziałem, czy jest tu bieżąca woda. Zaprzątnęły mnie nagle zupełnie podstawowe ludzkie potrzeby.

Do rzeczywistości przywołał mnie lekko chrapliwy głos:

- Ładne buty.

Podniosłem głowę. Tym razem stał nade mną inny aresztant. Był bez butów, w samych skarpetkach, niegdyś białych, ale strasznie brudnych. Ponadto miał duże stopy, znacznie większe od moich.

- Dzięki - odparłem.

Przedmiotem jego zainteresowania stało się zwykle sportowe obuwie, mocno podniszczone. W żadnej mierze nie było to coś specjalnego, niemniej przez chwilę pożałowałem, że nie noszę starych, rozczłapanych pantofli z mojego poprzedniego wcielenia.

- Jaki rozmiar? - zapytał.

- Dziesiątka.

Najmłodszy, ten od marynarki, znów podszedł bliżej i stanął obok kolegi. Oczywista wiadomość została bezbłędnie odebrana.

- W sam raz dla mnie - mruknął pierwszy.

- Chciałbyś je mieć? - spytałem, pospiesznie rozwiązując sznurówki. - Proszę, z przyjemnością zrobię ci prezent z moich butów.

Błyskawicznie ściągnąłem je z nóg i mu podałem. Siłą woli powstrzymałem się od pytania, czy któryś nie chce jeszcze moich dżinsów albo podkoszulka.

Mordecai zjawił się około siódmej wieczorem. Coffey wywołał mnie na korytarz i prowadząc z powrotem do wyjścia, zapytał podejrzliwie:

- A gdzie pańskie buty?

- Zostały w celi. Zabrano mi je.
- Zaraz przyniosę.
- Dzięki. Miałem także granatową marynarkę.

Green obrzucił uważnym spojrzeniem moją twarz, chyba wyraźnie zaczerwienioną z jednej strony. Czuję wzbierającą opuchliznę na kości policzkowej.

- Nic ci nie jest? - spytał.
- Nie, czuję się doskonale, bo znów jestem wolny.

Wyznaczono za mnie kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Poręczyciel przyjechał razem z Mordecaiem. Wypłaciłem mu tysiąc w gotówce i podpisałem weksel. Kiedy Coffey przyniósł moje buty i marynarkę, zrozumiałem, że to koniec upokorzeń. Na zewnątrz czekała także Sofia w swoim samochodzie. Wsiadłem do niego z niezwykłą radością.

ROZDZIAŁ 27

Od strony czysto fizycznej płaciłem słoną cenę świadomego wyjścia ze szklanej wieży na ulicę. Stłuczenia po wypadku samochodowym były już prawie niewidoczne, chociaż ból w mięśniach i barku miał się jeszcze odzywać przez parę tygodni. Zacząłem też tracić na wadze, z dwóch powodów - nie stać mnie było na posiłki w restauracjach, z których dotąd korzystałem, poza tym wciąż nie miałem apetytu. Od spania w śpiworze na podłodze coraz częściej dokuczały mi bóle w krzyżu - nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek zmuszony do sypiania przez dłuższy czas na chodnikach bądź ławkach.

Teraz w dodatku czarny łobuziak omal nie rozwalił mi kopniakiem czaszki. Do późna siedziałem z zimnym okładem przy skroni, a mimo to, gdy obudziłem się w nocy, poczułem, że jestem opuchnięty.

Rozpierała mnie jednak radość, ponieważ przeżyłem, wyszedłem cało z tego piekła, w którym musiałem spędzić kilka godzin, zanim nadeszła pomoc. Zniknął też strach przed nieznanym, przynajmniej na jakiś czas. Nie musiałem się obawiać policjantów czyhających na mnie w ciemności.

Kradzież poufnych dokumentów nie należała do błahostek, zwłaszcza że byłem winny. Groziło za to do dziesięciu lat więzienia. Tym jednak postanowiłem się martwić później.

Wyszedłem z domu tuż przed świtem, pragnąc jak najszybciej dostać sobotnie wydanie gazety. Teraz moim najbliższym sklepikiem była czynna całą dobę, prowadzona przez pakistańskie małżeństwo piekarnia i cukiernia przy ulicy Kalorama, w tej części osiedla Adamsa-Morgana, skąd było tylko parę kroków do niebezpiecznych zaułków starszego sektora miasta.

Zająłem miejsce przy kontuarze i poprosiłem o dużą kawę z mlekiem. Następnie otworzyłem gazetę i natychmiast znalazłem notatkę spędzającą mi sen z powiek.

Moi przyjaciele z kancelarii Drake'a i Sweeneya doskonale wszystko zaplanowali. Na drugiej stronie działu miejskiego ujrzałem swoje zdjęcie - to samo, które zrobiłem rok wcześniej do broszury reklamowej firmy i którego negatyw pozostał w biurze.

Opis, mieszczący się w czterech krótkich akapitach, aż nadto zwięzły i rzeczowy, opierał się głównie na informacjach dostarczonych prasie przez kancelarię. Wyszczególniano, że byłem dotychczas nie notowanym absolwentem Yale i przez siedem lat pracowałem w sekcji antytrustowej piątej co do wielkości firmy prawniczej, zatrudniającej ośmiuset prawników,

mającej filie w ośmiu miastach i tak dalej. Reporter nie musiał nikogo o nic pytać, notatka służyła wyłącznie upokorzeniu mnie i musiałem przyznać, że cel ten spełniła znakomicie. Tytuł głosił: MIEJSCOWY ADWOKAT ARESZTOWANY ZA KRADZIEŻ POUFNYCH DOKUMENTÓW. Ale w treści opisywano jedynie „zaginione przedmioty” - ma się rozumieć, zaginione z chwilą mojego odejścia z pracy.

Wyglądało to na kiepski, złośliwy żart, jakby rzeczywiście jedynymi cennymi przedmiotami załatanych prawników były przekładane przez nich papierki. Taka wzmianka nie mogła zainteresować nikogo oprócz mnie i moich znajomych.

Nie ulegało wątpliwości, że tekst wraz z fotografią przygotowano znacznie wcześniej, a usłużny redaktor tylko czekał na moment aresztowania. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić, jak Arthur i Rafter, wraz z zapędzonym przez nich do pracy zespołem, przez wiele godzin szczegółowo planowali nasłanie na mnie policji i wszelkie późniejsze posunięcia. Niewątpliwie za owe godziny wystawiono rachunek spółce RiverOaks, choćby dlatego, że była klientem pośrednio uwikłanym w tę aferę.

A cóż to za osiągnięcie rzecznika prasowego firmy?! Cztery akapity w sobotnim wydaniu gazety!

Pakistańczycy nie piekli tradycyjnych pączków z marmoladą, kupiłem więc trochę ciasteczek z płatków owsianych i pojechałem do biura.

Ruby spała na schodkach przed drzwiami. Przyjrzałem jej się uważnie, zachodząc w głowę, od jak dawna tu siedzi. Była przykryta dwiema lub trzema wystrzępionymi pikowanymi kołdrami, głowę trzymała na dużej płóciennej torbie na zakupy, wypchanej zapewne całym jej dobytkiem. Jak sprężyna poderwała się na nogi, kiedy tylko cicho zakasłałem, podchodząc bliżej.

- Dlaczego tu śpisz? - zapytałem.

Łakomym wzrokiem zmierzyła papierową torbę w moim ręku.

- Gdzieś muszę spać.

- Sądziłem, że masz swój samochód.

- Bo mam, ale czasami śpiam gdzie indziej.

Wkraczaliśmy na obszar bezproduktywnej dyskusji na temat powodów, dla których bezdomny śpiera tu, a nie tam. Ruby najwyraźniej była głodna. Otworzyłem drzwi, zapaliłem światło i poszedłem nastawić kawę. Ona pospiesznie zajęła miejsce przy tym samym biurku co poprzednio.

Przy ciastkach i kawie znów zajęliśmy się lekturą gazety. Najpierw czytałem na głos artykuł wybrany przez siebie, później coś z wiadomości mogących ją zainteresować. Celowo

pomiąłem notatkę o moim aresztowaniu.

Wczorajszego popołudnia Ruby wyszła ze spotkania AA/NA w schronisku Naomi. Na pierwszych zajęciach wytrzymała do końca, ale z drugich uciekła. Megan, kierowniczka schroniska, powiadomiła mnie o tym przez telefon na godzinę przed przyjściem Gasko.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytałem, odkładając gazetę.

- Doskonale. A ty?

- Świetnie. Ja niczego nie brałem, a ty?

Lekko rozdziawiła usta i na chwilę uciekła spojrzeniem w bok. Ta chwila zawahania ją zdradziła.

- Ja także niczego nie brałam.

- Nieprawda. Nie okłamuj mnie, Ruby. Jestem twoim przyjacielem i adwokatem, chcę ci pomóc, abyś widywała się z Terrence'em. Niczego jednak nie osiągnę, jeśli będziesz mnie okłamywała. Więc popatrz mi prosto w oczy i powiedz prawdę, czy coś brałaś.

Przygarbiła się jeszcze bardziej i wbiła spojrzenie w podłogę.

- Tak, brałam.

- Dziękuję. Dlaczego wczoraj po południu uciekałaś ze spotkania AA/NA?

- Wcale nie uciekałam.

- Kierowniczka powiedziała mi, że wyszłaś.

- Myślałam, że to już koniec.

Nie zamierzałem dać się wciągnąć w jałową dyskusję.

- Czy dzisiaj również idziesz do Naomi?

- Tak.

- To dobrze. Zawiozę cię, ale musisz mi obiecać, że weźmiesz udział w obu spotkaniach.

- Obiecuję.

- Masz przyjść jako pierwsza na ranne zebranie i wyjść ostatnia z popołudniowego.

Jasne?

- Tak.

- Kierowniczka będzie na ciebie uważała.

Pokiwała głową i sięgnęła po kolejne ciastko, już czwarte. Gdy zaczęliśmy rozmawiać na temat jej syna oraz wymogów kuracji odwykowej, po raz kolejny dotarło do mnie, że bezdomni rzeczywiście znajdują się w beznadziejnej sytuacji. Na tym etapie dla Ruby największym wyzwaniem było powstrzymanie się od brania narkotyków nawet przez jedną dobę.

Jak się domyślałam, zażywała kokainę - cholernie uzależniająca, paskudne świństwo.

Kiedy ruszyliśmy w drogę do schroniska Naomi, niespodziewanie zapytała:

- Wczoraj cię aresztowali, prawda?

Omiał nie wjechałem na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Czy to możliwe, że mimo wszystko widziała wcześniej poranną gazetę? - przemknęło mi przez myśl. Przecież ledwie potrafi czytać!

- Zgadza się.

- Tak myślałam.

- Skąd wiesz?

- Na ulicach słyszy się różne rzeczy.

Ach tak, zapomniałem. Bezdomni mieli własne sposoby przekazywania wiadomości. Pewnie z ust do ust rozeszła się plotka: „Tego młodego adwokata z ośrodka Mordecaia zabrała policja. Gliny wywlokły go na chodnik, jakby był jednym z nas”.

- Zaszło nieporozumienie - dodałem, choć jej to chyba nie obchodziło.

Chóralną pieśń słyszeć było aż na ulicy. Megan otworzyła nam drzwi, powitała serdecznie i poprosiła, bym został na kawę. W sali ogólnej na parterze, gdzie kiedyś mieścił się zapewne wytworny salon, po odśpiewaniu paru pieśni kobiety zaczęły opowiadać koleżankom o swoich problemach. Przysłuchiwaliśmy się temu przez kilka minut. Jako jedyny mężczyzna w tym gronie czułem się cholernie nieswojo.

Później Megan wzięła z kuchni dzbanek z kawą i zaprosiła mnie na krótkie zwiedzanie schroniska. Porozumiewaliśmy się szeptem, gdyż w sąsiedniej sali trwały modlitwy. Na parterze oprócz kuchni znajdowały się prysznice i sale ogólne. Niewielki ogród na tyłach budynku dawał możliwość odizolowania się podopiecznym w chwili załamania. Na pierwszym piętrze mieściła się kancelaria i pokój przyjęć, w dużej sali po drugiej stronie korytarza, gdzie stało kilkadziesiąt krzeseł, organizowano spotkania anonimowych alkoholików i anonimowych narkomanów.

Kiedy ruszyliśmy jeszcze wyżej po wąskich schodach, z dołu doleciał gromki wybuch śmiechu. Biuro Megan było na drugim piętrze. Zaprosiła mnie do środka, lecz gdy tylko usiadłem na krześle, rzuciła mi na kolana poranne wydanie „The Washington Post”.

- Ciężka była ta noc, prawda? - powiedziała z uśmiechem.

Popatrzyłem na swoje zdjęcie.

- Jakoś dało się przeżyć.

- A to skąd? - spytała, wskazując palcem swoją lewą skroń.

- Więźniowi z tej samej celi zamarzyły się moje buty. Musiałem mu je oddać.

Obrzuciła spojrzeniem podniszczone adidas.

- To te?

- Owszem. Prawda, że eleganckie?

- Ile musiałeś tam siedzieć?

- Parę godzin, potem mogłem wrócić do normalnego życia. Powiedzmy, że dostałem lekką nauczkę. Teraz jestem już innym człowiekiem.

Uśmiechnęła się ponownie, tym razem szerzej. Kiedy nasze spojrzenia się zetknęły, aż przeszedł mi dreszcz po plecach. Nie nosiła obrączki. Była wysoka i zgrabna, może trochę za szczupła. Miała kasztanoworude włosy, przystrzyżone na krótko, w kancik, w niemodnym już stylu na pazia. Bardzo duże piwne oczy przykuwały wzrok, nadawały jej twarzy niezwykle ciepły, przyjazny wyraz. Uderzyło mnie, że Megan jest bardzo atrakcyjna, nie miałem pojęcia, dlaczego wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi.

Zaraz naszły mnie też obawy, że za jej zaproszeniem może się kryć coś więcej niż chęć pokazania mi schroniska.

Przez kilka minut opowiadaliśmy nawzajem o sobie. Jej ojciec był kaznodzieją, członkiem episkopatu stanu Maryland, niepoprawnym kibicem drużyny „Redskins” i wielbicielem Waszyngtonu. Już jako nastolatka Megan zdecydowała się pracować społecznie na rzecz najbiedniejszych, uważała to za swoje powołanie.

Ja musiałem przyznać otwarcie, że w ogóle nie myślałem o biedocie jeszcze dwa tygodnie temu. Bardzo ją poruszyła opowieść o napadzie Pana oraz jego uzdrowicielskim wpływie na moje poglądy.

Pod pretekstem skontrolowania Ruby zaprosiła mnie na lunch, obiecała przy tym, że jeśli tylko pojawi się trochę słońca, będziemy mogli zjeść w zaciszu ogrodu.

Pomyślałem, że obrońcy ulicy w niczym się nie różnią od przeciętnych ludzi, mogą znaleźć sobie bliską osobę nawet w tak dziwnym miejscu, jak schronisko dla bezdomnych kobiet.

Po tygodniu przemierzania najmniej ciekawych zakątków Waszyngtonu, odwiedzania różnorodnych przytułków i obcowania z bezdomnymi nie czułem już potrzeby chowania się za plecami Mordecaia przy każdym wyjściu z ośrodka. Był doskonałą tarczą ochronną, lecz jeśli chciałem o własnych siłach przetrwać w tym środowisku, musiałem śmiało skoczyć do wody i nauczyć się w niej pływać.

Nie rozstawałem się z listą prawie trzydziestu schronisk, stołówek i przytułków najczęściej odwiedzanych przez naszych klientów. Zawsze też miałem przy sobie spis osób

eksmitowanych ze starego magazynu wraz z DeVonem Hardym i Lontae Burton.

Tego sobotniego ranka po wyjściu z Naomi pojechałem do Chrześcijańskiego Zgromadzenia Mount Gilead, które mieściło się niedaleko uniwersytetu Gallaudet. Według mojego planu miasta była to charytatywna stołówka zaledwie o parę kroków od skrzyżowania New York i Florida Avenue, gdzie do niedawna stał magazyn. Prowadziła ją młoda kobieta o imieniu Gloria. Kiedy przyjechałem tam o dziewiątej, była w kuchni sama, obierała selery i złorzeczyła, że tego dnia nie zjawił się do pomocy żaden ochotnik. Gdy tylko się przedstawiłem i zdołałem ją przekonać, że naprawdę pracuję w ośrodku prawnym, wskazała mi sąsiednie stanowisko i zapytała, czy nie mógłbym pokroić cebuli. Czy obrońca ulicy potrafiłby odmówić takiej prośbie?

Wyjaśniałem obszernie, że to dla mnie żadna nowość, bo w czasie największych zamieci pracowałem już w kuchni panny Dolly, ona jednak przeprosiła mnie grzecznie, tłumacząc, że ma mnóstwo roboty. Siekając cebulę i ocierając rękawem łzy, opisałem jej sprawę, nad którą pracuję, i zacząłem wymieniać nazwiska osób wyrzuconych z magazynu wraz z DeVonem Hardym i Lontae Burton.

- Przykro mi, ale nie gromadzę danych osobowych - odparła. - Prowadzę tylko stołówkę. Znam zaledwie garstkę stałych klientów.

W końcu zjawił się ochotnik z workiem ziemniaków. Zostawiłem robotę i szybko umyłem ręce. Gloria podziękowała mi za pomoc, wzięła kopię listy eksmitowanych i obiecała nadstawić ucha - może w rozmowach padnie jakieś nazwisko z tego spisu.

Miałem dokładnie rozplanowaną trasę z licznymi postojami, czas mnie naglił. Zamieniłem parę słów z lekarzem z ośrodka medycznego pod Kapitołem, finansowanego z charytatywnych funduszy na rzecz bezdomnych. Prowadzono tam karty chorobowe pacjentów, ale ponieważ była sobota, doktor mógł jedynie obiecać, że w poniedziałek rano poprosi sekretarkę o sprawdzenie nazwisk w komputerze. Gdyby ktoś z eksmitowanych należał do pacjentów ośrodka, mieli mnie powiadomić telefonicznie.

Później musiałem przyjąć zaproszenie na herbatę u proboszcza katolickiej Misji Odkupienia z Rhode Island. Uważnie przejrzał moją listę, ale nie znał nikogo z wyszczególnionych tam ludzi.

- Wie pan, jest tak wielu bezdomnych - westchnął.

Jedyną nieznaczną trudność napotkałem tego ranka przed siedzibą Koalicji Wolności, wielką halą wzniesioną dla jakiegoś dawno zapomnianego zgromadzenia, przekształconą na ośrodek pomocy społecznej. O jedenastej stała tu już długa kolejka oczekujących na lunch. Ominąwszy ich, ruszyłem prosto do wejścia, ale jakiś starszy mężczyzna kilka metrów przed

drzwiami uznał widocznie, że chcę się wcisnąć poza kolejnością, gdyż zaczął mnie głośno lżyć. Ludzie byli głodni, zniecierpliwieni i rozdrażnieni, nawet moja biała skóra nie miała w takiej sytuacji żadnego znaczenia. Zdziwiło mnie jednak, że zostałem uznany za jednego z nich. Wejścia strzegł jakiś ochotnik, który także musiał mnie zaliczyć do bezdomnych, gdyż zagroził mi drogę i odepchnął silnie do tyłu, jakby się spodziewał, że chcę go zaatakować.

- Nie przyszedłem tu jeść! - rzuciłem z wściekłością. - Jestem adwokatem działającym na rzecz bezdomnych!

W tłumie natychmiast zapanował spokój, uznano mnie za niebieskookiego brata. Nadgorliwy ochotnik pospiesznie odsunął się z drogi i wszedłem do środka. Przytułek prowadził tu wielebny Kip, niski pękaty jegomość w czarnej koloratce i czerwonym berecie. W ogóle nie znaleźliśmy wspólnego języka. Kiedy tylko dotarło do niego, że jestem adwokatem, reprezentuję rodzinę Burtonów i zbieram materiały do pozwu sądowego, którego wynikiem może być jakieś odszkodowanie, natychmiast zainteresował się wchodzącą w grę sumą. Straciłem na rozmowę z nim aż pół godziny i wyszedłem, poprzysięgając sobie w duchu, że napuszczę Mordecaia na wielebnego.

Zadzwoiłem do Megan, żeby odwołać wspólny lunch. Wy tłumaczyłem jej, iż jestem na drugim końcu miasta i mam tu jeszcze sporo do załatwienia. W rzeczywistości zaś trochę się bałem, że urocza kierowniczką chce mnie poderwać. Była naprawdę ładna i bardzo miła, ale teraz nie zamierzałem się jeszcze z nikim wiązać. Poza tym nie flirtowałem z kobietami od dziesięciu lat i nie wiedziałem, czy wciąż to potrafię.

Megan miała dla mnie wspaniałe nowiny. Ruby nie tylko dzielnie przetrwała poranną sesję AA/NA, ale podjęła się też nie brać żadnych narkotyków przez dwadzieścia cztery godziny. Podobno na zebraniu rozegrała się iście rozdzierająca scena, którą Megan obserwowała z końca sali.

- Warto by ją dziś zatrzymać z dala od ulicy - oznajmiła na koniec. - Od dwunastu lat nie było w jej życiu dnia bez narkotyków.

Przyznałem rację, ale nie wiedziałem, jak tego dokonać. Na szczęście Megan miała kilka pomysłów.

Popołudnie upłynęło mi równie bezowocnie jak rano, ustaliłem tylko lokalizację wszystkich przytułków w stolicy. Poznałem też ich kierowników i różnych działaczy społecznych, zawarłem znajomości, które już wkrótce mogły zacząć procentować.

Na razie Kevin Lam był jedynym mieszkańcem magazynu, jakiego udało nam się odnaleźć. DeVon Hardy i Lontae Burton nie żyli, zatem pozostało mi z listy eksmitowanych

czternaście osób, które niemal dosłownie zapadły się pod ziemię.

Wiedziałem, że bezdomni z najdłuższym stażem tylko okazyjnie zagląдают do schronisk, czasem przychodzą na posiłek, kiedy indziej po parę butów lub koc, nie zostawiają jednak za sobą śladów. Zazwyczaj nie życzyli sobie żadnej pomocy, nie odczuwali potrzeby utrzymywania kontaktów z innymi ludźmi. Nie mogłem jednak uwierzyć, iż cała czternastka zalicza się do tej właśnie grupy. Ostatecznie jeszcze przed miesiącem wszyscy mieszkali pod jednym dachem i płacili czynsze za wynajmowane klitki.

Coraz częściej przypominałem sobie, że według Mordecaia najważniejszą cechą obrońcy ulicy jest cierpliwość.

W drzwiach schroniska Naomi Ruby powitała mnie szerokim uśmiechem i zawadiackim kuksańcem pod zebra. Zaliczyła oba spotkania i miała pozostawać pod stałym nadzorem, z dala od waszyngtońskich ulic. Megan zaplanowała już następne dwanaście godzin jej życia.

Wyjechaliśmy razem z miasta w kierunku Wirginii. W podmiejskim sklepiku kupiłem szczoteczkę i pastę do zębów, mydło, szampon oraz wielką torbę cukierków, którymi można by obdzielić w święto Halloween dzieciaki z całej dzielnicy.

Uznawszy wreszcie, iż dzieli nas wystarczająca odległość od stolicy, w niewielkim Gainesville znalazłem nowo zbudowany motel, oferujący jednoosobowe pokoje po czterdzieści dwa dolary za dobę. Zapłaciłem kartą kredytową, żeby nie stwarzać dwuznaczej sytuacji.

Zostawiłem Ruby w motelu, przykazując jej, by dokładnie zamknęła drzwi i pozostała w pokoju do czasu, aż przyjadę po nią następnego ranka.

ROZDZIAŁ 28

Nastał sobotni wieczór pierwszego marca. Byłem młody, wolny i choć nie tak bogaty, jak do niedawna, to nadal nie groziło mi ubóstwo. Miałem pudło z mnóstwem wytwornych ubrań, w dużej części nie używanych, i mieszkałem w milionowym mieście pełnym atrakcyjnych młodych kobiet, skuszonych urokami stolicy i - jak głosiło porzekadło - zawsze chętnych do dobrej zabawy.

Siedziałem jednak nad pizzą oraz piwem, oglądałem w telewizji mecz koszykarskiej ligi akademickiej i wcale nie czułem się nieszczęśliwy. Żywiłem obawy, że tego wieczoru jakakolwiek nawiązana znajomość skończy się bezlitosnym pytaniem: „Hej! Czy to nie ciebie wczoraj aresztowano za kradzież? Widziałam twoje zdjęcie w gazetach!”

Zadzwoiłem do Ruby. Podniosła słuchawkę dopiero po ósmym sygnale, zaczynałem już odczuwać lęk. Ochoczo korzystała z dobrodziejstw motelu. Wzięła długą, gorącą kąpiel, zjadła pół torby cukierków i teraz siedziała przed telewizorem. Nawet na krok nie ruszała się z pokoju.

Znajdowała się czterdzieści kilometrów od stolicy, w małym miasteczku położonym przy autostradzie międzystanowej, gdzie z pewnością nie znała nikogo. Niewielkie były szanse na to, że dostanie tam jakieś narkotyki. Mogłem sobie pogratulować.

Mniej więcej w połowie meczu zadzwonił aparat komórkowy leżący na plastikowej skrzynce obok marnych pozostałości pizzy. Szczególnie miły dla mego ucha kobiecy głos zawołał:

- Cześć, więzienny ptaszku!

Dawno nie słyszałem tak dobrego humoru w głosie Claire.

- Cześć - odparłem, ścisząc telewizor.

- Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. A co u ciebie?

- Świetnie. Zobaczyłam twoją uśmiechniętą twarz w porannej gazecie i zaczęłam się niepokoić.

Claire czytywała jedynie prasę niedzielną, więc dzisiejszą wzmiankę o moim aresztowaniu ktoś musiał jej pokazać, być może ten sam napalony doktor, który podniósł słuchawkę, gdy ostatnio chciałem się z nią skontaktować. Czyżby ten sobotni wieczór spędzała samotnie, tak jak ja?

- Zbierałem doświadczenia - odparłem, po czym opowiedziałem jej wszystko, od wkroczenia Gasko do ośrodka aż do mojego wyjścia z aresztu.

Claire wyraźnie chciała z kimś porozmawiać, już po kilkunastu sekundach doszedłem do wniosku, iż naprawdę jest sama i zapewne znudzona. Nie wykluczałem jednak, że rzeczywiście trochę się o mnie zaniepokoiła.

- Jak poważne zarzuty ci wysunięto? - spytała.

- Za kradzież poufnych materiałów grozi do dziesięciu lat więzienia - odparłem posępnym tonem, choć w głębi duszy cieszyłem się z okazywanego przez nią zainteresowania.

- Na razie nie ma sobie czym zawracać głowy.

- Chodzi o tę teczkę z dokumentami, prawda?

- Tak, ale ja jej wcale nie ukradłem.

Z formalnego punktu widzenia była to kradzież, tyle że nie umiałem jeszcze przyznać tego otwarcie.

- I możesz utracić licencję?

- Oczywiście. Jeśli zostanę uznany za winnego kradzieży, odbiorą mi ją automatycznie.

- To straszne, Mike. I co wtedy zrobisz?

- Szczerze mówiąc, nawet o tym nie myślałem. Nie wierzę, aby do tego doszło.

Nie kłamałem, rzeczywiście utraty licencji w ogóle nie brałem pod uwagę. Chyba warto było się zastanowić, jak uniknąć takiej ewentualności, ale dotąd nie miałem na to czasu.

Rozmowa zesłała na temat naszych rodzin. Przypomniałem sobie o przypadłości jej brata i zapytałem, czy udało się u Jamesa zahamować rozwój choroby Hodgkina. Usłyszałem, że rozpoczęto intensywną kurację, rokowania były pomyślne.

Podziękowałem jej za telefon i obiecałem pozostać w kontakcie. Odłożyłem aparat z powrotem na skrzynkę, popatrzyłem na ekran telewizora z wyłączoną fonią i szczerze przyznałem w duchu, że brak mi Claire.

Zastałem Ruby wymytą i uczesaną, w świeżym ubraniu, które Megan dała jej wieczorem przed wyjazdem. Drzwi motelowego pokoju wychodziły prosto na parking, a Ruby musiała na mnie czekać w oknie, bo gdy tylko wysiadłem, wybiegła na zewnątrz i rzuciła mi się na szyję.

- Niczego nie brałam! - zawołała, uśmiechając się szeroko. - Przez całą dobę niczego nie brałam!

Uściskaliśmy się serdecznie. Z sąsiedniego pokoju wyszła jakaś para koło sześćdziesiątki i obrzuciła nas podejrzliwymi spojrzeniami. Mnie jednak nie bardzo

obchodziło, co ludzie sobie pomyślą.

Wróciliśmy do miasta. Personel schroniska Naomi niecierpliwie oczekiwał wieści, całodobową abstynencję Ruby przyjęto gromkimi owacjami. Megan oświadczyła, że za pierwszy dzień bez narkotyków należą się szczególne gratulacje.

Była niedziela i do ośrodka przyjechał z posługą miejscowy pastor. Kobiety zebrały się już w sali ogólnej na nabożeństwo. Wraz z Megan zasiedliśmy w ogrodzie i przy kawie zaczęliśmy snuć plany na następną dobę. Tego dnia także, oprócz nabożeństwa, Ruby miała uczestniczyć w obu spotkaniach AA/NA. Mimo to oboje wykazywaliśmy umiarkowany optymizm. Megan dobrze знаła zwyczaje ludzi uzależnionych i była przekonana, że Ruby wróci do narkotyków, gdy tylko znajdzie się z powrotem na ulicy, poza kontrolą. Takie rzeczy zdarzały się każdego dnia.

Mogłem kontynuować motelową strategię jeszcze przez jakiś czas, pokrywając koszty z własnej kieszeni. Ale tego dnia chciałem o szesnastej polecieć do Chicago, by szukać Hectora. Nie byłem pewien, kiedy wrócę. Ruby zaś bardzo się podobało w motelu, mówiła o tym z autentyczną dumą.

Zdecydowaliśmy się więc działać stopniowo. W niedzielę Megan miała odwiedzić Ruby do motelu, umieścić ją tam na noc i wziąć rachunek na moje nazwisko, a w poniedziałek rano odebrać i przywieźć do schroniska. Dopiero wieczorem musiałyby rozważyć, co robić dalej.

Podjęła się także namówić moją klientkę do porzucenia życia na ulicach. Pierwszym etapem miała być kuracja w zamkniętym ośrodku odwykowym, następnie zaś półroczny pobyt w przejściowym kobiecym schronisku, zapewniającym organizację czasu, przyuczenie do zawodu i dalsze leczenie.

- Cała doba bez narkotyków to olbrzymi postęp - powiedziała - lecz zarazem jedynie pierwszy krok na bardzo trudnej drodze.

Wyszedłem stamtąd, najszybciej jak mogłem. Znow otrzymałem zaproszenie na lunch, który mielibyśmy zjeść tylko we dwoje, w jej gabinecie, żeby jednocześnie omówić parę ważnych spraw. Megan zaszczyciła mnie przy tym tak błagalnym spojrzeniem swoich pięknych oczu, że nie mogłem odmówić.

Prawnicy z kancelarii Drake'a i Sweeneya zawsze podróżowali pierwszą klasą, uważając to za swój nie kwestionowany przywilej. Zatrzymywali się w czterogwiazdkowych hotelach i jadali tylko w renomowanych restauracjach. Kierownictwo zabraniało jedynie wynajmu limuzyn z kierowcami, uznawszy to za zbytnią ekstrawagancję. Należało korzystać z wypożyczonych lincolnów. Co zrozumiałe, wszelkie koszty delegacji pokrywali klienci, a

ponieważ otrzymywali w zamian usługi najlepszych adwokatów świata, nie wolno im było narzekać na wysokie koszty.

Teraz jednak przelot do Chicago spędziłem na wąskim foteliku, w dodatku wykupiłem tańszy bilet tuż przed startem, miałem więc miejsce pośrodku rzędu. Pod oknem siedział jakiś spasiony dżentelmen o kolanach wielkich jak piłki do koszykówki, od strony przejścia zaś niezbyt ładnie pachnący osiemnastolatek o tłustych czarnych włosach uformowanych w perfekcyjny czub Irokeza, ubrany w czarną skórzaną kurtkę z imponującą kolekcją chromowanych ozdób. Tkwiłem w fotelu skulony, z zamkniętymi oczami, starając się za wszelką cenę nie myśleć o tych nadętych bubkach zajmujących miejsca w pierwszej klasie, którą i ja do niedawna latałem.

Podróż ta stała w jawnej sprzeczności z warunkami zwolnienia z aresztu, ponieważ nie wolno mi było opuszczać Waszyngtonu bez zgody sędziego. Ale razem z Greenem doszliśmy do wniosku, że nie jest to wielkie przestępstwo, zwłaszcza jeśli szybko wrócę do stolicy.

Z lotniska O'Hare wziąłem taksówkę do taniego hoteliku w śródmieściu.

Sofia nie zdążyła zdobyć nowego adresu Hectora Palmy, ale wiedziałem, że znajdę go w tutejszych biurach Drake'a i Sweeneya.

Chicagowska filia kancelarii, zatrudniająca stu sześćdziesięciu prawników, stanowiła trzeci co do wielkości oddział po waszyngtońskim i nowojorskim. Szczególnie duża, większa niż w Waszyngtonie, była sekcja nieruchomości, w której pracowało osiemnastu adwokatów. Zakładałem, że między innymi z tego powodu przeniesiono Hectora do Chicago - czekało go tutaj mnóstwo roboty. Przypomniałem sobie zresztą, że jakiś czas temu wśród pracowników kancelarii krążyły plotki o głośnej fuzji chicagowskiej filii Drake'a i Sweeneya z jakimś doskonale prosperującym biurem obrotu nieruchomościami.

W poniedziałek rano zjawiłem się przed wejściem do gmachu Associated Life Center parę minut po siódmej. Dzień był pochmurny i nieprzyjemny, od strony jeziora Michigan wiał porywisty mroźny wiatr. Znalazłem się w Chicago po raz trzeci i jeśli dobrze sobie przypominałem, podczas dwóch wcześniejszych wizyt trafiałem na podobnie wietrzną pogodę. Kupiłem sobie kubek gorącej kawy i gazetę, żeby ukryć za nią twarz, po czym znalazłem dogodny punkt obserwacyjny przy stoliku w rogu gigantycznego atrium. Działały tylko ruchome schody prowadzące na drugi i trzeci poziom, reszty jeszcze nie włączono.

Około wpół do ósmej w atrium zaczął gęstnieć tłum ludzi spieszących do pracy. O ósmej, po trzech kubeczkach kawy, na stałe włączyłem magnetofon ukryty pod płaszczem i zacząłem pilniej wypatrywać Palmy. Na ruchome schody wbiegały setki urzędników,

prawników, sekretarek. Wszyscy nosili grube zimowe płaszcze i z daleka byli bardzo do siebie podobni.

O ósmej dwadzieścia Hector wkroczył do atrium wejściem od strony południowej i w licznej grupie ludzi podążył w głąb holu. Pospiesznie przyglądał palcami zwichrzone przez wiatr włosy. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, ruszyłem kilka metrów za nim i wszedłem na sąsiedni ciąg eskalatora. Zauważyłem, że zeskoczył na pierwszym poziomie i skierował się do windy.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że to on, postanowiłem jednak nie kusić bardziej losu. Ważne było to, że znalazłem potwierdzenie wcześniejszych domysłów - Hectora potajemnie i w pośpiechu przeniesiono z waszyngtońskiego biura do Chicago, zapewne otoczono go ścisłym nadzorem, zamykając mu jednocześnie usta znaczną podwyżką bądź też, jeśli zachodziła taka konieczność, groźbami.

W każdym razie wiedziałem już, gdzie jest Palma, przeczuwałem też, że nie wyjdzie z biura wcześniej niż za osiem do dziesięciu godzin. Z drugiego poziomu atrium, skąd roztaczał się przepiękny widok na jezioro, zadzwoniłem do Megan. Ruby przetrzymała kolejną dobę i była zdecydowana wytrwać dalej. Później powiadomiłem Mordecaia o dokonanym odkryciu.

Zgodnie z ubiegłoroczną broszurą reklamową Drake'a i Sweeneya w tutejszej sekcji nieruchomości działało trzech wspólników. Według obszernego spisu najemców lokali, wiszącego w atrium, wszyscy trzej urzędowali na pięćdziesiątym pierwszym piętrze. Na chybił trafił wybrałem niejakiego Dicka Heile'ego.

Z gromadą ludzi spieszących do pracy na dziewiątą wjechałem na pięćdziesiąte pierwsze piętro. Kiedy tylko wysiadłem z windy, znalazłem się w dobrze mi znanym otoczeniu - marmury, mosiężne okucia, orzechowe meble, przyćmione światło, eleganckie dywany.

Idąc powoli w stronę stanowiska recepcyjnego, rozejrzałem się ukradkiem za poczekalnią, ale nigdzie jej nie dostrzegłem. Recepcjonistka pełniła jednocześnie rolę telefonistki, miała na głowie słuchawki z mikrofonem. Zrobiłem zbolalą minę i przystanąłem przed kontuarem.

- Słucham pana - odezwała się z przymilnym uśmiechem, przełączywszy jakąś rozmowę.

Zagryzłem zęby, z sykiem wciągnąłem przez nie powietrze i jęknąłem:

- Jestem umówiony... ach... na dziewiątą z panem Dickiem Heile'em, ale... bardzo źle się poczułem. Chyba coś mi zaszkodziło. Czy mógłbym skorzystać z toalety?

Przycisnąłem ręce do brzucha i lekko ugiąłem nogi w kolanach, starając się sprawiać takie wrażenie, jakbym rzeczywiście za chwilę miał zwymiotować na biurko.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Poderwała się z miejsca i wskazując ręką, powiedziała szybko:

- Zaraz za rogiem, po prawej.

Zgięty wpół, ruszyłem w tamtym kierunku. Jęknąłem cicho, chcąc zrobić jeszcze większe wrażenie, po czym mruknąłem przez ramię:

- Dziękuję.

- Może dać panu jakieś proszki? - bąknęła niepewnie.

Energicznie pokręciłem głową, zbyt schorowany, by wydusić choć jedno słowo więcej. Za zakrętem korytarza dałem nura do męskiej toalety, zamknąłem się w kabinie i postanowiłem odczekać parę minut.

Odbierała tyle telefonów, że musiała szybko o mnie zapomnieć. Byłem ubrany elegancko, jak adwokat ze znanej kancelarii, toteż nie powinienem budzić specjalnych podejrzeń.

Po dziesięciu minutach wyszedłem śmiało z toalety i ruszyłem dalej korytarzem. Z pierwszego pustego biurka zwędziłem parę czystych kartek i zacząłem po drodze coś na nich zapisywać, jakbym załatwiał niezwykle ważną sprawę. Ukradkiem odczytywałem wszystkie nazwiska na tabliczkach - na drzwiach, przy biurkach, na identyfikatorach przypiętych do piersi zapracowanych sekretarek. Przelotnie zerkałem na siwowłosych mężczyzn w koszulach z krótkimi rękawami i na młodszych, w garniturach i krawatach, rozmawiających przez telefony komórkowe, nawet na maszynistki zaciekle bębniące w klawisze.

Jakże świetnie to wszystko znałem!

Palma miał teraz własny gabinet, co prawda jeszcze bez tabliczki z nazwiskiem, ale dostrzegłem go przez uchylone drzwi. Bez namysłu wskoczyłem do środka i zatrzasnąłem je za sobą.

- Co jest, do cholery?! - rzucił ze złością.

- Witaj, Hectorze.

Nie musiał się mnie bać, co najwyżej obudziłem w nim przykre wspomnienia. Oparł obie dłonie o kant biurka i uśmiechnął się przyjaźnie.

- A niech to... - mruknął.

- Jak się żyje w Chicago? - zapytałem, podchodząc bliżej.

- Co ty tu robisz? - rzekł z niedowierzaniem w głosie.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

- Pracuję - odparł, przekrzywiając głowę.

Został ukryty sto pięćdziesiąt metrów nad poziomem gruntu, w niewielkim gabinecie

bez tabliczki na drzwiach, w bezpiecznym otoczeniu nadzwyczaj ważnych osobistości, a mimo to odnalazł go jedyny człowiek na świecie, przed którym szukał schronienia.

- Jak mnie znalazłeś? - spytał.

- To wcale nie było trudne, Hectorze. Jestem teraz obrońcą ulicy, szczwanym i przebiegłym adwokatem. Jeśli znów zmienisz miejsce pobytu, i tak cię odnajdę.

- Nie zamierzam donikąd uciekać - mruknął, odwracając głowę. I wcale nie chodziło o teatralny gest wykonany specjalnie dla mnie.

- Jutro występujemy z oskarżeniem - wyjaśniłem. - Pozwanymi będą RiverOaks, TAG oraz Drake i Sweeney. Tak więc naprawdę nie masz już dokąd uciekać.

- W czym imieniu występujecie?

- Lontae Burton i jej dzieci. Później będziemy mogli powiększyć grono powodów o innych eksmitowanych, jeśli tylko zdołamy ich odszukać.

Zacisnął powieki i nerwowo potarł palcem nasadę nosa.

- Pamiętasz Lontae, prawda, Hectorze? - ciągnąłem. - To ta młoda matka, która w trakcie eksmisji rzuciła się z pięściami na gliniarzy. Widziałeś to na własne oczy i teraz czujesz się winny, ponieważ znasz prawdę, wiesz, że ci ludzie płacili czynsz Gantry'emu. Opisałeś wszystko w swojej notatce służbowej z dwudziestego siódmego stycznia i chyba osobiście dopilnowałeś, żeby znalazła się ona pośród innych dokumentów w aktach sprawy. Zapewne podejrzewałeś, że w którymś momencie Braden Chance usunie ją z teczki. I tak też się stało. Właśnie z jej powodu przyjechałem, Hectorze. Chciałbym dostać kopię tej notatki. Mam pozostałe dokumenty i zamierzam je ujawnić, warto by więc było skompletować je na nowo.

- Na jakiej podstawie zakładasz, że zachowałem kopię sprawozdania?

- Bo jesteś za sprytny na to, żeby się nie zabezpieczyć. Wiedziałeś, że Chance usunie je z akt w celu zatarcia po sobie śladów. Teraz jednak będzie musiał ponieść odpowiedzialność. Chyba nie chcesz iść na dno razem z nim, prawda?

- A mam wybór?

- Nie - odparłem stanowczo. - Rzeczywiście nie masz wyboru.

Nie trzeba mu było tłumaczyć, że skoro znał całą prawdę o trybie pospiesznej eksmisji, tak czy inaczej musiał złożyć w tej sprawie zeznania. Te zaś powinny pogrzyźć kancelarię Drake'a i Sweeney'a, dni jego kariery były więc policzone. Dość obszernie przedyskutowaliśmy tę kwestię z Mordecaiem i trzymaliśmy w zanadrzu kilka propozycji dla Palmy.

- Jeśli oddasz mi kopię - dodałem - nikt się nie dowie, jak ją zdobyłem. I nie będę także powoływał cię na świadka, dopóki nie zajdzie taka konieczność.

W zamyśleniu pokiwał głową.

- Skąd wiesz, że nie mógłbym kłamać?

- Mógłbyś, wątpię jednak, czy wystarczyłoby ci odwagi. Łatwo udowodnić, że twoja notatka została wpięta do akt, a dopiero później stamtąd zniknęła. Nie zaprzeczysz, że ją napisałeś. Ponadto mamy zeznania ludzi eksmitowanych z magazynu, którzy byliby wspierałymi świadkami przed ławą przysięgłych, w większości złożoną z czarnych. Zdobyliśmy też zeznania ochroniarza, towarzyszącego ci dwudziestego siódmego stycznia podczas eksmisji.

Każde zdanie odbierał niemal jak cios w szczękę. Był przyparty do muru. W rzeczywistości nie udało nam się dotrzeć do żadnego z pracowników firmy ochroniarskiej, ich nazwisk nie było w papierach.

- Tak więc daruj sobie wszelkie wykręty - ciągnąłem. - Tylko byś pogorszył swoją sytuację.

Hector nie należał do ludzi, którzy potrafią łągać w żywe oczy. W końcu to przecież on podrzucił mi kopię listy eksmitowanych, a później klucze umożliwiające zdobycie akt. Był czuły na ludzkie nieszczęście i wcale nie cieszył się z przeprowadzki do Chicago, oznaczającej ucieczkę od przeszłości.

- Sądzisz, że Chance wyjawiał współpracownikom prawdę? - zapytałem.

- Nie wiem, ale wątpię, do tego trzeba by mieć trochę charakteru, a Braden to skończony tchórz... Zdajesz sobie sprawę, że wyleją mnie z pracy?

- Niewykluczone, ale będziesz miał okazję wystąpić z zasadnym pozwem przeciwko kancelarii. Pomogę ci w tym, zaskarżymy ich wspólnie, i to o znaczne odszkodowanie.

Rozległo się pukanie do drzwi, które chyba obaj odebraliśmy jak sygnał powrotu do rzeczywistości.

- Proszę! - zawołał Palma.

Do pokoju zajrzała sekretarka.

- Pan Peck już czeka - oznajmiła, mierząc mnie czujnym spojrzeniem.

- Za minutkę tam będę. - Hector wyszedł zza biurka i stanął przy drzwiach, z dłonią na klamce, po czym mruknął niepewnie: - Muszę iść.

- Nie ruszę się stąd bez kopii sprawozdania.

- Spotkajmy się o dwunastej pod fontanną przed frontowym wejściem do gmachu.

- Dobrze.

Znalazłszy się z powrotem w głównym holu, puściłem oko do recepcjonistki.

- Bardzo dziękuję. Już mi lepiej.

- Nie ma za co - odparła.

Spod fontanny poszliśmy na zachód Grand Avenue do zatłoczonego żydowskiego baru przekąskowego. W kolejce po kanapki Hector dał mi kopertę.

- Mam czworo dzieci - rzekł cicho. - Proszę, nie wydaj mnie.

Schowałem kopertę i już chciałem odpowiedzieć, kiedy błyskawicznie zniknął w tłumie. Zauważyłem tylko, jak przeciska się do wyjścia i rusza z powrotem chodnikiem, postawiwszy kołnierz płaszcza. Wyczuwałem, że ma ochotę puścić się biegiem.

Darowałem sobie lunch. Wróciłem do hoteliku, wymeldowałem się i złapałem taksówkę. Rozsiadłszy się wygodnie na tylnym siedzeniu, w ciepłym zaduchu wypełniającym wnętrze auta, pomyślałem, że nikt na świecie nie wie, gdzie teraz jestem, po czym śmiało otworzyłem kopertę.

Notatka była napisana na komputerze, według przyjętego w kancelarii Drake'a i Sweeneya schematu. W lewym dolnym rogu znajdował się symbol klienta, numer akt oraz data. Sprawozdanie z dwudziestego siódmego stycznia zostało zaadresowane od Hectora Palmy do Bradena Chance'a i dotyczyło eksmisji lokatorów z posesji przy Florida Avenue kupionej przez RiverOaks od spółki TAG. Tego dnia o dziewiątej piętnaście Hector wkroczył do magazynu w towarzystwie Jeffa Mackle'a z firmy Rock Creek Security, a wyszedł stamtąd o dwunastej trzydzieści. Budynek miał trzy piętra, toteż po przeprowadzeniu wizji na parterze Palma poszedł na pierwsze piętro, lecz to było całkiem puste, na drugim zaś znalazł jedynie sterty śmieci i starych ubrań roboczych oraz ślady ogniska, które ktoś tu rozpałił wiele miesięcy wcześniej.

Wrócił więc na parter i w zachodnim końcu hali naliczył jedenaście prowizorycznych mieszkań o ścianach wykonanych z płyt pilśniowych i gipsowych, utworzonych ewidentnie w tym samym czasie przy pewnym nakładzie sił i środków. Z pobieżnych oględzin wynikało, że wszystkie mieszkania są mniej więcej tej samej wielkości. Nie można było do nich wejść, gdyż lekkie, wewnątrz puste drzwi z jakiegoś tworzywa zaopatrzone w solidne zamki i zasuwki.

Instalacja w łazience została wykonana z mocno zniszczonych elementów, panował tam brud. Nic nie wskazywało na przeprowadzenie jakichś remontów czy usprawnień.

W trakcie wizji Hector spotkał samotnego mężczyznę, który przedstawił się jako Herman, lecz w ogóle nie chciał z nim rozmawiać. Kiedy padło pytanie o wysokość czynszu, tamten burknął, że nie płacą nikomu ani grosza, gdyż mieszkają tu samowolnie. Bez wątpienia olbrzymi wpływ na przebieg tej rozmowy miała obecność uzbrojonego i umundurowanego strażnika.

We wschodnim krańcu magazynu znajdowało się dziesięć podobnych prowizorycznych

lokali o identycznej konstrukcji. Płacz niemowlęcia skierował uwagę Hectora na jeden z nich, poprosił strażnika, by stanął przy drzwiach ukryty w cieniu. Na pukanie otworzyła mu młoda matka, na ręce trzymała niemowlę, troje starszych dzieci kręciło się wokół jej nóg. Palma przedstawił się jako pracownik firmy prawniczej, poinformował kobietę, że budynek znalazł nabywcę, a ona będzie musiała w ciągu paru dni się stąd wynieść. Na początku także powiedziała, że jest dziką lokatorką, ale gdy uświadomiła sobie sens jego słów, zaczęła wykrzykiwać, iż legalnie zajmuje to mieszkanie, najęła je od tajemniczego Johnny'ego, który przychodzi około piętnastego każdego miesiąca i zbiera po sto dolarów czynszu. Nie miała jednak żadnej pisemnej umowy. Nie wiedziała też, kto jest właścicielem magazynu, знаła jedynie Johnny'ego. Mieszkała tam już od trzech miesięcy i nie miała się dokąd wyprowadzić. Pracowała po dwadzieścia godzin tygodniowo w sklepie spożywczym.

Hector nakazał jej spakować rzeczy i przygotować się do opuszczenia budynku, który za dziesięć dni powinien zostać wyburzony. Kobieta prawie popadła w histerię. Nie chciał jej bardziej denerwować, zapytał tylko, czy ma jakiś dowód na to, że płaci czynsz za mieszkanie. Szybko wyciągnęła spod materaca torebkę i wręczyła mu kawałek zadrukowanej taśmy ze sklepowej kasy. Na odwrocie paragonu widniał odręczny zapis: „Otrz. od Lontae Burton 15 sty. \$100 czyn.”

Sprawozdanie zajmowało dwie strony, ale dopięto do niego trzecią kartkę, kserokopię ledwie dającego się odczytać pokwitowania. Nie ulegało wątpliwości, że Palma uznał je za dowód, wziął od lokatorki i kopię dołączył do swojej notatki. Litery były nierówne, naskrobane w pośpiechu, zapewne na kolanie, dodatkowo zniekształcone przez kserokopiarkę, ale paragon i tak robił piorunujące wrażenie. Chyba musiałem na jego widok wydać jakiś odgłos, gdyż kierowca taksówki obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

W notatce Hector opisywał wyłącznie to, co widział, słyszał i mówił. Nie dorzucił żadnych komentarzy i wniosków, jak gdyby celowo dawał swojemu przełożonemu wystarczająco długi kawałek liny, by się przekonać, czy tamten się na niej powiesi. Zresztą był tylko zwykłym aplikantem, do jego zadań nie należało udzielanie rad, ferowanie wyroków czy choćby wszczynanie dyskusji na temat prowadzonych spraw.

Z lotniska O'Hare wysłałem Mordecaiowi sprawozdanie telefaksem. Pragnąłem, by nawet w wypadku kraksy samolotu czy też zaginięcia moich bagaży kopia notatki znalazła się wśród dokumentów waszyngtońskiego ośrodka porad prawnych przy ulicy Czternastej.

ROZDZIAŁ 29

Nie znaleźliśmy ojca Lontae Burton, pewnie nikt go nie znał. Natomiast jej matka i całe rodzeństwo przebywało za kratkami. Dlatego zdecydowaliśmy się pominąć najbliższą rodzinę i wystąpić z pozycji kuratorów majątku zmarłej. Kiedy w poniedziałek rano byłem jeszcze w Chicago, Green stanął przed sędzią stołecznego sądu rodzinnego i złożył wniosek o czasowe przyznanie mu prawa do nadzoru nad majątkiem Lontae Burton i czworga jej dzieci. Nie wymagało to zwoływania posiedzenia, a Mordecai dobrze znał tego sędziego, toteż wniosek został przyjęty już po paru minutach i w ten sposób zyskaliśmy kolejnego klienta. Formalnie kuratorką została Wilma Phelan, znana Greenowi pracownica opieki społecznej. Miała odegrać minimalną rolę podczas rozprawy, a w wypadku uzyskania jakiegoś odszkodowania mogła liczyć na niewielkie honorarium.

Jeżeli nawet Fundacją Cohena źle zarządzano pod względem finansowym, to utrzymywany przez nią charytatywny ośrodek porad prawnych funkcjonował w ramach ściśle określonych przez regulamin statutowy. Założyciel fundacji był nie tylko prawnikiem, ale w dodatku człowiekiem skrupulatnym i dokładnym. Stąd też, jeśli nawet nikomu z nas się to nie podobało, mogliśmy dowolnie występować z oskarżeniami z powództwa cywilnego, lecz kwestia podziału ewentualnych odszkodowań została z góry narzucona. Mieliśmy prawo jedynie do dwudziestu procent wywalczonej sumy, mimo że zwyczajowo adwokaci zatrzymywali dla siebie jej trzecią część, a niektórzy w szczególnych wypadkach brali nawet czterdzieści procent.

W dodatku z owych dwudziestu procent ośrodek mógł zatrzymać dla siebie tylko połowę, reszta zasilala konto fundacji. W ciągu czternastu lat działalności Mordecai jedynie dwa razy miał okazję skorzystać z tych przepisów. Za pierwszym razem wygrał sprawę, lecz z powodu zakwestionowania decyzji przysięgłych nie uzyskał żadnego odszkodowania. Później wystąpił w imieniu bezdomnej potrąconej przez miejski autobus. Wywalczył sto tysięcy dolarów odszkodowania i za należne ośrodkowi dziesięć tysięcy kupił nowe aparaty telefoniczne oraz komputery. Teraz także sędzia z niedowierzaniem przyjął takie warunki umowy, nie zakwestionował ich jednak. Mogliśmy zatem występować w imieniu nowego klienta.

Mecz między reprezentacjami uniwersytetów z Georgetown i Syracuse rozpoczął się kwadrans przed dwudziestą, Green jakimś cudem zdobył dwa bilety. Mój samolot wylądował

punktualnie o osiemnastej dwadzieścia i już pół godziny później spotkałem się z Mordecaiem przed wschodnim wejściem do hali widowiskowej Air Arena w Landover. Znaleźliśmy się w otoczeniu dwudziestu tysięcy miłośników koszykówki. Wręczył mi bilet, po czym wyciągnął z kieszeni płaszcza grubą kopertę. List polecony z zarządu waszyngtońskiej palestry adwokackiej wysłano pod adresem ośrodka.

- Przyszedł dzisiaj - oznajmił Green takim tonem, jakby już wiedział, co znajduje się w środku. - Zajmij miejsca, dołączę do ciebie za parę minut - dodał i zniknął w tłumie kibiców.

Otworzyłem list i przekonałem się, że przyjaciele z kancelarii Drake'a i Sweeneya wytoczyli przeciwko mnie najcięższe działa.

Otrzymałem kopię skargi złożonej w komisji rewizyjnej, w której zarzucano mi działania niezgodne z etyką zawodową. Szczegółowy opis przewinień zajmował trzy strony, ale dał się skrócić do jednego akapitu. Wykradłem poufne akta, przez co naruszyłem zasady tajemnicy służbowej. Wnioskodawcy proponowali całkowite pozbawienie mnie licencji lub długoterminowe zawieszenie prawa wykonywania zawodu połączone z udzieleniem publicznej nagany. Zaznaczano ponadto, że akta wciąż się nie odnalazły, a ponieważ dotyczyły nadzwyczaj pilnej sprawy, odpowiednie procedury należało zastosować jak najszybciej.

Do tego dołączono liczne uzasadnienia, formularze i inne papierki, które ledwie przebiegłem wzrokiem. Całość tak mną wstrząsnęła, że z trudem zebrałem myśli. Brałem pod uwagę formalne konsekwencje mojego czynu na gruncie palestry. Byłbym idiotą, sądząc, iż współnicy kancelarii zrezygnują z jakichkolwiek dostępnych kroków na drodze do odzyskania dokumentów. Łudziłem się jednak, że moje aresztowanie przynajmniej na jakiś czas ich usatysfakcjonuje.

Tak się nie stało. Pałali żądzą krwi. Obrali doskonale mi znaną, typową dla potężnych firm taktykę frontального ataku i niebrania żadnych jeńców. Nie wiedzieli jedynie, że już jutro, punktualnie o dziewiątej rano, z największą przyjemnością złożę w kancelarii sądu pozew przeciwko nim, domagając się dziesięciomilionowego odszkodowania za nieumyślne spowodowanie śmierci całej rodziny Burtonów.

Według mego rozeznania nie mogli mi nic więcej zrobić. Nie musiałem się obawiać jakichkolwiek nakazów i następnych listów poleconych. Wyłożyli na stół wszystkie swoje atuty i szczegółowo rozplanowali linię frontu. Odczuwałem nawet pewną ulgę, że wpłynął już wniosek do komisji rewizyjnej palestry.

Ale jednocześnie ogarnął mnie lęk. Od chwili rozpoczęcia studiów prawniczych przed dziesięcioma laty w ogóle nie brałem pod rozwagę możliwości pracy w innym zawodzie. Co miałbym teraz robić, gdyby mi odebrano licencję adwokata?

No cóż, Sofia nigdy jej nie miała, a przecież wykonywała te same zadania co ja.

Mordecai czekał przy wejściu do sektora, w którym mieliśmy miejsca. Pokrótce zrelacjonowałem mu treść wystąpienia do zarządu palestry. Złożył mi serdeczne kondolencje.

Zapowiadał się pasjonujący i zacięty mecz, ale nie przyszliśmy tu w celu kibicowania sportowcom. Jeff Mackle, pracujący na pół etatu w Rock Creek Security, należał dzisiaj do grona pilnujących porządku w hali. Sofia dowiedziała się tego kilka godzin wcześniej. Musieliśmy podjąć próbę odnalezienia go wśród jakiejś setki strażników kręcących się przed halą i w środku, ochoczo wykorzystujących możliwość obejrzenia za darmo meczu.

Nie mieliśmy pojęcia, jak on wygląda, jest młody czy stary, czarny czy biały, gruby czy chudy, ale na szczęście ochroniarze nosili plakietki z nazwiskami przypięte nad kieszonką munduru. Łaziliśmy więc po schodach i korytarzach, sprawdzając wszelkie zakamarki. Dopiero tuż przed przerwą Mordecai namierzył Mackle'a pogrążonego w rozmowie z bileterką przy wejściu D, gdzie przechodziłem już dwukrotnie.

Był potężnie zbudowany, biały, o ostrych rysach, w przybliżeniu równy mi wiekiem. Jego byczy kark i potężne bicepsy mogły budzić podziw, a nadzwyczaj szerokie bary chyba odstraszały ewentualnych przeciwników. Naprędce odbyliśmy z Greenem krótką naradę, w której zapadła decyzja, abym sam spróbował z nim porozmawiać. Trzymając w palcach przygotowaną wcześniej wizytówkę, podeszedłem do strażnika i przedstawiłem się:

- Pan Mackle? Nazywam się Michael Brock i jestem adwokatem.

Obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem i bez słowa wziął wizytówkę. Chyba chciał mi dać do zrozumienia, że mu przeszkadza w miłej rozmowie z uroczą bileterką.

- Czy mógłbym zadać panu kilka pytań? - odezwałem się tonem inspektora z wydziału zabójstw.

- Może pan, ale ja nie muszę odpowiadać. - Porozumiewawczo puścił oko do bileterki.

- Czy kiedykolwiek wypełniał pan jakieś zadania na zlecenie kancelarii Drake'a i Sweeneya, znanej waszyngtońskiej firmy prawniczej?

- Niewykluczone.

- Pomagał pan w przeprowadzaniu eksmisji?

Musiałem trafić w czuły punkt, gdyż spoważniał błyskawicznie i przybrał groźną minę. Domyśliłem się, że niczego nie powie.

- Nie pamiętam - mruknął, odwracając wzrok.

- Na pewno?

- Nie przeprowadzałem żadnych eksmisji.

- Czwartego lutego nie było pana w starym magazynie, z którego wyrzucono

wszystkich lokatorów?

Z zaciśniętymi wargami i półprzymkniętymi powiekami energicznie pokręcił głową. Domyślałem się, że ktoś z kancelarii Drake'a i Sweeneya już zdążył porozmawiać z panem Mackle albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, zasypać pogrozkami szefa firmy ochroniarskiej.

W każdym razie Mackle milczał jak zakłęty. Bileterka zaczęła nagle wnikliwie przyglądać się własnym paznokciom. Nie miałem już na co liczyć.

- Wcześniej czy później będzie pan musiał odpowiedzieć na moje pytania - rzuciłem.

Tamten tylko bezgłośnie zgrzytnął zębami, ale nic nie odpowiedział. Wołałem go bardziej nie naciskać. Coś mi podpowiadało, że ten brutalny prostak jest wybuchowym typkiem, a jeden cios jego pięści z pewnością wystarczył, żeby każdemu obrońcy ulicy wybić z głowy wszelkie głupoty.

Obejrzałem dziesięć minut drugiej połowy meczu i wyszedłem, gdyż niespodziewanie znów odezwały się bóle w lewym boku stłuczonym w kraksie samochodowej.

Zajechałem przed nowy motel na północnych krańcach Bethesdy. Tu także pokoje były po czterdzieści dolarów za dobę. Już po trzech dniach, przekonany przez Megan, musiałem uwolnić Ruby spod ścisłego nadzoru i przerwać tę swoistą kurację. Jeśli moja klientka zamierzała nadal wstrzymywać się od brania narkotyków, musiała przejść prawdziwie ogniową próbę powrotu do życia na ulicach.

Punktualnie o siódmej trzydzieści we wtorek rano zapukałem do drzwi pokoju na pierwszym piętrze oznaczonego numerem dwieście dwadzieścia. Nikt nie odpowiedział. Zapukałem drugi raz, potem trzeci, wreszcie szarpnąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte. Pobiegnę do biura i poproszę recepcjonistkę, żeby zadzwoniła do tego pokoju. Nikt też nie podniósł słuchawki. Ruby się nie wymeldowała, w nocy nie zaszło nic nadzwyczajnego.

Kiedy zjawiała się kierowniczką motelu, przekonałem ją, że musiało się jednak coś stać. Przywołała uzbrojonego strażnika i we troje poszliśmy do pokoju numer dwieście dwadzieścia. Po drodze wyjaśniałem, jakiego typu opiekę sprawuję nad klientką i dlaczego pokój nie został wynajęty na jej prawdziwe nazwisko. Kierownicze ani trochę nie przypadła do gustu myśl, że motel jest wykorzystywany jako prywatny ośrodek odwykowy.

W pokoju nie zastaliśmy nikogo. Łóżko było równiutko posłane, nikt w nim nie spał tej nocy. Na szczęście wyposażenie pozostało na miejscu, ale nigdzie nie znalazłem ani jednej rzeczy osobistej Ruby.

Podziękowałem kierownicze i odjechałem. Motel od naszego ośrodka dzieliło ze

dwadzieścia kilometrów. Zadzwoiłem do Megan, żeby przekazać jej złe nowiny, po czym wcisnąłem się w szeroką rzekę pojazdów zmierzających w stronę centrum Waszyngtonu. Kwadrans po ósmej, utkwivszy w gigantycznym korku, zadzwoniłem do biura i spytałem Sofię, czy Ruby nie pokazała się dziś rano. Tam również jej nie było.

Spisaliśmy krótki i treściwy pozew. Wilma Phelan, sprawująca pieczę nad majątkiem Lontae Burton i jej dzieci, oskarżała spółki RiverOaks, Drake i Sweeney oraz TAG Inc. o spisek zmierzający do przeprowadzenia niezgodnej z prawem eksmisji. Logiczny wywód uzasadnienia nie pozostawiał wątpliwości, powiązania między pozwanymi były klarowne i oczywiste. Nasza klientka nie musiałaby nocować w porzuconym samochodzie, gdyby nie została siłą usunięta z najmowanego lokalu, a zatem nie zginęłaby, gdyby nie próbowała się ogrzać we wnętrzu auta. Odpowiedzialność prawna pozwanych nie budziła zastrzeżeń. Każdy skład przysięgłych w tym kraju powinien zaakceptować racjonalne przesłanki.

Co więcej, świadome działania pozwanych spowodowały dającą się przewidzieć śmierć klientki. Mieszkańcy ulic cierpią okrutny los, szczególnie bezlitosny dla młodych matek z małymi dziećmi. Skoro więc bezprawnie wyrzuca się takich ludzi z mieszkań, trzeba się liczyć z poważnymi konsekwencjami wyrządzanej im krzywdy.

Zastanawialiśmy się nawet, czy nie złożyć oddzielnego pozwu w imieniu Pana. On również należał do grona wyeksmitowanych, zrodziły się jednak wątpliwości, czy jego śmierć można uznać za przewidywalną. Zresztą wzięcie zakładników i grożenie im śmiercią ani trochę nie przemawiało na korzyść ewentualnego powoda. Trudno by nam było bronić motywów jego postępowania, dlatego też postanowiliśmy wykluczyć DeVona Hardy'ego z grona potencjalnych klientów.

Podejrzewaliśmy, że wspólnicy kancelarii Drake'a i Sweeneya niezwłocznie wystąpią do sędziego z wnioskiem o zwrot skradzionych przeze mnie akt. Jego konsekwencją mógł być sądowy nakaz, którego musiałbym usłuchać, co jednocześnie oznaczałoby moje przyznanie się do winy. Realna zatem stawała się groźba utraty licencji adwokackiej. Zarazem wszelkie dokumenty znajdujące się w teczce zostałyby automatycznie wykluczone z materiału dowodowego.

Kiedy we wtorek po raz ostatni sprawdzaliśmy z Mordecaiem treść pozwu, zapytał mnie ponownie, czy wciąż mam ochotę występować na drogę sądową. W celu ochrony mojej pozycji gotów był zrezygnować ze składania oskarżenia. Zaproponował nawet, aby w wypadku pojawienia się pierwszej okazji do osiągnięcia ugody z kancelarią Drake'a i Sweeneya wycofać pozew w zamian za oczyszczenie mnie z zarzutów, odczekać rok, po czym przekazać sprawę

któremuś ze znanych mu sędziów, gdzieś na drugim końcu miasta. Nie spodobał mi się ten plan, nie musiałem jednak namawiać Greena, by od niego odstąpił.

Wreszcie złożył swój podpis i pojechaliśmy do sądu. Po drodze jeszcze raz odczytywałem na głos treść pozwu. Odnosiłem wrażenie, że z każdą upływającą minutą papiery zaczynają coraz bardziej ciążyć mi w rękach.

Cały czas wierzyliśmy w pomyślne negocjacje. Ujawnienie takiej sprawy musiało być wielkim upokorzeniem dla dumnej i potężnej kancelarii, poważnym uszczerbkiem na nieskalanej reputacji firmy, skazą na jej wiarygodności. Doskonale znałem ten swoisty kult słynnych prawników, nigdy nie postępujących źle, jak również niemal paranoiczny lęk przed zarzutem o działania bezprawne. Sam mechanizm robienia wielkich pieniędzy implikował głęboko ukryte poczucie winy oraz silną potrzebę okazywania współczucia tym, którym się gorzej powodziło.

Tymczasem spółka Drake'a i Sweeneya popełniła błąd.

Podjerzywałem, że nikt z kierownictwa firmy nawet się nie domyśla, jak wielki był to błąd. W głębi ducha miałem nadzieję, że Braden Chance ukrywa się w swoim gabinecie i poświęca czas na ciche modlitwy, by chwila jego klęski nigdy nie nadeszła.

Ale i ja nie miałem czystego sumienia. Dlatego bardzo liczyłem na to, że któregoś dnia spotkamy się w starym gronie i ustalimy warunki ugody. Tylko w ostateczności Mordecai Green przedstawiłby sprawę rodziny Burtonów sędziom przysięgłym, domagając się w imieniu zmarłej klientki sowitego odszkodowania. Natomiast wspólnicy kancelarii mogliby wystąpić o najwyższy wymiar kary za dokonaną przeze mnie kradzież poufnych dokumentów.

Byłem jednak przekonany, że sprawa Burtonów nigdy nie trafi na wokandę. Wciąż potrafiłem myśleć jak prawnik Drake'a i Sweeneya. Wizja wystąpienia przed waszyngtońską ławą przysięgłych musiała budzić skrajne przerażenie. Szum wywołany publikacją w prasie powinien nakłonić wspólników firmy do szukania dróg minimalizacji własnych strat.

Tim Claussen, przyjaciel Abrahama ze szkolnej ławy, pracujący obecnie w redakcji „The Washington Post”, czekał już na nas w gmachu sądu. Od razu dostał kopię pozwu. Zanim Mordecai zdążył załatwić formalności w kancelarii, dziennikarz zapoznał się z jego treścią i zaczął zadawać pytania, na które odpowiadałem z największą przyjemnością. Ale moje nazwisko nie mogło się pojawić w artykule.

Sprawa rodziny Burtonów stopniowo nabierała coraz większego znaczenia politycznego i społecznego. Urzędnicy nawzajem obarczali siebie winą za tę tragedię, niemal każdy kierownik stołecznego wydziału czuł się zobowiązany zabrać głos. Rada miejska obwiniała burmistrza, ten piętnował decyzje rady, a wszyscy razem pomstowali na

kongresmanów. Na Kapitolu zaś niektórzy skrajnie prawicowi politycy traktowali to jak wyśmienitą okazję do przedstawienia długiej listy zarzutów burmistrzowi, radzie miejskiej, jak też całej waszyngtońskiej biurokracji.

Możliwość przedstawienia najcięższych oskarżeń gromadzie białych, bogatych i wpływowych prawników stanowiła atrakcyjne zwieńczenie tej sytuacji. I nawet Claussen, kostyczny i oschły, wręcz nieczuły po wielu latach pracy dziennikarskiej, nie potrafił ukryć entuzjazmu.

Ani trochę nie przejmowałem się tym, że przygotowana zasadzka miała dotknąć wszystkich pracowników kancelarii Drake'a i Sweeneya. To firma ustaliła takie reguły gry tydzień wcześniej, powiadamiając prasę o moim aresztowaniu. Niejednokrotnie widziałem oczami wyobraźni, jak Rafter i gromada współpracujących z nim adwokatów procesowych z radością dochodzi przy stole konferencyjnym do wniosku, że konieczne jest ujawnienie opinii publicznej mojego poniżenia, które należy maksymalnie zwiększyć, dostarczając redakcji zdjęcie kryminalisty. Pragnęli mnie upokorzyć, wzbudzić poczucie winy, jakby była to jedyna metoda wywarcia nacisku i wymuszenia zwrotu skradzionej teczki.

Znałem mentalność tych ludzi, toteż ochoczo podjąłem zaczęta przez nich rozgrywkę.

Właśnie dlatego z rozkoszą udzielałem reporterowi obszernych wyjaśnień.

ROZDZIAŁ 30

Na dyżur w CCNV przyjechałem sam, w dodatku spóźniony o dwie godziny. Ludzie cierpliwie czekali pod ścianą na podłodze, niektórzy drzemali, inni przeglądali gazety. Tylko Ernie, otwierając drzwi „izby przyjęć”, mruknął coś o lekceważeniu obowiązków i odrywaniu go od innych zajęć. Sztywno wręczył mi kartkę z trzynastoma nazwiskami i szybko odszedł. Zaprosiłem pierwszego klienta do sali.

Byłem zaskoczony tym, jak bardzo się zmieniłem przez ostatni tydzień. Wkraczałem do tego budynku bez najmniejszej obawy, że zostanę napadnięty czy postrzelony. W korytarzu czekałem na Erniego bez cienia wstydu za kolor mojej skóry. Wysłuchiwałem klientów z uwagą, ale czasem ich poganiałem, gdyż nie byłem już pełnym żółtodziobem. Trochę się nawet do nich upodobniłem - miałem tygodniowy zarost, opadające na uszy włosy przestałem czesać tak starannie, jak dotąd, chodziłem w wymiętych spodniach i powycieranym swetrze, najczęściej z poluzowanym krawatem, i wciąż w tych samych zniszczonych adidasach. Podejrzywałem, że gdyby uzupełnić ten wygląd o ciężkie okulary w kościanej oprawce, mógłbym uchodzić za stereotyp obrońcy praw publicznych. Moich klientów ani trochę to nie interesowało. Przede wszystkim chcieli się komuś zwierzyć z własnych problemów, a wysłuchanie ich należało do moich obowiązków.

Ostatecznie przyjąłem siedemnaście osób, na co poświęciłem cztery godziny. Na ten czas całkowicie zapomniałem o zbliżającej się batalii z kancelarią Drake'a i Sweeneya. Zapomniałem także o Claire, konstatuując ze smutkiem, iż przychodzi mi to bez żadnego trudu. Nie pamiętałem nawet o Hectorze Palmie i mojej podróży do Chicago.

Nie mogłem jednak przestać myśleć o Ruby Simon. Podświadomie łączyłem każdego nowego klienta z jej osobą. Nie martwiłem się o jej bezpieczeństwo, w końcu wcześniej przetrwała na ulicach znacznie dłużej, niż ja byłbym do tego zdolny. Nie umiałem sobie wyjaśnić, z jakiego powodu uciekła z motelowego pokoju, wyposażonego w prysznic i telewizor, żeby wrócić pieszo do odległego miasta i swojego porzuconego samochodu.

Przekonywałem sam siebie, że jedynym wytłumaczeniem jest jej uzależnienie, kokaina jak magnes przyciąga Ruby z powrotem na ulicę.

Jeśli nie umiałem jej utrzymać pod kluczem w motelu na przedmieściach przez trzy noce z rzędu, to jak mogłem pomóc w całkowitym uwolnieniu się od nałogu?

W tej sprawie decyzja nie należała jednak do mnie.

Po południu biurową rutynę przerwał mi telefon od mego brata, Warnera, który niespodziewanie zawitał służbowo do stolicy, pokonał trudności ze zdobyciem mojego nowego numeru telefonu i chciał się ze mną spotkać na obiedzie. Zanim zdążyłem się odezwać, dodał pospiesznie, że on funduje, a w dodatku słyszał o nowo otwartym lokalu Danny'ego O, gdzie jego kumpel był przed tygodniem i gdzie podają fantastyczne żarcie. Ja od dłuższego czasu nie jadłem porządnego obiadu.

Odparłem, że możemy się spotkać u Danny'ego O, choć była to restauracja przereklamowana, wiecznie zatłoczona i droga.

Gapiłem się na słuchawkę jeszcze długo po zakończeniu rozmowy. Nie miałem ochoty na spotkanie z Warnerem, nie chciałem wysłuchiwać jego pouczeń. Podejrzywałem, że wcale nie przyjechał do Waszyngtonu służbowo, bo takie podróże trafiały mu się najwyżej raz w roku. Musieli go tu przysłać rodzice. Widocznie w Memphis nastąpiła prawdziwa żaloba, wylewano łzy nad drugim rozwodem w rodzinie, dodatkowo okraszonym moją dezercją z grona wybrańców losu. Ktoś musiał się przekonać, jak jest naprawdę, a do tego najlepszy był Warner.

Spotkaliśmy się w zapchanym barze u Danny'ego O. Wyciągnąłem rękę na powitanie, lecz Warner najpierw odsunął się o krok, żeby zmierzyć uważnym spojrzeniem moje włosy, brodę, spodnie, buty.

- Wyglądasz jak prawdziwy radykał - rzekł z typową dla siebie mieszaniną humoru i sarkazmu.

- Miło mi cię widzieć - odparłem, ignorując kabotyńską zaczepkę.

- Chyba schudłeś - oznajmił.

- W przeciwieństwie do ciebie.

Uśmiechnął się i poklepał po wydatnym brzuszku, jednoznacznie dowodzącym nieregularnego trybu życia.

- Nie bój się, zrzucę to.

Skończył trzydzieści osiem lat, ale wciąż musiał uchodzić za atrakcyjnego, zresztą bardzo dbał o prezencję. Moja lakoniczna uwaga o jego tuszy powinna stać się powodem do zdwojenia wysiłków w celu zrzucenia nadwagi w ciągu miesiąca. Był rozwodnikiem już od trzech lat i kobiety wiele znaczyły w jego życiu. Podczas rozprawy pojawiły się oskarżenia o zdradę małżeńską, lecz padały z obu stron.

- Wyglądasz znakomicie - powiedziałem szczerze.

Nosił nie tylko garnitur, ale i koszulę szytą na miarę, do tego bardzo drogi krawat.

Wciąż miałem pełną torbę takich ciuchów.

- Ty również. Teraz tak się ubierasz do pracy?

- Najczęściej. Czasami rezygnuję z krawata.

Zamówiliśmy dwa heinekeny i popijaliśmy je na stojąco.

- Co u Claire? - zapytał, przechodząc do rzeczy.

- Pewnie wszystko w porządku. Złożyliśmy papiery o rozwód bez orzekania winy.

Wyprowadziłem się od niej.

- Jest szczęśliwa?

- Chyba głównie zadowolona, że pozbyła się mnie ze swego życia. Podejrzewam, że jest bardziej szczęśliwa niż miesiąc temu.

- Znalazła innego faceta?

- Nie sędzę - odparłem, nakazując sobie w myślach ostrożność. Byłem przekonany, że cała ta rozmowa, nawet ze szczegółami, zostanie powtórzona rodzicom, ci zaś spodziewali się zapewne jakichś skandalicznych przyczyn nieoczekiwanego rozwodu. Bez wątpienia chcieli obarczyć winą Claire, bo tylko w wypadku jej zdrady nasz rozwód stałby się dla nich w pełni zrozumiałym.

- A ty masz kogoś?

- Nie. Byłem jej wierny.

- No to czemu się rozwodzicie?

- Z wielu różnych powodów, o których wolałbym teraz nie mówić.

Nie tego oczekiwał. Jego rozwód miał burzliwy przebieg, obie strony walczyły o prawo do opieki nad dziećmi. Wielokrotnie aż do znudzenia relacjonował mi przez telefon szczegóły rozprawy. Sądził chyba, że odwzajemnię mu się tym samym.

- Tak po prostu obudziłeś się pewnego dnia i postanowiłeś się rozwieść?

- Sam przez to przechodziłeś, Warner. Nic nie jest aż tak proste.

Kierownik sali poprowadził nas do stolika. Po drodze spostrzegłem Wayne'a Umsteada w towarzystwie dwóch nie znanych mi mężczyzn. On także znalazł się w gronie zakładników, to właśnie jemu Pan kazał wciągnąć do sali wózek z porcjami obiadowymi, to jego głowę kula snajpera minęła zaledwie o centymetry. Na szczęście Umstead mnie nie zauważył.

Kopia naszego pozwu została doręczona Arthurowi Jacobsowi, prezesowi zarządu spółki, punktualnie o jedenastej, kiedy pełniłem dyżur w CCNV. Umstead nie był współnikiem kancelarii, mimo to zacząłem się zastanawiać, czy wiedział już o wystosowanym przeciwko firmie oskarżeniu.

Doszedłem do wniosku, że musiał wiedzieć. Podczas zwoływanych pospiesznie narad z pewnością wieść o pozwie przedstawiono najważniejszym pracownikom. Natychmiast rozpoczęto przygotowania do obrony, wydawano rozkazy, przydzielano miejsca w okopach. Zapewne padło także polecenie zachowania ścisłej tajemnicy. Trzeba było utrzymać pozory, że nic wielkiego się nie stało.

Dostaliśmy stół, którego Umstead nie mógł widzieć ze swego miejsca. Rozejrzałem się pospiesznie, żeby sprawdzić, czy w restauracji nie ma innych moich wrogów. Warner zamówił dwie porcje martini, ale szybko zrezygnowałem z wina i poprosiłem kelnera o szklanekę wody.

Dla mojego brata wszystko musiało się toczyć pełnym gazem - praca, rozrywki, posiłki, alkohole, kobiety, nawet książki czy stare filmy. Raz omal nie zamarzył na śmierć w peruwiańskich Andach, kiedy indziej został ukąszony przez jadowitego węża wodnego podczas nurkowania u wybrzeży Australii. Okres jego powrotu do kawalerskiego życia po rozwodzie trwał wyjątkowo krótko, głównie dlatego, że Warner uwielbiał podróżować - latał na lotni i wspinał się na skały, rywalizował z rekinami i nawiązywał romanse, a wszystko to robił w tempie niewiarygodnym.

Był współnikiem dużej firmy prawniczej z Atlanty i zarabiał kupę forsy. Większość wydawał jednak lekką ręką. Nasza rozmowa wcześniej czy później musiała zejść na temat pieniędzy.

- Woda? - mruknął pogardliwie. - Nie wyglupiaj się! Mamy okazję, żeby wypić coś mocniejszego.

- Nie, dziękuję.

Wiedziałem, z jaką łatwością Warner przechodzi od martini do cięższych win, a potem whisky. Przesiedzielibyśmy w restauracji parę godzin, wyszli z niej chwiejnym krokiem, a on i tak przy pierwszej sposobności usiadłby przed swoim laptopem, błyskawicznie uwalniając myśli z alkoholowego zaćmienia. Najwyżej rano leczyłby drobnego kaca.

- Maminsynek! - parsknął.

Zagłębiłem się w karcie, on zaczął odprowadzać pożądanymi spojrzeniami każdą kobietę. Kelner przyniósł wodę i martini, zamówiliśmy dania.

- Opowiedz mi o swojej pracy - rzekł mój brat, nieudolnie starając się robić wrażenie szczerze zainteresowanego.

- Po co?

- Musi być fascynująca.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Zrezygnowałeś z prostej drogi do fortuny. Chciałbym się dowiedzieć, co cię do tego skłoniło.

- Przyjmij, że powody były wystarczająco dobre, ale tylko dla mnie.

Warner musiał wcześniej zaplanować tę rozmowę. Uparcie dążył do wyznaczonego sobie celu, spieszyło mu się do uzyskania konkretnych rezultatów, realizował więc kolejne punkty założonego scenariusza. Tyle że ja nie byłem pewien, o co mu chodzi.

- Aresztowali mnie w ubiegłym tygodniu - wtrąciłem, pragnąc tą szokującą informacją zbić go z pantałyku.

- Co takiego?!

Opowiedziałem mu wszystko, nie pomijając żadnych szczegółów. Cieszyło mnie, że przejąłem inicjatywę w rozmowie. Warner skrzywił się z pogardą na wieść o popełnionej przeze mnie kradzieży, nie dodałem jednak ani jednego słowa na swoją obronę. Zaginięcie akt było odrębną, dosyć skomplikowaną sprawą, której konsekwencji żaden z nas nie chciał omawiać w miejscu publicznym.

- Wynika stąd, że spaliłeś za sobą mosty prowadzące do kancelarii Drake'a i Sweeneya - mruknął z pełnymi ustami.

- Nieodwołalnie.

- Jak długo jeszcze zamierzasz być obrońcą praw publicznych?

- Dopiero zacząłem, nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad ewentualnym zakończeniem kariery. Dlaczego pytasz?

- Chcę wiedzieć, jak długo można pracować za marne grosze.

- Dopóki mi starczy na chleb.

- Czyżby sam chleb stał się dla ciebie wyznacznikiem poziomu życia?

- Na razie. A jaki jest twój wyznacznik? - zadałem retoryczne pytanie.

- Forsa. Liczy się tylko to, ile zdołam wyciągnąć, ile będę mógł wydać i ile odłożyć na korzystnych warunkach, żeby patrzeć spokojnie, jak majątek przyrasta, bym któregoś dnia opływał we wszelkie dostatki i nie musiał się o nic martwić.

Ileż razy to słyszałem?! Najbardziej godna podziwu była bezwstydną chciwość! Od wczesnego dzieciństwa wbijano nam do głowy właśnie takie ideały, najwyżej ujęte w nieco złagodzoną formę: należy ciężko pracować i pomnażać własne bogactwo, a skorzysta na tym całe społeczeństwo.

Warner spychał mnie na pozycję krytyka owej filozofii życiowej, ja zaś nie zamierzałem podejmować sporu w tych kategoriach. Nic by z tego nie wynikło poza niepotrzebnym zaostreniem stosunków.

- Ile już nagromadziłeś? - spytałem, wychodząc z założenia, że chciwy łobuz powinien być dumny ze swego bogactwa.

- Jak dojdę do czterdziestki, będę miał milion dolarów w funduszu powierniczym. Pięć lat później zrobią się z tego trzy miliony, a gdy osiągnę pięćdziesiątkę, zbierze się ich dziesięć. Właśnie wtedy wycofam się z działalności zawodowej.

Znałem te liczby na pamięć. We wszystkich dużych firmach prawniczych jest podobnie.

- A ty? - sparował, pastwiąc się nad swoją porcją kurczaka.

- Zaraz policzę. Teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, mam majątek wart w przybliżeniu pięć tysięcy dolarów. Jak osiągnę czterdzieści pięć lat, ciężko pracując i oszczędzając każdy grosz, powiększę go do dziesięciu tysięcy. Kiedy więc osiągnę pięćdziesiątkę, powinienem mieć jakieś dwanaście tysięcy w funduszu powierniczym.

- To rzeczywiście kusząca perspektywa, osiemnaście lat życia w ubóstwie.

- Co ty możesz wiedzieć o ubóstwie?

- Może i coś wiem? Dla takich jak my ubóstwo oznacza skromne mieszkanie, używany samochód, zardzewiały i poobijany, kiepskie ubrania, brak jakichkolwiek rezerw na podróżę, rozrywki, zwiedzanie świata, brak inwestycji i oszczędności, brak zabezpieczenia na przyszłość.

- Wspaniale. Właśnie udowodniłeś moje racje. Nie masz zielonego pojęcia o ubóstwie. Ile zarobisz w tym roku?

- Dziewięćset tysięcy.

- A ja trzydzieści. Co byś zrobił, gdybyś musiał pracować za trzydzieści tysięcy rocznie?

- Popęłniłbym samobójstwo.

- W to mogę uwierzyć. Nie wątpię, że prędzej sięgnąłbyś po broń i wpakował sobie kulkę w łeb, niż zaczął pracować za taką pensję.

- Mylisz się. Prędzej wziąłbym jakieś prochy.

- Tchórz.

- Tak czy inaczej w żadnym wypadku nie pracowałbym za taką pensję.

- Nieprawda, mógłbyś pracować. Nie umiałbyś tylko żyć za te pieniądze.

- Na jedno wychodzi.

- I w tym względzie się właśnie różnimy.

- To oczywiste, że różnimy się zasadniczo, tylko jak mogło do tego dojść, Michaelu? Jeszcze miesiąc temu wyznawaliśmy te same zasady. A teraz spójrz na siebie: idiotyczny zarost, stare ciuchy, gadka szmatka na temat służenia ludziom i ratowania społeczeństwa. W

którym miejscu zszedłeś z prostej, utartej drogi?

Zareagowałem śmiechem na to pytanie. On także się uśmiechnął. Byliśmy zbyt dobrze wychowani na to, by wszczynać kłótnię w miejscu publicznym.

- Wiesz co? Jesteś nadętym dupkiem - syknął, pochylając się niżej nad stolikiem. - Miałeś w zasięgu ręki stanowisko wspólnika w firmie. Inteligentny, uzdolniony, samotny, bezdzielny... w wieku trzydziestu pięciu lat wyciągałbyś milion rocznego dochodu. To łatwo obliczyć nawet na palcach.

- Zostawiłem to za sobą, Warner. Utraciłem nagle chęć do gromadzenia forsy, uwolniłem się od tej klątwy.

- Nie musisz się silić na oryginalność. Pozwól, że cię o coś spytam. Pewnego dnia obudzisz się jako, powiedzmy, sześćdziesięcioletni, zmęczony ratowaniem świata, którego się nie da uratować. Nie będziesz miał nawet nocnika przy łóżku, nie mówiąc o emeryturze, firmie, wspólnikach albo żonie, będącej znanym chirurgiem i zarabiającej grubą forszę. Nikt ci nie poda ręki. Co wtedy zrobisz?

- No cóż, zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że mam wspaniałego, cholernie bogatego brata. Zatem najpierw zadzwonię do ciebie.

- A jeśli ja nie będę chciał wtedy z tobą rozmawiać?

- To zawczasu umieść mnie w swoim testamencie jako brata marnotrawnego.

Rozmowa wygasła, zajęliśmy się jedzeniem. Warner był tak pewny siebie, że sądził, iż jedna ostrzejsza wymiana zdań natychmiast przywróci mi zdrowy rozsądek. Myślał, że starczy jedynie wyliczyć przykre konsekwencje błędnej decyzji, bym natychmiast porzucił chęć smakowania ubóstwa i wrócił do porządnej, dochodowej pracy. Byłem przekonany, iż władczym tonem oznajmił rodzicom: „Już ja z nim porozmawiam!”

Okazało się jednak, że nie wyczerpał całego repertuaru. Zapytał, jakie warunki ubezpieczenia zapewnia ośrodek porad prawnych dla bezdomnych. Odparłem, że minimalne. A co z funduszem emerytalnym? Na ten temat nic mi nie było wiadomo. Zawyrokował w końcu, iż powinienem najwyżej kilka lat poświęcić na ratowanie duszyczek, po czym koniecznie wracać do prawdziwego życia. Podziękowałem mu uprzejmie. Wreszcie udzielił mi genialnej rady, bym poszukał sobie bogatej kobiety o podobnych zapatrywaniach i czym prędzej się z nią ożenił.

Pożegnaliśmy się na ulicy przed restauracją. Zapewniłem go po raz kolejny, iż dobrze wiem, co robię i nic mi nie grozi, zatem jego raport przedstawiony rodzicom powinien być optymistyczny.

- Nie zasmucaj ich, Warner. Najlepiej powiedz, że wspaniale mi się powodzi.

- Zadzwoń, jak ci zabraknie na chleb - odparł z krzywym uśmiechem.

Uściskałem go serdecznie i odszedłem.

Znałem „Pylon Grill”, całodobowy bar w Foggy Bottom, niedaleko Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona. Słynął jako miejsce spotkań ludzi cierpiących na bezsenność i najmniej odpornych narkomanów. Miał tę zaletę, że poranne wydanie „The Washington Post” przywożono tam już około północy, było więc tłoczno jak w śródmiejskim barze przekąskowym w porze lunchu. Kupiłem gazetę i zająłem miejsce przy kontuarze. Czuję się trochę dziwnie w gromadzie facetów, bez wyjątku pochłoniętych lekturą najświeższych wiadomości. Panowała cisza jak makiem zasiał. Prasę dostarczono tuż przed moim przyjściem i co najmniej trzydzieści osób tkwiło nad gazetami w takim napięciu, jakby właśnie została wypowiedziana wojna.

Artykuł trafił na pierwszą kolumnę. Pod krzykliwym nagłówkiem umieszczono parę akapitów tekstu, resztę zaś na stronie dziesiątej, gdzie znalazły się również zdjęcia - na górze podobizna Lontae Burton, ta sama, która posłużyła do produkcji plakatów na marsz protestacyjny, a obok wizerunek młodszego co najmniej o dziesięć lat Greena. Niżej znajdowały się w jednym rzędzie trzy fotografie, które powinny wzburzyć krew współnikom Drake'a i Sweeneya. Pośrodku widniało zdjęcie Arthura Jacobsa, z lewej Tillmana Gantry'ego, natomiast po prawej DeVona Hardy'ego, który został połączony z naszą sprawą tylko dlatego, że znajdował się wśród eksmitowanych, a później wzbudził sensację samobójczym wyczynem.

Tak oto wielki Arthur Jacobs znalazł się w towarzystwie dwóch czarnoskórych kryminalistów, przedstawionych z policyjnymi numerami na piersiach - według redaktorów gazety chyba niewiele się od nich różnił.

Oczami wyobraźni widziałem, jak zarząd spółki zamyka się na cztery spusty w sali konferencyjnej, nakazawszy nie łączyć żadnych telefonów i odwołać wszelkie spotkania. Trzeba było jak najszybciej zaplanować kontrnatarcie, rozważyć setki rozmaitych strategii postępowania, poinstruować rzecznika prasowego. Dla kancelarii niespodziewanie nadeszła czarna godzina.

Wkrótce powinny zacząć krążyć telefaksy. Miałem nadzieję, że kopie zdjęć owego triumwiratu dotrą do każdego biura, od jednego wybrzeża do drugiego, i cały prawniczy światek aż się zatrząsie od gromkiego śmiechu.

Ale Gantry wyglądał na fotografii szczególnie groźnie. Szybko otrzeźwiła mnie myśl, że jednocześnie wywołaliśmy wojnę z tym człowiekiem.

Jeszcze niżej znalazło się także moje zdjęcie - to samo, które opublikowano w sobotnim

wydaniu z okazji mego aresztowania. Zostałem przedstawiony jako ogniwo łączące kancelarię Drake'a i Sweeneya ze sprawą Lontae Burton, chociaż autor artykułu nawet nie wiedział, że zdążyłem osobiście poznać tragicznie zmarłą matkę.

Długi i wyczerpujący artykuł był ścisły do granic możliwości. Dokładnie opisywał eksmisję i wszystkie odpowiedzialne za nią firmy, nawiązując także do DeVona Hardy'ego, który tydzień później dokonał głośnego napadu na kancelarię Drake'a i Sweeneya, biorąc zakładników, a wśród nich mnie. Dalej powiązano moją osobę z Mordecaiem Greenem, wreszcie opisano tragiczną śmierć rodziny Burtonów. Tylko przelotnie wspomniano o moim aresztowaniu, gdyż pilnie się kontrolowałem, żeby nie powiedzieć reporterowi o zaginionych aktach.

Na szczęście dotrzymał słowa i nigdzie nie padło moje nazwisko w nawiązaniu do pozwu skierowanego przeciwko kancelarii. Niektóre wiadomości pochodziły z „dobrze poinformowanych źródeł”. Chyba sam nie opisałbym tego lepiej.

W artykule nie przytaczano ani jednej wypowiedzi pozwanych. Można było odnieść wrażenie, że autor nie zadał sobie najmniejszego trudu, by się z nimi skontaktować.

ROZDZIAŁ 31

Warner zadzwonił o piątej nad ranem.

- Nie śpisz? - zapytał głupio.

Nerwowo łąził z kąta w kąt w pokoju hotelowym, pragnąc mnie zasypać dziesiątkami pytań na temat oskarżenia. Dokładnie przeczytał artykuł w gazecie.

Nie chciało mi się jeszcze wstawać, toteż leżałem w wygrzanym śpiworze i słuchałem jego rad dotyczących sposobów dalszego prowadzenia sprawy. Warner był adwokatem procesowym, do tego bardzo dobrym, nie musiałem mu więc tłumaczyć, jak wygląda przeciętny skład przysięgłych w Waszyngtonie. W kółko powtarzał, że nie wolno się ograniczać z żądaniami, rzucał liczbą dziesięciu milionów. A gdyby zyskać przychyłność sędziów przysięgłych, dałoby się wywalczyć jeszcze więcej. Gorąco żałował, że sam nie może się do tego włączyć. A jaki jest ten Mordecai? Zna się chociaż na procedurach sądowych?

- Co to będzie za honorarium?! Bez wątpienia podpisaliście kontrakt na czterdzieści procent? - Wychodził chyba z założenia, że mimo wszystko pozostała jeszcze dla mnie jakaś nadzieja.

- Nie, tylko dziesięć - odparłem spokojnie, leżąc w ciemnościach.

- Co takiego?! Dziesięć procent?! Chyba powariowaliście?!

- Jesteśmy instytucją charytatywną i...

Przerwał mi w pół zdania, nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. Przeklinał mnie za to, że nie zażądaliśmy dla siebie więcej.

Później oznajmił, iż zaginione akta mogą stanowić poważny problem, jakbym sam o tym nie wiedział.

- Dasz radę dowieść winy bez dokumentów z teczki?

- Tak.

Wybuchnął gromkim śmiechem, spoglądając wciąż na zdjęcie Jacobsa umieszczone między podobiznami dwóch przestępców. Jego samolot do Atlanty startował za dwie godziny, około dziewiętej Warner powinien zasiąść przy swoim biurku. Nie mógł się już doczekać, kiedy przekaże kolegom szokujące nowiny. Obiecał natychmiast przefaksować artykuł ze zdjęciami na zachodnie wybrzeże.

Rozłączył się w połowie zdania.

Spąłem zaledwie trzy godziny, ale rozbudziłem się tak, że nie potrafiłem już zmrużyć

oka. W moim życiu następowało zbyt wiele gwałtownych zmian, abym mógł spać spokojnie.

Wziąłem prysznic i wyszedłem z domu. Do wschodu słońca przesiedziałem nad kawą u Pakistańczyków, potem kupiłem ciastka dla Ruby.

Na rogu Czternastej i Q, niedaleko biura, zauważyłem dwa podejrzane samochody. Było wpół do ósmej. Minałem je powoli, gdyż w głębi duszy coś mi podpowiadało, żeby się nie zatrzymywać. Ruby nie siedziała pod drzwiami ośrodka.

Jeśli Tillman Gantry doszedł do wniosku, że trzeba siłą przemówić adwokatowi do rozsądku, z pewnością nie wahał się ani minuty. Mordecai przestrzegał mnie przed nim, ale sam świetnie pojmowałem rozmiary zagrożenia. Zadzwoiłem do domu Greena i zrelacjonowałem mu swoje odkrycie. Miał przyjechać około wpół do dziewiątej. Uzgodniliśmy, że spotkamy się na ulicy. Postanowił także ostrzec Sofię. Abraham przebywał poza miastem.

Przez dwa tygodnie ów pozew sądowy zaprzętał moje myśli. Mimo wielu rozgrywających się ważkich spraw - rozstania z Claire, przeprowadzki, trudnych pierwszych kroków w nowej pracy - wystąpienie przeciwko spółce RiverOaks i niedawnym pracodawcom ani na chwilę nie dawało mi spokoju. Mogłem jednak zaczerpnąć wreszcie głębszego oddechu po tym okresie wielkiego napięcia, typowego dla przygotowań do otwarcia głośnej sprawy. W końcu bomba wybuchła, rozwiały się dymy i nadszedł upragniony spokój.

Gantry nie uśmiercił nas pierwszego dnia po złożeniu pozwu. Praca w ośrodku potoczyła się normalnym torem. Telefony nie dzwoniły częściej niż zwykle, liczba klientów nie odbiegała od przeciętnej. Mogłem więc zająć się sprawami moich podopiecznych.

Nie uwolniłem się jednak od myśli o panice wypełniającej marmurowe pałace kancelarii Drake'a i Sweeneya. W jednej chwili musiały zniknąć uśmiechy, zamilknąć żarty wymieniane przy kawie, luźne rozmowy, jakie zawsze słyszało się w korytarzach. Zapanowała atmosfera przypominająca dom pogrzebowy.

Nie wątpiłem, że nastrój powagi wpłynął także na pracę w mojej sekcji antytrustowej. Polly, jak zwykle zaganiana, musiała krążyć z kamienną miną. Rudolph pewnie zamykał się w gabinecie, skąd wychodził tylko na narady w gronie kierownictwa firmy.

Jedynym smutnym aspektem tej sprawy była dręcząca mnie świadomość, iż olbrzymia większość spośród czterystu prawników zatrudnionych u Drake'a i Sweeneya nie tylko nie miała nic wspólnego z bezprawnymi działaniami kancelarii, ale nawet nigdy wcześniej nie słyszała o eksmisji. Nikogo nie interesowały sprawy prowadzone w sekcji nieruchomości, tylko parę osób znało jej szefa, Bradena Chance'a. Ja poznałem go dopiero po siedmiu latach

pracy, a i to wyłącznie dlatego, że chciałem z nim porozmawiać. Żał mi było tych wszystkich niewinnych - zarówno starych fachowców, którzy budowali reputację kancelarii i sumiennie wprowadzali młodszych w arkana sztuki, jak też moich kolegów pielęgnujących tradycję dobrej roboty czy żółtodziobów przeżywających szok po ujawnieniu, że ich wielce szanowany pracodawca dopuścił się czynów nagannych.

Nie żał mi było tylko Bradena Chance'a, Arthura Jacobsa i Donalda Raftera. Wszak to oni postanowili rzucić mi się do gardła. Mieli teraz za swoje.

Megan postanowiła oderwać się na krótko od wymogów utrzymywania porządku w schronisku, zapewniającym opiekę osiemdziesięciu bezdomnym kobietom, i wyruszyliśmy razem na przejażdżkę po dzielnicy Północno-Zachodniej. Ona także nie wiedziała, gdzie stoi samochód Ruby. Nie łudziliśmy się zanadto nadzieją jej odnalezienia. Niemniej oboje z ochotą wykorzystaliśmy pretekst do spędzenia wspólnie pewnego czasu na osobności.

- To nic niezwykłego - tłumaczyła, chcąc widocznie mnie uspokoić. - Zachowanie bezdomnych, a szczególnie uzależnionych, jest zazwyczaj całkowicie nieprzewidywalne.

- Miałaś już do czynienia z podobnymi przypadkami?

- Wiele razy. Trzeba się nauczyć zachowywania dystansu. Jeśli któryś z klientów porzuci nałóg, znajdzie sobie pracę i mieszkanie, można tylko w duchu podziękować za to Bogu. Nie wolno się jednak upajać sukcesem, gdyż zaraz pojawi się jakaś następna Ruby i złamie ci serce. W tej działalności jest znacznie więcej wąwozów niż szczytów do zdobycia.

- Co robić, żeby się nie załamać?

- Trzeba czerpać siłę ducha od klientów. To naprawdę niezwykli ludzie. Większość już od chwili narodzin nie ma żadnych życiowych perspektyw, a mimo to daje sobie jakoś radę; potyka się, pada, ale szybko dźwiga na nogi i podejmuje kolejne próby.

Trzy przecznice od ośrodka minęliśmy powoli warsztat samochodowy, na którego tyłach znajdował się spory plac zastawiony wrakami. Bramy wjazdowej strzegło wielkie, groźnie szczerzące kły psisko, uwiązane na grubym łańcuchu. Nie zamierzaliśmy się włamywać do żadnego z zardzewiałych gruchotów, toteż pies szybko znalazł sobie inny obiekt zainteresowania. Sprawdzaliśmy tę okolicę, doszedłszy do wniosku, że Ruby musi spędzać noce gdzieś między naszym ośrodkiem przy ulicy Czternastej a schroniskiem Naomi przy Dziesiątej, zapewne na obszarze między Logan Circle i Mount Vernon Square.

- Ale to nic pewnego - twierdziła Megan. - Wciąż mnie zdumiewa niezwykła ruchliwość tych ludzi. Mają mnóstwo wolnego czasu, niektórzy potrafią każdego dnia pokonywać dziesiątki kilometrów.

Każdego żebraka odprowadzaliśmy czujnymi spojrzeniami. Przemierzaliśmy pieszo parki, zaglądając w twarze bezdomnym i wrzucając monety do rozstawianych przez nich puszek. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy choć jednego znajomego klienta. Lecz nie dopisało nam szczęście.

Odwiozłem Megan z powrotem do Naomi i obiecałem zadzwonić do niej po południu. Ruby stała się naprawdę wyjątkowym pretekstem do zacieśnienia naszej znajomości.

Burkholder był kongresmanem z Indiany, republikaninem wybranym już na piątą kadencję z rządu. Wynajmował dom w Wirginii, jogging wolał jednak uprawiać w okolicach wzgórza Kapitolu. Jego współpracownicy poinformowali dziennikarzy, że tego dnia wykapał się i przebrał na zapleczu mało używanej sali gimnastycznej, którą urządzono dla parlamentarzystów w podziemiach nowego gmachu biur Kongresu. Należał więc do grona czterystu trzydziestu pięciu amerykańskich polityków zasiadających w obu izbach parlamentu, lecz mimo dziesięcioletniej służby w Waszyngtonie nie zaliczał się do bardzo znanych osób. Miał czterdzieści jeden lat, dbał o kondycję fizyczną, ubierał się nienagannie, ale nie był szczególnie ambitny. Działał w komisji rolnictwa, przewodniczył podkomisji zajmującej się rozdzielaniem dotacji budżetowych.

Został postrzelony w środę wczesnym wieczorem w ustronnym miejscu niedaleko Union Station. Był w sportowym dresie, nie miał ani portfela, ani pieniędzy, ani nawet kieszeni, w której mógłby trzymać jakieś wartościowe przedmioty. Napadnięto go bez wyraźnego motywu. Wyglądało na to, że podczas joggingu naraził się komuś, może go potrafił niechcący, po czym doszło do krótkiej wymiany zdań, zakończonej dwoma strzałami. Pierwszy okazał się niecelny, druga kula trafiła kongresmana w lewe ramię, minęła obojczyk i utkwiała bardzo blisko kręgów szyjnych.

Wydarzyło się to zaraz po zmroku, w alejce równoległej do dość ruchliwej ulicy. Naocznymi świadkami zajścia były aż cztery osoby. Każda z nich opisała napastnika jako czarnoskórego mężczyznę w średnim wieku, o wyglądzie bezdomnego. Zanim pierwszy ze świadków zdążył zatrzymać samochód, wysiąść i pobiec Burkholderowi na ratunek, bandyta dosłownie rozplynał się w mroku. Nie zostawił po sobie żadnych śladów.

Kongresmana zawieziono do szpitala imienia Jerzego Waszyngtona, gdzie podczas dwugodzinnej operacji usunięto kulę z rany. Jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Od wielu lat nie postrzelono w Waszyngtonie żadnego parlamentarzysty. Doszło do kilku napadów rabunkowych, ale bez przykrych konsekwencji. Stało się natomiast regułą, że ofiary napaści natychmiast podejmowały krucjaty przeciwko rosnącej fali przestępstw i

ogólnemu upadkowi wartości moralnych, winą za ten stan rzeczy, co zrozumiałe, obarczając polityków partii opozycyjnej.

Burkholder nie był jeszcze gotów do swojej krucjaty, kiedy pokazano go w wieczornym dzienniku o dwudziestej trzeciej. Drzemałem na plastikowym fotelu, wcześniej usiłowałem na zmianę to czytać książkę, to oglądać nudny mecz bokserski. W stolicy nie działo się ostatnio nic nadzwyczajnego, więc wiadomość o postrzeleniu Burkholdera spadła jak grom z jasnego nieba. Komentator, ukazany na tle zdjęcia kongresmana, przedstawił najważniejsze fakty niemal jednym tchem. Zaraz potem nadano ze szpitala relację na żywo, w której trzęsąca się z zimna reporterka, filmowana przed podjazdem dla karet, donosiła grobowym głosem, że właśnie tymi drzwiami cztery godziny wcześniej wwieziono rannego Burkholdera. Za jej plecami widać było stojące w szeregu ambulansy, nieco dalej migąły światła wozów policyjnych. Nie mogła zelektryzować opinii publicznej ani widokiem trupa, ani nawet zbliżeniem plamy krwi, toteż ze wszystkich sił starała się udramatyzować swoją relację.

Wręcz mimochodem nadmieniła, że operacja przebiegła pomyślnie, a pacjent odpoczywa już w izolatce. Zacytowała lekarskie oświadczenie, w którym nie padły żadne konkrety. Wcześniej paru kolegów poszkodowanego odwiedziło go w szpitalu, a reporterka zdołała ich zaciągnąć przed kamerę i nagrała krótkie rozmowy. Wszyscy mieli poważne i zatroskane miny, mówili o Burkholderze w żałobnym tonie, mimo że jego życiu nawet przez chwilę nic nie zagrażało. I wszyscy tak samo mrużyli oczy i krzywili się boleśnie, jakby tylko dobre wychowanie nie pozwalało im powiedzieć, że nagabywania reporterki są jawną ingerencją w ich życie prywatne.

Trzej kongresmani, których nazwisk chyba nigdy wcześniej nie słyszałem, z identyczną troską mówili o smutnym losie przyjaciela, jak gdyby jego stan był znacznie poważniejszy, niż głosili specjaliści. I każdy z nich bez pytania wygłaszał krótką mowę na temat coraz gorszych warunków życia w stolicy.

Później nadano kolejną relację na żywo, tym razem z miejsca przestępstwa. Druga podekscytowana reporterka donosiła, że dokładnie tutaj kongresman upadł na ziemię. Ta zresztą miała coś szokującego do pokazania: cienką strużkę krwi na asfalcie, na którą dramatycznymi gestami naprowadzała kamerę. - O! Proszę! Właśnie w tym miejscu! - kuciała, wodząc dłonią nad ziemią. Potem przyciągnęła przed kamerę jakiegoś policjanta; ten jeszcze raz pobieżnie opisał przebieg wydarzeń. Nie słuchałem komentarza, ponieważ i tutaj moją uwagę przyciągnęły widoczne w tle rozbłyśki kogutów policyjnych patroli. Reporterka nie skwitowała tego nawet jednym słowem.

Wiedziałem jednak, że trwa już wielka czystka. Stołeczna policja oddelegowała

wszystkich mundurowych na ulice, bezdomnych upychano do ciężarówek, wywożono z centrum. Przez całą noc trwało przeczesywanie zaułków wzgórza Kapitolu, aresztowano żebrzących na chodnikach, śpiących na ławkach czy nawet siedzących w parkach - tych, którzy z samego wyglądu przypominali bezdomnych. Bez dania racji oskarżano ich o włóczęgostwo, pijaństwo czy choćby zaśmiecanie miejsc publicznych.

Nie wszyscy jednak trafili do aresztu. Dwie ciężarówki zapchane biedakami pojechały ulicą Rhode Island na koniec dzielnicy Północno-Wschodniej, gdzie wysadzono ich na wielkim placu parkingowym, niedaleko ośrodka pomocy społecznej i czynnej przez całą noc darmowej stołówki. Inna furgonetka z jedenastoma pasażerami zatrzymała się przed Misją Kalwaryjską przy ulicy T, kilkaset metrów od naszego ośrodka. Ludziom dano do wyboru: albo gdzieś w tej okolicy znajdą sobie schronienie, albo zostaną odstawieni do aresztu. Cała gromadka błyskawicznie się rozpierzchła.

ROZDZIAŁ 32

Doszedłem do wniosku, że koniecznie muszę sobie kupić jakieś łóżko. Traciłem zbyt wiele nocnych godzin, szukając znośnej pozycji na podłodze. W czwartek również na długo przed świtem usiadłem w śpiworze, przyrzekając sobie znacznie wygodniejsze miejsce do spania. Jednocześnie po raz setny zadałem sobie pytanie, jak bezdomni mogą sypiać na chodnikach.

W „Pylon Grill” było ciepło i tłoczno, smugi dymu z papierosów unosiły się prawie tuż nad stolikami, zapach świeżo parzonej kawy kusił jeszcze przed drzwiami. O wpół do piątej nad ranem większość klienteli nadal stanowili ludzie złaknieni najświeższych wiadomości.

Oczywiście wydarzeniem minionego dnia była napaść na Burkholdera. Powiększone zdjęcie kongresmana widniało na pierwszej stronie „The Washington Post”, wewnątrz kilka artykułów opisywało życie polityka, przebieg strzelaniny, wszczęte dochodzenie. Nie wspomniano nawet o czystce. Liczyłem na to, że jej szczegóły poznam już niedługo od Greena.

Znalazłem miłą niespodziankę w dziale miejskim. Tim Claussen minął się chyba z powołaniem, nasz pozew musiał go natchnąć do podjęcia tematu.

Dość długi artykuł przedstawiał dokładniej każdego z trzech pozwanych, poczynając od RiverOaks. Spółka założona przed dwudziestoma laty należała do grupy prywatnych inwestorów, wśród których znajdował się Clayton Bender, właściciel licznych nieruchomości na całym wschodnim wybrzeżu, według plotek posiadający majątek wartości dwustu milionów dolarów. W gazecie opublikowano jego zdjęcie, obok zaś fotografię siedziby zarządu firmy w Hagerstown, w Marylandzie. W ciągu dwudziestu lat spółka postawiła w stolicy jedenaście biurów, prowadziła także rozległą sieć domów handlowych rozrzuconych wśród podmiejskich osiedli Waszyngtonu i Baltimore. Jej wartość szacowano na trzysta pięćdziesiąt milionów. Ale zarazem firma korzystała z licznych kredytów bankowych, których łączną sumę trudno było nawet zgadywać.

Dalej następował szczegółowy opis planowanej inwestycji głównego zarządu poczty, od niej prosta droga prowadziła do kancelarii Drake’a i Sweeneya.

Jak należało oczekiwać, znów nie przytaczano wypowiedzi żadnego ze współników. Podobno nikt nie odpowiadał na telefony z redakcji. Claussen cytował więc ogólnie dostępne dane o wielkości i osiągnięciach firmy, podawał nazwiska paru znanych adwokatów. Przedrukowano dwa pomniejszone zestawienia pochodzące z czasopisma „US Law” - pierwsze

wyszczególniało dziesięć największych pod względem liczby zatrudnionych amerykańskich firm prawniczych, drugie ustanowiło ranking kancelarii na podstawie średnich dochodów osiągniętych przez wspólników w ubiegłym roku. Z ośmiuset adwokatami spółka Drake'a i Sweeneya była piąta co do wielkości, natomiast według ich dochodów, wynoszących przeciętnie dziewięćset dziesięć i pół tysiąca dolarów, na drugiej liście zajmowała trzecie miejsce.

Naprawdę z własnej woli zrezygnowałem z tak fantastycznej pensji?! - przemknęło mi przez myśl.

Ostatnim członkiem niesławnego triumwiratu był Tillman Gantry, opisanie jego barwnego życia okazało się rzeczą najprostszą pod słońcem. Policjanci mówili o nim chętnie, więźniowie z tej samej celi wręcz układali hymny pochwalne na jego cześć. Jakiś pastor z dzielnicy Północno-Wschodniej opowiadał o boisku do koszykówki ufundowanym przez Gantry'ego dla biednych dzieci. Była prostytutka wspominała, jak została pobita przez jego zbirów. Gantry założył dwie spółki cywilne, TAG oraz Gantry Group, za ich pośrednictwem prowadził trzy komisje samochodowe i dwa małe pawilony handlowe, zarządzał kompleksem sześciu domków jednorodzinnych oraz kamienicą, w której dwóch lokatorów zginęło od kul, prowadził wypożyczalnię kaset wideo i bar, gdzie doszło do zbiorowego gwałtu. Ponadto do obu firm należało kilkanaście atrakcyjnych działek budowlanych w centrum Waszyngtonu, kupionych od władz miasta za marne grosze.

Spośród trzech pozwanych tylko Gantry nie bał się rozmawiać z dziennikarzem. Otwarcie przyznał, że w lipcu ubiegłego roku zapłacił jedenaście tysięcy dolarów za stary magazyn przy Florida Avenue, a trzydziestego pierwszego stycznia odsprzedał go za dwieście tysięcy spółce RiverOaks. Dopisało mu szczęście, jak się wyraził. Budynek nie nadawał się do użytku, ale duża parcela w śródmieściu warta była znacznie więcej niż jedenaście tysięcy. Tylko dlatego kupił rudere.

Powiedział też, że od dłuższego czasu magazyn przyciągał uwagę bezdomnych, został więc niejako zmuszony, aby udzielić im tam schronienia. Nigdy jednak nie pobierał żadnych czynszów i nie potrafił wyjaśnić, skąd się wzięły takie informacje. Miał do swojej dyspozycji wielu znakomitych prawników, toteż nie bał się rozprawy przed sądem.

W artykule nie wymieniano mojego nazwiska, nie było też nic o DeVonie Hardym i incydencie z zakładnikami. Zaledwie wspomniano o Lontae Burton oraz głównych punktach oskarżenia zawartych w pozwie.

Już drugi dzień z rzędu szanowaną kancelarię Drake'a i Sweeneya przedstawiano w prasie jako uczestnika spisku z drobnym oszustem. W rzeczy samej prawnicy mogli nawet

uchodzić za gorszych przestępców od Tillmana Gantry'ego.

W dodatku nazajutrz, jak pisano na zakończenie, miał się ukazać kolejny artykuł, dotyczący smutnego życia Lontae Burton.

Jak długo jeszcze Arthur Jacobs zamierzał się beczynn timer przyglądać obrzucaniu jego ukochanej firmy błotem? Kancelaria stała się łatwym celem ataków, a „The Washington Post” nie zamierzał rezygnować, dziennikarze mieli pełne ręce roboty, jedna publikacja pociągała za sobą następną.

Punktualnie dwadzieścia po dziewiętej zjawiłem się w towarzystwie swego adwokata przed gmachem Carla Moultriego na rogu Szóstej i Indiana Avenue. Mordecai świetnie znał ten budynek, ja nigdy wcześniej nie byłem w instytucji rozpatrującej wszelkie sprawy karne z terenu dystryktu stołecznego.

Do głównego wejścia stała kolejka oskarżonych, pozwanych i prawników, wszyscy musieli przejść przez bramkę wykrywacza metali i poddać się rewizji. Już w holu poczułem się niczym w zoo, ludzie jak szaleni biegali we wszystkich kierunkach. Wzdłuż korytarzy na czterech piętrach ciągnęły się sale rozpraw.

Czcigodny Norman Kisner urzędował na parterze, w sali numer sto czternaście. Na wokandzie umieszczonej przy drzwiach moje nazwisko figurowało wraz z jedenastoma innymi w kolumnie opatrzonej nagłówkiem *Wstępne przesłuchania*. Wewnątrz ławy świeciły pustkami, prawnicy stali w grupkach na środku. Green pobiegł gdzieś na tyły sali, ja zająłem miejsce w drugim rzędzie widowni. Rozłożyłem przed sobą gazetę i przybrałem pozę znudzonego starego wygi.

- Dzień dobry, Michaelu - zagadnął ktoś zza barierki.

Popatrzyłem na Donalda Raftera, który oburącz przyciskał do brzucha aktówkę. Tuż za nim stał inny pracownik sekcji procesowej, nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska.

Skinąłem głową i wydusiłem z siebie:

- Cześć!

Obaj pospiesznie przeszli na drugą stronę sali. Widocznie byli rzecznikami poszkodowanego i stąd zyskiwali prawo uczestniczenia w każdym moim wystąpieniu przed sędzią.

A przecież miało się odbyć tylko wstępne przesłuchanie! Musiałem oficjalnie zapoznać się ze stawianymi zarzutami, przyznać się do winy bądź nie, po czym, uzyskawszy potwierdzenie legalności mojego zwolnienia za kaucją, wyjść z gmachu sądu. Cóż zatem porabiał tu Rafter?

Nie od razu uświadomiłem sobie, o co chodzi. Gapiłem się na gazetę, usiłując zachować spokój, i wreszcie dotarło do mnie, że obecność Raftera miała mi tylko przypominać o przeszłości. Firma uznała kradzież dokumentów za bardzo poważne wykroczenie i zamierzała nadzorować każdy mój krok w tej sprawie. Rafter uchodził za najostrożniejszego i najbystrzejszego pracownika sekcji procesowej, ktoś zatem musiał dojść do wniosku, że już na sam jego widok powinien mnie oblecieć strach.

O wpół do dziesiątej w bocznym przejściu pojawił się Mordecai i przywołał mnie ruchem ręki. Sędzia czekał na nas w swoim gabinecie. Green przedstawił mnie od drzwi i we trzech zasiedliśmy przy niewielkim stoliku.

Kisner miał co najmniej siedemdziesiąt lat, nosił gęste, zmierzwiłone siwe włosy i także brodę, a przenikliwe spojrzenie jego piwnych oczu zdawało się wypalać dziurę w mojej twarzy. Z Greenem znali się od dawna.

- Właśnie tłumaczyłem Mordecaiowi - rzekł, gestykulując szeroko - że to bardzo nietypowa sprawa.

Przytaknąłem ruchem głowy. Dla mnie również była bardzo nietypowa.

- Arthura Jacobsa poznałem przed trzydziestu laty. Szczerze mówiąc, znam wielu prawników z jego kancelarii. To świetni fachowcy.

Nie oponowałem. Firma rzeczywiście zatrudniała najlepszych absolwentów i doskonale ich szkoliła. Poczuję się tylko trochę zaniepokojony tym, że sędzia rozpatrujący moją sprawę darzy poszkodowanych aż tak wielkim szacunkiem.

- Trudno jest oceniać wartość akt skradzionych z kancelarii adwokackiej. W końcu to tylko plik papierów, mających znaczenie wyłącznie dla właściciela. Nie da się ich sprzedać, zatem nie mają realnej wartości rynkowej. Nie znaczy to, oczywiście, że oskarżam pana o kradzież. Mam nadzieję, że pan rozumie.

- Tak, rozumiem - odparłem, choć w gruncie rzeczy niezbyt dobrze wiedziałem, do czego zmierza.

- Załóżmy jednak, że ma pan te akta, przyjmijmy, że to pan je wyniósł z biura. Gdyby zwrócił je pan teraz, pod moim nadzorem, byłbym skłonny oszacować ich wartość poniżej granicy stu dolarów. To z kolei pozwalałoby uznać ich kradzież za drobne wykroczenie, moglibyśmy więc załatwić sprawę od ręki i przekazać ją do archiwum. Co zrozumiałe, musiałby się pan jedynie zobowiązać do zachowania w tajemnicy wszelkich zawartych tam informacji.

- A gdybym nie chciał ich zwrócić? Zakładając, rzecz jasna, że je mam.

- W takim wypadku nabrałyby znacznie większej wartości. Nie dałoby się wycofać

oskarżenia o kradzież poufnych materiałów i trzeba by przystąpić do procesu. Gdyby prokurator zdołał udowodnić swoje racje, a sędziowie przysięgli uznali pańską winę, musiałbym orzec odpowiedni wyrok.

Zmarszczki na jego czole, zimne błyski w spojrzeniu i lodowaty ton głosu nie zostawiały najmniejszych wątpliwości, że powinienem za wszelką cenę unikać takiej ewentualności.

- Nie muszę dodawać, że gdyby został pan uznany za winnego kradzieży poufnych materiałów, na zawsze straciłby pan licencję adwokata.

- Tak, rozumiem, panie sędzio - odparłem cicho.

Mordecai dotąd nie zabierał głosu, lecz uważnie przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- W odróżnieniu od innych rozpatrywanych przeze mnie spraw, w tym wypadku zwłoka może mieć spore znaczenie - ciągnął Kisner. - Złożony przez was pozew wiąże się z materiałami zawartymi w teczce. Powództwo cywilne będzie rozpatrywał inny sędzia, zatem byłoby najlepiej, gdyby sprawa karna została wyjaśniona jak najszybciej, dopóki trwają jeszcze wstępne przygotowania w sprawie cywilnej. Oczywiście, zakładając wciąż, że ma pan rzeczony akta.

- Ile może pan dać nam czasu?

- Myślę, że dwa tygodnie to maksymalny okres na podjęcie decyzji.

Przyznaliśmy obaj, iż to rozwiązanie nas satysfakcjonuje. Wróciliśmy z Greenem na salę sądową i zajęliśmy miejsca na widowni. Do gabinetu zostali wezwani rzecznicy poszkodowanego i siedzieli tam przez godzinę.

Później zjawiał się Tim Claussen z „The Washington Post”, lecz tylko skinął nam głową z daleka i usiadł przy wyjściu. Mordecai przeprosił mnie i podszedł do reportera. Pospiesznie wyjaśnił, że lada moment na salę wrócą dwaj adwokaci z kancelarii Drake’a i Sweeneya, a jest wśród nich Donald Rafter, który być może zechce powiedzieć kilka słów dla prasy.

Kiedy tamci się zjawili, Claussen natychmiast ich zaczepił. Kilka sekund później z ostatnich rzędów doleciał podniesiony głos Raftera, wreszcie wszyscy trzej wynieśli się na korytarz.

Zgodnie z przewidywaniami moje pierwsze oficjalne wystąpienie przed sędzią Kisnerem było krótkie. Wysłuchałem aktu oskarżenia, nie przyznałem się do winy, podpisałem kilka formularzy i pospiesznie wyszedłem z sali. Nigdzie nie zauważyłem ani Raftera, ani Claussena.

- O czym rozmawiałeś z Kisnerem, zanim wezwałeś mnie do jego gabinetu? -

zapytałem, kiedy tylko zajęliśmy miejsca w samochodzie.

- O tym samym, czego dowiedziałeś się później.

- Twarda sztuka.

- Kisner jest dobrym sędzią, lecz przez wiele lat był adwokatem procesowym, i to jednym z najlepszych. Dlatego też nie czuje żadnej sympatii do prawnika, który skradł koledze poufne akta.

- Jaki może orzec wyrok, jeśli zostanę uznany za winnego?

- Tego nie powiedział, ale nie należy liczyć na jego pobłażliwość.

Stanęliśmy na czerwonym świetle. Na szczęście tym razem ja prowadziłem.

- W porządku, mecenasie - mruknąłem. - Co mi pan zatem radzi?

- Mamy dwa tygodnie. Nie spieszmy się. Nie musimy teraz gorączkowo podejmować żadnych decyzji.

ROZDZIAŁ 33

W kolejnym wydaniu „The Washington Post” znalazły się aż dwa artykuły uzupełnione stosownymi fotografiami.

Zgodnie z obietnicą z poprzedniego dnia pierwszy stanowił długą relację z tragicznego życia Lontae Burton. Za główne źródło informacji posłużyła jej babka, ale dziennikarz skontaktował się również z dwiema ciotkami, byłym pracodawcą, pracownicą opieki społecznej, nauczycielem z podstawówki, jak też przebywającą w więzieniu matką i jej dwoma synami.

Lontae urodziła się, kiedy jej matka miała szesnaście lat, i była drugim z trojga nieślubnych dzieci, z których każde miało innego ojca, chociaż odsiadująca wyrok kobieta w ogóle nie chciała o nich rozmawiać. Dziewczynka dorastała w najuboższym rejonie dzielnicy Północno-Wschodniej, często przeprowadzała się z miejsca na miejsce, okresowo zaś mieszkała u babki lub jednej z ciotek, gdy matka trafiała do więzienia. Porzuciła szkołę po ukończeniu szóstej klasy i, jak należało oczekiwać, zaczęła wieść ponury żywot. Narkotyki, chłopcy, młodociane gangi, drobne przestępstwa - krótko mówiąc, życie ulicznicy. Podejmowała różne zajęcia, zazwyczaj za minimalną stawkę, nigdzie jednak nie zagrzała dłużej miejsca.

Wymownym świadectwem były wpisy w jej kartotece kryminalnej. W wieku czternastu lat została aresztowana za kradzież w sklepie, otrzymała przed kolegium wyrok w zawieszeniu. Trzy miesiące później, zamknięta za pijaństwo w miejscu publicznym, ponownie stanęła przed kolegium dla nieletnich. W wieku piętnastu lat przeżyła kolejną rozprawę za posiadanie narkotyków, a następną pod tym samym zarzutem siedem miesięcy później. Szesnastolatkę, aresztowaną za prostytutkę, postawiono już przed sądem dla dorosłych, lecz znowu zapadł wyrok w zawieszeniu. A potem podobny za usiłowanie kradzieży przenośnego odtwarzacza kompaktów z ulicznego stoiska.

W wieku osiemnastu lat urodziła Ontario. W dokumentach śródmiejskiej kliniki nie było nawet wzmianki o ojcu dziecka. Dwa lata później powiła bliźnięta, które otrzymały imiona Alonzo i Dante - urodziły się w tej samej klinice, w ich aktach również próżno by szukać danych ojca. Wreszcie dwudziestojednoletnia matka wydała na świat dziewczynkę, Temeko.

W tym ciągu smutnych wydarzeń pojawiła się też drobna iskierka nadziei. Po urodzeniu

Temeko Lontae zgłosiła się do House of Mary, schroniska dla kobiet podobnego do Naomi, gdzie poznała opiekunkę społeczną, Nell Cather. To od niej właśnie pochodziło wiele informacji cytowanych w artykule.

Cather utrzymywała, że w ostatnich miesiącach Lontae z determinacją szukała ucieczki od dotychczasowego życia, chciała znaleźć jakiś dach nad głową. Zaczęła regularnie przyjmować środki antykoncepcyjne, rozdawane w schronisku. Pragnęła także uwolnić się od narkotyków. Uczęszczała na spotkania grup AA/NA, z poświęceniem walczyła z nałogiem, choć było to dla niej bardzo trudne. Dość szybko nauczyła się płynnie czytać, marzyła o znalezieniu stałej pracy, dzięki której mogłaby zapewnić utrzymanie gromadce dzieci.

I Cather w końcu znalazła dla niej zajęcie w sklepie, przy układaniu towarów na półkach, dwadzieścia godzin tygodniowo po cztery dolary i siedemdziesiąt pięć centów za godzinę. Lontae ani razu nawet się nie spóźniła do pracy.

Na jesieni Burton w tajemnicy poinformowała swą opiekunkę, że znalazła mieszkanie. Cather chciała dokonać inspekcji owego lokalu, lecz Lontae się nie zgodziła, tłumacząc, że nie jest on całkiem legalny. Opisała jej tylko dwa niewielkie, prowizoryczne pokoiki, zaopatrzone jednak w drzwi z solidnym zamkiem, jak też łazienkę znajdującą się w głębi budynku. Wyznała również, że płaci sto dolarów czynszu miesięcznie.

Zapisałem w notatniku nazwisko Nell Cather oraz nazwę schroniska, House of Mary. Z uśmiechem pomyślałem, że opiekunka może wystąpić jako świadek i własnymi słowami opowiedzieć historię życia naszej klientki sędziom przysięgłym.

Lontae bardzo się bała, że władze odbiorą jej dzieci, jak to się często zdarzało matkom narkomankom. Większość bezdomnych kobiet, które spotykała w schronisku, utraciła prawa macierzyńskie. Toteż im więcej Lontae słyszała przerażających opowieści, tym bardziej zależało jej na utrzymaniu własnej rodziny. Uczyła się pilnie, poznała nawet zasady pracy na komputerze; potrafiła wytrwać cztery dni bez brania narkotyków.

I wtedy doszło do eksmisji, samotna matka z czworgiem dzieci znów znalazła się na ulicy. Cather rozmawiała z nią następnego dnia. Lontae była doszczętnie załamana, ledwie trzymała się na nogach. Brudne dzieci cierpiały głód, a ona nie umiała zdobyć dla nich nawet kawałka chleba. Do schroniska zabraniano wstępu osobom pijanym bądź znajdującym się pod wpływem narkotyków, toteż kierowniczka House of Mary kazała Lontae wyjść. Cather już nigdy więcej jej nie widziała. Dopiero w gazecie przeczytała o tragicznej śmierci całej rodziny.

Kiedy zapoznałem się z artykułem, przyszedł mi na myśl Braden Chance. Miałem nadzieję, że i on go przeczyta w ciepłym i przytulnym zaciszu swego podmiejskiego domku w Wirginii. Nie wątpiłem bowiem, że już nie śpi o tak wczesnej porze. Zastanawiałem się nawet,

jak w ogóle może ostatnio spać, żyjąc w tak wielkim napięciu.

Naprawdę chciałem, żeby cierpiał, żeby uświadomił sobie, iż to właśnie jego lekceważenie podstawowych praw i godności człowieka doprowadziło do tragedii. To przecież on, siedząc w swoim eleganckim gabinecie i wystawiając słone rachunki za każdą godzinę pracy, gromadząc papiery dla bogatych klientów, przeczytał sprawozdanie aplikanta, którego wcześniej odesłał do brudnej roboty, i podjął na chłodno wykalkulowaną decyzję przeprowadzenia bezprawnej eksmisji. W końcu chodziło tylko o dzikich lokatorów, prawda, Bradenie? Godnych pogardy czarnych biedaków żyjących jak zwierzęta. Nie dostali niczego na piśmie, żadnych rachunków czy umów najmu lokali, zatem nie mieli żadnych praw. Trzeba się było ich pozbyć. A każde opóźnienie działało na niekorzyść klienta.

Chciałem nawet zadzwonić do niego, przerwać mu poranną kawę pytaniem: I jak się teraz czujesz?

Drugi artykuł stanowił dla mnie miłe zaskoczenie, przynajmniej z prawnego punktu widzenia. Ale zarazem mógł przysporzyć dodatkowych kłopotów.

Reporter odnalazł byłego chłopaka Lontae, dziewiętnastoletniego Kito Spiresa. Jego zdjęcie mogło przerazić każdego miłującego prawo obywatela. Kito miał wiele do powiedzenia. Utrzymywał, że jest ojcem trojga młodszych dzieci Lontae. Podobno przez ostatnie trzy lata okresowo się nią opiekował.

Sprawa miała wrażenie typowego wychowanka wielkomijskich subkultur. Utrzymywał, że ma średnie wykształcenie, tylko nie mógł znaleźć dla siebie pracy, stąd wzięła się bogata kartoteka kryminalna. Zaliczyłem go do osób, których wiarygodność będzie zawsze budziła wątpliwości.

Na jesieni wprowadził się razem z Lontae i dziećmi do magazynu. Kiedy tylko było to możliwe, pomagał jej zbierać pieniądze na czynsz. Zaraz po Bożym Narodzeniu wybuchła jednak kłótnia i Kito się wyprowadził. Obecnie mieszkał z kobietą, której mąż odsiadywał karę więzienia.

Nic nie wiedział na temat eksmisji, chociaż twierdził, że jego zdaniem była bezprawna. Zapytany o warunki w prowizorycznych mieszkaniach, podał tak wiele szczegółów, że zyskałem przeświadczenie, iż rzeczywiście musiał tam mieszkać. Jego opis zgadzał się pod wieloma względami z rzeczowym sprawozdaniem Hectora. Kito nie wiedział, że właścicielem magazynu był Tillman Gantry. Potwierdził, iż czynsz w wysokości stu dolarów zbierał około piętnastego każdego miesiąca niejaki Johnny.

Postanowiłem, że wraz z Mordecaiem powinniśmy wkrótce się z nim skontaktować. Nasza lista potencjalnych świadków szybko się wydłużała, a Kito Spires wydawał się jednym z

najważniejszych.

Utrzymywał; że do głębi poruszyła go śmierć dzieci oraz ich matki. Mimo to nie mogłem sobie przypomnieć, abym go widział na pogrzebie, chociaż z uwagą obserwowałem wszystkich obecnych.

Nasz pozew znajdował coraz szerszy oddźwięk w prasie, większy chyba, niż byśmy sobie tego życzyli. Domagaliśmy się dziesięciomilionowego odszkodowania, a ta okrągła liczba, cytowana każdego dnia w gazetach, musiała już teraz elektryzować ulice. Lontae miała w swoim życiu setki mężczyzn. Na razie jedynie Kito przyznawał się do ojcostwa, nie ulegało jednak wątpliwości, że wobec perspektywy zdobycia tak dużych pieniędzy już wkrótce wielu innych mężczyzn powinno zgłosić swe roszczenia do odszkodowania po zmarłych dzieciach. Ulice miasta aż roiły się od takich potencjalnych ojców. To właśnie stanowiło najbardziej złożony aspekt owej sprawy.

Nie było nam jednak dane nawet porozmawiać z Kito Spiresem.

*

Zadzwoiłem do kancelarii Drake'a i Sweeneya i poprosiłem o połączenie z Bradenem Chance'em. Kiedy odezwała się sekretarka sekcji nieruchomości, powtórzyłem swoją prośbę.

- A kto dzwoni? - zapytała.

Podaliśmy jej zmyślane nazwisko i przedstawiłem się jako potencjalny klient, powołując się na Claytona Bendera z RiverOaks.

- Niestety, pan Chance nie może w tej chwili rozmawiać - odparła.

- Kiedy go zastanę? - spytałem ostrym tonem.

- Przebywa na urlopie.

- Rozumiem. Kiedy wróci?

- Nie jestem pewna - bąknęła i odłożyła słuchawkę.

Podejrzewałem, że co najmniej miesięczny urlop Bradena później przekształci się w bezpłatny, dalej może w zdrowotny, aż w końcu wspólnicy przyznają z ociąganiem, że Chance już nie pracuje w firmie. Liczyłem na to, iż został zwolniony, a mój telefon potwierdził owe podejrzenia.

Siedem lat życia całkowicie poświęciłem kancelarii, bez trudu więc mogłem przewidzieć decyzje zarządu. Bezgranicznie dumni i aroganccy milionerzy nie potrafili ścierpieć takiego poniżenia.

Domyślałem się również, że zaraz po wpłynięciu pozwu Chance ujawnił prawdę. Nie miało większego znaczenia, czy zrobił to z własnej woli, czy został przymuszony. Od początku okłamywał pozostałych wspólników, czego konsekwencje ponosiła teraz cała firma. Może

nawet odnalazł oryginał sprawozdania Hectora wraz z kopią pokwitowania za czynsz opłacony przez Lontae, ale bardziej prawdopodobne wydawało się to, że wcześniej zniszczył notatkę służbową, zatem obecnie tylko zrelacjonował kolegom jej treść.

Tak czy inaczej prawda musiała być już znana w firmie - przynajmniej Arthurowi Jacobsowi, prezesowi zarządu - zatem nie stanowiło tajemnicy, iż nigdy nie powinno dojść do eksmisji. Nawet jeżeli lokatorzy zajmowali prowizoryczne mieszkania na podstawie ustnych umów najmu, Chance, działając w imieniu nowego właściciela, RiverOaks, miał obowiązek oficjalnie rozwiązać je na piśmie, dając ludziom miesiąc na znalezienie innych pomieszczeń.

Tyle tylko, że trzydziestodniowa zwłoka wpłynęłaby negatywnie na załatwiany pospiesznie kontrakt między RiverOaks a zarządem poczty.

Z drugiej strony umożliwiłaby Lontae i pozostałym lokatorom przetrwanie pod dachem najmroźniejszych dni.

Zatem Chance został zwolniony z pracy, bez wątplenia z sowitą odprawą, skoro należał do grona wspólników firmy. Prawdopodobnie Hectora ściągnięto z powrotem do Waszyngtonu, by poznać jego relację. A pod nieobecność Bradena Palma miał szansę utrzymać się w kancelarii, pod warunkiem, rzecz jasna, że nie powiedział nikomu o kontakcie ze mną.

Za zamkniętymi drzwiami zarząd kancelarii musiał stawić czoło rzeczywistości. Należało jakoś naprawić uszczerbek, jakiego doznała firma. Rafter i jego współpracownicy na pewno rozplanowywali linię obrony. Nie wątpię, że zostanie oparta na tym, iż materiały dotyczące sprawy Lontae Burton pochodzą z wykradzonej przeze mnie teczki. Przygotowywano zapewne wniosek o oddalenie pozwu sformułowanego na podstawie skradzionych informacji. Z czysto prawnego punktu widzenia było to jak najbardziej logiczne posunięcie.

Lecz jeszcze zanim ta linia obrony nabrała realnych kształtów, pojawiły się publikacje w prasie. Wyszło na jaw, że istnieją liczni świadkowie mogący potwierdzić oskarżenia zawarte w pozwie. Stało się więc jasne, że zdołamy udowodnić swoje zarzuty bez pomocy materiałów ze skradzionej teczki.

W kancelarii Drake'a i Sweeneya zapanował chaos. Jeżeli czterystu prawnikom stanowczo nakazano zachować swoje opinie dla siebie, powstała atmosfera grożąca jawnym buntem. Gdybym nadal tam pracował i znalazł się w obliczu podobnego skandalu w innej sekcji, z pewnością opowiadałbym się głośno za jak najszybszym osiągnięciem porozumienia i wyciszeniem nagonki w prasie. W ogóle nie brałbym pod uwagę możliwości doprowadzenia do rozprawy, nie liczyłbym na szczęśliwe przetrwanie burzy. W końcu artykuły opublikowane w „The Washington Post” stanowiły jedynie przedsmak tego, co się może rozegrać na sali

sądowej. Poza tym ewentualny proces mógł się zacząć najwcześniej za rok.

Dodatkowo atmosferę musiało podgrzewać to, że zarząd spółki RiverOaks zapewne nie znał prawdy o dzikich lokatorach magazynu. Korespondencja między Chance'em a jego klientem była wyjątkowo skąpa. Wyglądało na to, że Braden otrzymał polecenie jak najszybszego załatwienia sprawy i wobec nacisków ze strony klienta zdecydował się na działanie bezprawne.

Jeśli zatem RiverOaks nie została poinformowana o bezprawnym charakterze eksmisji przeprowadzonej w jej imieniu, istniały podstawy do tego, by spółka oskarżyła kancelarię Drake'a i Sweeneya o odstępstwa proceduralne. Ostatecznie prawników wynajęto do konkretnego zadania, a jeżeli zostało ono wykonane niezgodnie z prawem, to zleceniodawca nie musiał brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Było jasne, że spółka o wartości ocenianej na trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów dysponuje wystarczającym potencjałem, aby zmusić zleceniobiorcę do naprawienia wyrządzonego zła.

Taka sytuacja mogła też wpłynąć na postawę innych klientów kancelarii. Każdy, kto płacił słone rachunki za usługi adwokatów Drake'a i Sweeneya, miał teraz prawo kwestionować wiarygodność partnerów. A wobec szczególnie silnej konkurencji w stołecznym świecie prawniczym należało się liczyć z poważnym zmniejszeniem obrotów.

Wspólnicy Drake'a i Sweeneya pracownicy zdobywali renomę, troszczyli się o dobre imię firmy, jak czynią to właściciele wszystkich znanych kancelarii. Nie powinni zatem dopuścić do tego, by ich prestiż jeszcze długo wystawiano na ciężką próbę.

Kongresman Burkholder wygłosił płomienną mowę. Już następnego dnia po operacji zwołał konferencję prasową. W szpitalnym holu zmontowano prowizoryczne podium, na które wjechał w wózku inwalidzkim, wstał jednak z niego, wspierając się na ramieniu swojej pięknej żony, i podszedł do mikrofonu. Zapewne tylko przez przypadek był ubrany w płomienście czerwona bluzę dresową, świetnie kontrastującą z białymi bandażami wokół szyi oraz podkreślającą uniesione na szynach lewe ramię.

Oświadczył, że czuje się dobrze i szybko odzyskuje siły, gotów był za kilka dni powrócić do pełnienia obowiązków w Kongresie. Nie omieszkał też serdecznie pozdrowić swoich wyborców z Indiany.

Później zaczął pomstować na szerzące się zbrodnie i fatalny stan bezpieczeństwa na ulicach amerykańskich miast (sam pochodził z miasteczka liczącego osiem tysięcy mieszkańców). To wstyd, że przemoc panoszy się w stolicy światowego mocarstwa. Skoro otarł się o śmierć, obiecał solennie, iż począwszy od dziś, zacznie wkładać całą polityczną

energię w zaprowadzenie ładu i bezpieczeństwa na ulicach. Znalazł nowy, szczytny cel dla swojej działalności publicznej.

Potem jął się rozwodzić na temat konieczności zacieśnienia kontroli nad sprzedażą broni oraz zwiększenia liczby miejsc w więzieniach.

Strzelanina, której ofiarą padł Burkholder, nakłoniła stołeczną policję do podjęcia natychmiastowej akcji czyszczenia ulic. Kiedy zaś następnego dnia senatorowie i politycy z Izby Reprezentantów zwołali nadzwyczajne posiedzenie w sprawie zagrożeń czyhających na ulicach w centrum Waszyngtonu, po zmroku rozpoczęły się kolejne czystki. Każdy pijaczyna, żebrak czy bezdomny został zgarnięty z okolic wzgórza Kapitolu. Część wylądowała w areszcie, innych załadowano do ciężarówek i niczym bezwolne bydło wywieziono w odleglejsze rejony miasta.

Dwadzieścia minut przed północą wezwano policję do sklepu monopolowego przy ulicy Czwartej, niedaleko skrzyżowania z Rhode Island Avenue w dzielnicy Północno-Wschodniej. Właściciela zaniepokoiły strzały, jakie padły w najbliższym sąsiedztwie. Później jakiś spóźniony przechodzień zeznał, że widział dwóch podejrzanych mężczyzn uciekających z miejsca zdarzenia.

W mrocznym zaułku obok sklepu, przy stercie gruzu i śmieci, policjanci natknęli się na zwłoki młodego czarnoskórego chłopaka. Zginął od dwóch kul, które trafiły go w głowę.

Jeszcze tej samej nocy udało się zidentyfikować ofiarę. Był to Kito Spires.

ROZDZIAŁ 34

Ruby pojawiła się w poniedziałek rano z wilczym apetytem zarówno na ciastka, jak i najświeższe wiadomości. Czekala na schodkach ośrodka i powitała mnie szerokim uśmiechem, kiedy przyjechałem o ósmej, nieco później niż zwykle. Obawiając się zbirów Gantry'ego, wolałem zajechać przed biuro już przy pełnym świetle dnia, pośród ludzi kręcących się po ulicy.

Wyglądała tak samo, jak w ubiegłym tygodniu. Zajrzałem jej uważnie w oczy, obawiając się, że zauważę jakieś ślady nadmiernego zażywania kokainy, lecz niczego nie spostrzegłem. Ruby jak zwykle patrzyła na mnie hardo, ale była w doskonałym nastroju. Wkroczyliśmy razem do ośrodka i zajęliśmy swoje zwykłe miejsca w sali ogólnej. Ucieszyło mnie, że nie muszę o tej porze siedzieć sam.

- Co u ciebie słychać? - zapytałem.

- Wszystko w porządku - odparła, sięgając po ciastko.

Przyniosłem z kuchni wszystkie trzy torby, jakie kupiłem w minionym tygodniu właśnie dla niej. Chyba nikt się nie częstował oprócz Mordecaia, przed drzwiami jego gabinetu było sporo okruchów.

- Gdzie nocowałeś?

- W samochodzie. Na szczęście zima trochę zelżała.

- Ja też się z tego cieszę. Byłaś już w Naomi?

- Nie, wybieram się tam dzisiaj. Ostatnio nie czułam się najlepiej.

- Podwiozę cię.

- Dzięki.

Rozmowa nie kleiła się zanadto. Ruby obawiała się widocznie, iż zacznę ją wypytywać na temat ostatniej nocy w motelu. Ciekawiło mnie, dlaczego uciekła, ale nie chciałem się dopytywać.

Kiedy zaparzyła się kawa, napełniłem dwa kubki i postawiłem je na biurku. Ruby sięgnęła po trzecie ciastko, lecz tylko delikatnie poobgryzała obeschnięte brzegi, jak myszka.

Ponownie zrobiło mi się jej żal. Postanowiłem przejść do czytania gazety.

- Chcesz posłuchać kilku artykułów? - zapytałem.

- Z przyjemnością.

Na pierwszej stronie widniało zdjęcie burmistrza pozującego na schodach ratusza.

Pamiętałem, że Ruby pasjonują informacje z Waszyngtonu, w dodatku burmistrz uchodził za stronnika kolorowych, dlatego zacząłem od tego właśnie artykułu. Był to wywiad zarejestrowany w sobotę, po zwołanym naprędce posiedzeniu rady miejskiej, która uchwaliła treść wystąpienia do Departamentu Sprawiedliwości, wnioskującego o wszczęcie śledztwa w sprawie tragicznej śmierci Lontae Burton i jej dzieci. Pojawiły się wątpliwości, czy nie doszło do naruszenia praw obywatelskich. Burmistrz podzielał tę opinię, dlatego też domagał się interwencji wymiaru sprawiedliwości.

Nasz pozew nadal stanowił główną oś wydarzeń, zaczęto jednak koncentrować się na winnych tragedii. Przycichły nieco zarzuty stawiane radzie miejskiej, umilkły wzajemne oskarżenia między radnymi a kongresmanami. Ci wszyscy, którzy poczuli się dotknięci, teraz z wielką ochotą i gorliwością występowali przeciwko znanej kancelarii adwokackiej i jej bogatemu klientowi.

Ruby z prawdziwą fascynacją wysłuchała historii Lontae Burton. Pokróćce streściłem jej zarzuty sformułowane w naszym pozwie i zrelacjonowałem wypadki, jakie nastąpiły od chwili jego złożenia.

Tymczasem redakcja „The Washington Post” ani myślała rezygnować z gorącego tematu. Pracownicy Drake’a i Sweeneya musieli zadawać sobie w duchu pytanie: Kiedy to się wreszcie skończy?

Na razie jeden artykuł prowadził do następnego.

Na samym dole pierwszej kolumny znalazłem krótką informację, że stołeczny zarząd poczty zdecydował się wstrzymać inwestycję w dzielnicy Północno-Wschodniej. Nie ulegało wątpliwości, że za tą decyzją kryły się liczne kontrowersje dotyczące sposobu wykupienia parceli i zburzenia magazynu, jak też oskarżenia wysunięte pod adresem spółki RiverOaks oraz Tillmana Gantry’ego.

Zatem RiverOaks utraciło kontrakt wart dwadzieścia milionów dolarów. Tym bardziej spółka musiała teraz zareagować tak, jak przystało na bezwzględną, nastawioną wyłącznie na zysk firmę, która wydała prawie milion dolarów w gotówce na zakup całkowicie bezużytecznej posiadłości w centrum Waszyngtonu - czyli obarczyć winą za niepowodzenie swoich adwokatów.

Naciski powinny się jeszcze nasilić.

Przeszliśmy do doniesień ze świata. Uwagę Ruby przyciągnęła relacja z trzęsienia ziemi w Peru, musiałem przeczytać jej cały artykuł. Kiedy zaś otworzyłem gazetę na dziale miejskim, już pierwszy tytuł, jaki wpadł mi w oko, sprawił, że serce we mnie zamarło. Zamieszczono to samo zdjęcie co poprzednio, tyle że jeszcze większe. Krzykliwy nagłówek

głosił: KITO SPIRES ZGINAŁ OD KUL NIEZNANEGO ZABÓJCY. Poniżej, po krótkim przypomnieniu z piątkowej publikacji roli Spiresa w dramacie Burtonów, przedstawiono szczegóły jego śmierci. Nie było świadków zabójstwa, nie znaleziono żadnych śladów ani motywów. Z pozoru chodziło o tuzinkową sprawę wyeliminowania jednego z groźnych ulicznych bandytów.

- Dobrze się czujesz? - spytała Ruby, wyrывая mnie z zamyślenia.

- Co?... Tak, oczywiście. - Odetchnąłem głęboko.

- Więc dlaczego nie czytasz?

Byłem zbyt oszołomiony. Pospiesznie przebiegłem wzrokiem artykuł, szukając nazwiska Tillmana Gantry'ego, lecz reporter nie łączył go ze sprawą zabójstwa.

Nie umiałem sobie tego wyjaśnić. Dla mnie motywy zbrodni były oczywiste. Chłopak wykorzystał swoją chwilę sławy, za dużo powiedział dziennikarzowi, przez co okazał się szczególnie cennym świadkiem dla powoda, czyli dla nas, musiał zatem zginąć.

Powoli przeczytałem Ruby całą relację, nasłuchując jednocześnie dźwięków dolatujących z ulicy i zerkając trwożliwie na drzwi ośrodka. Miałem nadzieję, że lada moment pojawi się w nich Green.

A więc Gantry przejął sprawy w swoje ręce, co oznaczało zapewne, że pozostałe ofiary eksmisji albo nie zechcą z nami rozmawiać, albo znikną bez śladu, gdy tylko do nich dotrzemy. Zabójstwo najważniejszego świadka stało się dla mnie wystarczającym ostrzeżeniem. Zacząłem się zastanawiać, co pocznę, jeśli ten zbir i przeciwko nam wyśle swoich kompanów.

Mimo narastającego przerażenia zdałem sobie nagle sprawę, że śmierć Spiresa silnie przemawia na naszą korzyść. Co prawda straciliśmy bardzo cennego świadka, lecz jego prawdomówność nie mogła już zostać podana w wątpliwość. Ponadto w nawiązaniu do śmierci dziewiętnastoletniego bandyty znów, już po raz trzeci w tym samym wydaniu, padała nazwa kancelarii Drake'a i Sweeneya. Firma musiała przeżywać najgorszy z możliwych koszmarów, skoro wymieniano ją również w relacji z zabójstwa młodocianego przestępcy.

Cofnąłem się myślami o miesiąc, do okresu sprzed incydentu z Panem, który odmienił moje życie, i wyobraziłem sobie, jak w poprzednim gabinecie czytam ten sam artykuł wczesnym rankiem. Poprzednio musiałbym się zapoznać z wcześniejszymi publikacjami, a więc teraz zyskałbym silne przeświadczenie, iż oskarżenia skierowane przeciwko kancelarii są prawdziwe. Postanowiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, co bym uczynił w tej sytuacji.

Nie zastanawiałem się długo. Byłem pewien, że udałbym się na burzliwą rozmowę z Rudolphem Mayesem, moim bezpośrednim przełożonym, ten zaś z pewnością poruszyłby te same dręczące kwestie na posiedzeniu rady nadzorczej. Na pewno porozmawiałbym też z

kolegami zajmującymi równorzędne stanowiska i chyba wspólnie wystosowalibyśmy wniosek do zarządu o jak najszybsze załatwienie ugody i wyciszenie tragicznych w skutkach plotek. Nalegalibyśmy, aby za wszelką cenę uniknąć rozprawy przed sądem.

Zaczęlibyśmy na wiele sposobów naciskać zarząd spółki.

Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że obecnie większość cenionych pracowników oraz współpracownicy kancelarii robią właśnie to, co ja bym uczynił. Skoro plotkom i dyskusjom nie było końca, nie dało się normalnie pracować, nie wystawiano więc tylu rachunków klientom, co zwykle. Koniecznym było zlikwidować ten bałagan.

- Czytaj dalej - odezwała się Ruby, znów przywołując mnie do rzeczywistości.

Szybko przebrnęliśmy przez dział miejski, głównie dlatego, że ciekawiło mnie, czy jeszcze gdzieś nie napotkam nazwy kancelarii. Wyczerpał się jednak zapas szczęścia. Za to trafiłem na obszerny artykuł opisujący policyjną czystkę przeprowadzoną na ulicach po zamachu na Burkholdera. Nie znany mi rzecznik bezdomnych ostro krytykował tę akcję, grożąc wystąpieniem na drogę sądową. Ruby nadzwyczaj spodobała się jego wypowiedź. Chyba w ogóle była wniebowzięta, że ostatnio tak wiele się pisze na temat bezdomnych.

Później odwiozłem ją do schroniska Naomi, gdzie została przywitana jak stara dobra znajoma. Kobiety chwyciły ją w objęcia i zaciągnęły do sali, niektóre miały łzy w oczach. Poświęciłem kilka minut na rozmowę z Megan, nadzorującą pracę w kuchni, lecz błędnie myślałem, że za daleko, by nawiązać choćby niewinny flirt.

Kiedy wróciłem do biura o dziewiątej, na poradę prawną cierpliwie czekało pod ścianą pięciu petentów. Sofia rozmawiała przez telefon, pokrzykiwała na kogoś po hiszpańsku. Zajrzałem do gabinetu Mordecaia i spytałem, czy widział poranną gazetę. Właśnie ją czytał, uśmiechał się szeroko. Umówiliśmy się za godzinę na przedyskutowanie pewnych kwestii złożonego pozwu.

Zamknąłem się w swoim pokoju i zacząłem wertować papiery. W ciągu dwóch tygodni otworzyłem dziewięćdziesiąt jeden spraw, a zamknąłem tylko trzydzieści osiem. Stopniowo zaczynały mi narastać zaległości w pracy, postanowiłem więc twardo przesiedzieć całe przedpołudnie przy telefonie. Nie zdołałem jednak zrealizować tych zamierzeń.

Sofia zapukała lekko, ale zamek był uszkodzony, toteż drzwi otworzyły się same już po pierwszym uderzeniu. Szybko weszła do środka. Nie przywitała się, nie przeprosiła za nagle wtargnięcie.

- Masz gdzieś tę listę eksmitowanych z magazynu? - zapytała.

Spojrzałem na dwa ołówki zatknięte za jej uszy i okulary zsunięte na sam czubek nosa.

Miałem przed sobą kobietę nadzwyczaj zapracowaną.

Listę trzymałem zawsze pod ręką, wręczyłem jej bez zwłoki. Ledwie rzuciła na nią okiem, mruknęła:

- Zgadza się.

- Co takiego? - spytałem, wstając z krzesła.

- Lokator numer osiem, Marquis Deese - wyjaśniła. - Tak mi się wydawało, że skądś znam to nazwisko.

- Skąd?

- Właśnie siedzi przy moim biurku. Wczoraj wieczorem w ramach czystki policja zgarnęła go w parku Lafayette'a, naprzeciwko Białego Domu, i wywiozła na Logan Circle. To twój szczęśliwy dzień.

Wyszedłem za nią na korytarz. Siedzący przy biurku Deese bardzo przypominał DeVona Hardy'ego - dobiegał pięćdziesiątki, miał szpakowate włosy i brodę, nosił wielkie okulary przeciwsłoneczne i był bardzo grubo ubrany, jak wszyscy bezdomni o tej porze roku. Popatrzyłem na niego z daleka i zapukałem do Greena, żeby przekazać mu radosną wiadomość.

Razem podeszliśmy do Deese'a, Mordecai wziął na siebie rolę przesłuchującego.

- Bardzo przepraszam - zaczął łagodnym tonem. - Nazywam się Mordecai Green i jestem jednym z pracujących tu adwokatów. Czy mógłbym zadać panu kilka pytań?

Obaj spoglądaliśmy na niego z góry. Wyraźnie speszony, powoli uniósł głowę i bąknął:

- Chyba tak.

- Pracujemy nad pewną sprawą dotyczącą ludzi, którzy mieszkali w starym magazynie przy skrzyżowaniu New York i Florida Avenue.

- Ja też tam mieszkałem - odparł szybko Deese, ja zaś odetchnąłem z ulgą.

- Naprawdę?

- Tak. Wywalili nas stamtąd.

- Wiem, właśnie dlatego założyliśmy sprawę. Reprezentujemy część osób, które zostały wyrzucone, gdyż naszym zdaniem eksmisja była bezprawna.

- Święta racja.

- Jak długo pan tam mieszkał?

- Ze trzy miesiące.

- Płacił pan czynsz?

- Pewnie.

- Komu.

- Takiemu jednemu o imieniu Johnny.

- Ile?
- Sto dolców na miesiąc, w gotówce.
- Dlaczego w gotówce?
- Bo on nie chciał żadnych papierków.
- Nie wie pan, kto był właścicielem magazynu?
- Nie - odparł z ociąganiem.

Pocieszyłem się trochę.

Jeśli Deese nie wiedział, że magazyn należy do Gantry'ego, to nie musiał się obawiać jego zemsty. Mordecai przysunął sobie krzesło i usiadł, po czym przystąpił do sedna sprawy.

- Chcielibyśmy włączyć pana do grona naszych klientów.
- Co to oznacza?
- Zaskarżyliśmy ludzi odpowiedzialnych za tę eksmisję. Chcemy udowodnić, że postąpiono nieuczciwie, wyrzucając was wszystkich na ulicę. Dlatego z chęcią będziemy reprezentować również pana, występować w sądzie w pańskim imieniu.

- Ale te mieszkania były urządzone nielegalnie, dlatego płaciliśmy czynsz w gotówce.
- To nie ma znaczenia. Może uda się wywalczyć jakieś odszkodowanie.
- Ile?
- Jeszcze nie wiemy. Ale co ma pan do stracenia?
- No... chyba nic.

Pociągnąłem Mordecaia za rękę. Przeprosiliśmy klienta i wróciliśmy do gabinetu Greena.

- O co chodzi? - zapytał szybko.
- W świetle tego, co spotkało Kito Spiresa, byłoby dobrze zarejestrować zeznania Deese'a. I to już teraz.

Mordecai podrapał się po brodzie.

- Niezły pomysł. Spiszemy oświadczenie złożone pod przysięgą. Deese potwierdzi jego autentyczność własnym podpisem, Sofia go poświadczy. Gdyby coś się przydarzyło naszemu świadkowi, będziemy dysponowali prawomocnym dowodem.

- Nie macie magnetofonu?

Rozejrzał się szybko.

- Gdzieś tu był.

Naszły mnie obawy, że w tym bałaganie można by go szukać tygodniami.

- A kamerę wideo?
- Niestety, nie.

Zamyśliłem się na chwilę.

- Mógłbym przywieźć własną, gdybyście z Sofią zajęli go przez ten czas.
- Nie wypuścimy go z ośrodka.
- Świetnie. Powinienem wrócić za trzy kwadranse.

Wybiegłem z biura, wskoczyłem do samochodu i ruszyłem w kierunku Georgetown. Dopiero pod trzecim numerem zapisanym w moim notesie złapałem Claire. Miała właśnie przerwę między wykładami.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona.
- Chcę pożyczyć kamerę wideo. Bardzo mi się spieszy.
- Nie wynosiłam jej z domu - odparła, cedząc słowa, jakby nie umiała się pogodzić z tą sytuacją. - Po co ci ona?
- Do zarejestrowania zeznań. Nie masz nic przeciwko temu?
- Raczej nie.
- Znajdę ją na zwykłym miejscu w saloniku?
- Tak.
- Nie zmieniałaś zamków w drzwiach?
- Nie.

Ulżyło mi wyraźnie, chociaż sam nie umiałem sobie wyjaśnić powodów. W każdym razie wciąż miałem klucze do mieszkania, mogłem tam wejść, kiedy tylko mi się spodoba.

- A szyfru w systemie alarmowym?
- Też nie.
- Dzięki. Zadzwoń później.

Usadowiliśmy Deese'a w pustym pokoju, w którym znajdowały się tylko regały zapchane starymi książkami, na krześle ustawionym na tle gołej ściany. Wziąłem na siebie rolę kamerzysty, Sofia została świadkiem, Mordecai prowadził przesłuchanie. Nasz klient odpowiadał krótko i zwięźle, wręcz idealnie.

Wyczerpaliśmy wszelkie możliwe pytania w ciągu pół godziny. Na koniec Deese oznajmił, że chyba wie, gdzie można obecnie znaleźć dwóch innych byłych lokatorów magazynu. Obiecał ich powiadomić.

Zaczęliśmy snuć plany dotyczące odrębnych pozwów w imieniu kolejnych eksmitowanych, których uda nam się odnaleźć. Każdy z nich miałby znajdować stosowny oddźwięk w publikacjach „The Washington Post”. Kelvin Lam znalazł schronienie w CCNV,

Deese był drugi, lecz oprócz nich nie mieliśmy więcej nikogo.

Tego typu wystąpienia nie były wiele warte - oszacowaliśmy, że w wypadku negocjacji możemy zażądać dla tych ludzi po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów odszkodowania - dla nas jednak liczyło się głównie to, że dalsze pozwy ściągną więcej hańby na głowy winowajców.

Przyszło mi też na myśl, że nie byłoby źle, gdyby policja zorganizowała kolejną czystkę.

Po utrwaleniu zeznań Mordecai oficjalnie przestrzegł Deese'a o konieczności utrzymania spraw związanych z pozwem w ścisłej tajemnicy. Później usiadłem obok Sofii przy biurku i wspólnie sformułowaliśmy trzystronicową skargę w imieniu naszego nowego klienta, skierowaną przeciwko tym samym trzem pozwanym i dotyczącą bezprawnej eksmisji. Następnie spisaliśmy identyczny pozew w imieniu Kelvina Lama. Tekst został utrwalony w komputerze, wystarczyło jedynie na bieżąco wstawiać nazwiska kolejnych powodów, gdyby się do nas zgłosili.

Telefon zadzwonił kilka minut przed południem. Sofia rozmawiała przez drugi aparat, toteż ja podniosłem słuchawkę.

- Ośrodek porad prawnych - powiedziałem.

- Mówi Arthur Jacobs, szef kancelarii Drake'a i Sweeneya - odpowiedział dźwięczny, głęboki głos z drugiego końca linii. - Chciałbym rozmawiać z panem Mordecaiem Greenem.

- Już proszę - wydusiłem z siebie i pospiesznie przełączyłem rozmowę na aparat wewnętrzny. Jeszcze przez chwilę patrzyłem jak urzeczony na słuchawkę, wreszcie wstałem i poszedłem do gabinetu Greena.

- O co chodzi? - zapytał, unosząc głowę znad opasłego kodeksu cywilnego.

- Arthur Jacobs na linii.

- A kto to jest?

- Szef kancelarii Drake'a i Sweeneya.

Przez parę sekund patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Na wargach Greena z wolna pojawił się uśmiech.

- To może być to, na co czekaliśmy - mruknął.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

Sięgnął po słuchawkę, ja usiadłem przed biurkiem.

Rozmowa była krótka, Mordecai prawie się nie odzywał. Domyśliłem się natychmiast, że Arthur Jacobs chce zorganizować spotkanie w sprawie złożonego pozwu, i to jak najszybciej.

Po odłożeniu słuchawki Green oznajmił:

- Chcą się spotkać jutro w celu przedyskutowania ugodowych warunków załatwienia sprawy.

- Gdzie?

- W ich biurze, o dziesiątej. Ale bez ciebie.

Wcale nie oczekiwałem zaproszenia do gmachu firmy.

- Są zmartwieni powstałą sytuacją?

- To oczywiste. Według przepisów mają dwadzieścia dni na wystosowanie oficjalnej odpowiedzi na nasz pozew, a już teraz chcą rozmawiać o warunkach ugody. Są zmartwieni, i to bardzo.

ROZDZIAŁ 35

Przedpołudnie następnego dnia spędziłem w Misji Odkupienia, udzielając klientom takich porad, jakbym miał wieloletnie doświadczenie w rozwiązywaniu prawnych problemów ludzi bezdomnych. Uległem pokusie i kwadrans po jedenastej zadzwoniłem do Sofii, żeby spytać, czy Mordecai nie dał jeszcze znaku życia.

Nie odezwał się jednak. Podejrzewaliśmy, że spotkanie w siedzibie Drake'a i Sweeneya będzie długie i burzliwe, ale miałem nadzieję, iż w trakcie jakiejś przerwy Greenowi przyjdzie do głowy, by przekazać choćby lakoniczną wiadomość. Nie wpadł na to.

Jak zwykle krótko spałem, mimo że teraz nie odczuwałem już tak silnych bólów w poobijanym boku. Dodatkowo nie pozwalało mi zasnąć podniecenie rozgrywającymi się błyskawicznie wypadkami. To z ich powodu nie tknąłem wieczorem kupionego wina i zrezygnowałem z gorącej kąpieli. Nerwy miałem napięte do ostatnich granic.

W trakcie rozmów z klientami z trudem udawało mi się skupić na sprawach bonów żywnościowych, dodatków mieszkaniowych czy też na zaniedbywaniu obowiązków rodzicielskich, skoro moje losy ważyły się na innym froncie batalii. Zakończyłem przyjmowanie klientów, gdy rozpoczęło się wydawanie lunchu, ponieważ moja obecność w gmachu zeszła błyskawicznie na dalszy plan. Kupiłem sobie bagietkę i butelkę wody mineralnej, po czym przez godzinę jeździłem bez celu po obwodnicy.

Kiedy wróciłem do ośrodka, samochód Mordecaia stał już zaparkowany przed wejściem. Green w swoim gabinecie czekał na mnie z niecierpliwością.

Spotkanie zorganizowano w prywatnej sali konferencyjnej Jacobsa na siódmym piętrze, w bocznym skrzydle gmachu, w którym nigdy nie byłem. Recepcjonistka potraktowała Mordecaia niczym wizytującego biuro dygnitarza - pospiesznie wzięła jego płaszcz, zaprosiła na herbatniki i kawę.

Naprzeciwko niego przy stole, obok Arthura Jacobsa, zasiadł Donald Rafter, dalej przedstawiciel towarzystwa ubezpieczającego kancelarię od uchybień proceduralnych oraz radca prawny spółki RiverOaks. Nie zaproszono natomiast adwokata Tillmana Gantry'ego. Widocznie nikt się nie spodziewał jakiegokolwiek udziału finansowego z jego strony, gdyby doszło do ugody.

Mogła nieco dziwić obecność w tym gronie prawnika RiverOaks, ponieważ interesy

spółki znalazły się w jawnej sprzeczności z interesami kancelarii. Zdaniem Mordecaia w podobnych sytuacjach najczęściej wysuwano zarzuty o działanie w złej woli.

W imieniu gospodarzy głos zabrał Jacobs, to on zresztą odgrywał wiodącą rolę w całych negocjacjach. Green wyznał, że w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, iż ten człowiek przekroczył osiemdziesiątkę. Nie tylko bezbłędnie cytował z pamięci wszystkie fakty, lecz również analizował je błyskawicznie. Odznaczał się bystrym umysłem.

Początkowo uzgodniono, że wszelkie ustalenia muszą pozostać ściśle tajne. Na tym etapie firma nie mogła oficjalnie przyznać się do odpowiedzialności, a ewentualnie przyjęte warunki ugody miały prawo zostać ujawnione dopiero po podpisaniu stosownych dokumentów.

Następnie Jacobs przyznał, że strona pozwana, a w szczególności kancelaria Drake'a i Sweeneya oraz spółka RiverOaks, zostały postawione w sytuacji bez wyjścia. Mówił szczerze o wielkich kłopotach dotyczących jego ukochaną firmę. Mordecai słuchał cierpliwie.

Później Arthur Jacobs jał wyliczać kroki podjęte w kancelarii. Zaczął od Bradena Chance'a, którego w trybie natychmiastowym usunięto ze stanowiska - nie zrezygnował z pracy, lecz został wywalony! Jacobs otwarcie mówił o uchybieniach popełnionych w sekcji nieruchomości, nadzorującej nie tylko inwestycje RiverOaks, lecz także wszelkie aspekty transakcji ze spółką TAG. Podejmując zaś decyzję o eksmisji lokatorów, Chance prawdopodobnie postąpił niezgodnie z prawem.

- Prawdopodobnie? - wtrącił w tym miejscu Green.

Tak, rzeczywiście było to bezprawne. Chance dopuścił się karygodnego uchybienia profesjonalnej odpowiedzialności, nakazując przeprowadzenie eksmisji. Poza tym usunął z akt niewygodne dokumenty w celu zatuszowania własnego błędu. Okłamał też pozostałych współników, jak Arthur przyznał bez cienia zażenowania. Gdyby wyjawiał prawdę zaraz po groźnym incydencie z Panem, zarząd firmy zdążyłby podjąć kroki zmierzające do powstrzymania pozwu i zapobiegł fali krytyki w prasie. Tak więc to Chance przysporzył kancelarii wielu problemów i dlatego musiał odejść.

- Jakie dokumenty zostały usunięte z akt? - zapytał Mordecai.

Wyglądało na to, że przeciwnicy chcieliby się głównie dowiedzieć, czy on zna zawartość skradzionej teczki. Nie mogli jednak niczego zarzucić mu bezpośrednio.

Z kolei Arthur Jacobs bał się wyjaśnić, jakie pisma zniknęły z akt.

- Czy znają panowie sprawozdanie Hectora Palmy z dwudziestego siódmego stycznia? - zapytał Green wprost, wywołując konsternację przy stole.

- Nie - padła odpowiedź Jacobsa.

Mordecai oznajmił więc, że i ta notatka, uzupełniona o kopię pokwitowania za czynsz wpłacony przez Lontae, zniknęła z teczki. Z wielkim namaszczeniem, niemalże celebrując każdą sekundę swego triumfu, wyjął z aktówki przygotowane wcześniej odbitki sprawozdania. Majestatycznym ruchem położył je na stole przed zdumionymi prawnikami, którzy chwycili kartki z zapartym tchem i zaczęli pospiesznie przeglądać.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Tekst notatki trzeba było co najmniej dwukrotnie przeczytać i błyskawicznie przeanalizować, zapewne w poszukiwaniu jakichkolwiek podejrzanych zwrotów czy nawet pojedynczych słów, które dałoby się przytoczyć na swoją obronę. Ale niczego takiego w piśmie nie znaleziono. Relacja Hectora była prawdziwa, ścisła i rzeczowa.

- Czy mogę zapytać, skąd pan to ma? - odezwał się przymilnie Arthur Jacobs.

- To nie jest ważne, przynajmniej na tym etapie.

Nie ulegało wątpliwości, że tekst notatki sprawił gospodarzy w jeszcze większe zakłopotanie. Widocznie Chance zniszczył oryginał, a kolegom tylko ustnie zrelacjonował treść usuniętego sprawozdania. Nikt nie wiedział, że wcześniej została wykonana jego kopia.

Teraz zaś prawnicy spoglądali na nią z niedowierzaniem.

Byli jednak wytrawnymi fachowcami, toteż notatkę szybko odłożono na bok, jakby stanowiła coś, z czym można się będzie uporać kiedy indziej.

- Wygląda na to, że nieodwołalnie musimy przejść do sprawy zaginionych dokumentów - rzekł Arthur Jacobs, chcąc zapewne odzyskać twardy grunt pod nogami.

Wyjaśnił obszernie, że firma ma naocznego świadka, który widział mnie przed gabinetem Chance'a tej nocy, gdy skradziono teczkę. Na moją niekorzyść świadczyły też zebrane odciski palców, jak i tajemnicza koperta, znaleziona na moim biurku wraz z pismem objaśniającym przeznaczenie kluczy. A ponieważ wcześniej domagałem się od Chance'a możliwości wglądu w dokumenty transakcji między RiverOaks i TAG, istniał też wyraźny motyw.

- Nie ma jednak świadków kradzieży - odparł Green - a to nasuwa poważne wątpliwości.

- Czy wie pan, gdzie znajdują się te dokumenty? - zapytał Arthur Jacobs.

- Nie.

- Naprawdę nie zależy nam na tym, aby wysłać Michaela Brocka do więzienia.

- W takim razie dlaczego wysuwacie przeciwko niemu zarzuty o charakterze kryminalnym?

- Ponieważ wykładamy wszystkie atuty na stół, panie Green. Gdybyśmy doszli do

porozumienia w kwestii waszego pozwu, moglibyśmy także rozwiązać sprawę pospolitego przestępstwa.

- To wspaniała nowina. Zatem jakie proponujecie warunki ugody?

Tu Rafter zaprezentował dziesięciostronicowy raport pełen wielobarwnych wykresów i zestawień, którego zadaniem było poparcie argumentacji, iż życie młodych, niepiśmiennych i bezdomnych matek oraz dzieci nie jest wiele warte w świetle procesów o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Z typową dla wielkich firm prawniczych wnikliwością fachowcy z kancelarii Drake'a i Sweeneya poświęcili wiele godzin na prześledzenie rezultatów analogicznych rozpraw, jakie odbyły się w różnych stanach, z położeniem nacisku na ostatnie trendy kształtujące opinie sądów. Sporządzili więc rejestr odszkodowań przyznanych w ciągu ostatniego roku, jak i w ciągu poprzednich pięciu czy dziesięciu lat; zestawienie w podziale na regiony kraju, jak i poszczególne stany, a nawet miasta. Bo ile w końcu warte jest życie niemowlęcia lub dziecka w wieku przedszkolnym? Niewiele. Średnia krajowa wynosiła w przybliżeniu czterdzieści pięć tysięcy dolarów; sumy były wyraźnie niższe w stanach południowych i na Środkowym Zachodzie, najwyższe zaś w Kalifornii oraz metropoliach.

Dzieci nie pracowały i nie zarabiała pieniędzy, a sędziowie z reguły nie uwzględniali podczas rozpraw żadnych szacunków co do wysokości ich dochodów po osiągnięciu dojrzałości.

Wycena strat wpływów spowodowanych śmiercią Lontae okazała się dość liberalna. Biorąc pod uwagę historię zatrudnienia kobiety, łatwo było oszacować jej roczne dochody. Miała dwadzieścia dwa lata i gdyby nawet zdołała znaleźć stałą pracę, z pewnością otrzymywałaby za nią najniższą stawkę. Rafter przyznawał, że jego ocena jest oparta na bardzo daleko idących założeniach, choćby takich, że Lontae uwolni się od narkomanii, zacznie prowadzić się przykładowo i nie zajdzie już więcej w ciążę, ponadto zaliczy jakiś kurs dokształcający i ostatecznie zacznie zarabiać dwukrotnie więcej, niż wynosi minimalna płaca, przy czym utrzyma się na stanowisku aż do osiągnięcia sześćdziesiątego piątego roku życia. Hojnie biorąc także pod uwagę przyszłą inflację, w przeliczeniu na obecny kurs dolara, łączne dochody zmarłej matki do osiągnięcia wieku emerytalnego wynosiłyby w zaokrągleniu pięćset siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

Szacunki dodatkowo ułatwiał fakt, że nie wchodziły w grę żadne zranienia czy oparzenia, nikt szczególnie nie cierpiał, ponieważ cała rodzina zasnęła podczas snu.

Zatem w celu polubownego załatwienia sprawy i pokrycia wyrządzonych nieumyślnie szkód, firma proponowała w swojej szczodrości wypłacić po pięćdziesiąt tysięcy za każde

zmarłe dziecko, jak też pełną sumę szacunkowych przyszłych dochodów samotnej matki, czyli łącznie siedemset siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

- To wręcz śmieszna suma - oświadczył Mordecai. - Przed sądem będę mógł wywalczyć tyle za każde dziecko z osobna.

Gospodarze niemal skulili się w fotelach.

Green zaczął kolejno dyskredytować wszelkie wnioski zawarte w przedstawionym raporcie. Nie obchodziło go, jakie odszkodowania zasądzi przysięgli w Dallas bądź Seattle, gdyż nie widział bezpośredniej analogii z innymi sprawami. Nie zamierzał nawiązywać do przebiegu procesu w Omaha. Wiedział natomiast, jak wpłynąć na decyzję przysięgłych w Waszyngtonie, i tylko to się dla niego liczyło. Rzekł wprost, że jeśli zarząd firmy ma złudzenia, iż wykpi się od rozprawy tak śmiesznie niską kwotą, to kontynuowanie tego spotkania nie ma większego sensu.

Rafter zrobił zboliałą minę, pałeczkę ponownie przejął Jacobs.

- Przecież to nie jest ostateczna propozycja - mruknął. - Możemy negocjować wysokość odszkodowania.

W przedstawionej sumie w ogóle nie uwzględniono rekompensaty strat moralnych, co Mordecai natychmiast uwypuklił.

- Mamy do czynienia z bardzo bogatym prawnikiem, współnikiem potężnej kancelarii, który świadomie doprowadził do niezgodnej z prawem eksmisji. W jej rezultacie moi klienci zmuszeni byli nocować na ulicy, gdzie zmarli podczas próby uchronienia się przed zamrażaniem. Szczerze mówiąc, panowie, jest to wręcz podręcznikowy motyw do wystąpienia o bardzo wysokie odszkodowanie z powodu poniesionych strat moralnych, szczególnie zasadny tutaj, w stolicy.

Owo „tutaj, w stolicy” nie oznaczało nic innego, niż skład przysięgłych, w którym przeważają czarni.

- Możemy negocjować - powtórzył Arthur Jacobs. - Jaką sumę pan proponuje?

W naszych dyskusjach wiele uwagi poświęciliśmy kwocie, którą należało wymienić jako pierwszą podczas ustalania warunków ugody. Do sądu wystąpiliśmy o dziesięciomilionowe odszkodowanie, lecz była to liczba wzięta z powietrza. Równie dobrze moglibyśmy zażądać czterdziestu, pięćdziesięciu czy nawet stu milionów.

- Po milionie za każdego członka rodziny - wycedził Green.

Jego słowa zwały się niczym ogromny ciężar na środek mahoniowego stołu konferencyjnego. Na pewno siedzący po drugiej stronie prawnicy słyszeli je wyraźnie, minęło jednak parę sekund, zanim dotarły do ich świadomości.

- Pięć milionów?! - jęknął cicho Raf ter.

- Tak, pięć milionów - powtórzył głośno Mordecai. - Po milionie za każdego zmarłego.

Nagle uwagę adwokatów przykuły ich notatniki, każdy musiał natychmiast zapisać po parę zdań.

Wreszcie Arthur Jacobs zaczął delikatnie wyjaśniać, że nasza teoria odpowiedzialności wcale nie jest jednoznaczna, ponieważ w sprawę wdały się siły natury, a bezpośrednio śmierć powodów wywołała śnieżycą. Wywiązała się krótka dyskusja na temat warunków atmosferycznych, którą Mordecai uciał szybko:

- Sędziów przysięgłych nie trzeba będzie przekonywać, że w lutym zwykle pada śnieg, zazwyczaj panują mrozy, a często zdarzają się również zamiecie.

Opowiadał mi, że w ciągu całego spotkania po każdej rzuconej przez niego uwadze nawiązującej do sędziów przysięgłych na kilka sekund zapadała przy stole grobowa cisza.

- Oni są śmiertelnie przerażeni perspektywą rozprawy sądowej - zawyrokował.

Później wyjaśnił obszernie, że nasza teoria odpowiedzialności jest wystarczająco mocna, by wytrzymać wszelkie kontrataki obrony. Do eksmisji doszło albo na skutek w pełni świadomego działania, albo rażącego niedbalstwa. Łatwo można było przewidzieć skutki wypędzenia na ulicę ludzi pozbawionych dachu nad głową w początkach lutego. Stanowiło to jeden z najpoważniejszych argumentów, jakie powinny wywrzeć wpływ na decyzję sędziów przysięgłych w dowolnym zakątku tego kraju, a zwłaszcza bogobojnych obywateli dystryktu stołecznego.

Arthur Jacobs, chyba znudzony dyskusją na temat winy i kary, ponownie odwołał się do swego najsilniejszego atutu, to znaczy mnie - a konkretnie do moich działań podjętych mimo licznych ostrzeżeń po kradzieży dokumentów z gabinetu Chance'a. W tej kwestii firma zajmowała twarde stanowisko. Gotowa była wycofać oskarżenia o pospolite przestępstwo w wypadku osiągnięcia ugody w sprawie cywilnej, nie zamierzała jednak rezygnować z pociągnięcia mnie do odpowiedzialności dyscyplinarnej.

- Czego żądają? - spytałem szybko.

- Dwuletniego zawieszenia - odparł posepnym tonem Mordecai.

Nie mogłem wydusić z siebie głosu. Na temat rozmiaru tej kary zarząd firmy w ogóle nie zamierzał dyskutować.

- Powiedziałem im, że to zbyt wygórowane żądania - dodał Green, ale nie tak pewnym głosem, jak bym sobie tego życzył. - Nie chcieli słuchać.

Milczałem, a po głowie kołatały mi się tylko te słowa: dwa lata!

Dyskusja na krótko wróciła do sprawy odszkodowania, ale nie doszło do żadnych

ustaleń. Jedynym efektem było uzgodnienie konieczności następnego spotkania, które miało się odbyć w najbliższym czasie.

Na zakończenie Green zaprezentował gospodarzom kopię gotowego już, lecz jeszcze nie złożonego w sądzie wystąpienia w imieniu Deese'a. Dotyczyło ono tych samych trzech pozwanych i domagało się odszkodowania w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za bezprawną eksmisję z zajmowanego lokalu. Przy czym Mordecai obiecał, że nie jest to ostatni pozew, gdyż ma zamiar składać je na bieżąco, po kilka tygodniowo, w miarę zgłaszania się kolejnych poszkodowanych.

- I kopię tego pozwu również zamierza pan udostępnić prasie? - spytał Rafter.

- Czemu nie? Każda sprawa przekazana do kancelarii sądu przestaje być objęta tajemnicą.

- Owszem, chodzi jednak o to, że mamy już dość krytycznych publikacji pod naszym adresem.

- No cóż, sami zaczęliście tę wojnę na doniesienia prasowe.

- Jak to?

- Powiadomiliście przecież dziennikarzy o aresztowaniu Michaela.

- Nic podobnego!

- Tak?! To skąd redakcja „The Washington Post” wzięła zdjęcie wykonane na użytek kancelarii?!

W tym miejscu Arthur Jacobs ostro kazał Rafterowi zamilknąć.

Zamknąłem się w swoim pokoju, usiadłem za biurkiem i przez dobrą godzinę patrzyłem tępo na ścianę, zanim uspokoiłem rozbiegane myśli. Stało się jasne, że firma gotowa była zapłacić duże pieniądze, aby uniknąć dwóch rzeczy - dalszego oczerniania przez prasę oraz przedstawienia na sali sądowej, które niechybnie przyniosłoby jeszcze większe straty finansowe. Jeślibym oddał skradzioną teczkę, zostałyby wycofane zarzuty o kradzież poufnych materiałów. I wszystko z pewnością by się jakoś ułożyło, gdyby nie to, że kancelaria pragnęła się na mnie zemścić.

Z ich punktu widzenia byłem nie tylko zdrajcą, ale także ponosiłem pełną odpowiedzialność za powstałe zamieszanie. Tylko przeze mnie wstydlive sekrety, ukrywane dotąd w głębi szklanej wieży, wyszły na jaw i stały się podstawą do sformułowania pozwu przeciwko firmie. Stopień oczernienia w prasie był wystarczający, by wzbudzić do mnie nienawiść, a perspektywa znacznego uszczerbku w finansach stanowiła siłę napędową żądy odwetu.

W powszechnym mniemaniu wspólników kancelarii działaliśmy na ich niekorzyść wyłącznie na podstawie skradzionych poufnych materiałów. Wynikało stąd, że nic nie wiedzą o udziale Hectora w tej sprawie. Uważali, że to ja znalazłem w dokumentach wszelkie potrzebne informacje i opierając się na nich, wystosowałem poważne oskarżenia.

Byłem dla nich Judaszem. I ze smutkiem musiałem przyznać, że ich rozumiem.

ROZDZIAŁ 36

Długo po wyjściu Sofii i Abrahama siedziałem w półmroku mego gabinetu, kiedy Mordecai wszedł bez pukania i stanął między dwoma nowymi składanymi krzeselkami, które kupiłem na pchlim targu za sześć dolarów. Przynajmniej do siebie pasowały, bo poprzedni właściciel pomalował je na ciemnobrązowe. Były brzydkie i toporne, ale nie musiałem się już martwić, że klient z hukiem wyląduje na podłodze w połowie zdania.

Wiedziałem, że całe popołudnie Green spędził przy telefonie, lecz nie zaglądałem do niego.

- Przeprowadziłem mnóstwo rozmów - zaczął. - Sprawy zaczynają się toczyć o wiele szybciej, niż przypuszczaliśmy.

Nie odpowiedziałem, tylko popatrzyłem na niego z zainteresowaniem.

- Kilka razy łączyłem się z Arthurem Jacobsem, na zmianę rozmawiałem z sędzią DeOrio. Znasz go?

- Nie.

- To twardy facet, ale rzetelny i uczciwy, umiarkowanie liberalny. Przed wielu laty zaczął karierę adwokacką w dużej firmie, lecz na pewnym etapie zdecydował, że chce być sędzią. Także zrezygnował z dużych dochodów. Załatwia więcej spraw niż jego koledzy, gdyż bardzo krótko trzyma występujących przed nim prawników. Rządzi żelazną ręką. Ostro domaga się ugodowego zaspokojenia roszczeń, a dopiero gdy to okazuje się niemożliwe, organizuje rozprawę w najbliższym możliwym terminie. Ma prawdziwą obsesję na punkcie czyszczenia swojej wokandy.

- Chyba jego nazwisko obilo mi się kiedyś o uszy.

- Powinno. W końcu od siedmiu lat jesteś adwokatem w stolicy.

- Zajmowałem się jednak prawem antytrustowym, podobne sprawy rzadko trafiają do sądów.

- Tak czy inaczej uzgodniliśmy, że jutro o trzynastej spotykamy się z DeOrio na sali sądowej. Mają być przedstawiciele trzech pozwanych wraz ze swoimi rzecznikami, my dwaj, kuratorka majątku powoda, krótko mówiąc: wszyscy zainteresowani tą sprawą.

- Ja też?

- Tak. Sędzia sobie tego zażyczył. Powiedział, że nada ci status biernego obserwatora i posadzi na ławie przysięgłych, chce jednak, żebyś przyjechał. I polecił także, byś wziął ze sobą

skradzioną teczkę.

- Cudownie.

- W wielu kręgach DeOrio uchodzi za kategorycznego przeciwnika mediów. Nagminnie wyrzuca dziennikarzy ze swojej sali, telewizyjnych ekip nie wpuszcza nawet do korytarza. Wygląda na to, że już jest oburzony prasową nagonką, jaką wywołała ta sprawa. Bardzo mu zależy na zlikwidowaniu przecieków do gazet.

- Treść pozwów nie jest objęta tajemnicą.

- Wiem, lecz sędzia może utajnić materiały, jeśli przyjdzie mu na to ochota. Nie sądzę, aby to zrobił, na razie chyba tylko straszy.

- I uważasz, że zależy mu na ugodowym rozwiązaniu?

- To nie ulega wątpliwości. Każdy sędzia chce jak najszybciej pozbyć się sprawy, bo ma więcej czasu na grę w golfa.

- Co sądzi o naszym wystąpieniu?

- Nie ujawniał własnej opinii, domagał się jednak stanowczo, by na jutrzejsze spotkanie przybyli odpowiedzialni przedstawiciele trzech pozwanych, nie tylko rzecznicy. Zyskamy okazję, by poznać ludzi z samej góry, tych, którzy podejmują decyzje.

- Będzie też Gantry?

- Tak. Rozmawiałem z jego adwokatem.

- Czy on wie, że w wejściu do holu stoi bramka wykrywacza metali?

- Pewnie tak, sporo razy był już w sądzie. I Arthur, i ja powiadomiliśmy sędziego o zaproponowanych warunkach ugody. Nie skomentował ich w żaden sposób, ale odniosłem wrażenie, że nie przypadły mu do gustu. DeOrio był świadkiem wielu głośnych werdyktów. Dobrze zna przysięgłych.

- A co ze mną?

Na kilku sekund zapadło milczenie, widocznie Green usiłował w myślach sformułować taką odpowiedź, która byłaby szczerą, a zarazem nie przygnębiła mnie zaudto.

- Raczej nie będzie łatwo cokolwiek wywalczyć.

Przeważała jednak szczerłość.

- Gdzie szukać sprawiedliwości, Mordecai? Za głęboko siedzę w tej sprawie, straciłem dystans.

- Tu nie chodzi o sprawiedliwość. Zabrałeś akta, żeby wykorzystać je do naprawienia wyrządzonego zła. Nie zamierzałeś ich kraść, chciałeś jedynie wypożyczyć na godzinę. Dokonałeś chwalebego czynu, ale od strony formalnej dopuściłeś się kradzieży.

- Czy DeOrio również potraktuje to jak kradzież?

- Raz użył tego określenia.

Zatem i sędzia uważał mnie za złodzieja, ta opinia szybko się upowszechniała. Aż zabrakło mi odwagi, żeby spytać Greena, co on o tym myśli. Gdybym to zrobił, na pewno odpowiedziałby szczerze, ale prawda przypuszczalnie byłaby dla mnie nie do przyjęcia.

Rozsiadł się wygodnie na jednym z krzeseł, które nawet nie zatrzeszczało pod jego imponującym ciężarem. Mogłem być z siebie dumny.

- Chcę, żebyś o czymś pamiętał - rzekł z naciskiem. - Wystarczy jedno twoje słowo, a w mgnieniu oka wycofam pozew. Niepotrzebna nam ta ugoda, w gruncie rzeczy nikt jej nie potrzebuje. Ofiary nie żyją, najbliżsi krewni pozostają nieznanymi bądź siedzą w więzieniu. Polubowne załatwienie roszczeń w najmniejszym stopniu nie wpłynie na moje życie. To twoja sprawa, sam musisz zdecydować.

- Gdyby to było takie proste, Mordecai.

- A nie jest?

- Przerażają mnie zarzuty kryminalne.

- Wcale się nie dziwię. Można to jednak szybko załatwić. Wycofane zostanie zarówno oskarżenie, jak i wniosek o karę dyscyplinarną. Wystarczy, iż zadzwonię do Arthura i zaproponuję, że cofniemy pozew, jeśli firma zrezygnuje ze ścigania ciebie. Rozstaniemy się w zgodzie i zapomnimy o wszystkim. Na pewno przyjmie taką propozycję bez dwóch zdań.

- Prasa pożarłaby nas żywcem.

- Co z tego? Jesteśmy uodpornieni. Sądzisz, że twoich klientów choć trochę obchodzi, co o nas napisze „The Washington Post”?

Nagle wziął na siebie rolę obrońcy przegranej sprawy, sam nie wierzył w przytaczane argumenty. Przede wszystkim chciał mnie ratować, wyczuwałem jednak, jak bardzo mu zależy na ukaraniu współników Drake’a i Sweeneya.

No cóż, niektórych ludzi trudno uchronić przed ich własnymi błędami.

- Dobra, załóżmy, że się wycofamy - powiedziałem. - Co byśmy w ten sposób zyskali? Pośrednio mamy do czynienia z mordercami. Ponoszą pełną odpowiedzialność za bezprawną eksmisję i wyrzucenie ludzi na ulicę, czym przyczynili się do śmierci naszych klientów. Mielibyśmy teraz darować im winy? Czyżby właśnie o to ci chodziło?

- Tylko w ten sposób możesz zachować licencję adwokacką.

- Po prostu usiłują wyrzucić presję - rzuciłem, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Pod jednym względem miał rację. To była moja sprawa i nadszedł moment podjęcia zasadniczej decyzji. Nie mogłem dłużej ukrywać, że zabrałem tę cholerną teczkę; zarówno z etycznego, jak i prawnego punktu widzenia postąpiłem źle.

Z drugiej strony wiele bym stracił w oczach Greena, gdyby teraz obleciał mnie strach. Pomoc biednym i bezdomnym, wyciąganie ich z dna stało się treścią jego życia. Obracał się wśród ludzi pozbawionych złudzeń, usiłujących zaspokoić podstawowe potrzeby - zapewnić sobie posiłek, znaleźć suche miejsce do spania, jakąś pracę zarobkową, dach nad głową za przystępną cenę. Chyba tylko wyjątkowo problemy jego klientów bezpośrednio wiązały się z wielkimi i bogatymi prywatnymi firmami.

Pieniądze niewiele znaczyły dla takich jak Mordecai, nawet sowite honorarium nie odmieniłoby jego losu. A ponieważ, jak sam zaznaczył, w tej sprawie klienci bądź umarli, bądź też pozostawali nieznani czy siedzieli w więzieniu, nawet przez chwilę nie brałby pod uwagę możliwości zawarcia polubownej ugody, gdyby ta nie wpływała na moją przyszłość. Za wszelką cenę dążyłby do procesu, głośnej rozprawy szeroko komentowanej w prasie i telewizji, mając nadzieję, że jego wystąpienie przed kamerami stanie się okazją do zwrócenia uwagi opinii publicznej na niedolę biedoty. Doskonale wiedział, że czasami sale sądowe, gdzie pozornie rozpatruje się konkretną sprawę, pełnią funkcję ambony, z której wygłaszane są płomienne kazania.

To przeze mnie wszystko się komplikowało. Świetlaną wizję mąciła mu perspektywa ujrzenia mojej białej twarzy za kratkami. Musiałem położyć na szali licencję adwokacką, a dzięki niej zarabiałem na życie.

- Nie wyskoczę z tonącego okrętu, Mordecai.

- Wcale tego po tobie nie oczekiwałem.

- Zastanówmy się nad przyszłością. Przyjmijmy, że zdołamy wynegocjować jakieś godziwe odszkodowanie w zamian za cofnięcie oskarżenia o kradzież. Do ustalenia pozostanie tylko kwestia mojej odpowiedzialności. Powiedzmy, że zgodzę się jakoś przetrwać czasowe zawieszenie licencji. Co mnie czeka?

- Przede wszystkim będziesz musiał ścierpieć hańbę kary dyscyplinarnej.

- Cóż, nie zapowiada się przyjemnie, ale świat się od tego nie zawali.

Próbowałem powstrzymać drżenie głosu, gdyż w rzeczywistości byłem przerażony możliwymi konsekwencjami. Nie umiałem sobie wyobrazić reakcji Warnera, rodziców, przyjaciół, kolegów ze studiów, wszystkich znajomych z kancelarii Drake'a i Sweeneya. W wyobraźni widziałem ich ironiczne uśmiechy na wieść o cofnięciu mi licencji.

- Poza tym w okresie zawieszenia nie będziesz mógł pracować jako adwokat.

- To znaczy, że wylecę z roboty?

- Skądże!

- Więc czym się będę zajmował?

- Zachowasz ten gabinet i będziesz nadal udzielał porad w CCNV, Samaritan House, Misji Odkupienia i innych schroniskach, które już poznałeś. Pozostaniesz także pełnoprawnym współnikiem ośrodka, tyle że formalnie zakwalifikujemy cię jako pracownika socjalnego, a nie adwokata.

- A więc nic się nie zmieni?

- W każdym razie niewiele. Popatrz na Sofię, przyjmuje więcej klientów niż my trzej razem wzięci, co najmniej połowa miasta jest dogłębnie przekonana, że ma do czynienia z dyplomowanym adwokatem. Gdyby zaszła konieczność wystąpienia przed sądem, wezmę to na siebie. Ty będziesz się nadal zajmował tym samym.

Cóż, przepisy prawa ulicznego ustanawiali ci, którzy mieli z nimi do czynienia na co dzień.

- A jeśli zostanę przyłapany?

- Daj spokój. Granica między kompetencjami pracownika socjalnego a prawnika działającego na rzecz społeczeństwa wcale nie jest ostra i wyraźna.

- Niemniej dwa lata to kupa czasu.

- I tak, i nie. Wcale nie powiedziałem, że musimy się zgodzić na dwuletnie zawieszenie.

- Myślałem, że ten warunek nie podlega negocjacji.

- Jutro wszystko będzie do wynegocjowania, trzeba się tylko przygotować. Odszukaj analogiczne sprawy, jeśli takie w ogóle rozpatrywano. Sprawdź, jakie kary dyscyplinarne nakładano w podobnych sytuacjach.

- Myślisz, że kiedyś zdarzyło się coś takiego?

- Niewykluczone. Są miliony prawników, a większość to specjaliści w dziedzinie kręactwa.

Green spieszył się na jakieś spotkanie. Podziękowałem mu za rozmowę i razem wyszliśmy z biura.

Pojechałem do Wyższej Szkoły Prawniczej w Georgetown, znajdującej się u stóp wzgórza Kapitolu, gdzie biblioteka była otwarta aż do północy. Miałem doskonałą okazję, żeby zakopać się w książkach i zastanowić nad własnym życiem w roli zawieszzonego w prawach adwokata.

ROZDZIAŁ 37

Sala sędziego DeOrio znajdowała się na pierwszym piętrze gmachu Carla Moultriego. Niemalże graniczyła z domeną sędziego Kisnera, w którego pieczy leżała sprawa karna o popełnioną przeze mnie kradzież, czekająca obecnie na rozwój wypadków na innej arenie. Po korytarzach jak zwykle kręciły się zastępy podrzędnych adwokatów, takich, co reklamują się w telewizjach kablowych i na przystankach autobusów. Wielu prowadziło ostatnie narady z klientami, którzy już na pierwszy rzut oka wydawali się winni. Aż trudno mi było uwierzyć, że moje nazwisko znalazło się na wokandzie pośród nich.

Przyjście na czas miało dla mnie ogromne znaczenie, Mordecai panicznie bał się spóźnienia, gdyż DeOrio słynął z fanatycznego przestrzegania punktualności. Robiło mi się jednak niedobrze na samą myśl, że wejdę na salę dziesięć minut przed czasem, przez co natychmiast stanę się obiektem ironicznych spojrzeń i wymienianych szeptem uwag, a co gorsza może będę nawet musiał zamienić parę słów z Donaldem Rafterem, Arthurem Jacobsem czy Bóg jeden wie z kim jeszcze. Ponadto nie zamierzałem przebywać w tym samym pomieszczeniu z Tillmanem Gantrym pod nieobecność sędziego.

Pragnąłem tylko w spokoju zająć miejsce na ławie przysięgłych i wysłuchać całej dyskusji, nie zaczepiany przez nikogo. Dlatego wkroczyliśmy na salę dwie minuty przed trzynastą.

Sekretarka DeOrio rozdawała właśnie kopie dokumentów. Pospiesznie wskazała nam miejsca - moje za barierką oddzielającą zwykle skład przysięgłych, Mordecaia natomiast przy stole strony powodowej, przy którym siedziała już Wilma Phelan, kuratorka majątku powoda. Miała bezgranicznie znudzoną minę, ponieważ i jej przypadła jedynie rola biernego obserwatora dyskusji.

Rozmieszczenie osób przy stole obrony stanowiło istny wzór prawniczej strategii. Przedstawiciele kancelarii tłoczyli się przy jednym końcu, Tillman Gantry i dwóch reprezentujących go adwokatów przy drugim. Środek, a więc niejako pozycję buforową, zajmowało dwóch członków rady nadzorczej RiverOaks, za nimi siedziało trzech prawników spółki. W powielonych materiałach znajdowała się pełna lista uczestników spotkania, po stronie pozwanych naliczyłem aż trzynaście nazwisk.

Spodziewałem się, że Gantry - wytrawny oszust, może członek mafii - będzie nosił liczne sygnety, złote kolczyki i przyjdzie ubrany w coś wzorzystego i szokującego. Zawiodłem

się jednak. Miał na sobie elegancki granatowy garnitur, był zdecydowanie lepiej ubrany niż jego adwokaci. Uważnie czytał treść pozwu, nie zwracając uwagi na swoje otoczenie.

Reprezentację firmy tworzyli Jacobs, Rafter i Nathan Malamud. Był także Barry Nuzzo. Postanowiłem, iż nie dam się niczym zaskoczyć, ale widok Barry'ego zdumiał mnie bezgranicznie. Przysyłając do sądu trzech spośród grona zakładników, zarząd firmy chciał mi widocznie dać do zrozumienia, że pozostali sterroryzowani przez Pana wrócili do normalnych zajęć, tylko ja się załamalem. Co zatem sprawiło, że zostałem czarną owcą?

Piątego członka delegacji nie znałem, według pisma był to niejaki L. James Suber, przedstawiciel towarzystwa ubezpieczającego kancelarię przed uchybieniami proceduralnymi. Domyślałem się, iż spółka jest ubezpieczona na dużą sumę, wątpiłem jednak, czy wystarczy ona na pokrycie uzgodnionego odszkodowania. W dodatku polisa nie dotyczyła czynów świadomych, takich jak sprzeniewierzenie funduszy przez któregoś ze współników ani zamierzonych odstępstw od przyjętych norm postępowania. Były nią objęte wyłącznie uchybienia formalne, na pewno nie celowe pominięcie przepisów prawa. Nie ulegało wątpliwości, że czyn Bradena Chance'a nie da się zakwalifikować jako przeoczenie zapisów statutowych czy paragrafów kodeksu cywilnego bądź zwykłe odejście od utartych praktyk. Podjęta została w pełni świadoma decyzja o przeprowadzeniu eksmisji, mimo dysponowania dowodami, że nie chodzi o dzikich lokatorów, lecz chronionych prawem legalnych najemców lokali.

Z pewnością musiał wyniknąć ostry spór między tymi dwiema stronami, ale kłótnie odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Mnie to już nie obchodziło.

Punktualnie o pierwszej na sali pojawił się sędzia DeOrio i zajął miejsce za stołem prezydialnym.

- Dzień dobry - powiedział sztywno.

Miał na sobie togę, co wydało mi się dziwne. Nie uczestniczyliśmy przecież w oficjalnej rozprawie, tylko w nieformalnym spotkaniu dotyczącym uzgodnienia warunków ugody.

DeOrio przysunął sobie mikrofon i powiedział:

- Panie Burdick, proszę nikogo nie wpuszczać na salę.

Woźny w uniformie strzegł wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Widownia świeciła pustkami. Narada miała charakter prywatnej konferencji.

Protokolantka dała znak, że jest gotowa.

- Sekretarka poinformowała mnie, że są obecni przedstawiciele i rzecznicy wszystkich zaangażowanych stron - zaczął sędzia, spoglądając na mnie takim wzrokiem, jakbym był

notorycznym gwałciacielem. - Celem naszego spotkania jest uzgodnienie warunków polubownego załatwienia sprawy. Po wczorajszych rozmowach z prawnikami obu stron stało się dla mnie jasne, że tego typu narada, właśnie w tym terminie, odpowiada ich życzeniom. Nigdy jeszcze nie organizowałem spotkania ugodowego tak krótko po wpłynięciu pozwu, lecz skoro pragną tego zwaśnione strony, jestem do dyspozycji. Na początku muszę przypomnieć o konieczności zachowania tajemnicy. Niczego, co zostanie powiedziane na tej sali, pod żadnym pozorem nie wolno ujawnić przedstawicielom prasy. Czy to jasne?

Spojrzał najpierw na Mordecaia, potem na mnie. Cała gromada zasiadająca przy stole obrony także wykręciła głowy w naszym kierunku. Miałem ochotę wstać i przypomnieć, że to strona pozwana zaczęła swoistą wojnę prasową. Fakt, z naszej strony padły znacznie silniejsze ciosy, ale nie my zadaliśmy je pierwsi.

Sekretarka rozdała wszystkim dwustronicowe pisma sędziego, omawiające szczegółowo zasady dochowania tajemnicy. Były adresowane imiennie do każdego z uczestników spotkania. Szybko podpisałem swoje.

Okazało się jednak, że adwokat działający pod silną presją nie jest w stanie zapoznać się błyskawicznie nawet z dwoma akapitami tekstu.

- Są jakieś zastrzeżenia? - spytał DeOrio rzeczników kancelarii Drake'a i Sweeneya, którzy zapewne szukali w treści pisma haczyków i nieścisłości, gdyż mieli to we krwi.

Nie zgłosili żadnych wątpliwości. Złożono podpisy, sekretarka zebrała papiery.

- Przejdźmy do porządku dziennego - rzekł sędzia. - Punkt pierwszy dotyczy ustalenia odpowiedzialności za czyny objęte oskarżeniem. Panie Green, to pan złożył pozew, ma pan teraz pięć minut na wyłożenie swoich racji.

Mordecai wstał i wsunął ręce do kieszeni, chcąc sprawiać wrażenie całkiem rozluźnionego. Nawet nie zajrzał do notatek. W ciągu dwóch minut jasno i zwięźle przedstawił zarzuty, po czym usiadł.

DeOrio cenił sobie też rzeczowość.

W imieniu pozwanych głos zabrał Arthur Jacobs. Przyznał, że fakty zawarte w pozwie nie budzą zastrzeżeń, sprzeciwił się jednak obarczaniu kancelarii pełną odpowiedzialnością. Część winy za tragedię zrzucił na warunki naturalne, czyli na śnieżycę utrudniającą życie wszystkim mieszkańcom miasta.

Podał także w wątpliwość poczynania Lontae Burton.

- Mogła przecież znaleźć schronienie - powiedział - było otwartych wiele przytułków. Poprzednią noc spędziła w podziemiach kościoła wraz z dziesiątkami innych ludzi. Dlaczego więc wróciła na ulicę? Nikt jej do tego nie zmuszał. Poza tym jej babka zajmuje samodzielne

mieszkanie w dzielnicy Północno-Wschodniej. Czy zatem jakaś część odpowiedzialności za tragedię nie spoczywa na samotnej matce? Czy na pewno nie mogła uczynić niczego więcej w celu zapewnienia bezpieczeństwa swoim dzieciom?

Arthur Jacobs świadomie wykorzystywał jedyną szansę obarczenia winą Lontae. Mniej więcej za rok, kiedy zamiast mnie na ławach zasiadliby sędziowie przysięgli, ani on, ani żaden inny adwokat przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się nawet zasugerować, że choćby w najmniejszym stopniu była sama sobie winna.

- Może warto zacząć od pytania, dlaczego w ogóle mieszkała na ulicy? - rzekł ostro DeOrio. Siłą musiałem się powstrzymać od śmiechu, na Jacobsie uwaga sędziego nie zrobiła jednak wrażenia.

- Dla potrzeb tej konferencji, Wysoki Sądzie, godzimy się przyznać, że przeprowadzona eksmisja była bezprawna.

- Dziękuję.

- Chodzi nam tylko o to, że część odpowiedzialności za tragedię spoczywa także na zmarłej powódce.

- Jaka część?

- Pięćdziesiąt procent.

- Nie mogę tego przyjąć.

- Podtrzymujemy swoje stanowisko, Wysoki Sądzie. Jeśli nawet przez nas znalazła się na ulicy, to przecież wytrzymała ponad tydzień, zanim doszło do tragedii.

- Panie Green?

Mordecai wstał i energicznie pokręcił głową, jakby z politowaniem traktował niezbyt przekonujące wywody studenta pierwszego roku prawa.

- Mówimy o ludziach, którzy nie mają swobodnego dostępu do lokali mieszkalnych, panie Jacobs. Właśnie z tego powodu nazywa się ich bezdomnymi. Przyznał pan, że wskutek eksmisji cała rodzina znalazła się na ulicy, gdzie poniosła śmierć. Z prawdziwą przyjemnością przedyskutowałbym kwestię podziału odpowiedzialności przed sędziami przysięgłymi.

Arthur Jacobs przygarbił się wyraźnie. Na twarzach Raftera, Malamuda i Barry'ego, którzy dotąd słuchali w skupieniu, odmalowało się nagle przerażenie. Rzeczywiście wystarczyła nawet krótka wzmianka na temat przysięgłych.

- Dla mnie sprawa jest oczywista, panie Jacobs - odparł DeOrio. - Może pan zaplanować dyskusję nad stopniem winy powódki przed ławą przysięgłych, ale szczerze bym to odradzał.

Mordecai i Jacobs usiedli.

Podczas rozprawy, po ustaleniu odpowiedzialności pozwanych, należałoby ocenić

rozmiar strat. To było drugim punktem porządku dziennego. Rafter przystąpił do pobieżnego omawiania raportu, który przedstawił już wczoraj. Zaczął od tego, ile według naszego wymiaru sprawiedliwości warte są zmarłe dzieci. Później jął się rozwodzić nad szacunkową wysokością dochodów rodziny, utraconych wskutek śmierci Lontae. Ostatecznie jednak doszedł do tej samej kwoty, jaką wyliczył poprzedniego dnia, czyli siedmiuset siedemdziesięciu tysięcy dolarów. Przedstawił ją jako oficjalną propozycję odszkodowania w ramach ugody.

- Rozumiem, że nie jest to jednak ostateczna oferta, prawda, panie Rafter? - zapytał wyzywającym tonem DeOrio, jakby w ogóle nie dopuszczał myśli, iż może być inaczej.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Panie Green?

Mordecai znowu wstał.

- Odrzucamy tę ofertę, Wysoki Sądzie. Nic mnie nie obchodzi wysokość odszkodowań przyznawanych gdzie indziej. Interesuje mnie tylko to, jaką sumę zasadzą przysięgli na tej sali, a przy całym szacunku dla wyliczeń pana Raftera ośmielę się zawyrokować, że będzie to o wiele więcej od kwoty przedstawionej w ofercie.

Chyba nikt z obecnych w to nie wątpił.

Następnie Green szybko rozprawił się z poglądem, że zmarłe kilkuletnie dziecko jest warte tylko pięćdziesiąt tysięcy. Orzekł stanowczo, iż wynika to jedynie z powszechnych uprzedzeń do bezdomnych, którzy w dodatku mają ciemną skórę. Przy stole obrony tylko Gantry nie skrzywił się boleśnie, słysząc tę uwagę.

- Ma pan synka w Saint Alban's, prawda, panie Rafter? Zgodziłby się pan wziąć za niego pięćdziesiąt tysięcy odszkodowania?

Tamten nie odpowiedział, zapisywał coś pilnie z nosem utkwionym zaledwie parę centymetrów nad notatnikiem.

- Bez trudu zdołałbym przekonać przysięgłych w tej sali, iż każde z maleńkich dzieci jest warte co najmniej milion dolarów, dokładnie tyle samo, co ich rówieśnicy uczęszczający do eleganckich prywatnych przedszkoli w Wirginii czy Marylandzie.

Musiałem przyznać w duchu, że jest to cios poniżej pasa. Nikt nie wątpił, że Green ma na myśli dzieci prawników zasiadających po przeciwnej stronie.

W dodatku przedstawiony raport zupełnie pomijał kwestię zadośćuczynienia za ból i niedostatki powodów. Śmierć całej rodziny nastąpiła podczas snu, jej przyczyną był wdychany bezwonny trujący gaz. Nikt nie odniósł ran, nie doszło do rozlewu krwi. Okoliczności były wszystkim znane, mimo że dotąd do nich nie nawiązano.

Rafterowi przyszło zapłacić wysoką cenę za to przeoczenie. Mordecai zaczął bowiem

szczegółowo omawiać ostatnie godziny życia Lontae i jej dzieci. Mówił o desperackim poszukiwaniu ciepła i żywności, ucieczce przed śnieżycą i mrozem, o lęku przed zamrożeniem na śmierć w wysokich zaspach, tuleniu się do siebie nawzajem na tylnym siedzeniu samochodu z włączonym silnikiem i lękliwym zerkaniu na wskaźnik paliwa auta, które przekształciło się w pułapkę.

Green stał się jedynym aktorem porywającego przedstawienia, mówił z pasją wytrawnego i utalentowanego gawędziarza. Na miejscu sędziów przysięgłych uhonorowałbym go czekiem in blanco.

- Proszę mi więc nie mówić o bólu i cierpieniach - zwrócił się ostro do rzeczników pozwanych - bo nie mają panowie o tym najmniejszego pojęcia.

Opowiadał o Lontae z takim zaangażowaniem, jakby znali się od lat. Przedstawił ją jako nieślubne dziecko, które przyszło na świat bez żadnych perspektyw i popełniło wszystkie dające się przewidzieć błędy. Ważniejsze było jednak to, że chodziło o matkę bardzo kochającą swoje dzieci i za wszelką cenę usiłującą wydostać się ze skrajnej nędzy. Powódka zerwała ze swoją przeszłością i próbowała uwolnić się od nałogu, podjęła stałą pracę zarobkową, kiedy eksmisja zarządzona przez pozwanych zepchnęła ją z powrotem na ulicę.

Czasami prawie krzyczał, chcąc podkreślić swoje oburzenie, kiedy indziej zniżał głos, mówiąc o winie czy wstydzie. Każde słowo, niemal każda sylaba miała odpowiedni ciężar. Dawał pozwany wyśmienitą próbkę tego, z czym w przyszłości mogą się zetknąć przysięgli.

Arthur Jacobs musiał ostatecznie za to zapłacić. Z pewnością już teraz książeczka czekowa paliła go w kieszeni jak rozżarzone żelazo.

Najcięższe argumenty Mordecai zostawił na koniec. Przypomniawszy, jakie cele powinny spełniać kary za straty moralne - mają piętnować winnych, dawać poszkodowanym zadośćuczynienie oraz przestrzegać każdego przed popełnianiem takich samych grzechów. Szeroko opisywał zło, jakiego dopuścili się pozwani, bogaci ludzie nie mający za grosz szacunku dla tych, którym się w życiu nie wiodło.

- To tylko banda dzikich lokatorów! - grzmiał na całą salę. - Trzeba ich stamtąd wyrzucić!

Uwypuklił też lekceważenie przepisów prawa. Zgodnie z nimi lokatorzy magazynu powinni dostać miesiąc na znalezienie innych mieszkań. Tyle że zwłoka spowodowałaby zerwanie kontraktu z zarządem poczty. Dla biedaków zaś oznaczałaby możliwość przetrwania najsilniejszych zamieci.

Był to wręcz doskonały przykład do wystąpienia o jak najwyższe odszkodowanie za straty moralne. Mordecai nie zostawił nawet cienia wątpliwości, że sędziowie przysięgli na

pewno przyznają mu rację. Byłem przekonany, że ani Jacobs, ani Rafter, ani żaden inny prawnik zasiadający obecnie przy stole obrony nie chce już mieć takiego przeciwnika.

- Przyjmujemy polubowne odszkodowanie w wysokości pięciu milionów i ani centa mniej! - oświadczył Green na zakończenie.

Zapadła grobowa cisza. Wreszcie DeOrio zapisał coś w notatniku i przeszedł do kolejnego punktu porządku dziennego, jakim była sprawa zaginionych akt.

- Ma je pan? - zwrócił się bezpośrednio do mnie.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- I zechce je pan dobrowolnie oddać?

- Tak.

Mordecai wyjął z aktówki nieco podniszczoną kartonową teczkę i przekazał ją sekretarce, która położyła papiery przed sędzią. Przez kilka minut wszyscy przyglądali się w milczeniu, jak DeOrio wertuje dokumenty.

Pochwyciłem wrogie spojrzenie Raftera, ale teraz było mi już wszystko jedno. Wyczuwałem, z jaką niecierpliwością przedstawiciele kancelarii oczekują momentu, kiedy teczka trafi z powrotem do ich rąk.

Wreszcie sędzia zamknął ją i powiedział:

- Dokumenty zostały zwrócone, panie Jacobs. Przejdźmy więc do oskarżeń kryminalnych, które miałyby być rozpatrywane w innej sali. Rozmawiałem na ten temat z sędzią Kisnerem. Co pan proponuje?

- Wysoki Sądzie, jeżeli osiągniemy porozumienie w sprawie cywilnej, wycofamy zarzuty o kradzież.

- Domyślam się, że druga strona przyjmuje takie rozwiązanie. Panie Brock?

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo mi to pasuje.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie.

- W takim razie idźmy dalej. Następnym punktem jest sprawa zarzutów o nieetyczne działanie, wysuniętych przeciwko Michaelowi Brockowi przez kancelarię Drake'a i Sweeneya we wniosku do miejscowej palestry. Panie Jacobs, czy zechciałby pan zabrać głos w tej kwestii?

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

Arthur Jacobs poderwał się z miejsca i wygłosił podniosłą tyradę na temat mojego nieetycznego czynu. Nie rozwodził się specjalnie, nie był też szczególnie napastliwy, ale mówił z wyraźną satysfakcją w głosie. Dawał dowód, że jest adwokatem adwokatów, człowiekiem wyznającym niewzruszone zasady i domagającym się tego samego od innych. Podkreślił, że

firma nigdy mi nie wybaczy kradzieży, ale nie zapomni też, że wiele lat pracowałem dla niej z poświęceniem. Stwierdził, iż moje sprzeniewierzenie się powinno być traktowane podobnie, jak postępowanie Bradena Chance'a, które naraziło kancelarię na olbrzymie nieprzyjemności.

Zakończył twierdzeniem, że dokonana przeze mnie kradzież dokumentów nie może ująć bezkarnie, skoro położyła się wielkim cieniem na stosunkach firmy z klientem, spółką RiverOaks. Nie należałem do pospolitych przestępców, toteż zarząd z łatwością mógł zrezygnować ze stawianych mi oskarżeń kryminalnych. Nadal jednak byłem adwokatem, i to bardzo dobrym, jak przyznał otwarcie, dlatego też powinienem ponieść karę.

Firma pod żadnym pozorem nie godziła się na wycofanie wniosku o konsekwencje dyscyplinarne.

Jacobs rzeczowo i przekonująco uzasadnił swoje stanowisko, nawet ja musiałem to przyznać. Zwłaszcza przedstawiciele RiverOaks spoglądali na mnie nieprzychylnym wzrokiem.

- Panie Brock - zagadnął DeOrio. - Czy zechce pan odpowiedzieć na te zarzuty?

Nie byłem przygotowany do wygłoszenia podobnej mowy, ale nie bałem się też wystąpić we własnej obronie. Spojrzałem Jacobsowi prosto w oczy i powiedziałem:

- Zawsze żywiłem i żywię do pana ogromny szacunek. Nie mam nic na swoją obronę. Postąpiłem źle, wynosząc akta z kancelarii, od tamtej pory setki razy szczerze żałowałem, że wypadki tak się potoczyły. Szukałem jedynie pewnych informacji, do których dostępu mi odmówiono, ale zdaję sobie sprawę, iż nie jest to żadnym wytłumaczeniem. Dlatego teraz mogę tylko serdecznie przeprosić pana, wszystkich pozostałych pracowników firmy, jak również waszego klienta, RiverOaks.

Usiadłem i spuściłem głowę. Mordecai powiedział mi później, że to wystąpienie ochłodziło gorącą atmosferę w sali co najmniej o dziesięć stopni.

Na szczęście DeOrio postąpił bardzo mądrze, zarządzając przejście do kolejnego punktu, jakim był nie złożony jeszcze pozew. W rozmowie telefonicznej Green uprzedził sędziego, że są już gotowe dwa wnioski w imieniu poszkodowanych, Marquisa Deese'a oraz Kelvina Lama, przy czym zamierzamy szykować następne w miarę zgłaszania się dalszych poszkodowanych. DeVon Hardy i Lontae Burton nie żyli, należało się więc liczyć łącznie z piętnastoma analogicznymi pozwami.

- Jeżeli przyjął pan na siebie odpowiedzialność za eksmisję, panie Jacobs - rzekł sędzia - to musi pan również wziąć pod uwagę rekompensaty dla reszty poszkodowanych. Jakie sumy proponuje pan w celu ugodowego załatwienia owych piętnastu spraw?

Arthur Jacobs przez chwilę naradzał się szeptem z Rafterem i Malamudem, po czym

odparł:

- No cóż, Wysoki Sądzie, mówimy o ludziach, którzy pozostają bez dachu nad głową od miesiąca. Jeżeli przyznamy im po pięć tysięcy dolarów, będą sobie mogli znaleźć godziwe mieszkania, zapewne o wiele lepsze od tych, które z naszej winy utracili.

- To bardzo niska kwota - ocenił DeOrio. - Panie Green?

- O wiele za niska - zgodził się Mordecai. - I tutaj powinniśmy w szacunkach oprzeć się na tym, co mogą zasądzić sędziowie przysięgli. Gdyby ten sam skład rozpatrywał tę samą bezprawną eksmisję, bez trudu wywalczyłbym po pięćdziesiąt tysięcy dla każdego z poszkodowanych.

- Jakie kwoty proponuje pan w ramach ugody?

- Dwadzieścia pięć tysięcy.

- Sądzę, że powinniście przyjąć ten warunek. - DeOrio zwrócił się do Jacobsa. - Żądania nie są zbyt wygórowane.

- Po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów dla każdego z piętnastu poszkodowanych? - powtórzył z niedowierzaniem Jacobs, jakby nie docierało do niego jeszcze, że sędzia wyraźnie wziął stronę powodów.

- Zgadza się.

Czterej przedstawiciele kancelarii zaczęli się gorączkowo naradzać szeptem, a każdy miał coś do powiedzenia. Nawet nie zadali sobie trudu zasięgnięcia opinii adwokatów spółki RiverOaks, stało się więc jasne, że kancelaria Drake'a i Sweeneya będzie musiała pokryć wszelkie koszty ugody. Gantry siedział ze znudzoną miną - nikt nie żądał od niego ani grosza. Natomiast RiverOaks prawdopodobnie zagroziło prawnikom wystąpieniem na drogę sądową, jeżeli sprawa nie zostanie załatwiona polubownie.

- Dobrze, godzimy się zapłacić po dwadzieścia pięć tysięcy - cicho odparł w końcu Arthur Jacobs.

Tak oto konto firmy zubożało w jednej chwili o trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. To mądre posunięcie sędziego przełamało lody. DeOrio doskonale wiedział, że najpierw trzeba zmusić pozwanych do przyjęcia warunków w mniej znaczących sprawach, bo gdy już raz pieniądze zaczną płynąć, łatwiej będzie osiągnąć ostateczne porozumienie.

Przez ostatni rok pracy w kancelarii, po odliczeniu mojej pensji i premii oraz zmniejszeniu wpływów o jedną trzecią na koszty ogólne, w przybliżeniu zasililem konto firmy o czterysta tysięcy dolarów. Tymi pieniędzmi podzielili się wspólnicy.

A przecież byłem tylko jednym z ośmiuset pracowników.

- Panowie, pozostały nam zatem dwie najważniejsze kwestie. Pierwsza finansowa, czyli

wysokość odszkodowania, jakie pozwany miałby zapłacić w ramach ugody. Druga natomiast to kara dyscyplinarna za nieetyczne zachowanie pana Brocka. Na obecnym etapie rokowań chciałbym porozmawiać oddzielnie z przedstawicielami obu stron. Zacznę od rzeczników powoda. Czy panowie Green i Brock zechcieliby przejść do mojego gabinetu?

Sekretarka wskazała nam boczne wyjście. Ruszyliśmy krótkim korytarzem do gustownie urządzonego pokoju obitego dębową boazerią, gdzie sędzia właśnie zdejmował togę. Zaproponował nam herbatę, lecz odmówiliśmy uprzejmie.

- Robimy szybkie postępy - zaczął. - Muszę przyznać szczerze, panie Brock, że martwią mnie te oskarżenia o nieetyczne zachowanie. Czy zdaje pan sobie sprawę z ich wagi?

- Chyba tak, Wysoki Sądzie.

DeOrio splótł dłonie, aż zatrzeszczało mu w stawach, i zaczął powoli chodzić wzdłuż biurka.

- Jakieś siedem czy osiem lat temu mieliśmy tu, w Waszyngtonie, podobny wypadek. Pewien adwokat wyniósł z macierzystej firmy sporo materiału dowodowego, który później w tajemniczy sposób znalazł się w konkurencyjnej kancelarii, zbiegiem okoliczności proponującej winowajcy pracę na bardzo korzystnych warunkach. Nie pamiętam jego nazwiska.

- Makovek. Nazywał się Brad Makovek - podsunąłem.

- Właśnie. I wie pan, jaką poniósł karę?

- Został zawieszony na dwa lata.

- Tego samego poszkodowani domagają się dla pana.

- Nic z tego, panie sędzio - rzekł Mordecai. - W żadnym wypadku nie zgodzimy się na dwuletnie zawieszenie.

- Jaka kara jest dla was do przyjęcia?

- Najwyżej pół roku. To warunek poza dyskusją. Proszę posłuchać, panie sędzio. Strona pozwana jest śmiertelnie przerażona i pan dobrze o tym wie. My zaś nie musimy się niczego obawiać. Czemu więc nie mielibyśmy stawiać twardych warunków? Naprawdę wolałbym zaprezentować tę sprawę przed ławą przysięgłych.

- Nie będzie żadnej rozprawy - orzekł stanowczo DeOrio, po czym podszedł do mnie i spojrzał mi prosto w oczy. - A pan się godzi na półroczne zawieszenie?

- Tak. Pod warunkiem że kancelaria wypłaci odszkodowanie.

- Ile żądacie? - zwrócił się do Greena.

- Pięciu milionów. Przysięgli na pewno by tyle zasądzić.

DeOrio podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

- To prawda, pięciomilionowy werdykt jest całkiem realny - rzucił przez ramię.
- Dla mnie realny jest nawet dwudziestomilionowy - odparł Mordecai.
- Kto dostanie te pieniądze?
- Podział będzie bardzo skomplikowany - mruknął cicho Green.
- Ile wyniesie honorarium adwokackie?
- Dwadzieścia procent, z czego połowa pójdzie na konto nowojorskiej fundacji.

Sędzia lekko pokręcił głową i znów zaczął chodzić wzdłuż biurka z dłońmi splecionymi za plecami.

- Sześć miesięcy zawieszenia to bardzo lekka kara - rzekł.
- Na inną się nie zgodzimy - odparł stanowczo Mordecai.
- Dobrze. Pozwólcie, że teraz porozmawiam z rzecznikami drugiej strony.

Przebywaliśmy w gabinecie DeOrio niecały kwadrans. Rozmowa sędziego z winowajcami trwała ponad godzinę. Nie było w tym nic dziwnego, skoro rzecz dotyczyła pieniędzy, jakie mieli wyłożyć.

Kupiliśmy sobie po puszcze coca-coli i poszliśmy na spacer zatłoczonymi korytarzami budynku, w milczeniu przyglądając się dziesiątkom zabieganych prawników szukających sprawiedliwości dla swoich klientów, jak również przerażonym ludziom, którzy mieli stanąć przed sądem pod takimi czy innymi zarzutami. Mordecai spotkał kilku przyjaciół, z którymi zamienił po parę słów. Ja nie ujrzałem ani jednej znanej mi twarzy. Adwokaci z wielkich firm prawniczych nie kręcą się po gmachu sądu.

Wreszcie odnalazła nas sekretarka i powiodła z powrotem na salę, gdzie reszta uczestników narady czekała już w napięciu. DeOrio wyglądał na bardzo ożywionego, Arthur Jacobs i jego koledzy - na wycieńczonych. Zajęliśmy miejsca.

- Panie Green - zaczął sędzia. - Obszernie przedyskutowałem pańskie warunki z rzecznikami pozwanych. Ich końcowa oferta ugody jest następująca: trzy miliony odszkodowania i rok zawieszenia licencji pana Brocka.

Mordecai, który zaledwie przed paroma sekundami usiadł, poderwał się błyskawicznie na nogi.

- W takim razie tracimy tylko czas - odparł, szybko chowając papiery do aktówki. Poszedłem w jego ślady i podniosłem się z ławy. Green dodał: - Proszę nam wybaczyć, Wysoki Sądzie, ale mamy wiele spraw nie cierpiących zwłoki.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył między rzędami widowni w stronę dwuskrzydłowych drzwi.

- Jesteście wolni, panowie - mruknął wyraźnie poirytowany sędzia.
W pośpiechu wyszliśmy z sali.

ROZDZIAŁ 38

Otwierałem drzwi samochodu, kiedy zadzwonił mój telefon komórkowy. Ze zdumieniem rozpoznałem głos DeOrio.

- Dobrze, panie sędzio - odparłem. - Będziemy za pięć minut.

Mordecai wybuchnął gromkim śmiechem.

Powrót na salę zajął nam jednak dziesięć minut. Zrezygnowaliśmy z windy, wybierając drogę po schodach. Green zdecydował, iż należy dać sędziemu jak najwięcej czasu na maksymalne upokorzenie winowajców.

Od razu po wejściu na salę rzucił mi się w oczy Jack Bolling, jeden z trzech adwokatów RiverOaks, który - już bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli - odsuwał się właśnie od zbitych w gromadkę przedstawicieli kancelarii Drake'a i Sweeneya. Chyba nie doszło do bójki, ale sprawiał wrażenie, jakby miał na nią wielką ochotę.

Werdykt, o którym marzył Mordecai, obciążyłby równo wszystkich trzech pozwanych. Wyglądało więc na to, że prawników RiverOaks przestraszył tok narady. Niewykluczone, że padły jakieś pogroźki i ostatecznie rzecznicy spółki zdecydowali się dołożyć pieniędzy do puli. Nigdy nie mieliśmy poznać prawdy. Zrezygnowałem z miejsca na ławie przysięgłych i usiadłem obok Greena przy stole powoda. Wilmy Phelan już nie było.

- Jesteśmy coraz bliżsi porozumienia - oznajmił sędzia.

- A my jesteśmy coraz bliżsi całkowitego wycofania się z negocjacji - odparł groźnie Mordecai.

W ogóle nie rozmawialiśmy na ten temat, a sędzia i rzecznicy pozwanych z pewnością nie brali pod uwagę takiego obrotu rzeczy, gdyż teraz spoglądali na siebie nawzajem ze zdziwionymi minami.

- Zachowajmy rozwagę - rzekł pojednawczo DeOrio.

- Mówię całkiem poważnie, panie sędzio. Im dłużej przebywam na tej sali rozpraw, tym bardziej dochodzę do przekonania, że ów haniebnny czyn prawników powinien zostać osądzony przez przysięgłych. Co się tyczy Michaela Brocka, jego poprzedni pracodawcy mogą wysuwać wszelkiego typu oskarżenia o charakterze kryminalnym. Nie są to poważne zarzuty. Firma odzyskała akta, a mój kolega nie był dotąd notowany. Wszyscy wiemy, że nasz wymiar sprawiedliwości, borykający się z handlarzami narkotyków i mordercami, uzna jego przewinienia za kiepski żart. Na pewno Michael nie pójdzie do więzienia. Natomiast sprawa

jego kary dyscyplinarnej może się toczyć swoim torem. Złożę analogiczny wniosek o ukaranie Bradena Chance'a, może również innych prawników zaangażowanych w tę aferę, i dojdziemy do typowego stanu wojny pozycyjnej. - Wskazał palcem Arthura Jacobsa i dodał: - Jeśli wy będziecie nas opluwać w prasie, my nie pozostaniemy wam dłużni.

Pod tym względem miał rację, charytatywny ośrodek porad prawnych nie musiał się obawiać oczernienia w gazetach. Gantry także się tym nie przejął, przynajmniej niczego po sobie nie okazał. Nawet RiverOaks mogło dalej zarabiać grubą forszę, mimo złych opinii w prasie. Lecz kancelaria Drake'a i Sweeneya miała na sprzedaż wyłącznie swoją reputację.

Tyrada Greena była jednak tak nieoczekiwana, że przez kilka sekund wszyscy milczeliśmy jak osłupiali.

- Czy pan już skończył? - zapytał DeOrio.

- Tak.

- To dobrze. Otóż oferta została zwiększona do czterech milionów.

- Jeśli są gotowi zapłacić cztery miliony, to mogą i pięć. - Mordecai znów oskarżycielskim gestem wskazał rzeczników kancelarii. - Tylko ten jeden pozwany w ubiegłym roku zanotował obroty rzędu siedmuset milionów dolarów. Siedemset milionów rocznego obrotu! - Zamilkł na chwilę, jakby czekał na ucichnięcie echa swoich słów, po czym wskazał przedstawicieli RiverOaks. - A łączna wartość nieruchomości drugiego pozwanego wynosi trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów. Ta sprawa musi znaleźć epilog przed ławą przysięgłych.

Gdy zamilkł na dłużej, DeOrio zapytał ponownie:

- Czy pan już skończył?

- Nie, panie sędzio - odparł Green wyjątkowo spokojnie. - Weźmiemy dwa miliony zaliczki, milion na nasze honoraria i drugi dla najbliższych krewnych powódki, a pozostałe trzy zgodzimy się rozłożyć na dziesięć rocznych rat, czyli po trzysta tysięcy rocznie plus jakiś rozsądny procent. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pozwani zdołają wyłożyć każdego roku taką kwotę. Najwyżej podniosą nieco swoje stawki i zwiększą obciążenie godzinowe pracowników, ale nie do mnie należy już udzielanie podobnych rad.

Było to bardzo atrakcyjne i sensowne rozwiązanie. Najbliżsi krewni poszkodowanej rodziny przebywali w więzieniu, reszta wciąż pozostawała nieznaną, zatem do czasu wyjaśnienia tej kwestii uzupełniana w ratach pula odszkodowania mogła się znajdować pod kuratelą sądową.

Propozycja Mordecaia okazała się wręcz genialna. Przy stole obrony zapanowało wyraźne ożywienie. Pojawiła się droga wyjścia z impasu.

Jack Bolling znów podszedł do prawników kancelarii Drake'a i Sweeneya na krótką

naradę. Adwokaci Gantry'ego przyglądali się temu z równie znudzonymi minami, jak ich klient.

- Możemy na to przystać - oznajmił w końcu Arthur Jacobs. - Nie zrezygnujemy jednak z kary rocznego zawieszenia dla pana Brocka.

Poczułem nagle głęboką nienawiść do Jacobsa. Stanowiłem jego ostatnią kartę przetargową i w celu ratowania własnej twarzy żądałem dla mnie jak najwyższej kary.

Tyle że biedny Arthur nie mógł już negocjować z pozycji siły. Próbował się jedynie desperacko bronić.

- A cóż to za różnica?! - huknął Green. - Przecież Michael zgodził się przyjąć na siebie hańbę dyscyplinarnego zawieszenia. Co chcecie uzyskać, odsuwając go na pół roku dłużej? To czysty absurd!

Obaj przedstawiciele zarządu RiverOaks wyraźnie mieli dość tych targów. Trzy godziny spędzone na jednej sali z Mordecaim znacznie nasiliły ich wrodzony strach przed sądami. Nie ulegało wątpliwości, że nawet nie wyobrażali sobie dwóch tygodni rozprawy. Energicznie pokręcili głowami i zaczęli szeptem wymieniać jakieś uwagi.

Także Tillman Gantry wyglądał na zmęczonego nieustępliwością Jacobsa. Znajdowaliśmy się o krok od ugody, należało unikać dalszych sporów.

Przed kilkoma sekundami Green wrzasnął: „A cóż to za różnica?!” I miał całkowitą rację. W rzeczywistości wysokość kary dyscyplinarnej była bez znaczenia, zwłaszcza dla takiego obrońcy ulicy jak ja, skoro nawet po zawieszeniu w prawach wykonywania zawodu miałem zachować dotychczasowe stanowisko i pensję oraz status w ośrodku porad prawnych.

Wstałem i powiedziałem cicho:

- Wysoki Sądzie, uśrednijmy te wielkości. Proponujemy sześć miesięcy zawieszenia, pozwani domagają się roku. Zgadzam się więc na dziewięć miesięcy.

Spojrzałem przelotnie na Barry'ego Nuzzo, który po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się do mnie.

Gdyby w tym momencie Arthur Jacobs choć otworzył usta, byłby skończonym łajdakiem. Zapanowało jednak wyraźne odprężenie, nawet sędzia przyjął moją propozycję z ulgą.

- W takim razie ustaliliśmy warunki ugody - oświadczył, nie czekając na potwierdzenie tego faktu ze strony pozwanych.

Sekretarka DeOrio musiała mieć olbrzymie doświadczenie, gdyż już po chwili wstała od komputera, a parę minut później rozdała wszystkim egzemplarze jednostronicowej *Umowy polubownej*. Podpisaliśmy ją szybko i wyszliśmy z sali.

W biurze nie czekał szampan. Sofia była zajęta codziennymi obowiązkami, Abraham nie wrócił jeszcze z odbywającej się w Nowym Jorku konferencji na temat bezdomnych.

Jeśli jakakolwiek amerykańska instytucja prawna mogła natychmiast i niemal bez śladu połknąć półmilionowe honorarium, to z pewnością należał do niej ośrodek porad prawnych przy ulicy Czternastej. Mordecai oświadczył, że zakupi nowe komputery i telefony oraz zainstaluje działające ogrzewanie. Resztę pieniędzy chciał ulokować w banku na korzystnych warunkach. W ten sposób mogliśmy sobie zapewnić fundusz wynagrodzeń na kilka lat.

Nie był specjalnie zadowolony, że drugie pół miliona musi odesłać na konto Fundacji Cohena, starał się jednak nie okazywać tego. Nie należał do ludzi zamartwiających się sprawami, na które nie mają żadnego wpływu. Wolał się skoncentrować na tych setkach drobnych batalii, jakie dawały perspektywę wygranej.

Potrzeba było co najmniej dziewięciu miesięcy żmudnej pracy, by ostatecznie uporządkować sprawę rodziny Burtonów. To zadanie przypadło w udziale mnie. Musiałem ustalić wszystkich najbliższych krewnych zmarłej matki, potem ich odnaleźć, wreszcie dokonać podziału odszkodowania. Na razie nic nie zapowiadało się prosto. Nie wykluczałem, że trzeba będzie przeprowadzić ekshumację zwłok Kito Spiresa oraz Alonzo, Dantego i Temeko, po czym wykonać analizę DNA w celu ustalenia pokrewieństwa. Gdyby Spires rzeczywiście okazał się ojcem trojga dzieci, miałby prawo do odszkodowania po nich, a ponieważ i on już nie żył, zachodziłaby konieczność odnalezienia jego prawowitych spadkobierców.

Wielu kłopotów spodziewałem się ze strony matki i braci Lontae, przebywających obecnie w więzieniu. Na pewno zaraz po odzyskaniu wolności rzuca się chciwie na przypadającą im część odszkodowania.

Oprócz tej pracy Mordecai miał dla mnie dwa inne, szczególnie interesujące go zadania. Pierwszym był szeroki program werbowania ochotników, jaki przed laty działał już w ośrodku, dopóki cięcia w federalnym budżecie nie wymusiły jego zawieszenia. Podobno w najlepszym okresie udało się dzięki niemu ściągnąć ponad stu prawników, którzy społecznie poświęcali po kilka godzin tygodniowo na zajmowanie się problemami bezdomnych. Green poprosił mnie teraz, bym odkurzył i przejrzał jego założenia. Pomysł mi się spodobał. Werbowanie ochotników wymagało nawiązywania rozlicznych kontaktów w stołecznym świecie prawniczym, a więc stwarzało także nadzieję na powiększenie naszych skąpych funduszy.

Drugi projekt dotyczył ich bezpośrednio. Sofia i Abraham nie odnosili większych sukcesów w namawianiu ludzi do działalności charytatywnej. Mordecai mógł przekonać

każdego, żeby oddał ostatnią koszulę z grzbietu, ale nie znosił zebrania o pieniądze. We mnie zaś widział wschodzącą gwiazdę działalności społecznej, sądził, że przy okazji nawiązywania tychże kontaktów z rozlicznymi profesjonalistami zdołam ich bez trudu nakłonić do jakiegoś skromnego udziału w powiększaniu naszego budżetu.

- Gdyby dobrze wszystko zorganizować, moglibyśmy uzyskać dodatkowo jakieś dwieście tysięcy dolarów rocznie - zawyrokował.

- I co byśmy robili z tymi pieniędzmi?

- Zatrudnilibyśmy kilka sekretarek i paru aplikantów, może nawet dokooptowali następnego prawnika.

Siedzieliśmy przy pustym biurku obok stanowiska Sofii, za oknem zapadał zmierzch. Mordecai wyraźnie się rozmarzył. Wrócił myślami do dni, kiedy w ośrodku pracowało aż siedmiu adwokatów. W ciasnych pomieszczeniach panował zamęt, lecz niewielka firma działająca na rzecz bezdomnych cieszyła się renomą, pomagała tysiącom ludzi. Politycy i biurokraci z uwagą słuchali płynących stąd głosów, najczęściej przypominających głośne okrzyki.

- Od pięciu lat staczamy się coraz niżej - mruknął. - A nasi klienci muszą znosić więcej cierpień. To doskonały moment, żeby zainicjować zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Otwarcie rzucał to wyzwanie mnie. Jeśli wniosłem do ośrodka świeże tchnienie, powinienem również ożywić jego działalność i przywrócić dawne znaczenie. Chyba już widział w wyobraźni, jak ściągamy do pomocy setki ochotników i zwiększamy fundusze do tego stopnia, by praca tutaj przypominała typową kancelarię adwokacką. Niewykluczone, że myślał nawet o odbiciu desek zakrywających okna na pierwszym piętrze kamienicy i wyszykowaniu pomieszczeń dla licznego grona pracowników.

Prawa bezdomnych miały być chronione dopóty, dopóki istniał ów ośrodek, a głosy tych ludzi musiały za naszym pośrednictwem docierać do właściwych uszu.

ROZDZIAŁ 39

W piątek rano siedziałem przy swoim biurku i wykonywałem rutynową robotę adwokata przekwalifikowanego na pracownika socjalnego, kiedy nieoczekiwanie w drzwiach pokoju zjawił się przedstawiciel kancelarii Drake'a i Sweeneya w osobie Arthura Jacobsa. Powitałem go uprzejmie, acz z pewną rezerwą, i usadziłem na jednym z brązowych składanych krzesełek. Nie miał ochoty na kawę, wpadł tylko na krótką pogawędkę.

Był bardzo zatroskany. Ostatnich kilka tygodni okazało się najtrudniejszymi w całej jego prawniczej karierze, liczącej już pięćdziesiąt sześć lat. Nawet polubowne załatwienie sprawy nie uwolniło go od kłopotów. Co prawda firma po ominięciu przeszkody znów ruszyła pełnym gazem po wytyczonym szlaku, lecz Jacobsa zaczęło gryźć sumienie. Jeden z jego wspólników dopuścił się czynów przerażająco karygodnych, skutkiem czego zginęli niewinni ludzie. Kancelaria miała już na wieki pozostać odpowiedzialna za śmierć Lontae i czworga jej dzieci, niezależnie od gigantycznego odszkodowania wypłaconego w ramach ugody. Jacobs zaś nabrał poważnych wątpliwości, czy kiedykolwiek zdoła się uwolnić od tego brzemienia.

Byłem zbyt zaskoczony, aby coś odpowiedzieć. Żałowałem, że Mordecai nie może usłyszeć tych wynurzeń. Arthur Jacobs naprawdę cierpiał i już po paru minutach szczerze zrobiło mi się go żal. Przekroczył osiemdziesiątkę, zamierzał w najbliższym czasie wycofać się z czynnej działalności, lecz teraz musiał przewartościować swoje plany. Jego także znudziło ciągle zarabianie grubej forsy.

- Nie zostało mi już wiele czasu - przyznał ze smutkiem w głosie, chociaż wydawało mi się, że wygłosi jeszcze mowę na moim pogrzebie.

Był zafascynowany naszym ośrodkiem, musiałem przedstawić mu ze szczegółami okoliczności poznania Greena. Dopytywał się, od jak dawna funkcjonuje to biuro, ilu zatrudnia pracowników, skąd płyną fundusze na tę działalność, jak są rozdysponowywane.

Z ochotą wykorzystałem nadarzającą się sposobność. Przez najbliższe dziewięć miesięcy miałem się zajmować werbowaniem ochotników do pracy społecznej z waszyngtońskich kancelarii. Spółka Drake'a i Sweeneya należała do największych, zamierzałem więc tam skierować swoje pierwsze kroki. Prawnicy mogliby poświęcać po kilka godzin w tygodniu i pod moim nadzorem zajmować się problemami tysięcy bezdomnych.

Arthur Jacobs przyznał, że nie są mu obce tego rodzaju programy, chociaż, jak dodał ze smutkiem, od dwudziestu lat w ogóle nie udzielał się społecznie. Takie zadania z reguły

wyznaczano ludziom, którzy dopiero rozpoczynali karierę. Pamiętałem to zresztą świetnie na swoim przykładzie.

Pomysł mu się jednak spodobał. Im dłużej rozmawialiśmy, tym program dla ochotników obejmował coraz szerszy krąg zagadnień. Niewiele było trzeba, żeby Jacobs wpadł na pomysł wyznaczenia wszystkim czterystu pracownikom waszyngtońskiego oddziału kancelarii pewnych zadań w ramach działalności charytatywnej. Mnie ta propozycja wydała się nadzwyczaj kusząca.

- Dasz radę nadzorować poczynania aż czterystu ochotników? - zapytał.

- Oczywiście - powiedziałem śmiało, choć w rzeczywistości nie miałem nawet pojęcia, od czego zacząć. - Będę jednak potrzebował pomocy.

- Jakiego rodzaju?

- Czy jest możliwe, by w kancelarii Drake'a i Sweeneya powstało pełnoetatowe samodzielne stanowisko koordynatora działań społecznych? Ten człowiek ściśle by ze mną współpracował nad wszelkimi zagadnieniami dotyczącymi praw bezdomnych. Szczerze mówiąc, do nadzorowania pracy czterystu ochotników byłaby niezbędna pomoc kogoś z waszej strony.

Arthur Jacobs zamyślił się na chwilę. Poruszane sprawy stanowiły dla niego zupełną nowość. Ja natomiast pragnąłem kuć żelazo, póki gorące.

- Znam nawet odpowiedniego kandydata - dodałem. - To wcale nie musi być licencjonowany prawnik, wystarczy doświadczony aplikant.

- Kto taki? - zaciekał się.

- Czy nazwisko Hectora Palmy jest panu znane?

- Chyba je gdzieś słyszałem.

- Pracuje obecnie w chicagowskiej filii, ale pochodzi z Waszyngtonu. Wypełniał polecenia Bradena Chance'a i dlatego został usunięty ze stolicy.

Arthur Jacobs przygryzł wargę, usiłując sobie przypomnieć. Nie miałem pojęcia, ile naprawdę wie, doszedłem jednak do wniosku, że w tej sytuacji powinien być ze mną szczery. Chyba głównie zaprzętały go teraz działania zmierzające do uciszenia głosu sumienia.

- Usunięty? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Owszem. Jeszcze trzy tygodnie temu mieszkał w Bethesda, lecz pewnej nocy wyprowadził się w skrajnym pośpiechu. Dostał przydział do Chicago. Znał wszelkie szczegóły dotyczące eksmisji i podejrzewam, że Chance się przestraszył, iż zechcemy wyciągnąć z Palmy zeznania.

Nakazywałem sobie ostrożność. Za żadną cenę nie mogłem ujawnić swojej bliższej

znajomości z Hectorem.

- A więc pochodzi z Waszyngtonu?

- Tak, podobnie jak jego żona. Mają czworo dzieci. Jestem pewien, że z radością wróciliby do stolicy.

- I sądzisz, że zainteresują go problemy bezdomnych?

- O to trzeba by jego zapytać.

- W porządku, zrobię to. Twój pomysł wydaje mi się doskonały.

Gdyby Jacobs postanowił ściągnąć Palmę z powrotem do Waszyngtonu i utworzyć dla niego stanowisko koordynatora działań społecznych na rzecz bezdomnych, sprawa byłaby załatwiona najdalej w ciągu tygodnia.

Tak oto nasz program werbowania ochotników zaczął nagle nabierać realnych kształtów. Ustaliliśmy, że każdy adwokat kancelarii będzie musiał się zająć jedną sprawą tygodniowo. Ponadto młodszy pracownicy mieliby obowiązek spotykania się pod moim nadzorem z klientami w przytułkach i schroniskach, natomiast Palma zajmowałaby się gromadzeniem i przydzielaniem napływających spraw. Wyjaśniłem Jacobsowi, że do załatwienia części z nich wystarczy piętnaście minut przy telefonie, ale są i takie, które będą wymagać poświęcenia kilku godzin w ciągu miesiąca. Odparł zdawkowo, że to żaden kłopot.

Niemal natychmiast zrobiło mi się żal stołecznych urzędników, kiedy pomyślałem, że nagle czterystu najlepszych adwokatów z kancelarii Drake'a i Sweeneya zacznie ich nękać egzekwowaniem praw mieszkańców ulicy.

Jacobs siedział u mnie prawie przez dwie godziny, zaczął serdecznie przeproszać, kiedy uświadomił sobie, że zabrał mi tak dużo czasu. Wychodził jednak w znacznie pogodniejszym nastroju. Opuszczał nasze biuro jako człowiek, który znalazł sobie nowy cel w życiu. Odprowadziłem go do samochodu i pobiegłem do Greena, aby mu o wszystkim opowiedzieć.

Okazało się, że wujek Megan ma domek letniskowy na wybrzeżu Delaware, na wysokości Wyspy Fenwicka, niedaleko granicy Marylandu. Opisała mi go jako malowniczą drewnianą chatkę, dwupiętrową, z olbrzymią werandą wychodzącą wprost na plażę i trzema sypialniami. Było to wręcz wymarzone miejsce na weekendowy wypad. Co prawda na początku marca pogoda nie zachęcała do wyjazdów nad morze, ale mogliśmy odpocząć przy kominku.

Szczególny nacisk położyła na fakt, że są tam trzy sypialnie, które mogą nam wszystkim zapewnić wystarczający komfort i swobodę, bez zbędnego komplikowania wzajemnych stosunków. Wiedziała już, że z wolna dochodzę do siebie po rozpadzie

małżeństwa, a po dwóch tygodniach wzajemnych ostrożnych flirtów chyba oboje nabraliśmy przekonania, że ta znajomość jest warta kontynuacji.

Wyjechaliśmy z Waszyngtonu w piątek po południu. Ja prowadziłem, Megan pełniła rolę pilota. Na tylnym siedzeniu Ruby zajadała rogaliki nadziewane mięsem. Z niezwykłą radością przyjęła perspektywę spędzenia kilku dni poza miastem, na plaży, z dala od brudnych ulic, a przede wszystkim z dala od narkotyków.

Od czwartku niczego nie brała, zatem trzy noce z nami w Delaware oznaczały dla niej cztery doby bez kokainy. W poniedziałek wieczorem mieliśmy ją odstawić do Easterwood, niewielkiego ośrodka odwykowego dla kobiet, położonego na wschód od wzgórza Kapitolu. Mordecai zainterweniował u kierownika placówki i ten obiecał przydzielić Ruby samodzielny pokój z wygodnym łóżkiem co najmniej na trzy miesiące.

Przed wyjazdem wykąpała się w schronisku Naomi i odebrała komplet nowych ubrań. Później Megan szczegółowo zrewidowała cały jej skąpy bagaż, ale nie znalazła żadnych narkotyków. Świadomie naruszyliśmy jej prawo do prywatności, wychodząc z założenia, iż wobec osób uzależnionych należy stosować nieco odmienne zasady postępowania.

Zajechaliśmy przed dom o zmierzchu. Megan wpadała tu raz czy dwa razy do roku. Klucz leżał pod słomianką przed drzwiami.

Zająłem pokój na parterze, czego Ruby nie omieszkała głośno oprotestować. Pozostałe sypialnie sąsiadowały ze sobą na piętrze, a Megan wołała w nocy być blisko naszej podopiecznej.

W sobotę od rana zaczęło padać, wiatr nawiewał znad morza nieprzyjemny zimny deszcz. Siedziałem sam na werandzie i opatulony grubym kocem bujałem się lekko na dziecięcej huśtawce, słuchając szumu fal i wędrując myślami gdzieś daleko. Z rozważań wyrwało mnie ciche skrzypnięcie drzwi, stuknęła wewnętrzna siatka i po chwili stanęła przede mną Megan. Bez słowa odchyliła koc i wsunęła się obok. Przytuliłem ją do siebie, bo gdybym tego nie zrobił, pewnie by spadła z wąskiej huśtawki.

Nie miałem żadnych psychicznych oporów, żeby otoczyć Megan ramieniem.

- Jak nasza klientka? - zapytałem.

- Ogląda telewizję.

Silniejszy poryw wiatru przygnał na werandę pasmo mgły, przywarliśmy do siebie mocniej. Pod zdwojonym ciężarem zgrzytnęły mocowania łańcuchów huśtawki, zaraz jednak znów zapadła cisza. Siedzieliśmy bez ruchu, spoglądając na białawe kłaczkę przesuwające się ponad falami. Tutaj upływ czasu nie miał żadnego znaczenia.

- O czym tak rozmyślasz? - zapytała cicho Megan.

- O wszystkim i o niczym.

Wyrwawszy się z miejskiego zgiełku, mogłem wreszcie po raz pierwszy przeanalizować ostatnie wydarzenia i spróbować odnaleźć w nich jakiś sens. Trzydzieści dwa dni temu byłem jeszcze żonatym, zupełnie innym mężczyzną, miałem eleganckie mieszkanie, pracowałem dla dużej firmy. Nie znałem kobiety, którą teraz tuliłem do siebie. Nie potrafiłem uwierzyć, że w ciągu miesiąca można aż tak diametralnie odmienić swoje życie.

Bąłem się myśleć o przyszłości. Wciąż jeszcze trwała przeszłość.

OD AUTORA

Przed podjęciem tego tematu w ogóle nie interesowałem się losem bezdomnych. Nie znałem też nikogo, kto by pracował na ich rzecz.

Podczas pobytu w stolicy natknąłem się jednak na Waszyngtoński Ośrodek Porad Prawnych dla Bezdomnych i poznałem jego kierowniczkę, Patricię Fugere. Właśnie ona i jej współpracownicy - Mary Ann Luby, Scott McNeilly oraz Melody Webb O'Sullivan - wprowadzili mnie w świat mieszkańców ulicy. Bardzo im dziękuję za poświęcony czas i wszechstronną pomoc.

Dziękuję także Marii Foscarinis z Krajowego Centrum Prawnego dla Bezdomnych i Ubogich, Willi Day Morris z Kobiecego Schroniska Racheli, Mary Popit z Nowego Ruchu na rzecz Kobiet oraz Bruce'owi Casino i Bruce'owi Sanfordowi z kancelarii Bakera i Hostetlera.

I tym razem Will Denton przeczytał maszynopis i zaproponował fachowe poprawki. Jefferson Arrington był moim przewodnikiem po mieście. Jonathan Hamilton zbierał materiały do powieści. Bardzo im dziękuję.

Wszystkim prawdziwym Mordecaiom Greenom poświęcam ten drobny wkład w ich codzienną pracę na pierwszej linii frontu.